PRZEGLĄD

POWSZECHNY

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK TRZYDZIESTY PIĄTY. — TOM 137 i 138.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC, KWIECIEŃ,
MAJ, CZERWIEC.

1918.

KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.
1918.

Nowy Rok.

Rok wstaje nowy: niosą go burze
W rydwanie z ognia i błyskawicy,
Przy szczęku stali, w dział grzmiących chmurze —;
Pod nim, tam w dole, w krwawej mgławicy,
Popielisk dymy i puste sioła,
Pod nim, tam w dole, łzawe lamenty
I krzyk serc mrowia, jak wicher wzdęty,
Krzyk, co do nieba o litość woła...

Witany niemej kurczem odrazy
W twarzach, zastygłych w przedwczesnym zgonie,
Ołowiem zrytych, strutych przez gazy —,
Witany łuną, co krwawo płonie
Nad świątnic pańskich strzaskanym murem,
Wśród wieńca mogił w śnieżnym całunie,
Milczeniem grozy witan ponurem,
Rok nowy rydwan swój krwawy sunie..

Przy grzmocie armat rok wschodzi nowy
Klęsk rejestr kończyć w złowieszczej księdze...
Przez śnieżne wydmy, krwią zlane rowy
Ściga go łkanie, ból, rozpacz, nędze,
Wśród przerażonej ziemicy drżenia,
Jęk go przeklina i płacz sierocy,
Rok nowy idzie, wśród mroków nocy,
Okropne dzieło kończyć zniszczenia...

Lecz cóż to? Patrzcie! świateł obręcze
Śmiertelny rydwan obwiły wkoło:
Młodzieńczej zjawy świetlane czoło
Czarowne z nieba malują tęcze...
Z pod kół miażdżących grzmot się porywa,
Co odrodzenie ludzkości głosi,
Z pod obryzganych krwią ciemną osi
Budzi się przyszłość w promieniach — żywa!

Żywotne twórczych odrodzeń płomie
Z głębokich mroków słońcem wystrzela,
Z barków się zjawy smują widomie
Świetlane skrzydła odnowiciela,
Ponury olbrzym z wozu się skłania,
Płaczące dziatki koi w kolebce,
Rzuconym w pęta narodom szepce
Czarowną, błogą pieśń — zmartwychwstania...!

O roku! Kiedyś pieśniami będą
Bardowie ludów twe głosić imię,
Kiedyś, tonący w ogniu i dymie,
Snem będziesz ludom, cudną legendą...
Bo nie uwiędną twej siejby plony
I wnuki ległych bez wieści, w pyle,
W odbiegłe tęcze twe patrząc mile,
Wyszepną tęsknie: „błogosławiony!“

O patrzcie! poprzez śnieżne zawieje,
W mgle, co nad pustką mogił się snowa,
Czarowną wizyą oku się śmieje
Rzucona w mytów pył — baśń tęczowa:
Nad potrzaskanych tronów kolumny
Swobody ludom zaranie pała,
Z królewskiem berłem, z wiekowej trumny,
Potężna Polska powstaje — cała!

Zbudzone ze snu rogiem ze złota
Jak w baśni, hufce kupią się stare
Lśnią orły srebrne, za rotą rota
Bojową przodków dzwoni famfarę,
Tryumfu Anioł, w świetlanej zorzy,
Nad wojskiem jasne rozświeca lice,
Lwy, ciężkiej pętą krusząc obroży,
Na sławne ojców spieszą stannice...

Król Duch znów berło uchwycił w dłonie
Nakryty ognia i dymu smugą,
W powodzi cierpień tłumiony długo,
Milionów tęskny sen — jawą płonie...
Słuchajcie! w Bałtyk siny uderza
Królewska surma, gdzie Dniepr spieniony
Oddźwiękiem chrobrym Króla — rycerza,
Srebrne się z fali ozwały dzwony...!

Z zachodnich szlaków, słyszycie? — z dali
Hen aż do Wisły cichego brzega —
Ostatni gromu łoskot dobiega: —
Słyszycie? — z hukiem w gruzy się wali
Przemocy kolos pod ducha młotem...
Nad powalonych grodów zwaliska,
Nad srebrny armat dym, w słońcu złotem
Szczęsnego widmo pokoju błyska...!

Promienne biją nad światem zorze,
W jedno się ludność kolisko sprzęga
I Anioł ciszy po krwawym sporze,
Ostatki gasi łun z widnokręga...
Wolności sztandar, w słońce rozwity,
W królewskiej światu płonie purpurze,
Rok nowy idzie w ziemie; przez burze,
Z chmur ukazując jasne błękity...

Tysiąc się orłów z nad mogił zrywa
I leci sznurem w promienne słońce,
Przez utęczonych smugów tysiące
Tęsknota wieków płoni się żywa,
Strzeżonych zamków pękły okowy
I jawią skarbów zaklęte wrota:
Ze zgliszcz — płomienne wici żywota
Nad przełom czasów rok wznosi nowy . . . !

Ks. Tadeusz Karyłowski.

Sfinks rosyjski.

Zawód, sprawiony sojusznikom przez Rosyę, jest dalszym tylko objawem zjawiska znanego dobrze Historyi: że mianowicie Rosya sprawia Europie zawód zawsze. Odkąd Wielkie Księstwo moskiewskie weszło w stosunki dyplomatyczne z Europą, od wieku XV. począwszy, zawodziły cudzoziemców (z wyjątkiem Polaków, ale i to nie zawsze) wszelkie a wszelkie obliczenia względem polityki rosyjskiej czynione — i od tej reguły nie zdarzył się dotychczas ani jeden wyjątek. Widocznie obliczenia były i są robione złą metodą. Bo też czytając dzieła zachodnich uczonych o Rosyi, widzi się, jak na każdym kroku bierze się tam objawy przygodne i krótkotrwałe za cechy zasadnicze — co musi wieść do nieporozumień.

Gdybym miał streścić dzieje Rosyi w jednem zdaniu (narażając się na niedomagania, nieuchronne od zbytniej lapidarności), powiedziałbym, że to wieczna gonitwa za jakąś kulturą, bez systematycznej pracy nad jakąkolwiek. Zabiegi i zapędy (czasem nawet rozpędy) kulturalne nie wiodły do wytworzenia i utrwalenia czegoś wyraźnego, gdyż wikłały się z sobą i paraliżowały wzajemnie, pozbawione przez to mocy wydawania konsekwentnych wyników. Czyni to dzieje wschodniej Słowiańszczyzny wogóle, a w szczególności dzieje Rosyi tak bezbrzeżnie smutnemi. Jak gdyby na marne i napróżno żyły tam pokolenia.

Na ziemiach rosyjskich stykały się i ścierały kultury różne, a nawet wręcz odmienne cywilizacye. Gdyby obfitość ilościowa

wpływów kulturalnych stanowiła o wysokości kultury, Rosya byłaby predestynowana na przodownika cywilizacyi całego świata. Lecz z zetknięcia się różnych kultur tej samej cywilizacyi, a cóż dopiero odmiennych cywilizacyj, bywają skutki nie zawsze dobroczynne. Niektóre nadają się do „krzyżowania", inne zaś nie.

Są cywilizacye jednostronne i wielostronne, jednolite i mieszane, oryginalne i naśladowane, a zwłaszcza pełne i niepełne; są też kultury i półkultury.

Niegdyś były dwie cywilizacye pełne: helleńska i irańska. Irańska zmieszała się z pierwiastkami chamickiemi i semickiemi, i gdy nabierała właśnie cech semickich coraz bardziej, stało się, iż uderzyły w nią wyprawy Aleksandra Wielkiego. Powstała hellenistyczność, owa pierwsza „synteza" Zachodu i Wschodu: pozbawione siły twórczej zwyrodnienie hellenizmu.

Ekspanzya tegoż hellenizmu ku zachodowi obróciła się w jasne słupy cywilizacyi, gorejące dotychczas, wydawszy ową „klasyczność", która stała się jakby cechą człowieczeństwa w Europie. Z czasem podążyła też ta cywilizacya klasyczna za orężem rzymskim na ląd azyatycki i... Rzym oryentalizuje się. Imperyum, wyłonione pierwotnie ewolucyjnie z helleńskiego i rzymskiego republikanizmu, zamienia się w azyatycki despotyzm. Około tronu cezarów odbywa się na kilka zawodów walka Zachodu ze Wschodem, coraz pomyślniejsza dla Wschodu. Nareszcie musiał się świat cywilizowany rozdzielić, skoro się nie chciał cały poddać oryentalizacyi. Podczas gdy na Zachodzie wyłaniała się kultura klasyczno-chrześcijańska, n a s z a k u l t u r a — na Wschodzie powstaje bizantynizm, jako powtórna próba syntezy Zachodu i Wschodu.

Bizantyńska półkultura odznaczała się jednak znaczną ekspanzyą ku zachodowi, a miała dwa szlaki. Jeden szedł przez Illiricum i Dalmacyę do Italii południowej i z Sycylii do Hiszpanii (we Włoszech malały wpływy bizantyńskie ku północy i nigdy nie przekroczyły Alp), drugi zaś przez Węgry do Niemiec, gdzie też bizantynizm najmocniej się osadził. Istnieje niemiecki rodzaj bizantynizmu. Od bizantyńskich „kajzarów" wywodzi się niemieckie cesarstwo — a podczas gdy z innych krajów Zachodu wyrugo-

wano wreszcie bizantynizm, doznał on w Niemczech nowego wzrostu przez t. zw. reformacyę.

Krzewicielem bizantynizmu stał się dwór małżonki Ottona II, poślubionej w roku 972. cesarzówny bizantyńskiej Teofanii. Rodzona jej siostra, Anna, była żoną Włodzimierza kijowskiego — lecz nie przypadła jej ani w najdalszem nawet porównaniu rola historyczna taka, jak Teofanii.

Słowiańszczyzna wschodnia ulegała była pierwotnie tylko wpływom cywilizacyjnym turańskim, a mianowicie ostatnim ich wybieżkom zachodnim u ludów fińskich i wśród wieloplemiennej „Jugry" Powołża. Pierwiastki turańskie zdołały z biegiem czasu zdruzgotać w Azyi cywilizacyę arabską, zaczerpnąwszy z niej tylko pewnych formalnych stron koranu. Tylko do kresów tego turańskiego wschodu miała dostęp Słowiańszczyzna wschodnia aż (mniej więcej) do roku 970., kiedy Waregowie przerwali historyczną izolacyę tej Słowiańszczyzny, odkrywszy i wskazawszy jej trzy wielkie drogi do świata: nad morze Czarne, na ląd półwyspu bałkańskiego i na zachód do kraju Lachów.

Wpływy bizantyńskie ledwie się sączyły na Ruś. Nawet Cerkiew nie pod bizantyńskim pozostawała bezpośrednim wpływem, lecz pod bułgarskim. Żadna z cech historycznych Słowiańszczyzny wschodniej wogóle, a Moskiewszczyzny w szczególności, nie da się wytłumaczyć wpływami bizantyńskimi, ani w bizantynizmie odszukać. Znać rozbieżność zupełną Bizancyum a Rusi w braku pojęć państwowych. O samowładztwie bizantyńskiem nie tylko nie miano pojęcia, lecz nie udawały się wogóle wszelkie próby wzmocnienia władzy książęcej, — sądownictwo karne stanowiło tam bezsporny atrybut władzy książęcej aż dopiero w połowie XV. wieku.

Nie z Bizancyum otrzymała Ruś porządki państwowe, lecz od administracyi dopiero mongolskiej, od Mongołów „niebieskich", opartych o cywilizacyę chińską. Tytuł carski pojawia się po raz pierwszy w r. 1270., ale odnosi się nie do bizantyńskiego bynajmniej cesarza, lecz do tatarskiego hana. Państwowość mongolska obniżyła się atoli po krótkim czasie, przeszedłszy w tatarską anarchię gwałtu. Metropolita Aleksy (†1378) obmyśla wprawdzie dla Moskwy prawo publiczne, przenosząc na grunt moskiewski ży-

weem pogańskie litewskie dynastyczne prawo — lecz wpływy litewskie ustały, skoro tylko Litwa przyjęła katolicyzm — i państwowość moskiewska zaczęła nabierać caraz bardziej cech turańskich. U Tatarów była w szkole coraz gorszej: Pod wpływem prądów, reprezentowanych przez Tamerlana († 1405) dokonał się wśród Tatarów przewrót, który doprowadził do despocyi oryentalnej, opartej na fanatyźmie religii rządowej i na terrorze.

Cztery są cechy zasadnicze cywilizacyi turańskiej: lokalizm religijny (w przeciwieństwie do uniwersalności) — militaryzm organizacyi społecznej — państwowość oparta na prawie prywatnem — brak pojęcia narodowości.

Czyż w dziejach Cerkwi niema całych okresów, w których „czyste prawowierje“ (bizantyńskie uważane jest za nieczyste), uchodzi za przywilej społeczności uprzywilejowanej do posiadania prawdziwej wiary i że nie należy tego „prawowierja“ profanować propagandą wśród ludów niegodnych tego? Aż do XIX. wieku przetrwało to pojęcie i miało licznych zwolenników. Kiedy dostojnicy prawosławni rosyjscy twierdzili, że wobec „wojowniczego katolicyzmu“ prawosławie ich jest tak pokojowe, iż nawet zasadniczo nie urządza propagandy — było w tem dużo szczerego przekonania, opartego na turańskim lokaliźmie religijnym, na turańskich pojęciach o religii. Ale obok tych były też pojęcia inne, a władza świecka urządzała propagandę energiczną.

W turańskiej organizacyi społecznej całe społeczeństwo jest obozem, a walka uważana jest za najgodniejszy sposób zarobkowania. Wojna żywi Turańczyka — i ludy turańskie są ubogie lub bogate stosownie do osiągniętego wydoskonalenia organizacyi militarnej, która pozwala żyć cudzym kosztem. Dlatego ludy te bywają z reguły ubogie i bez znaczenia — boć tylko czasem niektóry z nich może podnieść się do takiej potęgi, iżby mógł łupić wszystkie inne. Zdobywczość przy ciemnocie może być tylko sporadyczną, bo zdobywcy tak do cna złupią podbitych, że następne pokolenie nie ma już czego łupić, i wszystko zanika znowu w prymitywny byt, a raczej niebyt powszechnej nędzy. Tem tłumaczą się owe krótkotrwałe państwa „uniwersalne“ Azyi centralnej, zapadające po dwóch pokoleniach, a czasem nawet po jednem,

w nicość. Są to skutki tego, że u Turańców panuje wyłączność organizacyi społecznej na tle militarnem. Innej nie znają — i albo są zorganizowani w świetne masy zdobywców, albo znajdują się w rozprężeniu i niemocy, trwającej całe wieki.

Moskwa urosła tem właśnie, iż się stała organizacyą militarną wschodniej Słowiańszczyzny — a od r. 1480 posiada armię stałą. Wyprzedziła ona w wydoskonaleniu wojennem znacznie sąsiednią Litwę. Nigdy atoli społeczeństwo moskiewskie nie popadło w wyłączność militarnej organizacyi, stając pod tym względem na rozgraniczu cywilizacyi turańskiej a bizantyńskiej.

Nastały bowiem czasy wzmożonych wpływów bizantyńskich — a mianowicie wtedy, kiedy państwo bizantyńskie przestało już istnieć. Pierwsza mocna fala bizantynizmu uderzyła o Moskwę w r. 1480, a pochodziła z tego kraju, w którym dokonała się historycznie jakowaś „synteza", a właściwie karykaturalna mieszanina bizantyńsko-tatarska, a mianowicie z Wołoszczyzny. Przez małżeństwo Iwana młodszego (syna Iwana Srogiego), z Heleną Mołdawską (1482 r.) przeszło na dwór moskiewski nietylko naśladownictwo bizantyńskch form dworskich (co zresztą trwało nie długo), ale też bizantyńskie pojęcie „autokratorstwa". Na Wołoszczyźnie tytułował się już pod koniec XIV. wieku Roman mołdawski „samoderżawnym gospodinem" i „gospodarem". Wyrażenie to oznaczało stosunek zwierzchniczy osobisty nad osobami zawisłemi osobiście od „gospodara". Takie samo znaczenie posiadał wyraz nowogrodzki „godudar" — i właśnie taki tytuł przybiera pod wpływem wołoskim Iwan Srogi. Oparcie władzy monarszej na poddaniu jak największej ilości osób w osobistą od władcy kraju zawisłość ułatwione było nadto w Suzdalszczyźnie instytucyą t. zw. „zakupów", osób podejmujących się pracy na cudzy rachunek za zapłatą braną z góry — a że księstwa były przez długi czas właściwie tylko przedsiębiorstwami ekonomicznemi książąt, mnóstwo osób stawało się „zakupami" książęcymi (być może że instytucya ta, która wywarła ogromny wpływ społeczny, jest genezy fińskiej).

Nie wszystko, co wołoskie, było pośrednio bizantyńskiem. Wołosza stanowi osobny rozdział w dziejach kultury moskiewskiej.

Stamtąd pochodzi zapatrywanie, że prawa pierwotnych właścicieli do pewnej posiadłości nie ulegają nigdy przedawnieniu, dopóki starczy jakichkolwiek ich krewniaków w następnych pokoleniach. Takie właśnie pojęcie prawa własności istnieje do dzisiejszego dnia w Mołdawii. Prawo ruskie nie zna zgoła prawa „pierwokupu"; przyniosła je Helena Mołdawka, a Iwan Srogi zastosował je zaraz do Rusi litewskiej, jako do swej „ojcowizny". Ruś owa stanowiła niewątpliwie od dawien ojcowiznę Gedyminowiców — ale Iwan stanął tu na stanowisku nieprzedawnienia praw spadkobierczych po właścicielach pierwotnych, i wystąpił po mołdawsku z prawem do odkupu, który w tym wypadku miał się odbyć orężem. Widzimy, że chodziło tu o pojęcie prywatno-prawne, o tytuł prywatnej własności osób stanu książęcego.

Wzmagały się atoli i niewątpliwie bizantyńskie wpływy, tego sui generis bizantynizmu pogrobowego. Famar stawał się coraz wyraźniej sułtańską agencyą polityczną i łączył się w jeden obóz z kalifatem w dążności do zniszczenia katolickiej Polski; stawał przeto Fanar przeciw unii polsko-litewskiej, pragnął oderwania Rusi od Litwy i Polski i podsycał zaborcze zamysły Moskwy przeciw Litwie i Polsce. Bizantyńskie wpływy stają się tedy z czasem tylko pewną odmianą wpływu tureckiego i przyczyniają w ostatecznym wyniku Moskwie jeszcze bardziej turańskości.

W połowie XV. wieku zrodziło się marzenie, żeby W. Ks. moskiewski mógł stać sę carem, tj. następcą — nie bizantyńskiego cesarza bynajmniej! — lecz cara-hana sarajskiego. I dotarł do tego celu Iwan Srogi. Ale za jego syna, Wasyla Iwanowicza, wyłania się nowe, a tym razem na bizantynizmie oparte pojęcie o przeznaczeniu Moskwy. Twórcą teoryi kultury moskiewskiej jest mnich twerski, Filoteusz. „Nie zginęło święte Bizancyum, lecz jest przeniesione do Moskwy" — powiada — jako „do trzeciego Rzymu, a czwartego nie będzie". Na tej podstawie pozdrawia Filoteusz Wasyla, jako „głowę chrześcijaństwa i pana przyszłości świata". Powstało tak przeświadczenie o wyższości własnej ponad resztą świata, na tle religii państwowej — i to stało się zaczynem nowej, a swoistej moskiewskiej kultury. Do cech jej należało, żeby obywać się bez nauki — a to nie jest już bizantyńskiem, lecz znowu

turańskiem, typowo turańskiem. Igumen Josif Sanin, drugi obok Filoteusza twórca kanonu kultury moskiewskiej, utwierdził zasadę, głoszoną następnie całym pokoleniom, że „myślenie jest źródłem zła; myślenie, to powtórny upadek człowieka". A szły z tego różne konsekwencye społeczne i państwowe.

Tymczasem już za Iwana Srogiego, wytworzył się terror carski (przydomek „Srogiego" był zaszczytnym), a dwór Wasyla Iwanowicza urządzony był zupełnie po tatarsku. Zwiększyły się zaś zupełnie wpływy tatarskie za Iwana Okrutnego (ten przydomek nie był już zaszczytnym), po zdobyciu Kazania (1552) i Astrahania. Teraz bowiem dopiero, (a nie za czasów jarzma tatarskiego) następowało na wielką skalę tataryzowanie moskiewszczyzny. Dawniej górowała Ruś nad tatarstwem kulturalnie — lecz w XVI. wieku kultura kazańsko-astrahańska stała bez porównania wyżej od moskiewskiej, toteż wywarła stanowczy wpływ nietylko na państwowość, lecz na samoż społeczeństwo.

Od Tatarów kazańskich przejęto hierarchiczne stopniowanie rodów, mechanizujące społeczeństwo w straszliwy sposób (niema równych!). Stamtąd moda tatarska u warstw wyższych zamykania kobiet, stamtąd niechęć do tańca, jako do czegoś uwłaczającego powadze — podczas gdy lud nigdy nie znał żadnych niewieścich „teremów", a tańczył zapamiętale. W kazańskiej tatarszczyźnie część ludności od dawna była przypisana do gleby, bo inaczej tam nie byłoby rolnictwa. Handel łatwy a niesłychanie intratny odrywał ludzi od roli, i skutkiem nieznanej nigdzie indziej w świecie całym łatwości gromadzenia bogactw z handlu... krajom tym groził głód dla braku rolników. Ten objaw wystąpił też zaraz w carstwie moskiewskiem, skoro tylko opanowano owe kapiące od bogactw krainy dalszego Powołża. Ludność zaczęła się formalnie rozbiegać — z takim skutkiem, że wnet zaczęły się głody i groził upadek militaryzmu carskiego. To też skończyło się to na przywiązaniu wieśniaka do gleby zaraz z początkiem XVII. wieku (1607.). Przymusowa uprawa roli stała się koniecznością, bo inaczej upadłoby całkiem rolnictwo. Powstało koło błędne: rolnictwo i tak musiało upadać, skoro nikt się niem nie zajmował z zamiłowania, z własnej ochoty. Sporo jeszcze pomniejszych wpływów tatar-

skich możnaby zaznaczyć — dość powiedzieć, że każdy jako tako zamożniejszy Tatar stawał się bojarem, a kto mógł wykazać się w rodzie murzą, zostawał kniaziem! Wszak car Fedor Godunow był tatarskiego pochodzenia. Łatwo więc wytłumaczyć, że tak łatwo przyjęła się kazańska zasada, że dostęp do życia publicznego daje tylko urząd, hańska (carska) „służba". Zróżniczkowały się tedy warstwy wyższe według pomiaru biurokratyczno-hierarchicznego, według tatarskich „tszinów", których geneza w tamerlanowskiej jeszcze tradycyi. Moskiewskie stopnie szły jeszcze według „rodosłowa", podług szlachetności urodzenia — i stanęły naprzeciw siebie ostro dwa systemy hierarchiczne, zwalczając się, aż i na tem polu miała zwyciężyć tatarszczyzna. Najgorszem jednak było to, że od owych czasów zdecydował się azyatycki, ekstenzywny charakter rosyjskiego trybu życia, na tle ogromnie łatwej, tak fatalnie łatwej walki o byt w tamtych stronach świata.

Kiedy tak Moskwa zamienia się w zawrotnym pędzie nietylko na państwo azyatyckie, ale też na azyatyckie społeczeństwo — wtedy powstaje pomysł rozszerzenia unii polsko-litewskiej na Moskwę. Na pozór pomysł bardzo realny, a zajmował umysły bardzo długo, bo w latach 1571—1634 niemal ciągle, a potem pojawił się jeszcze dwa razy: za Jana Kazimierza (na naradzie w Opolu) i w pierwszym okresie reform Czartoryskich. Dziś wiemy, że nieporozumienie było co najmniej równe ogromowi marzeń, związanych z projektem. Na całym ogromnym obszarze państwa moskiewskiego nie było ni jednego człowieka, któryby rozumiał, co to dobrowolne łączenie się narodu z narodem. Rozumiano, że to Polska i Litwa pragną poddać się carowi i wysnuwano z tego konsekwentne wnioski. (Podobnież jak z watykańskich zabiegów unijackich wysnuwano zawsze niezmiennie wniosek, że to papież nawraca się na prawosławie).

Jakżeż miano rozumieć łączenie się narodu z narodem, skoro... nie posiadano całkiem pojęcia narodowości! Wschodnia Słowiańszczyzna trąciła pod tym względem długo turańszczyzną. Dopiero na przełomie wieków XVI. a XVII. zaniosło się pod polskim wpływem na to, że na południu dawnej Rusi litewskiej, w tych

prowincyach, które z mocy unii lubelskiej przeszły od Litwy do Korony, wytworzy się narodowość ruska. Wtenczas po raz pierwszy dopiero zaświtało we wschodniej Słowiańszczyźnie pojęcie narodowości (bo wyrobił się pewien niezbędny do tego poziom intelligencyi i działał przykład kultury polskiej i wpływy polskiego prawa publicznego). W r. 1658. otrzymywała ta powstająca narodowość nowa, ruska, także własną państwowość (umowa hadziacka 1658) — ale krótka era tej narodowości i epizod państwa ruskiego skończyły się tłumnem zacieraniem śladów ruskiego pochodzenia ze wstydu nąd bezeceństwami popełnianemi w wojnach kozackich. Kto tylko miał trochę inteligencyi i ogłady, zarzekał się, że nie jest Rusinem. Zaczęto też wówczas porzucać tłumnie prawosławie, przechodząc nie na unię, lecz na „łaciństwo", i polonizowano się z całą usilnością. Taki był ostateczny skutek wojen kozackich dla narodowości ruskiej.

Sama kozaczyzna jest pojęciem i instytucyą społeczną również tatarską. Wyraz „kazak" jest czysto tatarski. Wojskowy sposób zarobkowania posiada zawsze nieprzeparty urok dla Wschodu — a kozaczyzny i w o j e m k o z a c k i c h było w Rosyi jeszcze w i ę c e j, niż w Polsce (czy i w państwie carów występowali też w obronie wiary przeciw unii brzeskiej!?) Kozaczyzna stała się grobem Rusi — a uważanie jej za coś narodowo-ruskiego jest fantastyczną fikcyą.

Po wojnach kozackich i skutkiem nich prawosławie stało się na Rusi „wiarą chłopską", chociaż tuż przedtem mamy okres świetnego odrodzenia Cerkwi: akademię kijowską! Wpływy kijowskie były dla Moskwy dobroczynne i byłyby dokonały zeuropeizowania Rosyi — gdyby się utrzymała była kultura kijowska. Ruś południowa, prawosławna, podległa wpływom polskim i ćwicząca się już w „uczoności łacińskiej" przejmowała się coraz bardziej pierwiastkami kultury europejskiej. Za jej pośrednictwem dochodziły już do Moskwy nawet pewne rodzaje piśmiennictwa, przejmowane z literatury polskiej.

Jak bizantynizm przyjmował się w Moskwie dopiero wtedy, gdy go poznano w przeróbce wołoskiej, podobnież europejskość mogła przyjąć się na moskiewskim gruncie tylko w odpowiedniej

przeróbce prawosławnej, a tej dostarczyć mogła tylko szkoła kijowska, wogóle Ruś południowa. Bezpośrednie wpływy polskie były wykluczone z powodów religijnych, a zresztą przepaść kulturalna była nazbyt wielka.

Ale dzięki wojnom kozackim sam Kijów nie miał niebawem niczego do udzielenia i sam popadł w moskiewską ciemnotę. Wszystko zmarniało. Wnet nastąpiła radykalna zmiana kierunku pochodu kultury: Przez pierwszą połowę XVII. wieku spływa kultura zachodnia przez Polskę na Litwę i Ruś — a w połowie drugiej nastaje zmiana, dokonana już całkowicie około r. 1700. Kijów przechodzi pod wpływ moskiewski, a Polska podlega wpływom politycznym i społecznym Litwy i Rusi (z demokratycznej przemienia się na oligarchiczną), przejmuje sama pewne pierwiastki wschodnie, słowem: Polska oryentalizuje się, czego zewnętrznym wyrazem nawet przywdzianie stroju wschodniego. Jakżeż miała taka Polska szerzyć zachodnią kulturę, skoro sama ją porzucała?

Zostało jednak z poprzednich wpływów pośrednio polskich, a bezpośrednio kijowskich coś, co mogło stać się ziarnem gorczycznem dla europeizacyi Rosyi: Łacina. Raz do Moskwy wprowadzona, nie dała się już wyrugować i chociaż zniknęła z Kijowa, znalazła schronienie w Moskwie w „akademii słowiańsko-grecko-łacińskiej". W r. 1682 wprowadzono łacinę, jako naukę obowiązkową dla kandydatów na dostojeństwa cerkiewne i świeckie — i oto jest to prawdziwe „wybicie okna do Europy".

Przesadne znaczenie przypisuje się reformom Piotra W. (1689—1725). Jemu chodziło tylko o technikę kultury europejskiej do celów militarnych. Wprowadził germanizacyę Rosyi oficyalnej, a oparł się na bizantyniźmie niemieckim z jego biurokracyą, absolutyzmem i „Landeskirche". Odtąd mamy tedy trzy kultury w Rosyi równocześnie: turańską, bizantyńsko-niemiecką i drobny zaczyn łacińskiej — a obok tego pierwiastki rodzime. Z tych najważniejszym stał się włościański „mir", chłopski kolektywizm agrarny, który powstał w ciągu XVII. wieku, a Piotr W. uczynił go przymusowym. Wynikiem takiej mieszaniny kierunków i prądów było to, iż wyrobiło się w zmieniającej się na Rosyę Mo-

skwie państwo poza społeczeństwem (1725—1762), jako fatalne następstwo „reform“ Piotrowych.

Ani nawet reforma administracyi nie zdała się na nic. Różnica administracyi rosyjskiej a europejskiej (niemieckiej) polegała na tem, że w Europie eliminowano wojskowych coraz bardziej z zarządu kraju i z polityki. Rosya przejęła formy niemieckie, a swoją drogą żywioł wojskowy docierał coraz mocniej do najwyższych sfer administracyi. Biurokracya rosyjska stała się za Piotra W. bez porównania bardziej turańską, niż była przed jego „reformą“. Nastał też w Rosyi po Piotrze stosunek państwa do społeczeństwa jak najbardziej azyatycki.

Ale robiła dalej swoje... łacina. W r. 1755. powstaje uniwersytet moskiewski. Istotą uniwersytetów krytyka, a zatem skeptycyzm — i chociaż w walce tego europejskiego czynnika z turańszczyzną doszło do tego, że za Mikołaja I. miano zakazać wykładów filozofii, jako „burzących niepotrzebnie umysły“ — ale koniec końców już się to ziarno nie dało z ziemi wydrzeć.

Dzięki szkole łacińskiej powstał wreszcie język literacki rosyjski, bez najmniejszego związku genetycznego z tem wszystkiem, co od Nestora spisano we wschodniej Słowiańszczyźnie. Tak wyrobiło się drugie z kolei w tej grupie Słowiańszczyzny poczucie narodowe, rosyjskie, które miało niebawem określić się w całej pełni w osobie Karamzina (1765—1826). A narodowość ta nie powstawała w żadnem przeciwieństwie do poprzedniej narodowości ruskiej, z tego mianowicie prostego powodu, że twórcy nowej formacyi narodowej nie wiedzieli nic zgoła o istnieniu dawniejszej. Nie zostało po tamtej ani wspomnienie, ani nie dochowała się żadna tradycya. To i tamto — powstało jednako samoistnie, odrębnie zaś, bez związku z sobą tak dalece, że nawet nie było sposobności na jakiekolwiek przeciwieństwo. Tamto przepadło bowiem, nie doszedłszy nawet do wiadomości twórców nowego języka literackiego.

Na szerokiem wcale podłożu kultury turańskiej... poczucie narodowe! Zaczyna się w Rosyi rozterka dwóch cywilizacyi: turańskiej i klasyczno-chrześcijańskiej, rozterka nie ukończona dotychczas.

Państwo zasadzało się nadal na militarnej despocyi oryentalnej, a takie państwo może istnieć tylko przy podbojach, a gdy przestanie czynić zabory — musi runąć. Imperyalizm Katarzyny II. ocalił tę państwowość, ożywioną na nowo zaborami. Najważniejszym był zabór polski — ale też odtąd nie dopilnowano w Rosyi ani jednej sprawy żywotnej dla państwa, bo wszystko podporządkowywało się zawsze względowi, jak utrzymać panowanie nad ziemiami polskiemi i zgodę ze wspólnikami-zaborcami. Historya Rosyi staje się odtąd historyą zaniedbań politycznych.

Zaniedbania te musiały mieć skutki tem fatalniejsze, że przez rozbiory Polski zawisł nad Rosyą przymus ulegania wpływom europejskim. Rozbiory te wciągnęły Rosyę w wojny koalicyjne i napoleońskie. Państwo wyszło z nich wzmocnione jeszcze bardziej, tak, iż lata 1815—1855 są okresem rosyjskiej hegemonii w Europie. Od r. 1855 (wojna krymska), zaczyna się upadek państwa: już wtenczas pojawiło się porównanie o kolosie na glinianych nóżkach.

Osłabiła się Rosya potem nagle, gdy nie udało się po pokoju san-stefańskim porobić nowych zaborów: od r. 1878. upadek był już widocznym dla każdego. Państwo oparte na despocyi militarnej musiało uledz ruinie, jeżeli nie uda się ożywić go nowemi zaborami. W ostateczności zdecydowano się w r. 1914 na wielką wojnę, celem rozbicia Austryi. Była to stawka szalona, i bez przesady można powiedzieć, że postawiono wszystko na jedną kartę. Ale w tej grze była jedyna nadzieja utrzymania caryzmu; gra zawiodła i caryzm runął — runęła turańska państwowość Rosyi.

Ci, którzy carat obalili, pragnęli europejskiej formy państwowej i zeuropeizowania zupełnego społeczeństwa. Ale tu wysuwają się szkopuły poważne: Przez dwieście przeszło lat sączyły się wpływy europejskie do Rosyi, czerpane nie przez Polskę i Ruś, a równocześnie głosiło się nienawiść do Europy pod panowaniem rosyjskiem pozostającej, tj. do Polski — i dla zachowania tej nienawiści, dla gwałtów nad Polską upozorowania snuło się rozmaite teorye, np. specyficzne owo słowianofilstwo rosyjskie, z którego wyszła w końcu teza o „zgniłym Zachodzie“ i uwielbienie dla wszystkiego, co w Rosyi było nieeuropejskiego. Myśl rosyjska popadła

w błędne koło bez wyjścia. A tymczasem kultura polska wzmagała się pomimo prześladowań i nie była także bez wpływu. Bezpośrednie wcielenie Kongresówki do Rosyi mieściło w sobie poważne niebezpieczeństwo dla Rosyi, bo może być w jednem państwie kilka narodów (doskonale! tylko wymaga to oczywiście większej inteligencyi rządzących), ale nie może być na stałe dwóch kultur. Nawa państwowa nie może być równocześnie kierowana w dwóch kierunkach i w końcu wywróci się. Skoro zaś Rosya nie mogła kultury polskiej zniszczyć, musiałaby była samą ją sobie przyswoić, żeby móc nad Polską trwale panować. Państwo miotane przeciwieństwem kultur rozluźnia się, i popada w końcu w błędne koło odruchów bezcelowych, a wyniszczających. Czyż cały nihilizm rosyjski nie jest takim odruchem?

I został na placu... nihilizm. Czyż na tem ma się skończyć „europeizacya“ Rosyi? Powstało ostatecznie coś, czego nigdzie w Europie niema (chyba teologiczny nihilizm protestantyzmu niemieckiego). Powstało coś swoistego rosyjskiego, jak kolektywizm chłopski, przymus „służby“ dla szlachty, itp. Nie można zaprzeczyć, że od Iwana Srogiego wyrabiała się i rozwijała wciąż odrębna kultura moskiewska.

Jestto trzecia „synteza“ Zachodu i Wschodu: hellenistyczność, bizantynizm i moskwicizm. Są kultury nierównomierne, które się łączyć nie dadzą, bo wydają zawsze: potwora.

Rosya nie może już dłużej ostać się o kulturze moskiewskiej — nie mogą też stać obok siebie dalej różne kultury, a zatem cała kwestya przyszłości zamyka się w pytaniu, jakiej kultury Rosya pozbędzie się ostatecznie, a do jakiej ostatecznie przylgnie. Jeżeli zwyciężyć będzie dano kulturze chrześcijańsko klasycznej, może to nastąpić w takim tylko razie, jeżeli narodowe poczucie ruskie — wskrzeszone znowu przez Polaków w Galicyi — wzmoże się terytoryalnie na tyle, iżby mogło stanowić na nowo dla Rosyi ożywcze źródło. Stajemy wobec dylematu szczególnego, że do europejskości Rosyi potrzebną jest przedewszystkiem europejskość Ukrainy. Trzebaby wrócić na drogę przerwaną w XVII. w. Jeżeli okazałoby się to możliwem, pociągałoby za sobą zupełną zmianę pojęć o państwie i o religii, a całkowite zarzucenie religii rządowej.

Na końcu tej linii rozwoju widniałby katolicyzm w obrządku łacińskim (nie unia).

Albo też musi zwyciężyć kultura turańska, a w takim razie należy przewidywać społeczność opartą na ustroju militarnym, powszechną rosyjską kozaczyznę — coś w rodzaju Kirgizów na wielką skalę.

Czem dłużej potrwa jeszcze walka kultur w Rosyi, tem dla niej gorzej. Jeżeli ta walka zbytnio się przewlecze, utraci się, co się dobrego wzięło z Europy, (choćby nawet poczucie narodowe) i nastąpi niezdatność do życia historycznego, spowodowana wyczerpaniem sił i nerwów tego społeczeństwa.

Sanabiles fecit Deus nationes. Może za lat 30—50 naród rosyjski odnajdzie swą właściwą drogę dziejową, tę, na której zaczerpnął niegdyś... początków łaciny. Czy obecnie mógłby się oprzeć bezpośrednio o kulturę polską, przesądzać trudno. N u l l u s s a l t u s — zasada ta obowiązuje także przy ewolucyi kulturalnej. Zależałoby tu wiele od dalszego rozwoju sprawy białoruskiej, bo Białoruś mogłaby odegrać wobec Rosyi również rolę pośrednika względem Polski. Najdonioślejszy interes Rosyi tkwiłby tedy w tem, żeby na Białorusi szerzyła się jak najbardziej kultura polska.

Nazywa się Rosyę od dawna „sfinksem“ i doprawdy słusznie. Sfinks wiekami całemi zadaje ludziom łamigłówki, wiecznie zamyślony i deliberujący, ale myślą jałową, bezpłodną. Nie dziwmy się! Przecież to pół lwa a pół kobiety — ni to ni owo, po mazursku: ni rak, ni ryba. Tak Rosya była za długo ni tem ni owem i wyszła na sfinksa, którego zasypiają piaski pustynne. Czasem, gdy się sfinks budzi na wschód słońca, wydaje żałosny ton. I Rosya wydała też najżałośniejszy ton Historyi. Niema dziejów smutniejszych.

Oby tedy zdjęta była z Rosyi klątwa dwoistości kultury — i oby inne narody wysnuły wnioski z jej losów. Kultura bowiem całej Europy stała się w ciągu ostatnich pokoleń dziwnie rozczepną, niekonsekwentną, istną półkulturą jakąś. Ani to chrześcijanie, ni poganie — cel państwa zupełnie niejasny, a urządzenia publicznego życia przerozmaite, pozbierane jakby z błędów wszystkich

kultur. Toteż nie tylko Rosya wywróciła się. Wywróci się cała Europa, i cała kultura europejska skazaną jest na zagładę, jeżeli Europa nie pozbędzie się tego wszystkiego, co nie należy do kultury chrześcijańsko-klasycznej. Lawirować pomiędzy zbieraniną pojęć różnorodnych Europa dłużej nie może. Aut — aut. Prawdziwa kultura musi być z jednego kawała, a nie zlepkiem i to zlepkiem... kłamstw. Ale kończę, bo „strach o tej skórze pisać“ Miejmyż otuchę, że to nie koniec Europy, lecz jej odrodzenie. Co będzie, Polakowi poznać łatwo: losy bowiem Polski będą wykładnikiem losów Europy. Kto nas będzie chciał teraz oszukiwać, sam pod sobą wykopie dołki, a niema stanowczo nowej Europy bez nowej tj. niepodległej naprawdę Polski.

Dr. Feliks Koneczny.

De consolatione historiae.

(Antoni Chołoniewski: Duch dziejów Polski, Kraków 1917).

W ciężkich przejściach o charakterze historycznym, jak te właśnie, które obecnie przeżywamy, lepszą od filozofii pocieszycielką jest sama historya. Ona przecież świadczy, że to, co współczesnym zdaje się bez końca, w toku dziejów jest „jedną chwilką"; że trudy i cierpienia, pozornie nie do zniesienia, w podobnej formie już nieraz przetrwały poprzednie pokolenia; że wreszcie, co najważniejsze, takie przełomy dziejowe, chociażby na razie wydawały się beznadziejne, mogą być właśnie progiem do lepszego jutra. W ten sposób nauka o przeszłości kieruje nasz wzrok ku przyszłości, ale przypomina zarazem, że tej przyszłości nie zbuduje się z samych doświadczeń jednej katastrofy, lecz tylko w związku ze spuścizną minionych pokoleń, której nas nic pozbawić nie może. Rozstrzygającem pytaniem pozostaje jednak, czy treść tej spuścizny ma dla nas wartość niezmienną, i czy z niej można stworzyć naprawdę lepszy świat, niż ten, co w oczach naszych rozpada się w gruzy.

Jeśli chodzi o całą ludzkość, pytanie to jest nieuchwytne. Historya nawet w przymierzu z filozofią, nawet wznosząc się na wyżyny historyozofii, nie rozwiązała i bodaj nie rozwiąże tego zagadnienia, które w istocie swojej jest problemem postępu ludzkości. Ale może inna droga przynajmniej zbliży nas do celu. Życie ludzkości dokonuje się przecież w formach mniejszych zrzeszeń, państw i narodów. I otóż może lepiej zacząć od skromniejszego

pytania, o ile w rozwoju takiego właśnie mniejszego organizmu współżycia przeszłość zostawiła takie wartości, że na nich można z wiarą i nadzieją wznosić gmach przyszłości. Pytanie to nietylko łatwiejsze, ale i bliższe, bo przecież właśnie w chwili obecnego napięcia nikt, a cóż dopiero my Polacy, nie wybierze na przedmiot takich dociekań czego innego, jak tylko własną Ojczyznę.

Gdy chodzi o Polskę, rzecz przedstawia się jeszcze o tyle prościej, że jej spuścizna dziejowa nie zlewa się, jak gdzieindziej, w sposób nieraz utrudniający ścisłe odgraniczenie, ze świeżym dorobkiem narodowym. Wszak za spuściznę historyczną Polski można uważać tylko to, co wydała w epoce, gdy sama jeszcze kształtowała swój los, w pełni za to odpowiedzialna, gdy wprawdzie, jak każde inne państwo, podlegała także postronnym wpływom, ale rezultat wysnuwała sama, w normalnych warunkach niepodległego bytu, w jakich — da Bóg — i przyszłość nasza rozwijać się będzie.

I otóż niestety właśnie poglądy na wartość tradycyi historycznych tej przedrozbiorowej Polski, wartość zarówno bezwzględną, jak i względną: o ile dziś jeszcze może służyć jako podstawa pracy narodowej, pozostały dotąd najzupełniej sprzeczne. Jedna tylko była chwila, gdy to pytanie wydawało się rozwiązanem ostatecznie. Było to wtedy, gdy z bezmiaru bólu i tęsknoty wyrósł bezmiar miłości i uwielbienia, odpowiadając na nie apoteozą dawnej Polski, w której nie wolno „szukać winy", lecz która przeciwnie, „przebóstwiona, nieśmiertelna, nieskończona", nas prowadzi „ku tej Polsce, która będzie", a ludzkość całą „ku Królestwu Bożemu".

Ale zanim nadszedł świt, który dziś się ukazuje, królewska wizya, która zajaśniała dziadom naszym w mgłach „przedświtu", znikła i już ojcowie nasi stracili wiarę w nią. Na pytanie, które stawiał naród cały, odpowiedziała poezya, zanim nauka doszła do odpowiedniego poziomu, by mogła w tej sprawie głos zabrać. Przyszedł potem rozwój nauki polskiej wogóle, a nauki historycznej w szczególności, i zaledwo choć w zarysie odtworzyła przeszłość Polski, pokazała ją całkiem inną, nieomal taką, jaką się wydała

jednemu z poetów, gdy w chwili szczególnego przygnębienia i żalu nazwał ją „pawiem narodów i papugą".

Wówczas, gdy historyografia sąd o dawnej Polsce tak surowej poddała rewizyi, trzeba było na to dużo odwagi cywilnej, bo zaledwo przebrzmiały upajające hasła mesyanizmu. Ale przyszedł czas, gdy trzeba było nie mniejszej cywilnej odwagi, aby wystąpić w obronie naszej spuścizny dziejowej. Nie dlatego, bo owe twierdzenia naukowe zdawały się niewzruszonymi pewnikami. Sama nauka zawsze się odznacza tolerancyą. Ale niestety przy coraz surowszem potępianiu naszej przeszłości, kierowano się nietylko naukowemi wskazówkami. Tradycyom staropolskim, więcej aniżeli rzeczowa krytyka uczonych, zaszkodziło to, że wszelkie liczenie się z tradycyą wogóle zaczęto uważać za objaw wstecznictwa, polskie zaś wydawały się szczególnie sprzeczne z hasłami i poglądami bieżącej chwili. Wszystkoby darowano historycznej Polsce, tylko nie to, że była tak wybitnie szlachecką, podczas gdy współcześnie demokratyzm stawał się dogmatem niewzruszonym, że była tak wyraźnie katolicką, podczas gdy obecnie „pozytywizm" rzekomo „wolnej" myśli stawał się obowiązującym artykułem wiary.

Naodwrót, do wskrzeszenia optymistycznej oceny naszej przeszłości, która dzisiaj zaczyna sobie powoli zdobywać przewagę, przyczynia się nietylko to, że nauka historyczna, wzniósłszy się jeszcze o jeden szczebel wyżej, sama doszła do konieczności rewizyi niejednego surowego, a przedwczesnego sądu, ale nadto też fakt inny, silniej i prędzej działający na opinię ogółu. Oto w kryzysie dzisiejszym zaczęły się odzywać hasła, świtać ideały, dziwnie pokrewne pewnym cechom charakterystycznym i upodobaniom staropolskiego świata, a również i wielkim myślom poetów, którzy pierwsi pokusili się o interpretacyę jego istoty. I znamiennem jest, że praca, która w zwrocie ku zupełnej rehabilitacyi dawnej Polski posunęła się najdalej, praca Antoniego Chołoniewskiego o „Duchu dziejów Polski", we wstępie najwyraźniej wskazuje na taką genezę rozwiniętych w niej poglądów. Ten związek jej tezy z duchem chwili obecnej jest tak ścisły, że autor nie zawahał się nawet wśród czynników, które wydobyły na

wierzch ideały, jakich broni, wysunąć na pierwsze miejsce rewolucyi rosyjskiej, chociaż w dalszym swym przebiegu — co prawda już po wydaniu jego książki — okazała się w istocie spaczeniem owych sztucznych idei, a już napewno czemś biegunowo przeciwnem duchowi naszej Ojczyzny.

Praca p. Chołoniewskiego wywołała ogólne zainteresowanie. Nietylko dlatego, bo wogóle zagadnienia historyczne więcej niż kiedykolwiek zaczęły zaprzątać umysły, i nietylko dla tego, bo jest napisana żywo i z polotem, bez nużącego balastu szczegółów. Przedewszystkiem z tego powodu, bo właśnie w chwili, gdy Polska współczesna wśród spustoszeń, krwi i nędzy, w przeszłości szuka pociechy, a zarazem otuchy na przyszłość, pytanie, co nam ta przeszłość przekazała, nasunęło się z niezwykłą natarczywością. Prawda, że już niektóre prace naukowe postarały się przygotować odpowiedź; ale oświetliły dotąd niektóre tylko strony problemu, pytania nie śmiały rozstrzygnąć ostatecznie, nie były dość przystępne dla szerokiego ogółu. To też wysunęła się naprzód praca publicystyczna, która właśnie jako taka, nie skrępowana tą ostrożnością i wstrzemięźliwością sądu, jaka cechuje badanie naukowe, dała ową upragnioną odpowiedź jasno i niedwuznacznie. Ale przy równem u wszystkich zainteresowaniu znalazła bardzo różne przyjęcie i ocenę.

Chcąc sobie wyrobić o niej sąd spokojny i sprawiedliwy, przedewszystkiem nie żądajmy od autora, czego sam dać nie zamierzał: ścisłej rozprawy naukowej. Nie sztuka to dla jakiegokolwiek zawodowego historyka wytknąć publicyście usterki, których trudno mu było się ustrzedz, mimo widocznego oczytania w dawniejszej i obecnej literaturze historycznej. Nie trudno wskazać ustępy, gdzie pewne cechy charakterystyczne dawnej Polski tylko dlatego można było podnieść jako zgoła wyjątkowe w dziejach, bo nie zgromadzono całego materyału porównawczego z dziejów obcych, jak np. w sprawie stosunku społeczeństwa do króla, opartego na artykule o wypowiedzeniu posłuszeństwa; gdzie pewne kwestye z naszej własnej historyi w faktycznych szczegółach przedstawiono niedokładnie, jak np. rozwój prawnego stosunku Litwy do Polski; gdzie nie rozróżniono należycie ówczesnych pojęć i ter-

minów od podobnych dzisiejszych, jak np. łącząc nazwę „Rzeczypospolitej", dosłowne tłómaczenie łacińskiego „res publica", a więc państwa wogóle, z dzisiejszym republikanizmem.

Ale te nieścisłości rzadko tylko wpływają na wnioski ogólne, o które przedewszystkiem chodzi. Gorszem jest, że czytelnik dostrzega nieraz, jak autor pominął niejedno, nietylko w szczegółach, lecz w kwestyach bardzo zasadniczych, co z owemi wnioskami łączyłoby się bardzo znamiennie; pytając się słusznie, czy uwzględnienie tych momentów nie byłoby zmusiło do pewnych modyfikacyi wniosków, traci zaufanie do dalszych wywodów. Zasadnicze pominięcie wszystkiego, co w dziejach Polski było ujemnem, autor usprawiedliwia tem, że te objawy były tylko „spaczeniem" zdrowego i świetnego ducha tych dziejów; nie dowiódł jednak, czy w samej istocie tego ducha dziejowego nie było niczego, coby mogło spotkać się z naganą. Na zarzut, że zaledwo wspomniał o tak powszechnie potępianem „liberum veto"; p. Chołoniewski odpowiedziałby może spostrzeżeniem, zresztą nie pozbawionem słuszności, że było tylko nieszczęśliwą konsekwencyą zbyt dosłownie przestrzeganej zasady, w samej sobie pięknej i sprawiedliwej, że wszystko, co ma obowiązywać ogół, musi podlegać ogólnemu zezwoleniu; czy jednak przyczyną, że takie spaczenie stało się możliwem, nie była zasada inna, już bezwzględnie zgubna, zasada przeceniania własnego „ja" nietylko w stosunku do jednostki, dzierżącej władzę, ale i w stosunku do ogółu współobywateli?

Zaufanie w ostateczne wnioski autora właśnie u czytelników, którzy sami nie rozporządzają gruntowną znajomością dziejów, szczególnie może podkopać omijanie całych zagadnień, wyjątkowo trudnych i skomplikowanych. Dotyczy to w pierwszym rzędzie sprawy ruskiej, zaledwo dotkniętej. Właśnie rozpatrując nasz stosunek do Rusi, autor byłby znalazł niejedną sposobność, aby podnieść te piękne strony współżycia z Polską we wspólnej Rzeczypospolitej, które tak słusznie i stosunkowo obszernie uwydatnił, mówiąc o sprawie litewskiej, a nawet żydowskiej itp.; wszak niedawno trafnie zwrócono uwagę, że nawet rola możnowładztwa polskiego na Rusi, owych osławionych „królewiąt" kresowych,

nie może uledz bez zastrzeżeń potępieniu. Ale byłby też musiał przyznać niejeden błąd popełniony, co gorsza zaś, niekonsekwencyę, która tkwiąc może w głębiach charakteru narodowego nie mogła nie odbić się na duchu jego dziejów; byłby mógł obronić Polskę nie gorzej niż w innych wypadkach przed zarzutem ucisku narodowościowego, ale nie byłby mógł napisać bez żadnego ograniczenia i wahania, że nie było w naszych dziejach „ani krwawych buntów poddanych, ani straszliwych wojen chłopskich, po których następowały akty szalonej represyi".

Wreszcie czasem uniósł też autora jego temperament do twierdzeń lub przynajmniej wyrażeń niewątpliwie przesadnych, jak np. o „setkach małżeństw", które miały towarzyszyć już pierwszej unii z Litwą, lub gdy nie ustrzegł się przed powtórzeniami, które nigdy nie przyczyniają się do ugruntowania bronionej tezy w umyśle czytelnika. Przecenianie stron niewątpliwie dodatnich w dziejach naszych uderza zwłaszcza w ustępie o śmiałym tytule „Wyprzedzenie Europy"; apologetyzm zaś, posunięty aż do chwalenia rzeczy ujemnych, razi w rozdziale „Naród i król", gdzie wystąpienie Jakóba Niemojewskiego wobec Stefana Batorego jest prawie postawione jako wzór postępowania „wolnego człowieka", a zaprowadzenie dziedziczności tronu w Konstytucyi 3-go maja jest potraktowane jak gdyby jakie „malum naecessarium".

Te słabe strony książki podnieśliśmy otwarcie i z naciskiem, nie w tym celu, aby obniżyć jej wartość, lecz właśnie dlatego, bo przez nie autor zaszkodził nietylko własnej pracy, zresztą tak szlachetnie pomyślanej i tak pięknie skreślonej, ale i samej rzeczy, za którą walczy, a która jest nietylko szlachetna i piękna, ale i wielka i słuszna.

Byłby uniknął wielu nieporozumień, gdyby nietylko napomknął na wstępie, lecz w całej książce wyraźniej zaznaczał i przestrzegał, że broniąc całkiem słusznie „podstawowych zasad", idei przewodnich Polski, nie chce przeoczyć ani też bezkrytycznie usprawiedliwić „praktycznych błędów i grzechów" przy stosowaniu tych idei we faktycznem życiu. Czy możnaby przytoczyć choć jeden przykład, że dla zasady równości rzeczywiście wykonano ustawę, grożącą surową karą za przyjęcie tytułu od

obcego monarchy? To zresztą rzecz drobna, ale czy naprawdę zajazdy zdarzały się „rzadko", czy nie były bardzo charakterystycznym objawem niedomagań w faktycznem stosowaniu dobrych w teoryi przepisów prawnych? Czy unikanie wojen zawsze wypływało logicznie z wysokiego poziomu etycznego a nigdy z braku ofiarności dla dobra publicznego? Dodajemy oczywiście zaraz, że ten rozdźwięk między ideałem a życiem jest objawem ogólno-ludzkim, że nie godzi się potępiać za to właśnie naszej przeszłości ani wyrokować o niej na tej podstawie; ale trudno też wynosić ją bez zastrzeżeń ponad przeszłość wszystkich innych narodów Europy.

Ale podniósłszy te zastrzeżenia wyraźniej od autora, tem śmielej stwierdzamy, że wskazując zasadnicze idee naszych dziejów, dowodząc, że naprawdę tkwiły w ich duchu, że zasługują na uznanie i hołd potomnych, a zarazem przedstawiają dla nas wartość niespożytą, gdy mamy iść w nieznaną przyszłość, p. Chołoniewski ma najzupełniejszą racyę. W tej myśli przewodniej, a nie w doborze tych lub owych szczegółów historycznych, trzeba widzieć wartość i zasługę jego pracy.

Ze śmiałą i rzadką konsekwencyą stwierdza niektóre prawdy tak oczywiste, że gdyby nie dziwne uprzedzenia wobec pewnych zwłaszcza stron staropolskiego życia, dawnoby musiały stać się własnością ogółu narodu, przy podstawowej chociażby znajomości dziejów ojczystych. Może nauka, oświetlając je coraz lepiej w szczegółach, nie ujęła ich dość jasno we wnioski zasadnicze; tem lepiej, że wyręczył ją publicysta, który trafi do szerszych kół społeczeństwa, kształtując poglądy współczesne.

Wszystkim, którzy dawnej Polsce nie mogą przebaczyć jej przywilejów szlacheckich, którzy boją się wprost nawiązania nici tradycyi, łączących nas z przeszłością, aby tylko dawno pogrzebane niebezpieczeństwo szlachetczyzny nie powróciło nową falą i nie zaszkodziło przyszłej Polsce w opinii nowoczesnego świata, tym wszystkim należy polecić najgoręcej książkę o prawdziwym „Duchu dziejów Polski". Niech przeczytają tam osobny rozdział o „szlachcie polskiej", gdzie tak słusznie uwydatniono, jak ogromny stosunkowo tworzyła u nas odłam narodu, tak, że jej przywileje można uważać poniekąd za przygotowanie do pełni praw

i wolności całego społeczeństwa. Ale niech nie przeoczą również spostrzeżeń o roli dziejowej szlachty, rozrzuconych w innych rozdziałach, zwłaszcza dwóch najważniejszych, tak przekonujących w swej prostocie, że przecież lepiej, gdy przynajmniej część narodu cieszy się prawami i swobodami, aniżeli gdy panuje równość w bezprawiu i ucisku, i że ta szlachta, która rzekomo zgubiła Polskę, potrafiła nietylko zbudować tę Rzeczpospolitą, gdzie jej samej było tak wygodnie, ale także naprawić ją przez reformę, która swym twórcom przynosiła tylko ograniczenie przywilejów i wyszczególnionego stanowiska.

Wobec tego zaś, że urojone widmo klerykalizmu dziś jeszcze niepokoi najświatlejsze zresztą umysły, gdy widzą, jak w myśl dawnych tradycyi coraz liczniejsze zastępy pracują nad pogłębieniem i rozszerzeniem życia katolickiego, dobrze się zasłużył autor w rozdziale o „tolerancyi wyznaniowej". Chociaż sam zdaje się podzielać pogląd, jakoby trudno było oczekiwać jakichkolwiek względów dla innowierców np. u Jezuity, stwierdza z całą sprawiedliwością, że jednak tak było, że w dziejach Polski mamy niezbite dowody, jak gorące przywiązanie do Wiary i Kościoła doskonale można pogodzić z szanowaniem cudzych przekonań i wolności sumienia. I niechaj drobniejszy druk nikogo nie odstraszy od uważnego przeczytania dodatkowej notatki do tego rozdziału, gdzie autor słusznie piętnuje „paradoksalny" rzeczywiście, lecz rozpowszechniony pogląd, jakoby tolerancya religijna naszych przodków była tylko objawem słabości ducha.

Ale już przy tej sposobności pragniemy zaznaczyć, że pan Chołoniewski w swem uzasadnionem oburzeniu jednakowoż się myli, gdy bez wszelkich zastrzeżeń kieruje je przeciwko t. zw. szkole krakowskiej, której przedstawiciele w sprawie tolerancyi wyznaniowej — jak zresztą i we wielu innych sprawach — bynajmniej nie mieli całkiem identycznych zapatrywań. Poglądy, które autor zwalcza, zawdzięczamy tym wszystkim, bez różnicy „szkoły", którzy w krytykowaniu przeszłości za wszelką cenę i pod każdym względem widzą dowód prawdziwie „naukowego" poziomu historycznego badania, dowód wyższości nowożytnego człowieka nad zacofanymi przodkami. Tymczasem właśnie powaga nauki wy-

maga, aby najpierw z sumiennem wyczerpaniem materyału źródłowego, do czego nam jeszcze daleko, odtworzyć całokształt naszej przeszłości i pełnię jej życia, zanim na podstawie ułamków wygłasza się krytyczne sądy o całości, które potem, w miarę postępu nauki, trzeba cofać z niewątpliwym dla jej znaczenia uszczerbkiem. A że nasze pokolenie chyba najmniej jest powołane, aby wytykać błędy poprzednim, tego dowiodło w obecnej chwili, gdy jedna z głównych wad, które się zarzuca dawnej Rzeczypospolitej, mianowicie niezgoda i rozbicie partyjne, doszła do takiej wybujałości i zacietrzewienia, że daremniebyśmy szukali czegoś podobnego w jej dziejach.

Właśnie przeciwko niezdrowemu zamiłowaniu w krytyce przeszłości książka p. Chołoniewskiego jest zdrową reakcyą. Nie w tem znaczeniu oczywiście, żeby ogół narodu z niej miał się uczyć historyi. Ale dlatego, bo ukazując jak gdyby zdala, w konturach zlekka naszkicowanych, piękno przeszłości naszej, zachęci szerokie koła swych czytelników, aby częściej niż dotąd sięgały do dzieł historycznych po ścisłe szczegóły tego obrazu, historyków zawodowych zaś, aby właśnie dlatego, że przecież szkic publicystyczny nie mógł ich wyręczyć dostatecznie, nie ustawali w pracy, aż cały ten obraz stanie przed narodem w świetle prawdy źródłowej i sztuki dziejopisarskiej zarazem. Jednym i drugim zaś każe się ukorzyć przed ową dziwną „maiestas temporis acti", każe im odczuć, że jak w życiu prywatnem, tak i w życiu narodowem nie godzi się poniewierać pamięcią zmarłych, bez względu na to, czy stoimy przed świeżą mogiłą czy też przed spróchniałą od wieków trumną; wszak nawet im dalsi w czasie nam są ci, których chcemy sądzić, tem trudniej nam ich zrozumieć, a więc i ocenić sprawiedliwie.

A przecież im wszystkim zawdzięczamy, czem jesteśmy i czem być możemy. Dumni jesteśmy z naszej kultury, która nas podtrzymuje w dzisiejszej niedoli, na którą wskazujemy obcym, jako na dowód naszych praw do niepodległego bytu, jako na gwarancyę, że także przyszła Polska będzie w Europie czynnikiem prawdziwego postępu. Pamiętajmy jednak, że postępować naprzód możemy właśnie dzięki temu, iż nam poprzednie pokolenia przeka-

zały tak obfity dorobek; że ta kultura narodowa, o którą słusznie wołamy, może być tylko kulturą historyczną: naród polski bowiem, to nietylko my, lecz wszyscy, co przed nami na ziemi polskiej wznosili pierwsze piętra gmachu, bez których to, co my dobudujemy, zapadłoby się w próżnię.

A znowu, tym razem już na ogólniejszem tle, nasuwa się uwaga, że autor swoją obronę naszych tradycyi historycznych niepotrzebnie połączył z kampanią przeciwko t. zw. szkole krakowskiej. Wszak ona mimo krytyki tych tradycyi, czasem niewątpliwie zbyt daleko idącej, właśnie w praktycznych wnioskach, wysnuwanych z dziejów, nawoływała do szanowania ich spuścizny. Niestety jednak, jej krytycyzm w ocenie przeszłości łatwiej się przyjął w społeczeństwie, aniżeli postulat nieprzerywania tradycyjnego związku z nią. Mówi się dużo o ewolucyi, o prawie rozwoju we wszystkich naukach, a właśnie w historyi, z której ta idea pochodzi, chętnie się ją przeocza, bo tchnie rzekomo wstecznictwem. Wielu sądzi, że z całej przedrozbiorowej przeszłości Polski wystarczy wziąć tylko ostatnie ogniwo: okres reform stanisławowskich z konstytucyą majową, jako jedynie interesujące i przydatne dla narodu, a resztę potraktować jako średniowieczyznę, jako przyczepkę o znaczeniu li tylko antykwarycznem. Zapomina się jednak, że świetny rozkwit u schyłku dni Rzeczypospolitej był możliwy tylko dzięki temu, że po dalszej o wiele przeszłości, mimo przydługiego okresu zastoju, pozostał w spuściźnie zasób dorobku narodowego, który potrzebował właśnie tylko odrodzić się i rozkwitnąć. Ci, którzy skwapliwie już w najdalszych wiekach znajdują zarodki późniejszych niedomagań, powinni także objawy dodatnie śledzić wstecz, aż do pierwotnych źródeł. Nawet p. Chołoniewski zawahał się przed ostateczną pod tym względem konsekwencyą, skoro zgóry postanowił „zostawić na uboczu zamierzchłe dzieje średniowiecza“; można było załatwić się z niemi bardzo krótko, ale należało choć zaznaczyć, że właśnie tam tkwią początki niejednej zasady, jaśniejącej w duchu naszych dziejów nowożytnych, jak to autor mimochodem przyznać musiał w jednym poszczególnym wypadku, mówiąc o rozwoju czynnika społecznego.

Rzecz to tem ważniejsza, że w owem wzgardzonem średniowieczu, chociaż zapewne praw moralnych nie przestrzegano lepiej niż w innych epokach, w wyższym stopniu aniżeli później trzymano się kryteryów moralnych przy ocenie zjawisk dziejowych. Ale tutaj nasuwa się dalsze pytanie, ściśle związane z historyozofią p. Chołoniewskiego. Według niego najistotniejszą treścią ducha dziejów Polski były wartości etyczne. I za to właśnie sławi tego ducha i przepowiada mu doniosłą rolę w dziejach przyszłości. Otóż ten punkt widzenia spotyka się nieraz z wątpliwością, czy właśnie etyczne wartości mogą rozstrzygać przy sądzie historycznym i przy zastosowaniu nauk, z historyi płynących. W szkole krakowskiej zdania i pod tym względem nie były całkiem zgodne, ale przyznać trzeba, że decydujące znaczenie przypisywała raczej pierwiastkowi siły, zwłaszcza w znaczeniu siły państwowej, politycznej, która ją interesowała w pierwszym rzędzie. I otóż słusznie wskazuje p. Chołoniewski, jak przelotne są wszelkie tryumfy siły, chociażby nawet siły państwowej, jeśli się spojrzy na nie z perspektywy historycznej. Rozbiór Polski przez sto lat zgórą mógł się wydawać trwałym sukcesem swych inicyatorów, a tymczasem dziś okazuje się, że ich spadkobierców, a z nimi całą Europę, która ten gwałt uznała, zaprowadził na brzeg przepaści.

Budzi się coraz powszechniej wiara, że przecież nie bystre rachuby dyplomatyczno-militarne, przeceniane przez współczesnych, gdy narazie osiągają swój cel, rozstrzygają ostatecznie o losach świata. Nawet politycy zdają się dochodzić do tego wniosku, skoro np. hasło rozbrojenia, do niedawna mrzonka niepoprawnych marzycieli, dziś pada z ust kierujących mężów stanu. Ale bez względów na to, czy i kiedy prawo moralne wywalczy sobie niepodzielne miejsce w dziedzinie polityki, uczonemu — historykowi już dziś nietylko wolno, ale trzeba odróżniać się przez to od działacza chwili bieżącej, że dla niego istnieją wyłącznie te najwyższe, te jedyne absolutne kryterya, których dostarcza etyka.

I dlatego może podnieść bez wahania, z dumą i zadowoleniem, że w duchu dziejów Polski conajmniej przeważały takie pierwiastki zasadnicze, które odpowiadają ideom moralnego dobra. Ale

cóż z tego, mógłby ktoś powiedzieć, jeśli tych zasad nie zawsze trzymano się w praktyce? Otóż prawdą jest, że ich faktyczne stosowanie więcej pozostawiało do życzenia, aniżeliby to wynikało z pracy p. Chołoniewskiego. Ale po pierwsze w wielu dziedzinach, tam właśnie, gdzie Polska święciła swe największe sukcesy, praktyka naogół przecież odpowiadała teoryi. Po drugie zaś, o ile tak nie było, właśnie stwierdzenie, że każde takie odstępstwo od idei było sprzeniewierzeniem się duchowi dziejowemu Polski, będzie nietylko pouczającem, ale także zbawienną pobudką dla dzisiejszych i przyszłych pokoleń narodu.

Mylnym jest bowiem utarty pogląd, jakoby prąd apologetyczny w stosunku do przeszłości mógł wywrzeć na naród wpływ ujemny pod względem wychowawczym, jakoby musiał utrwalać przekonanie, że skoro i tak wszystko w Polsce było zawsze doskonałe, więc nam już nic nie pozostaje do zrobienia. Przeciwnie, o wiele bardziej logicznym wydaje się wniosek, że właśnie przekonanie o zasługach przodków, słuszności ich zasad i wielkości czynów, o wiele skuteczniej zachęci współczesnego Polaka do największych wysiłków pracy, aby dorość do ich wzoru, aniżeli mniemanie o własnej nad nimi wyższości.

Ale nie dość na tem! Właśnie ten kierunek apologetyczny nasuwa pytanie, dlaczego mimo tylu dodatnich stron Polska nie uchroniła się przed upadkiem, dlaczego, mając przed oczyma wzniosłe idee i zasady, nie zawsze wprowadzała je w życie. Co zwłaszcza było powodem, że w jej dziejach był długi, conajmniej stuletni okres, który korzystał z dorobku poprzednich, a niczego prawie sam nie dodał? P. Chołoniewski, dotykając mimochodem tej sprawy, załatwia ją za pomocą wygodnego frazesu, tak często używanego, czyli raczej nadużywanego, o „deprawacyi przez wychowanie jezuickie". Otóż wszyscy, którzy się nim posługują, mają słuszność o tyle, że najgłębszej przyczyny zła szukają w dziedzinie życia religijnego. Istotnie tam należy jej szukać, tylko w znaczeniu wręcz odwrotnem, aniżeli im się zdaje. Nie zbytnie szerzenie się religijności przyprawiło nas o smutny okres od połowy XVII. do połowy XVIII. wieku, gdzie zresztą właśnie gorącej wierze zawdzięczamy nieliczne jasne chwile tej epoki, jak obronę Często-

chowy lub odsiecz Wiednia. Przeciwnie, zło płynęło stąd, że także najważniejszą i najwyższą z idei, któremi stała Polska — Rzeczpospolita, która cnotą stała — ideę moralnego obowiązku, zastępującego przymus i gwałt, a mającego swe źródło w życiu religijnem, wyznawano wprawdzie na zewnątrz, ale nie stosowano jej dość konsekwentnie w wewnętrznej walce ze słabością charakteru, samolubstwem i prywatą.

Jeśli zaś Polska przyszłości pod tym względem ma wyprzedzić Polskę historyczną, to nie wystarczy na to krytyka dawnych błędów, odrzucająca wraz z nimi całą spuściznę dziejów, lecz trzeba iść w tę przyszłość pod przewodem dawnych ideałów, ale z większym niż ongi zasobem moralnych sił. Nie da ich nam ani „szeroka natura“ naszych wschodnich sąsiadów, carska lub bolszewicka, ani tresura kasarniana zachodnich, ani nawet mgliste ogólniki o nowej erze ludzkości, rzucane nam z za oceanu. Mylili się najlepsi z pośród nas, gdy w tej Polsce, co była, widzieli Chrystusa narodów; nie mylili się jednak, gdy w hasłach przewodnich jej dziejów widzieli odblask Chrystusowych idei, które dziś — chociaż pod innemi nazwami — znajduje w nich myśl współczesnej Polski. I dlatego, nie mylili się też, gdy upominali tę Polskę, co będzie, aby, wcielając je w czyn, przodowała ludzkości w pracy najważniejszej i najrealniejszej, w której zamyka się sens dziejów, chociaż „mędrca szkiełko“ nie dostrzeże jej kresu: w pracy nad przybliżeniem Królestwa Bożego na ziemi.

Oskar Halecki.

Nowe prawo kościelne a dawne[1].

Pierwsza księga nowego kodeksu prawa kanonicznego, stanowiąca jakby klucz do zrozumienia i stosowania w życiu norm prawnych w kodeksie podanych, zawiera we wstępnych siedmiu kanonach pewne postanowienia, które objąćby można nazwą *ustawy wprowadczej*. W sposób zwięzły i nadzwyczaj jasny określają one stosunek nowego kodeksu do wschodniego prawa kościelnego (kan. 1), do prawa liturgicznego (kan. 2), do konkordatów i umów pomiędzy Stolicą św. a państwami (kan. 3) i do przywilejów nadanych przez Stolicę św. osobom bądź fizycznym bądź moralnym (kan 4). Następny kanon 5. normuje stosunek kodeksu do prawa zwyczajowego, które się wytworzyło czy to w całym Kościele, czy tylko w poszczególnych jego dzielnicach, a kanon 6. podaje sześć reguł, określających stosunek kodeksu do dotychczasowego prawa ustawowego. Wreszcie w kan. 7 powiada ustawodawca, że przez nazwę Stolicy Apostolskiej lub Stolicy św., ile razy w kodeksie przychodzi, rozumieć należy nie tylko samego papieża, ale, o ile z natury rzeczy lub z osnowy danego przepisu co innego nie wypływa, także wszystkie te organa, któremi się papież posługuje w załatwianiu agend całego Kościoła, jakiemi są Kongregacye, Trybuny i Urzędy, objęte przez kodeks w kan. 242 nazwą *kuryi rzymskiej*.

[1]) Referat, wygłoszony w Krakowie dnia 2 stycznia 1918.

Kanon 7. jasny jest i żadnych nie nasuwa trudności. Również kanony 2 i 4 tłumaczenia nie potrzebują. Kanon 2. bowiem wypowiada zasadę, iż dotychczasowe prawo liturgiczne Kościoła łacińskiego zachowuje i nadal swą moc obowiązującą, o ile ono w niektórych punktach nie doznało przez nowy kodeks pewnej zmiany lub korektury. Kanon zaś 4. oświadcza, że także wszystkie przywileje i indulty, udzielone od chwili wejścia w życie nowego kodeksu, przez Stolicę św. osobom tak fizycznym jak i moralnym, pozostają w swej mocy, o ile jeszcze są w użyciu i nie odwołane, chyba że je kodeks wyraźnie znosi. Rzeczą więc będzie osób interesowanych, poddać przywileje im przez Stolicę św. udzielone dokładnej rewizyi, celem skonstatowania, czy ich i nadal jeszcze ważnie używać będą mogły. Najbardziej w tem interesowani będą bezsprzecznie biskupi, kapituły i stowarzyszenia zakonne.

Ogólniejszą i wybitniejszą doniosłość posiadają kanony 1, 3, 5 i 6, i nad nimi pokrótce się zastanowimy.

1.

Stosunek kodeksu do wschodniego prawa kościelnego.

Zwyczajem przyjęła się zasada, że powszechne ustawy dyscyplinarne tylko wówczas obowiązują także i wiernych, należących do obrządku wschodniego, jeżeli je ustawodawca i na nich wyraźnie rozciąga[1]), albo jeżeli odnośne ustawy li tylko interpretują lub bliżej określają prawo boże lub naturalne[2]), jak n. p. ustawy, normujące obowiązek aplikacyi Mszy za dyecezyan lub obowiązek rezydencyi proboszczów, ustawy zakazujące czytania złych książek, lub udziału w nabożeństwach heretyków, ustawy dotyczące aplikacyi Mszy za pobranem stypendyum i t. p. Pozatem prawo Kościoła zachodniego stanowi dla Kościoła wschodniego tylko źródło pomocnicze, o ile się nie sprzeciwia obrządkowi wschodniemu, a prawo wschodnie, ustawowe czy zwyczajowe, nie za-

[1]) Bened. XIV., Const. Allatae sunt, 26/VII. 1755; Wernz, Ius decretalium I. n. 104; Papp-Szilagyi, Enchiridion iuris ecclesiae orient. cath., 1862, § 23.

[2]) Ojetti, Synopsis rerum mor. et iur. pont., ed. 3, II. n. 2619.

wiera żadnych postanowień, któreby w danym wypadku służyć mogły do rozstrzygnięcia stosunku prawnego. Tę cechę pomocniczą prawa zachodniego uznawają sami Oryentalni. Tak n. p. Basil. I. 11, tit. 1. c. 11. wypowiada zasadę: „De quibus causis nulla scripta lex est, custodiri oportet mores et consuetudinem. Quodsi haec defecerint, proxima propositae quaestioni similia sunt sequenda. Si nec haec quidem inveniantur, tunc ius, quo urbs Roma utitur, servari oportet".[1])

Ten dopiero co określony stosunek prawa kościelnego zachodniego do wschodniego nie ulegnie żadnej zgoła zmianie z chwilą wejścia w życie nowego kodeksu. Owszem nowy kodeks potwierdza go w zupełności. Kanon 1. bowiem oświadcza: „Choć w kodeksie prawa kanonicznego często wzmianka jest także i o dyscyplinie Kościoła wschodniego, sam kodeks jednak odnosi się jedynie do Kościoła łacińskiego, a nie obowiązuje Kościoła wschodniego, jak tylko w rzeczach, które go ze swej natury dotyczą".

Chociaż więc w t e o r y i stosunek pomiędzy prawem kościelnem zachodniem a wschodniem nie zamieni się przez wejście w życie nowego kodeksu, to jednak f a k t y c z n y ich stosunek dozna w nie jednym kierunku dość znacznej zmiany. Owszem, powiedzieć musimy, że rozbieżność obu Kościołów pod względem dyscypliny będzie odtąd większa, a to właśnie skutkiem uświęconej w kan. 1. zasady, że nowy kodeks nie obowiązuje Kościoła wschodniego. Kościoły wschodnie bowiem przyjęły od Łacinników cały szereg instytucyi i urządzeń prawnych, zrównując się tym sposobem w pewnej mierze z Kościołem zachodnim. Ponieważ jednak zmiany w tych kierunkach, przez nowy kodeks zaprowadzone, dotyczą tylko Kościoła zachodniego, wschodni Kościół i nadal rządzić się będzie prawem dotychczasowem, a tem samem uwydatnią się silniej niż dotąd różnice dyscyplinarne obu Kościołów.

Prawda, że te różnice w przeważnej części odnosić się będą do wewnętrznej dyscypliny kościelnej, nie wkraczającej w zakres działania drugiego Kościoła, np. obsadzanie beneficyów, zwoływa-

[1]) Cfr. Papp-Szilagyi, § 55.

nie i odbywanie synodów, urządzanie kapituł katedralnych i tym podobne sprawy. Wszakże istnieje też teren wspólny, na którym się spotykają i Kościół zachodni i wschodni. Pomijając kwestyę kalendarza, świąt, postów i inne, pozwolę sobie zwrócić uwagę choćby na jeden tylko szczegół, mający bezprzecznie niesłychaną doniosłość w praktyce pasterskiej. Mam na myśli stosunek Łacinników do Rusinów, pod względem prawa małżeńskiego. Wiadomo, iż Rusini przyjęli z małemi tylko wyjątkami całe prawo małżeńskie Kościoła zachodniego.[1]) Nawet rozciągnięcie na nich dekretu *Ne temere* udało im się od Stolicy św. uzyskać. Z dniem, w którym nowy kodeks zacznie obowiązywać, owa prawie zupełna równość z nami co do prawa małżeńskiego upadnie: my się trzymać będziemy nowego kodeksu, który wprowadza w tej dziedzinie ważne i daleko idące zmiany, Rusini zaś i nadal rządzić się będą prawem Trydenckiem i przepisami dekretu *Ne temere*. Skutkiem tego częstsze niż dotąd zdarzać się będą kolizye, gdy chodzić będzie o śluby obrządkowo-mięszane.

Za ilustracyę niech służy następujący przykład. Łacinnik chce się ożenić z Rusinką, z którą spokrewniony jest w czwartym stopniu linii bocznej. Przeszkoda pokrewieństwa w tym stopniu linii bocznej w myśl. kan. 1076, § 1 dla Łacinników już nie istnieje, istnieje jednak jeszcze dla Rusinów. Stąd wyłania się kwestya, czy Łacinnik udziela swej egzemcyi Rusince, a więc bez dyspenzy ważny z nią zawrzeć może ślub; czy przeciwnie Rusinka, dla której wedle prawa wschodniego czwarty stopień pokrewieństwa w linii bocznej stanowi przeszkodę zrywającą, pociąga za sobą Łacinnika, który tą przeszkodą nie jest związany, a zatem do ważnego ślubu wymagana jest w tym wypadku dyspenza? Wedle przyjętej w dotychczasowem prawie kościelnem, a sankcyonowanej w nowym kodeksie[2]) zasady indywidualności kontraktu małżeńskiego należy uważać dyspenzę w powyższym wypadku za konieczną, a ślub bez niej dany nupturyentom za nieważny.

---

[1]) Maściuch, Cerkowne prawo supruże. Przemyśl 1910, 75.

[2]) Kan. 1036, § 3: Przeszkoda, choćby istniała tylko po jednej stronie z kontrahentów, mimo to unieważnia ślub, względnie czyni go niedozwolonym.

Należałoby zastanowić się nad tem, czy nie byłoby wskazanem, aby Rusini za zezwoleniem Stolicy św. wprowadzili do swego prawa wszystkie te zmiany, którym to prawo w Kościele zachodnim uległo skutkiem nowo ogłoszonego kodeksu, i które dotyczą wspólnych interesów obu Kościołów. Jestto nowa, a nader ważna kwestya polityki kościelnej, przed którą nas postawił nowy kodeks prawa kanonicznego. Do rozstrzygnięcia jej powołany jest w pierwszym rzędzie sam Episkopat obu Kościołów. Zanim to jednak nastąpi, liczyć się trzeba będzie już teraz z możliwością częstych kolizyi w stosunkach prawnych, zachodzących pomiędzy wiernymi jednego i drugiego Kościoła, a błędne pojęcia lub brak potrzebnych wiadomości z dziedziny prawa kościelnego, zachodniego zarówno jak i wschodniego, pociągnąćby mogły za sobą w nie jednym wypadku skutki bardzo poważne.

W szczególności dla lwowskiej prowincyi kościelnej stała się znowu aktualną i nader doniosłą kwestya t. zw. *Konkordii.* Na innem miejscu[1]) miałem sposobność wykazać mylność dość rozpowszechnionego zdania, jakoby ugoda, między Episkopatem łacińskim a ruskim prowincyi lwowskiej w r. 1863 zawarta, miała charakter obustronnego kontraktu. Ugoda ta, która po licznych naradach ułożoną została w Rzymie dnia 17 lipca 1863, otrzymała najwyższe potwierdzenie papieskie, w dniu 6 października tegoż roku, i pod tą samą datą wydaną została jako własny dekret Propagandy. Ma ona więc cechę u s t a w y partykularnej. A zatem kwestyę, czy Konkordia zachowa i nadal swą moc obowiązującą, czy raczej uważaną być powinna, czy w całości czy w części, za zniesioną, rozstrzygnąć należy za pomocą kan. 6, §. 1, 5. Ponieważ kodeks nigdzie Konkordii wyraźnie nie zatwierdza jako całości, wypada nam powiedzieć, że poszczególne jej postanowienia, niezgodne z przepisami kodeksu, utracą swą moc obowiązującą, o ile przez kodeks nie zostały wyraźnie potwierdzone lub nie

[1]) Zur Frage über das gegenseitige Rechtsverhältnis zwischen Lateinern und Ruthenen. Linz 1911, 5²; O zmianie obrządku na Rusi. Świat słowiański 1908, 726. Synod ruski, w r. 1891 we Lwowie odbyty, używa następującego zwrotu: quae praescribuntur in Decreto S. C. Propagandae Fidei praepositae, vulgo sub nomine „Concordia". Decr. Syn. prov. ruth., tit. II, pag. 18.

mają cechy indultów popieskich[1]). Wobec tego nieodzownem będzie kolacyonować Konkordię, punkt po punkcie, z odnośnymi przepisami kodeksu[2]), celem skonstatowania, które z jej norm, i o ile pozostają w swej mocy. Bardzo pożądaną byłoby też rzeczą, aby Biskupi łacińscy i ruscy na wspólnej konferencyi rozpatrywali tak tę, jak i inne kwestye, wspólne obydwu Kościołom; w szczególności zaś aby sobie objektywnie odpowiedzieli na pytanie: czy Konkordia spełniła swoje zadanie? czy też zamiast zamierzonego równouprawnienia obu Kościołów pociągnęła za sobą w praktyce uprzywilejowanie dla jednego, a upośledzenie dla drugiego? jakich wreszcie użyć należy środków do zapewnienia obu Kościołom tej harmonii i zgody, jaka pomiędzy nimi panować powinna.

2.

Stosunek kodeksu do konkordatów.

Co się tyczy nowego stosunku do konkordatów, zawieranych pomiędzy Stolicą św. a państwami, wystarczy powiedzieć, iż kanon 3. utrzymuje je i nadal w pełnej mocy, choćby, czy w całości czy tylko w części niezgodne były z przepisami kodeksu.

Trudniejszem jest pytanie, czy postanowienie kan. 3. zastosować należy do konkordatu austryackiego.

Wiadomo, iż konkordat austryacki z r. 1855 nie długo się cieszył uznaniem w państwie austryackiem. Pierwszy wyłom w nim uczyniły ustawy zasadnicze z 21 grudnia 1867. Większy jeszcze cios zadały mu ustawy majowe z r. 1868, uchylające f a k t y c z n i e jego moc obowiązującą w bardzo ważnych punktach, zanim jeszcze f o r m a l n i e został zniesiony. Nastąpiło to dopiero po ogłoszeniu dogmatu o nieomylności papieża, kiedy cesarz Franciszek Józef I odręcznym pismem z dnia 30 lipca 1870 r. kazał wypowiedzieć konkordat w Rzymie, a zarazem wygotować wnioski

[1]) Takim indultem jest n. p. pozwolenie, udzielone księżom łacińskim, na odprawianie w kościołach symultaneicznych Mszy św. na antymensach ruskich. Konk. B. a.

[2]) Wchodzą tu w rachubę przedewszystkiem kanony 98 §§ 1—5, 106 § 4, 756 § 2, 823 § 2, 866 §§ 1—3, 938 § 2, 1097 § 2.

do ustaw, któreby w miejsce konkordatu określiły stosunek państwa do Kościoła na odmiennych podstawach.

Tak papież, jak i biskupi austryaccy nie pomijali żadnej sposobności, by zaprotestować przeciwko nowym ustawom, które w maju 1874 r. sankcyę cesarską otrzymały, jak i przeciwko samowolnemu i jednostronnemu zerwaniu konkordatu. W szczególności oświadczyli biskupi we wspólnym memoryale z dnia 20. marca 1874 r., że nie uznają jednostronnego zniesienia przez rząd konkordatu, i że ustawy państwowe tylko o tyle zachowywać będą, o ile się konkordatowi nie sprzeciwiają[1]). Pius IX. pochwalił powyższą decyzyę Episkopatu austryackiego[2]), pozwolił jednak na prośbę cesarza, by biskupi i innym także wymogom ustawowym zadośćczynili.[3])

Taki stan rzeczy trwa do chwili obecnej, a póki Stolica św. formalnego orzeczenia w sprawie konkordatu nie wyda, póty mojem zdaniem uważać go należy za jeszcze obowiązujący, zwłaszcza że rząd austryacki za wiedzą Rzymu, faktycznie wykonywa atrybucye, w konkordacie mu przyznane.

Od kwestyi konkordatowej nieodłączną jest kwestya t. zw. *Instrukcyi austryackiej*. Konkordat z r. 1855 postanowił był w art. X., że sędzia kościelny orzekać będzie w sprawach małżeńskich wedle przepisów kanonicznych, mianowicie ustaw trydenckich. W myśl tego artykułu uchylił też patent cesarski z 8 października 1856 r. co do katolików moc obowiązującą prawa małżeńskiego, zawartego w kodeksie cywilnym, publikując równocześnie z „ustawą małżeńską dla katolików cesarstwa austryackiego“ wspomnianą „instrukcyę dla sądów duchownych cesarstwa austryackiego w sprawach małżeńskich“. W następstwie tego od 1. stycznia 1857 r. obowiązywać miało katolików w obrębie państwa austryackiego wyłącznie kościelne prawo małżeńskie. Atoli już ustawa z 25 maja 1868 r. uchyliła instrukcyę, przywracając napowrót moc obowiązującą ustawy cywilnej z r. 1811 i przekazując sprawy małżeńskie katolików sądom cywilnym. Tym aktem

[1]) Archiv. f. kath. Kirchenrecht, XXXII, 175.
[2]) Tamże, 196.
[3]) Tamże, XXXIII, 474 i nast.

jednak nie zabraniał rząd dalszej działalności kościelnych sądów małżeńskich, lecz tylko odebrał ich wyrokom prawomocność wobec państwa.

Zanim odpowiemy na pytanie, jakie stanowisko zajmie odtąd instrukcya w partykularnem prawie austryackiem, wyświetlić musimy jej naturę z punktu widzenia prawno-kościelnego.

Wiadomo, iż redaktorem instrukcyi był arcybiskup Wiedeński, późniejszy Kardynał Rauscher, i że komisya rzymska, złożona z Jenerała Jezuitów, O. Beckxa i czterech wybitnych kanonistów, otrzymała była polecenie, by instrukcyę zaopiniowała. W dniu 4 maja 1855 r. orzekła komisya: nihil in ea nos invenisse, quod vel sacrorum Canonum praescripto vel Apostolicarum Constitutionum ordinationibus vel probatorum Doctorum sententiis conforme non sit". Mimo to, formalnego zatwierdzenia ze strony Stolicy św. instrukcya nie uzyskała, ówczesny zaś Pro-Nuncyusz Kard. Viale-Prela, rozsyłając ją z polecenia papieża w dniu 2 lutego 1856 r. do wszystkich biskupów austryackich, zadowolił się oświadczeniem, że biskupi wszystkich w niej zawartych norm ze spokojnem sumieniem przestrzegać m o g ą — tuta conscientia sequi posse[1]). W następstwie tego uchwalono na konferencyi biskupiej w r. 1856 przyjąć instrukcyę.[2]) Odtąd w sądach dyecezyalnych austryackich posługiwano się, z większą lub mniejszą ścisłością, instrukcyą, mimo że ją ustawa z 25 maja 1868 r. skassowała, i mimo zerwania konkordatu ze strony rządu austryackiego. Później zaś powstałą wątpliwość, czy zachowywać należy normy instrukcyi, rozstrzygnęła św. Kongregacya Soboru w dniu 14 grudnia 1889 r. odpowiadając: „Pro ditione austriaca p o s s e servari Instructionem, in foro ecclesiastico ibi receptam."[3])

Jak z powyższego przedstawienia rzeczy wynika, instrukcya austryacka nic nie ma wspólnego z konkordatem austryackim. Ani ona się nie odwołuje na konkordat, ani też konkordat o niej nie wspomina. Pomiędzy jednym a drugim aktem zachodzi najwyżej związek czasowy, ale bynajmniej związek organiczny. Nadto

[1]) Scherer, Handb. d. Kirchenrechtes, II, 115[78].
[2]) Coll. Lac V, 1253.
[3]) A. S. S. XXII, 553.

instrukcya nigdy nie była ustawą kościelną, lecz jedynie pouczeniem pomocniczem — instructio — wówczas kiedy wydaną została, tem potrzebniejszem, ile że nauka prawa kościelnego dzięki panującemu systemowi józefińskiemu prawie odłogiem leżała, a nawet wśród wyższych sfer kościelnych trudno było znaleźć wybitniejszą znajomość norm prawnych, jakiemi się Kościół rządzi. Dodać też należy, iż Stolica św. nie miała bynajmniej zamiaru zobowiązywać sądy kościelne do przestrzegania instrukcyi, skoro Pronuncyusz Viale-Prela z polecenia papieża oświadczył tylko, że biskupi ją zachowywać m o g ą, a jeszcze w r. 1889 Kongregacya Soboru wyraźnie podkreśliła jej charakter czysto fakultatywny — p o s s e s e r v a r i. Wreszcie nowy kodeks normuje dokładnie i wyczerpująco całe prawo małżeńskie tak materyalne jak i formalne, a w dodatku w wielu punktach całkiem odmiennie od instrukcyi, tak iż instrukcya i z tego także punktu widzenia traci wszelką racyę bytu. Chcieć zaś dla niej zachować miejsce w austryackiem prawie partykularnem i po wejściu w życie nowego kodeksu z tego tytułu, że przez nieprzerwane stosowanie w sądach biskupich uzyskała moc obowiązującą jako prawo zwyczajowe, na to nie pozwala wzgląd na wyżej wspomniane orzeczenie Kongregacyi Soboru; nie pozwala też kanon 5. kodeksu, przyznający Ordynaryuszom władzę tolerowania pod pewnymi warunkami tylko takich zwyczajów, które istnieją od stu lat lub niepamiętnych czasów.

3.

Stosunek kodeksu do dotychczasowego prawa zwyczajowego.

Zarówno uniwersalne posłannictwo, mocą którego Kościół wszystkie narody i po wszystkie czasy prowadzić ma do Boga, jako też i sama istota prawa kościelnego, polegająca na regulowaniu zewnętrznego życia kościelnego stosownie do warunków miejscowych i czasowych, uzasadniają potrzebę ciągłego rozwoju prawa kościelnego. Tylko o ile sam pierwiastek życia kościelnego, jako nadany Kościołowi od Boga, co do swej istoty jest niezmienny,

o tyle też normy prawne, z niego wprost wypływające, zmianie żadnej uledz nie mogą. Atoli pierwiastek przypadkowy, właśnie dla tego, iż zawisły jest od ciągle się zmieniających warunków, przez jakie społeczeństwo, a z niem Kościół przechodzi, może się ciągle zmieniać, i w odmiennych warunkach odmienne też formy przybierać może, a nawet musi, jeśli życie kościelne nie ma być skazane na zupełną stagnacyę. Stąd wynika mylność zdania, jakoby czasy Apostolskie powinny być jedyną miarą dla urządzeń i instytucyi prawnych w Kościele. A również mylnemby było, z chwilą skrystalizowania się pewnego stosunku prawnego uważać go za bezwzględne ius quaesitum, wykluczające możność zmienienia go na przyszłość i nadania mu innej formy, innych kształtów. O potrzebie zaś zmiany w stosunkach i normach prawnych albo wprost sam ustawodawca decydować będzie, a uczyni to osobliwie wtedy, gdy wewnętrzne warunki będą bardziej jednolite; albo decydować będzie sam historyczny rozwój życia prawnego przez taktyczne przekształtowanie norm prawnych. I w tem właśnie upatrywać należy uzasadnienie prawa zwyczajowego, jego ogromną doniosłość w Kościele, jak również możność i racyonalność stosowania go ciągle w życiu prawno-kościelnem.

Im większy obszar, jakie społeczeństwo obejmuje, im bardziej się różnią pomiędzy sobą składniki tego społeczeństwa, tem trudniejsze jest oczywiście zadanie ustawodawcy, by stworzyć dla niego prawo jednolite a zarazem odpowiadające warunkom i potrzebom nieraz bardzo rozbieżnym wszystkich części społeczeństwa. Najsilniej uwydatniać się musi ta trudność w Kościele, obejmującym cały świat, wszystkie ludy, tak różne pomiędzy sobą rasą, narodowością, kulturą i polityką. Tę trudność w znacznej mierze usuwać zdoła jedynie możność tworzenia się prawa zwyczajowego, obok lub nawet przeciw prawu ustawowemu.

To też od samego początku istnienia Kościoła, wybitną rolę w nim odgrywać zaczęły i do obecnej chwili odgrywać nie przestały zwyczaje, jako drugie, z ustawami równorzędne źródło prawa kościelnego. Dla tego też dziwić się nie można, iż Kościół, zdając sobie sprawę z potrzeby i doniosłości prawa zwyczajowego, także

i w nowym kodeksie zatrzymał i uświęcił zasady, dawniej już w tym kierunku przyjęte.

O prawie zwyczajowem traktuje kodeks w dwu miejscach: w kanonie 5. i w tytule II. księgi pierwszej. Podczas gdy tytuł II. bliżej określa warunki tworzenia się w przyszłości nowych zwyczajów, kanon 5. normuje stosunek kodeksu do zwyczajów już istniejących. Poświęćmy temu kanonowi słów kilka.

Zajmując się w tym kanonie wyłącznie zwyczajami tak powszechnymi jak i partykularnymi, które nie są zgodne z przepisami kodeksu, dzieli je ustawodawca na trzy grupy. Pierwsza z nich obejmuje zwyczaje, przez kodeks wyraźnie reprobowane; druga obejmuje zwyczaje niereprobowane, a istniejące już od stu lat lub od czasów niepamiętnych; trzecia wreszcie zwyczaje niereprobowane, a nie będące w użyciu od stu lat lub niepamiętnych czasów.

Co do zwyczajów pierwszej kategoryi, żąda ustawodawca ich usunięcia, i by nie pozwalano, aby kiedykolwiek w przyszłości odżyły.

Zwyczaje zaś niereprobowane, a już od stu lat lub od czasów niepamiętnych istniejące, pozwala ustawodawca dalej tolerować, o ile Ordynaryusz osądza, że ze względu na warunki miejscowe lub osobowe roztropność nie pozwala ich znosić.

Wreszcie zwyczaje grupy trzeciej mają być uważane za uchylone i nie istniejące, o ile kodeks w poszczególnych wypadkach inaczej nie postanowił.

O istniejących już zwyczajach iuxta lub praeter legem kanon 5. milczy. Dla tego też, mojem zdaniem, zachowują one i nadal swą moc obowiązującą, a to tem bardziej, iż z natury swojej tylko uzupełniają luki, pozostałe w prawie ustawowem, względnie to ostatnie w myśl ustawodawcy interpretują.

Bezprzecznie największą doniosłość posiada dla nas postanowienie kanonu 5. co do drugiej grupy zwyczajów. Znajdzie ono szerokie zastosowanie w tych zwłaszcza stosunkach kościelno-prawnych, które swego czasu odmiennie unormowane zostały przez ustawodawstwo józefińskie. Albowiem te normy prawne, narzucone przez rząd Kościołowi, faktycznie zachowywane były przez

sfery kościelne i uzyskały tym sposobem charakter prawa kościelnego zwyczajowego, jak n. p. przepisy o egzaminie konkursowym[1]), o terminie sześciomiesięcznym prezenty przez patrona świeckiego, o tytule stołu biskupiego, o dziedziczeniu po księżach ab intestato i t. p. O ile zatem zniesienie tych lub tym podobnych zwyczajów, niezgodnych z przepisami kodeksu, ale przezeń nie reprobowanych, okaże się niemożliwem ze względu n. p. na upór ze strony rządu, Ordynaryusze pozwalać będą mogli na dalsze ich zachowywanie, byleby od stu przynajmniej lat lub od niepamiętnych czasów były w użyciu.

Przy stosowaniu więc norm państwowych w stosunkach prawno-kościelnych trzeba będzie w każdym wypadku dochodzić trzech rzeczy: czy dana norma państwowa zgodną jest z przepisami nowego kodeksu; w razie niezgodności, czy kodeks ją wyraźnie reprobuje; wreszcie jeżeli w kodeksie nie została reprobowaną, czy ją praktykowano już od stu lat lub przynajmniej od czasów niepamiętnych?

Cóż jednak począć, jeżeli badania wykażą, że jeden z tych warunków lub może wszystkie razem nie dopisują? Wtedy Ordynaryuszem otwartą zostaje droga podwójna: albo znieść dany zwyczaj, albo jeśli to nie jest możliwe, prosić Stolicę św. o decyzyę.

4.

Stosunek kodeksu do dotychczasowego prawa ustawowego.

Pozostaje nam do omówienia kanon 6., określający stosunek nowego kodeksu do dotychczas obowiązującego prawa ustawowego.

Ustawodawca dalekim był od tego, by całkowicie zerwać z przeszłością, zniweczyć doszczętnie dotychczasowe prawo kościelne, na które praca całych wieków się złożyła, a na jego gruzach nowe zbudować. I słusznie. Bo prawo, jeśli ma spełnić swoje zadanie, t. j. jeśli ma być regulatorem zewnętrznego życia w da-

[1]) Według kan. 459, § 4 należy zatrzymać konkurs generalny, gdzie dotychczas był praktykowany.

nem społeczeństwie, musi się oprzeć na zasadach słuszności i poszanowania tradycyi, musi wyrósć niejako z łona samego społeczeństwa, być z niem w ciągłym kontakcie, i dać mu możność racyonalnego rozwijania się i doskonalenia. Oprzeć ustawodawstwo na zupełnie nowych podstawach, ignorować jego rozwój historyczny, znaczyłoby tyle co wprowadzić do samego społeczeństwa zamięszanie, hamować jego życiowy rozwój i spowodować najzgubniejszą stagnacyę w jego życiu.

To też przewodnią myślą Piusa X. w podjęciu się kodyfikacyi prawa kościelnego nie było stworzenie zupełnie nowego prawa, lecz „ustawy przez Kościół dotychczas wydane zebrać, uporządkować i ująć w jedną całość; przestarzałe znieść, inne zaś, o ile potrzeba, do obecnych warunków przystosować.“[1])

Tę myśl przewodnią dzieła kodyfikacyjnego widzimy też zrealizowaną w nowym kodeksie i wyraźnie podkreśloną w kanonie 6. Wstępne bowiem słowa wspomnianego kanonu wypowiadają następujące dwie zasady:

Pierwsza: kodeks, zatrzymując na ogół dyscyplinę kościelną w obecnej chwili panującą, ujmuje w jedną, organiczną całość zasadniczo wszystkie dotychczas wydane ustawy.

Druga: Uwzględniając jednak potrzeby i odmienne warunki obecnych czasów, wprowadza kodeks do dotychczasowej dyscypliny pewne zmiany.

Na podstawie tej podwójnej zasady, normuje więc kanon 6. stosunek nowego kodeksu do dotychczasowego prawa ustawowego w sposób następujący:

1. Wszelkie ustawy powszechne, z postanowieniami kodeksu niezgodne, są zniesione (n. 1.).

2. Również zniesione są wszelkie ustawy partykularne, z kodeksem niezgodne, chyba że kodeks w poszczególnych wypadkach co innego wyraźnie postanawia (n. 1.).

3. Kary zaś wszelkiego rodzaju, nałożone za przestępstwa, a pominięte w kodeksie, należy uważać za zniesione (n. 5.).

4. Wreszcie wszelkie inne ustawy dyscyplinarne, które do-

---

[1]) Motupr. Arduum sane z 19 marca 1904. A. S. S. XXXIV, 550.

tychczas obowiązywały, lecz nie zostały wcielone do kodeksu ani wyraźnie ani milcząco, również straciły swą moc obowiązującą, z wyjątkiem ustaw liturgicznych lub ustaw, zawierających prawo Boże (n. 6).

Postanowienia, zawarte w n. 5. i 6., nasuwają na pierwszy rzut oka pewne trudności, a przedewszystkiem wyświetlenia wymaga kwestya, w jakim stosunku one zostają do n. 1. Że o ustawach niezgodnych z kodeksem w nich mowy być nie może, zdaje się być pewnem. Wszakże już n. 1. je zniósł, a trudno przypuścić, aby ustawodawca w n. 5. i 6. chciał to samo wyrazić, co w n. 1, tylko innemi słowami. Należy więc twierdzić, że chodzi tu jedynie o ustawy praeter lub iuxta legem, zgodne z kodeksem, ale w nim pominięte. Dalej jednak skonstatować musimy w stylizacyi tych obydwu numerów pewną, a naszem zdaniem bardzo doniosłą różnicę. Podczas gdy bowiem ustawodawca w n. 6, podobnie jak w poprzedzających n. 1—4, używa wyrazu lex — ustawa, w n. 5 tego określenia unika, mówiąc poprostu o karach — paenae. Stąd wnioskujemy, że, co się tyczy kar, ustawodawca zastrzedz chciał kodeksowi ekskluzywną moc obowiązującą, tak iż wszelkie ustawy karne dotychczas obowiązujące, choćby się nie sprzeciwiały postanowieniom zawartym w kan. 2314—2414 kodeksu, utracą swą moc obowiązującą z chwilą wejścia w życie nowego kodeksu. Innemi słowy, ustawodawca znosi w kán. 6. n. 5. wszystkie ustawy karne, tak powszechne jak i partykularne, w kodeksie pominięte[1]), nie przesądzając atoli kwestyi, czy i w jakim zakresie kościelne czynniki ustawodawcze w przyszłości będą mogły wydawać S. p. ustawy karne praeter lub iuxta legem.

Do nieco odmiennego wyniku prowadzi nas rozbiór numeru 6., dotyczącego innych ustaw dyscyplinarnych — si qua ex ceteris disciplinaribus legibus.

---

[1]) Tak n. p. uważamy za zniesioną suspenzę od słuchania spowiedzi, w którą wpada spowiednik w dyecezyi krakowskiej, słuchający spowiedzi kobiet poza konfesyonałem opatrzonym w kraty; lub kary, nałożone w konkordii A. c. za nieprawne przyjęcie na obcy obrządek.

Kodeks prawa kościelnego zawierać powinien z założenia swego tylko ustawy, mające moc obowiązującą dla całego Kościoła. Dlatego też przez wspomniane w n. 6. ustawy, skoro mogły być do niego wcielone — *explicite vel implicite contineri* — lecz umyślnie zostały pominięte a tem samem uchylone, rozumieć należy wyłącznie tylko ustawy *powszechne,* jakiemi n. p. były: ustawa o przysiędze antymodernistycznej, o t. zw. consilium a vigilantia i t. p. Te wszystkie zostają zniesione, o ile ich kodeks wyraźnie lub milcząco nie zawiera. Atoli *partykularne* ustawy pozostają i nadal w swej mocy, o ile jako sprzeczne z postanowieniami kodeksu nie są zniesione w myśl kan. 6 n. 1. Tym sposobem kodeks mimo swej zasadniczej jednolitości i centralizacyi, która jest cechą, lecz zarazem i nieodzownym warunkiem życia i siły Kościoła, nie wyklucza pewnej decentralizacyi, owszem przyznaje jej i nadal prawo egzystencyi, i pozwala nawet w przyszłości, jak z innych postanowień kodeksu wynika, na tworzenie nowych praw partykularnych, przystosowanych do czysto lokalnych stosunków, byleby nie stały w sprzeczności norm prawnych, zawartych w kodeksie.

Z zasadą, wypowiedzianą we wstępie kan. 6, mianowicie, że nowy kodeks na ogół zatrzymuje dotychczasową dyscyplinę, a wprowadza do niej zmiany tylko o tyle, o ile się to okazało potrzebnem, lub wskazanem ze względu na obecne warunki, z tą zasadą stoi w ścisłym związku nader ważna kwestya interpretacyi kodeksu. Przyznać trzeba, że ustawodawca ją załatwił ze wzorową konsekwencyą. Postanawia bowiem w kan. 6. n. 2, 3 i 4, że:

1. normy prawne kodeksu, o ile zawierają dotychczasowe prawo, interpretować należy tak, jak je nauka interpretowała do tej pory;

2. o ile zaś są zupełnie nowe lub od dawnego prawa się różnią, mają być interpretowane same ze siebie, ze swej osnowy;

3. gdyby jednak w poszczególnym wypadku wyłoniła się wątpliwość, czy przepis kodeksu odmiennie od dawnego prawa jakiś stosunek prawny normuje, wtedy nie należy odstępować od prawa dawniejszego.

Tak więc dawniejsze autentyczne zbiory prawa kanonicznego, zarówno jak i zbiory rozporządzeń i deklaracyi Kongregacyi rzymskich nie poprzestaną być cennem źródłem naszego prawa; a także i dzieła dawniejszych i nowszych kanonistów w przyszłości ważną odgrywać będą rolę przy interpretacyi kodeksu Piusa X.

Jan Roth.

Najmilszy uczeń.

Daremnie tulił głowę do zroszonych, wonnych traw, zamykał powieki, daremnie usiłował zmusić myśl do zupełnego spoczynku, echem dźwięczał mu w pamięci spokojny, znużony głos Jezusa z Nazaretu i oto serce szalało boleścią, uczucie dławienia powstawało w przełyku, do oczu napływały bezradne łzy... zaciskały się pięści bezsilnym protestem, przeciw temu czemuś, co zda się światem pełzało i nad jasną głową umiłowanego mistrza rozciągało otok swoich czarnych, strasznych, dławiących dłoni...

Nie! nie...

Jego... Jego, który miłowanie ziemi przyniósł, którego szlakiem dobro szło i piękno, który pełnemi dłońmi światło rzucał w mrok ludzkich dusz, a bezmiar wyrozumienia i współczucia miał dla wszystkich... Jego właśnie, miałaby czekać śmierć, jaką ponoszą zbrodniarze, szkodę przynoszący społeczeństwu.

I dlaczego On... przed którego rozkazem cofa się choroba, ustępuje śmierć... do obrony samego siebie mocarnych nie wyciągnie dłoni... dlaczego?

Palące, bezradne łzy spływały po twarzy Jana, Zebedeuszowego syna...

Dlaczego?

Nie wszystkie zagadki przeniknąć może ludzki duch, więc oto w błędnem, bolesnem kole przypuszczeń wił się duch ucznia. Gorączką płonące oczy wpatrywały się w nieruchome światy, zawieszone w przestrzeni, ciche, tajemnicze, niezbadane, lśniące jak lampy ofiarne w przybytku Najwyższego... jakgdyby

stamtąd oczekiwały odpowiedzi, wyjaśnienia dla szalejących w mózgu pytań, wątpień, przypuszczeń.

Dlaczego?!

O Jahwe... dlaczego!?

Taka cisza... jeno oddechy śpiących uczni słychać... jeno czasem wiatr od wschodu nadleci, przyniesie ożywczy wiew przepełniony wilgocią jeziora rosy, kadzielnicową wonią lilii białych, co się w dolinach rozwiły, oleandrów migdałowem tchnieniem... Czasem zielonawym, pokręconym pniem figi wstrząśnie dreszcz, a wtedy złotawe liście gwarzą przez mgnienie... jakgdyby w podziwie nad szaleńczą tęsknotą wiedzy w człowieku.

Z za wyniosłych, żałobnych cyprysów, księżyc wychylił srebrzysty krąg, baśń błękitnego światła omotała ziemię, każdy krzew, każdy złom skalny tajemniczem życiem ożył...Nad strumieniami mgły się skupiły, do pól przylgnęły, rozwiały wśród drzewnych pni... jak postacie jakieś ledwo uchwytne, dziwne, do ziemi lgnące...

A w duszy ucznia rozpętała się burza...

Potęga Boga, moc twórczej siły, przemawiała do niego z natury całej, Jego wszechwładza objawiała się wszędzie; w źdźble trawy, które rosa po skwarze dnia do życia budzi, w woni kwiatów, łąk, w drzew szumie... w owych światach dalekich, nieznanych, drgających wśród bezkresów nieba światłem tajemniczych obietnic.

O Jahwe! Jeżeli tyle mocy masz... tyle potęgi... to dlaczego? Dlaczego?

W łkaniu bolesnem niedosnuta skonała myśl.

Uczeń drgnął, jakaś ręka gorąca, spotniała objęła jego dłoń.

— Kto tu!?

— Ja .. Juda, syn Szymona...

— Ty?...

— Taka parna noc... zasnąć trudno... tyle myśli... tyle różnych myśli... głowa pęka i nachodzi człowieka pragnienie usłyszenia żywego ludzkiego głosu, a nie swoich rozmyślań... Zdawało mi się, że i ty spać nie możesz... może nam podobne uczucia oddalają sen od powiek znużonych... Janie... zali ten, co włada tym

bezkresem.... za mało mocy ma, by syna od śmierci hańbiącej zbawić?...

— Judo...

Jan odsunął się bezwiednie, z przerażeniem prawie, jego własna jeszcze nie sformułowana myśl, jego własne pytania ujęte w dźwięk słów dreszcz lęku wzbudziły mu w duszy. Czuł, że o tem... mówić nie należy, jak nie należy wdzierać się za hyacentową zasłonę, zwieszającą się z pośród skrzydeł aniołów w przybytku Najświętszego.

— Milcz... są rzeczy... które nie nam ujmować w słowa...

W błękitnem świetle księżyca, blada, rasowa twarz Judasza z Kariotu, o zmęczonych oczach i satyrycznym uśmiechu, wązkich warg, wydała mu się maską szatana... A oto z tych ust szyderczych płynęły słowa ciche, a pełne przekonywującej siły:

— Na cóż mu ginąć... kiedy panować może? Gdyby chciał... miałby za sobą lud, miałby władanie... Jeno cudów więcej, więcej cudów... za tym, który chleb mnożyć potrafi a wodę zamieniać w wino... za tym poszedłby bez wahania cały naród. Nie jemu przed sądem arcykapłanów stanąć, ale ich przed swój pociągnąć sąd, od nich zażądać porachunku... Jeżeli ma świadomość rzeczy przyszłych i moc, toż do niego mógłby należeć świat... Więc dlaczego? Może ja go tylko zrozumieć nie mogę... ale jeżeli Mesyaszem jest... jak wierzy Piotr, wy wszyscy... jak wierzyć zaczyna naród... to pocóż mu owa przepowiednia sądu, męki, śmierci... i jakiej śmierci... o Janie... jakiej śmierci! Na czele ludu ma stanąć, do Jeruzalem wtargnąć... siłą wziąć, co mu się z prawa należy...

Po ciemnej, młodzieńczej twarzy Jana przebiegł żar krwi, oczy rozbłysłe nadzieją utopił w bladej twarzy Judy...

— A cóż byłoby... potem?

A Juda dławił się miotanemi w pośpiechu słowami, jego gorące, wilgotne palce wpijały się w dłoni Jana do bólu.

— Jakto... co potem? Władza, tryumf, panowanie... może purpura króla... może wolnej ziemi żydowskiej zmartwychpowstałe państwo... sława nieśmiertelna i pieniądze, pieniądze, pieniądze!

Pogardliwie spłynęło z warg Jana:

— Pieniądze...

I rozbłysłe przed chwilą oczy przygasły smutkiem bezbrzeżnym... nie do takiego królestwa dążył Pan... czuł to, wiedział...

— Życie! życie... pełne, cudne życie.... Dla tych, co mają władzę w narodzie, nie masz nic niedostępnego, nic niemożliwego. Ty nie znasz życia, Janie... cóż ty? Nad jeziorem Tyberiadzkiem wyrosłeś a w Jeruzalem byłeś jeno w czasie świąt, praca i trudy były twoim udziałem, bo chociaż bogaty jest rodzic twój, prosty to człek. Więc nie wiesz, co to świat.... och świat...

Głos Judy drżał namiętnym zachwytem, bladą twarz pocentkowały plamy krwi, zmęczone oczy zapłonęły, upajał się zjawą przeszłości, przyszłości, widmem władzy... Do szeptu zniżony głos roztaczał kuszący wid dalekiej stolicy, złocistych, lśniących wnętrz, niewolników karnych, chylących się w pokłonach, życie bez trudu... W szerokich nutach kreślił opisy uczt barwnych, w których niegdyś brał udział i zdało mu się, że słyszy radosny, beztroskliwy głos fletów i arf:

Żyj, Judo!...

Leje się wino złociste w bezcenne kielichy... na dnie radość się czai... radość i zapomnienie... wszystkie troski opadną, jak z drzewa liść opada zwiędły:

Pij, Judo...

Woń ambry... róż... jakieś ciała mdłe, giętkie, wabne... zawrotny, szaleńczy tan...

Mieni się cudnemi barwami bisior haftowany, z dalekiego Egiptu, lśni hyacent i szkarłat z wysp Elisa, cieniuchne zasłony tkane w Tyrze... i ramion biel złotowłosych, róż Grecyi i smagłe, jakgdyby z bronzu odlane ciała Jerozolimskich dziew...

Jutro... cóż jutro?... Dzisiaj żyjesz, Judo, więc chwytaj w drżące dłonie wid ludzkiego szczęścia...

Jutro...

Przesyt, znużenie... nuda, niesmak i pogarda... i jakiś krwawy płacz w duszy... Nie to... nie za tem tęskniłeś... nie znalazłeś ukojenia, ni zapomnienia... chwytałeś świetlistą złudę życia i oto rozpadła ci się w dłoniach na szary, marny pył i znowu puste dłonie żebraczym wyciągasz gestem:

Żyć... żyć...

Czy to jest życie?...

Nie znasz... nie chcesz znać innego... to twoje życie... ono ci duszę przepaliło na popiół... wyssało z kości siłę, a z serca uczyniło grób...

Hej wino w kielichu wabi, a parna noc letnią krew w lawę ognistą zamieniła w żyłach... Judo... Judo... sprzedaj, co masz, na srebro zamień, a srebro na szał... kupisz chwilę zapomnienia...

Nic nie masz, cobyś swojem zwał...

Sprzedaj samego siebie... sprzedaj drugiego bytu prawa... za noc obłędną, radosną... więdnących kwiatów woń... za zmysłów ukojenie... Może zapełnisz to uczucie pustki, może się zbędziesz tego dławiącego lęku przed jutrem...

Szalej... żyj, Judo...

W wyuzdaną grę wyobraźni Judy, padło ciche pytanie Jana:

— Zali nas Jezus nie uczył, iż to marność jest...

— Marność!... — Juda się zaśmiał cicho, drwiąco, na trawę rzucił, ramiona nad głową splótł: — a cóż marnością nie jest... Świat to żywy, świat rzeczywisty, którego rękami dotknąć możesz, a nie rozwieje ci się w nic... a nie przepadnie. Świat, który zdobyć można...

— Na jak długo? Zali w każdem istnieniu nie przychodzi tajemnicza godzina śmierci, w której wszystkiego odejść trzeba, wszystko zostawić... Zali nie rzekł przed wiekami najmędrszy w Izraelu człowiek, że wszystko na ziemi ma porę śmierci i porę kwitnienia i wszystko na niej marnością jest. Zali nas nie uczy Jezus, iż jedyną, czas zemijającą wartość ma dla człowieka jeno to, co duchem i dla ducha zdobędzie. Wszak wszystko w okół nas mija, wszystko minąć musi, my sami nawet, a jeno owa iskra Boża w nas, gdy ją rozdmuchamy w płomień, ma wieczną wartość i wieczny blask... Mam to życie... którego czar z takim zapałem kreśliłeś, Judo... prawda?, iż w niem nigdy nie zaznałeś ducha pogody, owej ciszy bezmiernej, jaką daje nauka Chrystusa, owej radości, gdy człowiek przestaje żyć dla siebie, a staje się jakgdyby ogniskiem wszechludzkiego miłowania...

— Nie miałem w ów czas pogody ducha, prawda to... ale

i teraz burzę mam w sobie jeno i mękę... By żyć dla drugich, Janie, trzeba już samemu stać poza granicą życia... ty... ja, za młodzi jeszcze jesteśmy, by iść drogą rezygnacyi zupełnej, zupełnego wyrzeczenia... ludźmi jesteśmy, a na to... świętemi być trzeba... Ja miłuję życie... wszystko złe i dobro w nim, bo zresztą... czyż ktokolwiek z nas... może na pewne stwierdzić, gdzie się dobre kończy a złe zaczyna. Cnoty bywają czasem występkiem, a występek cnotą... wszystko zależy od okoliczności, towarzyszących czynowi i... od zapatrywania jednostek lub ogółu.

Niechętnie ściągnęły się czarne brwi Jana, tworząc na gładkiem czole bruzdę głęboką... poco on mu to wszystko mówi?... poco? Czyż takie myśli może snuć uczeń Chrystusa... dlaczego więc on nie odejdzie... dlaczego ciągnie się śladami Mistrza a kłam ma w duszy...

— Judo... milcz... nie przystoją uczniowi Chrystusa takie myśli, pragnienia i słowa...

— Dlaczego? Właśnie widzisz, czas nadszedł, że mówić muszę... bo ty, ty... umiłowany uczeń Jezusa, mógłbyś go prosić, by porzucił myśl dobrowolnej ofiary... Bo co z tego wyniknie... pomyśl tylko... On umrze, a z nim jego nauka... by świat zdobyć, trzeba mu nieść potęgę i moc, pogardę i siłę... nie wyrzeczenie i ofiarę, nie miłowanie i życie...

Cisza... słychać jeno urywany, szybki oddech Judy i szept drzew... Wśród bezmiarów nieba jedna z gwiazd zalśniła jaśniej, łuk złocisty zatoczyła w przestrzeni i zgasła...

A oto drwiący znów głos Judy, znużony teraz i smutny:

— Wszystko, co rzuca szlak utarty... g... gaśnie jako ta gwiazda... bez śladu... A nam uczniom Mesyasza, co na krzyżu skona... pogardę poniosą i nienawiść a nas ze społeczeństwa wykluczą i będziemy jako zwierzęta bezdomne... my, cośmy władanie mogli mieć w tym kraju... szacunek ludzki i miłość...

Jan milczał... szalonym wirem tłoczyły się w mózgu sprzeczne myśli, bolały skronie... Było w nim rozdwojenie dziwne, jedna część jego jaźni odczuwała skupienie olbrzymie, modlitewne, pełne niezachwianej wiary, iż to, co Jezus postanowił, konieczne jest dla dobra ludzkości, dla dobra całego świata, a przecież pod

wpływem ostatnich słów Judy, z ciemnych zakamarków ducha, wypełzały myśli posępne, bolesne...

Chłodnym pozostał, gdy Juda opisywał urok życia, władzy, posiadania, ani na chwilę nie porwał go przyziemnych myśli wir, przeciwnie, wzmogło się w nim przeświadczenie, iż najlepszą część otrzymał, dążąc śladami Chrystusa... chociażby drogą wiodła przez nienawiścią rozszalałe tłumy, przez ponurą bramę śmierci... świat wiecznego dobra, wiecznego piękna...

Ale teraz schwycił go lęk... na tle hulaszczych, w zmysłowym szale pogrążonych tłumów, uwydatniło się jaskrawo przeświadczenie... iż umiłowany mistrz nawet śmiercią nie rzuci pomostu nad przepaścią, rozdzielającą świat Jego ducha od świata ludzkich pragnień, nawyknień, win. I wstało w nim nagle pragnienie potężne, by się rzucić do stóp Jezusa i błagać go... o! wymowniej, goręcej, niżeli to poprzedniego dnia uczynił Piotr... by użył mocy swojej, swojej potęgi... by nie dopuścił do takiego końca...

A z niemi... cóż będzie z niemi... wykluczą ich ze społeczeństwa, pogardę dadzą i nienawiść... słuszność ma Juda... kraj ojczysty wrogim się im stanie i obcym...

A pogarda... tak boli...

Gdy wieczorem w domu rodzinnym był, ojciec zaczął się rozwodzić szeroko i długo o wszystkiem, czego w słowach Chrystusa pojąć nie mógł, bo odbiegało od form, z któremi się zżył. — Daremnie tłumaczył, odczuwał, że słowa jego niezrozumiałe są dla nich, obce, dalekie... Gdy do wieczerzy zasiedli, a on rąk zapomniał umyć przed jedzeniem, bo do zachowywania ścisłego tradycyi czysto zewnętrznych nie przywiązywał Jezus wagi, jeno ją kładł na treść dusz, czynów i słów, to dojrzał niepokoju pełne spojrzenie matki i gniewne ojca.

— Zali ty i twój Mistrz... burzyć nam chcecie odwieczne prawa?!

— Ojcze... czyż mycie rąk przed każdem jedzeniem, przeważnie zaznaczane tylko dla formy, wpływa na oczyszczenie dusz synów Izraelskich? Czystość ciała powinna iść w parze z czystością ducha... inaczej są to groby pobielane... nic więcej.

— Mędrzec...

— Ojcze... nie unoś się gniewem... wieczerza czeka, ryby ci przyrządziłam jako lubisz, w świeżuchnej oliwie z cebulą... no jedzcie, ukochani moi, gdy Bóg dał — starała się załagodzić sprawę matka, ale Jan odczuł, że pomiędzy nim a domem rodzinnym stanęło coś obcego... coś, co na zawsze dzieli.

A gdy po wieczerzy ojciec wyszedł oglądać sień, nie rzekł synowi ni słowa pożegnania... cisza była w izbie, matka z dziewczętami zmywały miski, a słabe światło oliwnych lamp ledwo rozjaśniało wnętrze, więc podniósł się, by odejść, a gdy do matczynych rąk przylgnął pocałunkiem, rzekła mu cicho:

— Janie... zostań... zanim obcym się nam staniesz i Jakóba namów, by do domu powrócił...

Odczuł na skroniach jej usta i jej łzy... Szarpnęło mu się coś w duszy, ale rzekł z synowską pokorą, ale i z pełną męskiej woli:

— Nie mogę, matko...

Westchnęła...

— Pamiętaj, Janie, ojciec wasz nie łatwo przebacza... Żeby chociaż wasz mistrz przyobiecał wam stanowisko jakieś w swojem przyszłem państwie... możeby... No... Bóg nad tobą... pójdę do mistrza twego... poproszę...

— O co, matko?

— Abyście kiedyś pierwszemi byli okok niego... to ojca ułagodzi...

— Nie czyń tego... nie dla zaszczytów mu służę!

—Lękam się o ciebie, dziecko... jak się to skończy? Nienawidzą go...

— Za co, matko?... wszak jeno dobro im dał...

— Bo inny jest od wszystkich, bo nam nasze życiowe pojęcia odmienić chce... dobrze nam było... nie pragniemy zmiany... rozumiesz, Janie...

W krwawym świetle ogniska stanęła przed nim Aholiba, towarzyszka jego zabaw dziecinnych, na żonę mu ją przeznaczyła matka i prężąc przed nim swoją giętką kibić, kusiła niskim, gardłowym głosem:

— I ja go nienawidzę... — przechyliła ciemną, złotemi obrę-

czami zdobną głowę i zmieniając nagle ton głosu, mówiła cicho, wabnie... jak gołębica w borze wabiąca gołębie: — Matka mi rzekła, bym prosiła ciebie... chciałabym, byś został... zostań... Wszak rodzinnego szczęścia nawet twój mistrz nie broni... jako rodzice twoi żylibyśmy na pobrzeżu jeziora, opływając w dostatki, nie krzywdząc nikogo... szczęśni jako oni... Wierzyłabym może nawet... we wszystko... w co ty wierzysz... możebym nawet przyjaźnie mistrza twego witała... gdyby... gdyby mi nie zabierał ciebie...

A w nim była litość, nic... jeno litość... i mówił jej namiętnie i długo o szczęściu innem, większem, które stało się jego udziałem, pragnął w nią przelać ogrom swojej wiary i tej miłości ogarniającej świat cały, pozbawionej wszelkich osobistych pragnień, a przez to samo wielkich burz... Kto raz w światło tęsknemi spojrzał oczyma, temu nie wracać w mrok... temu między rzesze ludu iść i o onem świetle wieść nieść radosną... Patrzyły w niego jej oczy ogniste, jakgdyby własny żar w niego przelać pragnęły a potem stały się drwiące i pogardliwe, przesłoniły jedwabiem rzęs, przygasły znudzone i nagle z za purpurowych warg błysnęły drapieżne, ostre zęby w uśmiechu:

— O żebraczym kiju, Janie... ty, bogatego Zebedeusza umiłowany syn!

— Ja, Aholibo... mistrza mojego uczeń wierny, niosący światu miłość Boga i miłość bliźniego... ja najszczęśliwszy z szczęśliwych.

— Jesteś jako dziecko, Janie... co życia nie zna i miast po chleb codzienny, do gwiazd wyciąga dłonie... — łkała matka...

A dziewczyna odwróciła głowę, po smagłej twarzy przemknęła łuna rumieńca, oczy rozgorzały i przygasły, zamyśliła się, a potem zaśmiała nagle lekko, swobodnie... czuł, że oto wyrzucała go ze swoich marzeń, ze swojego życia, jak coś marnego i niepotrzebnego. Z pod przymkniętych powiek rzuciła mu spojrzenie długie, które jak bicz uderzyło jego dumę...

— Biedny... szalony Janie...

Pierwsza to była pogarda, co wyjrzała ku niemu z głębi ludzkich źrenic... war krwi uderzył mu do twarzy, rozpętał w duszy gniew...

Zmógł się jednak... A teraz przypomniała mu się owa wieczerza w rodzinnym domu i smutna pewność wstała mu w duszy — gdy Jezus z Nazaretu śmiercią krzyżową umrze, to nawet wrota ojczystego domu zamkną się przed tobą, Janie...

Ale zaraz niemal ów drugi głos w głębi duszy, ów wierzący i ufny, powtórzył słowa Chrystusa:

„Kto miłuje ojca lub matkę nademnie, nie jest mnie godzien". „Ktoby chciał duszę swoją zachować, straci ją, a ktoby stracił duszę swoją dla mnie, znajdzie ją". A z mroku pełznął ku niemu szept:

— Proś Jezusa, Janie... zali w nędzy i hańbie poginąć mamy?

— Dlaczego sam nie prosisz go o to, Judo... jako ja uczniem jesteś... Ja przekonany jestem, że co Mistrz postanowił, dobrem być musi i koniecznem, a nam jeno o to dbać należy, by śladu Jego nie stracić.

— A jeżeli ten ślad w męki powiedzie i w śmierć, w poniżenie i w pogardę?

— Jeżeli tylko On będzie przed nami, to znać właściwą i do celu wiodącą, będzie i ta droga...

Juda uśmiechnął się wzgardliwie i rzekł obojętnie...

— Zresztą... może i słuszność masz.... — a w duchu przemknęła mu myśl: — Nie wszystkie proroctwa się spełniają a przeciąg roku wiele się zmienić może — i ogarnął go nagle żal, że był za szczerym, za otwartym, więc dorzucił: — Pamiętaj, że słowa moje dyktowała jeno miłość dla Mistrza i lęk o nas wszystkich... bo gdy owcom pasterza zabraknie... smutny ich los. Śpij spokojnie...

— I ty...

A jednak tej nocy, dobroczynny sen nie dotknął skrzydeł swoich ciszą oczu Judasza z Kariotu, ni Jana Zebedeuszowego syna.

* * *

Było to szóstego dnia rano... o szarym świtaniu wstającego dnia Jezus pochylił się nad śpiącym uczniem:

— Janie... wstań...

Zerwał się, przetarł pięściami senne powieki, usiłował zebrać rozpierzchające się myśli... w srebrnych tonach poranku widmowo znaczyła się przed nim biała postać Mistrza z Nazaretu.

— Pójdź... chciałbym, byście się modlili wraz ze mną... zbudź brata twego i Piotra... i pójdźcie ze mną...

Usta Jana drgnęły mimowiednem, niewymownem pytaniem:

— Dokąd Panie?

A Chrystus mu odpowiedział uśmiechem:

— Czyż ci nie dość... iż ja, przewodnikiem twoim będę?

* * *

Szli w milczeniu, przejęci nawskroś zimnem poranku, białym stokiem drogi, pnącej się ku szczytom... na prawo i lewo majaczyły w ciemni i mgle sylwetki krzewów i drzew... czasem kij wędrowny uderzył o kamień głucho... czasem z pod sandała usunęła się ziemi bryła i spadała z cichym szemraniem w tajemniczy mrok.

Długo już szli i zaczęło ich ogarniać znużenie... z trudem pracowały piersi, urywany, zmęczony oddech się rwał — a w okół kupiły się mgły szare, ciężkie... przybierając zwolna opalową barwę, nagle przedarł się przez nie ukośny promień słońca w zaporze mgły uczynił wyrwę i w fali blasku ukazał im potężny, ścięty, olbrzymiemu ołtarzowi podobny szczyt Taboru.

Jan przystanął, olśnił go ten widok, przykuł potęgą niebywałego piękna... fala rozedrganych, złocistych promieni biegła przestrzenią, jakgdyby od tego ołtarza wzniesionego mocą natury, świetlistą ścieżkę kładła pod stopy Chrystusa. I oto świat cały tonął w gęstej brudno-czerwonej mgle, postacie uczniów znaczyły się w niej niewyraźnemi szaremi plamami, a idącego przodem Mistrza ogarnęła już fala blasku i zdawał się wznosić ku szczytowi, w bieli swojej lnianej szaty... jak kapłan, idący spełniać ofiarę w przybytku Najwyższego...

A oto teraz i inni weszli za nim w światło i zdało się im, że nagle potężna ręka wyniosła ich ponad świat: nad niemi głęboki, bezchmurny błękit rozpościerał kuliste sklepienie, zwycięskie słońce pełń światła rzucało im w oczy, szczyt Taboru lśnił tęczą

blasków... jakgdyby tysiącem klejnotów a przed niemi kłębiło się jedno bezbrzeżne morze złoto-rudej mgły... przebić jej nie mógł wzrok...

Jan osunął się na kolana... nie śmiał iść dalej, z rozkoszą oddychał wonnem, bezmiernie czystem powietrzem wyżyn, chłonął tęsknemi oczyma piękno wstającego dnia, a dusza jego była jakgdyby pieśnią nad pieśniami, ku czci tego Boga, którego potęgę, dobroć, moc twórczą ze wzmożoną odczuwał siłą.

A oto Chrystus wszedł na szczyt Taboru, na tle błękitu zarysowała się jego biała, wyniosła sylwetka... wyciągnął w bezkres ramiona, jakgdyby spełniał ofiarę podniesienia w Jeruzalemskiej świątnicy... jakgdyby oddawał sam siebie... ,

I oto nagle biel Jego szat zalśniła potęgą światła, a odchylona ku niebu twarz stała się podobną wizyi promiennej.

To nie był już Jezus z Nazaretu, który z bezmiarem cierpliwości siał w ich dusze zdrowe ziarno, z którego życie miało im wstać przyszłe, który chodził z niemi po słonecznych drogach Galilei jak brat dobry, jak przyjaciel wyrozumiały, czasem jak sędzia surowy... To nie był już ów Jezus z Nazaretu, z którym pod jednym sypiali dachem, z jednej misy jedli i z jednego kubka pili... nie... to był potężny zjaw Boga.

I zdawało się Janowi, że śni... a oto spojrzał ku niemu Pan, przez chwilę głębia Jego błękitnych oczu ogarnęła go spojrzeniem i w duszy jego burza ostatnich dni ułożyła się w spokój bezbrzeżny, w ciszę bezgraniczną... zdało mu się, że i jego duszę słońce przeszyło światłem na wskróś.

Myśl jego zaczęła ogarniać szerokie, coraz szersze kręgi... niezrozumiałe rozumieć, tajemnicze przenikać.

Na szczycie Taboru zjawiły się obok Chrystusa dwie postacie, jakgdyby z mgły świetlistej uwiane a pełne wyrazu i życia... wizya starca o brodzie siwej, czole potężnym i oczach mających coś z orła i gołębicy i mężczyzny w sile wieku z brody czarnej bezładem.

Skąd oni przyszli? Kto są? — myślał Jan — i dlaczego tak blizcy mi się wydają, jakgdybym ich znał od lat, jakgdybym ich miłował od dawna... jakgdyby towarzyszami byli mojej młodości...

nauczycielami moich lat męskich. I nagle odczuł, że to dwaj wielcy jego narodu... Mojżesz i Eliasz... i radość w nim wstała upojna.

Więc poza śmiercią jest życie... takie potężne, piękne, pełne życie... więc chociaż ciała ich dawno zniknęły z ziemi... oni żyją jednak i pośrednikami są pomiędzy niebem i ziemią... orędownikami swego narodu.

I ty nim być możesz... chciej tylko... wola stanowi o losie człowieka... ona na szczyty wznosi... lub strąca w doliny — snuło mu się w duszy.

Nie słyszał słów... nie byłby ich umiał zebrać, ni powtórzyć, ni zakląć w dźwięk ludzkiej mocy a jednak ogarniało go świetliste koło myśli Chrystusowej... za lotem Jego ducha szła jego myśl.

I wiedział, że śmierć krzyżowa Chrystusa będzie nietylko dobrowolną ofiarą za winy ludzkości ale równocześnie zwycięstwem ducha nad materyalną potęgą świata... pieczęcią czynu na księdze słów. I jako słońca potęga przesyca kłębiące się w okół mgły, tak pieczęć czynu wniknie w głąb ludzkich dusz...

I ponad światem, Chrystus zawładnie z krzyża a godło hańby i męki stanie się znakiem odkupienia i zbawienia dla ludzkości.

Obok niego Piotr szeptał coś drżącemi wargami i Jakób w lęku tulił się do ziemi a w nim ponure słowo: śmierć, uzupełniało potężne jak objawienie słowo: zmartwychwstanie!

Zmartwychwstanie... złocista przełęcz pomiędzy niebem a ziemią, ów żywot od życia cenniejszy.

A oto szczyt Taboru zaciemnił nagle słoneczny obłok, powieki ucznia przymknęły się mimowiednie przed siłą blasku i słyszał jeno głos, ogarniający zda się świat cały mocą nakazu:

„Ten jest syn mój miły... tego słuchajcie". A potem cisza... wielka, bezbrzeżna cisza i jeno w duszy świadomość szczęsna, nie dających się jeszcze jasno ogarnąć wrażeń... wdzięczności olbrzymiej, ofiarnej gotowości, tęsknoty, by ta chwila końca nie miała... by trwała w nieskończoność.

A oto jasny, dobry głos Chrystusa rzekł ponad niemi:

— Wracajmy!

Wracać... o gdyby tu można zostać wiecznie! wiecznie! Gdybyż tu zostać można... Panie!

Podniósł oczy i ujrzał Go zstępującego ze szczytu Taboru, w aureoli słonecznego blasku szedł z pochyloną głową, z uśmiechem smutnym na pobladłych ustach... człowiek idący po mękę, po krzyża ciężar... po śmierć hańbiącą... Bóg dający za żywot świata życie własne.

W milczeniu Jan kraj Jego szaty do ust przycisnął gorących, w milczeniu szedł Jego śladem w doliny... jak skarb unosząc w duszy promienną wizyę owej godziny... Święta mu się ona stała... tak święta, iż przeżyć jej nie byłby śmiał wyrazić słowem.

A słońce zwyciężyło tymczasem potęgę mgły... wyłoniły się szczyty gór... daleki błękit morza, Jordanu wstęga srebrzysta, ciemna zieleń lasów, palm rozłożyste konary, sadyby ludzkie tulące się do wzgórz jak gniazda jaskółcze i promienne od kwiecia gaje oleandrowe w dolinie.

Przez chwilę spojrzenie Chrystusa i Jana, Zabedeuszowego syna spotkało się w przestrzeni, jedną myślą brzemienne... i od owej godziny stał się Panu Jan najmilszym uczniem.

Marya Czeska.

Wojenne czasy muzyki.

II.

Ostatnie 4 roczniki „Jahrbuch der Musikbibliothek Peters“ (od 1914 r.) podają wykazy zmarłych i poległych muzyków niemieckich. Wykazy te są wprost przerażające, choćby z tego względu, że zawierają nazwiska głośne. Trudno jest w ramach naszego sprawozdania zająć się już nie wszystkimi, ale nawet wybitniejszymi. Ileż możnaby powiedzieć o tak wybitnych muzykach jak Wilh. Altenburg, Karol Attenhofer, Marian Falck, Albert Göhler, Karol Rafael Hennig, Ryszard Heuberger, Robert Hirschfeld, Albert Kopfermann, Edward Kremser, Rudolf Louis, Karol Nawratil, Feliks Schreiber, Bernard Stavenhagen (1914), August Bungert, Krug-Waldsee, M. Loewengard, Henryk Schultz — Beuthen, Rudolf Stephan, Adolf Thürlings (1915), Herm. Gehrmann, Irrgang, Klindworth, I. Knorr, Emil Krause, Rudorff, B., Scholz, Fr. Steinbach, R. Wustmann (1916), Karol Mennicke (1917), a więc muzykami posiadającymi trwałe zasługi czy w dziedzinie praktyki czy teoryi myzyki, w sztuce twórczej i odtwórczej. Iluż mistrzów i śpiewaków, dyrygentów i pedagogów należałoby do tego szeregu dodać! Są to jednak muzycy, dający się zastąpić innymi, niemniej wybitnymi, a niekiedy daleko wybitniejszymi. Tych w Niemczech nie brak, są nawet wielkie szeregi znakomitych muzyków, tak że ubytku mimo wszystkiego nie znać. Ale w szeregu kierowniczych lub wpływowych talentów muzyki niemieckich powstały

wielkie wyłomy: Karol Goldmark, Fryderyk Gernsheim, Max Reger.

Fryderyk Gernsheim (1839—1916) był w ostatnich latach swego pracowitego życia profesorem kompozycyi w berlińskiej „Hochschule für Musik", a więc instytutu słynnego z powodu bardzo konserwatywnych kierunków, które wprowadził Joachim i które do dnia dzisiejszego nie byłyby zniknęły, gdyby pruski minister oświaty von Schmidt nie był powołał na następcę po Gernsheimie — Ryszarda Straussa. Ten krok pana ministra, uczyniony niewątpliwie nie bez faktycznych choć z pewnością bez formalnych protestów ze strony senatu „Hochschuli" (dyr. Herman Kretzschmar) zmieni wygląd instytucyi w całym świecie muzycznym osławionej. Gernsheim był jednym z filarów konserwatyzmu berlińskiego, obok M. Brucha (drugiego profesora kompozycyi w „Hochschule") i innych mniejszych. Cechą jego dzieł jest wzorowana na starych klasykach solidność faktury, przejrzysty i płynny kontrapunkt i mała indywidualność tak w melodyce jak i instrumentacyi. Nowych wartości Gernsheim nie wniósł do muzyki. Ani dzieła kameralne (kwintet smyczkowy op. 66 jest istotnie pięknym) ani orkiestrowe (symfonie) nie są dziełami przełomowemi, a choć Gernsheim stara się być nowszym w swej zewnętrznej szacie, to jednak duch, jaki z tych dzieł wieje, dowodzi, że mamy do czynienia z muzykiem zależnym głównie od Schumanna, Mendelssohna, Brahmsa, których styl jest u niego zmodernizowanym, odświeżonym, lecz nie świeżym i nie nowożytnym. Jak wszyscy komponujący pedagogowie „Hochschuli" (Jerzy Schumann stanowi wyjątek), tak i Gernsheim dał swą najlepszą cząstkę w dziełach wokalnych. Wokalizm — to jedno ze znamion berlińskiej „Hochschule", która do swych pedagogów zaliczała ongiś Grella, odmawiającego muzyce instrumentalnej znaczenia większego... Do dzisiejszego dnia studyum kompozycyi w tej berlińskiej szkole stawia uczniom za wzór wokalizmu dzieła XVI. i XVII. wieku. Nie możnaby nic mieć przeciw temu, gdyby uczniami byli sami geniusze, którzy wyuczyliby się na tej literaturze polifonicznej techniki wokalnej, nie ulegając wpływowi stylu i jego cech zewnętrznych w pierwszym rzędzie. Gernsheim i tu stara się być nowożytnym,

ale z poza doskonałej faktury kontrapunktycznej przeglądają wzory uczelni berlińskiej. Z chwilą gdy te wzory przestają działać, ukazuje się muzyk nie pozbawiony inwencyi i pomysłowości nawet harmonicznej, ale zarazem muzyk bez wyraźniejszych znamion indywidualnych. Żadna kompozycya Gernsheima nie jest bez wyrazu, ale też i żadna nie uderza nutą indywidualną: wzory stare i nowe, doskonale wyzyskane technicznie, pełne smaku i taktu artystycznego, ale nie ukazujące nawet rąbka własnej fizyognomii: są one lepsze niż niejedno nowsze dzieło wokalne, ale są też równocześnie bledsze od nich. Że Gernsheim jest doskonałym kontrapunkcistą, to nawet nie zaleta, lecz — obowiązek. Jego fugi są znakomite (np. op. 76), nietylko pod względem technicznym... Ten wielki brak indywidualności przy szczęśliwem połączeniu najlepszych zdobyczy techniki — to dowód wielkiej bystrości, aby nie powiedzieć: sprytu, a równocześnie jeden z dowodów rasowej przynależności Gernsheima, przynależności, która daje łatwość akomodacyi. Ta rasowa przynależność jest nawet pewnego rodzaju salwowaniem się Gernsheima przed akademicką oschłością. Jego dzieła posiadają nawet sporą dozę temperamentu graniczącego prawie ze zmysłowością. Nie doskonale zrobione 8-głosowe „Ave Maria", ale inne, świeckie o wschodniem zabarwieniu dzieła Gernsheima są miarą jego kierunku. Tylko że obok miejsc dowodzących wytrawnego smaku — to wpływ wzorów — znajdziemy w blizkiem sąsiedztwie affektowane frazy, tak efektowne, że aż przypomina się Meyerbeer lub mniej szczęśliwe pomysły Mahlera. Mendelssohn umiał je ominąć, rzadziej Bruch, który reprezentuje podobny kierunek, w jakim tworzy Gernsheim, a który i dziś każe uznać słuszność pewnych poglądów wyrażonych przez Wagnera w piśmie pt. „Das Judentum in der Musik"...

Tosamo da się zastosować do innego hebrejczyka, który nestorował do niedawna austro-węgierskiej muzyce: był nim Karol Goldmark (1830—1915). Uderza u niego bajeczna zdolność akomodacyi do kierunków będących w muzyce chwilowo lub dłużej en vogue. Goldmark naśladuje Wagnera w swej operze „Merlin". Muzyka oscyluje między „Lohengrinem" i „Parsifalem", ale styl

jej omało nie jest przeniesieniem romańskich legend rycerskich — na wschód. Gdyby Goldmark był autorem „Lohengrina", jego bohater zwałby się może „L o h e n g r ü n"... Gdy Humperdinck odniósł olbrzymi sukces w swej operze pt. „Jaś i Małgosia", Goldmark zastosował się do środków przynoszących tryumfy Humperdinckowi i napisał operę „Heimchen am Herd". Zważmy zaś, że talent Goldmarka jest większy niż talent Humperdincka... Czyż i to nie jest objawem typowym dla rasowej przynależności Goldmarka? Dlatego wtedy, gdy Goldmark może nie przenosił się w światy obce jego ideologii, powstaje opera bądźcobądź cenna, t. j. „Królowa Saby", rzecz niezmiernie popularna i szczera, gdyż odpowiadająca temperamentowi wschodniemu Goldmarka, podsycanemu przez krew węgierską, jakiej pewna doza w jego żyłach płynęła. Tu już nie musiał kompozytor wzorować się nawet na „Aidzie" Verdiego. Posiadał warunki wschodniej atmosfery w swej duszy. Nie napisał Goldmark ani jednego utworu, który byłby pełnym refleksyi, uduchowienia. Wszędzie wrze impulsywny temperament wschodni, nieraz barwny i zawsze szczery; melodyka jego jest tak soczystą i bujną, że niekiedy staje się aż natrętna. Bardzo barwną jest również jego instrumentacya, a wogóle faktura Goldmarka przedstawia się jako doskonała wogóle i w szczegółach. Niema ani jednej kompozycyi tego mistrza — a na ten epitet Goldmark zasługuje zupełnie — któraby nie była conajmniej dobra. Tylko że styl jego niekoniecznie wzbudza podziw. Sporo przymieszek operowych znajdziemy nawet w jego instrumentalnych kompozycyach, z których symfonia pt. „Wiejskie wesele" i z uwertury („Sakuntala" i „Na wiosnę") do dzisiejszego dnia są często grywane, podobnie jak koncert skrzypcowy. Mimo wszystko Goldmark nie był silnie zarysowanym profilem artystycznym, ani też jakąś odrębną indywidualnością. Jego uczeń, Jan Sibelius, wielki narodowy kompozytor finlandzki nie przypomina go w żadnym szczególe. Ratuje jego dzieła głównie płynna i nie pozbawiona nawet romantycznych cech inwencya. W harmonice zależność od Wagnera jest często aż nazbyt widoczna. Najbardziej sympatycznie nas nastraja rzeczywista szczerość, z jaką Goldmark tworzy — „wie ihm der Schnabel gewachsen". Trywialność nie razi

w zbyt wielu miejscach, jakkolwiek nie znajdziemy u niego pomysłów odznaczających się dystynkcyą, mogącą wytrzymać próbę ścisłej estetyki.

Przechodzimy obecnie do zupełnie innej sfery, w niczem nie przypominającej nam ani Gernsheima ani Goldmarka.

Max Reger (1873—1916). Nagle i niespodziewanie nastąpił zgon największego współczesnego kompozytora. Strata to olbrzymia nietylko dla muzyki niemieckiej, której wraz z Ryszardem Straussem przodował... Ale jeśli o innych podczas wojny zmarłych mistrzach można bez żadnej przesady powiedzieć, że nie przestając tworzyć dzieł wartościowych, już ostatecznie wypowiedzieli się byli i rozwinęli do ostatecznych granic swą twórczą indywidualność, to w Regerze, niestety, musimy widzieć wielkiego twórcę, który stworzył już dzieła olbrzymiej i trwałej wartości, ale jeszcze nie stanął na najwyższej wyżynie swego istotnego geniusza. Zmarł, licząc lat 43, a więc w wieku, w którym genialny twórca zwykł był wznosić się na szczyty, gdzie zasiadają najwięksi klasycy wszelkich epok muzyki. Należał do tych, którzy ustawicznie dążą naprzód, a do końca życia twórczość ich wstępuje na coraz wyższe szczeble klasycznej doskonałości. Tkwił wszystkimi pierwiastkami swej indywidualności w sztuce Bacha, z którego wyrósł, a jednak poszedł dalej naprzód, niż Strauss w „Salome“ lub Debussy w „Peleasie i Melisandrze“. Reger przedstawiał się dlatego jako problem tak trudny do rozwiązania, że dla wielu tylko przyszłość mogła być wyrocznią i sędzią. Ale problematyczność ta nie leżała w rzeczywistości w samym Regerze... Nic bardziej konsekwentnego w sobie samym, jak Reger, konsekwentnego w znaczeniu historycznego związku przyczynowego, związku między teraźniejszością a przeszłością. Ta „problematyczność“ Regera tkwiła w tem, że poglądy estetyczne ostatnich czasów ugruntowały się jednostronnie na sztuce Wagnera i jego następców, a głównie Bruchnera i R. Straussa.

Uznano za zdrowy tylko ten rozwój muzyki, który będzie się przedstawiał jako dalsza ewolucya po linii wytkniętej przez

Wagnera, — i to zarówno w formach instrumentalnych, jak i dramacie muzycznym i pieśni. Brahmsa uznano za ostatni blask zachodzącego słońca klasycyzmu i romantyzmu i nie ośmielał się nawet nikt przypuścić, iż może powstać genialny muzyk, który będzie czynami udowadniał, że tak nie jest i być nie musi. Stąd uważano Regera za reakcyonistę, tem bardziej, że jego polifonia nie od Wagnera lecz od Bacha i ostatnich dzieł Beethovena się wywodzi. Z drugiej jednak strony przerażały jego harmoniczne, modulacyjne nowatorstwa idące dalej niż rzekome kakofonie Straussa i jego duchowych uczniów. Ludwik Thuille, wielki pedagog i kompozytor kierunku wagnerowskiego, wyraził się do podpisanego podczas lekcyi kompozycyi, że Reger jest: „ein verrückt gewordener Johannes Brahms...".

I tu zaczyna się tragedya (może tragikomedya) w poglądach, owa „problematyczność" Regera...

Dr. Adolf Chybiński.

Wrażenia z Kampanii Rzymskiej.

(Kampania jako jednostka geograficzna i historyczna).

So lang' mir quillt der Lieder Strom,
Sing' ich zum Preise dir, mein Rom.
O dort zu sein, o dort zu sein,
In Frühlingslust und Sonnenschein,
Das ist ein Glück so reich und gross,
So zaubervoll und namenlos,
Dass es das Herz erhebt und trägt
So lang' das Herz noch lebt und schlägt.
(Allmers „Römische Schlendertage").

Słusznie wyraża się ks. Weiss, Dominikanin, iż w dwóch tylko miejscach na świecie można właściwie ducha dziejów ludzkości zrozumieć: w Jerozolimie i w Rzymie. Poznanie historyi, jaką w ciągu długoletnich studyów z książek czerpiemy, tam widzimy ożywione w potężnych zarysach pamiątek, budowli i okolic, w których się odegrała. — Nie bez słuszności pod pewnym względem nazywają Rzym „wiecznem miastem". Wyraża to w przenośnem znaczeniu bardzo trafnie ten fakt tak w oczy bijący każdemu, który bliżej zna miasto i okolice, iż niema epoki i okresu w historyi powszechnej, w którejby Rzym roli pewnej nie odgrywał, jak też niema wieku, któryby po sobie tam pamiątek lub śladów jakichkolwiek nie pozostawił. Fakt ten określa aż nadto znaczenie tego miasta. Na tem jednak nie koniec; słusznie bowiem wyraża się Leopold von Buch, twierdząc, że Rzym i Kampania jest okolicą klasyczną taksamo dla historyka i archeologa, jak też równie dla przyrodnika

i geologa. Okolica ta, której centrum „wieczne miasto", jest jedyną w swoim rodzaju całością, gdzie każdy szczegół ma swe znaczenie, swoją historyę. Jestto jednak też całość tak pod względem geologicznym, jak i morfologicznym, krajobrazowym. Kampania z Rzymem razem brała udział w roli, jaką to miasto w ciągu wieków odgrywało, i taksamo też cała ta okolica była niegdyś przedmiotem najrozmaitszych zmian i przewrotów geologicznych i tektonicznych. Z tego też wynika już samo przez się, iż trudno ściśle określić granice tego kraju. Przechodzą one po większej części stopniowo w inne, otaczające je okolice, nieraz bez ścisłego odgraniczenia. Wypadnie nam jednak wykazać, iż Kampania rzeczywiście taką całość tworzy, odrębną pod wielu względami od reszty Włoch. Historyczna rola Rzymu jest wynikiem, po części dość naturalnem, specyalnych okoliczności, w jakich się to miasto wraz z okolicą znajdowało w ciągu wieków. O przejściach geologicznych przekonamy się przy stopniowym opisie. Zresztą samo traktowanie przez tylu autorów Rzymu i Kampanii jako całości odrębnej daje nam pewną pod tym względem rękojmię.

I. Natura martwa.

(Geologia, Geografia fizyczna).

Granice wschodnie i zachodnie są naturalnie nie trudne do określenia; Kampania zamknięta od tych dwu stron przez morze i góry Sabińskie, tworzące niższe pasmo Apeninów. Od północy za to i od południa położenie znacznie trudniejsze do oznaczenia. Najdalsza jednak granica na północ to Viterbo i Monte Cimino; południową granicę tworzyłyby mniej więcej góry, które nazwę otrzymały od dawnego plemienia Volsków. W ogólnych zarysach możnaby nazwę Kampanii rzymskiej dać przestrzeni objętej przez jeziora wulkanicznego pochodzenia, Lago di Vico i Bracciano na północy; a Albano i Nemi na południe; te wulkaniczne jeziora tworzą zarazem jedną z najbar-

dziej charakterystycznych cech tego kraju, co był niegdyś polem działań wybuchowych, tych obecnie wygasłych kraterów.

Okolica ta niegdyś bardzo zaludniona, dziś stosunkowo dosyć opustoszała, zachowała mimo tego tyle uroku i poezyi, iż należy do najbardziej odwiedzanych. Zawdzięcza to po części wspaniałej przeszłości, której ślady na każdym kroku się spotyka, po części zaś właściwemu i tak bardzo oryginalnemu wyglądowi krajobrazów.

Dziwna rzecz, iż kraj ten mimo tylu dodatnich i zajmujących stron, ma jedną ujemną, która go silnie odróżnia od sąsiednich okolic. Jestto klimat. Nie odpowiada on właściwie szerokości[1]) i możnaby go raczej nazwać kontynentalnym, chociaż złagodzony wpływem morza. Jestto jeden z charakterystycznych rysów różniących to miasto od obu najbliżej na północ i południe położonych znaczniejszych miast: od Florencyi i Neapolu, odznaczających się o wiele łagodniejszym i milszym klimatem. Powód tej różnicy leży może w niskiem położeniu przeważnej części Kampanii i w tem, że od strony morza oddzielona szeregiem pagórków. Łagodzący jednak wpływ morza, oddalonego o 6 godz. pieszej drogi, nieraz w ciągu roku się odczuwa[2]).

Bardzo charakterystyczną rzeczą w Rzymie są wiatry. Dolina Tybru, ciągnąca się z północy na południe, otwiera wstęp rozlicznym i bardzo zmiennym prądom powietrznym. Główne wiatry są przedewszystkiem znane Scirocco z południa i Tramontana z północy. Scirocco jest wilgotny lub suchy, zależnie od okoliczności, w których wieje. Powoduje on szybkie podniesienie temperatury, czyniąc równocześnie powietrze duszącem i wskutek tego jest jednem z najnieprzyjemniejszych zjawisk powietrznych. Tramontana jestto przeciwnie wiatr bardzo zimny

[1]) Szerokość geograficzna obserwatoryum astronomicznego Rzymu, znajdującego się na kościele św. Ignacego (dawne obserwatoryum O. Secchi S. J.) jest: $45^{0}\,53'\,54''$. Długość: $12^{0}\,59'\,23''$ wsch. od Greenwich.

[2]) Przeciętna temperatura wynosi + 15·9° C., a minima w jesieni 9°, w zimie 6°, na wiosnę 3°. Maxima zaś w lecie 36°, w jesieni i na wiosnę 32°. Roczne minimum przypada na 30 grudnia, maximum na 6 lipca. Przeciętna temperatura od kwietnia do listopada nie jest nigdy niż zą od + 4 C. W zimie zaś nie opada poniżej — 6° C.

i ostry, dający się odczuwać zwłaszcza w lutym. Całość klimatu przedstawia się dla przybyszów z północy wobec tych czynników na dłuższy pobyt niezbyt ponętnie. Mrozy zimowe, rozpoczynające się około 10. grudnia, nie powodują wprawdzie nigdy opadu temperatury poniżej — 6° C.; czas ten jednak, trwający do pierwszych dni marca najdłużej, daje się bardzo odczuwać. Śnieg, padający co roku, rzadko bardzo dłuższy czas leży na ziemi.

Najprzyjemniejsza pora roku w Rzymie rozpoczyna się około 15. marca i trwa dwa miesiące, przerywana zazwyczaj ze trzy razy dłuższemi deszczami. Jak zwykle w krajach południowych tak i w Kampanii rzymskiej jestto epoka najsilniejszego rozwoju flory. Jedną właściwością tej okolicy jest w niektórych dniach, zdarzających się nieraz i w zimie, nadzwyczajna jasność i przejrzystość atmosfery przy silnem bardzo oświetleniu słonecznem. Jestto pewien rodzaj efektów świetlnych nadających cudny urok krajobrazom urozmaiconym tylu malowniczemi ruinami i tak bogatem ukształtowaniem powierzchni. Na wiosnę, kiedy wszystko o wiele bujniej i szybciej się rozwija, niż u nas, można sobie łatwo wyobrazić, jak czarujący wdzięk zawierają widoki Kampanii; na Via Appia antica n. p., owej „Regina viarum", ulicy grobów starodawnych, gdzie marmurowe posągi, zwaliska i ruiny arcydzieł przeszłości leżą pod wijącym się bluszczem, wśród niezliczonych fiołków, irysów, śnieżno-białych lilii i różnobarwnych kwiecistych łąk. Z jednej strony na wzgórzu zarysowują się poważne kontury obszernej wieży z misternemi ozdobami, od których zwana „Capo di Bove"; to pomnik Cecilii Metelli, późniejszy zamek obronny rodu Gaëtani. U stóp wzgórza resztki Cyrku Maxencyusza; tam niegdyś świetne odbywały się wyścigi. Z drugiej strony fantastyczne, mchem pokryte rozległe mury, t. zw. „Roma vecchia"; to słynąca w starożytności bogactwem Villa Quintiliana, gdzie cesarz Kommodus tak świetne urządzał uczty. W dali błyszczą przy zachodzie słońca piętrzące się na zielonych stokach gór Albańskich renesansowe zamki i pałace z Frascati. Tam wspaniałym ogrodem otoczony, bogaty zamek książąt Aldobrandini, obok stara Villa

Falconieri, dalej ślicznie położony pałac kard. Altemps, wreszcie Castel Gandolfo, Rocca di Papa i wiele innych. Tworzą one łagodny kontrast z poważnemi arkadami ciągnących się w dali na wpół zwalonych wodociągów starorzymskich, co nakształt ciemnych orszaków pogrzebowych w rozmaitych kierunkach przerzynają Kampanię. Opadłe z nich głazy leżą stosami przysypane gruzem i kurzawą a lekki powój o różowych kwiatach dziwnie pięknie je zdobi.

Są to tego rodzaju widoki i wrażenia, w które obfituje Kampania rzymska, tak charakterystyczne dla niej, które nadają jej tyle uroku, zostawiając niezatarte po sobie wspomnienia. Piękność ich polega, jak już z opisu wynika, na harmonijnem zlaniu się piękności natury ze wspomnieniami wspaniałej przeszłości, przy bardzo korzystnem oświetleniu, wśród najprzyjemniejszej z pór roku. Bujność rozwoju roślin kończy się w drugiej połowie maja i nastaje najcięższa pora roku w Rzymie. Zdarzają się lata, w których od końca maja do połowy października kropla deszczu nie spadnie; upał, niszczący wszelką roślinność, staje się nieznośnym nawet w najodleglejszych od miasta punktach Kampanii. Przerywają go czasem gwałtowne burze z grzmotami i błyskawicami. W letnich miesiącach odczuwa się łagodzący wpływ morza, gdyż w częściach miasta, położonych na wzgórzach, wieje wiatr zachodni odświeżający powietrze. Łagodniejszym klimatem w lecie odznaczają się wyżyny gór Albańskich. Dopiero wskutek deszczów jesiennych opada temperatura, w Kampanii zwykle dosyć szybko. Jesień, znacznie krótsza, od wiosny ma swą specyalną piękność, zwłaszcza w niektórych punktach okolicy, gdzie zdala widać wązki pasek morza, który w tym czasie, gdy widnokrąg wolny od mgieł, błyszczy silnie w promieniach słońca, tworząc jakby złotą wstążkę na widnokręgu.

Jeden z najcharakterystyczniejszych rysów Kampanii to jej budowa geologiczna. Apeniny należące do formacyi jurajskiej i kredowej, jako góry wapienne, mają po obu stronach formacyę trzeciorzędu, składającą się z piasku i marglu. Przestrzeń zajęta przez Kampanię ma to specyalne, że pokład wulkani-

cznego tufu w całej tej okolicy leży ponad pokładami, które mają cechy wskazujące, iż były kiedyś dnem morskim. Jestto rys różniący Kampanię od wszystkich otaczających ją okolic. Znajduje się ona między wygasłymi wulkanami, górami Albano i Nemi na południe, a Bracciano i Tolfa na północy. Okoliczność, że formacye wulkaniczne tworzą wierzchni pokład, świadczy, iż były późniejszemi. Zawdzięczają one swe powstanie wybuchom po części jeszcze podmorskim, podobnie jak się to działo na Islandyi. Godnem uwagi jest, iż niektórzy temu właśnie powstaniu Kampanii przypisują po części panowanie malaryi w tych okolicach. Pagórki otaczające Rzym n. p. Monte Mario, nawet samo wzgórze watykańskie zawiera bardzo wiele wytworów formacyi morskich z epoki pliocenu, świadczące, iż niegdyś były dnem morza. Przy bliższych badaniach znaleziono w niektórych pokładach muszle i konchy w wielkiej ilości, mające jeszcze bardzo żywe barwy, a nawet utrzymane były muszkuły łączące obie części.

Ten pokład piasku i gliny jest pokryty na całej przestrzeni tufem wulkanicznym, należącym do ostatniej z epok trzeciorzędu. Różnią się między sobą różne rodzaje tufu wedle tego, czy pochodzą z podmorskich wybuchów, czy też z późniejszych na powierzchni ziemi. Gdzieniegdzie znajduje się w nim wiele odcisków dawniejszej flory. Działalność wulkaniczna niezupełnie ustała jeszcze, jak świadczą o tem Solfatary. Dokoła Kampanii znajdujemy 15 wygasłych wulkanów. Pokład tufu wulkanicznego, sięgający 80. m., zdaje się pochodzić z olbrzymiego krateru, jakiem było dawniej jezioro Bracciano. Stamtąd też pochodzi lawa bazaltowa dochodząca do 20 km. w kierunku ku Rzymowi. W swoim czasie płynęło po Kampanii rzymskiej 20 takich olbrzymich potoków lawy; najznaczniejszy z gór albańskich ku północy, aż po Rzym. Wybuchy te jednak były późniejsze, z czasów historycznych, jak świadczy n. p. miasto Alba, które 1817. r. odkryto pod pokładem Peperynu. Z czasów dyluwialnych czwartorzędu mamy dużo resztek zwierząt a nawet ludzi współczesnych owym gruboskórcom. Dziwna rzecz, że pokłady te, mające miejscami 40 m. grubości, są gdzieniegdzie przerwane

na dwa kilometry doliną Tybru, leżącą niżej od nich; rzeka ta więc musiała dawniej ogromną ilość wody ze swych zródeł otrzymywać. Najmłodszym formacyom alluwialnym zawdzięcza Rzym do 8 m. grubości dochodzące pokłady trawertynu, który tak ważną rolę odgrywał w budownictwie rzymskiem późniejszych wieków.

Dalszym skutkiem działalności wulkanicznej są źródła mineralne, głównie źródła siarczane; najznaczniejsze w Acque albule; już Martialis je charakteryzuje: „Canaque sulphureis Albula fumat aquis". Wiele takich źródeł w Kampanii, nakształt stałych kałuż o niemiłym siarczanym zapachu, zwłaszcza w północnej części. W Vicarello koło Bracciano są ciepłe źródła alkaliczne o + 45° C. Od XV. już wieku wydobywają w niektórych stronach ałun. Nie brak też kopalni siarki, asfaltu i pewnego rodzaju tufu, zwanego „Puzzolana", którego używają jako wapna.

Najznaczniejsze wygasłe wulkany tworzą trzy grupy górskie na północ od Rzymu. Najdalej ku północy wysunięty jest Monte Cimino (1056 m.) koło Viterbo. Montagna di Tolfa położona bliżej morza, a najbliżej Rzymu Monti Sabatini z owym wielkim kraterem, teraźniejszem lago Bracciano; eliptyczny jego otwór wynosi 33 km. w obwodzie [1]). Ta grupa wulkanów o wiele starsza od południowej, gdyż powstała w epoce miocenu. Szczytem najwyższym tej grupy jest Rocca Romana (615 m.). Obok głównego krateru powstały dwa mniejsze; są to obecnie jeziora Martignano i Stracciacappa, na wschód od większego.

Owe sławne siedem wzgórz, na których Rzym zbudowany, dosyć obecnie są nieznaczne, gdyż poziom gdzieniegdzie nawet o kilkā metrów wyższy. Na północ od miasta wznosi się najbardziej malownicze wzgórze Monte Mario (156 m.); śliczny z niego roztacza się widok na całą dolinę. Na wschód widać góry sabińskie, na południe zaś zamykają widnokrąg góry albańskie. Z Monte Mario najlepiej rozróżnia się półkole utwo-

[1]) 164 m. nad poziomem morza, od którego oddalony o 20 km.

rzone przez owe wzgórza[1]), w pośrodku których wznosi się Palatyn i Kapitol.

Na południe od Rzymu wznosi się grupa wygasłych wulkanów z epoki pliocenu o trzech kraterach. Środkowy, wypełniony ziemią, przedstawia zieleniącą się łąkę, zwaną Campo d'Annibale, od kiedy ten wódz tam rozbił swój obóz. Dwa boczne otwory tworzą jeziora, Albano mające 30 km. obwodu i Nemi, które leży 25 m. wyżej i ma 5 km. w obwodzie. Oba znajdują się na zachód od głównego krateru. Dziwny jest kształt tej grupy, gdyż przedstawia się jakby dwa koncentryczne pierścienie utworzone z grzbietów górskich, z których zewnętrzny przerwany od zachodu przez owe boczne kratery, wspomniane właśnie jeziora. Z najwyższego szczytu Monte Cavo (949 m.) przedstawia się rozległy widok. Przy zachodzie słońca zwłaszcza błyszczą wspaniale dalekie szczyty gór Sardynii. Ku północy ogarnia się całą Kampanię po lago Bracciano.

Bardzo malownicze, o wiele dziksze od gór albańskich, są góry Volsków, rozciągające się ku południowi, teraz zwane Monti Lepini z wyniosłem wierzchołkiem góry Semprevisa (1536 m.).

Na wschód od Kampanii ciągnie się z północy na południe łańcuch gór Sabińskich, równolegle do Apeninów. Tworząc miły kontrast z wulkanicznem pogórzem Kampanii, zamyka widnokrąg ku wschodowi zdala widocznemi szczytami Monte Gennaro (1200 m.) i Monte Viglio (2156 m.) najwyższym z nich. Jedna z najbardziej malowniczych gór jest Mentorella; na jej szczycie wystawiono przy końcu XIX. w. wzniosły posąg Chrystusa Pana, widoczny z dala z całej Kampanii. Tuż za wichrowatym szczytem leży mała wioska Guadagnolo, której mieszkańcy noszą ziemię z niższych stron, by módz na terasowatych skałach sadzić jarzyny i zboża do utrzymania potrzebne. Niedaleko stamtąd znajduje się miejsce pielgrzymkowe Mentorella z cudownym obrazem Matki Bożej. Obok

[1]) Najwyższy Kwirynał 69 m., najniższy zaś Caelius mający obecnie 42 m.

malowniczo położony klasztor. OO. Zmartwychwstańców. — Widać stąd, ze S. Eustachio, całą dolinę dzielącą góry Sabińskie od Apeninów; na samym prawie końcu widnokręgu majaczy Subiaco ze swemi urwistemi stokami. Tam to udał się niegdyś św. Benedykt, przepędziwszy na Mentorelli pierwsze czasy swego pustelniczego życia.

Jedną z najbardziej zajmujących miejscowości, jest miasteczko Palestrina, amfiteatralnie zbudowane na wapiennych, szaro-białawych stokach Monte Glicestro. Za czasów rzymskich było to owo słynne Praeneste, tak lubiane miejsce wypoczynku i wytchnienia dla cesarzy i arystokracyi. Charakterystycznie wyraża się o tem Horacy: (Ody III 4_{23})

Vester, Camenae, vester in arduos
Tollor Sabinos; seu mihi *frigidum*
Praeneste, seu Tibur supinum,
Seu liquidae placure Baiae

Rzadko która miejscowość łączy tyle wspomnień historycznych z tak wspaniałym widokiem i miłym położeniem. We wszystkich prawie epokach historyi odgrywała tutejsza twierdza ważną rolę. Zniszczona pierwszy raz przez Sullę w walce przeciw Maryuszowi, w średnich wiekach tak samo, jako centrum potęgi rodziny Colonna, po dwakroć zrównana została z ziemią. Zawiera ślady wszystkich tych epok. Począwszy od najdawniejszych t. zw. murów cyklopowych, mozaik i ruin wyroczni starożytnej, do czasów owego słynnego mistrza tonów Pierluigi da Palestrina, który stąd pochodził, wszystkie epoki zostawiły tu swe piętno. Najbardziej zajmujące są dawne mury owej arx, co wieńczyła ten Monte Glicestro, dziś zwanej Castel San Pietro. Widok stąd charakterystyczny nie tylko swą wspaniałością, jak zwłaszcza tym tak niezwykłym skoncentrowaniem miejscowości i przedmiotów, co tyle wspomnień historycznych ze sobą wiążą. Zdala ku zachodowi żarysowuje się na błyszczącym tle morza panująca nad Rzymem kopuła św. Piotra. A stamtąd, aż daleko ku wschodowi, u stóp gór Sabińskich, rozciąga się owa równina Kampanii, owo klasyczne

pole dziejów ludzkości, ten wspólny cmentarz tylu ludów, co tu się ze sobą ścierały. Ta okolica lekkimi pofałdowana pagórkami, pokryta winnicami, oliwnemi gajami i grupami pinii, zwaliskami i sterczącemi wśród nich murami na wpół zniszczonych zamczysk, niby pusta, a jednak ożywiona wspomnieniem tylu rojących się w pamięci faktów. Wśród tego morza promieni słonecznych, co ją oblewają, tak melancholijna, a jednak równocześnie tak żywa tem wszystkiem, co budzi uczucia w pamięci widza. W jednej chwili wzbudza fantazya owe tłumy walczących niegdyś Rzymian, owe zastępy Wandalów i Gotów, Franków i Longobardów. Tutaj to niegdyś ciągnęły wojska Ottonów i Staufów, Sarecenów, Francuzów i Hiszpanów w błyszczących zbrojach, wśród potęgi i przepychu. Wszystko znikło i został tylko ten niewypowiedziany urok, co tylu poetów i malarzy natchnął, by oddać w dziełach swych to, co uznali jednogłośnie za ową niedoścignioną piękność okolicy Wiecznego Miasta. W średnich wiekach była ta cała przestrzeń Kampanii feudalnem państwem rodziny Colonna, z której pochodziło tylu sławnych wodzów. Ku południowemu-zachodowi ograniczona przez góry Albańskie, tak malownicze miasteczkami wieńczącemi szczyty gór i wzgórz. Zdala ku południowi zamykają widnokrąg ostro zarysowane szczyty Wolsków. W tym otoczeniu wszystko połączone, najdawniejsza starożytność, świetne wieki Cezarów, resztki potężne feudalizmu, wśród otoczenia pustego a jednak tak wyraziście przemawiającego pod tym promiennym niebem lazurowem.

Same góry Sabińskie, ogołocone z lasów, dość skaliście się przedstawiają. Należą jednak pod względem widoków do najbardziej urozmaiconych gór we. Włoszech. Widocznym w okolicy Rzymu szczytem jest klasyczna góra Soracte (686m.), 40 km. na północ od miasta. Horacy widywał ją śniegiem pokrytą: (Od. I. 9.)

Vides ut alta stet nive candidum
Soracte, nec iam sustineant onus
Silvae laborantes, geluque
Flumina constiterint acuto.

Dziwna rzecz, że obecnie nigdy zima nie jest tak ostra, ani śniegu nie widać na Soracte. Wynikałoby z tego, iż klimat obecnie łagodniejszy. Góra ta jednak musiała Rzymian zajmować, gdyż Wergiliusz też o niej wspomina: (Aen. I. 785.), mając na myśli świątynię Apollina, która tam była:

Summe deum sancti custos Soractis Apollo!

Równina dzieląca góry Sabińskie od Albańskich, której tak wybitne cechy przedstawiliśmy, pozornie równa, przerywana jest licznemi głębokiemi parowami, nieraz bardzo urwistemi. Przeciwnie dolina Tybru, wogóle bardzo wązka i głęboka, niema żadnych głębszych urwisk i zapadnięć. Przechodzi ku końcowi w równinę nadmorską, znaną z t. zw. bagien pontyjskich. Są one w bardzo znacznej części osuszone i pokryte polami i łąkami. Brzeg morza dosyć jednostajny, coraz bardziej się rozszerza, dzięki Tybrowi, tak że dawny port Ostia obecnie 5 km. od morza oddalony. Z miejsca, gdzie ewentualnie mógł stać dom zamieszkany przez św. Augustyna i św. Monikę, morza już nie widać.

Tak charakterystyczne rzeki Kampanii, Tyber i Anio, Tevere i Teverone, tak klasyczne co do wspomnień, co się z niemi łączą, bardzo się różnią naturą i wyglądem. Horacy pisze o Tybrze, z myślą o jego wylewach:

Vidimus *flavium Tiberim* retortis
litore Etrusco violenter undis
ire deiectum monumento regis
templaque Vestae.

Podczas gdy Vergiliusz nazywa go:

Caeruleus Tibris, caelo gratissimus amnis.

Nazwa flavus, ze względu na kolor mętny fal pochodzący od pokładów gliny, przez które przepływa, zdaje sie wogóle odpowiedniejszy[1]). Bieg, mimo wylewów[2]), któremi osławiony, bardzo jest umiarkowany.

---

[1]) Tyber ma aż do Rzymu 330 km., długość w mieście samym wynosi $5^1/_2$ km., szybkość 1 m. na sek. Spadek 6 m. na kilometr.

[2]) Wielkich powodzi było 67, w przeciągu 2208 lat (nawet po regulacyi).

Zupełnie innym jest jego dopływ z lewej strony, bystry Anio. Węższy i znacznie szybszy, z powodu większej spadzistości. Sławne są jego wodospady w Tivoli. Przeprowadzony przez dwa tunele[1]), spada z wysokości blizko 100 m. wśród ogłuszającego łoskotu i szumu, w głęboki, przepaścisty jar. Olbrzymia ilość wody, rozbijając się i rozpryskując się w miliardy kropel po skalistych głazach i urwistych złomach, tworzy kilkanaście kaskad, przedstawiających cudny widok, zwłaszcza gdy łamiące się promienie słońca oblewają ją różnobarwnym nimbem mnóstwa tęcz. Jestto widok imponujący prawdziwie nietylko wspaniałością, ale i ogromem piękności.

Całkiem specyalny charakter mają słynne jeziora Kampanii. Wspólne mają to, iż jak zwykle wulkaniczne formacye tego rodzaju, bardzo są głębokie. W starożytności znane już było z obfitości ryb jezioro Bracciano, Lacus Sabatinus (160 m), na którego południowem wybrzeżu wznosi się zamek tej samej nazwy. Za najpiękniejsze jednak z wulkanicznych jezior włoskich uchodzi jezioro Albańskie[2]). Stoki gór, pokryte najrozmaitszemi lasami odbijającemi się w lazurowych, jasnych falach jeziora, nadają mu coś nadzwyczaj uroczego.

Najmniejsze, bo ledwie 2 km.^{2} powierzchni obejmujące, jezioro Nemi przypomina niemało nasze „Morskie Oko". Różni się od poprzednich ciemnym, szafirowym odcieniem fal; więcej odosobnione, sprawia wrażenie o wiele bardziej melancholijne.

Jedna cecha, którą Rzym odróżnia się jeszcze teraz od innych miast europejskich, jest wielka ilość wody. Tak miłe wrażenie wśród skwarów letnich robią tu liczne źródła, studnie i wodotryski. Było ich za czasów Augusta przeszło 800, a w roku 100 po Chr. wylicza Frontinus dziewięć wielkich wodociągów, których liczba potem jeszcze wzrosła. Można sobie wystawić, jaką obfitość wody miał niegdyś Rzym z tego, iż wodociągi, których długość wynosiła razem przeszło 400 km., dostarczały dziennie ponad $1^1/_2$ miliona metr. kub. wody,

[1]) „Traforo Gregoriano" wykonane staraniem Papieża Grzegorza XVI.
[2]) 4 km. długie, 2 szerokie.

przeznaczonej do licznych termów, jak Karakalli, Dyoklecyana i innych tego rodzaju celów. Główne takie wodociągi były Aqua Appia[1]), zbudowana 312 r. przed Chr. i Aqua Claudia[2]). W V. i VI. wieku zniszczyły się te wodociągi, ale ich ruiny i potężne arkady nawpół zwalone, przecinające Kampanię w najrozmaitszych kierunkach, tworzą jedną z najcharakterystyczniejszych jej ozdób.

Obecnie są trzy wodociągi: acqua Vergine, Marcia i Paola. Z tych najlepszej wody dostarcza acqua Marcia, mająca najwyżej + 10° C. Acqua Paola, jako pochodząca z jeziora wulkanicznego Bracciano, mniej się nadaje do picia i służy do ozdoby miasta w licznych wodotryskach i kaskadach odświeżających powietrze wśród letnich skwarów. Obie dostarczają do 80 tys. m. kubiczn.[3]). Jedną z najpiękniejszych kaskad w mieście, sławna Fontanna di Trevi, tworzy acqua Vergine. Przedstawia ona sztuczne skały o najrozmaitszych kształtach, zdobne w postacie mitologiczne z Trawertynu, uwieńczone ogromnym posągiem Neptuna.

II. Świat roślinny i zwierzęcy.

(Flora i Fauna)

Wśród tych licznych wód, jezior i rzek, na tym tle natury wulkanicznej cechującej Kampanię w tak wysokim stopniu, rozwinęło się też całkiem specyalne życie roślinne zwłaszcza i zwierzęce. W ogólnych zarysach to flora śródziemnomorska, choć bardziej do naszej zbliżona, niż do podzwrotnikowej. Odmian roślin południowych stosunkowo tu jeszcze nie wiele. Zmiany zaszły jednak niemałe od czasów starożytnych, wskutek wprowadzenia wielu

---

[1]) Długa 16 km., dostarczała dziennie 114.500 m. kubiczn. wody.

[2]) Z odległości 68 km. sprowadzała w 24 godz. przeszło 290 tyś. m. kub. wody.

[3]) W Rzymie wypada w 24 godz. 300 litr. wody na osobę (w Krakowie 80 litr.).

nowych rodzajów; tak n p. rozpowszechnione bardzo drzewo pomarańczowe dostało się tutaj dopiero w wiekach średnich za pośrednictwem Arabów. Kampania leży pod pewnym względem na granicy strefy roślin południowych, co się też przyczynia do odróżnienia jej tak bardzo od sąsiednich okolic. Takim n. p. wyłącznie prawie rzymskim drzewem to Pinia. Nigdzie tyle i tak pięknych okazów niema, jak w Kampanii. Niema też krajobrazu tej okolicy, w którymby nie występowały jej gałęzie w kształcie ogromnego, ciemnozielonego parasola. Zupełnie przeciwny kształt, zbliżony do naszych topól mają rosnące w całych Włoszech ponure cyprysy. Wysokich palm daktylowych tu mało; w Rzymie są tylko znane trzy wielkie palmy. Za to niska, karłowata palma południowo-europejska (Chamaerops humilis) częściej znacznie się tu spotyka. Już z tych wyliczonych gatunków drzew widać, jak bogatą w rozmaite kształty jest flora Kampanii. Drzewo figowe wprawdzie nie dosięga tych rozmiarów co w Syryi; jasnozielonem jednak listowiem dużo powabu dodaje okolicy. Najbardziej rozpostarte tu to drzewo oliwne, owo tak charakterystyczne, odcieniem swych liści tak smutne zarazem, drzewo południa. W okolice podzwrotnikowe przenosi nas kaktus, którego dwa rodzaje: Opuntia i Cereus dość tutaj są częste. Bardzo oryginalną rośliną to Agawa, zwłaszcza podczas kwitnienia, kiedy to wystrzela do paru metrów wysokości w przeciągu kilku miesięcy. Żółte kwiaty zdobią pięknie okolicę. Przez cały rok kwitną tu po lasach małe fiołki alpejskie; często też spotyka się obficie kwitnący bluszcz, owa tak charakterystyczna ozdoba ruin. Kampania też ojczyzną rośliny zwycięskich tryumfatorów rzymskich, wawrzynu.

Wogóle możemy powiedzieć, iż Kampania też i co do szaty roślinnej ma cały szereg cech nadzwyczaj charakterystycznych. Jestto przedewszystkiem owo harmonijne zlanie się różnych przedstawicieli flory umiarkowanej i podzwrotnikowej. To łagodne przejście z jednej do drugiej. Wynikiem tego zaś to już wspomniane bogactwo kształtów najrozmaitszych w świecie roślinnym. Nadto widzimy szereg okazów całkiem specyalnych Kampanii rzymskiej. Z pewnością jest to bogactwo i różnolitość

jedną z głównych przyczyn tego nadzwyczajnego uroku tej okolicy. Trzeba sobie wyobrazić, jak ważnym czynnikiem jest ona w krajobrazach, w których historya, przeszłość wraz z potężnemi swemi zabytkami, tak wybitne zajmuje miejsce wśród tej niezrównanej ozdoby świata roślinnego. Wynikająca z tego owa harmonijna całość jest tem, co sprawia, iż Kampania rzymska należy do okolic najsilniej działających na umysłowość widza, jak nieraz już staraliśmy się na to zwrócić uwagę.

O wiele mniejszą wagę odgrywa tu świat zwierzęcy. Niema on tylu cech specyalnych jak roślinność. Do naszej jednak bardziej zbliżony. Licznie w Kampanii znajdują się wszystkie zwierzęta, będące u nas przedmiotem polowania. Turyści często z tego korzystają; w okolicach błotnistych dużo jest dzikich kaczek. Znane zwłaszcza są tutaj angielskie pościgi konne za lisami. Jestto też taka specyalność wyłączna Kampanii rzymskiej. Pod jednym względem zbliża się fauna tutejsza do południowej, a mianowicie w świecie owadów. Takim przedstawicielem jest np. niedźwiadek. Zdarza się też, że niekiedy tutaj dolatuje i szarańcza, owa klęska Afryki. Z innych zwierząt, to tylko z nietoperzy jest kilka odmian, których nie spotykamy na północ od Alp. Zresztą fauna niewiele od naszej się różni.

(C. d. n.) *Ks. M. Skibniewski.*

Przyczyny upadku Polski w świetle naszej najnowszej historyografii.

Od 150 prawie lat usiłują historycy nasi i obcy odpowiedzieć definitywnie na zagadnienie historyozoficzne: jakie były istotne przyczyny upadku Polski. W roztrząsaniach ich, jak i konkluzyach widać ogromną rozbieżność. Podczas gdy jedni uważają upadek państwa polskiego za następstwo przyczyn niezależnych od woli narodu polskiego (determinizm), drudzy, przecząc tamtym, mianują Polaków sprawcami swego losu (woluntaryzm). Do tych ostatnich zaliczają się w pierwszym rzędzie obcy historycy z nielicznymi wyjątkami, pragnący zrzucić odpowiedzialność za rozbiory z państw zaborczych. Lecz i pośród naszych historyków nie brak przedstawicieli tego kierunku, pessymistów w odróżnieniu do innych, optymistów, uważających przemoc za istotną przyczynę upadku Polski.

Ale i ci pierwsi nie odrazu wytworzyli taki pogląd na kwestyę. Waleryan Kalinka i Józef Szujski byli z początku optymistami i zwalczali pessymistyczne sądy obcych historyków. Przeobrażenie nastąpiło dopiero po klęsce z r. 1863, która wywołała reakcyę w społeczeństwie przeciw czynowi zbrojnemu i hasło pracy organicznej. Wtedy obaj, pragnąc rzucić zdrową myśl przewodnią dla życia bieżącego i przyszłego narodu, wydobytą z poznania bezwzględnej prawdy dziejowej, pod wpływem rozpamiętywania naszej przeszłości głosili, że słabość wewnętrz-

na sprowadziła upadek Polski, nie gwałt zewnętrzny, że więc teraz tylko na drodze wewnętrznego wzmocnienia możemy spodziewać się odzyskania wolności. Zdaniem Kalinki[1]) upadek Polski sprowadziły: zepsucie etyczne od 18 w., brak siły woli i praktycznej mądrości w okresie odrodzenia (sejmu 4-letniego); zdaniem Szujskiego[2]): rozkład społeczny, wprowadzony przez reformacyę i humanizm, przez kolonizowanie nadmiernie wielkich obszarów wschodnich i przez hypertrofię stanu szlacheckiego. Z tej samej pobudki, co u Kalinki i Szujskiego, powiedzenia narodowi gorzkiej prawdy o przeszłości celem uzdrowienia go z wad, powstały „Dzieje Polski", Michała Bobrzyńskiego[3]). Polska upadła zdaniem jego „dla braku rządu". Przeszkodami w zbudowaniu rządu były: młodzieńczość nasza, „bo o 5 wieków później od zachodu wstąpiliśmy na widownię jego cywilizacyi", „rozległość wyłącznie rolniczego obszaru w stosunku do liczby ludności", wreszcie „rzucenie najlepszych sił naszych na wschód, na Ruś i na Litwę, wskutek czego siły pozostałe w kraju, wycieńczone i osłabłe, do wzniesienia nowożytnego rządu nie mogły się spotęgować". Odrzuca Bobrzyński inne przyczyny, podawane przez historyków, jak niekorzystne położenie geograficzne i niebezpieczne sąsiedztwo, ucisk zaś ludu przez szlachtę, poniżenie miast, rozstrój moralny i przyćmienie inteligencyi uważa za zjawiska podrzędne, które występowały gdzieindziej w gorszym świetle, a nie przyprawiły żadnego narodu o utratę bytu politycznego. Przyznaje Bobrzyński, że przed katastrofą nastąpił zwrot ku lepszemu, ale przyszedł zapóźno („w przededniu") nie objął całego narodu i dlatego nie był w stanie zła zakorzenionego usunąć. Podobne zasadniczo stanowisko zajął Spasowicz, bo także w wewnętrznej słabości, nierządzie i zepsuciu upatrywał przyczyny upadku państwa polskiego. Pośrednie stanowisko między

[1]) Przedmowa do dzieła: Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta. Poznań 1868, Sejm czteroletni (Kraków—Lwów, 1880—1888).

[2]) Kilka prawd z dziejów naszych, ku rozważeniu w chwili obecnej, Kraków 1867; Dawna Rzplta i jej pogrobowce; O młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju; Dzieje Polski.

[3]) Dzieje Polski, Warszawa—Kraków 1880—1881.

deterministami a woluntarystami zajął Anatol Lewicki[1]) z końcem ubiegłego stulecia, przypisując upadek Rzeczypospolitej polskiej przyczynom: wewnętrznej i zewnętrznej. Pierwszą był wzrastający nieustannie w ostatnich okresach rozstrój jej politycznych, społecznych i ekonomicznych stosunków, który sprowadziły okoliczności „częścią z winy samego narodu, częścią niezależne od niego", mianowicie: wadliwa forma rządu, powstała za pierwszego bezkrólewia, oparta na dobrej woli obywateli, przeradzała się w swawolę i teroryzm możnych w miarę obniżania się poziomu intellektualnego i moralnego stanu rządzącego; upośledzenie miast, a stąd upadek ekonomiczny, antagonizm między Kościołem zachodnim i wschodnim, wreszcie upadek oświaty, jako główna przyczyna rozstroju i upadku Rzpltej. Drugą przyczyną t. zn. zewnętrzną było położenie geograficzne, skutkiem którego praca cywilizacyjna Polski na wschodzie wymagała nadzwyczajnych wysiłków, a z powodu otwartych granic od wschodu i zachodu znalazła się między państwami, które chciały się jej kosztem rozszerzyć i uczyniły to, korzystając z wewnętrznego rozstroju.

Przeciw pessymizmowi wogóle, a w szczególności „szkoły krakowskiej", wystąpili: w Warszawie Władysław Smoleński[2]) i we Lwowie Xawery Liske, poczem zabrał głos Tadeusz Korzon (na II zjeździe historyków polskich w r. 1890), by bronić republikańskiej i federacyjnej formy rządu polskiego i podkreślić, że Polska przed drugim rozbiorem była na drodze zupełnego odrodzenia i stąd też nie wewnętrzny jej rozkład, lecz zewnętrzny gwałt był przyczyną jej upadku. Tę też tezę przyjął Szymon Askenazy[3]), występując przeciw Spasowiczowi. Gwałt z zewnątrz sprowadził zgubę Polski, względnie polityka mocarstw sąsiednich, podtrzymująca w sztuczny sposób nierząd i przeszkadzająca celowo wszelkim reformom wewnętrznym. Walery Przyborowski[4]) taksamo jako przyczynę podaje obcy

[1]) Zarys historyi polskiej.

[2]) Szkoły historyczne w Polsce. Ateneum 1886. IV.

[3]) Wczasy historyczne. Warszawa 1902 i Przedmowa do Kraszewskiego: Polska w czasie trzech rozbiorów.

[4]) Przyczyny upadku Polski. Warszawa 1909.

najazd, obwiniając przytem nieudolnych dowódców wojsk powstańczych o to, że go nie odparli.

Wcześnie jednak odezwał się głos umiarkowany Rembowskiego [1]). Nie poszedł on ani za pessymistami, ani za optymistami, twierdząc, że upadek państwa jest następstwem mnóstwa pierwszorzędnych przyczyn wewnętrznych i zewnętrznych, do których zazwyczaj dopomaga fatalny zbieg okoliczności. Ustrój stanowy sprowadził rozprzężenie tak jak na Zachodzie, ale tam z nastaniem absolutnych monarchii przyszła wcześniej reforma, — u nas przyszła za późno, w chwili, gdy rozkładowy pierwiastek stanowy uzyskał gwarancyę mocarstw otaczających, a państwo znalazło się w dławiącem otoczeniu trzech mocarstw absolutnych. Stanowość zniweczyła w Polsce silny rząd, brak silnego rządu zniweczył siłę wojskową. — Rembowskiego zasługą jest, że pierwszy wskazał na potrzebę postawienia kwestyi na szerszej podstawie badania porównawczego ustroju dawnej Rzpltej polskiej z ustrojem współczesnym państw zachodnio-europejskich.

Tą drogą poszli prof. Balzer [2]) i prof. Kutrzeba. Pierwszy przyznaje, że na niekorzyść naszą w porównaniu z Zachodem należy zapisać tylko *liberum veto* i luźną budowę rządowej machiny państwowej, ale pospiesza z nadmienieniem, że oba braki usunięto jeszcze za niepodległości; inne zaś rozbieżności w praktyce nie mają znaczenia, jak o tem świadczy życie, które tu i tam ułożyło się podobnie (str. 66). Nie należy więc, zdaniem autora, szukać przyczyny upadku Polski w jej ustroju, który „był na ogół — przeciętnym ustrojem ówczesnego państwa zachodnio-europejskiego“ (str. 70), lecz kto wie, czy nie „w pożądliwości złączonych, więc przemożnych, na zgubę Polski sprzysiężonych sąsiadów“, (str. 75), jako właściwej, rozstrzygającej i istotnej przyczynie.

Na takie postawienie kwestyi nie można jednak się zgodzić. Już oba zjawiska ujemne ustroju Rzpltej polskiej nie pozwalają na to, stanowiąc zasadnicze różnice ustrojowe w porówna-

[1]) List Rembowskiego do prof. Sobieskiego z r. 1906 w studyum ostatniego; „Optymizm i pessymizm w historyografii polskiej“.

[2]) Z zagadnień ustrojowych Polski. Lwów 1915.

niu z Zachodem. To, że je w r. 1791 usunięto, a więc na 4 lata przed ostatnim rozbiorem, czy naprawiło zło? I trzeba przyznać racyę historykom, którzy twierdzą, że nie było czasu i możności przeprowadzić tych reform w praktyce. Nie można bowiem przypisywać zbyt wielkiego znaczenia wcześniejszemu już ograniczeniu *liberi veto*, skoro sejm z r .1768 zatrzymał je dla materyi „status", do których zaliczano tak ważne sprawy, jak: sprawę podatków, zawierania przymierzy, traktatów handlowych, wypowiedzenia wojny, zwoływania pospolitego ruszenia, podwyższenia wojska i t. p., w których to sprawach *libérum veto* unieważniało nawet poprzednio na sejmie powzięte uchwały. Podnieść nadto wypada luki w paraleli w Zachodem. Nie omówił autor ani pactów conventów i artykułów Henrycyańskich, ani elekcyi viritim (porównanie w wiekach nowożytnych naszej elekcyi z obcemi (czeską, węgierską, niemiecką), nie znającemi formy viritim, szwankuje), ani konfederacyi i rokoszu, ani organizacyi skarbu i wojska, a przecież to wszystko należy do ustroju państwa i po większej części stanowi przeciwieństwo Polski z Zachodem, zwłaszcza od roku 1573. Gdyby zresztą nawet uznać nasz ustrój za podobny na ogół do zachodnio-europejskiego, to i tak niepodobna życia naszego państwowego uważać za podobne do Zachodu. Trzeba bowiem pamiętać zawsze o tem, jak słusznie podniósł prof. Estreicher [1]), że ustrój państwa to forma zewnętrzna dla życia. Pod podobną formą zewnętrzną może być różna treść życia państwowego. I rzeczywiście od połowy 17 w. życie publiczne w Polsce jest odmienne od cudzoziemskiego. Na zachodzie w 17 w. zwycięża monarchizm wolności stanowe, sam rozwija działalność administracyjną i zapewnia swoim poddanym mimo wszystkie błędy i braki pomyślność materyalną i duchową. Zadanie to u nas miała do spełnienia i mogła spełnić szlachta jako czynnik rządzący. Lecz ona nie dorosła do zadania, bo nie miała zrozumienia ogólnego interesu, bo zabiła władzę, skupiającą się w sejmach i sejmikach. Życie psychiczne szlachty polskiej było inne, niż na Zachodzie, a znamionował je interes prywatny i partykularny. *Liberum veto* było jego wyra-

[1]) Artykuł w „Czasie" w r. 1915, nr 605 z okazyi książki prof. Balzera.

zem, dusiło wszelką twórczość. Wynika z tego, że ustrój państwa polskiego nie spełnił zadania, bo innem było społeczeństwo-szlachta, niż na Zachodzie, inna jego psychologia. Gdyby nie ona, nawet liberum veto nie byłoby przybrało swych monstrualnych kształtów i nie byłoby narobiło tyle zła! „Gdyby nie odgłos bezmyślnych hałasów na jałowych sejmach epoki saskiej“ — pisze prof. Konopczyński [1]) — „nie oswoiłaby się Europa z myślą, że Polska, jej lud i ziemia stanowią własność niczyją, dojrzałą do rozbioru“. Nie pożądliwość złączonych, przemożnych sąsiadów była tylko i wyłącznie przyczyną upadku państwa polskiego. Ona była przyczyną bezpośrednią, ale pośrednią była anarchia społeczeństwa polskiego, która zabiła żywotność i twórczość państwa i wystawiła je na łup sąsiadów!

Prof. K u t r z e b a [2]) stwierdza, że w 15 wieku zaczęła się chwiać u nas równowaga stanów podobnie, jak jeszcze wcześniej na zachodzie Europy, który jako cywilizacyjnie starszy wyprzedził nas co do rozwoju społecznego i politycznego. Do reszty zniszczyła tę równowagę szlachta, która po Jagiellonach przechyla zupełnie szalę na swoją korzyść a króla krępuje — nastaje Rzplta szlachecka. Podczas gdy na Zachodzie absolutny monarcha podporządkowuje prawa społeczeństwa władzy państwa, u nas wszystko zagarnia szlachta; stąd wyradza się jej wszechwładztwo zamiast absolutyzmu na Zachodzie. Zło tkwi w długości tego okresu, który znamionuje zastój w tworzeniu nowych instytucyi, nowych form dla życia, bo istniejące wystarczają najdłużej do połowy 17 wieku. Polska cofa się w stosunku do Zachodu. Tam bowiem monarcha przeprowadza reformy, wzmacniając państwo, a temsamem swoje stanowisko dynastyczne, u nas szlachta nie zdobywa się na reformę. A była ona konieczna, żeby usunąć anarchię. Król był malowanym, mogła mu szlachta wypowiedzieć posłuszeństwo; władzę wykonywał sejm, ale było mu daleko do silnej władzy. Tej bowiem nie dopuszczało uszanowanie praw mniejszości, woli jedno-

[1]) „Liberum veto“, Kraków 1918, str. 333.

[2]) Historya ustroju Polski w zarysie, I. r. 1917. Charakterystyka państwowości polskiej r. 1916. Konstytucya 3 maja 1791 r. (r. 1916). Wartości historyczne Polski (artykuł w „Głosie Narodu“ r. 1917, nr. 284—6).

stki. Urzędnik był ziemianinem, wyszedł ze społeczeństwa anarchią przeniknięty; nie rozumiał, że władza konieczna, a król nie miał nad nim władzy. Jednem słowem wolność szlachty usunęła władzę, szlachty nieoświeconej, pełnej egoizmu i ducha prywaty, a przez to niezdolnej do naprawy państwa. Na Zachodzie tymczasem absolutny władca pracuje za społeczeństwo, zaprzęga wszystkie stany do służby dla państwa, co prawda, w samolubnym interesie. Że ogół u nas nie rozumiał potrzeby reform, dowodzi reforma Czartoryskich, którą uważano za narzuconą, bo podjęła ją jedna partya narodu. Nastąpił rozbiór — Polska się nie broniła, bo brakowało jej organizacyi i ducha. Dopiero oświata przygotowała grunt dla reform sejmu czteroletniego i Konstytucyi 3-go Maja, przekonała szlachtę, przynajmniej jej większość o konieczności reform. Część jednak i tak pozostała przy swojem, broniąc zaciekle złotej wolności. Ale w większości obudził się duch publiczny, obywatelski i miłość ojczyzny, które kazały im zrobić ofiary, by podnieść państwo. Nastąpiło odrodzenie, państwo dochodziło do ustroju państwa nowożytnego, ominąwszy w rozwoju fazę absolutyzmu. Konstytucya 3-go Maja zreformowała ustrój społeczny i państwowy, głównie ostatni. Musiano się upodobnić do innych państw, usunąć to, co stanowiło anomalię. Lecz stało się to zapóźno. Nim bowiem siła państwa przez reformy mogła się zrodzić, państwa inne, które ją już posiadały, przeszkodziły temu.

Prof. Kutrzeba dowodzi zatem, że anarchia w Polsce, a z nią zastój w rozwoju państwa od połowy 17 w. powstały skutkiem zniszczenia równowagi między wolnością a posłuszeństwem, władzą. Usunąć zło mogło tylko w państwie demokratycznem, jakiem była Polska, samo społeczeństwo, t. j. szlachta, przez podjęcie reform. Z powodu jednak braku oświaty i ducha obywatelskiego nie zdobyła się na czas na reformę, a gdy w końcu przyszło do niej w ślad za oświatą, było już za późno. Autor więc nie wini naszego ustroju, lecz samo społeczeństwo, które tak umiłowało wolność, że zatraciło w niej miarę i poczucie obowiązków, jakie nakładają prawa. Stąd to, zdaniem prof. Kutrzeby, po części winni jesteśmy, żeśmy nie mogli należycie bronić naszej niepodległości.

Na to nadużywanie wolności wskazują Siemieński[1]) i Kochanowski[2]), chociaż obaj za przyczynę utraty niepodległości uważają obcą przemoc. Według Siemieńskiego zastój w rozwoju państwa pochodził stąd, że nie umiano rozwiązać zagadnienia: „jak pogodzić demokratyzacyę władzy z potrzebą zachowania jej potęgi, gwarancye wolności obywatelskich ze sprawnością aparatu władzy wykonawczej". Wolność zdobyła stanowczą przewagę nad władzą i przerodziła się w złotą wolność, sprowadzając anarchię. Dopiero Konstytucya 3-go Maja przeobraziła Polskę w państwo nowożytne konstytucyjne. To odrodzenie jednak państwa ościenne uważały za niebezpieczne dla siebie, bo im wydzierało zdobycz, za jaką Polskę uważały i dało jej ustrój, który był wzorem niepożądanym dla ich poddanych. Kochanowski dowodzi, żeśmy wytworzyli taką kulturę wewnętrznej wolności człowieka, jak żaden wówczas naród, przyznaje jednak, że sięgnąwszy w sferę tego ideału, zatraciliśmy miarę powszednich cnót gromadzkich, poszanowanie własnej władzy. Mimo to uważa, że nie co innego nas zniszczyło, jak przemoc zewnętrzna.

Taksamo sądzi o upadku Polski publicysta p. Chołoniewski[3]) z tą ważną różnicą, że nie widzi w nas zupełnie żadnej winy. Autor występuje przeciw tezie, że Polska uległa rozkładowi z powodu anarchii, wewnętrznej niezdolności do życia państwowego. Nazywa ten pogląd komunałem ukutym przez przewrotność, a bezmyślnie powtarzanym i pyta, kto śmie rzucać przeszłości polskiej w oczy zarzutem bezrządu. Wszak okres saski to czas braku tylko silnej egzekutywy (?!) strzegącej wykonywania praw, które jednak istniały i obowiązywały. Nie ustrój, zdaniem autora, był przyczyną upadku Polski, bo trzechwiekowe przeszło jego istnienie dowodzi żywotności[4]). Anarchii w właściwym tego

---

[1]) Ustrój Rzeczypospolitej polskiej. Warszawa 1917.

[2]) Trzy odczyty o Polsce. Warszawa—Kraków 1916.

[3]) Duch dziejów Polski. Kraków 1917.

[4] Tu wypada zapytać autora, czy nierząd nie powstaje właśnie z braku silnej egzekutywy! Jak zaś wyglądała żywotność ustroju przez 17 i 18 w., podniósł dostatecznie prof. Kutrzeba, wykazując, że formy, w których mogło żyć i rozwijać się społeczeństwo i państwo, wystarczały do połowy 17 w., potem są martwe, a reforma przychodzi o sto lat z górą za późno. Zresztą, o czem wyżej była

słowa znaczeniu, zdaniem p. Chołoniewskiego, nie było (wyraz ten nawet, ilekroć przyjdzie mu go użyć, opatruje cudzysłowem). Ona była w innym sensie i jako taka stała się przyczyną upadku Polski, bo kryła w sobie zdrowe ziarno wielkich i płodnych idei, których zaraźliwego wpływu bał się współczesny absolutyzm. „Polska upadła dlatego, że nie upodobniła się do sąsiednich despotyi, że była krajem wolności, że praw swych obywateli nie tłumiła, lecz rozdawała je szczodrą dłonią i rozszerzała. Zginęła, gdyż była tworem politycznym doskonalszym i wyżej rozwiniętym od swego środowiska“ (str. 126).

W dowodzeniu autora widać zasadniczy błąd w tem, że wszystko ocenia ze stanowiska idei i ideałów, a nie rzeczywistości. Wszak ta wolność, której wartość słusznie autor tak wysoko ceni, niestety u nas w rzeczywistości była niewolą. Absolutyzm głosu wolnego, tej źrenicy złotej wolności, pisze prof. Konopczyński [1]), dusił wszelką twórczość gorzej niż absolutyzm monarszy. Liberum veto sparaliżowało dyplomacyę polską, zwłaszcza od połowy 17 w. Rzplta w stosunkach międzynarodowych stała się pośmiewiskiem, nicością. Veto poniżało ducha polskiego, to też brak w 17 i 18 w. prawdziwych mężów stanu, „bo dusza polska nie rosła, gdy nie mogła przezwyciężyć gromady inaczej jak terrorem, przekupstwem albo pochlebstwem, gdy na każdym kroku musiała przeczyć samej sobie, płaszczyć się do wspólnego strychulca“. W okresie panowania wolnego głosu upadła sztuka wewnętrznego rządzenia się. Jednem słowem można powiedzieć, że dzięki wolnemu głosowi i wogóle anarchii nie wytworzyliśmy kultury politycznej.

Zestawiliśmy w krótkiem streszczeniu poglądy pessymistyczne i optymistyczne naszej historyografii i pewnego odłamu publicystyki. Zapytajmy z kolei, które z nich zwyciężyły. Pessymiści głosili, że przyczyną upadku Polski nie był gwałt z zewnątrz, lecz własna wewnętrzna słabość, o którą obwiniali nas samych. Optymiści natomiast głoszą przeciwnie, że nie wewnętrzna sła-

mowa, ustrój państwowy nie decyduje o wewnętrznej treści życia państwowego, które w dwóch ostatnich wiekach odbiegło ogromnie od Zachodu.

[1]) „Liberum veto“ j. w., str. 334—360. 431

bość nas zgubiła, lecz przemoc zewnętrzna. A choć nawet przyznają, że działo się źle w Polsce i po części winę przypisują samemu społeczeństwu, jednak nie łączą tego w związek przyczynowości z faktem upadku państwa polskiego. Prof. Balzer twierdzi (str. 75), że upadek ten został spowodowany rozbiorami, dokonanymi przez sąsiadów w znaczeniu nietylko przyczyny bezpośredniej, ale także w znaczeniu tem, „że gdyby nie rozbiory, nie istniała ani konieczność dziejowa upadku, ani nie brakło warunków po temu, żeby Polska, przetworzywszy w stosownym czasie urządzenia swoje na równi z innemi państwami, przetrwała razem z niemi przez dalsze stulecia". Jest to zupełnie logiczna konkluzya wywodów Czcigodnego Autora, który jednak 1) nie uwzględnia czynnika psychologicznego w życiu społeczeństwa szlacheckiego, ograniczając się do oceny form ustrojowych, 2) nie docenia faktu, że odrodzenie przyszło zapóźno, a przed niem stan państwa był wprost rozpaczliwy w znacznej mierze z winy naszej własnej i przez to zwrócił na nas pożądliwość obcych mocarstw, której oprzeć się już nie mogliśmy.

Tak więc optymiści, nie uznając tej pośredniej, wewnętrznej przyczyny upadku Polski, zajęli krańcowo różne od pessymistów stanowisko. Nie da się ono jednak utrzymać na podstawie ich wywodów. Gdyby nawet nie winić ustroju państwowego Polski, którego wartość i żywotność historycy nasi nawet ostatnich czasów różnie oceniają, to już niepodobna rozgrzeszać zupełnie naszych przodków z wad, błędów i win. Najnowsze badania właśnie są wyrazem tego rodzaju poglądu. Dość wymienić wykłady profesorów wszechnicy krakowskiej, wygłoszone przed rokiem na temat „Przyczyny upadku Polski", które w rezultacie stwierdziły brak woli u naszych przodków do utrzymania niepodległości lub pracę naukową prof. Konopczyńskiego, świeżo wydaną p. t. „Liberum veto", w której autor nie oszczędza naszego społeczeństwa, zwłaszcza w dwóch ostatnich wiekach jego bytu niepodległego w dosadnej, lecz niestety, prawdziwej charakterystyce. Zbytni optymizm ostatnich lat wywołał nawet protest ze strony history-

ków i publicystów. Prof. Tokarz [1]) wystąpił świeżo przeciw „apoteozowaniu bez ceremonii nawet największych grzechów zbiorowych naszej przeszłości", a przed nim jeszcze publicysta warszawski, p. Rzymowski [2]), krytykując przypisywanie upadku Polski wyłącznie cudzej niegodziwości, pyta: „w jaki sposób pojęcie o godności narodu da się połączyć z odmówieniem nam wszelkiej za losy własne odpowiedzialności?"

Któż zatem ma racyę, czy pessymiści? Sądzimy, że prawda jest w pośrodku. Nie ulega wątpliwości, że bezpośrednią, rozstrzygającą i istotną, ale nie jedyną i wyłączną przyczyną upadku państwa polskiego była przemoc zewnętrzna. Pamiętajmy, że wszystkie niemal państwa w dziejach ostatecznie z tej przyczyny upadały, ale przy współdziałaniu zwykle pośrednio przyczyn natury wewnętrznej. Czy więc na nas spadła taka przemoc, żebyśmy jej odwrócić nie byli mogli, gdybyśmy, rządząc się przedtem dobrze, byli mieli silne państwo — w to wątpić należy, jak również w to, czy w takim razie wogóle przyszłoby do takiego sprzysiężenia przeciw nam? Wobec takich poważnych wątpliwości sądzimy, że nie należy słabości państwa częściowo z winy samego społeczeństwa odrzucać jako przyczyny wewnętrznej i pośredniej naszego upadku.

Skąd się wziął obecny optymizm w naszej historyografii naukowej i publicystycznej, nie trudno odgadnąć: Zrodziła go bieżąca chwila dziejowa. Zaczęto szukać w naszej przeszłości wartości historycznych, dających nam prawo do niezależnego bytu. Ale w tem poszukiwaniu posunięto się za daleko, dostosowując historyę do potrzeb bieżących. Wyszło to na szkodę jej, jako nauki, bo obniżyło jej objektywność. I to pragniemy na zakończenie podkreślić, nie wdając się już w ocenę tego prądu optymistycznego dla życia naszego, sprawy polskiej i bieżącej polityki.

Dr. Władysław Bogatyński.

---

[1]) „Z refleksyi historyka". Wiadomości polskie, r. 1917, nr. 158—9.

[2]) „Automatyzm zbawienia", tamże, r. 1917, nr. 150.

W obozach jeńców — Polaków.

Jako członek delegacyi, mianowanej przez arcyksięcia Franciszka Salwatora, w którą prócz mnie wchodzili hr. Jerzy Mycielski i książe Adam Czartoryski, zwiedziłem obozy jeńców-Polaków w państwie austryackiem. Na korzyść tego państwa zaznaczyć należy, że odwiedziny odbyły się na żądanie władz państwowych, co tem bardziej zasługuje na uznanie, że poprzednio, prawie przez dwa lata, władze te na prośby nasze w tej sprawie były zupełnie głuche.

Zwiedziliśmy trzy miejscowości, dwie na Węgrzech, jedną w Czechach. Jedną z tych miejscowości, Bacsfa na Węgrzech, żadną miarą nie godzi się nazywać obozem jeńców. Mieszkańcom tej stacyi, 18 oficerom Polakom wyrządziłoby się tą nazwą największą przykrość. Gdy po ogłoszeniu państwa polskiego, państwa centralne popierały ideę armii polskiej, oficerzy ci, zrezygnowawszy ze wszystkich względów osobistych w stosunku do Rosyi, zgłosili się na ochotnika do legionów. Wydzielono ich tedy z pośród jeńców i jako oficerów legionowych umieszczono w zamku Vassurańskim. Zmieniły się potem poglądy państw centralnych na sprawę armii polskiej a więc i na rolę tych oficerów, w ślad za tem zmieniła się z biegiem czasu i ich siedziba. Z wygodnego zamku przeniesiono ich do ubogiej pustki w Bacsfie, gdzie pozbawieni najprostszych potrzeb, pozostawieni w nieokreślonym charakterze stanowiska, spędzają obecnie smutne dni.

Za to dwie inne siedziby Polaków, jedna w Csóth na Wę-

grzech, druga Plan w Czechach, są w najprawdziwszem tego słowa znaczeniu obozami jeńców. Istne miasta baraków, ciągnące się kilometrami wśród pustych pól, odgrodzone od świata kolczastym drutem i wartą żołnierską. Jakiś beznadziejny smutek przylgnął do tych przestrzeni, rzuconych poza osady ludzkie, jakby cmentarze lub kolonie trędowatych. Niskie, bez wyrazu, drewniane budynki, jeden do drugiego jak grób do grobu podobne, biegnące jeden za drugim bez końca — a wśród tych kazamatów przemyka czasem jak cień jakiś szynel, lub ciągnie gromada pod dozorem karabina. Ponure niebo, zimna mgła i błoto otaczają ramą ten obraz.

W dwu tych obozach umieszczono czterdzieści tysięcy jeńców-Polaków. Nie są to bynajmniej wszyscy; przypuszczalnie drugie tyle zmieszanych jest wśród jeńców-Rosyan w innych obozach.

W chwili, gdy obozy polskie zwiedzaliśmy, jeńców-Polaków było w nich dwa tysiące; reszta była na robotach. Miejsce ich w barakach zajęły tłumy jeńców włoskich. O ile roboty te nie są ciężkiemi robotami rządowemi, ale odbywają się w prywatnych gospodarstwach, zwłaszcza w mniejszych gospodarstwach, są one dla jeńców obozowych ideałem. Jeńcy obozowi dźwigają na sobie cały ciężar niewoli.

Jak ciężkim jest ten ciężar pod względem fizycznych cierpień, trudno wysłowić! Dziś cały świat ugina się pod brzemieniem skutków wojny, jęczą pod niem ludzie najzamożniejsi i najwpływowsi — cóż powiedzieć o jeńcach wojennych? Jeśli człowiek względnie zamożny musi doświadczać zimna, głodu, braku bielizny i odzieży, na jakąż nędzę wystawiony jest ten, który prócz najwyższego ubóstwa cierpi jeszcze niewolę, a więc nie ma jakiejkolwiek możności samoobrony. Pomimo największej troskliwości naczelnych komendantów obozów, którym społeczeństwo polskie doprawdy winno jest wdzięczność za troskę nad swoimi rodakami, nędza jest niewysłowioną. Jedynym pokarmem jeńców żołnierzy jest ciepła woda z rzepą w jednym obozie a ciepła woda z wywarem buraczanym w drugim obozie, z dodatkiem kawałka chleba. Tosamo na obiad i na kolacyę, tosamo codzień. Jedyną pościelą jeńców żołnierzy jest garść słomy na podłodze baraku, słomy od miesięcy nie zmienianej, a więc startej na proch i brudnej. Niech takie szczo-

góły wystarczą, gdy obecne warunki nie pozwalają powiedzieć więcej.

Pojechaliśmy do tych biedaków z tym najpierw zamiarem, by sprawdziwszy stan rzeczy, wstawić się za nimi w miarodajnych kołach. Zadanie to spełniliśmy, orędując za nimi u cesarza na osobnej audyencyi i w obszernym memoryale mu podanym, u arcyksięcia protektora Czerwonego Krzyża, w ministeryum spraw zagranicznych i u wybitnych polityków. Drugim celem podróży było, by poznawszy, co im najbardziej dolega, przyjść z wydatną pomocą. To zadanie spełniamy w tej chwili. Pod wpływem naszego sprawozdania wiele osobistości zapisuje się na członków wspierających „Komitet opieki nad jeńcami-Polakami“ (Kraków, ul. Gołębia 20) i przysyła hojne datki, które odrazu idą na zakupy najpotrzebniejszych rzeczy dla jeńców.

Najgłówniejszym zaś celem było, by spełnić powinność miłości chrześcijańskiej i miłości, jaką winna ojczyzna swym synom. Przyjść tym wydziedziczonym z pomocą, na jaką stać, i z jak najserdeczniejszą pociechą! Niech choć przez kilka chwil czują, że za nimi stoi naród, niech na jego piersi złożą na moment skołataną głowę i smutne serce, niech zaczerpną siły na czekające ich jeszcze ciężkie dni niewoli!

Trudno wypowiedzieć to szczęście, jakiego doznawaliśmy, gdyśmy czuli, że obecnością naszą wnosimy w przybytek smutku wesele. Byliśmy pierwsi, którzy jako delegacya od ojczyzny do nich przybywaliśmy. W tych sercach nagromadziło się tyle żalu i goryczy, tak nabrzmiał bolesny wyrzut, że rodzone społeczeństwo o nich zupełnie zapomniało, iż kto z tem bezpośrednio się nie zetknął, nie może mieć o tem pojęcia. U kalek skłonność do nabrzmiewania żalu i smutku jest szczególniejszą, a czyż może być dotkliwsze kalectwo od niewoli?!

I to jest moment najistotniejszy. Ta duchowa strona cierpienia jeńców utkwiła nam najsilniej w pamięci i w sercu. Wojna i niewola kiedyś się skończą, niech choć krótkie słowo wspomnienia o tem zostanie dla potomnych.

Pierwsza myśl i pierwsze uczucie, jakie po bliższem rozglądnięciu się w położeniu jeńców-Polaków powstały, były w swoim

smutku bardzo podniosłe. I dodajmy od razu, że uczucie to podniosłości z każdą dalszą chwilą wzrastało. Jeńcy nasi prawie już nie zwracają uwagi na fizyczne cierpienia, cała ich natomiast uwaga zaostrzoną jest niewypowiedzianie w kierunku duchowych braków. Ni mniej ni więcej, tylko odczuwało się w położeniu tych wydziedziczonych najwyrazistszy symbol Polski porozbiorowej. Każdy z nich przed wojną żył pod obcem sobie panowaniem, każdy był zmuszony wziąć poniewolnie udział w wojnie, która skończyła się dla każdego z nich niewolą. Tensam los dzielą rodacy ich z innych dzielnic, dziś w innej niewoli zostający. Żaden z tych nieszczęśliwych nie ma w swem cierpieniu tej przynajmniej pociechy, że cierpi dla jakiejś idei, że tego cierpienia dobro ojczyzny domagało się. Jakiś cierpki, z zawiązanymi oczyma los chwycił ich gwałtem za rękę i ciągnie ich wraz z ich ojczyzną ku niewiadomej przyszłości.

Wielu z nich już prawie od lat czterech przebywa w niewoli, inni od lat trzech lub dwu. Ludzie prości, synowie ludu, poddają się swemu losowi, po większej części, z bierną rezygnacyą, choć także niezawsze, ale wszystko, co inteligentne, odczuwa niewypowiedziane katusze. Oderwanie młodych ludzi od życia, od ojczyzny, od rodziny, od osób bliskich, od zawodowej pracy i skazanie ich na kilkoletnią pustkę, na bezmyślne spędzanie czasu w zamknięciu, na zamieranie wszystkiemu, do czego człowiek stworzony, na kilku piędziach ziemi, pod ciągłem a czujnem okiem strażników, to prawie zamykanie żywych ludzi w trumnie i w grobie.

Mają chwilowe rozrywki; jakieś kino w jednym obozie, jakieś teatrzyki w drugim, muzykę własną w obydwu. Na przyjęcie nasze wszystkiem tem nas raczyli. Bardzo podniosłą była chwila, gdyśmy w towarzystwie komendanta obozu wjeżdżali na wielki plac, na którym wszyscy jeńcy polscy stali w żołnierskim ordynku a tysiące jeńców włoskich zapełniały rogi placu. Gdy nasze powozy wjechały w bramę, muzyka zagrała „Jeszcze Polska nie zginęła". Była to chwila wzruszająca i dla nas i dla nich, ale dla nich była to chwila wyjątkowa, dotychczas pierwsza i jedyna. Poza tem sztuka i muzyka grają dla naszych jeńców w tych warunkach przelotną rolę „brząkającej miedzi".

Czem jest wolność dla człowieka, czem szczególniej dla Polaka, dopiero po bytności w tych obozach, po długich rozmowach z jeńcami można jaśniej pojąć. Świat zewnętrzny traci dla nich barwy a świat wewnętrzny gaśnie całkowicie, jakaś nieprzebita mgła i jesienna słota z dniem każdym coraz ciemniej zalewają im dusze. Zrazu bronią się jak mogą przeciw umysłowej śmierci, ale po pewnym czasie zdają sobie sprawę, iż coraz bardziej schną i więdnieją im serca i mózg. Brak pamięci ze strony kraju, brak korespondencyi od rodzin, sprawiają, iż czują się samotni na ziemi, zapomniani, wydziedziczeni. Współczucie z ludźmi zaczyna w nich zamierać. Dopiero takie zdarzenie jak przybycie wysłańców z kraju, jak serdeczne ujęcie za dłoń i wejście w ich biedy, dopiero to stopiło im mróz w sercu a oczy niejednokrotnie napełniło łzami. Kilka razy spotkałem się z tymsamym dosłownie stanem duszy, jaki opisuje poeta:

Boże, gdzież jestem? Boże, cóż się stało?
Toć w duszy mojej jest jeszcze zakątek,
Gdzie nie zagasła gromnica pamiątek!
Coś we mnie jeszcze ludzkiego zostało!

I posypały się urwane pytania o kraj rodzinny,

Ach, gdzie rodzinne majowe obszary,
Gdzie zbóż mych łany — gdzie mych łąk moczary,
Gdzie bory sosen, szumiące nademną,
Jakby modlitwą dziwną i tajemną,
Gdzie są skowronków powietrzne gadulstwa,
Gdzie stary kościół, kędy śpią ojcowie?

Dzienniki polskie dochodzą do ich rąk i uświadamiają ich o losach ojczyzny, o ogłoszeniu państwa polskiego, ale zarazem rozogniają ranę niewoli. Jeżeli państwo polskie jest sprzymierzone z państwami centralnemi, dlaczegóż obywatele jego są jeńcami dla tych państw? Czemuż ich nie puszczą, zwłaszcza, że nie mają ich czem żywić i przyodziać? Czemuż nie spełnia się obietnica, że będą wypuszczeni na wolność ci, co mają cztery morgi pola? Czemuż

uwalniają tylko inwalidów bez rąk i nóg lub dogasających suchotników, którzy nieraz w drodze umierają?

A jakżeż dopiero wyrywają się do wolności ci, co chcieliby przyjść powstającej ojczyźnie z pomocą, co czują w sobie pełnię sił, marniejącą daremnie. Tu prawnik, tam profesor, ówdzie inżynier, chcieliby jej służyć w swoim zawodzie. Kilkudziesięciu jeńców oficerów i 10.000 jeńców żołnierzy zgłosiło się do armii polskiej. Przez chwilę były obietnice, że prośbie ich stanie się zadość, obietnice, które tem boleśniej zawiodły, im poważniej je robiono.

Było więc dość smutków do łagodzenia. Dwaj moi świeccy towarzysze byli wzorem samarytańskiej miłości, nie pomijając ani jednego jeńca, zwłaszcza w szpitalach. Wielką otuchę i skrzepienie wlewały liczne mowy i przemówienia prezesa naszej delegacyi, hr. Mycielskiego i wstępnym bojem torowały dostęp do serc.

Najbardziej utkwił mi w pamięci jeden dogasający suchotnik, w szpitalu. Towarzyszący lekarz liczył życie jego na tygodnie. W wielkiej wyziębionej izbie barakowej, wśród kilkudziesięciu innych chorych, leżał biedak na ubogim tapczanie, w podartej i brudnej jak błoto koszuli. Pytał natarczywie o wojsko polskie, miał nadzieję, że będzie w jego szeregach. Dosłownie „Ostatni“ Krasińskiego. Oby to był ostatni z tych jeńców Polaków, co z armii obcej idą w niewolę!

Ks. J. Pawelski.

PRZEGLAD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

X. Dr. W. Kosiński: **Jacek Mijakowski**, kaznodzieja barokowy. Przyczynek do dziejów kaznodziejstwa polskiego w XVII w. Radom, 1916. str. 172.

Zaszczyt niemały przypadł w udziale O. Mijakowskiemu; X. Kosiński poświęcił mu oddzielne studyum, które zyskuje prawo do miana monografii. Dominikanin Mijakowski zapisał się w naszej bibliografii kaznodziejskiej jedynie pięciu kazaniami, drukowanemi każde oddzielnie, w tej liczbie są dwa panegiryki pogrzebowe. Co mu zjednało trwałe miejsce w literaturze homiletycznej, to jego osławiona „Kokosz za kolędę dana". Utwór ten przygodny, kolędowy, w treści swej i formie groteskowy, wywołał wręcz odmienne sądy u naszych krytyków literackich. Kiedy jedni w czambuł go potępiają, inni usiłują zrehalibitować go, a nawet poniekąd usprawiedliwić, a przynajmniej wytłumaczyć. To drugie stanowisko wobec elukubracyi Mijakowskiego zajął także X. Kosiński i jako owoc swego studyum przyznaje w końcu (str. 158) Mijakowskiemu zdolności kaznodziejskie, ale wytyka mu, że się nie wzniósł ponad swój czas i modę panującą wtedy na ambonie. „W każdym jednak razie nie zasługuje na to, aby figurować w naszych podręcznikach historyi literatury jako straszak i wcielenie wszystkich wad kaznodziejskich epoki barokowej". Sąd swój o Mijakowskim streszcza autor w tem, że ani oryginalnością, ani pomysłowością i ekscentrycznością nie przewyższa on wcale kaznodziejów współczesnych, a jednak te nawet nieliczne jego utwory są bardzo charakterystyczne i ty-

powe i należą niewątpliwie do najbardziej interesujących i ciekawych objawów kościelnej wymowy polskiej w pierwszej połowie XVII. wieku.

Do tego sądu dochodzi autor po studyum wszechstronnem nad Mijakowskim i jego utworami homiletycznymi. Uzupełnia w kilku szczegółach (str. 11—17) jego biografię, jaka się zachowała w podręcznikach literatury kaznodziejskiej i w encyklopedyach. Streszcza następnie (21—110) po kolei lat wydania jego kazania podane do druku, a więc: 1) Interregnum, 2) Kosz na kolędę, 3) Szczęśliwy marnotrawca, 4) Znaczna w cnotę matrona i 5) Zbożny pobyt, a każde oddzielnie uzupełnia komentarzem literacko-krytycznym. Po wyczerpującym przeglądzie treści tych kazań, autor rozpatruje następnie ich formę, zajmuje się metodą stosowaną przezeń przy układaniu swych utworów: jak rozwija i uzasadnia temat obrany, jak go rozdziela na główne części kazania, o ile założony plan i układ w toku dalszym realizuje i jakich używa ku temu środków retorycznych (str. 110—117). Osobną uwagę poświęca stylowi tych utworów, zastanawia się oddzielnie nad obfitym, w nich zawartym, materyałem językowym, literackim i ludoznawczym (124 do 139). Wykazawszy brak w nich silniejszej uczuciowości a natomiast przewagę, owszem nadmiar, często nawet rozbujałej wyobraźni, (115 i 116) co jest cechą prawie wyróżniającą ogółu naszych pisarzów XVII. wieku, przechodzi autor do rozważania kazań Mijakowskiego na tle epoki. I to jest może najcenniejsza część tej monografii.

W ślad za Brücknerem i Porębowiczem przemawia ks. Kosiński za przyjęciem dla tego okresu w naszej literaturze nazwy „barokowej", zamiast dotychczas używanej „makaroniczno-penegirycznej". Kreśli dalej historyę powstania i rozszerzenia się baroku (117—124, 139, 145 n.), w szczególności zajmuje się barokiem w Polsce (148—157) w odniesieniu do mównictwa kościelnego. Mijakowski schodzi tu na plan drugi, staje się jakoby tylko sztafażem na tle szeroko naszkicowanego obrazu z dziejów baroku, jakby ilustracyą do spostrzeżeń, z tych obfitych zarysów wysnutych. Na tem cierpi wprawdzie jednolitość studyum, gdyż raz po raz przerywa je autor uwagami z zakresu baroku, ale zyskuje niewątpliwie treść, gdyż w tem dopiero obramieniu daje się lepiej poznać indywidualność i specyalność Mijakowskiego. W tę część swego studyum, poświęconą zarysom baroku, włożył autor widocznie dużo pracy i staranności, świadczy też ona o rozległem i wytrawnem jego rozczytaniu się w wszechstronnem przygotowaniu dla wyrobienia sobie gruntownego i rzetelnego sądu w zakresie piśmiennictwa barokowego. Autor przewertował w tym celu celniejsze dzieła w języku

włoskim, francuskim i niemieckim, o czem świadczą liczne i obfite wyimki, podane w odsyłaczach u spodu tekstu. Są one może tu i ówdzie za obszerne i bezpośredniego odniesienia do twórczości Mijakowskiego one nie mają, ale natomiast uzasadniają należycie spostrzeżenia i sądy autora w dziedzinie ogólno-europejskiej literatury kaznodziejskiej barokowej, a przyczyniają się choćby pośrednio do lepszego zrozumienia wad i przymiotów w utworach kaznodziejskich samego nawet Mijakowskiego. Uwagi, które autor obficie rozmieścił tak w samym tekście swego studyum, jak w sporych do niego odsyłaczach, o rodzaju twórczości Mijakowskiego, w związku z ciągłemi wycieczkami w dziedzinę piśmiennictwa barokowego, mają łącznie znaczenie ogólne dla oceny całej ówczesnej literatury kaznodziejskiej. Wystarczyłoby powołać się w tym względzie na jego charakterystykę ówczesnego stylu kaznodziejskiego i takich środków oratorskich, jak porównania i metafory (124—126), jak bajki (131), przykłady (132, 143), jak alegoryczny wykład Pisma św. (141), jak wogóle cały ówczesny aparat retoryczny, grzeszący nadmiarem i przesadą, a mający olśnić słuchaczy i przekonać ich o głębokiej i szerokiej erudycyi (130) kaznodziei. Równie przydatne będą, choć nie są nowe, jego sprawozdania o konceptach w kazaniach barokowych wraz z całym zasobem, wyzyskiwanych dla nich surogatów (133), o „urodzimianiu" czyli przystosowywaniu szczegółów biblijnych do społecznych stosunków polskich (137), o makaronizmach (144); co wszystko tworzy cechy charakterystyczne kaznodziejstwa barokowego. Nawet takie drobiazgi, jak oznaczenie czasu, kiedy poczęto wprowadzać „Zdrowaś Marya" po wstępie kazania (str. 111 w odsyłaczu), lub uwagi o polskich homiliach (79), o cytatach z Pisma św. (130), o fraszkach (150), o zakazach synodów polskich (154) itp. mają pewną wartość literacką i homiletyczną. Trafna jest również uwaga autora o celach ambony (113, 156). Ciekawą jest zwłaszcza synteza kaznodziejstwa barokowego, jaką w zakończeniu swego studyum (159 n), autor pokrótce zestawia, i sumaryczne porównanie go z kaznodziejstwem dzisiejszem „aby się naocznie przekonać, jak wiele brakuje temu ostatniemu przymiotów, które posiada pierwsze, i czego się strzedz, aby nie popaść w przesadę barokową". X. Kosiński w zestawieniu tem podkreśla, że a) i dziś jeszcze występują makaronizmy pod trochę inną formą, że używa się nazbyt słów technicznych, cudzoziemskich i neologizmów; że b) odmiennie od pedantycznego rozumowania w kaznodziejstwie barokowem, nieraz naciąganego i sofistycznego, dziś daje się odczuwać brak argumentacyi ścisłej i brak konkluzyi, które zastępuje często retoryczna przesada; c) w miejsce da-

wnych wyimków klasycznych i z mitologii, mamy obecnie za wiele cytatów z poetów nowszych i powag naukowych, zwłaszcza w kazaniach ustnie głoszonych; d) podczas gdy dawniej uwzględniano zbytnio sprawy bieżące, czysto ziemskie, dziś grzeszy się albo przez zbytnią abstrakcyjność albo przeciwnie przeważa realizm, zwłaszcza w kazaniach t. zw. socyalnych; e) w barokowem kaznodziejstwie gromadzono przesadnie motywy czysto dekoracyjne, (dykteryjki, porównania, metafozy itp.), w współczesnych utworach kaznodziejskich odczuwa sie brak przykładów, za mało w nich środków uzmysławiających, f) niegdyś nadużywano Pisma św. w zakresie alegoryi i dostosowania go do rodzimych stosunków, zaś obecnie jest go naógół zamało w utworach homiletycznych, a w wyjaśnianiu perykop przeważa utarty szablon i pewna konwencyonalność, w cytowaniu Pisma św. panuje błędna metoda; używa się go raczej dla dekoracyi, niż dla organicznego związania z całością kazania...

W całym tym zarysie porównawczym przyznać trzeba autorowi sąd zdrowy, sporo racyi i wielki zasób doświadczenia praktycznego. Wogóle całe jego studyum jest wyrazem wielkiej gruntowności i sumienności w skrzętnem korzystaniu ze źródeł i opracowań, zwłaszcza obcych[1]), przynosi też świadectwo pracy rzetelnej, mrówczej. O Mijakowskim zebrał autor wszystko, co w dzisiejszych warunkach badania i w obecnym stanie źródeł zebrać było można; to zaś, co przydał w zarysie kaznodziejstwa barokowego i jego historyi, tworzy istotnie cenny przyczynek do dziejów naszej wymowy kościelnej w XVII. wieku, owszem prawdziwy dorobek literacko-homiletyczny. Czyta się to studyum z wielkiem zajęciem, a czytałoby się jeszcze przyjemniej, gdyby autor nie zaniedbał był w tekscie (nawet reprodukowanych kazań) znaków pisarskich, a usunął był błędy drukarskie[2]) od których nieraz (zwłaszcza w tekscie odsyłaczów niemieckich) aż się roi. Tłumaczy go okoliczność, że manuskrypt swój drukować mu wypadło w obcem mieście i to w okresie wojennym, nie mniej jednak ujmuje to przymiotów tej monografii, pod rzeczowymi względami cennej i bardzo pouczającej.

X. Jougan.

[1]) Pożądane byłoby pełniejsze uwzględnienie opracowań rodzimych. Autor nie wspomina wcale o szkicach Rejowicza, o pracach Badeniego nad Antoniewiczem i Chołoniewskim. Do monografii Jougana zalicza także „Kazania świąteczne", czem one nie są, a zamilcza o 5 innych (str. 2 pod spodem) monografiach.

[2]) Autor pisze: ześwieńczenie (39) i zeświedczenie (161), odmiennie od pisowni przyjętej. Czy też (137) „urodzimianie" jest dość szczęśliwym neologizmem? chropawo brzmi „uniwersalizacyjny" (58). Homiliętyka?

Brückner Al., **Walka o język**, Lwów, 1917 r. str. 284.

Któż więcej od Brücknera mógłby być powołanym i przygotowanym do napisania takiej książki! Toć nieznużony ten profesor berliński i badacz skrzętny, który tyle przerzucił rękopisów średniowiecznych, najgłębiej zajrzał do skarbnicy języka staropolskiego, szeroko przytem jako filolog i historyk literatury ogarnął całokształt języka naszego i jemu pokrewne języki słowiańskie i inne. Ktoby się chciał przekonać o ogromie pracy, jakiej plon stanowi książka niniejsza, ten niech spieszy na ciekawych badań profesorskich szlak, jaki się znaczy szczególnie w wydawnictwach Akademii Umejętności, jak Rozprawach Wydziału filologicznego i Sprawozdaniach Komisyi językowej oraz warszawskich Pracach filologicznych, ten niech się dowie, że pracowity badacz rozejrzał się w olbrzymich stosach kazań średniowiecznych, wyjmując z nich glosy polskie, że sam własnoręcznie przepisywał choćby „Rozmyślanie o żywocie Pana Jezusa z rękopisu grecko-katol. Kapituły Przemyskiej"? i wydał je wspaniale, ten niech rozważy, iż nieznużony profesor kilkakrotnie przeorywał cały zagon ojczystego piśmiennictwa, dając i w polskim i niemieckim języku syntetyczne poglądy na jego historyę i wzbogacając je specyalnemi przyczynkami.

I tak jak w swej pracy literackiej zawsze pamiętał o ogóle inteligentnego społeczeństwa, tak i w pracach nad językiem ojczystym obdarzał i szersze warstwy cennymi upominkami, co należą dziś do całokształtu bibliotecznego w każdym niemal domu polskiego inteligenta. Nie tyle mamy tu na myśli „Literaturę religijną o Polsce średniowiecznej"[1]) wydaną w trzech tomach, ile „Dzieje języka polskiego"[2]), których ukazało się już drugie, rozszerzone wydanie, dalej „Cywilizacyę a język"[3]), a niemniej i jego rozprawy w Encyklopedyi polskiej w tomie „Język polski".[4])

Bierze więc „Walka o język" broń swą ze znakomitej a bogatej zbrojowni badań i studyów i prac długoletnich. Stąd chociaż nieraz powtarza rzeczy dawniej już podane, oryginalnie opracowana, najnowszymi a wartkimi niesiona prądami, świetnie napisana i pięknie wydana, nowe budzi zajęcie.

W bardzo ciekawej przedmowie wskazuje autor na główną właściwość szczególnie naszego języka, na zachowawczość, pisząc: „W u-

[1]) Bibl. dzieł chrześc. Warszawa 1902. [2]) 1. wyd. Lwów 1906.
[3]) Warszawa 1904 r. [4]) Enc. p. Kraków, 1915.

stroju narodowym oprócz wiary najbardziej zachowawczą dziedzinę stanowi język; nie znosi żadnych przewrotów czy przeskoków i rozwija się powoli i po upływie całych wieków ledwie w nim jakich dostrzeżesz odmian" (str. 2), poczem podkreśla cel i zadanie książki, co ma dopomódz do przeprowadzenia „ogólnych i jednolitych prawidł" (sic!) językowych.

Od razu ognisty i wojowniczy mąż w pełnej zbroicy rzuca się w wir walki, a mianowicie „Walki z cudzoziemczyzną". Wyrazistymi rysy kreśląc bolesny obraz zaśmiecenia języka naszego przez cudzoziemczyznę, a mianowicie niemczyznę w XIV i XV osobliwie wieku a potem przez łacinę i wskazując jak gorliwie już Skarga wyświecał obce wyrazy, żali się nad tem, żeśmy zaniechali wielu staropolskich a przyjęli wlazy ohydne, np. zarzuciliśmy oje, biorąc dyszel, — korzkwię, biorąc kielnię, — żreb, biorąc los. Wdzięczne zadanie oczyszczania języka mają tu szczególnie nauczyciele i dziennikarze.

Przy pracy tej mozolnej należy w pierwszym rzędzie czerpać z czystych zdrojów staropolskiego języka lecz czerpać umiejętnie. Niestety „Młoda Polska", odnawiając zapomniane wyrazy, wprowadzała nieraz błędne. Taki bardzo modny „chram" zupełnie niepotrzebny, bo niepolski, a taka „gontyna" zmyślona, taki „znicz" błędny.

Ale nie tylko obce wyrazy szpecą nasz język, obcą nawet duchowi języka jest składnia wypaczona szczególnie niemczyzną i łaciną. Należy więc przymiotnik kłaść przed rzeczownikiem, a unikać niemieckiego odsuwania czasownika na koniec zdania, a także niepotrzebnych składanych wyrazów. Lecz trzeba się przytem strzedz przesady, nie uważając tego za obce, co niem nie jest. Okręt, co pochodzi od kręcić się, druh, huzar to nasze, a szukać za czemś nie jest germanizmem.

Bojowy zapał autora goreje jeszcze płomienniej, gdy przechodzi do rozważań nad naszą pisownią. Woła, że panuje u nas „niechlujstwo pisowniowe", że wstyd bierze, gdy się naszą pisownię porówna choćby z czeską lub rosyjską, tyle u nas niepewności, niekonsekwencyi. — Chmielowski powiedziałby „niewynikliwości", jak podaje w „Stylistyce polskiej" — rozgardyaszu. Szczególnie od Czechów winniśmy się uczyć metodyczności, a nawet dla utrwalenia wymowy ginącej założyć muzeum fonograficzne. Tak między innemi walczy zaciekle o samogłoski i e y w liczbie mnogiej w rodz. ż. i żąda koniecznie, by pisać „nocy" nie noce, „rozkoszy" nie rozkoszę, „wsi" nie wsie itp., śmiało zwalcza osławione rozróżnianie na ym i em itp. w formach przymiotnikowych,

nazywając to rozróżnianie „bałamuceniem“ ludzi; wskazuje na błędne ruszczenie form jak łopocze, klekocze, Klonowicz, Zimorowicz, gdzie wszystko winno się pisać przez zwykłe c, jest i za odmienianiem imion obcych, bez wszelkich skrotów, i apostrofów, jak Shakspearea, Longfellowa, Bourgeta, Lutera, Hegela, Comtea, Rousseaua, co chyba najnaturalniejszem. Dziwne jednak, że nazw obcych miejscowości na modłę Bordeaux nie należałoby odmieniać, a nawet zachować München, Lyon, co więcej Petersburg.

Najznakomitszy bez wątpienia to ostatni ustęp, „Wyrazy obce i ich znaczenie“, bo odźwierciedla żywo i wyraziście potoki obcych wyrazów rozlewające się po zagonach ojczystego języka. Sięgając aż do Scytów i Daków, od których mamy chmiel, konopie, Dniestr, Dniepr i in., wykazuje wpływ obcej kultury na naszą za pomocą obcych wyrazów, co nieraz zupełnie się zlały z naszym językiem. Więc już sporo wyrazów jak: miecz, ksiądz, płacik, izba, piła, kupiec, lichwa, buk, wielbłąd, owoce, chleb, mamy od Gotów, w zamian za nie daliśmy im: pług, grządziel, i różne wyrazy z bartnictwa.

Z chrześcijaństwem wnikają do naszego języka rozmaite wyrazy kościelne (kościół — castellum), razem z kulturą zachodnią wyrażenia ogrodowe, kuchenne, domowe, które pochodziły nieraz z greckiego, częściej z łaciny, a dostawały się do nas za pośrednictwem Czechów i Niemców.

Od XIII. w. począwszy, poczyna się zalew języka naszego przez niemczyznę opanowanie miast z ich: ratuszami, brukami, gmachami sądami, rzemiosłami, handlem, zwyczajami i obyczajami. Linde obliczył niemieckie wyrazy w naszym języku na 1500, lecz zaczynał dopiero z r. 1550, dziś należy liczbę podwoić, a nawet potroić. Jednakże pamiętać należy, żeśmy mnogo niemczyzny już wyświecili w ciągu wieków następnych.

Niemało wpływu miał na język nasz i język czeski, co wciskał się do nas nietylko przez studentów wracających z Pragi, lecz wsączał się z dworu w wyższe warstwy narodu. Toć już Jadwiga miała i czytała dzieła św. Jana Złotoustego w języku czeskim, a przecież pierwsze tłumaczenia z Pisma św. zaprawione czeszczyzną. Pod jej wpływem przyjęliśmy nietylko mnogo wyrazów, szczególnie teologicznych i wojskowych, lecz na czeski sposób odmieniliśmy własne, mówiąc np. zamiast Włodzisław — Władysław, zamiast obywaciel — obywatel, zamiast śmiertny — śmiertelny.

I od wschodu szły do nas wpływy językowe, nie tyle ruskie — Ruś od nas brała — ile turecko-tatarskie. Wiele wyrazów już zanikło, lecz wiele jeszcze mamy, czy to w ubiorze, czy w wojskowości czy koniach czy broni.

Jeśli najważniejsze okresy wpływów nazwiemy chrześcijańskim i mieszczańskim, to ostatni będzie szlachecki. Od XV. wieku, od znaczenia szkoły zaczyna u nas łacina stawać się wszechwładną, opanowuje wszystkie dziedziny życia szlacheckiego, zaprawiając język pstrocizną makaroniczną, tylko wymowa kościelna(?) i poezya nie ulegają tej zarazie. Lecz jest łacina zarazem wyraźnym dowodem naszego związku nierozerwalnego z obyczajowością zachodnią, jest niby naszą legitymacyą cywilizacyjną". (229).

Wobec wpływów powyższych maleją zupełnie wpływy innych języków, są jednak i dziś jeszcze widoczne, choć język w ciągu wieków z wielu oczyścił się wlazów. Z włoskiego jeszcze dziś mamy wiele wyrazów w dziedzinie wojskowości, muzyki, zabaw itp., jeszcze dziś dobrze nam znane: stancya, fraszka, cera, cyfra, birbant, paragon — nie z greckiego, jak twierdził Linde, — rewerenda, czamara, wykwintny, poczta, gazeta, kredens, kapelusz, sztafirować się itp.

I wpływy węgierskie, szczególnie od czasów Batorego objawiają się w naszym języku jeszcze po dziś dzień. Często nawet nie przypuszczamy, że Węgier się kryje w takich jak: rokosz, orszak, magierka, kontusz, ciżmy, czekan, szereg, szych, husarz, kiereszować, giermek, harcować, dobosz, besztać od beszte = bestya, antał, maślacz, hejnał itp.

Nawet z Wołoszczyzny braliśmy wyrazy z zakresu pasterstwa, jak: hale, połoniny, fujarka, multanka, bryndza, koszary (dawniej dla owiec), pewnie i szałas.

Trudno zaś wyliczyć wyrazy przyswojone z języków tatarskiego i tureckiego. Pomijając wszystkie dotyczące wprost życia wojennego, przypominamy: kajdany, bazar, rumak, bachmat, bułany, kary, wojłok, burka, kutas, kołczan, kibić, kulbaka, temlak, kilim, dera, taśma, sagan, dżuma, tuman, szarańcza, tabaka, filiżanka farfurowa, imbryk i tyle, tyle innych. A do tego dodaćby można, że wiele jeszcze wschodnich wyrazów mamy wspólnie z innymi zachodnimi językami.

Ruskie wpływy bardzo późno występują, boć Ruś brała właśnie z Polski kulturę, a z nią i wiele form językowych, nawet pożyczki nie-

mieckie. Jednak przez poetów pochodzących z Rusi lub żyjących na pograniczu, nie wiele, ale jednak coś wsiąkło i do naszego języka jak: nadwyrężyć, oszołomiony, truteń, dureń, duży, hoży, rubaszny, opryszek, wiedźma, upiór, kołtun, morda, portki, koreść, czupurny, rozhowory, wraży, czołobitny i kilka innych.

Okres od r. 1750 do 1900 zbywa autor krótko, wskazując na to, że wpływy francuszczyzny zbyt widoczne, żeby się długo w nich rozpisywać, podobnie i wpływy greckie i łaciny w zakresie: chemii, filozofii, wynalazków.

W „Uzupełnieniach" poddaje ostrej krytyce zasady pisowni polskiej, rozesłane w marcu 1917 r., twierdząc, że „jedyną zasadą prawopisu Akademii w r. 1917 jest brak zasady", a w końcu raz jeszcze podkreśla dobitnie potrzebę „Towarzystwa przyjaciół języka polskiego."

Otóż książka, w której zamyka się olbrzymi plon długoletniej pracy uczonego profesora i specyalisty. Trudno coś bezwzględnie zaczepić, trudno wszczynać walkę o język z mężem tak doświadczonym, lingwistą i literatem — stylistą w jednej osobie. Ale wątpliwości chyba mieć można, boć to jeszcze nie ewangelia. Otóż zdaje nam się, że miejscami zapalony filolog jest zbyt krańcowy w swoich wymaganiach, szczególnie co do pisowni. Rozumiemy, że takie bezwzględne niedorzeczności w rodzaju: niemaż (a nie zaś niemasz) należy piętnować, ale czy się uda w tylu wyrazach zmiana co do ż a rz, u a ó itp., o tem wątpić można. Wiemy przecież dobrze, że język w rozwoju swym wiekowym nie zawsze okazał się logicznym i wynikliwym, że i przyzwyczajenie ma swoje prawa. Toć autor sam pisze: „Jakżeż można narzucać ogółowi t. j. temu, kto język wytwarza i przechowywa wbrew jego poczuciu językowemu czy nawyczce (a ta w języku o wszystkiem stanowi) jakieś prawidła czy pęta?" (str. 132). A jednak autor wymaga między innemi, żeby przymiotnik kłaść przed rzeczownikiem, potępia swobodę zbytnią składni, co zapatrzyła się na łacinę. Co najciekawsze zaś, postawia zasadę, żeby przecinków używać jak najwięcej. Pocóż? Toć najpierw szpecą te przecinki tak i tak już nie bardzo piękny, bo upstrzony wygląd druku naszego, a powtóre rozrywając i kalecząc zdanie, utrudniają czytanie i rozumienie. Sądzimy, że szczególnie i w pierwszym rzędzie istne błędy należy nam zwalczać, a wobec drugorzędnych zachować większą swobodę według zasady: in necessariis unitas, in dubiis libertas. Wreszcie dziwi nas jeszcze, że profesor nieubła-

gany, gdy chodzi o pisownię, jest tak pobłażliwy wobec wymowy, nie wymaga, by wymawiano według pisowni tam, gdzie wymowa jest możliwa np. mówić jestem, gdzie się tak przecież pisze. Wreszcie niema uzasadnienia, dlaczego autor „hetmana“ raz wywodzi z niemieckiego, raz z czeskiego, wogóle przydałoby się szczególnie przy wyrazach pochodzenia niemieckiego podać częściej niemiecki wyraz.

Pisząc o wpływie języków wschodnich na język nasz, opierał się autor na pracach Muchlińskego[1]) i Karłowicza[2]). Muchliński w swym „Źródłosłowniku“ podaje nie tylko wyrazy, które pochodzą z języków wschodnich, ale także takie, które analogicznie do wyrazów wschodnich utworzono. Te nas mniej obchodzą, ale dla uzupełnienia można było także wspomnieć, że mamy wiele wyrazów pochodzenia wschodniego wspólnie z językami zachodniemi, o czem pisze Karłowicz w swojem sprawozdaniu kongresowem.

Pomijając te drobne wątpliwości, wyznać musimy, że książka świetnie napisana, miejscami wprost porywająco, stanowi cenny nabytek w piśmiennictwie naszem, szczególnie w tych dniach budującej się państwowości polskiej. Autor, jak wspomniałem, nie jest suchym lingwistą i filologiem, lecz literatem par excellence, więc umie pisać także zajmująco, że tak powiem, twórczo. Weźmy choćby znakomity rozdział „Wyrazy obce i ich znaczenie“, to nietylko zbiór i kopalnia wiadomości o pochodzeniu tysięcy wyrazów, ale zarazem świetnie namalowany obraz kulturalnego pochodu owych wyrazów, a zarazem przykład, jak pisać dla tych, którzyby temperament, estetykę i dowcip wykluczyć chcieli z pracy naukowej. Że nie przesadzam, niech poświadczą o tem opisy wyrazów niemieckich: „O zamożności i pobożności mieszczan świadczyły ich f a r y i t u m y, w których Polacy nieraz t r a f i a l i na „niemieckie kazania“ (183). „Wszystko załatwiano na f r y m a r k u, przyczem już nieraz słowem i uczciwością f r y m a r c z o n o“ (186). Tak to autor na szerokiem a wzorzystem tle wyrazów obcych opisuje bujne życie średniowieczne i późniejsze, opowiada jak mieszkano, gotowano, pracowano, bawiono się, działano społecznie, sądownie, kościelnie, politykowano i wojowano. Obraz cały już krasny krasi jeszcze wyimkami z piśmiennictwa współczesnego.

Lecz co szczególnie szersze koła inteligencyi do książki przy-

---

[1]) Antoni Muchliński, Źródłosłownik, Petersburg, 1858.

[2]) Karłowicz, Mémoire sur l'influence des langues orientales sur la langue polonaise 1884 r.

ciągać i przykuwać może, to ta wielka miłość do języka, jaka ożywia autora. Należy to podkreślić, boć niejeden przeglądając pobieżnie książkę, mógłby sądzić, że autor niepotrzebnie wyjawia wady i słabości naszego języka. Właśnie autor w tym celu to czyni, by nas zachęcić do walki o czystość i poprawność języka, a przedstawiając zalew obcy, podkreśla jak najdobitniej, że mimo wszystkie ościenne wpływy język nie stracił swej samodzielności, nie wyzbył się rodzimego ducha, okazał wielką żywotność.

Jest ta książka zarazem głośną pobudką bojową przeciwko obcym wlazom i zachętą do ich rugowania w jak najszerszych kołach. A potrzebna taka zachęta, bo literaci zdolni i żądni rozgłosu, lecz bez głębszego wykształcenia językowego zachwaszczają nasz język obcemi wyrazami, a nieraz satyrycznie usposobieni, ośmieszają może jeszcze usiłowania „purystów". Słuszność mają, gdy chodzi rzeczywiście o nierozumnych „oczyścicieli", lecz gdy walka opiera się na rzetelnych podstawach, należy ją tylko pochwalać i popierać. W tym względzie tak poważny uczony jak Brückner zaleca bój bezwzględny z cudzoziemczyzną, głos jego nie jest samotny, boć znajduje towarzyszy wielu. Co dopiero wydał np. znany lingwista, Władysław Niedźwiedzki słownik „Wyrazy cudzoziemskie zbyteczne w polszczyźnie"[1]), opatrując go pięknem wstępem. Jakżeż wygląda wobec prac tak poważnych uczonych nienaukowy artykuł Karola Irzykowskiego „Poradnik dla purystów" w „Myśli polskiej!"[2])

Tryska więc z „Walki o język" nietylko zdrowa i głęboka nauka lecz i obfity zdrój mocy i pociechy i zachęty. Przez książkę tę przemawia praktyczna myśl, by wszędzie, gdzie tylko można, zakładać kółka i towarzystwa językowe i wspólną a wytrwałą pracą, codziennym drobiazgowym trudem plenić chwasty na szerokich ugorach językowych i krzepką dłonią rozsiewać złote ziarno rodzime, bogate i bujne, na wzór wielkiego profesora siewcy, który woła:

„Na szczęście nie wymaga od nas poprawność językowa ofiar czy trudów zbytnich; nieco uwagi i pilności wystarczy, aby odwiać plewy od ziarna i z naleciałości, jakiemi przeważnie nieuwaga, niedbałość, lenistwo, mędrkowanie niepotrzebnie pisownię i język upstrzyły, oboje odczyścić". (str. 141).

X. Nikodem Cieszyński.

---

[1]) Warszawa 1917.

[2]) Rok 1917. Zeszyt IV—V.

Patryotyzm, Ks. J. St. Adamski T. J. Poznań 1917, 8°, 83.

Tak szlachetne i potężne uczucie jak miłość ojczyzny może łatwo zwyrodnieć, jeśli się go nie oprze na moralnej podstawie obowiązku i nie wskaże dlań celu, sięgającego poza doczesność. Z jednej strony szowinizm, z drugiej czerwony kosmopolityzm niby Scylla i Charybda grożą zagładą prawdziwemu patryotyzmowi. Otóż Ks. Adamski stara się w swej broszurze sięgnąć najpierw do najgłębszych podstaw miłości ojczyzny i wskazać jej najwyższe cele.

Z oratorską werwą, śmiałymi i pięknymi zwrotami wykazuje jej fundamenta w naturze ludzkiej i wzór w dziejach narodu wybranego w przykładzie Chrystusa i innych. Za cel zaś przedstawia spełnienie bożego planu, jaki każdy naród ma od wieków wytknięty: — stworzenie cudnej harmonii z owych różnic narodowościowych spojonych jednym duchem Kościoła.

Przy sposobności zbija autor bardzo trafnie dość powszechny zarzut, że Kościół z natury swej musi być przesiąknięty kosmopolityzmem. Ponadnarodowej dążności Kościoła przeciwstawia Ks. Adamski usiłowania radykalizmu kosmopolitycznego. Tendencye te piętnuje bardzo silnie, wykazując, że nie może być mowy o zbrataniu się wszystkich ludzi, gdy się odrzuci prawdę, że ludzkość cała ma jednego Ojca — Boga.

Autor wszakże nie ogranicza się do samych teoretycznych uwag. W drugiej części swej broszury (44—83) zawarł parę wskazań praktycznych. „Postawmy sobie jasno pytanie: czego praktyczna miłość ojczyzny od nas wymaga“ (45), odpowiada, że dziś miłość ojczyzny wymaga przedewszystkiem zgody, jedności. Gdy jedności nam braknie, sami niczego nie dokażemy, nie dopomogą nam ni ludzie, ni Bóg! Następnie zwraca uwagę na „fałszywy patryotyzm“, egoizm narodowy, działający ujemnie i na zewnątrz, bo „pała nienawiścią ku wszystkim obcym ludom“ (55) i na wewnątrz, gdyż pochłania wolność i swobodę obywatelską. W dalszym ciągu uwydatnia silnie niedostateczność „krzykliwego patryotyzmu“, patryotyzmu od święta, wskazując na czynną miłość ojczyzny.

Czyn ów ma polegać najpierw na ożywieniu w społeczeństwie wiary, która ongi dała nam potęgę, dała moc do przetrwania złych dni, dziś zaś jest jedyną i konieczną zaporą „przeciw roztopieniu się w morzu prawosławia i panslawizmu“ (61). Wiara ta uchroni nas przed demoralizacyą i uzdolni do skutecznej pracy nad ludem. U nas wprawdzie

niema powszechnej niewiary, jest zato „straszny indyferentyzm".

Miłość ojczyzny praktyczna wymaga również dołożenia sił do rozwoju ekonomicznego naszego kraju. Rozbudzać, rozszerzać przemysł, zachować ziemię w polskich rękach, to jeden z najgłówniejszych obowiązków. Tu autor wskazuje na konieczność założenia jakiejś „czysto ziemskiej instytucyi bankowej" (70).

Wreszcie zwraca uwagę na ważność wychowania etycznie dobrego, które bezwarunkowo nie da się osiągnąć w modnej dziś koedukacyi. W pracy wychowawczej główną rolę powinna odgrywać kobieta, będąca bardzo doniosłym czynnikiem w całem narodowem życiu, wskutek swej „wyższości moralnej, religijnej" (75).

Pracę swą kończy autor ustępem pełnym radości i ufności, że już widnieją brzaski dnia trzeciego dla naszej ojczyzny.

Pewno, możnaby wiele jeszcze dodać, pogłębić niejedną kwestyę, lecz autor nie myślał pisać wyczerpująco traktatu o patryotyźmie, ale mniej więcej popularnie ująć najszczytniejsze momenty w uczuciu tak żywem i silnem, jak miłość ojczyzny. Trudno też było w tak ciasnych ramach więcej pomieścić, lecz nawet w tem, co Ks. Adamski poruszył, niejedno doprasza się o uzasadnienie. Żałować przedewszystkiem trzeba, że autor nie dość jasno przedstawił, co jest istotą w pojęciu ojczyzny, czem jest dla ojczyzny państwowość. Wiemy przecież, że i co do tego niema jednego zdania. Wobec tego braku może być w naszych warunkach nieco bałamutne następujące powiedzenie: „Płyniemy razem z innymi na nawie państwowej, czyż więc może nam być obojetnem, w jakim stanie nawa się znajduje?" (41).

I jeszcze jedna uwaga co do treści. Dobrze, bardzo dobrze autor uczynił, że nam przywykłym do samowoli przypomniał boski początek każdej władzy, ale szkoda, że nie zaznaczył, iż się to tyczy tylko władzy prawnie ustanowionej, że teologia moralna zna także uzurpatorów i że wobec nich wskazuje nieco odmienną taktykę, niż wobec prawowitych zwierzchników. (Patrz Noldin, Summa Theol. Mor., Oeniponte 1914. II. de Praeceptis, p. 329).

Trochę nie na miejscu może się wydawać przytoczenie słów Napoleona po francusku. W popularnej broszurze powinnoby się, przynajmniej w uwadze, znajdować tłómaczenie.

Przy tem wszystkiem mogą myśli poruszone przez Ks. Adamskiego wlać nowe siły w patryotyzm niejednego z czytelników i otoczyć jego miłość ojczyzny aureolą wieczności, zwłaszcza, że rzecz pisana z serdecznem ciepłem.

J. Krzep.

Wzorowy neofita. Napisał ks. Dr. Z. G ó r k a, Lwów, w 8-ce str. 10.

Zaledwie dwa arkusze druku, tok wypadków opisany piórem prostem, przed kartą wstępną wizerunek przeciętnej twarzy starozakonnej: słowem nic pozorami nie wabi do tej książeczki, ale treść jej niepospolicie zajmuje. Wielebny pisarz pod strzechy starozakonnych domostw nas wprowadza, abyśmy tam z księgi stosunków codziennych odczytywali tajemnice duchowe, których nikt z nas nie przeczuwa. Tam w Dobeomitu pamiętają jeszcze Blumenfeldową, najprawowitszą chasydkę, która we śnie ujrzała się sama w złocistej izbie przed krucyfiksem na ścianie. Przerażona odwraca się do ucieczki, aż tu, nim dobiegła do drzwi, wchodzą przez nie długim rzędem starzy starozakonni, najpoważniej podchodzą przed krzyż i padają przed nim na kolana, a przewódca ich ukazuje ręką Ukrzyżowanego i wyrzeka hebrajskie słowa: Oto Prawda! Usłyszała chasydka o Ukrzyżowanym, ale nie o chrześcijanach, więc ich po dawnemu jak zarazy unikała po za stosunkiem kupieckim; aż nieuniknioną przygodą zbliżona do rodziny Dąbrowickich, znalazła ich tak miłymi, że poprosiła o jakiś opis Ukrzyżowanego... po pierwszej książce prosiła o drugą, i o trzecią, aż po roku chasydka 67-mioletnia przyjęła chrzest.

Ojciec jej Icek Grossfeld przyznał się także, że w młodych latach czuł się bardzo nieszczęśliwym, gdy dostrzegał w talmudzie brednie wierutne, — ale zrzekł się rozumu w ręce rabinów.

Z drugą córką Icka ożenił się właściciel trafiki i wyprzedaży dzienników w Tarnowie M. Rokach, potomek rodu rabińskiego w Betzcu, więc na każdym kroku spotykany ze czcią przez kahał tarnowski. Najniespodzianiej słyszy prośbę żony, żeby nie tracił serca nigdy do żadnego z dzieci, — chociażby się które dopuściło nawet tego, żeby chrzest przyjęło. Mąż daje słowo i na to, i osłupiały przecież go dotrzymuje: i córki jedna po drugiej i syn przyjmują chrzest. Aż za dziećmi poszła i żona w podróży, którą z nimi odbywała już chora. Dzieci bały się o jej chrzcie mówić zbolałemu ojcu, więc jej zwłoki sprowadzone do Tarnowa legły na kirkucie. Ale starozakonna ślepota nie mogła znieść, że potomstwo rabińskiego rodu przyjmuje chrzest, a ojciec ich nie wydziedzicza: ze zemsty poczęła ojca okładać opłatami za miejsce w bóżnicy niebywałymi i wciąż je podnosić, a gdy tem nie wyprowadziła go z równowagi, zaczęła mogiłę nieboszczki bezcześcić i na nią zgarniać błoto z kirkutu. Tą zniewagą zwłok żywo dotknięty znał jej źródło w talmudzie i odstrychnął się od niego; już go

nie cenił nad Mojżesza i Proroków, ale zasiadł nad księgami Psalmów, Izajasza, Jeremiego. Z tych ksiąg natchnionych promieniała przed nim coraz wyraźniej postać Mesyjasza, — nad ewangelią zawołał: przecież to jasne! I zarazem postradał w sercu pamięć goryczy, niechęci i żalu do swoich krzywdzicieli na majątku i nad popiołami nieboszczki. Powierzył dzieciom myśl o chrzcie; usłyszał, że nieboszczka umarła chrześcijanką; zebrał dowody, przewiózł zwłoki z kirkutu tarnowskiego na cmentarz do Krakowa i tu przyjął chrzest. Dalszy żywot przypomina piękne szczegóły z dziejów Cohen, Libermanna, Kolisbonneów.

Junosza umiał nam uchylać zasłony z tajemnic rozkładu starozakonnego; Ks. Górka uczy odsłaniać śród tego rozkładu tajemnice łaski zwycięskiej. *C.*

R o m e r Eugeniusz: **Polska, ziemia i państwo.** Kraków, 1917. Nakładem księgarni G. Gebethnera i Sp. 8-ka, str. 76.

W pracy wymienionej dał autor ogromne mnóstwo wiadomości podstawowych, bez których jakakolwiek dyskusya o znaczeniu czy losach Polski jest wprost nie do pomyślenia. Dowiadujemy się z cennej tej książki przedewszystkiem o drogach naturalnych historyi polskiej od najdawniejszych czasów. Naszkicowawszy tedy, jak wygląda Słowiańszczyzna około r. 800, opowiada autor wyczerpująco o pochodzie germanizacyi wraz z chrześcijaństwem, przedstawia obraz Polski za Bolesława Chrobrego, a następnie szkicuje drogi politycznej ekspansyi Polski. Dróg tych było cztery, a mianowicie: droga równoleżnikowa „wielkich dolin", wzdłuż której stanęła Polska Bolesława na linii Bugu, droga południowo-wschodnia, na której pozyskała Polska już w zaraniu dziejów część Rusi, zwanej Rusią Czerwoną, droga południowo-zachodnia, którą Polska sięgała po obramienia górskie Czech, Moraw, a nawet po Dunaj, droga bałtycka, którą Polska doszła do morza. Przedstawiwszy nader interesująco związek, zachodzący między granicami zewnętrznemi a rzekami w Polsce, zastanawia się autor zosobna nad granicą wschodnią, ażeby stwierdzić fakt znamienny, iż niema ani jednej drogi sztucznej, którąby którąkolwiek z rzek rosyjskich wiązała z którąkolwiek z rzek dawnej Polski, bo niema w przyrodzie miejsca, przez które taką drogę możnaby przeprowadzić w sposób pożytkowi służący.

Rozdział drugi, zatytułowany „Polska jako człon środkowej Europy", mówi, dlaczego to Polska rozebrana politycznie i społecznie,

zdeptana fizycznie, staje znów cała, nawet śród wrogów, zrazu w pojęciach, jako widmo dziejów, dokonanych przed wiekiem. Wówczas bowiem targnięto się na ustrój polityczny, który chromał wewnętrznie, ale który był na miejscu, wskazanem przez przyrodę. Złamano jedno przęsło budowy równowagi europejskiej... i cały gmach runął.

Dalsze ustępy pracy prof. Romera mówią nam o: geologicznem rozczłonkowaniu Europy, fizycznej istocie Polski, rysują Polskę w klimatycznym obrazie Europy, przedstawiają florystyczny i faunistyczny obraz Polski, ażeby tą drogą dojść do fizycznych podstaw unii Polski z Litwą i Rusią. Okazuje się stąd bowiem, że różnorodna fizycznie Polska, wzniosła się w rezultacie procesów historycznych na najwyższy stopień kultury, że, panując nad wszystkimi drogami Litwy i Rusi, była przeznaczona na terytoryalny łącznik tych trzech składowych jednego terytoryum fizycznego, a przez pół tysiąca lat jednego terytoryum politycznego. Z samej pracy profesora Romera okazuje się wreszcie, że terytoryum i węzły naturalne są taką potęgą, że nawet mimo odrębności narodów, które terytoryum zajmują, muszą znaleźć się środki na zgodne współżycie ludów. *zet.*

E. Romer: **Ilu nas jest?** (Odbitka z „Kurjera lwowskiego"). Kraków, 1917. Nakładem księgarni G. Gebethnera i Sp. 8-ka, str. 32 i 3 nlb.

Pozbawieni własnego państwa, rozdzieleni między trzy mocarstwa, rozpylani emigracyą po całym świecie, nie umieliśmy dotąd dać dosłownej odpowiedzi na pytanie, wyrzeczone w tytule cennego dziełka prof. Romera. Praca omawiana powstała z badań, przedsięwziętych przez znakomitego uczonego, około ułożenia: „Geograficzno-statystycznego atlasu Polski". Ostateczny jej wynik daje się streścić w następujących cyfrach: w Galicyi mieszka Polaków 3,850,000, czyli 48 procent ogółu ludności, na Śląsku cieszyńskim 260,000, w Królestwie Polskiem — skutkiem korektury na podstawie spisu urzędowego władz okupacyjnych austryackich — 9,666,000, na Litwie z górą trzy miliony, a na Rusi ponad dwa miliony. Co się tyczy zaboru pruskiego, to, stosując kryterya spisu szkolnego, jakoteż poprawkę, wynikającą z większej płodności społeczeństwa polskiego od niemieckiego, stwierdza autor, że jedynie w 6 rejencyach, przedewszystkiem przez Polaków zamieszkałych, znajduje się okrągło 4 miliony Polaków. Innemi słowy mówiąc — w zaborze rosyjskim mieszka (rok 1910) w granicach Polski

z 1772 roku, 15,150,000 Polaków, w sąsiednich powiatach Kurlandyi i we wnętrzu Rosyi szacują liczbę Polaków na 380,000, razem w Rosyi mieszka 15,524,000 Polaków. W zaborze pruskim, oraz w sąsiednich powiatach rejencyi wrocławskiej i gąbińskiej, w Westfalii i Nadrenii 4,761,000 Polaków, w zaborze austryackim wreszcie ogółem 4,334,000. Na emigracyi przyjmuje autor dwa miliony. Ogólna tedy suma Polaków w roku 1910 wynosiła 26,619,000, a z uwzględnieniem wzrostu naturalnego, który wynosił u Polaków 16 na tysiąc rocznie, do roku 1914 wzrosła ich liczba do 28,324,000. Po Rosyanach, Niemcach, Anglikach, Francuzach i Włochach, są Polacy w Europie szóstym z rzędu narodem.

Sprawa, poruszana przez prof. Romera, zyskała przez jego pracę znakomity materyał, zestawiony po raz pierwszy ściśle naukowo.

Dr. St. Zdziarski.

Z piśmiennictw obcych.

Psychologie des Kunstsammelns von Adolph Donath. 2-te vermehrte Aufl., Berlin, R. C. Schmidt et Co., 1917, in 8-vo, str. 188, w tekscie 88 rycin.

Na wstępie do tego doskonale napisanego dziełka, które ukazało się jako 9-ty tom wydawnictwa p. t. „Bibliothek für Kunst u. Antiquitätensammler". charakteryzuje autor w sposób krótki, lecz bardzo trafny proces, rozgrywający się w duszy zbieracza dzieł sztuki:

„Sztuka — pisze on — jest równoznaczna z kulturą. Nie można wyobrazić sobie bez sztuki tego, co wogóle „kulturą" nazywamy. Niezliczone chwytne ramiona sztuki dotykają koniuszków naszych nerwów i pobudzają je do ruchu. Nagle ożywiają się tysiączne wrażenia i uczucia, budzi się zainteresowanie na widok dzieła sztuki, które wprawdzie jest dotykalnem, lecz jakby jeszcze zakrytem przez przejrzystą zasłonę. To zainteresowanie wzrasta, tem silniej, im bardziej nas zajmuje treść i dzieło sztuki. Budzi się w nas „w o l a" posiadania go. Uczucia występują z niepowstrzymaną siłą tak długo, aż wola stanie „p o s t a n o w i e n i e m", czynem. Dzieło sztuki przechodzi na naszą własność. Cieszymy się z jego posiadania, z dumą napawamy się jego pięknością. Ale j e d n o dzieło sztuki nam nie wystarcza. Chęć posia-

dania rzeczy podobnych i równej wartości staje się coraz gwałtowniejszą i przechodzi wreszcie w namiętność, a z nią łączy się harmonijnie popęd do „p o z n a n i a“ tego, co się gromadzi. Prawdziwymi zbieraczami są właśnie ci ludzie, którzy nietylko dążą namiętnie do nabycia jakiegoś dzieła sztuki, lecz starają się także skutkiem rozumnego pojmowania istoty sztuki, zbadać jej znaczenie wychowawcze i doniosłości dla celów społecznych“.

Nieco dalej zaś, zaznaczywszy, że zapaleni zbieracze, podobnie jak handlarze dziełami sztuki, muszą być w pierwszym rzędzie „praktykami“, — tak określa Donath prawdziwego zbieracza:

„Aby przyswoić sobie praktyczną stronę kolekcyonowania, winien zbieracz nietylko studyować pod względem naukowym formę i powstanie dzieła sztuki, ale także wyrobić sobie pojęcie o rozmaitych technikach przez nieustanne porównywanie rzeczy, by ustrzedz się przed falsyfikatami. Winien on również studyować rynek zbytu, aby być dokładnie zoryentowanym co do zwyżek i zniżek w cenach dzieł sztuki. Zbieracz powinien naprawdę czuć się z b i e r a c z e m i nie wolno mu, na wzór amerykańskich magnatów światowych — a przynajmniej ich większości — upatrywać w zbieraniu dzieł sztuki objawu, mody, służącej zbytkowi, lecz misyę kulturną, od setek, a nawet tysięcy lat czynną“.

Następnie przedstawia autor w osobnych rozdziałach dzieje kolekcyonerstwa, począwszy od Greków i Rzymian, poczem przechodzi wieki średnie, epokę renesansu, wiek XVIII. w Anglii i w Niemczech, a wreszcie daje obraz kolekcyonerstwa w wieku XIX. i w czasach ostatnich. Końcowe rozdziały traktują o podniesieniu się cen, dzieł sztuki, o „amerykańskiem niebezpieczeństwie“, o urządzeniu zbiorów prywatnych i o falsyfikatach. Jak pokazuje się z tego wyliczenia, treść omawianego dziełka jest bogata. A że podał ją Donath w skończonej formie literackiej i ozdobił licznymi, pięknie odbitymi fototypami przeto czyta się to dziełko nietylko z pożytkem, ale i z przyjemnością.

Pracowicie zebrane mnóstwo szczegółów świadczy o wielkiej erudycyi autora. Widocznem jest jednak, że Donathowi najlepiej są znanymi zbiory i zbieracze niemieccy. Zbiory po za centralną i środkową Europą zdają się dla niego nie istnieć. W indeksie zaś nazwisk, podanym na końcu dziełka nie spotykamy ani jednego nazwiska artysty Polaka, Czecha lub Rosyanina.

W części historycznej, zawierającej na ogół rzeczy mniej więcej znane każdemu, co się sztuką i jej historyą zajmuje, znajdujemy je-

den tylko szczegół, mogący nas, Polaków, zainteresować, a mianowicie, że August III., ten król, który w Warszawie dnie całe tracił na strzelaniu do psów, lub przypatrywaniu się „hecy", kupił do zbiorów drezdeńskich „Madonnę Sykstyńską", za 20.000 dukatów, sumę na owe czasy olbrzymią. Król ten tak dalece nie żałował pieniędzy na pomnażanie zbiorów w stolicy swej właściwej ojczyzny, że jego antagonista Fryderyk II, król pruski, pisał do swego bankiera Gotzkowskyego: „Kupuję to, co mogę zapłacić, wedle rozsądnej ceny, ale to, co jest drogiem, zostawiam królowi polskiemu".

W rodziale o podwyższaniu się cen za dzieła sztuki, które przypisuje Donath w pierwszym rzędzie konkurencyi amerykańskiej, spotykamy ciekawe szczegóły, odnoszące się do cen, za dzieła mistrzów spółczesnych.

I tak np. za Corota „Nimfy i Fauny" w r. 1873 zapłacono 23.000 franków, w r. 1880 za „Biblis" — 84.000 fr., w r. 1892 za „Wejście do lasu" — 101.000 fr., w r. 1912 za „Wielki folwark" — 133.000 fr., (za obraz ten handlarz Richard w r. 1873 zapłacił tylko 8.000 fr.) i w tym samym roku za „Taniec nad stawem" — 380.000 fr. Równie interesujący przykład dają prace Cezanne'a. Podczas gdy w roku 1894 jego „martwe natury" płacono po 600—650 fr. a krajobrazy po 100—170 fr., to rzeczy tesame w r. 1913 osiągnęły na licytacyi w Nemes'a ceny 40.000—60.000 fr.

Ceny za obrazy starych mistrzów zaczęły się podnosić gwałtownie dopiero w ostatnich dwudziestu latach. Na fakt ten wpłynęła oprócz ogólnego coraz większego zainteresowania się ludzi bogatych starą sztuką, dążność niektórych kolekcyonerów do zbierania dzieł pewnych artystów lub pewnych grup artystycznych. Bronwera np. „Palacze tytoniu" zostali sprzedani w r. 1909 za 425.000 fr, podczas gdy w r. 1873 tegoż mistrza „Operator" osiągnął cenę zaledwie 5.800 fr.

W tym samym stosunku poszły w górę ceny starych rycin, ceny starych rzeźb, starej porcelany, mebli z XVIII. w. i t. d. Dość powiedzieć, że kolekcyoner Seligmann z Paryża zapłacił za biust bronzowy 10 cm wysokości, dzieło Leona Leoni, przed paru laty 175.000 franków, że dwie filiżanki sewrskie że zbiorów Coope'go osiągnęły cenę 64.000 marek w roku 1910 i że w tym samym roku za dwie sewrskie żardynierki zapłacono 105.000 marek.

„Amerykańskie niebezpieczeństwo" staje się wedle Donatha,

z roku na rok groźniejszem.[1]) Milionerzy amerykańscy, postanowiwszy zbierać najpiękniejsze dzieła sztuki, nie oglądają się na wysokość cen, tak, że konkurencya z nimi stała się wprost niemożliwą nietylko dla osób prywatnych w Europie, ale nawet dla rządów. Wprawdzie społeczeństwo i rządy tak w Anglii, jak we Francyi ponoszą nieraz olbrzymie ofiary, byle jakieś arcydzieło w kraju zatrzymać, ale nie zawsze mogą iść w paragon z Jankesami. Anglicy np. nie mogli zdobyć się na to, aby przelicytować Amerykanina Widenera, który w r. 1910 kupił w Londynie słynny „Młyn" Rembrandta za 2.000.000 marek, a w r. 1914 tzw. Cowpera małą „Madonnę" Rafaela za 2.000.000 marek. Rafaela obraz „Madonna di S. Antonio" nabył słynny miliarder amerykański i kolekcyoner, Pierpont Morgan, za 2.000.000 marek.

Warto przytem przypomnieć, że tenże Rafael za swoje własne „Przemienienie" otrzymał od kardynała Juliusza Medyceusza, późniejszego papieża Klemensa VII., 655 dukatów, że Rembrandt za „Wartę nocną", ten istny cud sztuki, dostał 1.600 guldenów i że Dürerowi płacono za jego Madonny po 50 guldenów. *Sic vos non vobis...*

Do jakiego stopnia zapalczywymi są niektórzy Amerykanie w swem kolekcyonerstwie, świadczy najlepiej fakt, że wspomniany Morgan wydał przez życie 200 milionów marek na swe „muzeum", mieszczące w sobie: obrazy, ryciny, rzeźby, porcelany, przedmioty sztuki stosowanej i rękopisy. To też jego galerya, jak twierdzi Donath, była jedną z najpiękniejszych w świecie.

Na skutek szafowania pieniędzmi przez bogaczy amerykańskich stan posiadania pierwszorzędnych dzieł sztuki w Anglii wielce się zmniejszył. Odnosi się to także do kontynentu europejskiego. Zachłanność Amerykanów staje się tem więcej niebezpieczną, ponieważ w ostatnich czasach wyławiają oni nietylko dzieła arcymistrzów, ale także dzieła, mniej słynnych artystów, oraz najpiękniejsze stare okazy sztuki stosowanej do przemysłu.

Sporo ważnych wskazówek dla specyalistów zawiera rozdział, traktujący w urządzeniu zbiorów prywatnych, natomiast bardzo ciekawym, a dla wszystkich przystępnym jest rozdział ostatni książki Donatha, poświęcony falsyfikatom i falsyfikatorom. Żałować jedynie przychodzi, że rozdział ten, podobnie, jak cała książka, pisany jest zbyt

---

[1]) Wojna światowa położy temu niezawodnie koniec, przynajmniej na czas jakiś. Jestto bowiem „business" zawiele pochłaniający pieniędzy, aby plutokracya amerykańska mogła nadal płacić w Europie szalone sumy za dzieła sztuki.

zwięźle. Bogaty bowiem materyał w niej zgromadzony przyniósłby czytelnikowi w szerszem obrobieniu znacznie większą korzyść.

Podrabianie dzieł sztuki, jak zaznacza autor, sięga nieomal jej początków i było uprawianem zawsze, lecz obecnie osiągnęło stopień wirtuozowstwa.

„Skuszeni bajecznym rozwojem kolekcyonerstwa — pisze Donath — dalej wielkim popytem na dzieła sztuki i wysokimi za nie cenami, stają się nieraz zdolni bardzo artyści podrabiaczami. Powstają także formalne fabryki, z których eksportuje się na cały świat — bo popyt jest wielki — obrazy, rzeźby, porcelanę, fajanse. W Chinach podróżnicy kupują starą chińską lub japońską porcelanę p a r y s k i e g o pochodzenia, w Wenecyi na Murano, szkła c z e s k i e, w Wiedniu b e r l i ń s k i e miniatury Fügera, w Paryżu w i e d e ń s k i e obrazy Corota, w Augsburgu l o n d y ń s k i e srebrne puchary."

Zwraca przytem Donath uwagę czytelnika na to, że trzeba rozróżniać między właściwem f a ł s z e r s t w e m, gdy całe dzieło sztuki, wykonane np. za naszych czasów, podawanem jest jako twór któregoś ze starych mistrzów, a p o d r a b i a n i e m, gdy dziełu wykonanemu, w dobrej mierze handlarz nadaje pozory dawniejszego pochodzenia. I fałszerstwo i podrabianie rozciągają się nie tylko na arcydzieła malarstwa i rzeźby, ale ogarniają także sztycharstwo, wyroby porcelanowe i przedmioty sztuki stosowanej do przemysłu.

Jednym z genialniejszych wprost fałszerzy, o którym Donath pisze obszerniej, był florencki rzeźbiarz Giovanni Bastianini (ur. w roku 1830, zm. w roku 1868). Jego bronzowy „Biust Savonaroli" kupiono w 1864 r. jako oryginał nieznanego mistrza z końca XV. wieku, za 40.000 franków, (handlarz Copponi zapłacił mu za ten biust 640 fr.!). Wspaniały ten biust znajduje się obecnie w Kensigton Museum w Londynie, ale pod właściwem nazwiskiem autora. Tamże znajduje się jego wypukłorzeźba „Madonna z Dzieciątkiem", która długi czas uchodziła za arcydzieło wczesnego renesansu. Muzeum w Luwrze nabyło w latach 60-tych jego roboty biust poety Benivieniego, jako dzieło z XV. wieku i ustawiło go tuż obok „Jeńca" Michała Anioła.

Skoro o falsyfikatach jest mowa, nie zawadzi przypomnieć, że i u nas w Krakowie niedługo przed wojną roiło się od podrobionych szkiców i obrazków Jacka Malczewskiego i Matejki, które to falsyfikaty, nieraz bardzo nieudolne, znajdowały licznych naiwnych nabywców.

Józef Trepka.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Nad grobem Stanisława Tarnowskiego. — Akcya o naukę religii w języku polskim pod zaborem pruskim.

Nad grobem Stanisława Tarnowskiego.

Byłem w drugiej dzielnicy, gdy nadeszła wiadomość o śmierci Tarnowskiego. Z wielkiego wrażenia, jakie ta wiadomość na obecnych wywarła, można było poznać, w jakim stopniu ten człowiek należał do Polski całej.

Przeznaczeniem tego człowieka było być przewodnikiem narodu, jego drogowskazem i jego sumieniem. Wiernem spełnieniem tego przeznaczenia sprawił, że stał się jednym z wyrazów narodu i jedną z jego niegasnących gwiazd.

Rodzaj uzdolnienia Tarnowskiego był rodzajem w Polsce najczęściej spotykanym; była to skłonność literacka i polityczna. Ale najpierw stopień tej skłonności był bardzo wysoki, a potem łączył się z niezwykłą wartością moralną charakteru. Ta zdolność zaś i ten charakter tak były dostrojone do duchowego życia narodu i tak do jego potrzeb dostosowane, że stały się główną i najbliższą serca narodu arteryą publicznego życia polskiego. Człowiek czysty i bezosobisty, stojący niewzruszenie na straży polskiej idei i polskich ideałów, dźwigający brzemię losów, cierpień i zawodów narodu, cieszący się jego szczęściem i żyjący jego

nadzieją, był życiem swoim najpełniejszem tętnem najczystszej polskiej krwi, był jakby rytmem uderzeń polskiego serca i skrzydłem wzniesień narodowej duszy.

Wykładnikiem pierwszym tych jego myśli i uczuć była literatura. Siłą tej pracy literackiej nie była erudycya, doszukująca się wpływów i genezy, nie była też nią finezya artystycznych odczuwań i ich subtelnego określenia, nie była nią nawet wszechstronność w rozumieniu stanów duszy — była nią natomiast głęboka miłość polskiej duszy, polskiej idei, polskiego ideału, miłość bardzo wymownie, obficie i pięknie oddająca w słowach to, co czuła w sercu. A że literatura w tym okresie wzięła po poezyi poprzedniego okresu berło i władztwo narodu, więc i z katedry uniwersyteckiej i przez książki był Tarnowski przez szereg lat strażnikiem narodowego znicza i żywicielem miłości ojczyzny i budowniczym jej ideałów w sercach polskich.

Bezpośredniej to zadanie spełniał, jako publicysta, polityk, poseł, obywatel. Życie jego przypadło na najgorszy okres polskiej historyi. Wydawać się mogło, że to już dogorywanie Polski, że to przywalanie kamieniem grobowym. Wewnątrz rozkład ducha, upadek sił, nędza, ciemnota — a zewnątrz coraz więcej i coraz silniejszych wrogów, coraz większa niepamięć w świecie o Polsce, tak wielka, jakby sprawa polska już na zawsze została przesądzoną. Trzeba było mieć wielką siłę ducha, aby i samemu przetrwać i drugim dodawać otuchy. Trzeba było być nadto niepowszednim umysłem, aby zdobyć się w tem położeniu na program narodowy, w którymby w niczem nie rezygnowało się z narodowych praw, a rezygnowało się tylko z próżnych, jak na te czasy, wysiłków. Czy program taki mógł wystarczyć na wszystkie sytuacye i czy mógł uczynić zadość wszystkim aspiracyom narodowym, to sprawa inna — to, co jest nad wszelką wątpliwość, jest to, że program ten wypłynął z czystej duszy, z czystego zamiaru i z wiernej miłości ojczyzny. Ta też miłość sprawiała, że żadna sprawa polska nie była mu obcą, że każda ważniejsza sprawa przykuwała do siebie jego rozum i serce, że sprawom tym poświęcał majątek, pracę, wymowę i pióro, poświęcał zwłaszcza wszelki wzgląd osobisty.

Jeszcze bezpośredniej służył tej idei jako człowiek. Raz pustelnik, jak każdy człowiek wyższy, w tej pustelni kształtujący swoją duszę i swoje myśli, to znowu zjawiający się w samem centrum życia z gracyą słowa i z wykwintem gestu, był w każdej sytuacyi człowiekiem wyższym nad przemijające względy, dla którego jedynym celem było dobro i prawda. Czuło się w życiu tego człowieka nieskażoną prawość, wolę w dobrem niezłomną, rycerską cnotę. Brakło zastępów polskich, więc buławę zamienił na pióro a zbroję na rektorską togę, ale pod tą rektorską togą płonęła hetmańska cnota z tych czasów, które nie znały kompromisów. Taka cnota bywa nieraz dla świata niewygodną, jest ona jednak tą ostoją, bez której świat rozpadłby się w kurzawę.

Najbezpośredniej jednak służył tej idei jako katolik. Rektor uniwersytetu, prezes Akademii umiejętności, znakomity autor, człowiek zajmujący w świecie jedno z pierwszych stanowisk, w tej epoce, w której przyznać się do katolicyzmu znaczyło tyle, co być głupcem, obnosił z dumą przed całym światem to „głupstwo krzyża“, które się katolicyzmem nazywa. Ileż razy widziało się go modlącego w kącie kościoła, odprawiającego rekolekcye, przystępującego do sakramentów! Ileż razy wyznawał katolicyzm przed światem w swoich prześlicznych publicystycznych artykułach! Ileż razy dawał wyraz swoim katolickim przekonaniom i uczuciom z katedry uniwersyteckiej, z mownicy sejmowej! Nie było polskiego wiecu katolickiego, w którymby nie brał udziału! Czuł się związanym z Chrystusem i chciał związać z nim naród cały; chciał związać Polskę na zawsze z Kościołem katolickim, z Rzymem, z papieżem. Czynił to z głębokiej, żywej wiary, ale i z tego rozumu, że w tem jedyna siła życia. Nie zapomnimy ustępu z prześlicznej mowy, jaką wypowiedział na katolickim wiecu w Przemyślu — tym ustępem wspomnienie to zakończymy, bo jest to jakby jego testament: „Bunt człowieka przeciw Bogu jest wszędzie, walka toczy się w całym świecie; obrona wiary i Kościoła jest także wszędzie, choć nie wszędzie równie silna. My w tej obronie nie możemy być ostatnimi. Coby o nas pomyśleli ci, co niegdyś bronili wiary orężem pod Chocimem i Wiedniem, czy poznaliby w nas swoich synów, gdybyśmy niedołężnie, głupio,

dali się brać w jasyr bisurmanowi, od dawnego gorszemu, bo tamten przynajmniej wyznawał i czcił swego Allaha, ten wyznaje tylko przeczenie i bluźnierstwo Boga. A ci, co w naszych czasach i oczach orężem nie bronili ale krwią i męczeństwem wyznawali i świadczyli Bogu i wierze, podlascy chłopi, czy mogliby poznać w nas swoich braci, gdybyśmy nie wyznawali, nie świadczyli, nie bronili? Brońmy się a pamiętajmy, że nie wiary tylko bronimy, ale bronimy i godności ludzi i rodzin, prawości mężczyzn, cnoty kobiet, czyli zdrowia narodu, przyszłości ojczyzny. To wszystko zagrożone zepsuciem, tego wszystkiego mamy bronić. Bronimy, dzięki Bogu, ale patrzmy, czy możemy i jakimi sposoby, bronić więcej i lepiej. Na jednej starej rycinie z XVII wieku są wyobrażone wszystkie państwa Europy, każde z jakiemś godłem; pod Polską wypisane godło: semper fidelis. Tego godła, tego świadectwa nie dajmy sobie odebrać. Nieprzyjaciele z zewnątrz i z wewnątrz chcą nam go wydrzeć gwałtem i podstępem; im nieprzyjaciel silniejszy, im trud większy, tem bardziej brońmy. Powtarzajmy prośbę: „roztrąć, Panie, pychę nieprzyjaciół twoich“, z ufnością, z nadzieją, że zagłuszy się i zamilknie krzyk: „Niech będzie Jezus Chrystus zaprzeczony“, a nad ziemią, nad ziemią naszą zwłaszcza, rozlegać się będzie zwycięsko stare hasło: „Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony“.

Odpowiedzmy dzisiaj Dostojnemu Zmarłemu na to wezwanie życzeniem dla niego: „Na wieki wieków!“ Duchu czysty, wielbij i chwal na wieki Chrystusa!

Akcya o naukę religii w języku polskim pod zaborem pruskim.

W życiu Księstwa zaznaczyła się akcya, wszczęta przez trzech wybitnych obywateli: hr. St. Łąckiego, A. Chłapowskiego i hr. Szołdrskiego. Akcyi tej chodzi o to, by usunąć całkowicie jak najrychlej obcy język z nauki religii.

Nic dziwnego, że każda nowa akcya wywołuje w połeczeństwie ścieranie się różnych przekonań. Bez tego nie bylibyśmy ludźmi a nawet nie bylibyśmy dobrymi ludźmi. Zanim się do jakiejś sprawy ważniejszej przystąpi, powinno się ją wszechstronnie roztrząsnąć; w ten tylko sposób można postępować rozsądnie.

Inicyatywa hr. Stanisława Łąckiego i towarzyszy wywołała w kołach Księstwa dyskusyę. W dyskusyi tej chodzi najpierw o to, czy akcya o samą religię w języku polskim nie przeszkadza ważniejszym zdobyczom. Wobec trudności, w jakich w tej chwili znajduje się państwo niemieckie, Polacy zaboru pruskiego mają wiele dróg przed sobą. W takiej chwili, niewątpliwie, przezorna taktyka jest wskazaną. Można nawet spierać się o to, czy nie byłoby roztropniej nie wszczynać w tej chwili żadnej walki z ustawami wyjątkowemi.

Ta możność różnych stanowisk odnosi się tylko do politycznej strony kwestyi, ustaje jednak i nie istnieje wcale, gdy tą kwestyą jest akcya o naukę religii w narodowym języku. Dlatego, że w tym wypadku chodzi o prawo przyrodzone, i to tak istotne, że nietylko nie wolno nadużycia tego prawa dobrowolnie tolerować, lecz nadto jest się zobowiązanym każdą pierwszą sposobność wyzyskać do usunięcia tego nadużycia. Z innymi ustawami wyjątkowemi, choć ciężko, można żyć, ustawy te obarczają życie ale nie tamują go; ta ustawa wyjątkowa zatruwa i zwolna unicestwia życie religijne i obyczajowe. Truciznę natychmiast od ust odrzucić, gdy ma się tylko wolność rąk, nakazuje prawo boże i sam rozum. I Bóg i sumienie i rozum i patryotyzm nakazują, aby ani chwili nie cierpieć w łonie społeczeństwa tego, co jest jego rozkładem, o ile to wszystko od własnej inicyatywy zależy.
I dlatego inicyatywa hr. St. Łąckiego jest ze wszechmiar słuszną i godziwą, jest krokiem godnym dobrego obywatela i wielkiego patryoty. Owszem, w tak pojętej inicyatywie jest wielka lojalność wobec odmiennych politycznych opinij, gdy z rozlicznych spraw wybiera się tylko tę sprawę, która jest kwestyą superarbitralną, wyższą nad wszystkie dyskusye, która pomyślnie załatwiona w niczem nie przesądza stanowiska Polaków w innych sprawach.

Drugim powodem dyskusyi jest strona praktyczna kwestyi. Ludzie stojący na przeciwnem stanowisku twierdzą, że, choćby dało się przeprowadzić zniesienie tej ustawy wyjątkowej, to nie będzie pod ręką środków do wykładu religii w języku polskim. Duchowieństwo w Księstwie jest tak obciążone pracą, że niema mowy o tem, by na barki jego rzucać jeszcze nowy ciężar

nauki w szkole. Sił zaś nauczycielskich polskich, wskutek długoletniej szkoły niemieckiej, brak. Trudność tę i tej podobne rozumiemy bardzo dobrze, sądzimy jednak, że w życiu tak być powinno, że obowiązującą zasadę afirmuje się wbrew wszelkim trudnościom. Tak być w życiu powinno — a dodajmy, że tak w życiu bywa, że gdy mimo wszystko trwa się przy obowiązującej zasadzie, to prędzej czy później znajdą się i środki do urzeczywistnienia tej zasady. Jakie środki, w jaki sposób, to już najepiej rozstrzygnie tak dzielne społeczeństwo, jak polskie społeczeństwo w Księstwie. Już dziś wskazują niektórzy na polskie siły nauczycielskie, które przed laty rząd niemiecki przeniósł z Księstwa do prowincyj zachodnich. Po zniesieniu ustawy wyjątkowej można żądać od rządu zwrotu tych sił dla Księstwa. Zapewne, że z ludzi tych niewielu już pozostało, lecz nie należy gardzić i tą pomocą. Inni wskazują na sekcyę panien w poznańskiem towarzystwie św. Wincentego a Paulo, sekcyę zajmującą się pomocą przy nauce religii. Gdyby pracę panien poznańskich dostosowano do potrzeb nowej sytuacyi, gdyby za wzorem tych panien poszły panny i panie innych miast i wsi, kto wie, czy trudność nie byłaby częściowo rozwiązaną. Taki patron katechezy, jak Pius X. w nauce religii przez kobiety upatrywał wielką pomoc w pracy Kościoła.

Chwila obecna jest i z tego względu sposobna dla podobnej inicyatywy, że na czele rządu niemieckiego stoi teraz katolik tej miary, jak hrabia Hertling. Dla katolika Hertlinga nie może w tej sprawie powstać najmniejsza wątpliwość, jakim jest obowiązek państwa! Gdy więc warunki zewnętrzne są sposobne, gdy akcyę inicyatorów popiera władza duchowna polska i coraz liczniejsze koła świeckie, można ufać, że bliskim jest koniec tej ustawy wyjątkowej.

Ks. J. Pawelski.

Z wystawy Towarzystwa Sztuk Pięknych w Krakowie.

Powaga w rzeczach sztuki, znany estetyk, Karol Woermann, twierdzi, że **alfą i omegą malarstwa jest portret**. Gdybyśmy nawet nie godzili się w zupełności na ten paradoks, to jednak po

głębszem rozważeniu przyznać trzeba, iż mieści się w nim wiele prawdy, już choćby z tego powodu, ponieważ artystyczne t w o r z e n i e istot idealnych musi mieć za podstawę o d t w a r z a n i e istot realnych. Zresztą przemawia za opinią niemieckiego estetyka i to, że, jak nas uczy historya sztuki, w portretach odzwierciadlają się najlepiej dzieje malarstwa danego narodu.

Myśl ta nasunęła mi się przy oglądaniu świeżo wystawionego tryptyka M a l c z e w s k i e g o p. t. „Życie artysty", w którym środek zajmuje autoportret malarza.

Z pomiędzy legionu autoportretów Malczewskiego, dotąd przez niego namalowanych, jestto chyba najlepszy, a bezwzględnie biorąc, arcydzieło tego rodzaju malarstwa.

Artysta przedstawił siebie na nim symbolicznie jako malarza ściennego z garnuszkiem na farby u pasa, ubranego w jakiś fantastyczny kostyum, a trzymającego w ręku posążek Wenus z Milo. Siła wyrazu i techniki w tym portrecie są bez zarzutu. Daje on najpiękniejsze świadectwo sztuce polskiej z pierwszej ćwierci XX-go stulecia, która malarza tej miary wydała.

Na lewem (od widza) skrzydle tryptyku widzimy sztukę, uosobioną w postaci młodej, wspaniałej, o surowym wyrazie, pięknej twarzy, niewiasty, siedzącej na szczeblach drabinki, jakiej używają przy pracy malarze ścienni. Trzyma ona w ręku łańcuszek, którym dzierży na uwięzi młodzieńca, poddającego się z rezygnacyą jej wszechwładzy.

Na prawem skrzydle obrócona plecami do widza naga modelka, wyglądająca z atelier oknem, przez które widać sylwetę starych murów krakowskich. Przed nią artysta w dojrzałym wieku — znów bajecznie malowany autoportret — z kosą i krzyżykiem w rękach.

Niestety, nie podobna wyrazić słowami całego piękna i uroku, jaki sprawia ten tryptyk. Powiem tyle tylko, że podniosła siła, jaka zeń bije, stawia go w rzędzie najpiękniejszych dzieł polskiego malarstwa, które dotąd ujrzały światło dzienne.

I rzecz zaiste dziwna, że symbolistyka, będąca w przeważnej ilości dzieł tego mistrza wielce zawiłą, wkraczającą już nawet w dziedzinę metafizyki, w tym tryptyku bynajmniej nie razi. Widz oryentuje się w treści tryptyku odrazu. Na lewem jego skrzydle widzi sztukę, biorącą w jassyr młodego adepta, na prawem — artystę, przechodzącego bole i zmagania się duchowe, jakie towarzyszą tworzeniu, zaś na środkowem płótnie — mistrza, co jest już mocarzem ducha, zdolnym do wypowiedzenia się w skończenie pięknej formie, czego symbolem

wwo najpiękniejsze dzieło plastyki greckiej Wenus z Milo, której posążek trzyma w ręku.

Duchem czystego klasycyzmu, nie tego, pożyczonego od renesansu, owiana jest „Pythia". Kompozycya to, jak na Malczewskiego, nad podziw prosta, bez symbolów i wszelkich ubocznych dodatków. W tle wspaniała świątynia z porfirowemi kolumnami, pośrodku siedzi w hieratycznej pozie wieszczka, owiana dymem kadzideł. Na pięknej twarzy jej, ale posępnej, maluje się najwyższe napięcie ducha — za chwilę przez usta jej zacznie przemawiać „daimon"... Na samym przodzie obrazu stoi tyłem do widza obrócony, oparty o balustradę, kapłan, czekający na wieszcze słowa wyroczni. Nerwowy ruch jego ręki i głowa opuszczona zdają się wskazywać, że i on ulega wpływom odurzającego kadzidła.

W technice malarskiej na tym obrazie Malczewski przeszedł samego siebie, że użyję tego banalnego, ale tym razem odpowiadającego prawdzie określeniu, rysunek bowiem i koloryt „Pythii" są bez zarzutu. To, co już nieraz podnosiłem w dziełach Malczewskiego, a mianowicie spotykana często w nich p o s ą g o w o ś ć postaci ludzkich, wynikająca z pewnego siebie rysunku, bije w oczy na tym obrazie. Co się zaś tyczy kolorytu, to jest on jasny, przeźroczysty, silny a obok tego prawdziwy.

Dwa inne obrazy Malczewskiego: „Na każdym przystanku" i „Moja dusza" są typowemi kompozycyami dla jego sposobu wypowiadania się w obecnej dobie twórczości, który to sposób nie zdaje się należeć do najszczęśliwszych. Symbolizm wprawdzie zajmuje od wieków poczesne miejsce w sztuce, gdy staje się jednak zagadkowym rebusem, to obniża wartość dzieła, w jakiem został zastosowany, odbierając mu jasność i prostotę koncepcyi.

Jakimi drogami doszedł artysta do tego, aby usymbolizować swą „duszę" pod postacią mężczyzny rozciągniętego w towarzystwie faunów na trawniku przed wiejskim dworem — dociec trudno. Również próżną rzeczą jest łamać sobie głowę, nad tem, co ma oznaczać obdartus — także w towarzystwie niedostępnego fauna — zbliżający się do tego samego dworu, podczas, gdy muza przytrzymuje pegaza, którego ów obdartus do podróży używa. Czyżby artysta zamierzał usymbolizować samego siebie jako wracającego do pieleszy rodzinnych syna marnotrawnego?... Pole dla domysłów leży otwarte.

Wiosenny, polski krajobraz w „Mojej duszy" tak jest, na szczęście, piękny i prawdziwy, że pochłania w zupełności uwagę widza i po-

zwala ignorować mu zagadkowe figury, służące za stafaż. Zaś w obrazie „Na każdym przystanku" podziwiać trzeba, w głębi stojącego przepysznego pegaza i trzymającą go muzę tak piękną, jakgdyby wyszła z pod dłóta Praksytelesa.

„Nike" jest z tego względu godnem uwagi dziełem Malczewskiego, ponieważ artysta zahaczył w niem o aktualność, co zdarza się u niego wyjątkowo. Na skraju dachu niskiej szopy, nakrytej szuwarem, siedzi postać niewieścia, piękna w całem tego znaczeniu słowa, ale jest to „une beauté fatale", o zdradliwym wyrazie oczu. We wnętrzu zaś szopy leży, widziany w silnem skróceniu trup żołnierza — legionisty. Postać bogini zwycięstwa, a mianowicie jej głowa, tors, biodra i ręce malowana jest po mistrzowsku. Gołe jednak nogi tej postaci, zwieszające się z dachu, są potwornie wielkie, grube i czerwono-sine, tak, jak gdyby ich właścicielka cierpiała na „elephantiasis". Jestto błąd tego rodzaju, że nie chce się wierzyć, aby M a l c z e w s k i mógł go popełnić.

* * *

Nieustannie zajmujące ściany krakowskiego Salonu tzw. „zbiorowe wystawy" rzadko kiedy usprawiedliwione są nietylko ilością, ale także i doborem prac, jakie się na nie składają.

Taka wystawa bywa najczęściej zbiorem rzeczy, których większość mogłaby bez straty i dla publiczności i dla samych artystów pozostać w ich pracowniach, na co już kilka razy zwracałem uwagę na tem miejscu, zdając sprawę z wystaw w gmachu Towarzystwa Sztuk pięknych.

Teraz znów wystąpił ze zbiorową wystawą M i s k y. Przypomina on nieco tych poetów, którzy na zamówienie sypią, jak z rękawa sonetami, elegiami, romansami, utworami epickimi, epitatiami, odami etc.

Czegóż zatem niema na jego wystawie? Są i portrety i studya i kwiaty i krajobrazy i architektura. Ale wszystko, razem wzięte, jest tak „przeciętnie" poprawne, takie mdłe, tak pozbawione piętna indywidyalności, tak brakuje tam szczypty artyzmu, że widz, obejrzawszy ową „zbiorową wystawę", zapytuje się, cui bono przyszła do skutku. Stosunkowo najlepszymi na niej są: „Portret żony artysty" i „Portret Ks. W.", grającego na fisharmonii. W tej ostatniej podobiźnie użył artysta bardzo zręcznie za tło widoku na Katedrę wawelską.

Mimo godnej z wielu względów wyrozumiałości, jaką kieruje się „jury" wystawy w Towarzystwie Szt. piękn., powinienby być usta-

nowiony pewien minimalny cenzus wartości dla obrazów, przyjmowanych na tę wystawę. Tego cenzusu nie dosięga „Portret Dra J. Dembowskiego", w którym Misky dał karykaturę, oczywiście, mimowolną, osoby portretowanej. Z wyjątkiem karabeli i pasa słuckiego, reszta tego portretu nie wytrzymuje najpobłażliwszej nawet krytyki.

I znów daje znać o sobie nowy niewieści talent malarski, który niezawodnie byłby przedstawił się korzystniej, gdyby jego posiadaczka nie była urządzała „wystawy zbiorowej", lecz ukazała na widok publiczny tylko parę swych prac najlepszych. Na ogół jednak biorąc, wnioskować można z prac wystawionych, że Skrochowska ma duże zacięcie malarskie i że jest na dobrej drodze do osiągnięcia, poważnych rezultatów artystycznych. Taki np. „Portret p. J.", albo „Astry" noszą na sobie wybitne znamiona talentu. Jej rysunki węglem są niezłe, ale trochę chaotyczne i zmanierowane.

Hofmanu wystawił znów kilka płócien. Najudatniejszemi z nich są: „Psalmy dziecięce" — trzy główki aniołków, malowane wdzięcznie i z sentymentem. Tego powiedzieć nie można o „Autoportrecie" artysty, dziwnie niesmacznym. Podobnie, jak Malczewski ma faunów, z którymi za pan brat przestaje, tak też i Hofmann wszedł obecnie w posiadanie Kupidynka, którego, gdzie może, na swych płótnach umieszcza.

Malarzem przestrzeni powietrznych i słońca należałoby nazwać Terleckiego, który wystawił kilka krajobrazów górskich. Skały i woda są mniej udatnemi na nich, za to, gdy patrzymy na niebo, zda się, że wdychamy pełną piersią czyste, orzeźwiające powietrze górskie, że kąpiemy się w słonecznych promieniach.

„Modo antiquo" malowany obrazek pt.: „Przy czytaniu książki" Piotrowskiego w przyjemny sposób przypomina dobrze tradycye dawnego malarstwa rodzajowego, które obecnie wyszło już zupełnie z mody. Artysta ten jest prawdopodobnie wielkim zwolennikiem rasy semickiej, bo nietylko wybornie namalował „Głowę semiki", ale nawet „Głowie aryjskiej" dał wybitny typ semicki.

Są dwa sposoby malowania widoków architektonicznych. Jeden zasadza się na wyszukiwaniu efektów czysto malarskich i drugi — na wiernem odmalowaniu samej architektury ze szczególnem uwzględnieniem perspektywy.

Do tego drugiego rodzaju należy Stroynowskiego cykl pt.: „Wawel".

Na skutek tego, że rezydencya naszych królów poddawaną jest

od szeregu lat gruntownemu odnowieniu, posiadają prace, utrwalające pojedyńcze stadya tego odnawiania, dużą doniosłość. Stroynowski przedstawił na swych widokach Zamek wawelski i Katedrę wawelską tak, jak wyglądały one R. P. 1917-go, są więc te widoki rodzajem dokumentu historycznego.

Artysta zadał sobie wiele pracy, aby przedstawić z całym pietyzmem ten klejnot naszej przeszłości. Pod względem perspektywy i obrobienia szczegółów, jego widoki są doskonałe. Efektowny widok na Katedrę i inne zabudowania na wzgórzu wawelskiem w promieniach zachodzącego słońca, oraz wnętrze tzw. „srebrnej" sali, rozświetlonej słońcem, wdzierającem się po przez głęboko w grubych murach umieszczone okna, są najlepszemi częściami składowemi tego cyklu. Równej z niemi wartości jest perspektywiczny widok na galeryę zamkową z kolumnami drugiego piętra. Szkodaby było, gdyby cykl ten rozprószył się pomiędzy prywatnymi nabywcami.

„Motyw z plantacyj", z widokiem na kościół Franciszkański T u r k a, należy do lepszych prac tego artysty, który zaczyna już zajmować miejsce nieodżałowanego Tondosa w odniesieniu do zabytków architektonicznych Krakowa.

Bardzo aktualnymi są dwa niewielkie rysunki Edwarda L e p s z e g o, przedstawiające dwie ofiary Molocha wojny: zniszczoną pańską rezydencyę i chałupę chłopską.

O G u m o w s k i e g o autolitografiach, odtwarzających zebrane po rozmaitych częściach Polski widoki kościółków drewnianych, kapliczek i krzyżów przydrożnych, pisałem już dawniej z wielkiem uznaniem, zdając sprawę z jednej z wystaw Powszechnego Związku artystów polskich. Autolitografie te mogą znaleźć się w rękach nawet mniej zamożnych osób i przyczynić się do wyparcia tak niestety licznych jeszcze u nas a małowartościowych zagranicznych reprodukcyj.

ka.

Z dziedziny historycznej.

Pięć lat temu toczył się spór naszej Redakcyi o Piotra Skargę. Zadowoleni jesteśmy, że zdanie nasze podziela wybitny historyk, p. Wł. Konopczyński, w najnowszem swojem dziele: „Liberum veto". Ustęp odnośny przytaczamy:

„Z nieszczęśliwym sejmem r. 1606 wiąże się nierozerwalnie nazwisko Piotra Skargi. Czytelnik wie już, co sądzimy o roli wielkiego

jezuity w dziejach naszego parlamentaryzmu. Nie ulega wątpliwości, że więcej dbał on o jedność Kościoła Bożego, niż o jedność i siłę sejmowej władzy prawodawczej w Polsce. Tu wszakże należy się jego pamięci jeszcze pewne wyjaśnienie. Piętnaście lat temu p. W. Sobieski w książce o „Nienawiści wyznaniowej tłumów za rządów Zygmunta III" (1902), opowiedział o tem, jak Skarga obalił swym wpływem ułożony „edykt tolerancyjny", który król prawie gotów był dać różnowiercom, — i użył m. in. następującego zwrotu: „Ten sławny kaznodzieja, tak wspaniałe rzucający gromy na bezrząd Rzpolitej, tu pobudzał do „veta", do protestu przeciw rzeczy już umówionej dnia poprzedniego, narażając cały sejm w chwili tak niebezpiecznej na rozerwanie... Nazajutrz sejm został rozerwany"... Bezkrytyczni czytelnicy obozu postępowego podnieśli z tego powodu wielki hałas na Skargę: zrobili zeń już nietylko turbatora ojczyzny — zgodnie z opinią rokoszan oraz prof. Sobieskiego — ale nawet „prekursora Siczyńskiego". Autor „Nienawiści" zastrzegł się wprawdzie w nowym szkicu: „Czy Skarga był „turbatorem" ojczyzny", Studya historyczne, 1912, 224, przeciwko takiej przesadzie, albowiem ksiądz nie był posłem ziemskim, i „do zerwania tego sejmu daleko więcej przyczynił się Zebrzydowski" — ale zarazem oświadczył, że „co do samego tego epizodu" jest tegoż zdania, które wyraził dawniej, i ani na jotę od niego nie odstępuje.

Wobec tego uważamy za swój obowiązek stwierdzić na zasadzie późniejszej nieco (1913) książki prof. S. o „Pamiętnym Sejmie", chociaż po części wbrew jego zdaniu, co następuje. Na sejmie r. 1606 większość kształtowała się rozmaicie. Interpelacyę do króla („urazy") zgodziła się wystosować cała izba; na odpowiedzi poprzestał liczniejszy obóz katolicki. Za ugodą religijną była chwilowo też cała izba; na podatki pozwoliła pod koniec sejmu znaczna większość (stwierdza to sam Zebrzydowski); kilka województw wzięło pobory do braci; parę przypuszczalnie ich odmówiło bezwarunkowo. Że Skarga agitował przeciwko tolerancyi, nie ulega wątpliwości. Czy jednak w razie zwycięstwa jego przeciwników nie doszłoby do gorszego jeszcze zakłócenia ojczyzny, niż to, jakie spowodowała bezpośrednio reakcya katolicka, czy naprawdę król w zgodzie z różnowiercami dokonałby reform; o tem, znając z jednej strony poziom umysłowy biskupów, z drugiej ideologię i charaktery Stadnickich, Radziwiłłów, Gorajskich, Pękosławskich, Sieniеńskich, wolno być innego zdania, niż prof. S. Tu jednak bliżej chodzi o co innego — mianowicie o te wielokropki autora „Nienawiści", które zasugestyonowały naszych postępowców. Chodzi o dodatkowe skonsta-

towanie, że 1) sejm wogóle nie został zerwany: przetrwał on normalne 6 tygodni i rozszedł się, jak wiele innych, bezowocnie; 2) c h c i e l i go „zerwać" (— przyprawić o bezowocność) właśnie ci „liberalni" „obrońcy parlamentaryzmu", jak ich nazywa prof. S., którzy potem wszczęli rokosz w imię „wolnego niepozwalam" — małkotenci i ich przedstawiciele lub narzędzia: Janusz Radziwiłł, Ostrogski, Męciński i tow.; 3) że wpływ Skargi nawet pośredni na „zerwanie" sejmu przez rokoszan był bardzo słaby, skoro w decydującym momencie, 18 kwietnia, żaden poseł nie odstrychnął się od ugody tolerancyjnej; 4) że nawet milczenie biskupów w owej chwili nie świadczyło o niemożliwości ugody i nie usprawiedliwiało wystąpienia Janusza Radziwiłła; 5) są oznaki, iż małkotenci z góry gotowi byli wysunąć dalsze pretensye („urazy") celem zerwania sejmu, niezależnie od postawy biskupów, bo zadaleko już zabrnęli w kierunku buntu. Skardze po mimowolnej (chcemy wierzyć) krzywdzie, zadanej w dwuznacznym ustępie „Nienawiści", należała się silniejsza satysfakcya niż ta, którą dały „Studya". Tymczasem prof. S. w „Pamiętnym Sejmie", 251, nota 1, wraca do ataku: ponieważ Skarga skarżył się w kazaniu wiślickiem, że rokoszanie na swoim bezprawnym zjeździe zagłuszyli wrzaskiem *jakichś obrońców* jezuitów, więc w ten sposób on, „który sam w kazaniach występował przeciw protestom mniejszości i liberum veto, tutaj niejako staje się obrońcą „liberum veto" przeciwko rokoszanom". Czyżby autor nie uznawał różnicy między bezładną kupą a sejmem, między krzykiem a głosowaniem, między wolną dyskusyą a rwaniem obrad?

Kronika ekonomiczna.

Przemysł polski wobec wojny.

Wywiad z Wice-Dyrektorem Departamentu Gospodarstwa Społecznego, inż. Antonim Kączorowskim.

Wojna przewaliła się poza punkt kulminacyjny. Z nieubłaganą koniecznością narzuca się do rozwiązania szereg zagadnień gospodarczych, których plany rozwiązania już dziś powinny być wygotowane. Jednym z pierwszorzędnych problemów jest sprawa przemysłu polskiego.

Chcąc otrzymać w tej sprawie szereg wyczerpujących danych.

zwróciłem się do Wice-Dyrektora Departamentu Gospodarstwa Społecznego, inż. A. Kaczorowskiego, który był łaskaw na pytanie moje udzielić odpowiedzi następujących:

I. W jakim stopniu dotknęła wojna światowa przemysł polski?

Przemysł nasz został przez wojnę zagrożony w swych podstawach. Wybuch wojny i związane z nim trudności finansowe oraz brak opału unieruchomiły większość zakładów przemysłowych. Produkcya w końcu 1914 r., według obliczeń Tow. Przemysłowców, wynosiła zaledwie 15 proc. normalnej. Później przemysł zaczął stopniowo dostosowywać się do warunków wojennych, nauczył się przezwyciężać piętrzące się trudności i osiągnął w wielu gałęziach znaczne natężenie. Wkrótce jednak przyszła ewakuacya a z nią przymusowe wysyłanie do Rosyi materyałów, produktów i urządzeń fabrycznych, wreszcie nawet wysadzanie fabryk w powietrze.

W drugim okresie wojny przemysł znalazł się w warunkach nieskończenie gorszych. Pozostał bez zamówień państwowych, odcięty od źródła surowców i dotychczasowych rynków zbytu, częstokroć nawet odcięty od swych własnych kapitałów (należności w Rosyi). Granica zachodnia otworzyła się — jednak wyłącznie dla wwozu fabrykatów, a wywozu przymusowo lub pod presyą zabieranych surowców, maszyn i urządzeń.

II. Jakie gałęzie przemysłu i w jakim stopniu są jeszcze czynne?

Niestety nie posiadamy żadnej statystyki. Nie posiadają jej również organizacye społeczne i zawodowe. Zebraniu danych statystycznych staje na przeszkodzie unieruchomienie przemysłu, trudności komunikacyjne oraz warunki polityczne. Stwierdzić jednak można, że zaledwie nader nieznaczna część przemysłu w niektórych gałęziach prowadzi w dalszym ciągu produkcyę, walcząc z niesłychanymi trudnościami.

Produkuje przedewszystkiem górnictwo, zatrudniając około 75 procent przedwojennej liczby robotników. Następne miejsce zajmuje przemysł spożywczy. Wśród gałęzi tego przemysłu produkcyę cukrowni ocenić można na 50 proc. normalnej (z liczby 55 cukrowni jest czynnych 33 przy znacznie zmniejszonej produkcyi). Wreszcie do czynnych gałęzi zaliczyć można garbarnie, których produkcya — w nadzwyczaj ciężkich warunkach wynosi jedną trzecią do połowy normalnej. W innych gałęziach przemysłu wyjątkowo tylko niektóre fabryki są czynne, przeważnie w drobnej części. Przemysł włókienniczy i żelazny, stano-

wiące podstawę naszego przemysłu, są prawie całkowicie unieruchomione.

III. Jakie są w tej chwili perspektywy na przyszłość?

Naogół są bardzo groźne. Przemysł został ogołocony z kapitałów, urządzeń fabrycznych, surowców i robotników. Co gorsza, nieczynny od lat 3-ch przemysł traci stopniowo swój zespół techniczny i administracyjny. W bezczynności rdzewieją dusze kierowników przemysłu, ginie inicyatywa, rzutkość i energia.

Jak dla armii jest lepiej, gdy kruszy się i wyczerpuje w trudnej choćby walce, bo w niej zarazem hartuje się, — niż gdy rdzewieje w bezczynności, tak samo i dla przemysłu. W zastoju i martwocie przemysł rozkłada się; kapitał zjada sam siebie.

Po wojnie zamarły i bezbronny przemysł nasz spotka się z przeciwnikiem dobrze uzbrojonym i zahartowanym w walce z trudnościami. Grozi nam katastrofa.

Że wreszcie przemysł się podniesie na nowo z gruzów i upadku, wątpić nie można. Polska posiada gęstą ludność, której rolnictwo wyżywić nie jest w stanie; posiadamy nadmiar rąk do pracy, którymi przed wojną zasilaliśmy obce kraje. Ale nie możemy dopuścić, by przemysł powstawał i tworzył się powoli, dopiero wskutek nadmiaru niezajętych rąk roboczych, konkurując z przemysłem sąsiadów jedynie taniością tych rąk i obniżeniem skali życiowej szerokich mas, — by powstawał dopiero kosztem nędzy robotnika.

Musimy użyć wszelkich wysiłków, by natychmiast po wojnie przemysł nasz ruszył odrazu całą parą. By jednak to umożliwić dzisiaj już przemysł nasz w najważniejszych przynajmniej gałęziach musi być choćby częściowo uruchomiony. Jeżeli nie uruchomimy go w czasie wojny, to tembardziej trudno będzie uruchomić go w pierwszych miesiącach a nawet może latach po wojnie.

Musimy stworzyć przemysł wyrobów zastępczych, tak intensywnie rozwijający się w Niemczech. Zarówno dla przemysłu jak i dla zaspokojenia najniezbędniejszych potrzeb ludności jest rzeczą nieodzowną uruchomić naprzykład przemysł wyrobu tkanin papierowych, które w Niemczech stoją już na dość wysokim stopniu doskonałości i doskonalą się z każdym miesiącem.

IV. Jakie zadania przedewszystkiem winny być podjęte, by przemysłowi polskiemu zapewnić możność należytego rozwoju?

Przedewszystkiem należałoby zaktywizować przemysł polski, pobudzić inicyatywę, zachęcić do walki z trudnościami. Jednocześnie zaś

należy otoczyć przemysł opieką przyszłych władz rządowych polskich, któreby starały się trudności usuwać, dopomódz w zdobywaniu niezbędnych zagranicznych surowców, któreby podjęły się obrony resztek urządzeń fabrycznych.

Dalej należy pobudzić przemysł do zrzeszenia się, do zbiorowej pracy. Dawniejszą i dotychczasową często niezdrową konkurencyę należy zastąpić ideą szeroko podjętej samopomocy społecznej w dziedzinie przemysłu.

W dziedzinie organizacyjnej należy stworzyć organy nadzoru przemysłowego państwowego, któreby jednocześnie opiekowały się i stały na straży rozwoju przemysłu. Organami tymi powinny być: inspekcya przemysłowa, inspekcya górnicza i urząd instruktorów zrzeszeń rzemieślniczych.

W dziedzinie prawodawczej należy zrewidować, a w wielu działach opracować zupełnie na nowo dotyczące przemysłu prawodawstwo.

Wreszcie w najdonioślejszej dla przemysłu dziedzinie stosunków traktatowych z państwami ościennymi należy ustalić wytyczne przyszłej polityki przemysłowej i wypracować zasady przyszłych taryf celnych i traktatów handlowych wogóle.

W związku z powyższymi pracami stoją prace nad organizacyą stosunków kredytowych, ad rozwojem komunikacyi, tak w kraju naszym zaniedbanych, zwłaszcza zaś nad tworzeniem sieci komunikacyi wodnej, wreszcie prace nad organizacyą i rozwojem szkolnictwa zawodowego i wielu innych.

V. Co zostało w tym kierunku zrobione dotąd przez Komisyę Przemysłową?

Wskutek nieprzezwyciężonych trudności natury zewnętrznej prace Departamentu w dziedzinie przemysłu nie wyszły dotychczas poza ramy prac przygotowawczych, organizacyjnych i projektodawczych.

Departament nasz w dziedzinie przemysłu zgóry postawił sobie za zadanie, poza doraźną interwencyą w obronie zagrożonego i rujnowanego przemysłu, która to obrona niestety dość rzadko bezpośredni skutek odnosiła, — przedewszystkiem zebranie materyałów, opracowanie planu i stworzenie gruntu dla przyszłej działalności polskiego ministerstwa Przemysłu i Handlu. Była to praca niewidoczna i mało efektowna, lecz tem niezbędniejsza.

Stanisław Rene.

Spór o chełmskich wyznawców.

Pokojowy traktat brzeski zadecydował przyłączyć do republiki ukraińskiej Ziemię Chełmską i południowo-wschodnią część Podlasia. Przeciwko temu postanowieniu traktatu zaprotestował uroczyście cały naród polski, bez różnicy stanów i dzielnic, widząc w oderwaniu Chełmszczyzny nowe ćwiartowanie żywego ciała Ojczyzny.

Obok motywów historycznych, gospodarczych i etnograficznych, wysuwaliśmy w naszych protestach bodaj czy nie na pierwsze miejsce motyw natury religijnej: Chełmszczyzna i Podlasie to ziemia męczenników naszych, którzy ją swoją krwią zrosili, broniąc swej wiary i języka przed zakusami prawosławia i rusyfikacyi. Lecz oto słyszymy ze strony przeciwnej, przedewszystkiem ze strony Ukraińców galicyjskich, głosy szczerego czy udanego zdziwienia. Co Polakom do krwi chełmskich unitów?! Czy nie chcą na swój rachunek zapisać cudzych cierpień i zasług? Czy pod progami cerkwi w Pratulinie i Drelowie Polacy a nie Rusini padali od moskiewskich kul? Takie mniej więcej pytania padają nawet z ust osobistości, przodujące zajmujących w swoim narodzie stanowisko. I nic dziwnego, że w Europie, jako echo tych pytań, słychać skierowane w naszą stronę zarzuty, że bałamucimy opinię, odwołując się do męczeńskiej przeszłości Podlasia, i płaszczem cudzej zasługi chcemy osłonić własne aneksyonistyczne zamysły. Ziemia Chełmska broniła swej wiary i języka przed moskiewską zachłannością, ale był to język ruski (ukraiński) i była to wiara unicka, nie zaś łacinizm. Wszak Polacy nigdy

do grecko-katolickiego obrządku nie należeli! Nic dziwnego; powtarzamy, że niejeden, daleki od znajomości miejscowych stosunków, obywatel Europy, nawet katolik, zrozumie, iż unici chełmscy byli właśnie wyznawcami i męczennikami ukraińskiej idei i odrębności, synami przynajmniej takiej Ukrainy, jak ją pojmują złączeni z Kościołem katolickim Rusini.

My z jednej strony, a nasi przeciwnicy wraz ze swymi politycznymi przyjaciółmi z drugiej nie możemy się wzajemnie zrozumieć. I zdaje mi się, że w określaniu naszego stanowiska, w uzasadnianiu naszych do Chełmszczyzny praw nie zawsze staraliśmy się o dostateczną jasność i umiarkowanie. To mogło szkodzić — tylko nam samym. Jeżeli w pewnym proteście głoszono, że ziemia Chełmska jest „odwiecznie czysto polską", to obcy, nietylko wrogowie, ale i przyjaciele nasi, mogli łatwo dopatrzeć się w owych słowach przesady. Wszak nie da się zaprzeczyć, że terytoryum, o które chodzi, przechodziło w ciągu wieków różne polityczne koleje i że jest, nawet podług naszych własnych statystycznych danych, krajem o mieszanej narodowości. Zamiast tedy głosić o „czysto polskim" charakterze kraju, możeby lepiej było postawić pytanie, dlaczego kraj mieszany, choćby element ukraiński w nim był dość wybitny, musi koniecznie przypaść tamtej stronie, Ukrainie, a w żaden sposób nie może należeć do strony drugiej, do Polski? Czyż, pomijając już nawet wszystkie inne względy, historyczne, gospodarczo-kulturalne, strategiczne etc., i biorąc pod uwagę jedynie język, jakim posługuje się ludność, nie należałoby raczej podzielić takie mieszane terytorya między obie interesowane strony na podstawie słuszności i wzajemnego porozumienia się? Przytem zauważyćby należało, że ów mieszany etnograficznie kraj, jeżeli zaczyna się na zachodzie od Tomaszowa i Parczewa, to na wschodzie nie kończy się nawet na linii Buga, lecz rozciąga się dużo dalej, na Wołyń, na Podole. Gdyby więc np. przyszło podzielić mieszane terytoryum w ten sposób, by przy Polsce pozostało tylu „Ukraińców", ilu przy Ukrainie Polaków, to granicę należałoby przesunąć gdzieś po za Bug — na wschód, czyli że i w takim razie cała Chełmszczyzna i Podlasie przypaśćby powinny Polsce.

Dalej, kiedy w polskich protestach przeciwko oderwaniu Chełmszczyzny powołujemy się na to, że w kraju tym dużą większość stanowią rzymsko-katolicy, a mniejszość prawosławni, zwłaszcza obecnie po wywędrowaniu prawosławnej ludności wraz z wojskami rosyjskiemi, to obcy czynią nam podwójny zarzut: po pierwsze, że, biorąc za podstawę statystycznych obliczeń obecny stan ludności, zdradzamy chęć niedopuszczenia powrotu na ojcowskie siedziby tych, co z nich chwilowo się wynieśli, ale zapewne w ogromnej większości powrócić zechcą. Po drugie, że utożsamiamy klucz narodowościowy z religijnym i obrządkowym, wszystkich rzymsko-katolików uważając tem samem za Polaków, chociaż faktycznie wielu z nich jest pochodzenia ruskiego i unickiego. Jeżeli się owych byłych unitów odliczy i na mocy pochodzenia i języka przyłączy do liczby prawosławnych, którzy przed wojną w tym kraju się znajdowali i którzy doń zapewne powrócą, w takim razie stosunek narodowościowy przechyli się na korzyść Rusinów, czyli Ukraińców. Niedawno „Czas“ ludność oderwanego obszaru obliczał mniej więcej w ten sposób (zaokrąglam cyfry): prawosławnych 300 tysięcy, katolików 450 tysięcy, żydów 150 tysięcy, protestantów 35 tysięcy. Jeżeli z liczby 450 tysięcy katolików odliczyć 150 tysięcy byłych unitów, którzy po ukazie 1905 r. przyłączyli się do łacińskiego obrządku, to niezawodnych Polaków pozostanie tylko 300 tysięcy, podczas gdy Rusini (prawosławni wraz z katolikami) liczyć będą 450 tysięcy. Żydzi staną się „Polakami“ albo „Ukraińcami“ według tego, która strona rozciągnie panowanie nad tym krajem. Pod ukraińskim rządem liczba „Ukraińców“ mogłaby wzróść do 600 tysięcy wobec 300 tysięcy Polaków. O narodowej przynależności protestantów lepiej nie mówmy. Oto jaki zarzut mogą postawić naszej statystyce nasi przeciwnicy i jakie tytuły mogą wysunąć dla uzasadnienia ukraińskich pretensyi.

Sądzę, że rzeczywiście za podstawę obliczeń statystycznych winniśmy brać nie obecne wojenne stosunki narodowościowe w Chełmszczyźnie, lecz stan przedwojenny. Ludności, która pozostawiła tam swoje zagrody i zapewne tęskni do nich, nie powinniśmy strącać z rachunku. Nasuwa się tylko jedna konieczna

poprawka. Mianowicie z owej liczby 300 tysięcy prawosławnych, jacy byli w tym kraju przed wojną, należy strącić przynajmniej 30—40 tysięcy Rosyan, rozmaitych urzędników i działaczy rusyfikacyi a nadto posprowadzanych przez rząd carski kolonistów-kacapów, którzy już nie będą mieli po co wracać do tego kraju. Przypuśćmy więc, że wszyscy inni uchodźcy wrócą na swe zagrody, liczba prawosławnych nie przeniesie 260—270 tysięcy.

Drugi punkt zarzutu jest dla nas ważniejszy i nad nim obszerniej musimy się zastanowić.

Czy my rzeczywiście dopuszczamy się niesprawiedliwości, zaliczając dzisiaj, na podstawie klucza wyznaniowego, owe 150 tysięcy byłych unitów do narodowości polskiej? czy zatem, pomijając nawet żydów, mamy prawo mówić o 450 tysiącach polskiej ludności wobec 260 tysięcy ruskiej, czy też winniśmy cyfry te sprostować na 300 : 410 ? Sądzę, że cała podstawa sporu i nieporozumienia tkwi właśnie w owych 150 tysiącach byłych unitów, a dzisiaj katolików łacińskiego obrządku. Udowodnić, że oni słusznie do polskiej ludności bywają zaliczani, to znaczy stwierdzić niewątpliwe prawa polskie do tego kraju, na podstawie zasady narodowej większości mieszkańców.

A właśnie tytuły do zaliczenia owych byłych unitów do polskiej narodowości są niewątpliwe.

Istnieje poważna naukowa teorya, według której narodowości, zwłaszcza pokrewne, nie dają się ściśle odgraniczyć jedna od drugiej, lecz, ulegając prawu ciągłości, przechodzą łagodnie jedna w drugą i na pograniczu wytwarzają element etniczny pośredni, mogący być zaliczony z równem prawem tak do tej, jak do innej narodowości. Wybitniejsze piętno przynależności do tej czy innej z nich wyciskają na takich pośrednich ogniwach dopiero dłuższe polityczne i kulturalne wpływy jednej z sąsiadujących narodowości. Do takich pośrednich ogniw należą właśnie mieszkańcy Chełmszczyzny i części Podlasia, potomkowie owych nestorowskich „Bużan", o których niełatwo zdecydować, czy do wschodniej czy też zachodniej grupy Słowian słuszniej będzie ich zaliczyć. Nawet rosyjscy badacze etnicznego materyału tych ziem nazywali gwary miejscowej ludności małorusko-polskiemi i bia-

łorusko-polskiemi. Mogliby więc może i Polacy, na podstawie samej filologii, rościć pewne pretensye do tej ludności. I przynależność jej do wschodniego obrządku nie decydowałaby ostatecznie, będąc sama skutkiem przypadkowego politycznego ugrupowania w przyjęciu chrześcijaństwa przez tutejsze słowiańskie szczepy.

Ale pozostawmy na boku teorye. Zgódźmy się, że cała ludność Chełmszczyzny i Podlasia, jaka wyznaje lub wyznawała chrześcijaństwo wschodniego obrządku, jest niewątpliwie ruską z pochodzenia. Czy to przesądza ostatecznie o jej dzisiejszej przynależności do „ukrainizmu"? Najpierw zakwestyonować to można co do ludności prawosławnej. Ta część byłych unitów, poddawszy się — może po pewnym oporze — propagandzie prawosławnej, uległa przez cerkiew i szkołę tak dalece rusyfikacyi, że zapewne nie mało trzeba będzie zabiegów, by wskrzesić w niej zrozumienie dla idei ukraińskiej odrębności. Jeszcze dalszym od ukrainizmu są owi do niedawna „uporstwujuszczyje" unici, a dzisiaj rzymsko-katolicy. Trzeba nie znać ani trochę miejscowych stosunków, żeby o tem nie wiedzieć. Sam rząd Stołypina spostrzegł to dobrze w swoim czasie. Tworząc osobny mandat do Dumy od ludności ruskiej Chełmszczyzny, zaliczył byłych „uporstwujuszczych" nie do kuryi ruskiej, lecz polskiej i były unita, chłop Błyskosz, zasiadał w pałacu Taurydzkim nie obok Aleksiejewa, lecz obok polskiego szlachcica Dymszy.

Spolszczenie byłych unitów, a dzisiaj rzymsko-katolików wystawianem bywa często, jako dzieło ostatnich dziesiątków lat i polskiej przemocy. Sądzą interesowani w ich rewindykacyi, że dość ich wyzwolić z pod tej przemocy, a chętnie się rzucą w objęcia „neńki-Ukrainy". My, Polacy, możemy być o to spokojni. Podskość byłych „upornych" unitów jest faktem, który tak łatwo nie da się odrobić. Przytem jeszcze możemy się poszczycić, że faktu tego nie stworzyła żadna nasza przemoc, ani zachłanność. Wyłonił się on z naturalnego biegu historyi całych wieków, a w ostatnich czasach najpotężniejszymi czynnikami w tym kierunku były rusyfikacyjna polityka petersburskiego rządu i sprzedajna usłużność legionu galicyjskich ruskich księży. Wreszcie dokonany fakt

usankcyonowała wola samychże spolszczonych byłych opornych. Tej woli nie da się tak łatwo złamać, ani faktu, po części własnemi rękami dokonanego, odrobić.

Wejdźmy w szczegóły.

Polszczenie unitów, nietylko zresztą w Chełmszczyźnie, ale i w innych krajach Rzpltej, poczęło się, rzec można, wkrótce po zawarciu Unii. Ale niema podstaw dostatecznych, by odpowiedzialnymi za ten fakt czynić Polaków czy też rząd polski, a tem mniej Kościół polski. Ruska szlachta spolszczyła się i przeszła na łacinizm niemal całkowicie, ale nie pod żadnym fizycznym czy prawnym przymusem, lecz z dobrej woli. Nie czyniła tego dla uzyskania jakichś praw w Rzpltej, gdyż jeżeli istniały prawne ograniczenia co do obejmowania godności w Polsce i krzeseł w Senacie, to dotyczyły jedynie dyzunitów, nie zaś zjednoczonych. Jedynie biskupi uniccy byli pod tym względem upośledzeni, co też spotyka się z dość powszechną naganą historyków polskich; świeckiej szlachty te ograniczenia nie dotyczyły. Szlachta ruska porzuciła swoją narodowość dlatego, że w polskości widziała wyższy stopień kultury i chyba nie można Polakom czynić z tego zarzutu, że tych, co się do nich garnęli, nie odepchnęli od siebie. Szlachta ruska przeszła na obrządek łaciński i zapewne tem osłabiła unię, ale pamiętajmy, że część jej nie przyszła do polskiego Kościoła z unii, lecz z kalwinizmu i schizmy. Co się tyczy drugiej części szlachty ruskiej, to ani Kościół ani państwo nie używało żadnych przymusowych w tym względzie środków, ale znowu trudno mu brać to za złe, że owym przechodzeniom nie zapobiegło, ani nawet to, że nie sprzyjało zasadzie przymusowego zostawania unitów w ich obrządku, o co hierarchia unicka w Rzymie się starała. Zbyt to trąciłoby brakiem wolności w kraju, gdzie wolno było zmieniać religię, a przytem mogło państwo polsko-litewskie spodziewać się, że spolszczona szlachta ruska będzie pewniejszym elementem państwowym, niż gdyby zatrzymała pewne tradycye wspólne z wrogą moskiewszczyzną. Do spolszczenia szlachty ruskiej przyczyniły się też w niemałej mierze powtarzające się na Ukrainie i Rusi ruchy kozackie i chłopskie, wrogie zarówno szlachcie ruskiej, jak polskiej. Jeżeli czynnikami polszczenia okazały

się szkoły kościelne i zakonne i pompa nabożeństw łacińskich, to znowu za cóż tu winić Polaków? Co przeszkadzało Rusinom uciec się do współzawodnictwa na polu szkolnictwa i życia religijnego?

Owszem takie współzawodnictwo istniało, ale i ono właśnie siłą rzeczy musiało prowadzić do dalszego spajania unitów z polskością. Chcąc ożywić własny obrządek, by osłabić siłę przyciągania, jaką wywierał nawet na unicki lud obrządek łaciński wystawnością swych nabożeństw, wielością dodatkowych pobożnych praktyk, musiał Kościół unicki niejedno przejąć żywcem od sąsiadów łacińskiego obrządku. Tym sposobem, zwłaszcza za metropolity Żochowskiego i w okresie Synodu Zamojskiego, nietylko nastąpiło zbliżenie unickiego rytuału do łacińskiego w administrowaniu sakramentów, ale zapożyczono dużo praktyk, jak np. śpiewanie godzinek, różańca, pieśni, wprost w polskim języku, gdyż na oryginalną twórczość pod tym względem kler ruski jakoś zdobyć się nie umiał. Te zapożyczenia bez wątpienia okazały się korzystnemi dla unii, ożywiały bowiem pobożność ludu, oddalały nieznacznie unitów od schizmy i spajały ich coraz bardziej z Kościołem. Że ubocznie posunęły o krok polonizacyę Rusi unickiej, temu przynajmniej nie winno ani duchowieństwo łacińskie ani społeczeństwo polskie. Wszak swoich form nikomu nie narzucało, — ale też nie było chyba obowiązanem, dla zapobieżenia polszczeniu się unitów, ukrywać się przed nimi ze swojemi nabożeństwami i swojem życiem religijnem.

To samo trzeba powiedzieć o kaznodziejstwie. W epoce Synodu Brzeskiego kaznodziejstwo w cerkwi ruskiej, jak wogóle u schizmatyków, prawie wcale nie istniało, głównie dla ciemnoty kleru. Kiedy przy powolnem podnoszeniu się poziomu księży po zawarciu unii poczęto więcej dbać o religijną oświatę ludu, po pewnych próbach ze sztucznym językiem, będącym mieszaniną cerkiewszczyzny, polskiego, białoruskich i małoruskich dyalektów, językiem, który dla ludu nie więcej był zrozumiały, jak polszczyzna, skończyło się na powszechnem wprowadzeniu kazań polskich, dla których i o gotowe wzory łatwiej było. I ta polszczyzna w nauczaniu cerkiewnem, dobrowolnie przyjęta przez kler unicki, prze-

trwała wszędzie aż do kasaty unii, a i w Galicyi dopiero w 40-ch latach ubiegłego stulecia rugować ją poczęto. Trzeba tu dobrze zauważyć, że polszczyzna, wchodząc do cerkwi w postaci kazań i w postaci śpiewów, bynajmnej nie usuwała języka ruskiego, którego tam właściwie nie słyszano, tylko zajmowała puste miejsce, obok niezrozumiałej dla ludu cerkiewszczyzny.

Tak się rzecz miała z owem spolszczeniem Unii, jakie dokonało się w 17 i 18 stuleciu. Mogą dzisiejsi Ukraińcy boleć nad tym faktem, ale niesprawiedliwymi będą, jeżeli odpowiedzialność zań zechcą złożyć na polski Kościół i polskie społeczeństwo.

Kiedy po 1864 roku książę Czerkaski wystąpił ze swemi reformami w dyecezyi Chełmskiej, lud chełmski, a jeszcze bardziej podlaski już czuł się polskim. Nie inaczej czuli się miejscowi kapłani, owi Mazanowscy, Łaccy, Kalińscy, Kalinowscy, Harasowscy, których nazwiska znamy z Martyrologium tej ziemi. Nie przekręcajmy faktów. To duchowieństwo i ten lud opierał się schizmie i rusyfikacyi — to prawda, ale nieprawdą jest, jakoby to czynił w interesie „swojej" ukraińskiej narodowości. On bronił tego, co w cerkwi swojej miał wspólnego z polskim Kościołem: polskich pieśni, polskich praktyk religijnych i — polskich kazań. Sprowadzeni z Galicyi stryjowie dzisiejszych Ukraińców zrazu nie wystąpili otwarcie, jako wrogowie zjednoczenia z Rzymem. Głosili, i rząd im w tem wtórował, że chodzi im tylko o oczyszczenie obrządku wschodniego od łacińskich i polskich naleciałości; ale właśnie dlatego, że to głosili, spotkali się z zaciętym oporem ludu. Nie odrazu nawet wystąpili z kazaniami moskiewskiemi, gdyż tego języka sami dobrze nie posiadali, więc poczęli głosić słowo Boże w używanym w Galicyi języku, jakby dziś go nazwano, ukraińskim, a przynajmniej zbliżonym do niego, a mimo to, czyli właśnie dlatego, cerkwie stanęły pustkami. Można powiedzieć, że pod progami cerkwi Drelowa i Pratulina padli unici w obronie swej wiary, że przywiązanie do niej dokumentowali wytrzymaniem tysięcy nahajek, więzienia, deportacyi, konfiskaty majątków, trzydziestoletniego wyjęcia z pod opieki prawa, ale dobrze trzeba określić, o co bliżej im w tej wierze chodziło. Ta unicka wiara Chełmszczan — to nie jakaś prosta treść, to był zespół różnorod-

nych składników: obrządku wschodniego, zależności od Rzymu, i polsko-łacińskich dodatków wraz z polskim językiem. I właśnie unici chełmscy cierpieli przedewszystkiem za ten trzeci składnik swojej religijnej i zarazem narodowej psychiki — za tę łacinę i za tę polszczyznę. Nawet to, co w wierze ważniejsze; dogmaty i uznanie papieża, wystąpiło, jako przedmiot obrony, dopiero później, gdy rząd i galicyjscy jego wykonawcy zrzucili maskę obłudy. Za obrządek zaś wschodni ani za Ukrainę ci ludzie nie cierpieli, ani też ich nie bronili; obrządku wschodniego nikt im też wydzierać nie myślał, owszem oczyścić takowy obiecywano, między Ukrainą zaś i Rosyą nikt wtedy nie umiał rozróżnić. Żeby się przekonać, jak jest zgodnem z prawdą to, co twierdzimy tutaj, proszę zajrzeć np. do książki jednego z wyznawców unii chełmskiej, ks. Bojarskiego, p. t. „Czasy Nerona w XIX. wieku". Krew swoich współbraci katowanych nazywa „krwią niewinną tylu tysięcy p o l s k i c h męczenników, na ołtarzu wiary i o j c z y z n y (czy Ukraińskiej?) przelaną" (Str. VII).

Odstępczy akt Popielów, Djaczanów, Liwczaków i innych „apostołów" z Galicyi znowu posunął dzieło polonizacyi „opornych unitów". Cóż winni temu Polacy i polski Kościół? Czynownictwo rosyjskie, tak świeckie jak i duchowne w rodzaju takich Eulogiuszów, całą winę za utratę Podlasia dla Rosyi składało na polsko-łacińską propagandę panów i księży. Nic łatwiejszego, jak powtarzać oklepane frazesy. Po r. 1875 ludu podlaskiego już nie było potrzeba polonizować, gdyż wtedy był on już polskim. Używał jeszcze, mocą tradycyi, tu i ówdzie, bynajmniej nie wszędzie, przy pracy i w domu, mowy „prostej", którą nawet uczeni rosyjscy nazywali polsko-małoruską gwarą, ale umiał doskonale posługiwać się i czystą polszczyzną i taką się też tylko posługiwał w stosunku z dworem, z miastem, z plebanią. Nie inaczej wcześniej przemawiał do swego unickiego plebana. Czy wiadomo naszym Ukraińcom — bo ja znam takie fakty — że jeszcze dużo później sami prawosławni popi nieraz musieli przemawiać do swych parafian po polsku, zwłaszcza, jeżeli chcieli im okazać jakieś względy? O jakiejś wytężonej propagandzie dworu między ludem nie można było myśleć; za samo podtrzymywanie ducha dręczonych

unitów niektóre rodziny, jak np. hr. Łubieńskich, musiały opuścić kraj. Propagandę uprawiali chyba komisarze włościańscy, starając się pogłębić przepaść między dworem a chatą. Miejscowe duchowieństwo łacińskie też nie tak wiele mogło pracować nad unitami, jak się pospolicie mniema w obozie przeciwnym. Biskup Baranowski z Lublina parokrotnie publicznie musiał ogłosić, że dla unitów nic zrobić nie może. Większość kleru polskiego, w obawie przed represyami rządu, trzymała się zdaleka od „uporstwujuszczych". Jednostki odważniejsze, które ośmieliły się gdzieś w lesie, czy w nocy na plebanii ochrzcić kilkoro dzieci lub pobłogosławić małżeńską parę, płaciły za swą odwagę deportacyą i grzywnami. Zresztą rząd się postarał, nie bez udziału galicyjskich pomocników, by i tę „propagandę" przeciąć w korzeniu. Dziesiątkami kasowano parafie polskie i zamykano kościoły, powierzając po 5 do 8 tysięcy katolików łacińskiego obrządku opiece jednego księdza, by mu fizycznie zabrakło sił i czasu do obsługi unitów. W samym tylko powiecie bialskim z tuzina parafii polskich pozostały zaledwie dwie. Jeżeli, pomimo tylu trudności i kar, znaleźli się kapłani, którzy nie mogli być obojętni na duchowe męczarnie pobratymczego ludu, co sam do nich błagalne wyciągał dłonie, to cześć tym apostołom! Jeżeli swem poświęceniem i wspólnemi cierpieniami zasłużyli sobie na wdzięczność opuszczonego ludu i przywiązali takowy ściśle do polskości, to kto temu winien?

Pozbawiony swych pasterzy p o l s k o - u n i c k i c h, lud ten zwrócił się sam do kapłanów p o l s k o - ł a c i ń s k i c h. Z tego widać, jak mało mu chodziło o wschodni obrządek, a jak wiele o polskość obok katolickiej wiary. Przez granicę tylko miał cerkiew jeszcze unicką: czemu się nie zwrócił do niej o ratunek przed schizmą? Czemu ta cerkiew nie wysłała misyonarzy, którzyby przynieśli ekspiacyę za odstępstwo stu swoich sług? Lecz lepiej, że nie próbowali tego. Oporny unita już nie wierzył galicyjskiemu klerowi, który mu przysłał oprawców, nie ojców. Oporny unita, gdy się zetknął z obrządkiem wschodnim w Galicyi, gorszył się owemi próbami oczyszczania unii z łacinizmu i polskości, jakie w Galicyi na szeroką już zakreślono skalę. I dlatego ten oporny unita, gdy się przekradł przez kordon, by uzyskać kapłańskie

rozgrzeszenie czy błogosławieństwo, z daleka omijał cerkiew, a spieszył dalej, do Leżajska, do Krakowa... I tu nie czuł się obcym, chyba dlatego, że czuł się już polakiem i.... łacinnikiem.

Stolica Apostolska ratowanie wiary ciemiężonych powierzyła łacińskiemu zakonowi. Oczywiście nie miano w Rzymie na myśli ani latynizacyi ani polszczenia unitów. W wydanej dla użytku misyonarzy instrukcyi zalecano tłumaczyć ludowi, że pomimo chwilowej obsługi w obrządku łacińskim, uważa się go za przynależny do unii. Chciano tym sposobem uspokoić drażliwość ludu. Najniepotrzebniej! Miałem szczęście należeć do liczby podlaskich misyonarzy i z początku próbowałem uświadamiać lud o jego przynależności do unii. Niebawem przekonałem się, że lud o powrocie do wschodniego obrządku nie chce słyszeć, chyba, że przywróconym byłby w dawnej polskiej szacie. To ostatnie zastrzeżenie zresztą tylko niewielu wypowiadało. Większość zerwała z nim bezpowrotnie, i misyonarz, jeśli nie chciał narazić się na podejrzenie i utratę zaufania, musiał się kryć ze swemi sympatyami dla unii. Używałem przy mszy dla wygody, zamiast kamiennego portatyla, greckiego antyminsu; otóż i tę resztę wschodniego obrządku musiałem pilnie ukrywać przed podejrzliwem okiem byłych unitów.

Tak, są to prawdziwie „byli“ unici. Kiedy w r. 1905 ogłoszono ukaz tolerancyjny, żadnemu z nich nie powstała w głowie myśl, starać się o przywrócenie Unii. Zasadniczo nie było to niemożliwem. Ukaz sam żadnych ograniczeń co do tego nie czynił. W prasie cerkiewnej rosyjskiej odezwały się poważne głosy, że na Chełmszczyźnie należy przywrócić dla „uporstwujuszczych“ unię, aby przynajmniej od polskości ich odgrodzić, skoro się nie dało uczynić ich prawosławnymi. I przypuszczam, że ten projekt w kołach miarodajnych wziętoby pod rozwagę, gdyby jakiekolwiek starania w tym względzie wyszły od samych unitów. Ale właśnie takich starań nie było. Uporni ze śpiewem polskim na ustach „Wesoły nam dzień dziś nastał!“ pospieszyli bez namysłu, bez agitacyi, tysiącami do kościołów polskich, żądając formalnego przyłączenia ich do łacińskich parafii. Skoro tylko pozwolono na to, oni właśnie, „uporni unici“, sypnęli groszem, by odnowić i otworzyć pozamy-

kane łacińskie, niegdyś obce im, kościoły, owszem pobudowali nowe nawet w takich miejscowościach, jak w Kornicy, w Gęsi, gdzie dawniej łacińskich świątyń nie było. Ani jeden głos protestu przeciw tej latynizacyi nie wyszedł z ich piersi, ani jedno życzenie uwzględnienia np. w kościele ukraińskiej mowy. Wszelkie polszczenie tego ludu okazało się zbędnem, wobec niezaprzeczonego faktu, że lud ten był już całkowicie polskim.

Te 150 tysięcy byłych unitów, a dzisiaj łacinników to właśnie ów ciężar, który szalę narodowościowych stosunków na Chełmszczyźnie i Podlasiu przechyla na korzyść polskości. I sama agitacya ukraińska stwierdza faktyczny stan rzeczy, kiedy do tych „uciemiężonych“ przez Polaków Ukraińców wydaje odezwy... po polsku. Myli się jednak, jeżeli sądzi, że trafi do umysłu „upornego“ podlasiaka perspektywą taniego ślubu u ukraińskiego wójta. Ten chełmszczanin odbywał kosztowne podróże, by otrzymać ślub z ręki księdza, bodaj zagranicznego.

Dla stwierdzenia narodowej przynależności ludności Chełmszczyzny zapowiada się plebiscyt. Sądzimy, że on jest zbyteczny. I wyznaniową i narodową przynależność swoją lud ten stwierdzał nie podpisem, ale krwią, łzami i kośćmi, rozrzuconemi po stepach orenburskich. Jeżeli wynik tego „plebiscytu“ nie zadawalnia kogoś, zwłaszcza naszych Ukraińców, niech za winy swych ojców, „apostołów“ Podlasia, uderzą się w piersi, mówiąc nostra culpa! Jeżeli rewindykacye polityczne chce się osłaniać pobudką religijną wzmocnienia unii etc., to dużo lepiej będzie gorliwość swą zwrócić dalej na wschód, gdzie żniwo wielkie. Serca i umysły podlaskiego i chełmskiego ludu, przynajmniej owego „opornego“ ludu, trzeba w każdym razie uważać za stracone dla wschodniego obrządku i Ukrainy, nawet chociażby zaczęła powiewać nad tym nieszczęsnym krajem niebiesko-żółta chorągiew.

Ks. Jan Urban.

Zarys urządzenia administracyi w Polsce.

I.

Dać choćby tylko zarys najgłówniejszych zasad urządzenia administracyi w państwie nie jest rzeczą ani łatwą, ani prostą. Może jednak właśnie z tego powodu jest szczególnie wskazanem rozważanie tego zagadnienia w chwili, gdy urządzenie państwa polskiego wysuwa się na czoło. Należy bowiem roztrząsnąć wszelkie możliwości w tej dziedzinie bez pośpiechu i z należytą rozwagą. Można na urządzenie administracyi zapatrywać się rozmaicie; znalezienie możliwie najlepszej i najstosowniejszej wypadkowej może być ułatwione przez oparcie roztrząsań na podstawie pewnego ujęcia zasad, choćby nawet nie zupełnie jeszcze doskonałego, byleby wypływającego ze szczerej miłości samej sprawy, stanowiącej istotę zagadnienia. Tej myśli wypływem jest skreślony w dalszym ciągu zarys urządzenia administracyi w Polsce. Nie zawiera on przeciętnych danych dla terytoryalnego określenia jednostek administracyjnych, bo nie na całym obszarze państwa da się pod tym względem zastosować zawsze i wszędzie jedne i te same zasady; można co najwyżej przyjąć pewne momenta tylko za ogólny, podstawowy wskaźnik; zresztą zaś obok ludnościowego miernika przyjdzie uwzględnić w poszczególnych wypadkach także czynniki gospodarcze, a w pewnej mierze również historyczne i inne. Zarys opiera się na podziale państwa na gminy,

okręgi, powiaty i ziemie. Co się tyczy ustroju organów administracyjnych, to wychodzi zarys z tego zapatrywania, że należy dążyć do tego, by do ciał uchwalających i kontrolujących w wyższych jednostkach administracyjnych wprowadzić osoby, obznajomione bezpośrednio z miejscowemi potrzebami, schodząc aż do gminy, tej podstawowej jednostki u dołu. Tym sposobem w obrębie ziemi można zapewnić ciągłe i bezpośrednie zrozumienie potrzeb całego obszaru administracyjnego i złączyć ze sobą pracowników, czynnych w różnych jednostkach administracyjnych.

Byłoby zaś już rzeczą gminnych ustaw wyborczych stworzyć dla tego ustroju zasady, zgodne i z duchem nowoczesnego państwa i z miarodajnymi pod tym względem stosunkami, panującymi w kraju.

I. GMINA.

Zakres działania gminy obejmuje:

a) zarząd majątkiem gminnym, uchwalanie budżetu, sprawdzanie i załatwianie rachunków rocznych;

b) dobroczynność publiczną;

c) pośrednictwo pracy;

d) wpływ na sprawy szkolne w granicach ustaw;

e) ustanawianie urzędów gminnych, względnie wybór urzędników gminnych; płacę urzędników ustanawia Prezydent ziemi, po wysłuchaniu Rady gminnej i Rady ziemskiej;

f) wybór pełnomocników do prowadzenia spraw gminnych w poszczególnych miejscowościach, tworzących gminę;

g) wnioski i uchwały, oraz wydawanie opinii w sprawach gminnych.

Dla powyższych spraw organem uchwalającym i nadzorującym jest wychodząca z wyborów Rada gminna, organem zaś wykonawczym, wybieranym przez Radę gminną, w wiejskich gminach wójt, w średnich miastach, oznaczonych ustawą, burmistrz, w większych miastach, oznaczonych ustawą, prezes Rady miejskiej, w miastach zaś, tworzących kasztelanię,

prezydent miasta. W miastach Rada gminna zwie się Radą miejską.

Zasady i sposób wyborów do Rady gminnej względnie miejskiej, tudzież wyboru naczelników gmin (wójtów, burmistrzów i t. d.) określa ustawa wyborcza. Od kandydatów na urząd wójtowski wymaga się przynajmniej ukończenia szkoły ludowej lub udowodnienia w inny sposób znajomości czytania i pisania [1]).

Zmianę granic poszczególnych gmin zastrzega się rozporządzeniu ministra spraw wewnętrznych, po wysłuchaniu odnośnych Rad gminnych względnie miejskich, Wydziału powiatowego i Rady ziemskiej. Wobec bowiem szybkiego, nieraz wprost niezwykłego wzrostu gmin pod wpływem stosunków gospodarczych, droga ustawodawcza jest stanowczo zbyt uciążliwa i przewlekła, co łączy się często ze szkodą pewnych miejscowości i wytwarza niezdrowe stosunki, oparte na sprzeczności między stanem prawnym a faktycznym.

Należy wzorem innych krajów odróżnić szczegółowo w stanie rocznych wydatków obowiązkowe od dobrowolnych, z których pierwsze muszą być przez gminy poniesione w granicach odnośnych ustaw.

W średnich miastach Rada miejska wybiera burmistrza, który przygotowuje i zwołuje posiedzenie Rady miejskiej, przewodniczy w niej i kieruje czynnościami, należącemi do zakresu działania Rady miejskiej; zastępuje go w czynnościach wychodzący z wyboru wiceburmistrz. W wielkich miastach Rada miejska wybiera prezesa Rady miejskiej i dwu wiceprezesów R. m., z analogicznym zakresem działania; naczelnik miasta, względnie jego zastępca, ma obowiązek być obecnym na posiedzeniach Rady miejskiej. W oznaczonych ustawą miastach, które tworzą kasztelanie, wybiera Rada miejska ze swego grona prezydenta miasta i 3 wiceprezydentów miasta, ze zakresem działania, analogicznym do większych miast; urzędnicy kasztelańscy nie mogą być człon-

---

[1]) Podobne postanowienie przewidywał już projekt ustawy gminnej, opracowany dla Królestwa Kongresowego przez Komisyę sprawiedliwości, za rządów Wielopolskiego.

kami Rady miejskiej; kasztelan względnie jego zastępca ma obowiązek być obecnym na posiedzeniach Rady miejskiej.

Ustawodawstwo gminne powinno uwzględnić odrębności pewnych typów gmin (wiejskich, średnich miast, wielkich miast i miast kasztelańskich).

Rady gminne i Rady miejskie mogą być w myśl obowiązujących przepisów przed upływem ustawowego czasu rozwiązane przez prezydenta ziemi, po wysłuchaniu starosty powiatowego; nowe wybory mają być przeprowadzone najdalej do 8 tygodni.

Okręg gminny i miejski.

Okręgi są dwojakiego rodzaju:

1) Typem są okręgi gminne, złożone z kilku gmin wiejskich względnie z mniejszych miast i gmin wiejskich;

2) W ustawie oznaczone wielkie miasta i miasta kasztelańskie tworzą dla siebie odrębne okręgi miejskie.

Obszar poszczególnych okręgów gminnych ustala ustawa.

Na czele pierwszych, t. zw. okręgów gminnych, stoi naczelnik okręgowy, mianowany i odwoływany przez prezydenta ziemi, w pierwszym wypadku na wniosek, w drugim zaś na wniosek względnie po wysłuchaniu Wydziału powiatowego. Minimum kwalifikacyi i wysokość wynagrodzenia ustala ustawa. Naczelnik okręgowy reprezentuje okręg gminny na zewnątrz. Do niego należy kierownictwo i wykonywanie policyi miejscowej, tudzież współdziałanie w wykonywaniu administracyi państwowej. Pod tym względem wójtowie i burmistrzowie są jego podwładnymi, skutkiem czego ma prawo poruczyć im pewne czynności, lecz pod własnym dozorem i pod wspólną odpowiedzialnością z wójtami i burmistrzami. Naczelnikowi okręgowemu służy w sprawach policyi miejscowej prawo zagrażania grzywnami lub karą aresztu w granicach, oznaczonych ustawą. Orzeczenie karne w tych sprawach wydaje naczelnik okręgowy w formie osądu; postępowanie określają ustawy. Współdziałanie w sprawach administracyi państwowej postanawiają ustawy.

Mianowanie zastępcy naczelnika okręgowego następuje w ten sam sposób, jak mianowanie naczelnika. Urząd zastępcy jest bezpłatny, tylko w razie dłuższego zastępstwa naczelnika okręgowego może mu być wyznaczone wynagrodzenie przez prezydenta ziemi, na wniosek Wydziału powiatowego.

Naczelnik okręgowy i jego zastępca nie mogą być członkami żadnej z rad gminnych, należących do podległego mu okręgu gminnego.

Na czele „okręgu miejskiego" w wielkich miastach, oznaczonych ustawą, stoi naczelnik miasta. Jego nominacya i odwołanie, tudzież zakres działania opierają się na tych samych zasadach, jak w okręgach gminnych.

W miastach kasztelańskich orzecznictwo karne w sprawach policyi miejscowej sprawuje starosta grodzki względnie wyznaczeni przez niego zastępcy.

II. POWIAT.

Zarząd powiatu należy do:

a) Sejmiku powiatowego,

b) Wydziału powiatowego,

c) Starosty powiatowego.

Ad a): Sejmik powiatowy składa się z 24 członków i 12 zastępców, wybieranych przez Rady gmin wiejskich i Rady gmin miejskich, należących do powiatu. Zasady rozdziału mandatów zawiera ordynacya wyborcza. W razie śmierci, ustąpienia, lub trwałej dłuższej przeszkody jednego z członków Sejmiku powiatowego, Starosta powiatowy powołuje zastępcę z odnośnej grupy, według wysokości oddanych głosów przy wyborze, w razie równości głosów w alfabetycznym porządku.

Sejmik powiatowy jest ciałem uchwalającem i kontrolującem. W szczególności należy do niego zarząd gospodarczy powiatu. Należy tu uchwalanie budżetu i załatwianie zamknięć rachunkowych, tudzież uchwalanie pożyczek i dodatków do podatków w granicach ustaw. Sejmik powiatowy ma głos w wykonywaniu

kontroli nad okręgami i gminami, dalej w sprawach dobroczynności publicznej, kultury, w sprawach szkolnych, drogowych, targowych, sanitarnych, pośrednictwa pracy i podatkowych. Zakres działania Sejmiku powiatowego w wyliczonych sprawach określają bliżej ustawy.

Okres trwania mandatów trwa lat 6. Sejmik powiatowy urzęduje aż do ukonstytuowania się nowego Sejmiku powiatowego. Utrata mandatu w Radzie gminnej względnie w Radzie miejskiej wskutek wcześniejszego rozwiązania Rady względnie wygaśnięcia przez upływ ustawowego czasu, nie wpływa na mandat do Sejmiku powiatowego. Sejmik powiatowy może być rozwiązany przez Prezydenta ziemi, po wysłuchaniu Starosty powiatowego i Rady ziemskiej, także przed upływem 6 lat. Nowe wybory mają być przeprowadzone najdalej w ciągu 8 tygodni.

Zwyczajne posiedzenia S. p. odbywają się w drugiej połowie stycznia, kwietnia, lipca i października; nadzwyczajne posiedzenia zwołuje się w miarę potrzeby, a nadto także na żądanie Starosty powiatowego lub na pisemne żądanie $^2/_3$ członków Sejmiku powiatowego. Na pisemne żądanie 5 członków Wydziału powiatowego winien Starosta powiatowy zażądać zwołania nadzwyczajnego posiedzenia S. p. Nad zwołaniem zwyczajnych posiedzeń w przepisanym czasie czuwa Starosta powiatowy. Uchwały zapadają zwyczajną większością głosów.

Sejmik powiatowy wybiera ze swego grona zwyczajną większością głosów Marszałka powiatowego i Wicemarszałka powiatowego. Marszałek powiatowy, względnie w jego zastępstwie Wicemarszałek pow. przygotowuje, zwołuje i przewodniczy posiedzeniom Sejmiku pow. i zarządza, co należy, w przedmiocie spowodowania wykonania uchwał Sejmiku pow. Urząd Marszałka pow. i Wicemarszałka pow. jest bezpłatny. Starosta pow. względnie jego zastępca ma obowiązek być obecnym na posiedzeniach Sejm. pow. i może zabierać głos, lecz w głosowaniu nie uczestniczy. Marszałek pow. względnie Wicemarszałek pow. winien zawiesić uchwały Sejmu pow., jeżeli sprzeciwiają się ustawom lub przekraczają zakres działania Sejmu pow., a to już to z własnego zarządzenia, już też na żądanie Starosty pow. Sprawę jednak należy

przesłać bezzwłocznie za pośrednictwem Starosty pow. Prezydentowi ziemi do rozstrzygnięcia, w razie zaś, jeżeli zawieszenie nastąpiło już po posiedzeniu Sejmiku pow., podać to do jego wiadomości na najbliższem posiedzeniu.

Ad b). Wydział powiatowy składa się z 6 członków i 3 zastępców, wybieranych przez Sejmik powiatowy już to z jego grona, już też z poza niego, byleby wybrani mieli warunki wejścia w skład Sejm. pow., przewidziane ustawą. Sposób dokonania wyboru określa ordynacya wyborcza. Członkowie Wydziału pow. noszą tytuł Radców powiatowych.

Przewodniczącym Wydziału pow. jest Starosta powiatowy. Radcy powiatowi składają do rąk Starosty pow. przysięgę na wierność Najwyższej Władzy Państwa, na przestrzeganie ustaw, na sumienne, pilne, wierne i uczciwe pełnienie obowiązków urzędowych, tudzież na zachowywanie tajemnicy urzędowej.

Wydział powiatowy:

a) Jest władzą wykonawczą powiatu, z wyjątkiem spraw, zastrzeżonych wyłącznemu zakresowi działania Starosty pow., względnie należących do zakresu działania Starosty pow. łącznie z ławnikami powiatowymi.

b) Współdziała za pośrednictwem ławników powiatowych w wykonaniu orzecznictwa karnego w I. instancyi w sprawach, nie należących do wyłącznego zakresu działania Starosty pow., tudzież w odwoławczem orzecznictwie karnem od orzeczeń naczelników okręgowych, względnie Naczelników miasta, wydanych w sprawach policyi miejscowej.

c) Załatwia sprawy zwykłego zarządu majątkiem powiatowym, tudzież kieruje i zawiaduje zakładami powiatowymi, a nadzoruje zakłady powiatowe, mające własny zarząd.

d) Rozciąga nadzór nad niższemi władzami.

e) Jest komisyą dyscyplinarną dla urzędników powiatowych, z wyjątkiem Starosty pow. i dla urzędników niższych władz; jego zarządzenia, wydane w tym charakterze, wymagają zatwierdzenia przez Prezydenta ziemi.

f) Rozstrzyga rekursa od rozstrzygnięć władz niższych, wyjąwszy orzeczenia karne.

g) Przeprowadza rozkład podatków na okręgi gminne.

Poza tem Wydział powiatowy:

a) Wybiera ze swego grona 2 ławników powiatowych i 1 zastępcę na czas trwania swego urzędowania, którzy pod przewodnictwem Starosty pow. wykonują orzecznictwo karne w pierwszej instancyi w sprawach, nie należących do wyłącznego zakresu działania Starosty pow., tudzież w sprawach rekursów od orzeczeń władz niższych w sprawach policyi miejscowej.

b) Wzmocniony przedstawicielami opodatkowanych, spełnia zadania Powiatowych Komisyi podatkowych dla podatków bezpośrednich. Obowiązki referenta pełni fachowy urzędnik, dodany Staroście pow. Liczbę opodatkowanych, sposób ich powołania, tudzież zakres działania Powiatowych Komisyi podatkowych określają ustawy.

c) Wydział powiatowy, wzmocniony przez przedstawicieli wyznań i szkolnictwa, tworzy Powiatową Radę szkolną. Referentem jest urzędnik fachowy, dodany Staroście pow. Liczbę wspomnianych przedstawicieli, sposób ich powołania, tudzież zakres działania Pow. Rady szkolnej określają ustawy.

Starosta pow. przygotowuje, zwołuje i przewodniczy posiedzeniom W. p. i przeprowadza powzięte uchwały. Starosta pow. winien zawiesić uchwały W. p. w tych samych wypadkach, kiedy mają być zawieszone uchwały Sejmiku pow., ma jednak sprawę przedłożyć bezzwłocznie do rozstrzygnięcia Prezydentowi ziemi.

Urząd Radców pow. trwa lat 6, względnie aż do rozwiązania Sejmiku pow., w każdym jednak razie aż do objęcia urzędowania przez nowo wybrany Wydział pow. Wynagrodzenie Radców powiatowych ustanawia Prezydent ziemi rozporządzeniem w granicach prawnie przyzwolonych środków.

Posiedzenia Wydz. pow. odbywają się w miarę potrzeby i nie są jawne. Referaty na posiedzenia przydziela Starosta pow.; referować mogą albo Radcy pow., albo urzędnicy, wyznaczeni przez Starostę pow. Uchwały zapadają zwyczajną większością głosów obecnych Radców pow. i Starosty pow.

Ad c). Starosta powiatowy jest kwalifikowanym urzędnikiem, z wykształceniem prawniczem, mianowanym przez Ministra

spraw wewnętrznych. Kieruje Starostwem powiatowem, przewodniczy Wydziałowi pow., jest przewodniczącym Powiatowej Rady szkolnej, Powiatowej Komisyi dla podatków bezpośrednich i odpowiada za całe urzędowanie w podległym mu urzędzie (Starostwie pow.). W razie przeszkody zastępuje go najstarszy rangą urzędnik konceptowy z wykształceniem prawniczem.

Zakres działania Starostw powiatowych określają ustawy.

Zakres działania Starosty pow. jest trojaki:

1) Wyłącznie mu zastrzeżony zakres działania;

2) zakres działania łącznie z ławnikami powiatowymi;

3) zakres działania w Wydziale powiatowym.

Ad 1) Do wyłącznego zakresu działania Starosty pow. należy:

a) kierownictwo policyi w powiecie;

b) nadzór nad prasą, stowarzyszeniami, teatrami i widowiskami;

c) sprawy paszportowe i wogóle policya obcych;

d) sprawy rekrutacyi i uruchomienia wojsk;

e) zarządzenie środków dla utrzymania lub przywrócenia spokoju i bezpieczeństwa, albo w celu wykonania ustawy;

f) zarządzenie środków, celem zapobieżenia uszkodzeniom osób i mienia;

g) czuwanie nad tem, by Rady gminne i Rady miejskie, Wydziały gminne i Wydziały miejskie, Sejmik powiatowy i Wydział powiatowy nie przekraczały swego zakresu działania i nie postanawiały uchwał, przeciwnych obowiązującym przepisom;

h) należyte ogłaszanie ustaw i rozporządzeń, przeznaczonych do ogłoszenia, według przepisów i otrzymanych wyższych zleceń;

i) kierownictwo administracyi podatków bezpośrednich, z ograniczeniami, przewidzianemi w ustawach;

j) kierownictwo administracyi szkolnej, z ograniczeniami w ustawach;

k) sprawy, powierzone jego wyłącznemu zakresowi działania przez wyższe władze lub z mocy osobnych ustaw.

Ad 2). Do zakresu działania Starosty pow. łącznie z 2 ła-

wnikami powiatowymi, wybranymi przez Wydział pow., należy orzecznictwo karne w I. instancyi w sprawach, nie należących do zakresu działania Starosty pow., tudzież załatwianie rekursów od orzeczeń karnych, wydanych przez Naczelników okręgowych, względnie Naczelników miasta. Regulamin Wydziału powiatowego wydaje minister spraw wewnętrznych, po wysłuchaniu Rady ziemskiej, w granicach obowiązujących ustaw i rozporządzeń.

Ad 3) Wszystkie inne sprawy, należące do zakresu działania Starostwa, są załatwiane przez Wydział pow. pod przewodnictwem Starosty pow., według instrukcyi, wydanej przez Prezydenta ziemi, w granicach obowiązujących ustaw i rozporządzeń.

W sprawach, należących do wyłącznego zakresu działania Starosty pow., może on zasięgnąć zdania Wydziału pow., lecz uchwała Wydziału pow. go nie wiąże.

W sprawach, załatwianych we Wydziale pow., jeżeli w nagłych wypadkach zwłoka grozi niebezpieczeństwem, może Starosta pow. wydać potrzebne zarządzenia, lecz ma natychmiast zawiadomić o nich Prezydenta ziemi i Wydział pow., tudzież uchwałę tego ostatniego przesłać bezzwłocznie Prezydentowi ziemi.

Starosta pow. może Radców pow. przynaglić do należytego wykonywania urzędu upomnieniem i grzywnami w ustawowym wymiarze, względnie przedłożyć sprawę Prezydentowi ziemi, który po przeprowadzonem dochodzeniu może w razie grubego lub powtarzającego się zaniedbywania się zawiesić Radcę pow. za pośrednictwem Starosty pow. Zawieszenie może być czasowe lub trwałe; w pierwszym wypadku powołuje się zastępcę na czas zawieszenia, w drugim zaś na czas aż do objęcia urzędowania przez nowego członka Wydziału pow., którego wybór ma się odbyć na najbliższem posiedzeniu Sejmiku pow. Trwale zawieszony w urzędowaniu członek Wydziału pow. nie może być ponownie wybrany Radcą powiatowym ani w ciągu bieżącego, ani bezpośrednio następującego sześciolecia.

Urzędnicy starostwa powiatowego nie mogą być członkami ani Rad gminnych względnie miejskich, ani Wydziałów gminnych względnie miejskich, ani też Sejmiku pow. w powiecie swego urzędowania.

III. ZIEMIA I KASZTELANIA.

A) Ziemia.

Zarząd Ziemi należy do:
a) Sejmiku ziemskiego;
b) Rady ziemskiej;
c) Prezydenta ziemi.

Ad a). Sejmik ziemski wychodzi z wyborów z łona Sejmików powiatowych. Sejmik ziemski liczy 30 członków i 15 zastępców. Zasady rozdziału mandatów między poszczególne Sejmiki powiatowe przy uwzględnieniu przedstawicieli gmin wiejskich i miejskich, tudzież sposób dokonywania wyborów zawiera ordynacya wyborcza. W razie śmierci, ustąpienia lub trwałej dłuższej przeszkody po stronie jednego z członków Sejmiku ziemskiego, Prezydent ziemi powołuje odnośnego zastępcę na tych samych zasadach, jak w Sejmikach powiatowych.

Okres trwania mandatów trwa lat 6. Sejmik ziemski urzęduje aż do ukonstytuowania się nowego Sejmiku ziemskiego. Wygaśnięcie mandatu w Radzie gminnej względnie miejskiej, stanowiącego podstawę do wejścia w skład Sejmiku powiatowego, skutkiem rozwiązania Rady gminnej względnie miejskiej, albo wskutek wcześniejszego upływu ustawowego czasu, nie wpływa na mandat do Sejmiku ziemskiego. To samo postanowienie odnosi się do trwania mandatów do Sejmiku powiatowego. Wcześniejsze rozwiązanie Sejmiku ziemskiego może zarządzić minister spraw wewnętrznych, po wysłuchaniu Prezydenta ziemi; nowe wybory mają być przeprowadzone najdalej do 8 tygodni.

Sejmik ziemski jest ciałem uchwalającem i kontrolującem. W szczególności należy do niego zarząd gospodarczy ziemi, uchwalanie budżetu i załatwianie zamknięć rachunkowych, tudzież uchwalanie pożyczek i dodatków do podatków w granicach ustaw. Sejmik ziemski ma głos w wykonywaniu kontroli nad powiatami, okręgami gminnymi i gminami, dalej w sprawach dobroczynności publicznej, kultury, w sprawach szkolnych, drogowych, targowych, sanitarnych, pośrednictwa pracy i podatkowych. Zakres działania

Sejmiku ziemskiego w wyliczonych sprawach określają bliżej ustawy.

Zwyczajne posiedzenia Sejmiku ziemskiego odbywają się w pierwszej połowie lutego, maja, sierpnia i listopada; nadzwyczajne posiedzenia zwołuje się w miarę potrzeby, a także na żądanie Prezydenta ziemi lub na pisemne żądanie $^2/_3$ członków Sejmiku ziemskiego. Na pisemne żądanie Rady ziemskiej, opartej na uchwale, powziętej w obecności najmniej 7 członków, większością przynajmniej 6 głosów, winien Prezydent ziemi zażądać zwołania Sejmiku ziemskiego na nadzwyczajne posiedzenie. Nad zwołaniem zwyczajnych posiedzeń Sejmiku ziemskiego w przepisanym czasie czuwa Prezydent ziemi.

Uchwały zapadają zwyczajną większością głosów.

Sejmik ziemski ze swego grona wybiera zwyczajną większością głosów Marszałka ziemi i Wicemarszałka ziemi. Marszałek ziemi względnie w jego zastępstwie Wicemarszałek ziemi przygotowuje, zwołuje i przewodniczy posiedzeniom Sejmiku ziemskiego, tudzież zarządza, co należy, w przedmiocie spowodowania wykonania uchwał Sejmiku ziem. Urząd Marszałka ziemi i Wicemarszałka ziemi jest bezpłatny.

Marszałek ziemi względnie Wicemarszałek ziemi winien zawiesić uchwały Sejm. ziem., jeżeli sprzeciwiają się ustawom lub przekraczają zakres działania Sejm. ziem., a to już to z własnego zarządzenia, już też na żądanie Prezydenta ziemi. Sprawę jednak należy przesłać bezzwłocznie za pośrednictwem Prezydenta ziemi do rozstrzygnięcia Ministrowi spraw wewnętrznych, w razie zaś, jeżeli zawieszenie nastąpiło już po posiedzeniu Sejm. ziem., podać to do jego wiadomości na najbliższem posiedzeniu.

Ad b). Rada ziemska składa się z 9 członków, których wybiera Sejmik ziemski, już to ze swego grona, już też z poza niego, byleby wybrani mieli warunki wejścia w skład Sejm. ziem., przepisane ustawą. Członkowie Rady ziemskiej noszą tytuł Radców ziemskich.

Przewodniczącym Rady ziemskiej jest Prezydent ziemi.

Radcy ziemscy składają do rąk Prezydenta ziemi przysięgę na wierność Najwyższej Władzy Państwowej, na przestrzeganie

ustaw, na sumienne, pilne, wierne i uczciwe pełnienie obowiązków urzędowych, tudzież na zachowywanie tajemnicy urzędowej.

Rada ziemska:

a) jest władzą wykonawczą ziemi, z wyjątkiem spraw, wyraźnie zastrzeżonych wyłącznemu zakresowi działania Prezydenta ziemi;

b) załatwia sprawy zwykłego zarządu majątkiem ziemskim, tudzież kieruje i zawiaduje zakładami ziemskimi, a nadzoruje zakłady ziemskie, mające własny zarząd;

c) rozciąga nadzór nad niższemi władzami;

d) jest rekursową komisyą dyscyplinarną dla urzędników powiatowych (z wyjątkiem Starosty pow.) i dla urzędników niższych władz;

e) jest komisyą dyscyplinarną dla Starostów pow. i dla urzędników ziemskich, z wyjątkiem Prezydenta ziemi i Wiceprezydenta ziemi; orzeczenia Rady ziem., jako rekursowej komisyi dyscyplinarnej, wymagają zatwierdzenia przez Ministra spraw wewnętrznych; rekursy od orzeczeń Rady ziem., jako komisyi dyscyplinarnej I. instancyi, rozstrzyga komisya dyscyplinarna w Ministerstwie spraw wewnętrznych, wyznaczona przez Ministra spraw wewnętrznych;

f) rozstrzyga rekursy od orzeczeń karnych, wydanych przez Starostów pow. łącznie z ławnikami pow. w drugiej i ostatniej instancyi;

g) przeprowadza rozkład podatków na powiaty.

Poza tem Rada ziemska:

a) wzmocniona przedstawicielami opodatkowanych, spełnia zadania rekursowych Ziemskich komisyi podatkowych dla podatków bezpośrednich; liczbę przedstawicieli opodatkowanych i sposób ich powołania, tudzież zakres działania komisyi podatkowych określają ustawy; obowiązki referenta pełni fachowy urzędnik, wyznaczony przez Prezydenta ziemi;

b) wzmocniona przedstawicielami wyznań i szkolnictwa, tworzy Ziemską Radę szkolną; liczbę tych przedstawicieli i sposób ich powołania, tudzież zakres działania Ziemskiej Rady szkol-

nej określają ustawy; obowiązki referenta pełni fachowy urzędnik, wyznaczony przez Prezydenta ziemi.

Prezydent ziemi przygotowuje, zwołuje i przewodniczy posiedzeniom Rady ziem., tudzież przeprowadza powzięte uchwały. Prezydent ziemi winien zawiesić uchwały Rady ziem. w tych samych wypadkach, w których mają być zawieszone uchwały Sejmu ziem., ma jednak obowiązek przedłożyć sprawę bezzwłocznie Ministrowi spraw wewnętrznych do rozstrzygnięcia.

Urząd Radców ziemskich trwa lat 6, względnie aż do rozwiązania Sejm. ziem., w każdym jednak razie aż do objęcia urzędowania przez nową Radę ziemską. Wynagrodzenie Radców ziemskich ustanawia Minister spraw wewnętrznych rozporządzeniem w granicach prawnie przyzwolonych środków.

Posiedzenia nie są jawne i odbywają się w miarę potrzeby. Referaty na posiedzenia przydziela Prezydent ziemi; referować mogą albo Radcy ziemscy, albo urzędnicy, wyznaczeni przez Prezydenta ziemi. Uchwały zapadają zwyczajną większością głosów.

Ad c). Prezydent ziemi jest wyższym, kwalifikowanym urzędnikiem, z wykształceniem prawniczem, mianowanym przez Najwyższą Władzę Państwa, na wniosek Ministra spraw wewnętrznych. Zastępuje go Wiceprezydent ziemi.

Prezydent ziemi kieruje Urzędem ziemskim, jest przewodniczącym Rady ziemskiej, Rady szkolnej ziemskiej i ziemskich komisyi dla podatków bezpośrednich, tudzież odpowiada za całe urzędowanie w podległym mu urzędzie ziemskim. Pod względem dyscyplinarnym podlega Prezydent ziemi i Wiceprezydent ziemi komisyi dyscyplinarnej w Ministerstwie spraw wewnętrznych, wyznaczonej przez Ministra spraw wewnętrznych, od której służy rekurs do Rady ministrów.

Zakres działania Prezydenta ziemi jest dwojaki:

1) wyłącznie mu zastrzeżony zakres działania i

2) zakres działania w Radzie ziemskiej.

Do wyłącznego zakresu działania Prezydenta ziemi należy:

a) kierownictwo policyi w ziemi;

b) nadzór nad prasą, stowarzyszeniami, teatrami i widowiskami;

c) sprawy paszportowe i wogóle policya obcych;

d) sprawy rekrutacyi i uruchomienia wojsk;

e) zarządzenie środków, celem utrzymania lub przywrócenia pokoju, bezpieczeństwa, albo w celu wykonania ustawy;

f) zarządzenia dla zapobieżenia uszkodzeniom osób i mienia;

g) czuwanie nad tem, by Rady gminne i miejskie, Wydziały gminne i miejskie, Sejmiki powiatowe i Wydziały powiatowe, Sejmik ziemski i Rada ziemska nie przekraczały swego zakresu działania i nie postanawiały uchwał, przeciwnych obowiązującym przepisom;

h) należyte ogłaszanie ustaw i rozporządzeń, przeznaczonych do ogłoszenia, według przepisów i otrzymanych wyższych zleceń;

i) kierownictwo administracyi podatków bezpośrednich, z ograniczeniami, przewidzianemi w ustawach;

j) kierownictwo administracyi szkolnej z ograniczeniami w ustawach;

k) rozstrzyganie w II. i ostatniej instancyi rekursów od orzeczeń i rozstrzygnięć, wydanych przez Starostów pow., w sprawach, zastrzeżonych ich wyłącznemu zakresowi działania;

l) sprawy, powierzone jego wyłącznemu zakresowi przez wyższe władze lub z mocy osobnych ustaw.

Do zakresu działania Prezydenta ziemi w Radzie ziemskiej należy:

1) Rozstrzyganie w II. i ostatniej instancyi orzeczeń karnych, wydanych przez Starostów powiatowych łącznie z ławnikami powiatowymi;

2) Rozstrzyganie w II. i ostatniej instancyi rozstrzygnięć, wydanych przez Wydział powiatowy w sprawach, wyjętych z pod kompetencyi sądów administracyjnych.

3) Sprawy, powierzone Radzie ziemskiej przez osobne ustawy i przez wyższe władze.

Szefowie Wydziałów Urzędu ziemskiego uczestniczą w obradach Rady ziemskiej z głosem stanowczym w tych sprawach, które należą do ich wydziałów; do obrad nad innemi sprawami mogą być wezwani przez Prezydenta ziemi, lecz tylko z głosem

doradczym. Uchwały zapadają zwyczajną większością głosów obecnych, mających głos stanowczy. Regulamin Rady ziemskiej wydaje Minister spraw wewnętrznych w granicach obowiązujących ustaw i rozporządzeń.

W sprawach, należących do wyłącznego zakresu działania Prezydenta ziemi, może on zasięgnąć zdania Rady ziemskiej, lecz go jej uchwała nie wiąże.

W sprawach, załatwianych w Radzie ziemskiej, jeżeli w nagłych wypadkach zwłoka grozi niebezpieczeństwem, może Prezydent ziemi wydać potrzebne zarządzenia, lecz ma natychmiast zawiadomić o nich Ministra spraw wewnętrznych i Radę ziemską, tudzież uchwałę tej ostatniej przesłać bezzwłocznie Ministrowi spraw wewnętrznych.

Prezydent ziemi może Radców ziemskich przynaglić do należytego wykonywania urzędu upomnieniem i grzywnami w ustawowym wymiarze, względnie przedłożyć sprawę Ministrowi spraw wewnętrznych, który po przeprowadzonem dochodzeniu może w razie grubego lub powtarzającego się zaniedbywania zawiesić Radcę ziemskiego w urzędowaniu i zawiadomić o tem Marszałka ziemi za pośrednictwem Prezydenta ziemi. Zawieszenie może być czasowe lub trwałe; w pierwszym wypadku powołuje się zastępcę na czas zawieszenia, w drugim zaś na czas aż do objęcia urzędowania przez nowego członka Rady ziemskiej, którego wybór ma się odbyć na najbliższem posiedzeniu Sejmiku ziemskiego. Trwale zawieszony w urzędowaniu członek Rady ziemskiej nie może być ponownie wybrany Radcą ziemskim ani w ciągu bieżącego, ani bezpośrednio następującego sześciolecia.

Urzędnicy urzędu ziemskiego nie mogą być członkami ani Rad gminnych względnie miejskich, ani Wydziałów i Sejmików powiatowych, ani też Sejmiku ziemskiego w Ziemi swego urzędowania. (Dok. nast.)

Prof. Dr. Kaz. Kumaniecki.

Trzechsetny jubileusz zorganizowanego miłosierdzia.

W tej wojnie wszystko łamie się, i kultura i cywilizacya, i traktaty międzynarodowe i przyjaźni cesarskie, i postęp — ten postęp i te wynalazki, służące na to głównie, by wojnę tem straszniejszą i tem krwawszą uczynić. — I zdaje się, jakoby nas odbiegł wszelki duch miłości, który w czasach ostatnich przelewał się pracą społeczną i socyalną na wszystkie warstwy ludzkości... Lecz ufajmy! Ponad grozą wojny, ponad jękiem konającego żołnierza i głodnego dziecięcia, ten sam Anioł od wieków roztacza płaszcz opiekuńczy, koi wszystkie bóle, — zwiemy go miłosierdziem.

Szedł on przez wszystkie wieki, od początku Chrześcijaństwa; wcielał się w pierwszych chrześcijan miłosiernych dla prześladowców i nieprzyjaciół; wcielał się w serca takich Franciszków z Assyżu, do dziś dnia opiewanych dla swej cnoty miłości bliźnich i ubóstwa; rozgrzewał uczuciem dla nieszczęśliwych takie serca kobiece, jak Jadwigi, król. Polskiej, i Elżbiety węgierskiej. I tak szedł ten duch miłosierdzia przez wieki, wojny i zarazy, wzniesiony ponad namiętnościami ludzkiemi, aż trafił na człowieka, który stał się niejako jego wcieleniem i zamienił litość ludzką w dzieła konkretne, w zakłady, szpitale i przytuliska dla biednych.

Tym człowiekiem czynu był św. Wincenty a Paulo. I wśród pożogi wojennej, dzisiaj — czcimy go tem goręcej, że każdy z nas,

ucierpiawszy wiele, w nim poznaje ten szlachetny, boski pierwiastek — jedynie zdolny podnieść dziś nasz poziom. Czynem miłosiernym dostrójmy się do chwili, i dajmy czas, pieniądze, serce... cierpiącej ludzkości.

Św. Wincenty urodził się w południowej Francyi, we wiosce Poye 1576 r. u stóp gór Pirenejskich, z ubogich rodziców. Jako dziecko nieraz pasał trzodę, i w życiu późniejszem przypomniał to ludziom, w chwilach takich właśnie, gdy go powołano na wysokie stanowisko, jako kapelana królowej francuskiej. Serce od dzieciństwa miał dziwnie litościwe; gdy ojciec posyłał go do młyna, całemi garściami rozdawał mąkę ubogim, gdy już w torbeczce chleba mu zabrakło. — Poświęciwszy się stanowi duchownemu, doktoryzował się na fakultecie teologicznym w Tuluzie. Życie jego całe, tak niesłychanie bogate w czyny, jest żywem zaprzeczeniem dla tych osób, które w zakonnem życiu chciałyby znaleźć zupełne wycofanie się ze świata. Św. Wincenty, choć duszę miał głęboką i skupioną jak pustelnik, serce miał wielkie — ogarniające nędzę wszelkiego rodzaju i tak niezmiernie ludzkie, bo tak kochające.... Był on niejako h e t m a n e m w wielkiem wojsku Bożem na świecie, gdyż niepodobno wyliczyć zwycięstw jego moralnych nad ludzką nędzą. Pomijając więc rozliczne inne jego zasługi, dowodzące nietylko świętości, lecz zarazem niepospolitej bystrości umysłu i daru organizacyi, jakiej niejeden minister byłby mógł mu pozazdrościć, przejdziemy tylko te dzieła, które się odnoszą do naszego przedmiotu.

Pierwszych jego usiłowań założenia Bractwa Miłosierdzia, 300 l e t n i ą r o c z n i c ę dzisiaj obchodzimy. Razu pewnego polecił z ambony wiernym pewną nieszczęśliwą rodzinę, mieszkającą za miastem. Po nabożeństwie zastał tam tłumy ludzi, przynoszących zapasy. Widząc to, postanowił dobrą wolę ludzką złączyć w Towarzystwo dla wspierania ubogich. Z pomocą gorliwych pań obmyślił różne sposoby zaprowadzenia porządku w zaopatrywaniu ubogich chorych, przepisał pewne reguły, i w ten sposób powstało pierwsze Bractwo Miłosierdzia 1617 r. Raz na miesiąc panie te gromadziły się i składały mu sprawozdanie ze swej działalności... Do

Bractwa tego zapisywały się panie z pierwszych rodzin. Po 17-tu latach jednakże minęła gorliwość i zaczęły się sługami zastępować — okazała się więc potrzeba utworzenia prawdziwego zgromadzenia, którego celem byłaby stała i rozumna opieka fizyczna i moralna nad chorymi i ubogimi.

Panna Lę Cyras, gorąca czcicielka i współpracowniczka Św. Wincentego, zebrała 4 panienki, a potem więcej, które z miłości Boga podjęły się opieki i usługi dla chorych, i tak powstał pierwszy dom Sióstr Miłosierdzia, który dziś na kuli ziemskiej liczy 35.000 klasztorów. Któż z nas nie czci Sióstr Miłosierdzia? Z pod białego kornetu, jak z kielicha lilii, unosi się duch tak gorącej miłości ubogich chorych, i tych wszystkich, których życie upośledziło, a los pokrzywdził, że w tych krajach nawet, gdzie ludzka nienawiść wypędziła wszystkie inne klasztory, pozostawiono Siostry Miłosierdzia. Wśród baraków chorób zaraźliwych, pośród gruźliczych wyziewów, pod gradem kul na polu bitwy, wszędzie przysyła Bóg swego Anioła Pocieszyciela, w cichej postaci Siostry Miłosierdzia. Pewna chora i nieszczęśliwa kobieta wołała w rozpaczy: „Niema Boga, bo gdyby był, nie cierpiałabym tak wiele". Pielęgnująca ją Siostra nic na to nie odrzekła, lecz tem troskliwszą otoczyła ją opieką. W kilka tygodni potem, ta sama kobieta zażądała księdza, mówiąc: „Jest Bóg, bo gdyby Boga nie było, nie byłoby tyle litości i dobroci, ile jej doznałam od Siostry Miłosierdzia". —

Bóg błogosławił św. Wincentemu. Choć był biednym, rozdawał miliony. Będąc z natury szorstkim i zgryźliwym, tak się później zmienił i przeistoczył, dzięki promieniejącej na zewnątrz miłości bliźnich — że stał się wzorem łagodności i pokory. Pocieszanie innych daje w nagrodę szczęście wewnętrzne. Niezgłębione jego miłosierdzie objęło także dzieci opuszczone. Idąc kiedyś przedmieściem Paryża, spotkał żebraka, który łamał kości małemu dziecięciu, aby wzbudzić litość przechodniów. To okrucieństwo skłoniło go do przygarnięcia i tych niewinnych ofiar, i sprawiło, że stworzył z wielkim wysiłkiem schronisko dla dzieci opuszczonych, których rok rocznie sam Paryż 400 dostarczał. Jak dla dzieci tak i dla starców i dla nieuleczalnych założył przytułek pod nazwą Imienia Jezus. — Nawiasem dodajmy, że Siostry Miłosierdzia

i ks. Misyonarze, to wielki łącznik Polski ze św. Wincentym a Paulo. Siostry wydostały się z Francyi za życia Świętego jedynie do Polski. Tak one jak i Misyonarze, sprowadzeni przez żonę Jana Kazimierza, w czasie wojen szwedzkich i wynikłej stąd dżumy, odznaczyli się od początku niezwykłem męstwem wśród tak wyjątkowych warunków. — Strach przed zarazą w Warszawie był tak wielki, że mieszkańcy, wynosząc chorych na ulicę, zostawiali ich na łaskę losu. — Misyonarze i Siostry od razu zorganizowali 4 domy zdrowia, usuwając jak najdalej chorych. Pomimo, że kilku z nich życie poniosło w ofierze, św. Wincenty nie przestał wspierać Polski, przesyłając jej nowe siły, łącząc się z jej cierpieniami i pobudzając całą Francyę do czynnej dla nas pomocy przez modlitwę i jałmużnę.

Istniała jeszcze we Francyi i w całym świecie średniowiecznym jedna nędza ponad wszelką inną: nędza galerników. Sam widok tych galer, czyli więzień płynących po morzu Śródziemnem i napełnionych nieszczęśliwymi zbrodniarzami, był straszny. Bluźniąc tylko i złorzecząc, wymawiali imię Boga — prawdziwie przedstawiali obraz ziemskiego piekła. Za życia już potępieni przez ludzi, zostawieni byli swemu losowi. Św. Wincenty i tę nędzę poznał. Gdy razu pewnego spotkał nad brzegiem morza zalewającą się łzami kobietę i pytał ją o przyczynę płaczu, odrzekła: „Syna mego więcej nieszczęśliwego, niż złego, wzięto na galery i okuto w kajdany". Dla serca matki niema zbrodniarza, tylko jest i pozostaje syn, którego pragnie ratować. Święty kapłan słysząc to, dobrowolnie nakłada jego kajdany na nogi, a młodzieńcowi zwraca wolność.

Przykuty do ławy galernika, pociesza współtowarzyszy, poznaje srogość ich losu, i całe życie, jak stygmaty miłości bliźniego, nosi ślady na stopach swego bohaterskiego poświęcenia. W kilka miesięcy potem uwolniony, nieustannie troszczył się ich losem. Jak prawdziwy lekarz, doświadczywszy na sobie strasznych skutków zbyt gwałtownego bólu i cierpienia, ten lekarz duszy dnie całe pocieszał ich, z niemi w lochach więziennych przebywając; założył dla nich szpital w Paryżu i w Marsylii, gdzie ich pielęgnował w chorobach. Król Ludwik XIII. mianował go jałmużnikiem

wszystkich galer. I tak powoli, dzięki staraniom jego, nastąpiły z jednej strony ulgi — a z drugiej większe poddanie się woli Bożej. Odtąd wolno było księżom mówić im o Bogu. Św. Wincenty z 20-tu księżmi zorganizował dla nich missyę, właśnie na samych galerach, i nauczył świat, że te nieszczęsne istoty zdolne do uczuć szlachetnych i że o nikim zwątpić nie wolno.

Kiedy mowa o miłosierdziu w Polsce, czyż dziwne, że myśl łączy z postacią św. Wincentego postać niedawno zmarłego brata Alberta. I my mamy piękną na wskróś polską postać miłosierdzia. W Krakowie i Galicyi nieomal każdy znał brata Alberta, źle mówię — nie każdy, ale ten, co biedny, nędzny, pijak, złodziej i zbrodniarz. —

Brat Albert, w świecie Adam Chmielowski z zamożnej i szlacheckiej rodziny, współczesnik i przyjaciel Chełmońskiego, Witkiewicza, braci Gierymskich, Brandta i Heleny Modrzejewskiej. Malarz i na równi z niemi rozumiejący piękno i artyzm, ponad tem jednak przełożył piękno duchowe, szukał i odszukiwał je tam, gdzie najpewniej istnieje a najtrudniej znaleźć, na dnie zbrukanej duszy ludzkiej. I dlatego raz opuścił towarzyszy, artystów i malarzy i przepadł bez wieści, zniszczywszy wszystkie swe obrazy, szkice i rysunki. Po kilku latach dopiero ukazał się na ulicach Krakowa, ubrany na wzór św. Franciszka z Assyżu w szarą ubogą siermięgę, przepasaną zwyczajnym sznurem. Wysoki był, barczysty o wspaniałej postaci, ciężko stąpający, bo o jednej nodze drewnianej w miejsce tej, którą stracił w obronie ojczyzny w r. 1863. — Odtąd wyszukiwał nędzarzy po wszystkich zaułkach, karczmach i lochach Krakowa i na Kazimierzu gromadził ich naokoło siebie, z początku tylko na nocleg i ciepłą strawę. Nigdy nie pytał o przestępstwa, o ich przeszłość, lecz dawał pracę do ręki, przez pracę zbliżał znowu do ludzi, a przedewszystkiem do Boga — mówił im często te znane jego słowa: „Większe jest miłosierdzie Boga, niźli złość ludzka". Był prostym „Bratem starszym", jak go nazywali nędzarze i bracia zakonni. Uczył koszykarstwa i stolarstwa, chcąc nałogowym zbrodniarzom dać chleb w rękę, a tem samem zachęcić do poprawy życia. Policya krakowska zapisywała o 1000 mniej zbrodni rocznie od czasów nocnych przytułków i warsztatów pracy

brata Alberta. Pracę tę rozpoczął, jak sam mówił „kątem u Ojców Paulinów na Skałce". Dziś założeni przez niego bracia Alberci i Siostry Albertanki liczą przeszło 150 osób, mają swe domy zakonne w Krakowie, Tarnowie, Przemyślu, Lwowie, Sokalu, Stanisławowie, Tarnopolu i w Zakopanem. Klasztorki te uderzają pierwotną iście prostotą i wdziękiem ubóstwa, gdyż reguła Brata Alberta, niezmiernie prosta i surowa, czyni jego zakład prawdziwą ostoją i przystanią dla najbiedniejszych z ludzi. Ci wszyscy, których prawo potępiło, więzienie ukarało, a którzy często tylko przez nieznajomość Boga grzeszyli, te wyrzutki i szumowiny społeczeństwa, znalazły odrodzenie przez pracę i serdeczne słowo Brata Alberta. Ogniste jego oczy zdawały się tak stanowczo zło potępiać, a tak kochać dobro, że musiał czynić wrażenie na swych protegowanych. Zbyt był silnym i wybitnym charakterem, aby nie pociągać za sobą. Jego miłosierdzie praktycznie obmyślone i zastosowane do celu, obfite było w owoce. I ten miłośnik nędzarzy, którego rozkoszą było przebywać z najwięcej opuszczonemi dziećmi ludzkiemi, zakończył życie dopiero w roku zeszłym, mając lat 70. Zrodzon z krwi polskiej, w polskiej więc uroczystości o miłosierdziu jakże nie łączyć jego imienia z imieniem św. Wincentego a Paulo, jakże się nim nie szczycić!

Ludwika Chłapowska.

Twórczość teatralna Wyspiańskiego[1].

Ze zjawiskami literackiemi ma się rzecz podobnie, jak ze zdarzeniami historycznemi: Znaczenie ich i doniosłość, prawdziwe przyczyny i skutki rozumieją dopiero potomni, uzbrojeni w tak zwaną perspektywę historyczną; współcześni stoją niby w ogromnym chórze, w którym przypadkowe głosy najbliżej stojących zagłuszają głosy dalsze i nie pozwalają objąć uchem całej melodyi. Jak istotne przyczyny i logiczny związek zdarzeń obecnej wojny światowej za ćwierć wieku będą lepiej znane każdemu uczniowi szkoły średniej, niż dziś, nie mówię już nam, czytelnikom oficyalnych sprawozdań sztabów i posiadaczom prywatnych informacyi, jak to tam właściwie było czy jest na tych frontach, ale samym kierownikom, wodzom i dyplomatom; tak dzisiejsze dzieci wojenne, kiedy za piętnaście lat będą się przygotowywać do jakiejś matury, lepiej będą wiedzieć, jakie były główne prądy czy kierunki w polskiej literaturze n. p. w r. 1915, niż my, pierwsi konsumenci tej literatury. Paradoksalne to na pozór zjawisko tem się tłumaczy, że artyści, jakkolwiek są dziećmi swego czasu, przejmują się przedewszystkiem tymi jego prądami, które na razie gdzieś drobnym dopiero sączą się ponikiem, a w bystre wyrosną rzeki dopiero po upływie szeregu lat; że rzucają posiew, z którego

[1]) Odczyt publiczny, wygłoszony 3. marca 1918.

współcześni widzą co najwyżej zielony kiełek i liście, a potomni dopiero zobaczą kwiat i poczują jego woń. Tak było zawsze. Wystarczy przypomnieć, co warszawscy klasycyści mówili o początkowych dziełach Mickiewicza, zwłaszcza o jego sonetach; jak lekceważąco przyjmował utwory Słowackiego — nawet Mickiewicz; w jaką głuszę padały prozaiczne czy wierszowane poematy Krasińskiego, a z drugiej strony jak oni sami cenili czy Chodźkę, czy Garczyńskiego, lub jacy poeci byli za ich czasów znacznie popularniejsi od nich; wystarczy to przypomnieć, by zrozumieć, że poniekąd objektywna ocena artystów, ich kanonizacya bywa dopiero dziełem lat dziesiątek, dziełem nie samego czasu, ale pracy krytycznej i historyczno-literackiej, która rzuca na nich należyte światło, ustawia oko widza pod odpowiednim kątem i pomaga mu widzieć to, co uważa za istotne.

Tych kilka uwag ogólnych uważałem za potrzebne, by wytłumaczyć, dlaczego dziś, przeszło w dziesięć lat po śmierci Wyspiańskiego, możemy mu wyznaczyć odpowiedniejsze miejsce i stanowisko w naszej literaturze, niż n. p. w dwa lata po śmierci poety mógł to uczynić najlepszy ówczesny znawca jego utworów i psychiki: Adam Siedlecki. Ten osądził, że ze stanowiska logiki rozwojowej Wyspiański należy do wieku — XVII i jest ogniwem, łączącem nasz Renesans Kochanowskich i Szymonowiczów z romantyzmem Mickiewicza i Słowackiego. Uwagi te pomogą nam też pojąć, dlaczego pierwsi widzowie „Wesela“ (16. marca 1901), „Wyzwolenia“ (1903), „Nocy listopadowej“ (1908) płakali nad tem, z czego poeta się śmiał, mieli ochotę śmiać się z tego, co jemu łzy wyciskało; dlaczego zamykali uszy na to, za co ich gromił, a wytężali wzrok ku temu, co było przypadkową dekoracyą.

Ogromna popularność Wyspiańskiego datowała się od „Wesela“; przy „Nocy listopadowej“ zaczęto ubolewać, że choroba odbiła się nieszczęśliwie na twórczości poety a za majaki chorego mózgu uważano i „Achilleis“ i „Skałkę“ i „Powrót Odysa“. Dziś w całem dziele Wyspiańskiego widzimy zasadniczą cechę czy tendencyę, przez współczesnych nie dojrzaną, a jest nią uwolnienie siebie i narodu od wpływu idei politycznych, głoszonych przez romantyzm, specyalnie przez Mickiewicza, Słowackiego i Krasiń-

skiego i zastąpienie ich ideą żywotności narodu, jako istoty biologicznej. Wykazaniu owej zasadniczej tendencyi teatralnej twórczości Wyspiańskiego poświęcimy niniejsze uwagi.

Wyspiański zaczął pisać z myślą o teatrze, na razie o operze, jako dwudziestodwuletni młodzieniec, bawiący na studyach malarskich w Paryżu. Zainteresowało go tam libretto do opery Berlioza „Trojanie“ i napisał dla przyjaciela, muzyka Opieńskiego, równie antyczny tekst, oparty na znanym z Ajschylosa micie o Danaidach. Libretto to jednak zaginęło. Zachowało się drugie na temat biblijny, napisane w tym samym czasie. To „D a n i e l“, ów biblijny prorok, który odczytał i wytłumaczył Baltazarowi wyrazy, pisane podczas bluźnierczej uczty na ścianie przez tajemniczą rękę, wyrazy: Mane, Tekel, Fares. Przeprowadzenie tego tematu nie pozostawia żadnej wątpliwości co do intencyi poety. Występuje on jako chorąży sztandaru romantyków, którzy sądzili, że mają rząd dusz narodu. Messyanistyczna parallela wybranego narodu żydowskiego w niewoli babilońskiej i wybranego narodu polskiego w trzech niewolach aż nadto jest widoczna. Baltazar i dwaj sąsiedni mocarze zapowiadają państwo, które będzie żyć tylko rozumem: „Ludu krocie... zapomną marzyć, zapomną śnić — fantazyi złudne obrazy“; będą pracować, „a nie ze łzami w oczach patrzeć na ojców grób“. Jednak rozkaz mocarzy: „Poczyo precz! — Wypędźcie poetów“ nie znajduje posłuchu u „synów podbitego kraju“, którzy w Danielu uznali swego proroka, swego króla Ducha i chcą czekać na zapowiedziane przez niego pokruszenie pęt. Daniela nie może dosięgnąć ręka tyranów, bo mówi o sobie: „Ja nie jestem, jak tylko fantazyą, — ja nie jestem, jak tylko poezyą... ale za mną przyjdzie moc — poczęta z moich słów, — moc, co pokruszy pęta, — co państwo wskrzesi znów“.

Jeśli do stonowania „Daniela“ wystarczyłaby muzyka starej szkoły, muzyka romantyczna, to paryskie libretto o „Wandzie“ pisane już było pod muzykę Wagnerowską, jak wynika z przeróbki tego libretta, wydanej w r. 1897, jako „L e g e n d a“, mianowicie krakowska czy wawelska legenda o Krakusie i Wandzie. Trzeba ją nazywać „Legendą I.“ w przeciwstawieniu do redakcyi, wydanej w r. 1904: ta jest „Legendą II.“. Wystarczy znać Wagnerów

„Pierścień Nibelunga", by zauważyć, że drugi akt „Legendy", obraz sceniczny dna Wiślanego i fantastyczne postacie nurtów rzeki polskiej przypominają motywy „Złota Renu". Wyspiański dostrzegł pewnego podobieństwa między całem podaniem wawelskiem o Kraku, smoku i Wandzie, a germańską sagą o Wotanie i jego Walhalli, o Brunnhildzie i smoku, stróżu skarbów i dał Krakusowi pewne rysy Wotana, Wandzie pewne cechy Brunnhildzkie. Ale te i inne motywy literackie dostarczyły mu tylko materyału do zdobniejszego ubrania legendy wawelskiej; źródłem poezyi w „Legendzie" jest podwawelska Wisła, szepcąca przedziwnie o dalekich wiekach i głębokich tajemnicach; jest wiara w tajemniczą moc tradycyi narodowych. Krak, spoczywający na dnie Wisły, jest stróżem zamku i grodu, opiekuńczym geniuszem miejsca (genius loci). Moc jego na razie niewidzialna. Ale gdy serce potomnych skarb pod tonią najdzie, gdy miłośnie pocznie pukać w piersi, gdy obejmie miłością kwiaty chwastów wawelskich i skały, gdy śpiewając zapłacze, to i łzy się wypłaczą, a czar zawładnie górą i ponad skałą zanuci pieśń żywą, pieśń zmartwychwstania króla zamku. Fale Wisły szepcą nie tylko o sławie założyciela zamku i jego córki, która poświęciła się dla jego ocalenia, ale i o mocy czaru, który może przeszłość znów powołać do życia.

Charakterystyczne to dla młodego Wyspiańskiego, że tradycyę historyczną łączy nie — z grobami zmarłych bohaterów, choć ich kopce tak się do tego nadawały, lecz z żywą przyrodą i w miłości do tej ojczystej przyrody, ojczystej ziemi widzi źródło zmartwychwstania „króla zamku", polskiej państwowości.

W „Legendzie II." (z r. 1904) właściwa akcya koncentruje się na Wandzie, która jest bohaterką zwykłej tragedyi fatalistycznej. Krak wziął ją był niegdyś wodnej sile, ją „wodnej dziewki dziecko" i przez to ściągnął klątwę i na nią tak, że musi zabić brata, zabójcę drugiego jej brata, w niej zakochanego, i na cały lud, dręczony gniewem wrogiej bogini. Aby tę klątwę zdjąć ciążącą, poświęca się Wanda bogini Żywi, dostaje od niej czarodziejski wianek mocy i śmierci, zwycięża najeźdźców, a potem spełnia ofiarę. W lirycznym epilogu opowiada poeta, że woda wyrzuciła jej ciało, a lud uczcił je pogrzebem i mogiłą: „żeś z hańby była

ocalona — i żeś zwycięska nad nim stała — wieczystą pamięć będziesz miała". Wisła „śpiewną śpiewkę śpiewa" dla niej, ale nie o niej. O Kraku milczy. Dlaczego? Bo Kraka zdegradował poeta ze stanowiska strażnika tradycyi, a uczynił go zwykłym słomianym chochołem, który lud corocznie wywozi na „lajkoniku" do wody, jako symbol zmarłej Zimy. To pozbawienie Kraka roli geniusza miejsca, to zamilczenie nadziei, związanych z czarem Wisły, to usunięcie poezyi Wisły, tak ważnej dla pierwszej Legendy, jest wyrazem przemiany, która się dokonała w Wyspiańskim po roku 1897, roku wydania pierwszej Legendy.

Przypadkowe zajęcie się w połowie r. 1896 illustrowaniem „Iliady", tłumaczonej właśnie przez L. Rydla, zwróciło Wyspiańskiego do świata Homerowego. Przez cały rok karmił swą wyobraźnię „Iliadą" (choć tylko w francuskiej parafrazie prozą), przez parę miesięcy żył poprostu Homerem. Homer zaprowadził go także ponownie między tragików greckich, których w przekładach czytywał już dawniej, jak wynika z listu z połowy r. 1895 o postaci Tragedyi na kurtynie Siemiradzkiego: „Gdyby ten człowiek rozumiał Ajschylosa i miał na pamięci te sceny, gdzie Daryusza duch występuje, gdzie Xerxes rozpacza; czy też, gdyby widział początkową scenę Prometeusza, gdy Geniusz śmierci i Przemoc przykuwają go do skały; gdyby on u Eurypidesa poznał serdeczną żałość Hekaby i Trojanek, na gruzach Troi leżących w prochu i rozpaczających, Alcestę, Fedrę, Iona... Boże mój, cóż mówię, żem jeszcze nie wskazał Antygony, Tejresiasa, Edypa króla... Tego wszystkiego ta kurtyna, z Włoch pochodząca, nie zapowiada". Tego wszystkiego nie pokazała też pierwsza antyczna tragedya Wyspiańskiego, „M e l e a g e r" z r. 1897.

Przejście ze sfery wpływów Wagnera do sfery tragików starożytnych było dla Wyspiańskiego tem łatwiejsze, że przecież przyjaciel Wagnera, Fryderyk Nietzsche, napisał swą książkę „O narodzinach tragedyi (greckiej) z ducha muzyki", jako apologię „dramatu przyszłości" Wagnerowego. Jedna była dotąd prawdziwa tragedya, tragedya Ajschylosa i Sofoklesa; drugą jest muzyczny dramat Wagnera. Ponieważ Wyspiański nie chciał dalej pisać tekstów operowych, do których nie mógł się doczekać kon-

genialnej muzyki, postanowił pisać tragedye na wzór jedynych prawdziwych — greckich. Oczywiście i przykład paryskich Parnassistów, opracowujących tematy starożytne, dlatego, że nie były aktualne i pozwalały na akcentowanie w nich jedynie momentów estetycznych, nie był bez wpływu na Wyspiańskiego. O napisaniu „Meleagra" myślał już w Paryżu w r. 1894. Na wykonaniu tego programu zaważył także autor, który na pozór wydaje się antytezą starożytności, — Maeterlink. Powtarzamy: na pozór. Bo w rzeczywistości Maeterlink (Préface du Théatre I. 1903) zwraca uwagę na to, że wszystkie jego osoby wierzą „w ogromne potęgi niewidzialne i fatalne, których intencyi nikt nie zna, lecz które duch dramatu uważa za nieprzychylne, uważne na wszystkie nasze czynności, wrogie uśmiechom, życiu, pokojowi, szczęściu". O tych potęgach mówią wszystkie osoby Maeterlinka aż za dużo, a ta ich gadatliwość o fatalności, tak nieklasyczna, odbiła się silnem echem na antycznej scenie Wyspiańskiego. Maeterlink (j. w.) podkreśla też zdumiewające powtarzania wyrazów i zdań, które osobom dają wygląd somnambulów nieco głuchych, ciągle wydzieranych z jakiegoś przykrego snu. Tu leży źródło specyalnego stylu Wyspiańskiego, w rytmie i rymach muzycznego, w powtarzaniu wyrazów, frazesów, zdań — Maeterlinkowskiego.

Pierwszy rzut na arenę antyczno-maeterlinkowską nie mógł się udać nie tylko z powodu niesharmonizowania elementów stylowych, ale też niezdecydowania co do pojmowania *Fatum*. Starożytne podanie, znane Wyspiańskiemu z Owidyusza i opracowań Swinburne'a (Atalanta w Kalydonie) i Faleńskiego (Althea), mówiło o fatalnym związku między jakiemś polanem a życiem Meleagra. Jeśli polano spłonie, Meleager umrze. Więc matka Altea chowa je starannie w skrzyni, a wydobywa dopiero i rzuca w ogień, gdy syn, ujęty miłością do Atalanty, zabił jej dwóch braci. Dla mitycznej Greczynki bracia są ważniejsi, niż syn, mający przecież w sobie krew obcego człowieka; pomszczenie braci jest obowiązkiem siostry, choćby miało dotknąć własnych jej dzieci. Tego rodzaju konflikt jest dla dzisiejszego człowieka zupełnie obcy. Więc Wyspiański motywuje nienawiść matki zazdrością o wpływ narzeczonej, a wrzucenie polana do ognia uważa za chęć pozbycia

się — przesądu. A i sam Meleager przypisuje gaśnięcie swego życia nie spaleniu się polana, lecz temu, że go śmierci przeznaczyła własna — matka. Z tym racyonalizmem osób dziwnie nie zgadzają się ostateczne słowa Altei: „zwidzenia prawdą są, przesądy prawdą"; i słowa Ojneusa: „przesądom, czarom nie dawałem wiary... dziś próżno, choćbym wierzył; za dawne winy dziś spadają kary".

Takiej nauki nie może sobie dzisiejszy widz przyswoić z tragedyi, która też całym sposobem czucia i myślenia działających osób jest nam obca. Dyssonansom w treści odpowiada nieharmonijna forma. Chór przemawia prozą, pełną epickich epitetów i ozdób; osoby mówią czasem prozą, niby rytmiczną, często przechodzącą w wyraźne wiersze, czasem wierszami rymowanymi. Ta mieszanina stylów nie jest ani antyczna ani klasyczna.

Bardziej harmonijnie wypadł drugi dramat antyczny „Protesilas i Laodamia" (1899) dzięki temu, że akcya jego jest bardzo nikła: opuszczona żona przyzywa zapomocą czarów zmarłego męża. Mimo ścisłego wykonania rad guślarza, duch męża się nie zjawia. Wstrzymują go ustawiczne płacze i jęki żony. Więc Laodamia wzywa potępienia na siebie, niejako ofiarowuje własne życie, byleby mąż jej się ukazał. Mara się zjawia, ale gdy ją żona chce objąć, — znika. Laodamia poznaje, że w błędne wstąpiła złudzeń koło i przebija się nożem. Antyku tu dużo w słowach chóru, w opisach czarów, w pobocznych postaciach; niema go tylko w samej bohaterce, którą starożytni nazwaliby „bezwstydną". Tak jak Laodamia, mówią romantyczne Heroiny Owidyusza, które przeszły przez miłosną szkołę aleksandryjską, mówią „passyonowane" bohaterki Pierre'a Louys'a i innych aleksandrynistów paryskich. Może zresztą i przykład „Isoldy" Wagnera rozwiązał język jej tęsknotom miłosnym, a potem żądzy śmierci. — Obcość problemów życia i motywów działania u osób obu tragedyi antycznych kazała Wyspiańskiemu spróbować, czyby z materyału dzisiejszego nie można było zbudować tragedyi fatalistycznej, opartej na zasadniczych pojęciach wszelkiej tragiczności, pojęciach winy i kary. Próba się udała. „Klątwa" z r. 1899 jest najbardziej harmonijnem i najsilniejszem dziełem Wyspiańskiego. Grać jej nie pozwala

cenzura z powodu księżego kostyumu bohatera. Ten kapłan, nie pomny na swe śluby, żyje z młodą gospodynią i ma z nią dzieci. Winę swą jednak uważa za sprawę czysto wewnętrzną i surowo występuje przeciw męskiej i żeńskiej służbie, postępującej za jego — przykładem. Dopiero gdy wieś nawiedziła straszna posucha, a lud uznał w niej karę Bożą za przewinienia kapłana; dopiero gdy wysłannik tego ludu, jakiś pustelnik, wyznający jeszcze „starą wiarę" i trzymający się „starych praktyk" wskazał mu, że posucha jest karą za jego winy, kapłan szuka ulgi w wyznaniu i odchodzi do kościoła błagać zmiłowania Bożego. Tymczasem lud czyni za radą pustelnika przygotowania do „czaru deszczowego", rozpalenie ogromnego stosu na „polu księdzowem" ma sprowadzić chmury i deszcz. Słyszy o tem Młoda, która dowiedziawszy się od sołtysa, że posucha jest wynikiem klątwy, żądającej ofiary; a od dzwonnika, że klątwę sprowadził grzech księdza i jej, przypuszcza, że to może nie o spalenie samego drzewa idzie, ale że — z niej trzeba ofiary.

Odtąd akcya mogłaby się już staczać ku katastrofie. Ale poeta opóźnia ją, by i na Młodą i na kapłana ściągnąć nowe winy. Dopiero wskutek nowych nieporozumień, Młoda, wypędzona przez kapłana, decyduje się na ofiarę z siebie i dzieci i pożegnawszy się z domostwem i życiem idzie na stos.

Próżno kapłan próbuje ją ocalić. I znów w tej chwili mogłaby przyjść wiadomość o spełnieniu ofiary i pogrążyć go w rozpaczy. Tymczasem poeta każe jeszcze Młodej, po wrzuceniu dzieci na stos, przybiedz z żagwią na plebanię; każe zrozpaczonemu kapłanowi pędzić gdzieś na stos czy do wody, a Młodej ginąć u wrót plebanii pod kamieniami gromady. We wzmagającej się burzy i piorunach widzi lud groźbę nowej kary.

Gdyby nie przeładowanie akcyi w miejscach wskazanych, „Klątwa" byłaby pod względem kompozycyi i tragiczności najdoskonalszym utworem Wyspiańskiego; ale i tak, jak jest, jest najudatniejszą próbą skonstruowania z dawnych wierzeń i praktyk ludu sieci przeznaczenia, gubiącego winnych, przeklętych, tak, jak w tragedyi greckiej. Nie poszczególne reminiscencye z Edypa króla i Antygony, ale całość poglądu na świat stanowią o jej greckości.

— W tym rodzaju realistyczno-antycznym zaczął Wyspiański pisać w r. 1899 także tragedyę karczemną p. t. „Sędziowie“. Skończył ją i wydał dopiero w r. 1907. Ale ideowo i technicznie należy ona do epoki „Klątwy“. Jewdocha, zakochana zawsze w synu karczmarza, Natanie, z którego poduszczenia zabiła kiedyś wspólne ich dziecię, tem się różni od Młodej, że nie poczuwa się do żadnej winy i grzechu; czuje tylko, że jej źle na świecie, że pali ją wstyd, że jej nawet „ulga z kościoła“ nie pomoże i dlatego pragnie śmierci i to z rąk kochanka, który i tak sam już planował uprzątnięcie niewygodnej wspólniczki zbrodni. Nową tę zbrodnię zamierzał zwalić na dziada, który właśnie wrócił z więzienia i przyszedł do karczmy mścić się dawnych krzywd na karczmarzu Samuelu. Ale chytry plan Natana rozbija się o przypadkową interwencyę brata Jewdochy, Urlopnika. W bójce z nim Natan niby przez nieuwagę kieruje rewolwer napastnika ku Jewdosze i zabija ją. Krótkowidzący sędziowie gminni po formalistycznem przesłuchaniu oddają urlopnika żandarmom. Dalej widzi ukochany wnuk Samuela, mały Joas, cudowny skrzypek. On wskazuje na swego ojca, Natana, jako na zbrodniarza i ze wzruszenia umiera. To jest najsroższą karą dla Samuela. Dziad, ojciec Jewdochy, jest pomszczony.

Mimo wielu słów o winie i karze, tragiczność „Sędziów“ niema nic wspólnego z tragedyą grecką. Przypomina ona raczej „Potęgę ciemnoty“ Tołstego. Kształtowanie tematów współczesnych na modłę grecką, które święciło taki tryumf w „Klątwie“ widocznie się poecie sprzykszyło. Nic dziwnego. Wszak od r. 1897 przebywał jako kierownik artystyczny w redakcyi krakowskiego „Życia“, które szukało nowych dróg, nowych form, nowych wartości estetycznych. W redakcyi rozbrzmiewały Nietscheańskie hasła o nadczłowieku, o woli do potęgi, o filozofowaniu młotem, o konieczności wyzwolenia się z pętów historyzmu, o odwracaniu dawnych wartości. W „Życiu“ ukazała się w r. 1897 „Warszawianka“, pieśń z r. 1831, zaczęta jeszcze w Paryżu w r. 1893, a więc w epoce librett operowych, jak „Daniel“ i „Wanda“, ale zredagowana ostatecznie w Krakowie w r. 1897. Czy miała ona być romantyczną apoteozą powstańców, idących do boju z pieśnią: „Dziś twój tryumf albo zgon“?, z myślą o sławnym zgonie za oj-

czyznę. Tak ją rozumiała publiczność krakowska na przedstawieniu z 29. listopada 1898, ale inaczej pojmował ją poeta. Organem jego jest Chłopicki, który słuchając podczas bitwy pod Grochowem pieśni, śpiewanej przez panienki, nawiązuje do owego oczekiwania zgonu i sądzi, że w tej malowniczości czy teatralności zgonu jest ukryty miazm rozstroju i rozkładu. Kiedy potrzeba, „żeby Mars w pełnej zbroi gnał przez pola", oficerzy grają rycerzy romansowych, gotowych na śmierć dla zdobycia sławy.

Takim jest Żymirski, dowódca dywizyi, broniącej Olszynki; takim narzeczony Maryi „heros śpiewów Homera", nowy Achilles. Tacy potrafią tylko ginąć, jakby dla usprawiedliwienia złowrogich przeczuć Maryi. Jej kassandryczne wizye wzruszają nawet Chłopickiego. Ta jego niespodziewana wrażliwość jest karą za winę. Ściągnął ją na siebie, poświęcając dywizyę Żymirskiego, a z nią i narzeczonego Maryi, by dogodzić własnej próżności, udowodnić niedołęstwo naczelnej komendy. Wiadomość, że narzeczony Maryi także poległ, wstrząsa sumieniem twardego wojownika. Teraz on już wrażliwy na muzykę Maryi, czuje, że jej „złe, straszne błędy" garną się do niego, czuje, że stracił wiarę w zwycięstwo. To też gdy mu ofiarują naczelne dowództwo, wymawia się przeczuciami, brakiem wiary w powodzenie; a gdy je ostatecznie przyjął, odchodzi ze słowami: „Snać przeznaczeniem dzisiaj u wrót staję, — które są wrota śmierci". Na scenie zostaje romantyczna Kassandra, wołająca orły do służby Sławy — przez śmierć...

Widzowie ulegają czarowi muzyki i pieśni, głoszącej zgon, sławny, bo za ojczyznę. Tylko poeta się nie wzrusza, bo on z Chłopickim smagał to rozczulanie się pięknem zgonu, szukał z nim Napoleońskiej poezyi czynu — póki i Chłopicki nie zromantyczniał, zatruty przeczuciami i wróżbami Kassandry. I on idzie w bój bez wiary, jak Słowackiego Wenedzi, idzie przy dźwiękach harfy, której tamtym brakło. Ale ta harfa romantyczna umie wtórować tylko marszom — pogrzebowym.

Więc ona była winna klęskom z r. 1831? Wyspiański temu pytaniu by nie zaprzeczył. Jak romantyka polityczna szkodziła sprawie powstania listopadowego, pokazał znów w „L e l e w e l u" (1899), dramatyzując spór między politykiem realnym, ks. Czar-

toryskim, a doktrynerem Lelewelem. Program polityczny Lelewela streszcza się w słowach: „Bądź pan, książę, księciem — dusz, rządź się umysłem wieszcza, wniebowzięciem, — a to jest polska myśl, myśl nie zwodnicza, — myśl o królestwie Ducha, boska, tajemnicza — rewolucyjność dążeń...“ Do tej polityki nawraca się już książę, gdy podburzeni dawniej przez Lelewela klubowcy, uniemożliwiają mu współdziałanie. „Przepadło, mój książę, — to moje winy dawne“, żałuje Lelewel, a książę dodaje: „Moje pychy, żądze“. Mimo chwilowego uznania swej winy, Lelewel daje się dalej „ponosić szałowi“, rewolucyonizuje lud i wojsko, spodziewając się, że rozpętane żywioły dadzą się użyć do obrony miasta. Teraz osiągnął w swojem przekonaniu to, o co Konrad prosił w „Improwizacyi“ Stwórcy: „Ja wiem wszystkie tajnie serc — ja wskróś dusze odgaduję, niemi władnę“; wierzy, że jego czyn, „najbardziej zaważy na wydarzeń szali“. Koniec jego przemówienia: „oto słowa...“ zawiera zarazem ironiczną ocenę wartości jego polityki wobec katastroficznych słów przerażonego Dembińskiego: „Armaty moskali“.

Huk tych armat, które wnet miały zdobyć stolicę, nie mógł publiczności nie przekonać, że poeta potępił romantyczną politykę Lelewela. Ale też Lelewela uważano za winowajcę, nie zważając na to, że demagog operuje hasłami Ody do młodości: „Rozumni szałem! Z zamętu wyjdzie świat ducha“; nie pomnąc, że Lelewel zaraz na początku powołuje się wyraźnie na Mickiewicza. Nie jest on więc odtworzeniem historycznego dyktatora, ale wcieleniem „romantycznego szału“ w polityce, przykładem, jak ów szał działał w politykach r. 1831 i jak sprawę zgubił. W ten sposób „Lelewel“ jest dopełnieniem „Warszawianki“, która pokazała działanie szału romantycznego w wojownikach o wolność.

Komentarz do obu tragedyi z r. 1831 dał poeta w „L e g i o n i e“, który możemy nazwać studyum patologii szału romantycznego. Za przedstawiciela tego szału obrał teraz jego rzekomego twórcę, Mickiewicza, w chwili, gdy zabrał się do polityki praktycznej, gdy tworzył we Włoszech sławny Legion, i pokazał, że on potrafił wieść tylko na śmierć, choć tę śmierć pod wpływem mistycznym uważał za jedyny, prawdziwy czyn. Do uzmysłowienia

tej wyprawy po śmierć posłużył się (sc. 12) łodzią Charonową. Płynie ona w noc przez wielkie wody (Acheron), pełne potępieńców, żrejących się nawzajem, szarpiących, mordujących: To ofiary, poniesione przez uczniów Mickiewicza, który zaprzysiągłszy się sławie, stali się jego niewolnikami, przykutymi łańcuchami i kajdanami do wioseł i dylów łodzi. Ta łódź, prowadzona przez Mickiewicza, dzierżącego u steru pochodnię, miała ich zawieść do Raju złotego, do jakiegoś Elysium, tymczasem zawiozła ich między larwy piekielne, na wody, grożące zatopieniem (na emigracyę). Więc wyrzucają przewodnikowi, że ich oszukał, a gdy on przypomina im przysięgę, złożoną na mękę i śmierć, oni odprzysięgają sumienia... Wtedy przewodnik przeklina ich, jako trwożliwe duchy, jako zaprzańce, niegodne życia i odsyła ich w otchłań, w noc zapomnienia. Równocześnie gasnącą pochodnią (swego przewodnictwa i posłannictwa) wznieca w łodzi czyn — ogień. U steru staje Śmierć, Thanatos, a choć Mickiewicz obiecuje im odrodzenie przez śmierć i zmartwychwstanie, to oni nie przyjmują tego nawet do wiadomości, bo czują grozę złamanej przysięgi, noc zapomnienia. Czy na nią zasłużyli? Wszak przewodnikowi zgasła pochodnia na znak, że posłannictwo jego skończone. Resztą jest tylko — Śmierć.

Ale czemże przewodnik zawinił na utratę posłannictwa? Odpowiedź na to daje cały dramat. Oto już w Kolosseum (sc. 3) nie słuchał marzeń Krasińskiego o ofierze duchowej, ale zapragnął legionów bojowników Sławy. I stanęła przed nim ta Sława, jako odźwierna piekieł, żądnych ofiar z ludzi, zabijających się na pobojowiskach. Uciekł Mickiewicz przed jej zjawiskiem, nie uciekł przed wezwaniem. Jako jej chorąży stanął przed papieżem na Kwirynale (sc. 6) i głosił walkę ludów. Gdy błagał Boga o jej przyspieszenie (sc. 7) nad nim, w kopule św. Piotra, zgromadziły się litewskie postacie jego ballad i Dziadów, by go ostrzedz przed niechybną zgubą. Napróżno! Mickiewicz stanął już w koronie tryumfatorów na Kapitolu i głosi wprawdzie, że królestwem jego świat ducha, ale że do tego królestwa powiedzie przez obalone trony. Lud go wzywa, by jako Wallenrod przez krew wiódł rzesze do wolności. Wtedy on mówi znowu niejasno o duchownym pochodzie ku szczytom, za co go lud ogłasza zdrajcą, łamie krzyże,

depce sztandary i zostawia samego. Rozbitka pociesza drugi rozbitek, stary legionista napoleoński, który zawiedziony przez Cezara, dzwoni teraz swe żale i spodziewa się swojem dzwonieniem obudzić kiedyś rzesze...

Zdawałoby się, że katastrofa Mickiewicza już gotowa. Ponieważ nie widząc jasno celów i środków krucyaty, porywał lud dwuznacznemi hasłami i ponieważ porwał ten lud do walki orężnej, choć chciał niby walczyć tylko słowem, upadł. A gdyby był poszedł za wolą ludu? To byłby jego trybunem, byłby nowym Brutusem, zabijającym Cezara — Napoleona. Brutus oswobadza w sc. 10 Wolność, która natychmiast wypiera się łączności ze swym oswobodzicielem i występuje jako rozkiełznana Rewolucya, tratująca tłumy.

Jako ofiarę jej „szalonego wozu" przynoszą młodzieńcy w żałobie kobietę umarłą, w której Krasiński poznaje zwłoki — Polski i głosi jej wniebowstąpienie. Wiara ta udziela się i Mickiewiczowi: widzi on już ową zmarłą wstępującą w niebo. Polska przestała być ojczyzną ziemską, stała się tylko niebieską Jeruzalem. Do niej dążą pod przewodem Mickiewicza legioniści przez Via Appia, do niej płyną ową łodzią, którąśmy widzieli na początku.

Okrzyk ginących: „Przeklęty prorok! przeklęty!" jest wyrokiem nad bohaterem legionu, który z Mickiewiczem ma wprawdzie niejedną wspólność, ale pozatem reprezentuje całą naszą poezyę wieszczą, messyanistyczną. Przez potępienie tej poezyi łączy się „Legion" ideowo z Warszawianką i Lelewelem. Technicznie i artystycznie jest ich przeciwieństwem nietylko przez rozbicie dramatu na luźne sceny, z których każda jest zamkniętą w sobie całością, ale też przez rozpętanie wszelkich węzłów wyobraźni. Postępowanie romantyków opierało się nie na logice i faktach, lecz na urojeniach i przywidzeniach. Więc poeta dramatyzuje te przywidzenia, spełniając swój dawny postulat o dramacie, przedstawiającym „imaginacye" osób działających, postulat, który widział urzeczywistnionym w „Hanneles Himmelfahrt" Hauptmanna.

„Warszawiankę", „Lelewela" i „Legion" możemy uważać za trylogię antyromantyczną i zapytać się, co też u Wyspiańskiego

spowodowało od r. 1897 ten zwrot przeciw romantyzmowi w polityce. Sam wpływ antihistoryzmu Nietschego do jego objaśnienia nie wystarcza. Prof. Smolka poświadcza, że Wyspiański nosił się po powrocie z Paryża z myślą habilitowania się do historyi sztuki, zapisał się w tym celu na uniwersytet i prowadził studya nietylko estetyczne, ale i historyczne. Te studya zapoznały go z pracami historyków tak zwanej szkoły krakowskiej czyli stańczykowskiej. Szkoła ta właśnie wykazywała brak trzeźwej polityki w powstaniu listopadowem, potępiała nierozważność czynu romantycznych Belwederczyków i t. d. Zamiast więc przypuszczać, że Wyspiański niezależnie od Stańczyków doszedł do tego samego poglądu na romantyzm w polityce, lepiej uznać, że koncepcyę swą zawdzięczał — Stańczykom.

Stańczycy zatrzymali z haseł romantycznych jedno, sformułowane przez Krasińskiego: „Z szlachtą polską polski lud". Aby pokazać, jak się zapatruje na to hasło, wprowadzone w czyn przez żenienie się artystów szlacheckiego pochodzenia z chłopkami krakowskiemi, napisał Wyspiański w r. 1900 „W e s e l e", pomyślane w pierwszej redakcyi jako szopkowe czy kabaretowe przedstawienie rzeczywistego wesela w Bronowicach z rzeczywistemi nazwiskami jego uczestników. Opracował on był właśnie „Dziady" Mickiewicza dla sceny krakowskiej i uległ ich wpływowi. Jak Mickiewicz świeże dzieje swej nieszczęśliwej miłości, a potem świeże prześladowanie studentów wileńskich, tak on wprowadził na scenę współczesne sobie zdarzenie rzeczywiste, które miało przygotować „cudów cud". Takiej przynajmniej tendencyi dopatrzył się w ślubach bronowickich, a to mu wystarczyło, by z wesela bronowickiego (odbywającego się intencyonalnie w noc listopadową) zrobić „szopę narodową" w technice szopki krakowskiej. W takiej szopce prócz typów etnograficznych i społecznych (krakowiak i krakowianka, karczmarz) występują także typy historyczne (Pan Twardowski, Ułan i Saper napoleoński). Technikę szopkową połączył poeta z praktyką „Dziadów", praktyką wywoływania duchów przez guślarza. Rolę guślarza, zaklinacza duchów powierzył Chochołowi, który zapowiada „na wesele gości wiele... Co się w duszy komu gra, — co kto w swoich widzi snach... na

wesele przyjdzie w tan". I przychodzą te „dramatis personae", przychodzą jako wyraz czaru, opanowującego zwolna weselników. Charakterystyka tego czaru mieści się w opisie muzyki weselnej. Jest ona „cicha a skoczna, swoja a pociągająca serce i duszę, usypiająca, leniwa, w omdleniu, a jak źródło żywa, taktem w pulsach nierówna, krwawiąca jak rana świeża; melodyjny dźwięk z polskiej gleby, bólem i rozkoszą wykołysany". Gra ją Chochoł. Co on oznacza, wyjaśnił sam poeta, zastępując w drugiej Legendzie Kraka, strażnika historycznej przeszłości i siewcę przyszłości — wiązką słomy, pustej słomy, bo ziarna pogniły. Więc Chochoł, to symbol tradycyi narodowej. Jego muzyka, muzyka przeszłości potrafi tylko zahypnotyzować i ubezwładnić. Pod jej czarem szlachcicowi ś n i s i ę, że posiada złoty róg Wernyhory, misyę historyczną; pod wpływem jej czaru, z d a j e s i ę i chłopu, Jaśkowi, że mu szlachcic wręczył złoty róg. Na jawie, w rzeczywistości parobek myśli o czapce z pawiemi piórkami, jest pod względem narodowym tylko kostyumerem. Rogu nigdy nie miał, więc go i zgubić nie mógł; pozostały sznur (do powieszenia się) jest tylko echem stosunku do urojonej missyi, powierzonej mu przez szlachtę.

Bardziej gryzącej satyry politycznej na pewne współczesne idee polityczne nie widziała scena europejska od „Rycerzy" i „Ptaków" Arystofanesa. Szyderstwo było tem silniejsze, że rzucił je poeta z tej sceny, na której setki razy przedstawiano „Kościuszkę pod Racławicami", jako appel do przyszłości; że rzucił je miastu, które starało się zawsze o to, by na obchodach narodowych obok kontusza szlacheckiego malowała się sukmana chłopska.

(Dok. n.) *Dr. Tad. Sinko.*

Z WOJNY.

Wir śmierci.

Wiew burzy idzie przez dzieje...
Jak te liście zerwane, z leż zerwane ludy,
Jak te liście z rodzinnej poderwane grudy
Gna przed sobą i pędzi i przed siebie niesie —
Wichr zawył po dziejów lesie...
Gna liść ludzki nieszczęsny, gna liści narody
Przez bezsen, bezsiłę i głody,
W jęku i narzekaniu i zgrzycie i szlochu,
W trwogi śmiertelnej popłochu —
I w wir je oszalały, w wir śmierci je splata,
A serce matki-ziemi szaleństwem kołata.

Wiew burzy idzie przez dzieje —
Jękły głuchym porykiem czasów głuche knieje,
Gdy ludzkie liście poderwane z leży
Wskróś ćmy oddaleń, wskróś mrocznych rubieży
Niosą się w wichrze, za władców rozkazem
Sądzić się wzajem ogniem i żelazem.

Sądzą się, charcząc śmiercią, narody człowiecze —
Pole ryczy, drga tłumem i żywą krwią ciecze.
Drga szala zwycięstw — tu się, to tam się przycięża:
Pole ryczy, drga tłumem i żywą krwią ciecze —
Przekleństwa wyrok krwawy rzuca mąż na męża,

Drga szala zwycięstw — tu się, to tam się przycięża:
Nieszczęsny, który zwyciężon, nieszczęsny, który zwycięża!
Pole ryczy, drga tłumem i żywą krwią ciecze —
Sądzą się, charcząc śmiercią, narody człowiecze!

A Ty wśród sądu tego chodzisz w mocy, Panie —
Ty, Sędzia sam!
Sąd Twój nad zgrzyt żelaza i nad armat granie,
A nad śmierci nienawiść, Twoje zlitowanie —
Znający każdy ludzki, burzą niesion listek,
Ty, Sędzia sam!

A Ty w zamęcie onym chodzisz w mocy, Panie —
Ty, Pan tu sam!
Przez mrok, którym zawiera w samotność konanie,
Sięga duszy każdego Twoje rozkazanie.
Twój ci każdy ten człowiek i naród ten wszystek —
Ty, Pan tu sam!

A Ty wśród wiru tego stoisz w mocy, Panie,
Ty, wódz tu sam!
Przez zamęt ten i jazgot i sił rozpętanie
Twój rozkaz milczący się stanie.
Ty wiedziesz te ludzkości, ryczące otchłanie,
W szturm do przyszłości bram —
Ty, wódz tu sam!

Pole ryczy, drga tłumem i krwią żywą ciecze,
Sądzą się, charcząc śmiercią, narody człowiecze!
Nad kłębem, co się tarza krwią ociekający,
Ciąg dusz na wyraj idący.
. . . . . .
Jako te skry porwane z płonącego boru,
Jako te puchy kwietne w pobrzaskach wieczoru
Tak idzie wyraj cichy duchów nad tem polem.

O daj!
Który znasz ten nieszczęsny, podeptany kraj —

Niech, jak ten z ula spłoszon rój lecący pszczeli
Znęcony blaskiem świętym rozzłoconej bieli,
Na kraj ci szaty Twojej królewskiej opadnie.
A Ty, Dobry, władnący duchami wszechwładnie
Zgarniesz je, jak ten bartnik świętą Twoją dłonią
I niech je wieczne Twoje pasieki zasłonią —
Lub pełną dłonią rzuć je i niech się rozlecą
Na łąki Twoje, które w słońcu łaski świecą.

1914

Exodus.

Chwalmy Pana! na wieki miłosierdzie Jego...
Ono morze płomienia i dymów i krwi,
W które, jak rzeki, płyną niemilknące łzy,
Nad którem niema czasów, ni nocy, ni dni,
Tylko jest chaos gromów, jęków, przeklinania
I ciemność żrących dymów, co wszystko przesłania,
Z latającemi w błyskach uśmiechy Judasza —
To jest Ojczyzna nasza!

Chwalmy Pana! na wieki miłosierdzie Jego...
My, garstka na tym skrawku pozostała lądu
W potopie gniewu Jego i w dzień Jego sądu,
Gdy mętne i rozpaczą szalejące morze
Bije już wzbierające o nasze podnoże,
Chwalmy Boga i Pana! Z ognistego koła
Nasz głos jedynie, jeszcze wołać dzisiaj zdoła,
A zaś na chwilę jedną niechaj nie ustanie
Imienia Twego, Boże, nad krajem wołanie.

Chwalmy Pana! na wieki miłosierdzie Jego...
A to morze idące, to ludu nawała
Prąca naprzód — skłębiona, zbita, oszalała —
A zaś te dymy żrące, co im oczy jedzą,
To dymy gniazd ojcowych nad praojców miedzą.

A zaś ich goni, tropi i na nie się zrywa
Na wichrze w skrach, ogniowa, chwiejąca się grzywa:
To płoną zboża źrzałe, to łomią się bory
Z trzaskiem i hukiem świeżej pękającej kory.

Chwalmy Pana, wargami szeptając suchemi —
My, straż stojąca jeszcze na okraju ziemi.
Oto się wznosi na nas ogniowe sklepienie
I pnie się na nieboskłon i skry na nas żenie.
Chwalmy Pana, głos wznośmy, by go nie zgłuszyła
Idąca na nas ślepo rozpętana siła —
Chwalmy Pana!... o serce trzymam cię w mem ręku,
Byś, miasto hymn Mu śpiewać, nie rozpękło w jęku:
Boć jest jak Ojciec bliski, choć zda się daleki,
A miłosierdzie Jego na wieki.... na wieki....

1915.

Krystyna Saryusz Zaleska.

Od wrót śmierci.

Mistrz!

Przycisnęła drobnemi dłońmi serce rozszalałe, taka radość w niej wstała upojna, taka słoneczna, górna życia pieśń!

Z pośród ścieżyn ogrodu, w purpurowej zorzy gasnącego słońca szła ku niej wyniosła, młodzieńcza postać, w bieli szaty lnianej, a za nią szara uczniów gromadka.

O gdybyż była przeczuła! Wszystkie róże ogrodu byłaby rzuciła pod Jego stopy, wszystkie kwiaty pól... a tak... stała oparta o rzeźbione drzwirze domu, drżąca bezmiarem wzruszenia, niezdolna uczynić kroku, z łzami, drgającemi u spuszczonych rzęs.

O Ty! Który skąpałeś duszę moją w pożarnem źródle tęsknoty, w żalu krwawych łzach... bądź pozdrowiony!

O Ty! Który żywą wodą wiecznego żywota napoiłeś żądne usta moje, gdym bliską była skonania... bądź pozdrowiony!

Duchu jasny...

Duchu Boży...

Panie mój! Panie!

I zamierały te słowa modlitewne, gorące, na wargach rozchylonych, nie odzwierciedlając potęgi jej uczuć, rodziły się w myśli i gasły, szalały w mózgu i konały w zdławionej wzruszeniem krtani... i jeno łez perły spływały po twarzy pobladłej na szatę białą i prostą, która opływając jej królewskie kształty, opadała falą miękkich zwojów na złocisty piasek ścieżyny.

— Pokój domowi temu i pokój tobie, Maryo! Przyszedłem spocząć pod waszym dachem po trudzie dnia.

W milczeniu gorące jej usta przywarły do kraju Jego szaty,

pocałunkiem od słów wymowniejszym. Są chwile, w których za ubogą staje się mowa, by być uczuć naszych rzecznikiem, pocałunek, spojrzenie, w jednem mgnieniu wypowiedzą wtedy więcej, aniżeli najbardziej wymowne usta w potoku słów.

A oto właśnie z głębi domu nadeszła Marta, z uśmiechem szczerej radości, wyciągając do przybyłych dłonie, mówiła serdecznie:

— Bądź pozdrowiony, Nauczycielu... w domu, któremu przywróciłeś radość i cześć... Zaprawdę, wdzięczniejszych, bardziej oddanych serc w całej nie znajdziesz Judei. Łazarz w polu, bo toć dzisiaj ostatni dzień zbiorów... jakże Ci, Panie, będzie rad, wraz chłopca poślę z nowiną, jakiego gościa zdarzył Bóg... Wejdźcie w dom, proszę, a ja się koło wieczerzy zakrzątnę.

Uśmiechnął się Pan życzliwie, do tej niewiasty, która nie dbając o gniew arcykapłanów, tak gościnnie rozwierała przed Nim drzwirze domu.

Wśród ścieżyn ogrodu krwawe błyski sączyła gasnącego słońca łuna, czarne, widmowe, królewskie wznosiły cyprysy dumne czoła ku mierzchnącemu niebu, złocił się fig splątany gąszcz i oliw cieniste korony, płynęła woń róż rozwitych, upojna, ciężka, cudna.

Z głębin mrocznej komnaty wiał wilgotny chłód.

A przed domem, tonącym w błękitnawej, metalicznie lśniącej gęstwie winogradu, zapraszająco wabiła kamienna, mchem porosła ława...

Miłował te wieczory wśród otwartych przestrzeni ziemi i nieba, kadzielnicową kwiatów woń i ptasząt chóry, tu Panem był, każde z Jego słów wśród tych milczących świadków Bożej potęgi, dźwięczało echem prawdy i siły.

Mroczne komnaty ciasne dlań były i obce, odczuwał w nich władanie drugiej potęgi... przecież owe ściany właśnie tuliły pierwiastki grzechów wszelakich, w nie to szaleńcze żądze swoje krył człowiek, z nich pełznął na świat przyziemnych pragnień gad.

Więc patrząc na góry, pokryte ogrodami i winnicami, mówił:

— Pozwól nam tymczasem tu spocząć, Marto, i nie frasuj się przyjęciem niespodziewanych gości... tak niedługo już będę

z wami... tak wiele jeszcze wytłumaczyć wam pragnę, by nic niejasnego nie pozostało między mną a wami. Chleb masz pewno w komorze, jak każda dobra gospodyni, Marto, a oto winne grona dojrzałe, więc i dla wszystkich gotowa wieczerza.

Łuna rumieńca uderzyła do smagłej twarzy kobiety:

— Jakżebym śmiała w ten sposób podejmować Cię, Panie!

— Czyż nad chleb i wino godniejsze jeszcze masz dary?

Marta, mnąc w śniadych dłoniach róg fartucha, szukała odpowiedzi; odbierało jej zwykłą swadę spokojne, uważne spojrzenie Mistrza, czuła, że On zastanawia się nad tem, co w jej myśli błądzi i ma na ustach smutny uśmiech politowania, który ją gniewa i drażni.

Bo zali złego pragnie? Najlepsze w domu za marnem się jej zda na przyjęcie Mistrza z Nazaretu, którego wpływ uczynił z jej siostry ową niewiastę cichą, korną, słodką; co jako niegdyś słonecznym promieniem mrocznemu stała się domowi. Wszakże Jemu to winna, że Łazarz odzyskał ducha pogody, a ona sama znów dumnie, schylone troską, mogła podnieść czoło.

Chleb i winne grona!

Toć obcemu przybyszowi wstydziłaby się dać taką wieczerzę, a cóż dopiero Panu i uczniom Jego... Wreszcie... cóż rzekliby ludzie, gdyby bogaty Łazarz, tak ubogo podejmował Pana.

Spuściła oczy, bo w głębi źrenic Chrystusowych dostrzegła pytanie:

— I cóż ci ludzie, Marto?! gdy wiesz, iż moją spełniasz wolę.

Jagnię zabić każę, najpiękniejsze w stadzie, świeżuchną oliwę do chleba postawię, — myślała z uporem dalej, — ryby cebulą przyprawne, jarzyny, ciasta z migdałów i orzechów, smażone w miodzie i najprzedniejsze wino, które Łazarz od Heroda w darze dostał... Nie może inaczej być! Komuż zastawiłabym stół, jeśli nie dla Niego? I róż każę naciąć w ogrodzie, lampy oliwne rozpalić w krąg, srebrne kielichy po przodkach wydobyć z przechowku, łoża usłać z dywanów i jagnięcych skór... Szczęsna jest, że może, że ma z czego...

Złożyła więc ręce błagalnie, prosząc:

— Gdybyś kazał, Panie, posłuszną byłabym, ale nie czyń

mi tego umartwienia, niechaj radośnie będzie dziś w domu naszym, a gdyś zawitał w nasz próg... Ty, taki od nas kochany, czekany i błogosławiony... toć niechaj nam wolno będzie przyjąć Cię godnie, najlepszem, co mamy.

Jakoż jej miał zepsuć te dobre chęci i tę radość? Jakżeż mógł odmówić prośbie, tak bardzo z serca płynącej?

Trudno... ta córa ziemi nie odczuwała, że dla Niego najgodniejszem przyjęciem było, gdy Jego słowa na urodzajną serca padały rolę, by wydać światu plon... Jej wewnętrzna cześć musiała szukać zewnętrznej formy dla okazania wdzięczności.

Pochylił więc jasną głowę Jezus z Nazaretu i rzekł łagodnie:

— Czyń, jako chcesz, Marto...

Plasnęła w dłonie radośnie i pospieszyła w głąb domu. U stóp Chrystusa, na żółkniejącej murawie, usiadła Marya, tęskne oczy wzniosły się ku Niemu i przypomniała mu kwiaty, więdnące w upale dnia, zbawczej oczekujące rosy.

Tyle razy siadywała tak w Jego pobliżu, gdy wraz z innemi niewiastami szła Jego śladem, po słonecznych wybrzeżach Tyberyadzkiego jeziora, po urodzajnych wzgórzach Galilei i u źródeł wieczystej tęsknoty, wszechludzkiego miłowania czerpała życia treść.

Przeszłość... jak sen ciężki, dręczący, legła poza nią, nie wracała do niej myślą tęskną... o nie! Żal jeno krwawy miewała w duszy... pokutny żal.

W mrokach gasnącego dnia, gdy poszept kuszących zjaw przestrzenią płynie, a na skrzydłach błękitno-szarych zmierzch dusze ludzkie marzeniami kołysze... w żarne noce letnie, w których woń kwiatów oszałamia, a tęsknota polami się włóczy, do jaźni wgląda i szepce: pójdź... na bezdroża kwietne cię powiodę... w niej cisza bywała bezmierna, w niej wszystkie ludzkie pragnienia w popiół spalała tęsknota Boga.

O, nie do ziemi już, nie do jej ponęt i czarów myśl lgnęła, jako gołąb lotu próbowała w bezkresy, gorzkiemi łzami zmywała szarzyznę zbrukanych życiem skrzydeł, by jeno godną stać się Przewodnika i onej drogi świetlistej.

Widział to Pan i miłował tę zbłąkaną a odnalezioną duszę

ludzką: za tę jej tęsknotę pożarną, za łzy pokutne i mękę, za ten uczucia płomienny dar, który mu niosła.

I teraz pragnął ją przygotować i umocnić, aby przetrwała czas próby.

W ciszy wieczoru, gdy cały krajobraz zwolna przybierał tony kredkowego rysunku, a na ciemniejącem zwolna niebie niewidzialna moc rozpalała ognie gwiazd, mówił Mistrz z Nazaretu o tem, co przyjść miało: o męce, śmierci i o zmartwychwstaniu.

Łagodny, znużeniem zniżony Jego głos, snuł pieśń nad pieśniami, miłości Boga dla człowieka, tak potężnej, że się nawet przed dobrowolną męki nie cofa ofiarą, by pieczęcią czynu stwierdzić słów prawdę i moc. Z ponurych wrót śmierci zdejmował grozę potwornego lęku, w jaką ją przybrała zabobonna trwoga pokoleń całych, przed sprawiedliwym rozwierały się one na cudne łąki wiecznego żywota, po trudach bytu znużony wędrowiec przechodził przez nie, by spocząć w ojcowskiem objęciu Boga. Przed grzesznym tylko, przed występnym a niepoprawnym rozwierała się brama śmierci ku przepaści zatracenia. Ten, kto życie nad żywot ukochał, tracił doń prawo, bo go łańcuch win z ziemią skuwał, jak niewolnika.

Łazarz nadszedł w czasie słów Chrystusowych, w milczeniu usiadł wśród uczni, siwiejącą głowę o pień cyprysu wsparł, słuchał...

Po całodziennym trudzie upalnego dnia wypoczywał każdym nerwem, z bezmiarem rozkoszy poddawał spocone czoło kojącemu powiewowi wieczornego wiatru. Łagodny głos Chrystusa, jak muzyka, łączył się w jego odczuciu z treścią słów, ze zjawą ogrodu, pełnego tajemniczych cieni, przesyconego wonią róż.

Każde ze słów Pana niezatarty ślad ryło w myśli Łazarza, przenikało w ducha głąb.

A więc nie jest, jako kaznodzieja Salomonów rzekł: iż „umarli o niczem nie wiedzą i nie mają więcej żadnej zapłaty, gdyż w zapamiętanie poszła pamiątka ich". Więc nie jest wszystko „marnością i marnością", tylko... skoro życia ludzkiego bieg zdobywa lub zatraca prawa wiecznego żywota...

Czyś je zdobył? — nasunęła mu się myśl.

A w pamięci przesunął się dni minionych szereg długi, pełen wątpień, upadków, wzlotów... zakończony zawsze Salomonowego doświadczenia echem: marność i to...

Aż wreszcie minął okres szaleńczych buntów, młodzieńczej nierozwagi, stężał żar nieokreślonych pragnień, w żelaznym wysiłku woli człowieka, pragnącego opanować słabość natury własnej, wolnym być, tą jedyną, prawdziwą wolnością na ziemi, gdy władanie zyskujemy nad światem naszych żądz...

A jednak... gdzież człowiek, któryby nie grzeszył?

Jak widma ciemne, wypełzały ze zjawy owych dni wspomnienia win i krzywd...

Płacz kobiety, niegdyś kochanej całą zmysłów potęgą, później odtrąconej z bezwzględną brutalnością przesytu... żałosny płacz... zda się zakwilił w konarach drzew i duszą wstrząsnął.

Krzywda zapomniana... a jednak myśl o niej zjawia się w godzinie rachunku z własnem sumieniem...

O... więcej było krzywd takich i więcej wobec życia zaciągniętych a niespłaconych długów.

Tak się szeroko żyło w Jeruzalem... u dworu Heroda... wśród rozpustnych przedstawicieli pogańskiego Rzymu... i cóż, że potem rzucił to wszystko... jako z marności ziemskiej największą marność....

Dławiący żal pochwycił duszę człowieka... gdybyż z życia minione wymazać było można...

Gdybyż chociaż z pamięci własnej!

Lub z pamięci... Boga...

Pokuta, żal, miłowanie, tęsknota...

Oto złotowłosa siostra jego z większych zawróciła bezdroży, a przebaczenie miał dla niej Pan.

Ale ona ufa tak silnie, wierzy tak gorąco... a jemu trudno...

Czci Chrystusa, jako człowieka mądrego bezmiernie, w bóstwo Jego jednak nie uwierzył dotąd...

Nie mógł...

Ot, śmierć i zmartwychwstanie... a jemu w duszy zaraz rodzi się pytanie: dlaczego nikt z za grobu nie wrócił?

Prawda, młodzieniec z Naimu... córka Jaira... ale może to

była pozorna śmierć tylko... bywają i takie wypadki, słyszał o nich... Wszakże wskrzeszenie miało miejsce zaledwo w godzin kilka po zgonie... ale czy zdołałby głos Pana życie przywrócić ciału w rozkładzie?

Pochłonęła go ta myśl... przypomniał mu się trup zamordowanego mężczyzny, którego odnalazł, polując w górach... ach, co za widok ohydny... do dziś dreszcz lęku i wstrętu przejmuje go na wskróś... Do dziś widzi jamy oczne, rojące się robakami i usta obrzękłe, spękane, z których wylewa się cuchnąca ciecz...

Straszne!...

Zmartwychwstanie...

Jakże pragnąłby uwierzyć... nie może...

Pomiędzy słowami Pana... pomiędzy promienną wizyą drugiego istnienia, majaczy w jego wyobraźni ta głowa trupia, pochwycona rozkładem... gnijący kawał mięsa... nic więcej.. kres...

I zabija w nim to wspomnienie kiełkującą wiarę... na zbladłe usta rzuca smutny uśmiech niedowierzania i baśnią tylko... piękną, poetyczną baśnią wydają mu się słowa Chrystusa... po przez ten wid tragedyi grobu...

Śmierć jest... ale by po niej mogło być życie?...

W rozwartych drzwirzach domu, smagły niewolnik, zapaloną zatknął pochodnię w żelazny krąg, różowy, drgający blask rozjaśnił mrok. I oto spotkały się oczy Chrystusa litościwe i smutne, z przygasłem spojrzeniem wątpiącego człowieka, walczącego daremnie z własną niewiarą.

— Przekonaj mnie... — błagały te oczy — przekonaj, bo uwierzyć pragnę i... nie mogę!... Wszak jeżeli Synem Bożym jesteś... w twojej to mocy... Bo o ile poza śmiercią jest życie... to i Ty jesteś, Panie, a człowiek nie jest jako ów twór, bez celu rzucony w mękę istnienia... ale jeżeli grób... to kres wszystkiego... — Zerwała się myśl, strwożona własną śmiałością i tylko źrenice rozszerzone męką, błagały: — Przekonaj mnie... o wierz mi... życie bym dał bez żalu... za tę wiarę...

Przez rozwarte drzwi widać było izbę stołową, rozświeconą lampami oliwnemi, rozstawionemi na gzymsach kolumn. Marta z niewolnicami do wieczerzy nakrywała długi stół; w smukłych

wazach z połyskliwej gliny i tęczą barw mieniącego się szkła, purpurowe róże ciężkie pęki schylały ku bieli cieniuchnego, stół zaścielającego płótna, na podścielisku soczystej zieleni figowych liści piętrzyły się stosy owoców; brzoskwiń puszystych, zrumienionych krwawo w promieniach słońca, złocistych grusz, podługowatych w kształcie, w fijolet wpadających winogron i rozciętych, jak krew czerwonych jabłek granatu.

Pogodny uśmiech zadowolenia drżał na świeżych jeszcze ustach Marty, gdy krytycznem okiem, obrzuciwszy stół w ogród, wyszła i zapraszając do wieczerzy, kończyła, obejmując siostrę silnem ramieniem:

— Panie, i nie dbasz, że siostra samą mnie zostawiła, abym usługiwała? Rzeczże jej, aby mi pomogła.

A Jezus, przeszedłszy próg, obrzucił spojrzeniem ów stół długi, gnący się od kosztownej zastawy, róż pęki, świateł blask i rzekł ze smutkiem w głosie:

— Marto... Marto! troszczysz się i kłopotasz około wielu rzeczy... aleć jednego potrzeba... Marya dobrą cząstkę obrała i ta od niej odjęta nie będzie.

Usiedli do wieczerzy; niewolnice w kosztownych, srebrzystych misach wodę do mycia rąk podały i płótna do otarcia, a w głębi ogrodu zadźwięczały arfy i flety psalmem Dawidowym...

Przy stole milczenie było, coś obcego krępowało swobodę uczniów, kładło się chmurą na pogodnem czole Chrystusa, gorzało męką w czarnych oczach Łazarza...

A z róż opadały płatki purpurowe i jak płaty krwi lśniły na niepokalanej bieli obrusa... wpatrzone w nie oczy Maryi wezbrały nagle łzami...

— — — — —

Cisza w komnacie... lampa oliwna niepewny rzuca błysk, na dworze ulewny deszcz szumi i wicher jęczy w gałęziach drzew... Czasem krwawa błyskawica rozjaśni na mgnienie wnętrze, wyrwie z mroku pochyloną, złotą głowę kobiety i męską, znużoną twarz, wpatrzoną w dal niebios oczyma, pełnemi lęku... A potem znowu

ciemność... dalekiego gromu przeciągły, ogłuszający huk i znów tylko deszcz szumi i wicher jęczy.

— Maryo...

— Łazarzu?

— Straszna noc... a ze mną dzieje się coś... niewytłumaczonego... wszystko w krąg zda się podwójnem życiem żyje... a ja... Maryo... a ja... Więcej lamp!... światła... więcej światła... Nie znałem lęku, a oto... teraz trwoga jest we mnie... Czy to ta burza?... Czy?...

Zapaliła lampy drżącemi od wzruszenia rękami; jasne, łagodne światło zalało komnatę, płosząc mrok. Chory przymknął powieki i leżał tak chwilę bez ruchu... Od barwnego tła poduszek ostremi liniami odcinał się profil, z bolesnym skurczem w okół zsiniałych, rozchylonych warg.

Zasnął może...

O gdyby!

Sen przyniósłby mu może wyzdrowienie... Lekarz, medyk nadworny Piłata, taką miał wczoraj zakłopotaną minę... jak gdyby nie był pewny ani dyagnozy swojej, ani przebiegu choroby... Tydzień... jakże kilka dni zmienia człowieka... Marya z niepokojem patrzyła w twarz brata... oddech rwał się ciężki, urywany... pracowała klatka piersiowa, wznosząc się i opadając z trudem.

A jeżeli... sen... śmierć przyniesie...

O Panie! Panie!... nie...

— Maryo... żali wrócił człowiek... do Mistrza wysłany? — nie rozwierając przymkniętych powiek pytał Łazarz.

— Nie jeszcze...

— A... jak myślisz?... przyjdzie Pan?

— Gdy się dowie, żeś chory, pospieszy z pewnością...

— Kto... wie...

— Pan cię miłuje... gdy przedostatni raz gościł u nas... jesienią jeszcze... w czasie święta namiotów... pamiętasz? Mówił, iż drogi Mu się stałeś...

— Podczas święta namiotów... gdy o śmierci kazał i o zmartwychwstaniu... i gdy ja... — Urwał, jak gdyby mu słowa nadmierny sprawiały trud... a w pamięci ożywała owa śródwieczorna

chwila, jak gdyby wczoraj przeżyta, a z nią cała walka wiary z niewiarą.

Nic się w nim od tego czasu do dziś dnia nie zmieniło... nic! Rzymska i grecka filozofia nie napróżno przepoiła mu duszę, przez wiele lat sadduceuszowskie przekonanie, że poza życiem nicość jest tylko, wżerało mu się w jaźń... i ot plon... w męce się szarpie daremnej...

Święto namiotów... jaki to był dziwny... piękny dzień...

Zdaje mu się, że znowu stoi w południowym krużganku świątyni, blask tysiąca świateł na monolitach kolumn bladym różem drga. Dawidowych psalmów potężne wołanie ku niebu się wznosi.

Oto tam, za murami świątyni, u źródła Schiloach, arcykapłan wodą złocisty napełnił już kielich... Wracająca procesya doszła już zapewne do bramy wodnej, bo potężny dźwięk trąb, burzą dźwięków przeszył powietrze... zda się w posadach mury drgnęły...

Miłował to święto, bo tyle piękna w niem było i tyle poezyi... tak przedziwnie wyglądała wtedy świątynia, gdy o pierwszem świtaniu poranku procesyonalny orszak wyruszył do źródła Schiloache, a różowe światło budzącego się dnia i złote, drgające tysięcy lamp w baśniowy gmach zmieniało przybytek Boga, sale białe, kolumn nieskończone szeregi, podwórza, schody, głębokie wnęki bram... wszystko miało coś z nieuchwytnego piękna sennej zjawy.

A potężna latorośl winna, oplatająca złotymi liśćmi i ciężkiemi gronami przybytek, wzniesiony Panu, zdała się ożywiać w tym dziwnem świetle nocy, konającej w objęciach dnia.

A oto procesya się zbliża, nadchodzi już z kolumnad bocznej sali... Arcykapłan w wzniesionych dłoniach kielich z wodą niesie, tak ostrożnie, by kropli nie uronić z pełnej czary, bezcenne tkaniny szat mienią się tęczą, połyskuje złota płyta z napisem nad czołem arcykapłana, tysiące skier rzucają drogie kamienie, naszyte na rationale... Za nim kapłanów szereg długi, w białych szatach, rośli, piękni, z welonami, spływającymi od czapek, z barwnym pasem, przerzuconym przez lewe ramię, idą, śpiewając; otacza ich lud strojny, gwarny... Takie rasowe typy... starcy siwowłosi, mło-

dzieńcy, a na wszystkich twarzach wyraz radosnego oczekiwania, odwiecznej tęsknoty... Oto coraz bliżej już są — rozróżnia już słowa pieśni... Izajaszowe proroctwo w każdej duszy nową tętni nadzieją:

„Oto Bóg, zbawienie moje,
ufać będę, a nie ulęknę się,
albowiem Bóg jest moją mocą,
pieśnią i zbawieniem mojem...
I będziecie czerpać radośnie
wody ze źródeł tegoż zbawienia"...

I oto nagle... Co za chwila niezapomniana! Naprzeciw procesyi z białej kolumnady sali, szła wyniosła postać Jezusa z Nazaretu... Zatrzymał się... spojrzał w tłum i oto słowa śpiewu zamarły na wszystkich ustach, cisza się stała taka, iż było słychać tylko tupot bosych stóp, uderzających o lśniące tafle marmurowej posadzki; i w tej ciszy nagłej, niespodziewanej, dziwnej, zadźwięczał głos spokojny i silny:

„Jeżeli kto pragnie, niech do mnie przyjdzie a pije. Kto wierzy we mnie, jako mówi Pismo, rzeki wody żywej popłyną z żywota jego".

Drżące gniewem dłonie arcykapłana ledwo utrzymać mogły kielich złocisty, zaskoczyła go ta mowa potężna i dziwna, wstrzymał się mimowiednie, jak gdyby wyższej ulegając sile, a z nim cały szereg kapłanów, uczonych w Piśmie, cała fala ludu.

Jezus z Nazaretu, oparty o filar świątyni, potężne słowa nowej nauki rzucał ludowi, blady był, wyniosły, spokojny, a słowa Jego były jako pieszczota ojca, jak głos sędziego, radosne, jak słońca światło, jak głos nadciągającej burzy, co światem wstrząśnie... groźne.

Skończył... a z głębi, od podwórza kobiet nadpłynął chór młodzieńczych głosów, witających powracającą procesyę psalmami Dawida, rozłkały się flety i harfy, burzą dźwięków rozszalały cymbele i dzwonki...

Spojrzał wtedy Łazarz w twarz arcykapłana; fioletowa była

z gniewu, straszną mu się zdała i wstrętną... pod zjeżonym wąsem grube, zmysłowe usta poruszały się, nie mogąc wydobyć głosu, aż wreszcie rzuciły syczący szept otaczającej go grupie książąt kościoła:

— Pojmać go...

— Pojmać go... — nakazująco rzucono dalej.

— Pojmać go... — przebiegło szeptem wśród białych kapłanów... Nikt się jednak nie ruszył, by spełnić wyrok...

Przecisnął się wtedy przez tłum... w razie niebezpieczeństwa pragnął bronić Chrystusa osłoną piersi własnej... Pogardę miał dla tych uczonych, wściekłych gniewem... cześć niezmierną dla Pana.

Człowiek... najszlachetniejszy, najlepszy, jakiego wydała ziemia — myślał, stojąc u boku Chrystusa — człowiek, w którego ślady iść, za którego idee ginąć szczęściem jest i jedynym zaszczytem, o który ubiegać się warto.

I byłby wtedy zginął bez żalu... chociaż dla niego właśnie życie było bezcennym skarbem.

— Pojmać go — zadźwięczało echem wśród ludu i nagle morze ludzkich głów zakołysało się, pękło... tworząc wolne przejście aż ku bramie wodnej. I nie było nikogo, coby się był odważył ściągnąć nań rękę.

Procesyonalny orszak ruszył dalej, w przekonaniu, że rozkaz wypełniono bezzwłocznie, a Chrystus przeszedł przez szeregi kapłanów milczące i korne, przez rzesze wzruszonego do głębi ludu, a szept za Nim biegł:

— Messyasz obiecany...

— Chrystus...

— Syn Boży...

I Łazarz odczuł wówczas nagle, że silniejsza od jego ludzkiej, dłoń rozpostarła się opiekuńczo nad tą jasną, męską głową... i był wtedy... naprawdę bliskim wiary.

Bliskim wiary... — żałosny uśmiech drga na zbladłych, gorączką spalonych ustach chorego... — Ileż razy już byłeś bliskim wiary...

O Panie! Panie! przekonaj mnie... bez Twojej pomocy zginę marnie... przekonaj mnie!

Ogarnął go lęk... zimny pot pokrył skronie, szeroko rozwarte oczy, jak skrzydła ptaka o pręty klatki, trzepotały się po ścianach komnaty... Taki niepokój w duszę mu się wkradł... taki straszny, dręczący... zdało mu się, iż się coś czai w mroku... patrzy w niego... jak zwierzę zaczajone w upatrzony łup... wstać... uciec... nie zdoła...

— Maryo...

— Co, drogi?

— Dlaczego... nikt z naszych... przy mnie nie czuwa?... ja przecież... umieram...

— Gmina zabroniła...

— Dlatego, że podejmowaliśmy Pana?

— Dlatego...

Machnął ręką... obejdzie się bez nich... o gdyby mógł do stóp Pana się przytulić — opuściłby go ten straszny lęk...

Gdyby mógł...

Panie! Panie!...

I zda mu się, że słyszy pełen siły głos:

— Jam jest źródło żywota!

Przekonaj mnie... pomóż mojej niewierze... bo słaby jestem i biedny... Chryste! o Chryste...

Ustąpił lęk...

— Maryo... — rwie się urywanym, przyciszonym szeptem z piersi Łazarza — nie wrócił posłaniec?

— Nie jeszcze...

— A ty... co czynisz...

— Modlę się...

— Módl się głośno... modlitwą, której was nauczył Pan...

— Może... Martę obudzić?...

— Nie... czuwała tak długo... niech śpi... ale ty módl się, proszę...

Na dworze dawno już minęła burza... fala księżycowego blasku ściele się, aż do łoża Łazarza... Utkwił w niej wzrok

i w myśli powtarza słowa siostry, a każde z nich... jasne mu jest i zrozumiałe, jak nigdy.

— „Ojcze nasz... Który jesteś w niebiesiech! Święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje... bądź wola Twoja"...

Dlaczego załamał się głos Maryi i łzy w nim dźwięczą... dlaczego?

„Jako w niebie, tak i na ziemi... Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze grzechy, jako i my odpuszczamy każdemu winowajcy naszemu. A nie wodź nas na pokuszenie, ale nas zbaw od złego... Amen!

— Bądź wola Twoja... jako w niebie, tak i na ziemi, — raz jeszcze powtarzają usta Łazarza: — Bądź wola Twoja...

Tak mu cicho, tak dobrze... blady, pogodny uśmiech spowija rozchylone usta... senny jest... zaśnie...

Harmonia... piękno...

Cicho wsunęła się Marta, rzuciła spojrzenie serdecznego niepokoju na brata, wydało się jej, że śpi i przyklękając obok Maryi, mówiła radosnym szeptem:

— Wrócił posłaniec, Maryo.

— Pan przyjdzie?!

— Nie wiem... kazał nam jeno rzec: „Ta choroba nie jest na śmierć, tylko dla chwały Bożej, aby był uwielbiony Syn Boży przez nią".

Ledwo dosłyszalny szept słów pochwycił jednak zaostrzony chorobą słuch Łazarza i ostatnia myśl na ziemi przesunęła się w mózgu radosnem: Pan mnie wysłuchał...

— Łazarz tak często pytał o posłańca... ucieszy się.

— Dawno zasnął?

— Przed chwilą.

— Spojrz, jak mu się głowa osunęła, w karku go boleć będzie, jeżeli go tak zostawimy dłużej... muszę mu poduszki poprawić...

— Nie zbudź go tylko...

— Nie lękaj się... ja poduszkę z głową uniosę, a ty drugą podsuniesz. — Starsza siostra pochyliła się nad bratem, ostrożnie podsunęła dłonie pod poduszkę i uniosła głowę chorego; padł na

nią pełnią blask lampy i Marta dojrzała martwe, w dal wpatrzone oczy i uśmiech, przymarły do nieruchomych, rozchylonych ust.

Umarł...

I nawet według zwyczaju... modlitwy nie odmówiono za niego.

Głuche, rozpaczne łkanie wstrząsnęło piersią kobiety:

— Umarł!

Marya uklękła przy łożu, rękę brata do ust przycisnęła gorących, w myśli, jak niewyjaśniona zagadka, snuła się jej Chrystusowa odpowiedź: „Ta choroba nie jest na śmierć, ale dla chwały Bożej, aby był uwielbiony Syn Boży przez nią".

A oto on umarł... umarł jednak...

Czy posłaniec źle zapamiętał słowa Pana?

A może Mistrz jeszcze nadejdzie?... do życia go przywróci... jak młodzieńca z Naimu, jak córkę Jaira... miłował go przecież...

I w duszy jej u stygnących zwłok brata wstała... nadzieja.

* * *

Godzina mijała za godziną, daremnie łzawe oczy Maryi patrzyły w oczekiwaniu w ogrodu głąb... nie przyszedł Pan...

Zabrano z domu martwe zwłoki brata... zawarł się za nim kamień grobowy.

Dom przepełnił gwar, zjechali krewni i znajomi z Jeruzalemu, by zmarłemu ostatnią oddać posługę...

I oto nadeszła noc... a z nią kojąca cisza...

W duszy kobiety ostatnia nadzieja zgasła...

Nie przyszedł Pan...

* * *

Przeminął dzień drugi, trzeci... i czwarty wreszcie schylił się ku zachodowi.

Dom jeszcze wciąż pogrzebny przepełniał gwar i męką im był w ich świeżym, w ich bezmiernym bólu i w owych dniach silniej jeszcze złączył je węzeł siostrzanej miłości i wspólna wiara w Bóstwo Chrystusowe.

Jakgdyby szukając ucieczki przed nasuwającemi się, pełnemi wątpień myślami, Marya usiłowała przypomnieć sobie wszystkie słowa Chrystusowe, wszystkie cuda, których była świadkiem i opowieści o Nim wypełniły im długie wieczory, gdy cofnąwszy się z koła namiętnie dysputujących gości, patrząc w cichy błękit nieba, czerpały z wiecznie żywego źródła Jego nauki.

I układała się rozpacz w ból cichy... przygasał bunt w łzach, gasł w ufności, że za grobem życie jest... być musi... bo On tak uczył...

Ścinała Marta w ogrodzie wiosennych tulipanów pęk, by je na grób Łazarza zanieść, gdy zdyszany przypadł do niej chłopczyna sąsiada:

— Marto! Marto... Jezus z Nazaretu z uczniami idzie, przy studni w polu spoczął... zawołać cię kazał.

— Mnie?!

Rzuciła kwiaty, biegiem prawie przebyła ogród, a potem przystanęła nagle i rzekła sobie w duchu: szalona Marto... teraz już przyjście Pana nic nie zmieni... i szła coraz wolniej a wolniej... W pierwszej chwili radosna myśl w niej wstała:

— On wszystko może... — i zaraz prawie przygasła w bolesnem: — zapóźno już...

Czy zapóźno?

Czy dla Chrystusa „zapóźno" być może?

A oto u studni w polu ujrzała Jezusa i łkając, osunęła Mu się do stóp:

— Panie! gdybyś tu był, nie byłby umarł brat mój...

Jakaś nadzieja, która się jej szaleńczą zdała, targnęła sercem, gdy dorzuciła wśród łez:

— Ale i teraz wiem, że o cokolwiek prosiłbyś Boga, dać to Bóg.

Łagodnym, ojcowskim ruchem opadła Jego ręka na jej siwiejącą głowę, gdy jej rzekł:

— „Wstanie brat twój"...

— Wiem, Panie... wiem, że wstanie przy zmartwychwstaniu, w on ostateczny dzień.

A On, chyląc się ku niej, mówił głosem cichym, a tak silnym, że w duszy przenikał głąb:

— „Jam jest zmartwychwstanie i żywot, kto we mnie wierzy, choćby też i umarł, żyć będzie. A wszelki, który żyje a wierzy we mnie, nie umrze na wieki... Wierzysz temu?“

Podniosła ku Niemu oczy, pełne łez:

— Wierzę, Panie... Jam uwierzyła, żeś Ty jest Chrystus... Syn Boży, który miał przyjść na świat... i nawet śmierć brata nie odebrała mi tej wiary.

— Błogosławieni, którzy wierzą, albowiem ich jest Królestwo niebieskie... Zawołaj mi siostry twojej, Marto i przyjdź z nią. Razem pójdziemy na miejsce spoczynku Łazarza...

* * *

— Panie! byś tu był... nie umarłby brat mój! — powtórzyła Marya mimowolnie słowa Marty, przywarłszy ustami do stóp Pana, a On, wzruszony do głębi jej bólem, podnosząc ją, pytał:

— Gdzie go położyli?

— Panie... pójdź a oglądaj... Tak tęsknił za Tobą, tyle razy w ostatniej godzinie pytał, czy przyjdziesz... i... nie doczekał...

Szli w milczeniu ścieżyną wśród młodych zbóż, które falując w powiewie wiatru, mieniły się srebrzystymi tonami... Chrystus się modlił... modlił się bez słów, jako zwykle, a Jego błękitne oczy wezbrały łzami gorącej prośby... bezmiernego współczucia nad niedolą człowieka.

A wśród uczni i Żydów, którzy wraz z siostrami nadeszli, szept się snuł:

— Jak go miłował...

— Płacze...

— Nie mógłże On, który oczy otworzył ślepemu, sprawić, by ten nie umarł?...

Ostatni blask gasnącego słońca złocił kamień grobowy i rosnące obok sykomory... Zatrzymał się Pan i rzekł:

— Odsuńcie kamień grobowy...

— Na cóż mu to? — zaszumiało trwożliwie w tłumie, — czwarty dzień... upał... grzech...

— Maryo... — szepnął ktoś — proś Pana, by zaniechał... strasznyż to widok...

Więc chyląc głowę złocistą, wyjąkała wśród łez:

— Panie... jużci cuchnie... bo czwarty już dzień jest w grobie.

Spojrzał ku niej:

— Zaliżem ci nie rzekł, iż jeżeli uwierzysz, oglądać będziesz chwałę Bożą? Odejmijcie kamień.

Uczniowie zabrali się do pracy, napięły się wysiłkiem barki młode i kamień legł odwalony... Ciężka, grobowa woń rozeszła się w przestrzeni, zdławiła wiosennych kwiatów woń i w duszach ludzkich śmiertelną zbudziła grozę...

I cicho się stało tak... iż słychać było komarów brzęk i muszek lot... A oto zadźwięczał wzruszony, dziękczynny głos Mistrza z Nazaretu:

— Ojcze! Dziękuję, iżeś mnie wysłuchał...

I wyciągając rękę, rzekł z mocą:

— Łazarzu... wynijdź sam...

I była chwila, w której się zdało, że ludzkie serca zamarły, że stanął czas.

A oto w krwawej poświacie słonecznej... jak widmo z innego świata, zamajaczyła postać w bieli chust... z twarzą zakrytą...

— Rozwiążcie go.

Lęk unieruchomił wszystkich i tylko Marya podeszła do brata, rozwiązała mu chustami wedle zwyczaju skrępowane nogi i ręce i łagodnym, siostrzanym ruchem odsłoniła mu twarz... Spojrzał ku niej... jak człowiek z ciężkiego zbudzony snu, a potem te szukające, niespokojne źrenice spoczęły na ciemnej, wilgotnej głębi grobu i na jasnej postaci Chrystusa...

W ustach miał jeszcze wstrętny smak posoki...

Zrozumiał...

Przypomniał sobie wszystko... jeno treści owych czterech dni próżno pamięcią szukał... Zdawało mu się, że pomiędzy ową ostatnią nocą a przyjściem Pana ubiegło zaledwo mgnienie...

Marya Czeska.

Wrażenia z Kampanii Rzymskiej.

(Kampania jako jednostka geograficzna i historyczna)

III. Człowiek i jego działalność.

(Etnologia, historya, sztuka, przemysł, uprawa ziemi).

Jak świat zwierzęcy i roślinny, jak całe otoczenie i środowisko, tak też i człowiek sam ma tu mnóstwo cech specyalnych, temu miastu i okolicy jedynie właściwych. Należy jednak tu odróżnić Rzym od Kampanii, a w Rzymie samym element napływowy, zwłaszcza z ostatnich dziesiątek lat, od Rzymian właściwych. tych Romanidi Roma, których obecnie niewiele.

Bardzo zmiennem było zaludnienie miasta w ciągu wieków. Za cesarza Augusta miał Rzym do półtora miliona mieszkańców; wtedy to większą część miasta a raczej okolicy tworzyły wspaniałe wille bogatych Rzymian. Cała, teraz odludna Kampania, była ongiś jakby jednym wspaniałym ogrodem. Wynikało to naturalnie z zupełnie odmiennych stosunków społecznych. To nawodnienie tak obfite, ta uprawa całej okolicy, były możliwe wskutek ilości niewolników. Zdarzało się, iż niektórzy posiadali ich 10 do 20 tys. Z upadkiem niewolnictwa upadł też cały ekonomiczny i państwowy ustrój pogaństwa. Zaludnienie też nigdy tak wielkie nie było jak wtedy.

W drugiej połowie XIV w. liczy Rzym tylko 17 tys. mieszkańców. W XVI. w. wzrasta liczba do 200 tys. niespełna; za czasów Napoleona zmniejszyła się jednak znów o połowę. Odtąd

wzrasta stale ilość mieszkańców, a obecnie jest ich już przeszło pół miliona. Są to jednak przybysze przeważnie z Włoch, którzy bardzo się różnią charakterem i postawą od właściwych Rzymian, przypominających nieco powagą i energicznym wyrazem twarzy dawnych swych przodków. Wogóle przedstawia obecnie Rzym wielką mieszaninę z najrozmaitszych stron Włoch, a ważnym też czynnikiem są liczni turyści z za granicy. Znana jest włoska żywość temperamentu i towarzyskość. Życie włoskie przypomina tem starożytne, że odgrywa się, zwłaszcza w czysto włoskich częściach miasta, jak np. Trastevere (Zatybrze) bardziej na ulicach, placach publicznych i ogrodach, niż w zaciszu domowem. Uwagi godnem jest zmysł artystyczny, objawiający się nawet w układaniu najprostszych rzeczy, co na ulicach łatwo można zauważyć.

Dosyć różnym od współczesnego Rzymianina jest mieszkaniec Kampanii Campagnuolo. Zachował on więcej cech dawniejszych. Okolica Rzymu wogóle, mimo rozwoju samego miasta w czasach nowożytnych, została dosyć odludną i poważne robi wrażenie. Mieszkańcy jej też, zajmujący się przeważnie uprawą roli lub pasterstwem, o wiele są spokojniejsi. Rzadko słychać tu śpiew lub muzykę, a pasterze, zwykle na koniach, odziani w skóry ze strzelbą, bardzo oryginalnie się przedstawiają. Ciocciari zaś w barwnych dawnych strojach, obecnie rzadziej się spotykają w Kampanii, niż w mieście, gdzie służą licznym malarzom za wzory. Co do języka włoskiego, to znana jest zwłaszcza piękna wymowa Rzymian („lingua toscana in bocca romana“) Narzecze Kampanii ma też swe właściwości, np. pewne zmiękczenia, jak manjare, zamiast mangiare (jeść), choć nie tak bardzo różni się od języka, jak np. narzecze neapolitańskie.

Przystępując z kolei do opisu miasta samego należy przedewszystkiem zauważyć, iż nie chodzi tu wcale o szczegółowe przedstawienie. Byłoby to niemożliwe w tak ciasnych ramach. Chodzi tu tylko o miasto, jako centrum Kampanii, a więc wyłącznie o te ogólne cechujące i wyróżniające je rysy, o to ogólne wrażenie, jakie Rzym wywiera z tego samego punktu widzenia, co i Kampania

Rys charakterystyczny Rzymu, uderzający na każdym kroku, o czem każda ruina, każde arcydzieło nam tu mówi, to owa walka dwóch idei, to starcie się dwóch światów, tak sobie przeciwnych, świata chrześcijańskiego i pogańskiego, oraz zwycięstwa pierwiastka wyższego, potęgi duchowej nad materyalną. Od szczytu św. Piotra do głębi Katakomb, każdy kamień nam tu o tem mówi, każda ruina nam to potwierdza. To jest, czego w Rzymie szukamy i o czem też do głębi się przekonujemy. A wyrazem konkretnym tych dwu światów, przedstawienie tych dwu idei zwycięskiej i zwyciężonej, to bazylika św. Piotra i ruiny Forum, Palatynu i Koloseum. To jest, co każdy w Rzymie na pierwszem miejscu zwiedza i choć mu dobrze są znane z opisów i obrazów, to jednak rzeczywistość daleko je przewyższa. Co charakteryzuje bazylikę św. Piotra, to nie sztuka, architektura i styl, ale rozmiary przedewszystkiem i ta wielka ilość światła, ta jasność, co wszystko tu ogarnia. Jestto rzeczywiście Bazylika narodów; przy tej wielkości i takiem jasnem oświetleniu przychodzi styl romański do całego swego znaczenia. A jednak żeby sobie zdać sprawę z rozmiarów, trzeba się powoli przejść po tych obszernych nawach (187 m. długości), trzeba obejść dokoła cztery pilastry (71 m. obwodu) podtrzymujące kopułę (42 m. średnicy), trzeba się przekonać o rzeczywistych rozmiarach posągów (5—9 m.), wreszcie trzeba po trzech kwadransach dostać się na szczyt kopuły liczącej 137 m. wysokości. Bazylika rośnie po prostu w oczach widza, gdyż w pierwszej chwili równoległość linii, mnóstwo szczegółów, wobec oświetlenia jasnego w przeciwieństwie do gotyckiego stylu katedr północy, sprawia tak silne złudzenie, iż np. marmurowe aniołki podtrzymujące muszle do wody święconej, których głowy mają po kilka decymetrów średnicy, o kilka kroków odległości, zdają się być wielkości naturalnej. Na pierwszy rzut oka odczuwa się zawód; ale „bazylika św. Piotra to powolna piękność“. Dopiero zwolna wnika przekonanie ogromu i piękności w duszę widza. Ten kościół, to poniekąd świat dla siebie. Można tu np. zawsze znaleźć schronienie tak przed skwarem, jak i przed zimnem. Tem-

peratura św. Piotra tak niezależna od zewnętrznej, iż w ciągu roku tylko o dwa do trzech stopni się zmienia.

Niedaleko od św. Piotra widać zamek św. Anioła, ową „Moles Hadriani", pomnik jednego z najpotężniejszych Cezarów. Jakże on mały i nieznaczny wobec tego pomnika owego biednego niegdyś rybaka z nad jeziora Genezaret, który wszystko, czem był i czem został, zawdzięczał Chrystusowi. Tamtego popioły od dawna rozrzuciły hordy najeźdźców, tego nikt nie śmiał tknąć. A św. Chryzostom wspomina, iż o grobie takiego Aleksandra Wielkiego nikt nic nie pamięta, a o grobie św. Piotra świat cały wie i królowie przychodzą, by mu cześć oddać. (Homil. 26. do 2. l. do Kor.). Ten grobowiec księcia Apostołów, to pomnik najświetniejszego tryumfu, jaki kiedykolwiek został odniesiony.

Jeśli kościół św. Piotra imponuje ogromem, to żadna może bazylika tak nie wprawia w podziw bogactwem, oraz tem czystem, harmonijnem zlaniem się szczegółów w jedną całość, jak bazylika św. Pawła za murami. Uczucie, jakiego się tutaj doznaje, jest w całem tego słowa znaczeniu wzniosłem.

Podłoga marmurowa błyszczy się, jak powierzchnia wody, a konfesya i ołtarz, nad nią się wznoszący, olśniewają rozmaitością alabastrowych kolumn z Egiptu, malachitowych podstaw ze Sybiru, iskrzących się w świetle słonecznem mozaik i olbrzymich szeregów kolumn.

Kontrastem, uzupełnieniem ponickąd tego przepychu, to zacisze Trapistów w Tre Fontane. Las eukaliptusowy przenosi nas w krajobrazy australskie i świadczy, ile poświęcenia i cichej pracy leży w tem życiu milczących zakonników, których Pius IX sprowadził, by tę okolicę osuszyć, uprawić, uczynić przystępną dla życia ludzkiego. Ta to inna strona, inny rodzaj wielkich, większych może jeszcze, niż tamte, zwycięstw wiary nad sobą samym i światem.

Zupełnie inny obraz przedstawiają nam zabytki przeszłości starożytnej. Służyła ona nieraz za wzór tamtym, ale pod względem piękności i ogromu została przewyższoną arcydziełami chrześcijaństwa. Teraźniejsze zwaliska forum rzymskiego, potężne

arkady pałacu Cezarów, wznoszące się na Palatynie, dziwne szczątki niewidzianego przepychu, które tak trafnie nazwał Krasiński „wzgórzem ruin i kwiatów“, imponujące ruiny Koloseum, zdobne w harmonijnie nad sobą wzniesione doryckie, korynckie i jońskie kolumny, były poniekąd wzorem, które ożywione wyższą ideą i myślą głębszą, daleko potężniejsze wydały arcydzieła.

Ale jeszcze na jedną rzecz należy zwrócic uwagę; to jest ów podziemny Rzym, dotąd nie całkiem odkryty, przedstawiający nam w swych, nieraz prostych malowidłach pierwszych wieków, życie i wiarę chrześcijan z czasów prześladowań cesarzy. Katakumby, owe podziemne chodniki, których długość razem dosięgałaby 30) mil, zawierając do $3^1/_2$ miliona grobów, a których liczba jeszcze wskutek nowych odkryć coraz się wzmaga, są żywym wyrazem i podstawą historyi kościelnej pierwszych wieków. Tam się znajduje w zawiązku owa sztuka chrześcijańska, która później tak wielkie stworzyła arcydzieła.

Ale Rzym zawiera prócz tych zabytków, cały szereg innych jeszcze pamiątek ze wszystkich czasów i epok, z najrozmaitszych krajów i okolic. Wystarczy spojrzeć na owe iglice z placu św. Piotra i z piazza del Popolo, których pochodzenie sięga najbardziej zamierzchłych czasów przeszłości, dzieła Faraonów egipskich, co były świadkami niemymi tylu przewrotów i zdarzeń „Wiecznego Miasta“. Przypominają one mimowoli owe słowa Napoleona, iż czterdzieści wieków z nich spogląda na współczesne miasto.

A ileż to innych jeszcze skarbów kryje to środowisko minionych wielkości. Jakże miło przejść się wśród ogrodów na Monte Pincio, gdzie zebrane wszystko, co tylko pięknego wśród flory południowej znaleźć było można. Wystarczy spoglądać na te liczne posągi marmurowe, by sobie uświadomić ów szereg tak wybitnych osobistości, co uświetniły Rzym swą pracą i działalnością; taki Scypio, Tacyt, Wergiliusz, Ariosto, Michał Anioł, Marc 'Antonio Colonna, Veroneze, Rafael, Andrzej Doria i tylu innych. Marmurowe ich popiersia wznoszą się wśród kaktusów, kształtnych liści Akantu, Aloesów i kwitnących Rododendronów i Azalii; otoczeni barwnemi, woniejącemi różami i liliami,

w cieniu Palm, w pobliżu odświeżających powietrze i mieniących się w blasku słońca wodotrysków.

A jednak nie tutaj to należy szukać największych skarbów; w ciszy sklepień kościelnych i w klasztorach, tam się one znajdują. Tam, gdzie, jak na Awentynie w zaciszu klasztornem S-ta Sabina żyli i pracowali tacy mężowie, jak: św. Dominik, św. Tomasz z Akwinu, św. Rajmund z Pennafort, św. Pius V. lub gdzie spoczywają w All Gesu zwłoki ludzi świętych tej miary, co św. Ignacy z Loyoli lub św. Franciszek Ksawery, lub wreszcie owi najmilsi nam święci, św. Alojzy, św. Jan Berchmans i najdroższy nam św. Stanisław Kostka. Mimowoli nasuwają się owe, tyle prawdy zawierające słowa poety hiszpańskiego (Cervantes „Pozdrowienie pielgrzyma"):

Oh grande, oh poderosa, oh sacrosanta,
alma ciudad de Roma! —

To taki krótki rzut oka na to, co Rzym zawiera pięknego, wzniosłego, drogiego. Ale oprócz Rzymu starożytnego Cezarów, Rzymu z czasów renesansu, tych świetnych czasów sztuki za Leona X., mamy trzeci Rzym nowożytny, smutniejszy i ponury; to okres walk Kwirynału z Watykanem, owych zaciętych walk przeciw papiestwu, co takim blaskiem uświetniło „Wieczne Miasto". Może da Bóg, że i ta walka skończy się zwycięstwem tych, co przez tyle wieków byli prawowitymi następcami Księcia Apostołów na stolicy Piotrowej.

Ale jeśli Rzym sam tyle zawiera, iż niemożliwością w krótkich słowach tego objąć, to niemniej i Kampania ma tego rodzaju skarby. Najbardziej na uwagę zasługuje Tivoli. Jak miłem było Horacemu to dawne Tibur, świadczą miejsca z ód (II 6_5):

Tiber Argeo positum colono
Sit meae sedes utinam senectae,
Sit modus lasso maris et viarum
Militiaeque.

i owo drugie z ody do Melpomeny (IV 3_{10}):

Sed quae Tibur aquae fertile praefluunt,
Et spissae nemorum comae
Fingent Aeolio carmine nobilem.

Najchętniej i najczęściej opiewa Horacy swoje Sabinum i jego okolice położone niedaleko od Tibur, — odkryte przez Rosę. Opis zawarty w XVI. liście Ad Quinctium jeszcze teraz zgadza się z położeniem. Poeta kończy przedstawienie krajobrazu słowami (w. 15. i 16.):

Hae latebrae dulces, etiam, si credis, amenae,
Incolumem tibi me praestant Septembribus horis.

W Tivoli znajdujemy wcielone dwa okresy największego rozkwitu Rzymu pod względem potęgi, bogactwa, sztuki i architektury. Jestto pałac, a raczej willa Hadryana, w której zebrał, co na swych licznych podróżach najpiękniejszego znalazł w świecie starożytnym i sławna Villa d'Este, arcydzieło Renesansu, owego Rzymu Leona X.

Pierwsza ta ruina najwspanialszego pałacu cesarzy rzymskich, to olbrzymie szczątki potęgi Cezarów; cztery razy obszerniejsza od Palatynu, tak że ją uważano dawniej za starożytne Tivoli, dotychczas zadziwiając resztkami mozaik i dzieł sztuki, przenosi nas do świetnych czasów cesarstwa rzymskiego. Biograf Hadryana Spartian tak się wyraża: Stworzył on w swej Villi koło Tivoli cudo architektury; częściom nadał najsławniejsze nazwy różnych okolic i miejscowości: tak np Lyceum, Academia, Prytaneum, Canopus[1]), Poikile, Tempe i aby niczego tam nie brakowało, naśladował nawet państwo cieniów, Elizeum. Za cesarza Aureliana zamieszkiwała to „Palatium Hadriani" pokonana i uwięziona królowa Palmiry, Zenobia.

„Villa d'Este", niezbyt wielka co do obszaru, ale wspaniała urządzeniem. Zbudowana jest na szczycie sztucznego wzgórza, tak wysokiego, iż widać całą Kampanię aż po Rzym w dali z kopułą św. Piotra. Wzgórze to podzielone na cztery terasy amfiteatralne, w ten sposób urządzone jest, iż wodotryski niższych teras do poziomu najwyższego dochodziły. Po obu stronach olbrzymich schodów był szereg marmurowych lwów, z których paszczy tryskała woda, tworząc niby olbrzymie porę-

[1]) Olbrzymi basen, w którym urządzano sztuczne walki morskie.

cze wodne. Na pierwszej terasie tryskała woda z wielkiego 5 cio metrowego kielicha z mozaiki, na drugim z paszcz trzech wielkich spiżowych smoków. Na innej terasie znów był szereg 365 źródeł, a na każdym marmurowa rzeźba z metamorfoz Owidyusza, dalej olbrzymia pieniąca się kaskada z posągiem Minerwy, organy wodne, wieżyczki i balkony z cudnemi widokami i t d. Teraz wszystko pokryte mchem, bluszczem i malowniczemi paprociami, a stuletnie cyprysy, najstarsze w Rzymie, potrzaskane są przez pioruny. Wszystko to nadaje willi wygląd zamku zaczarowanego, przypominając opisy Eichendorfa.

Trudno powiedzieć, co bardziej godne podziwu, czy przepych owego pałacu cesarskiego, który łączy wszystko, co wspaniałego miała pogańska starożytność, czy też tą „Willa d'Este" jedno z największych dzieł sztuki XVI. w., które odnawiając myśli i dążenia minionych stuleci, stworzyło nową erę w rozwoju malastwa, rzeźbiarstwa i architektury. W każdym razie te ruiny, blisko siebie będące, są nadzwyczaj wierną charakterystyką czasów i epok, w których powstały.

Dla uzupełnienia obrazu należy jeszcze jedną strone uwzględnić, stronę bardzo ujemną Rzymu i okolicy. Byłaby to strona czysto materyalna. Co do przemysłu mianowicie, to Rzym zostawia dużo do życzenia. Przemysłu na wielką skalę zupełnie niema. — Dawniejsze cegielnie, które mają tu bardzo dużo materyału, istnieją tylko w małej ilości. Taksamo dzieje się przeważnie z przemysłem wełnianym[1]). Przeważnie wywożą surowy materyał. Zato rozwija się przemysł metalowy, zwłaszcza o ile odnosi się do sztuki. Dużo tu złotników, fabryk mozaik różnych, dużo rzeźbiarzy t. zw. „studio di marmi". Istnieją też fabryki jedwabiu. Nie brak naturalnie licznych zakładów fotograficznych.

Co do handlu, to wogóle Włochy dobre mają położenie i rzeczywiście handel niektórych miast bardzo się rozwinął. Rzym jednak do nich nie należy, bo okoliczności niekorzystne. Czynnikiem jednak bardzo ważnym tak dla Rzymu, jak i wogóle dla innych miast Włoch, to wielka ilość tych, co pragną zwie-

[1]) Produkcya wełny wynosi 800 tyś. kg.

dzić skarby historyczne tego miasta. Pielgrzymki też do Rzymu naturalnie ważną odgrywają tu rolę.

Co do okolic Rzymu, to południowa część, zwłaszcza równina między górami Sabińskiemi i Albańskiemi pokryta jest winnicami, podczas gdy północna bardziej się nadaje pod uprawę zboża. Charakterystyczną rzeczą w Kampanii, co też zresztą i w innych częściach Włoch się spotyka, to brak wsi w ścisłym tego słowa znaczeniu. Wszystkie osady są właściwie małemi miasteczkami o jednej ulicy i zawsze położone na szczycie góry lub wzgórza, co ogromnie się przyczynią do upiększenia okolicy. Pochodzi to stąd, iż były to dawniej twierdze mające na celu obronę przed napadami; charakter ten dotąd zachowały. Otoczone są winnicami lub polami, gdzie bogatsi mieszkańcy mają jeszcze osobne mieszkania.

W Kampanii istnieją jeszcze wielkie latyfundya z dawniejszych czasów[1]). Wydzierżawienie jednak gruntów t. zw. Mercanti di Campagna nie przyczynia się bynajmniej do podniesienia rolnictwa, ani uprawy wina[2]). Ten zanik mniejszej własności już za czasów cesarskich był pierwszym początkiem upadku Kampanii. Wogóle mieszkańcy pod względem materyalnym nie dobrze się mają. Znacznie więcej dochodu, niż uprawa ziemi, przynosi chów bydła[3]), istniejący w Kampanii od najdawniejszych czasów; bardzo się też opłaca chów owiec[4]). Chów zaś bawołów, które w VII. w. przybyły z Afryki, dosyć rozszerzony, zwłaszcza nad wybrzeżem morza.

Jeżeli się jednak rozważy, jak wysoko stała uprawa roli za czasów republiki i jak zaludnioną była Kampania, to trzeba przyznać, iż bardzo podupadła. Przedstawia się obecnie nadzwyczaj odludnie i pusto, zwłaszcza podczas gorących miesięcy

---

[1]) Wynoszące 6—20 tyś. hektarów.

[2]) Agro Romano obejmuje 203642 hektarów; z tego jest 12270 hektr. łąk; 54035 pastwisk; 95450 nieużytków; 2115 winnic; 1140 moczarów i stawów; 36954 hekt. lasu.

[3]) Ilość sztuk dochodzi do 60 tyś., która jednak nie wystarcza dla potrzeb miasta.

[4]) Liczba ich dosięga 450 tyś. sztuk, pasące się na blisko 100 hekt.

letnich, gdy wegetacya ustaje. Tak trafnie potrafił uchwycić to wrażenie Krasiński w epilogu do Irydyona:

„W Kampanii rzymskiej słońce wrzało nad pustynią i posępnie teraz u brzegów pustyni zachodzi. Nad piołunem piasków, nad sitowiem bagnisk, nad samotnemi sosnami wzgórz, nad cyprysami dolin już kołują cienie. Gwiazda wieczorna, dawnych ludzi bogini, żałobnie się wznosi i z nią kilka łez rosy tu tu i owdzie pada — Tylko na morzu jeszcze w krwawych połyskach gra kipiąca piana".

„Niziny wdowy amfiteatrów i wzgórza świątyń sieroty.

Tu i ówdzie widać drzewa o melancholijnem, zielonem listowiu. Tylko ruiny bluszczem pokryte, tyle powabu dodające okolicy, tworzą punkt oparcia dla oka.

Jak widać z tego, Kampania, stosownie do pory roku, zmienia swój wygląd. Mówiliśmy nieraz o krajobrazach wiosennych. W jesieni wrażenia są podobne, choć naturalnie nie tak silne i krócej trwające, raczej nacechowane pewnym melancholijnym nastrojem.

Pomimo tego w ogólnych zarysach zawsze wygląda dosyć opustoszała, że względu na wspomniane ciężkie warunki. Jeśli się jednak rozważy przeszłość tego kraju, historyę, jaka się odegrała na tych polach, to mimowoli ożywia się ten krajobraz i nabiera pewnego znaczenia, które go wyżej stawia od tylu innych, ludnych okolic. Tutajto niegdyś odnosił Rzym swe pierwsze tryumfy wojenne; w tychto okolicach za cesarzy wspaniałe wille i zamki patrycyuszów rzymskich zamieniły okolice w wspaniałe ogrody. Tutajto feudalizm średnich wieków doszedł do tak wielkiej potęgi; tutaj wreszcie każda ruina ma swą wiekową historyę, każda piędź ziemi była widowiskiem historycznych zdarzeń. To też mimo zewnętrznego opustoszenia, dziwny urok przeszłości otacza te okolice, ożywia opustoszałe przestrzenie, przedstawia tyle interesu dla każdego, któremu przeszłość droga. Mimowoli każdy, co pozna te okolice, z niemi się zżyje, niełatwo o nich zapomni. Będzie to coś z tego uczucia wyrażonego w psalmach, co tak pięknie da się zastosować do Rzymu:

Si oblitus fuerim tui, Roma, oblivioni detur dextera mea. Adhaereat lingua mea faucibus meis, si non meminero tui, si non proposuero Romam in principio laetitiae meae.

Pochodzi to wrażenie właśnie ze zespolenia tych wszystkich czynników, co tak silnie działają na umysłowość każdego. Czynniki natury zewnętrznej, światła, flory, ukształtowania krajobrazów, połączone w jedną harmonijną całość z tak potężnym czynnikiem historycznym i religijnym. Kampania ma pod każdym z tych względów swoje specyalności, które ją tak wybitnie odróżniają, jakieśmy to szczegółowo widzieli. Najbardziej ją jednak wyróżnia właśnie to zlanie się naturalnych i historycznych czynników, to czyni ją właściwie taką jednostką, jedyną na świecie. A historya tej jednostki, tak bogata i obszerna, da się krótko w dwóch słowach wyrazić:

to potęga państwa rzymskiego i znaczenie Papiestwa.

Państwo rzymskie było urzeczywistnieniem poniekąd ideału państwa militarnego, jednoczącego cały ówczesny świat. Ideału, o który napróżno kusili się później cesarze niemieccy.

Znaczenie Papiestwa było wprost przeciwne co do środków. Było to zjednoczenie całego świata pod ideą pokoju i miłości, owego hasła Boga — człowieka

Dla obu był Rzym z Kampanią ośrodkiem i podstawą działania. Rzymianie doszli do władzy mieczem i zewnętrzną potęgą wojowniczego państwa. Papiestwo zaś prawem pokoju, owem najbardziej w historyi ludów uzasadnionem i niezaprzeczonem prawem. Posiadanie Rzymu i Kampanii dla obu było uzasadnionem i uprawnionem. Dla państwa rzymskiego nikt nigdy tego prawa nie zaprzeczał, dla Papiestwa zaprzeczali je ci, co nierozumieli, czem jest najbardziej w naturze ludzkiej uzasadnione prawo, na podstawie którego władza może przejść w posiadanie kogo innego bez żadnej z nikąd trudności, przez ogólne uznanie świata.

Rzym z Kampanią stał się z czasem podczas wędrówek ludów, zwłaszcza w VIII w. wśród najazdu Longobardów, okolicą, której cesarze bizantyjscy, ani nie mogli już, ani nie zamierzali obronić. Stało się to dla nich takie „bonum derelictum".

Tymi, którzy z natury rzeczy, stali na czele tych krajów, uznani jednomyślnie przez mieszkańców, byli papieże. Podstawa tego znaczenia była podwójna, najpierw rozległe dobra, które już za Grzegorza I. W. stały się bardzo obszerne wskutek licznych darowizn i zapisów[1]), po drugie przez działalność na korzyść miasta i ludności, zwłaszcza przez tylokrotną obronę przed najeźdźcami. Jak znane cofnięcie się Attyli na prośbę Leona I. 452. r, a w trzy lata później powstrzymanie Genzeryka od rozlewu krwi przy zajęciu miasta, taksamo też później np. obrona przeciw Longobardom wskutek wezwania Franków przez Stefana III. Cała ludność, opuszczona przez cesarzy wschodnio-rzymskich, którzy względem tych krajów przestali wypełniać swoje obowiązki bronienia ich przed najazdami, zaczyna coraz bardziej oglądać się na papieży. Siłą rzeczy papieże zajęli stanowisko górujące i objęli pod swą władzę kraj opuszczony przez swych dawnych władców. Był to fakt najsilniejszego przeprowadzenia w posiadanie władzy opuszczonej przez dawnego przedstawiciela. Więcej nie potrzeba, by wykazać prawność posiadania[2]).

Prócz tego mamy i inne dokumenta. Najstarszym dokumentem zachowanym (choć nie całkiem w dosłownem brzmieniu), potwierdzającym Papieża w posiadaniu państwa kościelnego jest przywilej Ludwika Pobożnego z r. 817.

Z tego jednak, że nie zachowały się starsze dokumenta tej treści, nie świadczy, jakoby nigdy nie istniały. Zachowanie się samo Papieża i Karola W. wobec Stolicy św., wraz z całym szeregiem innych dokumentów, potwierdzają istnienie świeckiej władzy Papieży w państwie kościelnem.

---

[1]) Np. darowanie Sutri Grzegorzowi II. przez Luitpranda. Te dobra, jako własność prywatna Stolicy św, nie mogły być podstawą bezpośrednią władzy państwowej; pośrednio jednak, wzmagając znaczenie i wpływ Papiestwa, mogły się przyczynić do jej osiągnięcia.

[2]) Z czasów Hadryana I. mamy już nawet monety bite z wizerunkiem Papieża, jako „Władcy" Rzymu w latach 772—95, co byłoby dowodem ogólnego uznania. (Pflug — Harttung, Hist. Jahrb. 1904).

Dopiero XIX. w. przyniósł zgwałcenie tego wiekowego prawa. Oby wynik wojny światowej doprowadził znów do praktycznego przeprowadzenia owej tak pięknej zasady (figurującej od dwustu lat już jako hasło orderu pruskiego Czarnego Orła):

Suum Cuique!

Ks. M. Skibniewski T. J.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Casus conscientiae in praecipuas quaestiones Theologiae Moralis proposuit et solvit Dr. Carolus Szczeklik, Theol. Mor. in Seminario Tarnoviensi Professor ordin. Editio secunda, aucta et emendata a Dr. Josepho Lubelski, Theol. Mor. in Seminar. Tarnov. Professore suppl. Tarnoviae, Typis Jos. Pisz, 1917. In gr. 8-o, str. XV—316.

Pomimo istniejącej, wcale nie szczupłej, literatury kazuistycznej, odczuwało się zawsze potrzebę nowych tego rodzaju dzieł. Posiadane bowiem dotychczas nie zawsze czyniły zadość wymaganiom; jedne może za bardzo teoretyczne i zawikłane, inne nie wzięte z otaczającego nas życia i stąd za mało praktyczne. Wady te przyczyniły się zapewne niemało do rozlicznych ujemnych sądów, które, uogólnione, doprowadziły niejednego do potępienia wszelkiej kazuistyki. Wyrok taki jednak pomijając już, że pochodzi on zwykle od ludzi nie rozumiejących ani potrzeby ani celu tej rzeczy, jest oczywiście mylnym. Prawdziwa bowiem kazuistyka jest również działem wiedzy, opartym na zasadach zdrowej teologii moralnej i polega na tem, że ogólne, oderwane zasady moralne zastosowuje się do poszczególnych, konkretnych wypadków w życiu.

Obok powyżej wspomnianych racyi istniały u nas jeszcze inne. W obcych dziełach kazuistycznych daremnie czasem szukaliśmy objaśnienia niektórych wypadków zachodzących u nas, zwłaszcza u ludu. Okazała się więc potrzeba swojskich podręczników, któreby uwzględniły ducha naszego społeczeństwa, jego warunki życia i pewne, jemu

właściwe błędy. Potrzebie tej uczynił zadość ś. p. X. Dr. Szczeklik, wydając w r. 1906 „Casus conscientiae". Jak bardzo na czasie było to dzieło, dowodem jest szybkie jego wyczerpanie, po którem nastała dłuższa przerwa. Dopiero w r. 1917. podjął się nowego wydania X. Dr. Lubelski, uzupełniając je sporą liczbą nowych casus, które obrobił na podstawie wzorów, jakie podają Bucceroni, Lehmkuhl i Gury; nadto uwzględnił on w odpowiednich miejscach nowe przepisy austryackiego prawa cywilnego.

Jakkolwiek dzieło X. Szczeklika jest szeroko znane, nie zaszkodzi jednak, ze względu na nowe jego wydanie, wspomnieć raz jeszcze zalety, które je odznaczają. Jest ono przedewszystkiem gruntowne i podaje rozwiązania w zwięzłej wprawdzie formie, ale motywuje je ściśle i opiera na zasadach ogólnych. Rozbiera liczne wypadki, u nas szczególniej zachodzące, uwzględnia usposobienie i zapatrywania, oraz wszelkie okoliczności łagodzące lub obciążające. Poszczególne kwestye przedłożone są nie w oderwaniu ale konkretnie; autor nietylko uzasadnia, ale rozwiązuje a odpowiedzi daje jasne, zdecydowane i przejrzyste, okazując się w tem wszystkiem zarówno nauczycielem jak i lekarzem dusz. Jest to więc książka rzeczywiście praktyczna.

Znajdziemy w niej wprawdzie i braki, są one jednak nieliczne i drobne w porównaniu do stron dodatnich. Tak np. wzgląd na pewne więcej rozpowszechnione zapatrywania zanadto silnie wpływa czasem na wydanie wyroku przy fakcie szczegółowym. Podobnie należałoby może, zamiast ogólnikowego rozwiązania, położyć niekiedy większy nacisk na faktyczny stan sumienia w konkretnym wypadku. Tu i ówdzie byłoby bardzo pożytecznem, podać więcej uzasadnienia naukowego i poświęcić nieco więcej miejsca pewnym niebezpieczeństwom, zagrażającym nietylko ludowi, ale i innym warstwom społeczeństwa. Życzyćby sobie również należało, żeby to dzieło uzupełnionem zostało, na wzór innych, drugą częścią, która zawierałaby także dział o sakramentach, zwłaszcza pokuty i małżeństwa, oraz inne praktyczne wypadki z prawa kanonicznego i teologii pastoralnej.

Z tem wszystkiem jednak dzieło zatrzymuje w zupełności realną swą wartość. Zresztą życzenia nasze zawsze muszą zachować pewną miarę i nie powinny iść za daleko. Każdy moralista wie dobrze, że podręcznik kazuistyczny nie może całkowicie zastąpić studyum teoretycznego teologii moralnej; trzeba najpierw przejść longum iter per praecepta a wtedy dopiero wejść na breve et efficax per exempla.

Ks. Romuald Kudasiewicz. T. J.

B. Dr. J. S. Pelczar **Zarys dziejów kaznodziejstwa w Polsce.** Kraków, 1917 r. str. 477—XIII.

Wreszcie w ostatnich latach poczyna się objawiać u nas żwawszy ruch w nauce teologicznej, przynoszący na niektórych polach prawdziwie poważny i trwały plon literacki, że wymienimy choćby liturgikę (B. Nowowiejski Ant. Julian) a szczególnie nauki Pisma św. Lecz wiele jeszcze ugorów leży odłogiem, a między nimi i historya kaznodziejstwa w Polsce. Jakżeż nieliczni są bowiem badacze przeszłości naszej homiletycznej, mianowicie w porównaniu z historykami literatury świeckiej! Na palcach możnaby policzyć monografie o naszych potentatach retorycznych. Ale na szczęście nić tradycyi z rąk Starowolskich, Siejkowskich, Hołowińskich, Mecherzyńskich, Szpaderskich podejmują nowocześni badacze i świeccy jak Lucyan Malinowski, Al. Brückner, Bolesław Erzepki, gdy chodzi o średniowieczne kaznodziejstwo, a także duchowni jak najpłodniejszy ze wszystkich Alojzy Jougan, Józef Caputa, Kosiński, autor świeżej monografii o Jacku Mijakowskim, kaznodziei barokowym, no i nieznużony, ruchliwy, wielostronny biskup przemyski, Pelczar.

Dostojny Autor wydał w latach od r. 1896—1900 olbrzymie, trzytomowe dzieło wraz z dodatkiem do części II. „Zarys dziejów kaznodziejstwa w Kościele katolickim", *) gdzie całą Część II. poświęca kaznodziejom polskim. Otóż po 20 latach przejrzał tę część II., uzupełnił, nawet rozszerzył i wydał obecnie jako odrębne dzieje kaznodziejstwa polskiego. Jakiż jest więc najpierw stosunek do pierwszego wydania?

Autor szczególnie dwa pierwsze rozdziały, jak sam pisze w „Przedmowie", rozszerzył, uwzględniając mianowicie badania Brücknera, a ostatnie rozdziały na nowo opracował, omawiając najnowszych kaznodziejów, całość opatrzył „Alfabetycznym spisem" i dołączył „Dodatkowy wykaz niektórych kaznodziei w tem dziele pominiętych" (str. XIII). Tak to książka staje się niemal nową, dla dziejów kaznodziejskich niezbędnym nabytkiem. Stąd warto jej się przypatrzeć z krytycznego stanowiska i określić jej stosunek do całokształtu badań homiletyczno-historycznych.

„Zarys dziejów" podaje przegląd naszych kaznodziejów i dzieł kaznodziejskich od św. Wojciecha i fragmentu kazania, wydanego przez

*) Pochlebne recenzye o dziele można znaleźć na łamach „Przeglądu powszechnego" od r. 1896 począwszy.

Glogera oraz Kazań Świętokrzyskich aż do najnowszych kazań ledwie oswojonych ze światłem dziennem z „Miesięcznika katechetycznego i wychowawczego“ i „Nowej Biblioteki kaznodziejskiej“. Jest to wprost olbrzymi materyał, więc praca nielada zawrzeć go w jednotomowem dziele. Musiał się Autor ograniczać po części do katalogowych spisów kaznodziei i kazań, a rzadko mógł dawać charakterystykę autorów i ocenę ich dzieł. Byłoby to nawet rzeczą niemożliwą dziś już podawać historyę literatury kaznodziejskiej, jak mamy historyę literatury świeckiej, bo za mało jest jeszcze w dziale homiletycznym studyów przedwstępnych. Sam Autor przyznaje w „Przedmowie“: „Rozumie się, że i drugie wydanie nie jest wyczerpujące, bo zawsze tylko „Zarys dziejów“; stąd dla krytyki i dla monografii zostaje jeszcze szerokie pole“.

Nie dziw więc, że zakradły się do dzieła z natury rzeczy niektóre niedokładności, na jakie niech mi będzie wolno zwrócić uwagę, by przy wydaniach późniejszych ułatwić pracę. Zarazem jesteśmy co do niektórych rzeczy innego zdania.

Tak pisze dostojny Autor, że Kazania Gnieźnieńskie od Świętokrzyskich „tonem i układem nie wiele się różnią“. Prawda, że w obóch zbiorkach znać ślady scholastycznej drobiazgowości w podziałach i różnice ich, znamiona epoki, ale jednak znaczna jest między nimi różnica. Najpierw Kazania Świętokrzyskie są więcej moralizujące, Gnieźnieńskie allegoryczne, Świętokrzyskie unikają legend i dykteryjek, Gnieźnieńskie czerpiąc je z Legenda aurea, lubują się wprost w nich, język w Świętokrzyskich jędrny, o wiele lepszy niż w Gnieźnieńskich, słowem męski, trzeźwy teolog w Kazaniach Świętokrzyskich góruje wybitnie nad tkliwym, łatwowiernym, kobiecym autorem Gnieźnieńskich.

Dalej co do kazań Paterkowych nie widzimy powodu, żeby tylko dwa uważać za kazania, a resztę za traktaty. Wykażemy w osobnej rozprawie, na innem miejscu, że wszystkie trzy, a raczej naszem zdaniem ośm czy dziewięć są kazaniami. Wskazują na to i ton i duch retoryczny, końcowe modlitwy tak używane w średniowiecznych kazaniach np. u Bertolda z Ratyzbony, św. Bernarda, Petra de Palude, sposób używania takich zwrotów jak „wtóre pytam“ (174), „ale by rzekł“ (175), „też kiedy baczymy“ (183 i 184) [1]. Zresztą i Brückner (Rozpr. Wydz. fil. t. XXV) i Fijałek (Przegl. polski 1900) godzą się na to, że to kazania.

[1]) Strony według Malinowskiego w Sprawozdaniach Komisyi językowej, t. I.

Paterek z Szamotuł zaraz po zostaniu magistrem (statim post promotionem) a więc po r. 1504, jak podaje Liber promotionum, wstąpił do Bernardynów (por. Sprawozdania Kom. jęz. t. I.). Dalej prócz Paterka i Kazania na dzień Wszech Świętych mamy w XV. w. dwa bardzo ciekawe kazania Augustyańskie, wydane przez X. Czajkowskiego i J. Łosia (Mat. i Prace Kom. jęz. t. II. 1907 r.). Idąc za Mecherzyńskim, podaje Autor jako rok śmierci Pawła Sarbińskiego, Dominikanina z Winiar p. Poznaniem rok 1559, tymczasem jak dowodzi Erzepki (Nieznane zabytki piśmiennictwa polskiego, Poznań 1895) umarł nasz kaznodzieja 1563 r. w Ptaszkowie pod Grodziskiem. Dowcipnego kaznodziei Feliksa Kierśnickiego dzieło „Wolny głos" ma w tytule tak w 1. jak i w 2. wydaniu „na puszczy literalnego sekwestru", a ma być „literatnego" (por. wyd. Warsz. 1727 r.). Autor pisze Łańcucki, według mowy Kościuszkowskiej z przed stu laty, X. Kilińskiego, co wydał jego mowy 1856 r. i Estreichera jest Łancucki. Dalej podaje Autor Hiacyntego Zakrzewskiego między kaznodziejami, jakoby to był ksiądz, a to był świecki, sędzia i członek departamentu, jak przy wydaniu mowy (Poznań 1817 r.) zapisane. Pisze Autor, że X. Hozakowski „prowadzi redakcyę „Unitasu", tymczasem był on redaktorem „Mies. kość." tylko do r. 1912, poczem objął redakcyę X. Kantak, a zresztą pismo już w połowie 1914 r. przestało wychodzić. O X. Wartenbergu czytamy, że obecnie jest proboszczem w Kamienicu, tymczasem umarł już 6. marca 1913 r. (Elenchus 1914 r.).

Potem znachodzi się szereg pomyłek co do nazw naszych miejscowości: Łukaszewicz działał w „Żarkowie", ma być „Żerkowie", Okoniewski w „Buźnie" ma być „Buinie", Stablewski urodził się w „Wichowie", ma być „Wschowie", podobnie zamiast „w Zbąszynie" mówimy „w Zbąszyniu". Mogą być niektóre i błędy drukarskie, lecz między „sprostowaniami" Autor ich nie podaje.

Kto przegląda olbrzymie, niekończące się niemal litanie nazwisk i nazw, ten grąży się w zdumienie wobec tego bogactwa literatury kaznodziejskiej, bogactwa, którego się nie spodziewał a ledwie przeczuwał. Tymczasem „Zarys" nie podaje jeszcze wszystkich kaznodziejów, choć drugie wydanie pomnożone, lecz jeszcze bardzo niezupełne, boć jednostce trudno wszystkich autorów kaznodziejskich zebrać, nie mówiąc już o wszystkich kazaniach. Tak znaleźliśmy jeszcze dwa tomy Sermones Tomasza de Strzempino Wielkopolanina w Archiwum kapitulnem (M. s. 19 i 20) w Gnieźnie, zaś w trzech bibliotekach poznańskich kilkudziesięciu autorów, których „Zarys" nie wymienia, a dodać

należy, że w dwuch książnicach znikomie mniejsza część nam była przystępna ze względu na układające się dopiero spisy. Nie wymienia też Autor wszystkich kaznodziei zawartych w X. Jougana pracy „Nasze kazania zbiorowe". Rozumie się, że większa część kaznodziei, to autorowie jednego dzieła, ale są między nimi i autorowie całych zbiorów jak Szymon od Św. Antoniego (Gdańsk 1751 r.) Förster (Leszno i Gniezno 1845 r.). Podkreślając fakt ten, nie myślimy, broń Boże, czynić tem zarzutu Dostojnemu Autorowi, jedno wskazać na przebogatą i nieprzebraną obfitość naszych kazań jak i możliwie przyrzucić cegiełkę do uzupełnienia przyszłych wydań w myśl samego Autora, który już to świeże wydanie zaopatruje w dodatkowy wykaz autorów nietylko wybitnych, ale i pomniejszych.

Choć Autor pominął tylu kaznodziejów, nie traci na tem wspaniały obraz naszego kaznodziejstwa, jaki przedstawia nam cenna książka. A jest to obraz żywy i barwny, bo umiał Autor mimo pewnej suchości przedmiotu urozmaicić go miłym i zajmującym sposobem pisania. Tak na szczególną uwagę zasługują ogólne poglądy na okresy kaznodziejstwa, znakomity, krytycznie nakreślony jest mianowicie pogląd na okres makaronizmu i florydaczyzmu.

Już swego czasu pisał o pierwszem wydaniu recenzent w Przegl. powsz., że według jego mniemania Autor uwzględnił w swem dziele wszystkie poważniejsze studya; możemy tu dodać, że w tem wydaniu korzystał i z wydawnictw nowszych. Z Kosińskiego dzieła o Mijakowskim pewnie nie korzystał, boć równocześnie oba dzieła wychodziły.

Dla ogółu księży ma „Zarys" to niezmierne znaczenie, że mogą nietylko zaznajamiać się z dziejami homiletyki, ale, co w praktyce takie ważne, na jego podstawie uzupełniać krytycznie swoje biblioteki kaznodziejskie, uwalniając się stopniowo od zdaniem naszem szkodliwego wpływu niemczyzny.

Również niemała jest wartość „Zarysu" dla badań naukowych. Obejmując całokształt naszego kaznodziejstwa, daje pogląd na poszczególne okresy, uwypukla postaci wybitniejszych kaznodziei, którymby należało osobne poświęcić monografie, przypomina dobitnie, że tak mało dotąd pracowaliśmy nad badaniami homiletycznemi i zachęca w przedmowie uczonych nietylko duchownych ale i świeckich, by głębiej sięgnęli do tych skarbów kultury polskiej, jakie zawierają w sobie dawne nasze pyłem bibliotecznym okryte grube foliały dzieł kaznodziejskich.

X. Nikodem Cieszyński.

Stanisław Zakrzewski: **Źródła podań tyniecko-wiślickich** Kwartal. hist., Lwów 1914. (Odbitka z Kwart. hist.).

Do niewielu historyków polskich, którzy starają się naszą przeszłość dziejową, osnutą jeszcze grubą pomroką, wyświetlić, należy Dr Stanisław Zakrzewski, prof. uniwersytetu lwowskiego, niestrudzony badacz VIII—XII wieku. W pracach swych wnika on nader śmiało w stosunki kościelno-polityczne budującej się Polski z sąsiednią Słowiańszczyzną a szczególnie z Czechami i Morawą, z Niemcami oraz i w stosunek kultury Zachodu i Wschodu do Polski. Do tego rodzaju prac zaliczyć należy i rozprawę pt. „Źródła podań tyniecko-wiślickich", w których poematy epiczne o Walterze i Helgundzie, oparte o motywy polskie lokalne, jakie Kronika Wielkopolska i Herby rycerstwa Paprockiego przekazują, ujmuje w całość podań tyniecko-wiślickich, roztrząsając ich źródła rozrzucone na terenie Europy środkowej i zachodniej.

Rezultat pracy streszcza prof. Zakrzewski w tem, że poemat Walter i Helgunda dostał się do nas ze źródeł nie niemieckich, lecz prawdopodobnie burgundzko-włoskich; podanie zaś wiślickie odbija rzeczywiste rysy nieznanej dotąd historyi Polski w IX w., odsłaniając postać księcia polskiego Wisława. Autor ukazuje nam w niej nieznane horyzonty, z którymi się kultura polska już od IX. względnie od VIII. wieku stykała. Szczególnie uwydatniają się rysy dziejowe pierwotnych zawiązków dziejów Polski nad Wisłą w historycznym czy legendarnym bohaterze Wisławie.

Autor docieka, z jakiemi ogniskami był związany poemat (niewierszowany w polskim przekazie) o Walterze z Akwitanii, któremu przypisują powszechnie germańskie pochodzenie a autorstwo niejakiemu Ekkehardowi, Benedyktynowi w klasztorze w San Gallen w X. w. Na podstawie szeregu spostrzeżeń, jakie poczynił nad poematem, znajdującym się w kronice benedyktyńskiego klasztoru w Piemoncie w Novalese, dochodzi do wniosku, że areną powstania poematu o Walterze in crudo są klasztory benedyktyńskie a to longobardzko-włoskie i to te, które były w bliższych stosunkach z Burgundyą a przez nią z Akwitanią. Walter sam jako bohater poematu ma być Benedyktynem!

Dotychczas rozpatrywano stronę tego poematu o Walterze i Helgundzie i pozostającego z nim w związku podania o Wisławie oraz o Piotrze Właście, jakie się znajduje w Kronice Wielkopolskiej (po łac.) i Herbach rycerzy Paprockiego (po polsku) z punktu historyczno-

literackiego. Z punktu widzenia historycznego, ale jako osobne części, rozważa te podania już Długosz, Bielowski, Szajnocha, Potkański. Autor zaś chce te podania związać w całość. Rozpatruje więc, skąd się wzięły, w jakim pozostają stosunku do Kroniki Wielkopolskiej i wzajemnie do siebie. Ze zestawienia tekstu i porównania z kroniką Wincent. Kadłubka dochodzi autor do wniosku, że podania o Piotrze Włascie jak i o Walterze i Helgundzie oraz i Wisławie są starszego pochodzenia od Kroniki Wielkopolskiej, a wiślickie podanie pochodzi z przed 1135. Wskazuje dalej tyniecki charakter jako na źródło proweniencyi tych podań w związku z dziejami rodu Toporczyków. Całość podania tynieckiego o Walterze i Helgundzie przeszczepione zostały ze środowiska burgundzko-włoskiego do opactwa benedyktyńskiego do Tyńca, gdzie ród Piotra Własta władał jako pan licznych włości, i razem z innemi podaniami o Piotrze Własicie dostały się do Kroniki Wielkopolskiej. Z Tyńca potem przechodzi podanie na ród Toporczyków, który był spadkobiercą majątków po Własatach wskutek związków małżeńskich. Niejasny jest stosunek tradycyi rodu Piotra Własta do części podania tyniecko-wiślickiego o Wiślicy i o księciu Wisławie. Według historyków, zajmujących się dziejami Wiślicy, tradycya o Wisławie sięga końca IX. w., kiedy faktycznie istnieje historyczny książę Wisław, który był jednak księciem czeskim. Żyje on i w poezyi rycerskiej bądź jako książę czeski bądź polski. Był to jednak według mniemania autora polski książę, którego pamięć przylgnęła do Wiślicy oraz do klasztoru świętokrzyskiego na Łysej Górze jak i do tutejszej topograficznej nomenklatury. Związanie zaś Tyńca z Wiślicą jak i przeniesienie tej postaci Wisława z gruntu czeskiego w sferę historyi polskiej chce autor wyjaśnić drogą najdawniejszych dziejów benedyktyńskich organizacyj, przez stosunek św. Wojciecha, jego brata Gaudentego Radzima, jego uczniów Anastazego i innych eremitów jak biskupa krakowskiego Popona, syna Chrobrego, uczniów św. Romualda.

Na pytanie dotąd piekące co do proweniencyi literackiego źródła o Walterze i Helgundzie, której dotąd nie poruszano, autor stara się odpowiedzieć. Zestawia więc odnośne rękopisy co do Waltera i Helgundy (których liczba nie dochodzi do dziesięciu) kilkanaście fragmentów, wiadomości o rękopisach zaginionych, sięgających odległej starożytności; porównuje tekst łaciński polskiej wersyi podania wiślickiego „de proditione Urbis Vislicensis“ z Kroniki Wielkopolskiej z tekstem polskim Paprockiego i „Excerpt“ z Kroniki w Novalese. Do

odtworzenia jednak pierwowzoru, stanowiącego materyał, na podstawie którego Kronika Wielkopolska stworzyła sobie opowiadanie o Walterze, Helgundzie i Wisławie, autor nie dochodzi. Odsłania tylko fakta, że pierwowzór legendy o Walterze i Helgundzie był spojony postacią Wisława a nie Kronika spoiła dwa oddzielne podania w jedną całość. Kronika Wielkopolska idzie za Kroniką Wincentego i uzupełnia ją. Wincenty znał podania związane z Wiślicą, a nawiązujące do polskich motywów legendy o Walterze i Helgundzie, już przed zredagowaniem Kroniki Wielkopolskiej. Tak autor dochodzi coraz bliżej do wyjaśnienia stosunku podania o Walterze, Helgundzie i Wisławie przez porównanie podań tyniecko-wiślickich benedyktyńskich z Kroniką z Novalese. Wiadomo, że typ legendy o Walterze i Helgundzie jest pochodzenia benedyktyńskiego, jak sam spis rękopisów wykazuje. Zastanawia się następnie autor nad konstrukcyą podania tyniecko-wiślickiego i wyszukuje momenty chronologiczne w niem tkwiące. Wiślica zaznacza się w historyi samoistnością jak w XII. i XIII. wieku a szczególnie za Władysława II., Mieszka Starego. Zamek wiślicki zburzono w 1135. Z Wiślicą łączą się dzieje i Tyńca. I tu tkwi według autora klucz powstania wątka legendy, który obydwa te grody wiąże. Wyjaśnienie powstania legendy, łączącej dzieje Tyńca i Wiślicy, mogą dać najdawniejsze stosunki kościelne, w których ramach Tyniec i Wiślica mogły być sobie bliższe niż później, kiedy Tyniec pozostał przy Benedyktynach a Wiślica znalazła się w kręgu organizacyi kościoła krakowskiego. Autor stawia sobie pytanie, wychodząc z tamtej legendy, jaki jest stosunek Waltera do Tyńca i odpowiada, że jest to pan tyniecki. Zastanawia autora „kruchy“ szczegół, który mimo to ma jednak dla autora znaczenie; wyjaśnia bowiem, gdzie szukać najdawniejszych znamion, określających, którędy legenda o Walterze i Helgundzie przeszczepiła się na grunt polski. W tym celu wykrywa autor pewne wspólne podobieństwa swojskiej legendy z Kroniką benedyktyńską. W klasztorze pobenedyktyńskim Norbertanów pod wezwaniem św. Wincentego we Wrocławiu znajdują się imiona między kommemoracyami za zmarłych jak Helegunda i „Walterus“, które cieszyły się na Śląsku w XII. i XIII. w. popularnością. Benedyktyni owego konwentu uważali naówczas tynieckie opactwo za macierz. Co do treści nawet legenda tyniecko-wiślicka ma wielkie podobieństwo do Kroniki benedyktyńskiej z Novalese odnośnie do Waltera i Helgundy. W jaki sposób, stawia pytanie autor, przeszła ta legenda do Benedyktynów tynieckich względnie do Polski? Według autora mógł się ten

poemat z Novalese przedostać wraz z innemi annalistycznemi zapiskami, kodeksami i relikwiami bądź za Kazimierza Odnowiciela około r. 1030 przez opactwo benedyktyńskie w Dijon we Francyi, gdzie tenże pobierał wykształcenie (ostatnie bowiem pozostawało w bardzo bliskim duchowym związku za czasu bardzo wpływowego opata benedyktyńskiego, Wilhelma z klasztorami benedyktyńskimi w Kluniaku i we Włoszech, (w Lombardyi), bądź wcześniej jeszcze przez ucznia tego ostatniego, Astryka Anastazego a opata klasztoru łęczyckiego, bądź też wprost z Novalese za Bolesława Chrobrego, którego stosunki łączyły z królem lombardzkim, Ardninem. Wszak według autora organizacya opactwa tynieckiego miałaby przypaść na czasy męczeństwa św. Wojciecha, względnie wiek X, więc czasy przed Kazimierzem Odnowicielem, który ma być domniemanym założycielem tegoż opactwa. Z przeszczepionego kultu niektórych świętych do Tyńca jak św. Wita, Maurycego, również z charakteru roczników kapitulnych tynieckich wykrywa autor również wczesny związek tynieckiego opactwa w X. i XI. w. z opactwami w Kluniaku i burgundzko-włoskiemi, oraz i jego kontakt z całym ówczesnym ruchem naukowym benedyktyńskim, którego reprezentantem był sławny opat Wilhelm. Tą drogą więc, jak sądzi autor, mogła się przedrzeć wersya o Walterze i Helgundzie, pokrewna z legendą w Novalese.

Z drugiej strony na podstawie Długosza i na podstawie przejawu kultu niektórych Świętych u tynieckich Benedyktynów autor zaznacza pewną łączność dziejową Tyńca i jego kultury z bardzo wybitną postacią naówczas, Piotrem Własteм, wojewodą króla Bolesława Krzywoustego, względnie jego rodem, który dzierżył bardzo rozległe latyfundya na Śląsku i Małopolsce (Korczyn, Miechów) jako hrabia na Skrzynnie i Książu i fundował w swych kompleksach dóbr do 70 kościołów i klasztorów, między nimi w Tyńcu, Wrocławiu oba opactwa, Siewierzu, Opatowie; również fundacya klasztoru jędrzejowskiego i miechowskiego pozostaje z nim w związku. Sukcesorami spuścizny Własteów byli Spytkowie i Toporczykowie w XV. w. Autor wyciąga wniosek z tego, że z tak potężnym panem tylu dóbr na Śląsku, Małopolsce (na terenie książkim, miechowskim, wiślickim, tynieckim względnie krakowskim), z fundatorem tak licznych kościołów i klasztorów (benedyktyńskich) oraz i z znamienitą osobistością polityczną na dworze królewskim, którego życie było obfite w przygody, mogły się łączyć tradycye i legendy nietylko swojskie ale i obce, jak duńskie, odnoszące się do pochodzena duńskiego jego dziadka, r u s k i e z po-

wodu konneksyi małżeńskich z księżniczką ruską a wnuczką bizantyjskich cesarzy, francuskie z powodu powtórnych związków małżeńskich z rodami francuskimi.

W tych stosunkach, jak sądzi autor, powiązanie literackiego nieswojskiego bohatera Waltera z jakimś panem historycznym na Tyńcu, którym ma być Piotr Własty, już było łatwe. Temu procesowi sprzyjał bardzo stosunek bardzo bliski Własta do opactwa tynieckiego, jak i stosunek tegoż do innych klasztorów benedyktyńskich we Francyi i Włoszech.

Przystępuje wreszcie autor do omówienia podania wiślickiego w ustępach p. t. „Wisław i Wiślica". Podanie wiślickie według Kroniki wielkopolskiej przenosi nas w erę pogańską w Polsce, co stanowi jeden z najbardziej istotnych momentów podania tyniecko-wiślickiego. Za czasów Popiela siedzi na Tyńcu comes a w Wiślicy książę z rodu Popiela. Książę wiślicki ma imię natury eponymicznej — Wisław! Trudno tu pogodzić przekaz Toporczyków Paprockiego z Popielami. Możnaby raczej te tradycye pogodzić przez nawiązanie nici między obu źródłami na podstawie osoby Piotra Własta i jego rodu. Za pierwszem przemawiają pewne dane:

W poemacie „Biterolf und Dietrich" i „Dietrichs Flucht" oraz fragment „Dietrich und Wenezlau", z których pierwszy powstał w XIII. w. w Marchii wschodniej, przesuwa się szereg bohaterów na dworze Etzela (Attyli) różnych narodowości: Ruedeger, Wisław król czeski, książę polski Herman, pruski Bodysław, są tam Pomorzanie i Rusini. Niektóre z tych postaci słowiańskich, jak twierdzi Nehring, mogą być oparte o historyczne osoby a Wisław, według Lämmerhirta, może być historycznym bohaterem: czeskim księciem, o którym fuldajskie roczniki wspominają pod r. 872. W Kronice zaś Wincentego występują bohaterowie: Rydyger, Wisław, książę polski. W wojnach Ludwika Niemieckiego z Czechami 871. biorą udział książęta słowiańscy: Znentislaw, Witislan, Heriman, Spoitimar i Moyslan. Autor domyśla się w nich książąt polskich. Przed Arnulfem znowu w Ratyzbonie występują w 895 r. dwaj znaczniejsi książęta: Spitygniew i Witizlan. Kosmas, czeski kronikarz, podług dynastycznej tradycyi nie zna wcale formy Witislana, co najwyżej zna Witosława potem Wacława. Spostrzeżenie autora prowadzi do wniosku, że forma Wisław lub Witysław jest najwięcej znana w stosunkach polskich. W r. 951 obok Spitygniewa występuje już Wislan—Wittislan zgodnie według znaczenia poematu „Dietrich und Wenezlan". Według wiślickiego podania reprezentowałby on jako książę

całą Polskę. Wiślanie bowiem według żywotu św. Metodego i geografa bawarskiego są Polakami. Żywot św. Metodego zna księcia pogańskiego „na Wislach", którego autor również zestawia z Wisławem. Ów Witysław stał się osią opowieści epicznych, które łączą go to z Hermanem księciem polskim, to z Rydygierem, z Dietrichem, jako Weneslan. Stwierdza też autor, że polski Wisław z Wiślicy nie jest bynajmniej eponymicznym bohaterem, zawdzięczającym imię od Wiślicy — której znowu poświęca ostatni ustęp.

Zasługą badań Potkańskiego jest zwrócenie uwagi na pierwotne dzieje Wiślicy. Autor podnosi jego znaczenie, dorzucając szereg nowych spostrzeżeń i uwag, tyczących dziejów lokalnych Wiślicy.

Wiślica w XII. i XIII. w. odgrywała jeszcze wcale wybitną rolę obok Sandomierza i Łęczycy w walkach dzielnicowych. Wiślica była też od niepamiętnych czasów siedzibą archidyakonatu związanego z prepozyturą kollegiaty wiślickiej. Obszar tegoż był jeszcze na początku XIV. w. o wiele obszerniejszy niż później. Archidyakonat sądecki powstał też z obszarów wchodzących w skład terytoryum archidyakonatu wiślickiego, odpowiadającego prawdopodobnie zarysom organizacyi świeckiej, której centrum była Wiślica. Są to cechy grodowej samodzielności, polegające na posiadaniu własnego wyjścia ku krajom ruskim. W r. 1326 należy do archidyakonatu wiślickiego dziekanat „De silvis" seu de Dembicia, obejmujący takie miejscowości jak: Dębica, Dąbrowa, Sędziszów, Czudec, Dobrzechów nad Wisłokiem. Długosz wspomina, że do prepozytury wiślickiej należały dawniej parafie leżące pod Karpatami. Autor przypuszcza, że to późniejszy dziekanat biecki z Jasłem i Żmigrodem aż po granice węgierskie. Ziemia wiślicka w brzaskach naszych dziejów graniczyła z grodami czerwieńskimi.

Z opactwem benedyktyńskiem świętokrzyskiem łączą się pewne wspomnienia o Piotrze Właście. Długosz wyszczególnia jego fundatorów: Bolesława Chrobrego, Wisława z domu Zabawa i Popona biskupa krakowskiego. Benedyktyni zaś święcili imię Wisława, rycerza, w zgodzie z Kroniką Wielkopolską. Wisław Świętokrzyski nie był jednak Wojsławem z czasów Krzywoustego. Pamięć o nim mogła się łączyć z osobą historycznego Wisława i Wisława z legendy. Jeden ze szczytów wschodniej części pasma łysogórskiego nosi nazwę góry Witosławskiej, której nazwa powstaje prawdopodobnie w związku z tradycyą o jeleniu, prowadzącym św. Emeryka na Tyniec. Od tych biorą przypuszczalnie i nazwy wsie jak Witosławice i Jeleniów. Pamięć wię-

może fundatora klasztoru na Łysej górze utrwaliła się w nazwie góry Witosławice podobnie jak pamięć bohaterów narodowych uwieczniła się w nazwie Kopca Krakusa i Wandy. Nadto Wiślica przypuszczalnie tworzyła w XI. w. lub z początkiem XII. w. ognisko kultury benedyktyńskiej, gdyż miało i tu istnieć opactwo benedyktyńskie, które jednak później wchłonięte zostało przez dyecezyę krakowską podobnie jak opactwo łęczyckie. Przeto możliwem jest, że Benedyktynom wiślickim, stojącym w styczności z Tyńcem i Łysą górą, przypadło w udziale powiązanie tej postaci Wisława z podaniem o Walterze i Helgundzie z nawiązaniem tego podania do Wiślicy.

1-o Autor w niniejszej rozprawie odchylił nam rąbek nieznanego horyzontu kultury polskiej i jej nurtujących prądów z Zachodu w X. XI. i XII. w. pod wpływem czynników kościelnych względnie Benedyktynów osiadłych naówczas w licznych klasztorach na terenie polskim, których centrami był Tyniec i Wiślica, prastara kreacya polityczna dotąd we mgle dziejowej się kąpiąca, i to w chwili organizacyi państwa polskiego między Elbą a Dnieprem.

2-o Miał autor podpatrzeć także i stosunki polityczne Polski z Zachodem poniekąd i Wschodem; głębiej utkwił wzrok jego badawczy, jak w innych poprzednich jego konstrukcyach naukowych, na platformie stosunków Polski z Słowiańszczyzną zachodnią, szczególnie z Czechami. Często zaznacza pośrednio wspólność interesów Polski z Czechami i potrzebę niejako bliższego kontaktu Polski z Słowiańszczyzną; może chciał autor rzucić piekące pytanie w chwili obecnej, dlaczego Polska dziś odradzająca się i oglądająca się na Wschód i Zachód, po skonsolidowaniu się na wewnątrz, nie wyciągnie braterskiej dłoni także i w kierunku Słowian.

3-o Przy ocenianiu mglistych dziejów polskich umiał także wskazać źródła w sferze kościelnej i świeckiej, swojskie a szczególnie zagraniczne, które zawsze będą odgrywały pierwszorzędną rolę przy dociekaniu momentów historycznych z powyższej epoki.

4-o Z mitów niejasnych wyprowadza postacie realne, historyczne; w źródłach obcych zachodnich umie odnaleźć szczegóły i epizody dziejów naszych, które uchodziły za część składową dziejów obcych, jak n. p. czeskich.

Temat sam był nader trudny i zawiły. Profesor Zakrzewski okazał się mistrzem, który nieuchwytne problemy i na oko jakby bardzo od siebie odległe w jednym intuicyi ujęciu przedstawia nam jako

przedmioty bliskie i ściśle wiążące się z najdawniejszemi dziejami naszemi dzięki zaletom duchowym jak bystremu sądowi w rozumowaniu, który jest pogłębiony znawstwem i znajomością źródeł średniowiecznych i literatury przedmiotu. W tych punktach tkwi znaczenie konstrukcyi naukowej pt. Źródła podań tyniecko-wiślickich, które powinny sobie zdobyć w literaturze historycznej polskiej miejsce pierwszorzędne, bo na to zasługuje w całej pełni. *Ks. Jan Głąb.*

Dr. Zofia Daszyńska-Golińska, **Przyszła Polska,** Piotrków 1917, str. 32.

Naturalne granice, narodowa jedność, pamiątki i uczelnie polskie przemawiają za tem, że Galicya powinna wejść w skład przyszłego polskiego państwa. Autorka głównie rozpatruje ekonomiczne znaczenie połączenia obydwu ziem. Z całkiem przekonywującym materyałem dowodowym przedstawia fakt, że i warunki etnograficzne i bogactwa kopalniane i możliwe komunikacye tak drogowe jak wodne, następnie produkcya rolna i przemysłowa obydwu dzielnic mogą dopiero wytworzyć podstawę, by państwo polskie osiągnęło średnią wielkość wśród innych państw Europy, podczas gdy samo Królestwo będzie igraszką w ręku potężnych sąsiadów.

Niemożna zaprzeczyć, że zestawienie dat dowodowych bardzo ciekawe i że spostrzeżenia autorki mogą być dla nas pewną pociechą i otuchą na wypadek, gdyby tylko w naznaczonych przez nią granicach Polska powstała. Jeżeli jednak autorka podjęła się swej pracy w poczuciu obowiązku wyjaśnienia Europie, jakiem źródłem kultury jest dla Polski Galicya" (str. 9) to dziwić się trzeba, że autorka nie widzi tego źródła w Księstwie Poznańskiem i że nie czuje obowiązku wyjaśnić tego nietylko Europie, ale całemu światu. Przecież faktycznie tyleż, albo i więcej racyi przemawia za wcieleniem Poznańskiego w organizm przyszłej Polski, jak to dobitnie mówi choćby pobieżny rzut oka na najnowszy atlas Polski Romera.

Natomiast nadzieje autorki, że kwestya żydowska w obydwu połączonych dzielnicach musi się złagodzić „ponieważ żydzi są w Galicyi elementem więcej zasymilowanym z Polakami, rozumieją korzyści, jakie dla nich wynikną z utworzenia państwa polskiego i mają przekonanie, że konstytucya tego państwa zagwarantuje im równe prawa z innymi obywatelami" (14) są całkiem pozbawione solidnej podstawy.

J. Krzep.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Wojna obecna a religia. — Ojciec święty a Polska. — Nowa Jasnogóra.

Wojna obecna a religia.

Wojna obecna ma wogóle mało bezpośrednich momentów stycznych z religią. Ani pobudki ani cele tej wojny nie mają z nią nic wspólnego. Nie wynika jednak z tego, by pewne sprawy tej wojny nie miały pośredniego związku ze sprawami religii.

Zagadnienie to porusza świeżo głośny teolog protestancki, Harnack i omawia je dość wyczerpująco. Zagadnienie samo jest tego rodzaju, że warto pewne myśli Harnacka powtórzyć, inne uzupełnić.

Nie możemy się zgodzić na pierwszą myśl Harnacka. „Niesłusznem jest mniemanie, pisze Harnack, że wojna światowa jest świadectwem bankructwa religii rzekomo dlatego, iż religia nie była w możności wybuchowi jej przeszkodzić. Jakgdyby kiedykolwiek w historyi była religia w stanie coś podobnego dokazać. Świat jest zawsze w stanie wojennym — przed i po Chrystusie — i dlatego przejście z utajonej wojny do wojny otwartej nigdy nie było zagadnieniem, na którego usunięcie mogłaby mieć religia jakikolwiek wpływ". Pojęcie Harnacka o „wiecznej utajonej wojnie świata" jest pojęciem, które nie w każdym kraju można zrozumieć.

Zapewne, że „bojowaniem jest życie człowieka na ziemi", czyli, jak Harnack mówi, „świat jest zawsze w stanie wojennym", ale ogólna ta prawda nie wiele ma wspólności z militarnem pogotowiem wojennem państw europejskich, na jakie od wielu lat patrzyliśmy. Owszem, ze strony katolickiej, zwłaszcza z orzeczeń Stolicy Apostolskiej padało niejednokrotnie potępienie tego wiecznego stanu wojennego i zbrojnego pokoju. Ogólnik: „si vis pacem, para bellum" piętnowany był przez Leona XIII magistralnie jako fałsz. I jeżeli Harnack chce być konsekwentnym, musi wyznać, iż jest przekonanym, że w Niemczech i po tej wojnie istnieć będzie nadal stan pogotowia wojennego. To z jego słów zdaje się wynikać. Fałszem też jest historycznym inne zdanie Harnacka, że religia nigdy nie przeszkodziła wybuchowi wojny, — a fałszem zapoznającym istotę religii, jest twierdzenie, że religia niema mocy po temu. Religia, która nie potrafi narzucić wędzidła namiętnościom ludzkim, nie jest prawdziwą religią. To, że obecna okropność wojny stała się możliwą, poszło stąd, że państwa europejskie w ostatnim okresie, datującym od rewolucyi francuskiej, wyrzuciły religię z życia publicznego. To wyrzucenie religii i etyki z życia publicznego jest istotną przyczyną tej wojny, jak to w innem miejscu staraliśmy się wykazać. Z tego punktu na rzeczy patrząc, stwierdzić należy, że wojna obecna jest bankructwem antyreligijności a temsamem wymowną apologią religii.

Właściwe zagadnienie ujmuje Harnack w trzy pytania: Pierwsze, — jaki wpływ wywiera religia podczas obecnej wojny na prywatną pobożność? Drugie, czy polityczne położenie religii będzie przez wojnę zmienione? Trzecie, czy religia potrafi urzeczywistnić ideały swoje z tą wojną związane i w jakim kierunku?

Co do pierwszego pytania, to jasnem jest wogóle, że wojna skierowując życie ludzkie jako środek do wyższego celu, uwalnia ludzi, których w wir swój wciąga, od całej masy różnych osobistych egoizmów. Rezygnacya, poświęcenie, bohaterstwo, choćby z pobudek czysto ludzkich, są to stany duszy, które człowieka wznoszą nad ziemię, a temsamem ułatwiają drogę do Boga. Z tego względu, jak z początkiem każdej wojny, tak szczególniej tej jako groźniejszej i większego domagającej się poświęcenia, stał

się odrazu widocznym wzrost pobożności i religijności we wszystkich społeczeństwach. Słusznie jednak zaznacza Harnack, że zbyt długie trwanie wojny działa wręcz odwrotnie. Zbyt długa wojna jest jak zbyt upalne lato, które wprawdzie pewnym owocom dodaje soczystości, wypala jednak zboża i trawy i przyspiesza więdnienie liści. Jak upał letni owocom tak i przedłużanie się doświadczeń wychodzi na dobre pewnej ilości wybranych ludzi, ogółowi jednak nie służy. Widzimy też dzisiaj, że pobożność widoczna w początkach wojny zniknęła, że obyczajność spadła bardzo nisko, że razem z nędzą, nieodstępną towarzyszką długich wojen, wychodzą na widownię najniższe instynkty. Potomni sławić będą wytrzymałość obecnego pokolenia, ile jednak trzeba będzie pracy nad przywróceniem równowagi w duszy tego pokolenia, to czas powojenny pokaże.

Bardzo poważne nasuwa refleksye odpowiedź na drugie pytanie, —jak się ułoży polityczne położenie religii? Co najpierw jest widocznem, wzmoże się w całym świecie ruch demokratyczny, który już teraz przyśpieszonym krokiem idzie przez narody. Rzeczą religii będzie wytyczyć mu odpowiedni kierunek i ująć go w prawidłowe łożysko. Inaczej obróci się z pewnością najpierw przeciw religii. Z uznaniem wskazuje Harnack na inicyatywę Leona XIII, która już długo przed wojną poprowadziła katolicyzm na tę drogę, co, jak dodaje „katolicyzm tylko wzmocniło". Niemniej jednak, dodajmy od siebie, otwiera się i przed katolicyzmem szerokie pole nowej pracy wobec wzrostu socyalnej demokracyi, wobec nowych form socyalizmu, a nawet wobec nowych form ruchu demokratycznego, że wspomnimy tylko o kierunku autonomij narodowych i następstw z tym kierunkiem związanych.

Jak się ułoży trudne dziś stanowisko papiestwa w świecie powojennym, o czem pisze Harnack, trudno dziś wyrokować. Taksamo musimy pominąć refleksye Harnacka o międzynarodowych tarciach katolicyzmu, jakie dziś naprzykład między katolicyzmem francuskim a niemieckim istnieje. Jesteśmy raczej skłonni przypuszczać, że wraz z uspokojeniem się ogólnej burzy wojennej i te lokalne burze rozpoczną cichnąć.

Natomiast nie ulegają wątpliwości wywody Harnacka

o powojennym wzroście politycznego znaczenia katolicyzmu. Do tego wzrostu przyczyni się najpierw upadek schizmy, związany z katastrofą schizmatyckch państw, Serbii, Rumunii a zwłaszcza Rosyi. Wszystkie sytuacye, w których schizma, korzystając z politycznej przewagi, atakowała lub uciskała katolicyzm, już obecnie należą do przeszłości. Dziś prawosławie rosyjskie nietylko nie może myśleć o prozelityźmie, ale z trwogą musi patrzeć w przyszłość we własnym kraju. Zewnętrznym wyrazem tej sytuacyi jest tryumf kalendarza gregoryańskiego. Bardzo ciekawym jest wywód Harnacka o religijnej przyszłości Bułgaryi, który dosłownie powtarzamy: „Trudno pojąć, jakby Bułgarya mogła nie wyciągnąć konsekwencyj ze swego politycznego stanowiska także na kościelnem polu. Już przed tysiącem lat był to teren sporny między zachodem a wschodem, między kościołem i kulturą rzymską a bizantyńską; był także spornym na początku trzynastego stulecia a nawet później. Obecnie pod przewodem znakomitego króla związał się kraj ten silnie z mocarstwami centralnemi; można oczekiwać, że także pod względem kościelnym nastąpi zbliżenie, bo trudno pojąć, by naród w aktywnym duchu zachodu politycznie wyrobiony, mógł pod względem kościelnym tkwić w kwietystycznym duchu wschodu. Tradycye bułgarskiego kościoła i obrządku w języku ojczystym nie potrzebują być na szwank narażone, gdyby kraj ten w jakiejkolwiek formie unii połączył się z kościołem rzymskim. Wyodrębniony Kościół wschodni jest słaby i trudny do zreformowania, jak tego najlepiej dowodzi cerkiew rosyjska w obecnej katastrofie Rosyi; rozwój historyi stwierdza, że przy tym kościele żaden postępujący naprzód naród nie może dłużej pozostać. Kościół zatem rzymski może oczekiwać po wyniku tej wojny wielkich wzmocnień“...

Dodajmy, że są pewne dane po temu, że w samoistnej Finlandyi rozpocznie się praca katolicyzmu, że wychodzą nadto na widownię katolicka Litwa i katolicka Polska. Będzie to wzmożenie politycznego znaczenia katolicyzmu w Europie bardzo znaczne.

Na trzecie pytanie o powojennem urzeczywistnieniu się ideałów religijnych z tą wojną związanych, wypada odpowiedź

Harnacka bardzo słabo. Jest przynajmniej szczery i nie rzuca piaskiem w oczy; jak to czynili pewni jego ziomkowie. O rozbrojeniu powszechnem, o trybunale międzynarodowym, o zabiegach, by stworzyć trwalsze warunki pokoju, nie pisze Harnack ani słowa. Konsekwentny wyznawca teoryi „wiecznej utajonej wojny świata“ nie może postąpić inaczej. Wyszedłszy natomiast z idei, że wojna jest najlepszym probierzem każdego narodu, że w wojnie odpadają wszystkie pozory i staje się oczywista, w czem tkwi siła a w czem słabość każdego narodu, wskazuje religii obowiązek wzmacniania obyczajowego w narodach tego, co podczas wojny okazało się ich słabością. Wprowadzenie prawa narodów w życie poczytuje Harnack za drugorzędne, „skromniejsze zadanie“ religii. Jest to aż nadto pouczającym szczegółem, co wytłumaczyć można tylko tem, że autor nie miał żadnych złudzeń, tembardziej, że pisał rozprawę swoją już z końcem marca bieżącego roku.

Ojciec święty a Polska. Jeden z najpiękniejszych węzłów historycznych w świecie, związek Polski z Kościołem katolickim, przejawił się znowu w niezwykły sposób. Oto, Rada Regencyjna Polska natychmiast, bo w dwa dni po swoim ingresie, złożyła w imieniu swego narodu hołd wierności Stolicy Apostolskiej. Adres Rady Regencyjnej i odpowiedź Ojca Świętego dopiero w miesiącu marcu dostały się do ogólnej wiadomości.

Słowa adresu i odpowiedzi znane są z dzienników, niemniej jednak ważnem jest podnieść dla pamięci ogółu fakt ten, że pierwsza urzędowa wiadomość z Polski o tem, że „naród polski zajął swe miejsce między wolnemi państwami świata“ poszła do Stolicy Apostolskiej. Z głębokiem wzruszeniem czytamy słowa Regencyi, iż uważa sobie „za najpierwszy i najświętszy obowiązek zapewnić Waszą Świątobliwość, że jako spadkobiercy niewzruszonej wierności naszych przodków dla Stolicy Apostolskiej z całą gorliwością pielęgnować będziemy tę świętą spuściznę i przekażemy ją przyszłym pokoleniom“. A jako drogowskaz na przyszłość czytamy następujące słowa: „Oddani w zupełności Kościołowi katolickiemu, kulturze zachodniej i dobru narodu polskiego, czerpiemy w tych szlachetnych źródłach myśli kierownicze i siły

twórcze, i dołożymy wszelkich wysiłków, aby zapewnić szczęście naszemu narodowi i dopomóc ku utrwaleniu przyszłego wszechświatowego pokoju". Cała niepokalana tysiącletnia przeszłość chrześcijaństwa Polski i całe szlachetne jej posłannictwo historyczne stoją w tych słowach żywe i aż po dzień dzisiejszy przedłużone.

Ten idealny charakter Polski, tę zwłaszcza wierność dla Stolicy Apostolskiej, podnosi z żywą wdzięcznością w swej odpowiedzi Papież i w zamian, w podniosłych i gorących słowach życzy, „czego zaiste każdy dobrze myślący człowiek pragnie, aby najszlachetniejszy naród polski wraz z możliwością samoistnego rządzenia się odzyskał też, za pomocą Bożą, dawną pomyślność i chwałę".

Chodzi w tej chwili pogłoska, zanotowana w kilku pismach włoskich i we wiedeńskiej Reichspost, że Ojciec święty świeżo zamianował swego upełnomocnionego przedstawiciela dla Polski, z rezydencyą w Warszawie. Gdyby pogłoska ta spełniła się, miałby adres Regencyi bezpośredni polityczny skutek. Byłoby to bardzo doniosłe uznanie suwerenności Polski. Niezależnie jednak od tego, doniosłość aktu Regencyi tkwi w tem, że po 120 latach niewoli, po wiekowem znęcaniu się wrogów nad polskością i nad naszym katolicyzmem, po wieku antychrześcijańskim, w którym cały prawie świat w imię dobrego tonu wyrzucił religię z życia publicznego, Polska swojej przeszłości i swemu posłannictwu pozostała wierną. W takich momentach odczuwa się szczególniej wartość Polski.

Nowa Jasnogóra. Dni chełmskie, spowodowane szczegółami pokoju zawartego z Ukrainą, były, jak cała przeszłość Chełmszczyzny i Podlasia, dniami męczeńskimi dla Polski a zarazem i dniami potęgi ducha narodowego.

Dyplomacya niemiecka wyparła się wszelkiego udziału w tej spra-

wie, dyplomacya austryacka zaczęła się cofać, nieprzejednani zaś przedtem ukraińcy okazali się odrazu podatnymi do ustępstw. Napaść musiała na całej linii rozpocząć odwrót a dalsze gotowe już w zanadrzu plany odłożyć do sposobniejszej chwili. W ten sposób odsunęliśmy na chwilę atak a zarazem zyskaliśmy czasu na tyle, że po tej nocy zaczyna już wschodzić słońce prawdy i samem oświetleniem rzeczywistości sprawia, iż to, co wydawało się śmiertelnym pociskiem przeciw nam, okazuje się gorączkowym majakiem chorej wyobraźni.

Sprawa chełmska nie jest jeszcze skończona i bynajmniej nie jest tych słów zamiarem usypiać czujność i gorącość polskiej samoobrony. Owszem ten ogień wzmocni się, gdy uświadomimy sobie, co było w tym wypadku istotną przyczyną naszej siły.

Siłą naszą była najpierw słuszność polskiej sprawy. Sprawa nasza rozgrywała się między Polską a Ukrainą o miedzę graniczną. Dodajmy nawiasem, że pierwszą wieść o możliwości po-

wstania samoistnej Ukrainy powitaliśmy całą żywością radości braterskiego serca. Naród młody, czerstwy, dzielny, mający swoje etnograficzne wybitne odrębności, ma wszelkie ludzkie i boże prawo do samoistnego bytu. A przytem naród to nam najbliższy, licznymi węzłami krwi i historyi z nami spojony, wchodzący w dodatku sąsiedztwem swojem w miejsce tej Rosyi, która potrafiła być dla nas tylko grabieżcą i tyranem. Między Polską a Ukrainą widzimy nietylko możność pokojowego sąsiedzkiego pożycia, ale nadto, przy wielkiej mnogości wspólnych interesów, możność współdziałania i wspólnej wzajemnej pomocy. Gdyby Polacy i Ukraińcy potrafili dziś porozumieć się, kto wie, czy nie byłoby to najpewniejszą drogą zbawienia obydwu stron! Z galicyjskimi ukaińcami byłoby wszelkie porozumienie i współdziałanie w tej chwili trudne, ale ktoś słusznie zauważył, że zgoda między Polską a Ukrainą nie pójdzie przez Lwów, tylko przez Kijów. Na niejedno z ostatnich czasów możnaby wskazać, coby to zdanie potwierdzało.

W każdym razie przyznać trzeba, że pierwszy występ Ukrainy nie szedł w tym kierunku. Sądzimy jednak, że tak z tym występem jak i z niektórymi dotychczasowymi występami Ukrainy zmieszało się tyle czynników i tyle spraw tak Ukrainie jak i dobru Ukrainy obcych, że uświadomienie w tej sprawie przyjdzie rychło. Czyżby, że jeden tylko wypadek weźmiemy, rozumnemu państwu ukraińskiemu mogło chodzić o to, by w miejsce spokojnego sąsiada i przyjaciela, jakim może być Polska, mieć śmiertelnego wroga? — czyżby chodziło o to, by na wschodzie Europy nowy stwarzać Bałkan,

Jeżeli w tem miejscu tak szczegółowo o tem piszemy, to dlatego, aby wskazać, jak wielka rola czeka duchowieństwo obu narodów.

Że w pierwszym występie Ukrainy w stosunku do Polski były takie drażniące momenty, uzasadniać długo nie trzeba. Rozumiemy dobrze, że teren ukraiński należy do Ukrainy, jak teren polski do Polski, ale jeżeli między tymi terenami leży teren mieszany, to ta strona sporna, która na nim całym rękę kładzie, popełnia zbrodniczą prowokacyę. Zabierać całe dziesiątki mil czysto

polskiej ziemi i czysto polskiej ludności dlatego, że w środek tej strefy zabłąkało się kilkadziesiąt domów ruskich, to zakrawa na drwiny z wszelkiego prawa ludzkiego.

Każdy rozumny widzi, że wobec terenu mieszanego jedynem rozwiązaniem jest podział. Pewna część Rusinów zostanie przy Polsce, pewna część Polaków przy Ukrainie, a sąsiedzka wzajemność mogłaby zagwarantować tym częściom autonomiczne prawa mniejszości narodowych. Podział zaś powinienby być, o ile możności równy. Ktoś podał rozwiązanie, uderzające swoją jasnością: tyle Rusinów zostanie przy Polsce, ile Polaków przy Ukrainie. Jeżeli to zdanie przyjmiemy, to Chełmszczyzna przestaje być terenem spornym i cała należy do Polski. Bo terenem mieszanym nietylko jest Chełmszczyzna, ale i Wołyń i Podole aż po Berdyczów; poza granicą Chełmszczyzny na Wołyniu i Podolu żyje 700 tysięcy Polaków. Więc jeżeli ma pozostać tyle przy Polsce Rusinów, ile przy Ukrainie Polaków, to nietylko Chełmszczyzna należy do Polski, ale granica Polski przekracza Bug i przecina część Wołynia. Jest to rozstrzygnięcie czysto etnograficzne, jakiego żądają Ukraińcy, wiedząc dobrze, że prawa historyczne są przeważające po stronie polskiej.

To rozstrzygnięcie uważamy za jedyne i nie mamy nic więcej do nadmienienia. Jeżeli jeszcze parę słów dorzucamy, to czynimy to z głębokiego szacunku dla pewnych katolickich sfer ukraińskich, które w najlepszej intencyi, ażeby na prawosławnej Ukrainie mieć narybek katolicki, chciałyby mieć Chełmszczyznę przy Ukrainie. Ale, czyż nie godzi się postawić pytania: macie wy pewność, że tej Ukrainy nie zdmuchnie reakcya rosyjska a w następstwie czy nie zdławi i katolicyzmu na Chełmszczyźnie? Pomijając i to, jakżeż można gorliwych wyznawców katolicyzmu pchać w środowisko najskrajniejszego radykalizmu i socyalizmu, jaką jest prawosławna republika ukraińska, która zniosła już tak podstawowe prawo życia społecznego jak prawo własności i zaprowadziła już rozwody i śluby cywilne! Cóż w tem środowisku po-

mogą konkordaty, o których mówicie? A potem, jakiem prawem odrywać ich chcecie od pnia, w który wrośli? To że byli Rusinami? A iluż dzisiejszych Rusinów było Polakami! Zresztą, to są pretensye historyczne, które odrzucacie. Ci chłopi chełmscy i podlascy samem męczeństwem swojem złożyli dowód, że chcą być przy Polsce, bo to, za co bezpośrednio cierpieli, to była polskość nabożeństw. Te dni męczeńskie zadecydowały też o ich przynależności narodowej. Ci chłopi pamiętają, że w owych dniach największymi ich dręczycielami i katami byli Rusini galicyjscy, a jedyną ich ostoją i ratunkiem była Polska, było polskie duchowieństwo, polscy Jezuici, którzy narażali dla nich życie, znosili katusze i więzienia a nawet kładli życie. Dziś ci chłopi są całem sercem Polakami i jeżeli ich wciągnie się w rachunek, to Chełmszczyzna jest przeważająco polską. I o narodowości tych ludzi ma rozstrzygać dopiero plebiscyt? I jaki plebiscyt? Pan Sewriuk jest pewny zwycięstwa ukraińskiego w plebiscycie, bo wierzy w siłę hasła wywłaszczenia ziemi! Czyż nie wywołuje rumieńca na twarz takie szalbierstwo, by wnuków męczenników, gorliwych wyznawców Chrystusa, nęcić hasłem antychrześcijańskiem!

To jedna część sprawy. Czyż trzeba wykazywać słuszność sprawy polskiej w stosunku do państw centralnych, po tylu uroczystych obietnicach, po akcie 5 listopada?

Cóż mówić o tych ustawicznych debatach niemieckich na temat zachodnich granic polskich, gdy, pomijając wszystko, jedynem prawem rozporządzalności byłemi terytoryami rosyjskiemi uznanem w Brześciu litewskim przez Niemcy, jest prawo samostanowienia narodów. Chcecie mieć prostą granicę, to cofnijcie się w tył, bo to jest także polska ziemia.

Słuszność sprawy była zatem całkowicie po stronie polskiej, i to słuszność tak wielka a zarazem tak ciężko podeptana, iż naród nie mógł inaczej postąpić, jak postąpił.

Ale prócz tej siły, jaka płynęła ze słuszności sprawy, był jeszcze naddatek, który siłę zamienił w piorun, śpieszność czynu

w błyskawicę, który sprawił że w jednej chwili było w Polsce jedno zdanie, jedna myśl, jedno uczucie, jedna decyzya. To było katolickie serce Polski, w którem na jednem z naczelnych miejsc wznosi się ołtarz męczenników chełmskich, ołtarz owiany bezbrzeżnym urokiem czci i miłości, nieoderwalna cząstka narodowej duszy. Tem targnąć, to znaczyło świat wysadzić z zawiasów.

Ten naddatek, to był dług wdzięczności spłacony przez świętych męczenników podlaskich Polsce. On zadecydował o pierwszej walce zwycięskiej, jak przed wiekami zadecydowało o zwycięstwie polskiem targnięcie się Szwedów na Jasnogórę.

Nad całą Chełmszczyzną panuje wzgórze Chełmu, na którem w zamkniętej dziś katedrze schizmatyckiej ongiś katolickiej mieści się cudowny obraz Matki Boskiej, tensam, przed którym modlił się Jan Kazimierz w obozie przed zwycięstwem beresteckiem. Ta królowa męczenników chełmskich, która ich i ich potomków wyratowała z toni schizmy, sama za nich w więzieniu pozostając, wzięła dziś sprawę polską w ręce. Jak nastanie pokój, to wzgórze to, ta katedra i ten obraz będą drugą Jasnogórą. Takie wotum powinna uczynić dziś Polska, winna zwłaszcza uczynić cała ziemia chełmska. A drugie wotum to, że jednym z pierwszych kroków samoistnej Polski będzie akcya o kanonizacyę męczenników podlaskich. Niech chłopi chełmscy, gdy Bóg i Kościół pozwoli, ujrzą swoich rodzonych dziadów na ołtarzach polskich kościołów, zwłaszcza na wzgórzu chełmskiem, w tej kaplicy, która budowana była przez carów na pamiątkę zniesienia katolicyzmu w tej ziemi. *Ks. J. Pawelski.*

Z wystaw artystycznych Krakowa.

„STARY KRAKÓW"

Specyalna wystawa w „Związku artystów polskich".

Kraków, który cała Polska od Bałtyku po Tatry zwie swojem „sercem", podobnie jak Warszawę — „głową", pociągał ku sobie od samych początków naszego malarstwa artystów swymi murami, swymi zabytkami. Świetna nasza przeszłość, zakuta w te zabytki architektury, mające w sobie tyle poetycznego wdzięku, pobudzała twórczość

takich malarzy — że wspomnę tylko najwybitniejszych — jak Gryglewski, Tondos, Wyczółkowski, których odnośne dzieła posiadają poza wysoką wartością artystyczną, specyalną „cenę afektu“ dla każdego Polaka.

Że umiłowanie dla zabytków krakowskich nie zmniejszyło się, co jest objawem bardzo pożądanym, w naszym świecie artystycznym, świadczy o tem wystawa, o której niniejszem zdaję sprawę, a która ma tylko tę wadę kardynalną, iż jest z a m a ł ą. Wielka szkoda, że nie postarano się o zgromadzenie na niej większej ilości dzieł, brakuje tam bowiem Wyczółkowskiego, Fabijańskiego i t. d.

Ale choć i w miniaturowych rozmiarach czyni ta wystawa wielce sympatyczne wrażenie i daje zarazem sposobność znawcom i amatorom do nabywania rzeczy wybornych z zakresu malarstwa architektoniczno-widokowego, któremi tak wdzięcznie przyozdobić można i skromne mieszkanie i wspaniały apartament.

Do takich rzeczy wybornych, o pierwszorzędnej wartości artystycznej, należą niemal wszystkie wystawione teraz prace J a x y M a ł a c h o w s k i e g o, o którym już tylokrotnie miałem sposobność pisać na tem miejscu, podnosząc wybitne cechy jego wielostronnego talentu.

Tym razem stwierdzam jedynie, że talent ten potężnieje w dalszym ciągu. Małachowski doszedł już prawie do *maximum* tego, co malarz może osiągnąć, wywołując na płótnie efekty sztucznego oświetlenia.

W poprzednim zeszycie „Przegl. Powsz.“, dając ocenę prac Stroynowskiego, zaznaczyłem, że artyści, malujący widoki architektoniczne, dzielą się na dwie grupy — na takich, którzy przy tem szukają w pierwszym rzędzie efektów kolorystycznych i takich, dla których celem jest sama architektura.

Otóż Małachowski należy do najwybitniejszych przedstawicieli pierwszej grupy. Wszystkie widoki architektoniczne, przez niego malowane, przedstawiają najrozmaiciej stopniowane efekty oświetlenia sztucznego, łamiącego się to z cieniami nocy, to mroku, to z promieniami gasnącego słońca. Architektura stanowi dla tych efektów tylko tło malownicze, uwydatniające ich siłę i rozmaitość. Taką jest bajecznie efektowna „Wieża Ratuszowa“, taką „Ulica Kanonicza“ pełna tajemniczego mroku, taką „Ulica Mikołajska“, takimi wreszcie dwa waryanty „Widoku kościółka św. Jana“, w których technika artysty osiągnęła wysoki stopień wirtuozostwa.

Dekoracyjność, pojęta jak najszlachetniej, stanowi o niezwykłej wartości tych widoków, czyniących mimo niewielkich rozmiarów, absolutne złudzenie prawdy, o co stara się nieraz napróżno artysta, który maluje dekoracye teatralne w kolosalnych rozmiarach. Zauważyć przytem trzeba, że Małachowski wszystkie na tej wystawie umieszczone widoki namalował g w a s z e m, który sam w sobie jest sposobem malowania napozór łatwym, lecz w gruncie rzeczy niewdzięcznym, bo wydobycie gwaszowemi farbami tonów czystych a głębokich przedstawia olbrzymie trudności.

Przedstawicielem zaś grupy drugiej jest na obecnej wystawie T u r e k.

I jemu chodzi wprawdzie o wywołanie nastrojów kolorystycznych, ale poświęca więcej uwagi, niż artysta poprzedni, samym pomnikom architektury, biorąc je jako całość, a nie jako fragmenty. Turek próbuje w swych pracach z dużem powodzeniem najrozmaitszych technik, a więc: rysuje samym węglem (sposób bardzo przypominający akwaforty), dalej — „węglem barwnym“ (kombinacya węgla i pewnych barw rozpylanych na papierze), wreszcie — kolorowemi, twardemi kredkami, a także używa oryginalnej kombinacyi rysunku czarną kredką z kładzionemi obok barwami t e m p e r a.

Wystawił on teraz około 30 widoków, między którymi znajduje się wiele interesujących. Do najlepszych, do najwięcej efektu artystycznego posiadających należą: dwa „Widoki z Wawelu“, „Kościół Reformatów“, „Kościół św. Katarzyny“, „Stara Synagoga na Kazimierzu“ i wyborny „Widok ulicy Floryańskiej z Bramy Floryańskiej“, o którym już dawniej pisałem.

Jak Małachowski obrał sobie noc i zmierzch dla odtworzenia widoków Krakowa, tak Turek ma predylekcyę do atmosfery dnia lekko mgłą przesłoniętego. Silnych efektów sztucznego, lub słonecznego światła nie spotyka się w jego pracach.

S t a c h i e w i c z a „Noc księżycowa“ jest czemś tak odrębnem w dziedzinie jego twórczości, że widz stoi przed nią zdumiony. Jak wiadomo bowiem, Stachiewicz lubuje się w łagodnych przeważnie efektach kolorystycznych, w półtonach raczej, niż w tonach pełnych, silnie akcentowanych. Tym razem jednak dał w „Nocy księżycowej“ rzecz o wielkiej sile barwy i tonu. Widz ma przed sobą szczyt wieży Maryackiej i jej niższej siostrzycy, które zasłaniają księżyc, tak, że wychodzą same na tle światła księżycowego i srebrzystemi chmurkami zasianego nieba, jako potężna, ciemna sylweta.

Mało jest zabytków krakowskich, wywierających równie nieprzeparty urok na każdego Polaka, jak owa „wieża Maryacka, ta miasta strażnica". Toteż oglądamy ją zawsze i w rzeczywistości i na dziełach sztuki z przywiązaniem, które ma w sobie coś rozrzewniającego. Gdy zaś artysta stworzy tak piękny i efektowny konterfekt tej wieży, jak to uczynił Stachiewicz, odczuwamy dlań wtedy prawdziwą wdzięczność.

„Rynek krakowski" Zarzyckiego daje niezłe wyobrażenie o tym w swoim rodzaju jedynym placu. Obraz ten jest jednak zamało wykończony, jak na widok czysto architektoniczny, nieurozmaicony ani przez specyalne oświetlenie, ani przez postacie ludzkie.

Bukowski słusznie postąpił, dając widok „Sukiennic" (szczyt południowy) z fragmentem jakiejś barwnej procesyi w dole obrazu, przez co go znakomicie ożywił. Artysta popełnił jednak przytem błąd zasadniczy, gdyż procesyę, która jest bliżej widza, naszkicował zaledwie, podczas gdy Sukiennice, znajdujące się w głębi, a więc dalej od widza, wykończył dość starannie.

ka.

WYSTAWA MEBLI

urządzona staraniem Miejskiego Muzeum techn. przemysł. w Krakowie.

Przemysł artystyczny u nas, walcząc z najrozmaitszemi przeszkodami, pomiędzy któremi mała zasobność społeczeństwa odgrywa ważną rolę, rozwija się choć powoli lecz stale. Dowodem tego choćby niewielka rozmiarami wystawa mebli, urządzona w gmachu krakowskiego Towarzystwa Szt. piękn. przez tutejsze Muzeum techn. przem. dzięki wydatnej subwencyi, udzielonej przez Centralę dla gospodarczej odbudowy Galicyi.

Wszystkie wystawione na niej meble oraz projekty i szkice są pomysłu art. malarza Józefa Czajkowskiego; kilimy, rozwieszone na jej ścianach projektowali: Czajkowski, Brzozowski, Gałek, Jastrzębowski i Treter a wykonała je firma „Kilim" w Zakopanem. Meble wyszły z pracowni kilku firm stolarskich i tapicerskich miejscowych, ozdobne naczynia metalowe, ręcznie kute — z pracowni muzealnej a naczynia gliniane — ze zbiorów Towarzystwa Polska Sztuka Stosowana.

Przy otwarciu niniejszej wystawy zaakcentowali w swych prze-

mówieniach pp.: wiceprezydent Rolle i dyrektor Till, że ma ona służyć za przyczynek do akcyi odbudowy kraju a zarazem być nowem ogniwem w łańcuchu usiłowań, zmierzających do nadania sztuce stosowanej cech rodzimych.

Niewątpliwie też inicyatorowie tej wystawy mieli jak najlepsze chęci, i pragnęli, by dała ona coś pozytywnie pożyteczniejszego w tych dwóch kierunkach. Niestety wynik ich usiłowań nie odpowiedział zamierzeniom.

I tak, skoro jest mowa o „odbudowie“ kraju, to w pierwszym rzędzie należało liczyć się z potrzebami sfer najmniej zamożnych. Tymczasem zgromadzone na wystawie meble dla nich przeznaczone nie są. Ludzie bogaci, względnie zamożni, znajdą zawsze sposobność nabywania mebli artystyczno-stylowych, nawet bez wysiłków ze strony Muzeum. Natomiast potrzebowaliby wzorów na meble z cechami swojskiego artyzmu stolarze, pracujący dla sfer średnich, małomieszczaństwa i włościan.

Co się tyczy bezwzględnej artystycznej wartości wystawionych mebli, to nasuwają się przy ich oglądaniu wątpliwości bardzo poważne.

Zapewne, że niełatwem jest wyszukać na podstawie dotychczasowych badań folklorystycznych tylu swojskich motywów zdobniczych, aby mogły być wprowadzonymi do całości urządzenia domowego. Jednakowoż udało się to prawie onego czasu np. Witkiewiczowi, gdy tak świetnie zastosował motywy zakopiańskie zarówno w budownictwie, jak w projektach na sprzęty. Ale zupełnie nieuzasadnionem jest twierdzenie, z którem spotykamy się w przedmowie do katalogu wystawy, jakoby łączyła się ona ideowo z działalnością Witkiewicza.

Przedewszystkiem tedy meble, jakie oglądamy na wystawie, nie posiadają wcale jakichś cech swojskości. Mogłyby one zarówno dobrze znaleźć się w mieszkaniu Niemca, jak Francuza, lub Anglika. Widocznem jest tylko, że starano się o to, aby były bardzo *modern* i na tem koniec.

Formy ich, na ogół biorąc, są twarde, sztywne, kanciaste tak, że czynią wrażenie techniki metalowej raczej niż drzewnej, która z natury materyału powinna posiadać więcej zaokrągleń i przejść łagodnych. Dalej widać w kształtach wszystkich mebli zgromadzonych na wystawie niespokojne poszukiwanie za czemś nowem, oryginalnem. za czemś, co nie przypominałoby w niczem form dotąd używanych. Skutkiem tego np. jedna ze szaf zakończona jest od góry odwróco-

nym gzymsem, na innej znów wierzchu umieszczone są jakieś szyszki, czy gałki, jeden z foteli ma kształt tulipanu i t. p. W każdym zaś meblu — szczególniej w kredensach i biurkach — uderza brak logicznego zakończenia od góry, tak, że czynią wrażenie czegoś uciętego, nieskończonego.

Estetyczny wygląd każdego sprzętu domowego jest oczywiście jego wielką zaletą. Ale jeszcze większą jest to, czy odpowiada swemu celowi. Wiadomo bowiem np., że meble w stylu *empire* są ładne, ale przytem bajecznie niewygodne i że nie mogą być wzorem dla mebli codziennego użytku; ich miejsce — to paradny salon. Obecnie bowiem cały świat cywilizowany przyszedł do przekonania, że mebel ładny, lecz niewygodny, jest bezużytecznem „bawidełkiem". A takiemi właśnie „bawidełkami" są prawie wszystkie wystawione w Pałacu sztuki meble. Ani jedno krzesło, ani jeden fotel, ani jedna kanapa nie zachęca, aby na nich usiąść, do tego stopnia nie liczą się one swemi formami z kształtami ciała ludzkiego. Słusznie też ktoś zauważył, że — „nogi cierpną na samą myśl siedzenia na tych meblach".

Natomiast na podniesienie zasługuje bardzo dobre i „solidne" tych mebli wykonanie, świadczące o wysokim stopniu wydoskonalenia technicznego, na jakim znajduje się kunszt stolarski i tapicerski w naszem mieście.

Wystawione kilimy nie ustępują meblom w pogoni za oryginalnością a co do wartości artystycznej stoją także na tymsamym, co one poziomie. Cechuje te kilimy bezmaldziejna inkoherencya pomysłów zdobniczych i uparte ignorowanie tego, że kilim jest w pierwszym rzędzie dywanem, a potem dopiero płaszczyzną, służącą do rozwijania dziwacznych i niesmacznych pod względem rysunku i barwy pomysłów. Dążenie do stworzenia *a tout prix* czegoś zupełnie nowego, nieliczącego się ani z materyałem, ani przeznaczeniem, danego przedmiotu przechodzi w sztuce stosowanej najczęściej do nonsensu.

Wystawione razem z meblami naczynia majolikowe i naczynia kute w metalu są tak prymitywnymi okazami tej gałęzi przemysłu artystycznego, że usuwają się z pod krytycznej oceny.

Praktyczne i gustowne urządzenie wystawy, podzielonej na dziesięć pokoików, daje możność szybkiego i dokładnego zoryentowania się w jej eksponatach.

Względnie najudatniej przedstawia się „gabinet męski" (ix.) z urządzeniem niebrzydko i dość celowo pomyślanem. Po tym „ga-

binecie" najkorzystniejsze wrażenie czyni „pokój jadalny" (I.)

Z pośród szkiców i projektów zwracają na siebie uwagę widoki wnętrz pałaców w Słupi i Święcicach. W jednym z nich użył artysta jako kolumny, podpierającej strop „hall'u", kopii słynnego słupa Świątowida.

Prawdziwą ozdobą wystawy, czemś, co pozwala odpocząć znużonemu oku, jest kilka pełnych rozmachu młodzieńczego i prawdziwego artyzmu prac Lubańskiej—Stryjeńskiej, zawieszonych na jej ścianach. Swą świeżością i naturalną prostotą odbijają one silnie we wnętrzach, zastawionych meblami o kształtach, bijących w oczy swą prostotą wymuszoną, nienaturalną.

J. Trepka.

Z hygieny.

Nowy system odżywiania się. — Skład chemiczny ważniejszych artykułów żywności. — Kto je najwięcej? — Rany postrzałowe. — Rany i desynfekcya.

Ciężkie niezmiernie warunki ekonomiczne i wzrastające ciągle braki najpotrzebniejszych artykułów codziennego użytku, braki, które dają się dotkliwie uczuwać nietylko ludności państw centralnych, jak to niektórzy błędnie sądzą, lecz mieszkańcom całej Europy i niektórych okolic Ameryki, muszą się bardzo zgubnie odbić na sprawie odżywiania ludności. Dopiero teraz widzimy, jak bogato i rozrzutnie żyły szerokie koła, od najzamożniejszych aż do umiarkowanie biednych, dopiero obecnie poznajemy wartość tego kawałka chleba suchego, będącego niedawno symbolem nędzy, odtrącanego nieraz z pogardą przez publicznego żebraka, a obecnie stanowiącego niedoścignony nieraz przedmiot marzeń rodzin nawet średnio przedtem zamożnych. Niedostatkom obecnym winna często lekkomyślność, lub nieumiejętność, a nawet tu i ówdzie zła wola jednostek rządzących, boć wszędzie są ludzie źli i dobrzy, winna w wyższej mierze przewrotność lichwiarzy żywnościowych. Ale są to tylko czynniki boczne, drugorzędne. Przyczyną główną jest sama wojna i niezbędnie za nią idące wyniszczenie, tak gruntowne i szerokie, że działanie jego nietylko obecnie, lecz przez długie jeszcze lata będzie żywo widoczne. To też nic dziwnego, że hygieniści rozmaitych odcieni i poglądów korzystają z obecnego położenia, by swe zasady bądź doświadczalnie w nowych tych warunkach

stwierdzić, bądź zapomocą głośnej agitacyi jak najszerzej rozpowszechnić.

Na takiem to tle powstaje obecnie nowa całkiem teorya odżywiania i to w kołach ludzi fachowych, którzy zapatrywania swe starają się zwykle oprzeć na jakichś podstawach doświadczalną nauką stwierdzonych. Fizyologia nowsza udowodniła, jak wiadomo, że organizm nasz potrzebuje trzech grup pokarmów organicznych, mianowicie białka, tłuszczu i węglowodanów, a oprócz tego niektórych gatunków soli. W skład tych grup organicznych wchodzi zawsze węgiel, tlen i wodór, a w skład grupy pierwszej nadto azot.

Pokarm ma dwojakie zadanie do spełnienia w normalnym, zdrowym organizmie: musi dostarczyć niejako materyału budulcowego, do tworzenia komórek i tkanek potrzebnych przy wzroście organizmu, i przy odnowieniu cząstek przez procesy życiowe zużytych — i do tego konieczne są pokarmy białkowe, zawierające azot; a nadto ma on dostarczyć potrzebnej ilości energii, zapomocą której organizm ma kryć swe ubytki wszystkich gatunków energii, więc życiowej, chemicznej, mechanicznej, a nawet elektrycznej, boć i zjawiska elektryczne bardzo obficie występują we wszystkich prawie funkcyach życiowych, nawet czysto nerwowych. Liczne badania sposobu odżywiania się rozmaitych warstw ludzi żyjących normalnie jakoteż doświadczenia w pracowniach fizyologicznych ustaliły jako normę, że człowiek dorosły i zdrowy potrzebuje dziennie mniej więcej gram białka i 32 do 70 kaloryi wielkich na kilogram wagi ciała. A więc biorąc wagę człowieka dorosłego średnio na 70 kilogramów, wypadnie dziennie około 2700 kaloryi, które musi dostarczyć organizmowi wprowadzony doń pokarm, lecz w tym pokarmie musi być koniecznie około 80 gramów białka.

Rozbierając chemicznie substancye, używane powszechnie przez ludzi na pokarm, pokaże się, że najrzadszą a więc najkosztowniejszą ich częścią jest właśnie białko, a najpospolitszą i najtańszą są węglowodany. Gdyby w pokarmach chodziło tylko o energię, to wystarczyłoby się żywić wyłącznie węglowodanami, a wtedy sprawa odżywiania człowieka uprościłaby się niepomiernie, cena pokarmu spadłaby wielokrotnie. I tu właśnie leży istota różnic między fizyologią przedwojenną a najnowszą obecną, o której wspomnieliśmy. Fizyologowie bowiem dawniejsi, oparci na doświadczeniu wielowiekowem i całej ludzkości i badaniach nowszych laboratoryjnych, utrzymywali, że to, co stanowi o wartości pokarmów i na co szczególnie trzeba zwracać uwagę przy ich doborze, jest białko, i przy doborze potraw o niego trosz-

czyć się mamy, reszta potrzebnych składników sama przez się w dostatecznej ilości w pokarmach się znajdzie, a z nią i dostateczna ilość energii. Najnowsi, wojenni hygieniści natomiast stają na stanowisku całkiem odmiennym. Mówią oni, że przy doborze pokarmów zwracać należy uwagę na ich dostateczną wartość energetyczną, pobrane zaś przy tem ilości białka, którego i tak w każdym pokarmie choćby w małej procentowo ilości się znajduje, będą zupełnie wystarczające dla organizmu. A więc tak zwana pożywność lub niepożywność pokarmu ma być według nich oceniana, nie, jak dotąd, wedle procentowej zawartości białka w danym pokarmie, lecz jedynie wedle wartości energetycznej tego pokarmu. Kto sprawą odżywiania naukowo choć z lekka się zajmował, widzi odrazu, że jestto olbrzymi, zasadniczy przewrót w pojęciach i istotna zmiana poglądów i norm dotychczas ogólnie przez świat naukowy przyjmowanych. Ażeby to wszystkim uwidocznić, objaśnimy nową tę zasadę na przykładzie.

1000 gramów czyli 1 kilogram ziemniaków zawiera tylko 20 gr. białka, 2 gr tłuszczu i 200 gr węglowodanów. Otóż według dotychczasowych teoryi ziemniaki z powodu swego ubóstwa w białko nie mogły same stanowić dostatecznego pokarmu człowieka i by jedząc wyłącznie ziemniaki wprowadzić do organizmu 100 gr białka, potrzebaby zjeść dziennie około 5 kilogramów ziemniaków — tego zaś, jak pokazały doświadczenia czynione na dragonach pruskich, które opisuje Bunge, żaden człowiek dokonać nie potrafi. Stąd też u naszego ludu spotkać można tak często biedne dzieci, zwłaszcza wieśniaków, które żyjąc prawie wyłącznie ziemniakami, napychają się tym lichym pokarmem, rozdymają nim żołądek i otrzymują tak zwany Kartoffel-Bauch, a mimo tego są wynędzniałe i słabe, bo odżywiane niedostatecznie. Tymczasem jeden gram białka absorbowany przez organizm przedstawia w nim zapas energii równy 4,1 wielkich kaloryi, to znaczy energii, która całkowicie zmieniona na ciepło, ogrzałaby 4,1 litra wody, mającej 15° ciepła, o jeden stopień. Podobnie gram węglowodanów daje 4,1 kaloryi wielkich, a gram tłuszczu 9,3 kaloryi. Wynikałoby więc z tego, że kilogram kartofli przedstawia wartość energetyczną okrągło 92 wielkich kaloryi. Że zaś człowiek dorosły jak widzieliśmy potrzebuje dziennie około 2700 kaloryi, więc według hygieny najnowszej, wojennej, dostatecznym pokarmem dla człowieka dorosłego będzie trzy kilo ziemniaków dziennie. Kilogram mięsa wołowego zawiera 190 gramów białka i 120 gramów tłuszczu, a węglowodanów nic wcale, przedstawia tedy wartość energetyczną 1950 kaloryi, a więc potrzeba dla człowieka do-

rosłego, któryby samem tylko mięsem chciał się żywić, około półtora kilo dziennie. Że zaś według cen obecnych, rzeczywistych, 3 kilo ziemniaków kosztuje około 2 koron, a półtora kilo mięsa 15 koron, że nadto ziemniaków jeszcze bądź co bądź łatwiej dostać obecnie niż mięsa, a wkrótce mięso będzie należeć do potraw luksusowych, więc widoczne stąd zastosowanie praktyczne tej nowej fizyologii. Nic też dziwnego, że teorya ta pojawiła się obecnie nagle wybuchowo i to nietylko między uczonymi niemieckimi, ale i angielskimi, którzy żądają, by na targach artykuły żywności miały na sobie prócz kartek z cenami, także i kartki, któreby gospodyniom podawały dokładną cyfrową wartość odżywczą i energetyczną danego pokarmu.

Jak wspomnieliśmy już wyżej, fizyologowie dotychczas uważali za ilość konieczną białka dla człowieka dorosłego około 100 gr dziennie, a oprócz tego kładą nacisk na to, że ogólna ilość pobranego pokarmu musi mieć wartość energetyczną około 2700 kaloryi wielkich. Najnowsi hygieniści natomiast sądzą, że ilość białka potrzebnego organizmowi jest bezporównania mniejszą, tak małą, że wystarcza w ocenianiu pożywności pokarmu mieć wzgląd wyłącznie na jego wartość energetyczną, a potrzebne białko, które we wszystkich przecież mieści się prawie pokarmach, z wyjątkiem czystego tłuszczu i cukru, znajdzie się samo. Dalszych parę przykładów wykaże dosadniej panującą między jednym a drugim obozem praktyczną różnicę.

100 gr białka zawiera się w:		**2700 kaloryi wielk. zawiera się w:**
25000 gr	jabłek	4930 gr
9000 gr	marchwi	6300 gr
5260 gr	kapusty	9080 gr
5000 gr	ziemniaków	2780 gr
3000 gr	mleka krowiego	3920 gr
1250 gr	ryżu	770 gr
1000 gr	kukurudzy	750 gr
800 gr	pszenicy (ziarna)	790 gr
943 gr	jaja kurzego (ze skorupą)	2050 gr
620 gr	żółtka kurzego	780 gr
396 gr	szynki wędzonej	840 gr
480 gr	chudego mięsa wołowego	1380 gr
1660 gr	chleba wojennego lepszego	2000 gr
430 gr	grochu	840 gr
1420 gr	masła	340 gr
3300 gr	szmalcu	290 gr

Cyfry te, zwłaszcza odnoszące się do jarzyny i tłuszczu, wykazują, że wogóle biorąc, daleko mniejsze ilości pokarmów wystarczyłyby człowiekowi, niż to dotychczas utrzymywano. Ale pamiętać należy, że te najnowsze teorye, przyjęte ogólnie dopiero od kilku miesięcy, a powstałe pod obuchem nędzy wojennej, zbyt są sprzeczne z wielowiekowem doświadczeniem ludzkości i z panującymi dotychczas a niczem niezachwianemi poglądami naukowymi, by mogły zasługiwać na takie zaufanie, iżby pod ich wpływem należało zmieniać tryb życia. Teorya nowa stworzyła Ersatzphysiologie i jej dane mogą stanowić co najwyżej pociechę w braku dostatecznego pokarmu.

Wobec grożącego ludzkości cywilizowanego świata braku pokarmu i to nietylko obecnie, podczas wojny, lecz i na najbliższą, nie zbyt krótką przyszłość, bardzo wiele wychodzi obecnie zagranicą broszur, dzieł i rozpraw o kwestyi ekonomicznego odżywiania. Jedna myśl poruszana tam, zasługuje z pewnością na baczną uwagę, mianowicie, że gospodynie domu i wszyscy, układający menu całodzienne dla rodziny, powinni koniecznie znać wartość odżywczą głównych i częściej używanych pokarmów i w doborze jadła tą znajomością także a nie tylko smakiem się kierować. Taka znajomość pozwoli sporządzać pokarm o wiele pożywniejszy i tańszy, niż to przy dzisiejszym, zupełnie bezmyślnym systemie gospodarki domowej się dzieje. Tablice z cyframi odnośnemi, podane w dziełach fachowych, nie dla każdego łatwo są dostępne. Nadto dotychczas niepodawano zwykle oddzielnie wartości energetycznej pokarmu, zadawalano się bowiem zasadą Biota—Maleschotta i innych, że człowiek dorosły potrzebuje dziennie około 100 gr białka, około 80 gr tłuszczu i około 400 gr węglowodanów, a oczywiście taka ilość substancyi pokarmowych zawiera w sobie dostateczną zupełnie ilość energii. By więc w dzisiejszych, tak trudnych stosunkach ułatwić czytelnikom rozumne odżywianie się i nieszkodliwą dla zdrowia oszczędność, przytaczam tablicę, która w pierwszej rubryce daje ilość gramów białka, zawartego w jednym kilogramie, czyli w 1000 gramów danego pokarmu, w drugiej takąż ilość tłuszczu, w trzeciej węglowodanów, w czwartej zaś ogólną wartość energetyczną, czyli jaką ilość kaloryi wielkich przedstawia kilogram danego pokarmu [1]).

Kto chce żyć hygienicznie, musi tablicę tę mieć zawsze przed

[1]) Cyfry trzech pierwszych kolumn wzięte przeważnie z tablic Hammarstena, podanych w jego fizyologii chemicznej, czwarta kolumna obliczona na podstawie tamtych.

oczyma przy doborze potraw, pamiętając przytem, że człowiek dorosły musi koniecznie pobierać około gram białka i 40 wielkich kaloryi na kilogram wagi swego ciała. Więc oczywiście osoby chude, lekkie, nadto osoby mniej wykonujące ruchów i prac fizycznych, potrzebują pokarmu mniej, niż ludzie tęgo zbudowani lub fizycznie pracujący. Nadto zwrócić trzeba uwagę i na to, że dzieci muszą stosunkowo więcej spożywać białka niż dorośli, bo u nich potrzeba nietylko naprawiać straty, spowodowane przez funkcye życiowe, jak u człowieka dorosłego, lecz nadto budować nowe tkanki. Z tablicy powyższej widać nadto, że ceny pokarmów nie są wcale proporcyonalne do ich wartości odżywczej,stąd przy stosownym doborze można znacznie taniej spożywać pokarmy posilne. Lecz fakt bardzo smutny i niezbicie prawdziwy musi uderzyć każdego. Oto przy dzisiejszych cenach wojennych człowiek dorosły, nawet najskromniejszemi potrawami chcący się zadowolić, nie może żyć taniej, jak wydając około 5 koron dziennie na sam wikt, jeżeli nie ma marnieć powolną, głodową śmiercią. Stąd też cena robocizny choćby najprostszej musi wynosić obecnie dziennie około 10 koron, by jako tako wyżywić się i ubrać. Takie ceny w dziedzinie prac fizycznych już rzeczywiście u nas istnieją, natomiast w zawodach umysłowych dzieją się rzeczy wprost straszne. Dość powiedzieć, że dziś młoda nauczycielka, po skończeniu wieloletnich studyów, otrzymuje 82 koron miesięcznie, to znaczy nie całe 3 korony dziennie. Stoimy więc wobec nowego problemu społecznego: nędzy i sproletaryzowania zawodów inteligentnych. Znak to, że robotnicy w swej walce o byt, jaką od lat prowadzą, a w której tak dzielnego doznali poparcia od klas inteligentnych, świetne odnieśli zwycięstwo. Oby teraz umieli się odwdzięczyć i pamiętali o nędzy inteligentów, tembardziej, że bez ich pomocy sami także w nędzę i bezrobocie popaść muszą.

1 kg. czyli 1000 gr. zawiera	gr. białka	tłuszczu	węglowodanów	ilość kaloryi wielkich
mięso wołowe	190	120	0	1950
mięso cielęce	190	80	0	1523
szynka wędzona	255	365	0	3254
zając	233	11	0	858
kura tłusta	195	93	0	1694
węgorz (cała ryba) z ościami	89	220	0	2412
łosoś „ „	121	67	0	1120
szczupak „ „	82	1	0	336

1 kg. czyli 1000 gr. zawiera	gr. białka	tłuszczu	węglowodanów	ilość kaloryi wielkich
śledź solony „	140	140	0	1776
sztokfisz suszony	532	5	0	2227
móżdżek	116	103	0	1463
wątroba bydlęca	196	56	11	1321
ozór wołowy	150	170	0	2196
kiełbasa	190	150	0	2174
masło	7	850	7	7952
szmalec wieprzowy	3	990	0	9219
ekstrakt mięsny (bulion)	304	0	0	1246
mleko krowie zbierane	35	7	50	414
mleko krowie niezbierane	35	35	50	694
śmietana	37	257	35	2685
sery tłuste	230	270	40	3616
ser krowi chudy	89	70	456	2886
jajo kurze (bez skorupy)	122	107	5	1500
jajo kurze (ze skorupą)	106	93	4	1316
żółtko	160	307	0	3517
białko	103	7	7	516
pszenica (ziarno)	123	17	676	3424
mąka pszenna nulka	92	11	768	3628
bułka pszenna świeża	88	10	550	2509
knedle (makaron)	90	3	768	3546
chleb żytni świeży	80	14	514	2566
kasza jęczmienna (pęcak)	110	10	720	3400
krupy owsiane (Oaks)	140	60	660	3838
kukurudza	101	58	656	3643
ryż	70	7	770	3509
groch	220	15	530	3216
kartofle	20	2	200	921
buraki	14	2	74	379
marchew	10	2	90	429
kalafiory	25	4	50	345
kapusta	19	2	49	297
szpinak	31	5	33	309
ogórki	10	1	23	94
grzyby świeże	32	4	60	414

1 kg. czyli 1000 gr. zawiera	gr. białka	tłuszczu	węglowodanów	ilość kaloryi wielkich
jabłka, gruszki, jagody	5	0	90	390
migdały	242	537	72	6262
piwo (Lagerbier)	4	0	54	237

Uwaga: Człowiek dorosły potrzebuje dziennie białka około 100 gr, tłuszczu 80 gr, węglowodanów 400 gr.

Niektórzy ludzie cieszą się apetytem zadziwiającym i w postrach wprawiającym otoczenie. Różne na to składać się mogą przyczyny, jak przyzwyczajenie, niepowściągane upodobanie zbytnie w jedzeniu, a nadto czynniki fizyologiczne, jak wysoki wzrost, silna budowa ciała, praca fizyczna forsowna, rekonwalescencya i t. p. W każdym razie z dwóch ludzi w tych samych zupełnie warunkach żyjących, z których jeden jest nikły i mały, drugi tęgi i wysoki, większe porcye pochłaniać będzie osobnik tęższy, lecz stosunkowo do wagi swego ciała zjadać będzie więcej gość chudy i mały. Rubner, który robił dokładne doświadczenia na psach, stwierdził, że pies mały i wątły dwa i pół razy więcej pokarmu potrzebuje na kilogram wagi swego ciała, niż pies wielki i tęgi. Że u ludzi jest podobnie, o tem przekonywuje każdego doświadczenie codzienne. Skąd jednak pochodzi ta różnica, o tem długi czas niewiedziano. Dopiero w ostatnich miesiącach prawie rzecz ostatecznie rozstrzygnął prof. Pirquet w Wiedniu, który po długich i mozolnych doświadczeniach stwierdził, że ilość pokarmu, jakiej osobnik potrzebuje, zależną jest wprost od wielkości powierzchni jego jelit; im więcej centymetrów kwadratowych wynosi ta powierzchnia, tem ilość pochłanianego pokarmu jest większą. Żeby więc ocenić zdolności gastronomiczne nieznanego nam osobnika, potrzeba znać przedewszystkiem wielkość powierzchni jego jelit, boć każdy taki centymetr chce pracować, to jest chłonąć pokarmy. Nie należy jednak trwożyć się tem prawem, jakoby ono było niemożliwe do stosowania względem żywych, bo oto prof. Pirquet podaje regułę, stwierdzoną licznemi doświadczeniami anatomów, według której z łatwością obliczyć można w centymetrach kwadratowych powierzchnię jelita człowieka, nie mierząc jej bezpośrednio. Mianowicie stwierdzono, że długość jelita człowieka jest 10 razy większą od tak zwanej wysokości siedzeniowej człowieka, to jest od odległości między powierzchnią krzesła, na którem człowiek prosto siedzi, do wierzchołka jego głowy. Że zaś jelito człowieka jest 100 razy

tak długie jak szerokie, więc wynika stąd, że powierzchnia jelita będzie równa wprost wysokości siedzeniowej podniesionej do kwadratu. Ażeby więc ocenić wymagania odżywcze jakiegoś osobnika, wystarczy posadzić go na krześle o wysokim oparciu, na którem niewidoczne dla innych podziałki oznaczą odrazu wysokość siedzeniową gościa, to jest odległość od siedzenia do wierzchołku głowy, a liczba ta podniesiona do kwadratu, wyrazi ilość kwadratowych centymetrów powierzchni jego jelita, a tem samem da odrazu pojęcie o jego pokarmowej zachłanności.

Przebogaty plon zbiera w tych czasach chirurgia. Jeżeli liczbę zabitych w wojnie obecnej ocenia się na siedm milionów, to rannych można przyjąć śmiało na 20 milionów. Rany to najrozmaitszego rodzaju i niewiarogodnych nieraz kombinacyi, ale oczywiście przeważają rany postrzałowe. Kilka bardzo ciekawych uwag ogólnej natury przynosi co do ran postrzałowych jeden z najnowszych zeszytów znanego pisma medycznego Muenchener Medizinische Wocheschrift. Zdaniem dra Magnusa podanem uderza przedewszystkiem ta okoliczność przy badaniu ran postrzałowych pochodzących od granatów, że rany te są prawie zawsze równocześnie ranami oparzelinowemi, tak, że w znaczeniu prawdziwie dosłownem można wziąć to wyrażenie, „iż nieprzyjaciel praży przeciwnika ogniem“. Oparzenie to, które objawia się przez zupełną nekrozę tkanki naokoło rany, powstaje z tego powodu, że kula pod wpływem rozmaitych czynników rozgrzewa się do bardzo wysokiej temperatury, do tego stopnia, że części pocisku sporządzone z łatwiej topliwych metali, ulegają wprost stopieniu. Z czynników, które wytwarzają tak wysoką temperaturę pocisku, podnieść należy przedewszystkiem temperaturę gazu, przy wybuchu ładunku w armacie, sięgającą do przeszło 3000 °, dalej, w rurze i tarcie w powietrzu, przez które pocisk przedzierać się musi z olbrzymią, bo przynajmniej 500 metrów na sekundę wynoszącą prędkością, a wreszcie uderzenie o przedmiot twardy, gdy kula dojdzie do celu. Jeżeli uderzenie młotkiem zwykłym może bardzo wysoko rozgrzać metal, cóż dopiero takie gwałtowne uderzenie kuli o przeszkodę. Granat ważący 460 kg. i pędzący szybkością 500 metrów na sekundę, przedstawia zapas energii 5,861.366 kilogramów, to znaczy taką energię, jaką wyda ze siebie maszyna parowa o sile jednego konia pracująca bez przerwy przez 21 godzin i 42 minut. Przez uderzenie kuli o przeszkodę, cała ta kinetyczna energia

zostaje przemienioną na energię cieplną, mianowicie wytwarza się 13.773 kaloryi kilogramowych, czyli tyle ciepła, że gdyby ono rozłożyło się na całą masę kuli, to podniosłoby jej temperaturę o 135 stopni. Ale ta kula, jak widzieliśmy, podlegała nadto innym jeszcze czynnikom, podnoszącym znacznie jej temperaturę. To też zdarza się nieraz, iż pocisk stalowy, uderzywszy o stalowy pancerz, przylutowuje się do niego, co jest dowodem, że przy uderzeniu panowała tam temperatura przynajmniej 1500 stopni — takiej bowiem temperatury potrzeba do stopienia stali.

Gdy taki rozpalony odłamek granatu dostanie się do ciała ludzkiego, wywołuje, zdaniem chirurgów, mających ciągle z tymi ranami obecnie do czynienia, skutki bardzo fatalne. Oparzenie, które wzdłuż całej rany powstaje, jest bardzo ciężkie, jest to tak zwane oparzenie trzeciego stopnia, to znaczy tkanka ciała niem dotknięta ulega zupełnej nekrozie, całkowicie obumiera. Przez to zaś rana spowodowana postrzałem nietylko się rozszerza, lecz nadto taka tkanka obumarła traci zdolność bronienia się bakteryom gnilnym, które do rany się dostają. W ten sposób dzieje się, że taka rana wypalona przez rozpalony odłamek granatu nietylko nie jest zdezynfekcyonowaną, jakby się napozór zdawało, lecz owszem łatwo bardzo podlega zakażeniu i tem, zdaniem dra Magnusa, tłómaczy się tak wielka ilość zakażeń ran, powstałych z postrzału odłamkami granatu. Ranę więc trzeba przedewszystkiem przez cięcia oczyścić z obumarłej tkanki, a więc ją jeszcze bardziej rozszerzać i pielęgnować bardzo starannie. A i leczenie samo takich ran połączone jest często z niepożądanemi komplikacyami. Bo najpierw nekroza tkanek naokoło ran łatwo prowadzi do otwarcia przyległych naczyń krwionośnych i jam ciała, a dalej uszkodzenia tkanek pod wpływem tak wysokich temperatur jest powodem zrośnień nieprawidłowych i tak zwanych pseudartthroz, to jest zjawiska, w którem kość normalnie jednolita doznaje przerwy, jakby nowych, nieprawidłowych stawów ruchomych.

Wogóle sprawa zakażenia ran postrzałowych przedstawia się wedle dotychczasowych doświadczeń niebardzo różowo. Laewen i Hesse np. stwierdzili zapomocą ścisłych badań bakteryologicznych, że na 70 ran postrzałowych tylko trzy były wolne od zarazków. Inaczej natomiast zupełnie przedstawia się sprawa, gdy organizm przezwycięży uszkodzenia, chociaż części obcych ciał, mniejszych lub większych odłamków granatu, niezdołano z rany wyjąć pomimo że rana się zagoiła. Powstało bardzo interesujące pytanie, jak się ma wtedy sprawa z de-

zynfekcyą takiego ciała obcego, czy nie gromadzą się około niego zarazki, któreby mogły następnie wywołać w organizmie gnilne zaburzenia. Pytanie to tem ciekawsze, że dotychczas w sferach naukowych medycznych panowała całkowita rozbieżność poglądów: Witzel twierdził, że w badaniach swoich bakteryologicznych nad zasklepionymi w organizmie pociskami zawsze znajdował obok takiego pocisku bakterye, podczas gdy Melchior nie znajdował ich nigdy.

Obecnie opisane doświadczenia robił bardzo troskliwie z zastosowaniem wszelakich ostrożności i różnych metod badania, dr. Hundeshagen w zakładzie bakteryologicznym dra prof. Uhlenhutha, a wynik ich był następujący: z 28 zasklepionych w organizmie odłamków granatów tylko jeden był zakażony bakteryami, z 5 pochodzących z kul karabinów dwa, a z dwóch odłamków szrapneli żaden. Badane odłamki miały wielkość rozmaitą, od ziarnka zboża do bobu, a czas przebywania ich w organizmie także był różny, bo od miesiąca do lat blisko trzech.

Z badań tych wyciąga dr. Wetzel następujące dwa praktyczne wnioski: najpierw nie można uznać za słuszny pogląd, że zasklepione odłamki pocisków stać się mogą przyczyną tworzenia się abscesów, a dalej, że gdy chodzi o wyjęcie tych odłamków z ran zagojonych, niepotrzeba dostawać się do nich zapomocą cięć nowych, lecz można drążyć do nich starą blizną, bo ona już nie jest zakażona.

Nasuwa się tu jeszcze jedna uwaga ogólniejszej natury. Mamy tu mianowicie przykład jaskrawy ochronnej autodezynfekcyjnej zdolności organizmu. Gdy pocisk dostał się do organizmu, wtedy, jak widzieliśmy, prawie zawsze rana jest zakażoną. Przez pomaganie organizmowi zapomocą odpowiednich zabiegów, białe ciałka krwi, owa policya sanitarna, zwycięża wreszcie i usuwa bakterye i rana zasklepiając się, zostaje całkowicie wraz z pociskiem odkażona.

Ks. F. Hortyński.

Z dziedziny historyi.

Słowo w sprawie walki przeciw historycznej szkole krakowskiej.

Niech i mnie wolno będzie, na mocy życiowego doświadczenia i poważnej pracy historycznej, zabrać głos w sprawie, której odgłosy wznoszą się u nas w bolesnej chwili przełomów. Sprawą tą jest walka przeciw t. zw. „Szkole krakowskiej“.

„Szkołę krakowską“ stworzyli ludzie, którym rzec można za-

wdzięczamy gmach obecnej nauki dziejowej, ci, którzy ją ciężką pracą wydobyli ze starych pism i dokumentów a potem rozsiali na niwie polskich umysłów i serc. Rozpoczęli swą pracę w pierwszem zaraniu galicyjskich swobód, uczciwie, sumiennie, bez powziętych z góry sądów, bez względu na własną popularność i sławę. Pisali dla pokolenia wykarmionego przeważnie na „Śpiewach historycznych“ i „Wieczorach pod lipą“... okraszonych osobistemi wspomnieniami uczestników kampanii napoleońskich i walk 31 roku. Przed nimi pisano historyę „od ucha“ — dziś, dzięki im, każde dziecko szkolne dokładniej zna dzieje ojczyste niż je do połowy XIX. w. poznać mógł przeciętny obywatel polski.

Są rzeczy i ludzie, których zdania lekceważyć się nie godzi jak n. p. Szajnocha, Szujski, Tarnowski, Smolka, Kalinka, Czermak, Dembiński, Kubala, Ant. Z. Helcel, Kluczycki, Szarłowski — choćby tylko tych kilku wymienić — poczet najgorętszych miłośników ojczyzny! Myśmy, dzięki im, przyszli do gotowego — tem bardziej młodsi, którym nie w smak idą wyniki pracy tych mistrzów. Ci zaiste cóż im mogą zarzucić i co zarzucają otwarcie?... Oto, że n a p i s a l i p r a w d ę, że sądzili bezstronnie, że mieli odwagę nazwać czarne czarnem, a białe białem, zło złem a dobro dobrem, że przemawiali do narodu jako do dorosłego męża, a nie jak do chorego dziecka, któremu same smakują słodycze, że Polskę uważali za żywą i żyć mającą a nie za nieboszczyka, nad którego grobem tylko panegiryki wygłaszać się godzi...

Człowiek dorosły a rozumny, naród dojrzały, miłujący a trzeźwy nie zrazi się, jeśli po ciężkich doświadczeniach odkryje w przeszłości swojej usterkę, która się mogła do tych nieszczęść przyczynić, nie odepchnie przyjaciela, jeśli ten go przestrzeże, aby w podobny błąd nie wpadał na przyszłość. Odepchnie go tylko umysł nieroztropny a próżny, dbający o poryw chwili obecnej więcej, niż o dobro przyszłości, obrazi się tylko charakter słaby, taki, który z błędów swoich poprawić się nie chce. Zresztą byłoby naiwnością szukać człowieka bez winy, lub narodu bez wad. Ma je każdy naród na świecie, każdy w ciągu swych dziejów popełnił błędy a niejeden zbrodnie, każdy ma za co uderzyć się w piersi a jakoś nie słychać, aby Francuzi oburzali się, gdy ich historycy przyznają, że wielcy ich ludzie jak, Turenne, Conde, lub Coligny walczyli w zmowie z wrogiem przeciw własnemu rządowi, jeśli kto powie, że Richelieu a po nim Ludwik XIV zabili w kraju rycerstwo a wytworzyli kastę dworaków, jeśli Taine wykazuje, że w czasie

terroru miliony ludności francuskiej dawały się jak stado owiec zarzynać przez stosunkowo nieliczną hordę rewolucyonistów. Nie słychać też, by Niemcy lub Anglicy gniewali się na swych historyków za wykazane im błędy przeszłości. Czegóż ma jedna Polska stanowić wyjątek? Czyż synowie jej w ciągu dziesięciu wieków byli pokoleniami aniołów?... A raczej — czy jesteśmy jedynym na świecie narodem, który ma do tego pretensye i nie znosi widoku prawdy?... Jeśli tak jest — to rzecz bardzo smutna.

Trudno jest wymagać od poważnych dziejopisarzy, aby widząc absolutną niemoc, w jakiej pogrążonym był przez całe stulecie kraj ogromny, ludny, bogaty, przez żadnego nie zwalczony wroga — nie zastanowili się nad tem zjawiskiem i nie badali przyczyn, jakie go do podobnego stanu katalepsyi doprowadzić mogły. Obce wojska przechodziły przez ziemie nasze jakoby przez własny dziedziniec, wyjadały nasze zboża, ale czemuż im nikt tego nie wzbronił? Czemu Rzplta była każdemu łupieżcy otwarta? Jakiż był powód a raczej jakie powody tej bezsilności, tej bezmyślnej martwoty, z której kraj i to jeszcze nie cały zbudził dopiero dzwon alarmowy pierwszego rozbioru? — Trzebaby chyba niebyć — nie już historykiem — ale wprost myślącym człowiekiem, aby się nad pytaniem tem nie zastanowić, aby nie badając, nie szukając, zbić wszystką winę na głowę Stanisława Augusta, który naprawdę był raczej wynikiem stosunków swojej epoki, aniżeli ich twórcą. Zresztą już chyba wyrośliśmy po za system kozłów ofiarnych. Zrazu zrzucano winę na królów, potem na „panów", potem na Jezuitów, w ślad za nimi na cały Kościół katolicki, teraz wreszcie przyszła kolej na stan szlachecki... Ci zaś, co te ostatnie miotają oskarżenia, nie zdają sobie sprawy, iż stan ten wówczas obejmował cały polski naród od wojewody do najbiedniejszego hołysza. Nie wchodził w skład jego stan włościański, bo ten u nas — podobnie jak w całej Europie, ale nie gorzej odsunięty był od spraw politycznych a tylko pracą rolną był zajęty. Ucisk włościan był rzeczą złą, ale rzecz dziwna, że nie widać, aby cudzoziemcy — równie pod tym względem grzeszni — ciągle bili się w piersi i wszelkie klęski przypisywali temu błędowi. Po za szlachtą były jeszcze miasta ale te, dzięki zapewne średniowiecznemu pierwiastkowi obcokrajowego żywiołu, usunęły się same od spraw publicznych, nie chcąc nawet korzystać z wyznaczonego im udziału w sejmach.

T. zw. Szkoła Krakowska tedy zamiast szukać powodów złego u poszczególnych ludzi lub stanów, poszukała ich i znalazła w ogólnym

ustroju państwa. Ustrój ten bardzo do angielskiego zbliżony, nie był według niej zastosowanym do wiecznej młodzieńczości charakteru polskiego, wymagającej silniejszych reguł, twardszych ram, energiczniejszego wykonywania prawa. Trzebaby chyba narodu aniołów, aby się nie rozsprzęgł, aby się nie rozleniwił, lub nie rozpasał tam, gdzie każdemu było wszystko wolno, gdzie jedyną zaporą gwałtu była obawa zemsty silniejszego sąsiada, gdzie dobrobyt pchał do hulanki a oddalał od pracy, gdzie interes zaściankowy zamykał oczy na sprawy krajowe. Toć między innemi powodami źródłem osławionego „liberum veto“ — był fakt, że poseł wychodzący z sejmiku nie szedł na Sejm jako mąż zaufania, ale jako wysłannik zobowiązany przedewszystkiem do załatwiania poruczonych mu na sejmikach kwestyi a często do niedopuszczania dyskusyi nad żadną sprawą, zanim sprawa tego lub owego powiatu uchwaloną nie będzie. Tak np. za Zygmunta III. kwestya uchwalenia wojny z Szwecyą czekać musiała na załatwienie sporu o rybołóstwo w Poznańskiem! — Któż tu był winien, czy odnośni posłowie czy ustawa a raczej układ wiążący im ręce? —

Nie podobna też nie uznać, że jedną z przyczyn rozprzężenia była dowolność pracy publicznej, mnogość bezpłatnych urzędów, ugruntowana na nieznajomości natury ludzkiej, na optymizmie w przesądzaniu cnotliwej obowiązkowości obywatelskiej. Nie zważano, że trzeba już być rodzajem świętego, lub być przetrawionym w szkole nieszczęść krajowych, aby bez wynagrodzenia poświęcić swój czas, swe siły a nieraz i korzyść swojej rodziny dla spełniania wiernie służby w urzędzie powiatowym lub wojewódzkim, i to służby, z której nie będzie się nikomu zdawało rachunku... Równie optymistycznem było prawodawstwo, w którem n. p. nie było przewidzianem ojcobójstwo, zważywszy, że nikt nie był zdolnym do podobnej zbrodni. Czy pomimo to nikt nigdy ojca lub matki nie zabił? Tóż możnaby przytoczyć fakta zbrojnego najazdu synów na dom rodzicielski. — Gdy nastał czas potęgi t. zw. „królewiąt“, powierzano im milcząco straż kresową, licząc na ich dobrą wolę, że z własnej inicyatywy i własnym kosztem obronią kraj od wroga. Bronili go też o ile mogli, niejeden przytem jak Wiśniowiecki utracił mienie, inni zaś automatycznie rośli w znaczenie i panowanie. Taki system lub raczej brak systemu mógł się udać, lecz istotnie byłoby cudem, gdyby z biegiem czasu nie podziałał szkodliwie.

Dotykam tutaj tylko paru punktów a możnaby ich przytoczyć moc wielką, nie głosząc przez to aktu oskarżenia przeciw narodowi

polskiemu. Nie wygłaszali go też historycy „Szkoły Krakowskiej", boć powtarzam, iż tam, gdzie inni rzucali klątwy na poszczególne warstwy społeczne — oni bystrem okiem odkryli i śmiałą dłonią wskazali gniazdo złego nie w ludziach ale w ustroju. Opierali się na rozsądku, na jawnej prawdzie dziejowej, ale snać późniejszemu pokoleniu zasady ich niedogodnemi się zdały. Toż jest tysiące razy milej i łatwiej kreślić w różanych barwach pobieżne poglądy, przebiegając dzieje „po czubkach", wybierając z nich tylko jasne punkty, wielbić n. p. chwałę Grunwaldu albo Kirchholmu, nie dodając, że oba te zwycięstwa zostały w znacznej części zmarnowane, wychwalać wielkie czyny Batorego lub Jana III. bez wzmianki o gorzkich utrapieniach, jakie obu bohaterów po powrocie w kraju czekały, z pośród Sejmów widzieć tylko Sejm Czteroletni, jednem słowem, kierować się tylko światłem starego optynizmu a całą winę naszych nieszczęść przypisać gwałtom wrogów.

Jestto przyjemnie ale i niebezpiecznie, bo ludzi myślących tylko na chwilę olśnić tem można, a gdy z ich oczu blask złudzenia przeminie, gotowi wpaść w krańcowość przeciwną i widzieć samo zło w naszej przeszłości. „Czemu Pan wszystko u nas tak czarno sądzi?" — pytałam raz dobrego ale wrażliwego człowieka — „Bo ja — odpowiedział — spędziłem młodość za granicą a o kraju marzyłem jako o niebie, o rodakach jako o zbiorze doskonałości. Potem przyjechałem, a rozczarowanie uczyniło mnie do zbytku surowym".

Jest jeszcze inne gorsze niebezpieczeństwo, mogące wyniknąć z ogólnej chwalby, nie cnót lecz wad narodowych a tem jest zboczenie narodowego sumienia, zmylenie poglądu na obowiązek względem ojczyzny. Ojczyzna nasza zaś zbyt jest piękną, by potrzebowała sztucznych oświetleń. Możemy śmiało spojrzeć w przeszłość i winy przeszłości, bo tymi szkodziliśmy tylko sobie samym a nie wyrządziliśmy krzywdy nikomu. W całym ciągu naszych, przez owych „niemiłosiernych" historyków nakreślonych dziejów widać niejedno zaniedbanie, niejedną pomyłkę, ale nie widać ani jednej politycznej zbrodni, ani jednej politycznej zdrady. Nie widać całowiekowych knowań dla podkopania bytu sąsiada. Należy tylko porównać historyę naszą z dziejami innych narodów — chociażby samej Francyi: nasza obok niej wyszłaby biała jak śnieg... Ale niestety Rzplta od zaprowadzenia wolnej elekcyi jęła się stopniowo odosabniać i zamykać w sobie, a w ślad za politykami późniejsi pisarze polscy wszelkiego autoramentu przywykli wyjmować Polskę z otaczających ją ram, ganią lub chwalą w niej stosunki bez zwrócenia uwagi swojej lub czytelnika na fakt, że nieraz

pomimo politycznego osamotnienia były to stosunki panujące w całej ówczesnej Europie, że omawiane prądy były wspólne innym narodom. Tak n. p. złem ale wspólnem z innymi krajami było w XVII. i XVIII. w. pobieranie pieniędzy od obcych monarchów przez poszczególne osoby lub stronnictwa. Niejeden brał nie dla siebie, ale dla pozyskania swej partyi stronników. A działo się to samo we Francyi, we Włoszech, w Szwecyi, w Niemczech, może bardziej bezwstydnie, niż u nas, choć w celach mniej nieświadomie szkodliwych dla kraju. U nas większość głów ludzkich była uczciwą — cała bieda tkwiła w tem, iż każda głowa chciała z osobna rządzić Rzpltą.

Jest to fakt, który bije w oczy przy każdem bezstronnem przypatrzeniu się naszej przeszłości, ten fakt podnieśli i udowodnili historycy Szkoły Krakowskiej, i to poczytano im za grzech śmiertelny może dlatego, że i dziś nie brak jest głów, które same w kraju górowaćby rade. Są i inne głowy poczciwe, gorące, a nie znoszące cienia nagany na ubóstwianą ojczyznę. Tym więc raz jeszcze powtórzyć należy, że ta ojczyzna żyje, że żyć może i żyć będzie, jeśli jej sami nie zaszkodzimy błędami, jakie ją niegdyś wtrąciły w otchłań cierpienia. Przecież to nie ojczyzna zgrzeszyła, tylko jej nieroztropni synowie. Niema więc za co oburzać się i rzucać gromy na mężów, którzy nam wykazali te błędy, którzy zrobili dla nas rachunek sumienia, abyśmy wiedzieli, co zaszkodziło ojczyźnie i broń Boże w ten sam sposób nie szkodzili jej więcej. Podali nam bezstronny obraz naszej przeszłości — byłoby tchórzliwem szaleństwem nie chcieć nań spojrzeć uczciwie. Widzimy w niem światło i cienie, widzimy przecudne przykłady do naśladowania i wady, których tem bardziej winniśmy unikać, że zarodu ich nawet przeszło wiekowa niewola nie zdołała wykorzenić w całości. Strzeżmy się ich, „by nie klęły na nas wieki", miejmy odwagę patrzeć prawdzie w oczy, idźmy naprzód bez wstydu, lecz i bez próżnej chluby, która nas tak razi u obcych, kochajmy i pracujmy a zajdziemy dalej, niż krocząc w blasku złudzeń i samochwalenia.

Teresa Wodzicka.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Cepnik Henryk: Nieznana komedya Aleksandra Fredry **„Intryga na prędce“.** Stron 58, in 12⁰. Kraków 1917. Nakładem Akademii Umiejętności.

— **Materyały i prace komisyi językowej** Akademii Umiejętności. Tom VII. Stron 622. Kraków 1918.

— **Scriptores rerum polonicarum** Tomus XXII. continet Suentoslai Orzelski interregni Poloniae libros 1572—1576. Pag. 742 in 4⁰. Wydawnictwo Komisyi hist. Akad. Umiejętności Nr. 75. Kraków 1917.

Lehr Tadeusz: **Ze studyów nad akcentem słowiańskim.** (Prace Komisyi językowej Akad. Umiejętn. Nr. 1). Stron 92. Kraków 1917.

— **Zestawienie kasowe Polskiego związku niewiast katolickich,** Str. 36, Kraków 1917.

Merunowicz Teofil: **Żydowska polityka narodowa.** Str. 156 in 12⁰. Nakład Gubrynowicza, Lwów 1917.

Buszczyński Stefan: **Rękopis przyszłego wieku,** fantazya społeczna z r. 1881. Stron 104. Kraków 1917.

Jezierski Edmund: **Tadeusz Kościuszko.** Str. 390. Nakład Kasy przezorności. Warszawa 1918.

Ks. Teodorowicz Arcybiskup: **Z dziejowej chwili.** Str. 67. Lwów 1918.

Kasprowicz Jan: **W setną rocznicę skonu Kościuszki.** Str. 19. Lwów 1918.

— *X. Szczepański Władysław:* **Ewangelie na każdy dzień roku kościelnego.** Str. 322 in 12⁰. Kraków 1917.

X. Fajęcki Aleksander: **Pamiętnik IV-go ogólnego zjazdu XX. Prefektów Królestwa Polskiego w Warszawie 20—22 czerwca 1917.** Str. 374. Warszawa 1917.

Grabowski, Dr. Tadeusz St.: **Ankieta Bułgarska w sprawie polskiej 1915—1916.** Str. 160. Piotrków 1917. (Wydawnictwo „Wiadomości Polskich“).

Skoczylas Ludwik: **Wyspiański jako poeta państwowości polskiej.** Str. 16. Lwów 1918.

Sosnowski, Prof. Kazimierz: **Szkoła narodowa jako krzewicielka kultury zdrowotnej i energii twórczej.** Str 93. Kraków 1917.

Weinfeld, Dr. Ignacy: **Koszta wojny.** Str. 16. Lwów 1917.

X. Żukowski, Dr. Stanisław: **Pamięci Sienkiewicza.** Mowa żałobna. Str. 16. Lwów 1917.

— **Wiktor Kulerski.** Str. 16. Nakład J. Winieckiego. Warszawa 1918.

Hornowski, Dr. Józef: **Dysenterya i tyfus.** Str. 54. Lwów 1918.

Ryniewicz Antoine: **Voltaire: Histoire de Charles XII.** Str. 127. Lwów 1918.

Klimke Friedrich S. J.: **Unsere Sehnsucht.** Str. 356 in 12°. Kösel's Verlag Kempten-München 1917.

— **Monismus und Pädagogik.** Str. 228. München 1918.

X. Sieniatycki, Prof. Dr. M.: **Dogmatyka ogólna,** podręcznik szkolny. Str. 133. Kraków 1917.

Wałek, Dr. Tadeusz: **Państwowość i niepodległość.** Nakładem Tow. wydawn. „Kultura Polski". Stron 98. Kraków 1918.

Dubanowicz Edward: **Rządy gabinetu.** Stron 120. Kraków 1917.

— **Rocznik 300-letniej rocznicy Tow. Pań Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo.** Stron 88. Poznań 1917.

Czeska Marya: **Na różnych strunach.** Poezye. Nakł. św. Wojciecha. Poznań 1918.

X. Mytkowicz, A. Dr. econom. publ.: **Powstanie i rozwój emigracyi sezonowej.** Wydawnictw N. K. N. zeszyt XX i XXI. Stron 167. Kraków 1917.

— **Studya ekonomiczne.** (Zagadnienia polskiej polityki gospodarczej po wojnie). Nakł. wydawn. Biura pracy ekonom. N. K. N. Stron 368. Kraków 1917.

Peretiatkowicz, Prof. Dr. Antoni: **Wojna a idea prawa.** Odczyt. Str. 20. Kraków 1918.

Nakładem księgarni Gebethnera Kraków-Warszawa.

Dębicki Zdzisław: **Miasteczko.** Str. 155 in 12°, r. 1917.

Mościcki Henryk: **Generał Jasiński i powstanie Kościuszkowskie.** Str. 435, r. 1917.

Mościcki Henryk: **Kościuszko,** listy, odezwy, wspomnienia. Str. 140 in 12⁰, r. 1917.

— **Za co powinniśmy kochać Kościuszkę.** Str. 16 in 12⁰, r. 1917.

Burnet Hodgson: **Tajemniczy ogród.** Powieść dla młodzieży. Str. 275, r. 1917.

Burnet Hodgson: **Co się stało na pensyi?** Powiastka. Str. 104, r. 1917.

Niewiadomska C.: **O tem, czego już niema,** z rysunkami Wisznickiego. Str. 251, r. 1917.

Fredro hr. Aleksander: **Trzy po trzy.** Str. 228, duża 8-ka, r. 1917.

Downar Zapolska: **Zbiór pieśni,** do użytku w ogrodach dziecięcych. Str. 16 in 12⁰, r. 1917.

Plater-Zyberkówna Cecylia: **O potrzebie reformy szkoły średniej dla dziewcząt.** Str. 32, r, 1917.

Bogusławska Marya: **W obronie honoru ojczyzny.** Str. 30 in 12⁰, r. 1917.

Tańska M.: **Ad astra,** myśli i czytania religijne. Str. 336 in 16⁰, r. 1917.

Windakiewicz S.: **Prolegomena do „Pana Tadeusza".** Str. 226 in 12⁰, r. 1918.

Ligocki Edward: **Thalassa,** powieść współczesna. Str. 300, r. 1917.

Oppman Artur: **Pieśni o sławie,** nowe poezye. Str. 252, r. 1917.

X. Szmigielski, Dr. Ign.: **Wiara i moralność.** (Wykład apologetyczny). Str. 268, r, 1917.

Grabowski Edward: **Podręcznik statystyki.** Str. 118, r. 1917.

Łazowski Tadeusz: **Geometrya wykreślna.** Podręcznik dla klas wyższych szkół średnich. Str. 243, r. 1917.

Słoński Edward: **Ta, co nie zginęła.** Wybór wierszy o Polsce, o wojnie i o żołnierzach. Str. 204 in 16⁰.

DĄBROWSKI.

W STULECIE CHWAŁY.

O patrzaj: idą — przez sto dróg,
Pod chmurą dymów siną,
Przez krwawej łuny złoty smug
Ścieśnione roty płyną...
Pod niemi ziemia drży i stęka,
Spiżowe działa dudnią z mocą,
Nad niemi orły się łopocą
I leci w grzmocie zew — piosenka!...
W takt czarodziejskiej, gromkiej śpiewki
Kłonią się kasków kity białe,
Ułańskie furczą chorągiewki,
Parskają konie, szczęka stal, —
A oni płyną w bojów chwałę,
Wpatrzeni tęsknie przed się — w dal,
Wpatrzeni w cudne jakieś rano,
W czarowną wizyę, z zórz rumianą, —
Jak orłów śmiałych rój,
Od Alp po Moskwy białe śniegi
Płyną bezmierne rot szeregi
Na bój — na krwawy bój!...

Cóż to za hetman — wódz na przedzie
Promienną w słońce wznosi twarz
I w szlaki sławy hufce wiedzie?
O, wódz to orłów, hetman nasz:

Wódz, co uwierzył, burzom wbrew,
Że — „jeszcze Polska nie zginęła!“
I powiódł naród w wielkie dzieła
I śmiały wiekom rzucił zew! —
Wódz z Sobieskiego jasną klingą,
Wiodący wojska, poprzez trud,
Przez Mantuy tryumf i Domingo,
Do Warty mętnych wód!...

Dwa wieki sobie znak podały
I oto z nowej łuny dniem
Do boju nowy hufiec śmiały,
Wyrwany z mroków w słońce chwały,
Z lechickich wstaje ziem:...
Od pól Rokitny do Krechowiec
I do Bobrójska smętnych niw,
Ten sam go wiedzie Wódz - Wędrowiec,
Co orły zbudził w ziemi włoskiej
Na wielki życia zryw:
On nieśmiertelny nasz Dąbrowski,
Wódz - tułacz — zawsze żyw!...
— — — — —
O! — wizya cudna się rozwiała,
Zniknęły pułki, niby w śnie,
Zdaleka jeno wicher dmie,
Zdaleka jeno grają działa...
— — — — —
Nad Wisłą, Wartą czuwa straż:
Wsłuchany w gromy dział zdaleka,
Zbolały naród w ciszy czeka,
Czy wróci hetman nasz?

* * *

O Wodzu! W wizyi nam się roją
Czarowne wieńce cudnych scen,
Prześniony dawno wieku sen,

Gdyś w słońcu sławy — w Polskę twoją
Na czele bitnych wkraczał rot...,
Melodyą dziwną słuch nam pieści
Huczących armat głuchy grzmot
Rozpina tęcze wśród boleści,
Zadaje długim smutkom kłam
I imię Polski — rzuca nam!...
O! ku tej Polsce idziem wszędzie,
Po tęczy jasnych smug —
W świetlanych wierząc zórz orędzie,
Ku Polsce idziem, która będzie,
Którą nam wróci Bóg!

Nie będziem kładli na twą trumnę
Kwiatów, ni próżnych łkań,
Lecz wznosząc w niebo czoło dumne,
Na jedną związem się kolumnę,
Z serc żywych śląc Ci dań;
I tak nas znajdziesz po raz wtóry,
Gdy błyśniesz w mocy poprzez chmury,
Ze słowem gromkiem: „Wstań!"

O! naród czeka z serc tęsknotą
Na zjawień twoich cud,
Bo wie, że spłyniesz zorzą złotą
I porwiesz pęta, co nas gniotą.
W rozblasku chwał, jak wprzód;
Że błysną w słońcu znaki starte
I z wichrem, co tam dmie,
Znów przejdą Wisłę, przejdą Wartę
Zwycięskie orły twe — — —
Głucho nam o tem głoszą działa,
Że bliski koniec tęsknych snów
I co nam obca moc zabrała,
To naszem będzie znów!...

Ks. Tadeusz Karyłowski.

O prawa obywatelskie dla kobiet[1]).

Do rzędu najważniejszych zagadnień społecznych, które na porządku dziennym postawił, a których rozwiązać nie zdążył wiek dziewiętnasty, należy bezsprzecznie i kwestya kobieca. Właściwie należałoby wyrazić się w liczbie mnogiej: kwestye kobiece, bo jest ich wiele. Niewieścia połowa ludzkości, albo, ściślej mówiąc, pewien jej odłam, wysunął trzy główne żądania kobiet: chleba, wiedzy, pełni obywatelskich praw!

Chleba! Warunki ekonomiczne i coraz bardziej centralizująca się wytwórczość zdejmują z kobiety wiele pracy, którą niegdyś musiała wykonywać wśród ścian własnego domu, a pchają ją do pracy zarobkowej poza domem. I kiedy kobiety z klas niższych idą do fabryki, służby, na zarobki na roli, kobiety inteligentne dążą do zawodów sobie właściwych: nauczycielstwa, praktyki lekarskiej, do biur i kantorów. Niektóre z placówek pracy albo powszechnie, albo w pewnych krajach uważa się jeszcze za wyłączny przywilej mężczyzn i kobiet się na nie nie dopuszcza. Tak n. p. sądownictwo i urzędy państwowe są dla kobiet z małymi wyjątkami niedostępne. Więc podnoszą się żądania i starania, by ostatnie pod tym względem ograniczenia usunąć. Poza tem

[1]) Zamieszczając niniejszy artykuł, nie chcemy bynajmniej odbierać poruszonej w nim kwestyi charakteru kwestyi spornej. Chodzi nam raczej o to, by wywołać dyskusyę.

REDAKCYA.

powstaje kwestya zrównania płacy za pracę kobiet z płacą, pobieraną przez mężczyzn; pod tym bowiem względem kobiety prawie na wszystkich, dostępnych dla siebie placówkach są upośledzone.

W i e d z y ! To domaganie się stoi w związku z poprzedniem. Jeżeli kobieta musi pracować i chce pracować, winna być do swego zawodu fachowo przygotowaną. Jeżeli słusznem jest żądanie dopuszczenia kobiet do wszelkiego rodzaju pracy i wszelkich stanowisk, to słusznem będzie również domaganie się otwarcia dla nich podwoi wszelkiego rodzaju i stopnia uczelni. Dla przykładu wspomnijmy o politechnice i wydziałach prawnych. Kwestya, czy szkoły te mają być odrębne dla kobiet, czy wspólne z mężczyznami, będzie podrzędną.

P e ł n i o b y w a t e l s k i c h p r a w ! Jeżeli kobieta staje obok mężczyzny na rozmaitych polach pracy, jeżeli ta praca, podobnie jak praca mężczyzn, bogaci społeczeństwo i buduje kulturę ludzką, to nic dziwnego, że pionierki kwestyi kobiecej domagają się dla swej płci i możności czynnego wpływu na życie społeczne i kształtowanie się stosunków, a możność tę widzą w zupełnem równouprawnieniu kobiety z mężczyzną pod względem obywatelskim. Zatem domaganie się rozszerzenia praw cywilnych, n. p. majątkowych dla kobiet, prawa wyborczego, czynnego i biernego, do ciał prawodawczych i samorządu lokalnego, owszem, zrównania stanowiska prawnego kobiety ze stanowiskiem prawnem mężczyzny nawet w małżeńskim związku.

Widzimy przeto, że tak zwana „kwestya kobieca" jest kwestyą bardzo złożoną. Z tego całego zespołu poszczególnych zagadnień, składających się na nią, chciałbym poświęcić parę kart zagadnieniu, najbardziej dotąd spornemu. Mianowicie chodzi mi o to, co nazwałem „obywatelskiemi prawami", to jest o zrównanie kobiet z mężczyznami w życiu politycznem, zatem o przyznanie im praw wyborczych. Ubocznie związaną jest z tem kwestya dopuszczenia kobiet do publicznych urzędów, co obok zasadniczej strony posiada jeszcze znaczenie ekonomiczne. Chodzi więc nam o zagadnienie, stanowiące jakby rdzeń tak zwanego f e m i n i z m u.

I.

Baczni obserwatorzy przemian, jakie dokonywują się w zbiorowem życiu ludzkiem, i kierunków, w jakich te przemiany dążą, muszą stwierdzić, że historya, wprawdzie powoli, lecz stale zmierza ku coraz większemu rozszerzeniu praw kobiety, jako obywatelki. Nawet to, co się uważa za szczyt dążności feministycznych, prawo wyborcze, czy to tylko czynne, czy też czynne i bierne, w rozmaitej mierze nadano kobietom w ostatnich dziesiątkach lat w całym szeregu państw i krajów, jak w wielu Stanach Unii Amerykańskiej, jak w Australii, państwach skandynawskich: Finlandyi, Norwegii, nie mówiąc o innych pomniejszych krajach. Niedawno dość ostrożna i zrównoważona w swoich reformach Anglia uprawniła sześć milionów kobiet do głosowania. Do niedawna ośmieszane i czynnie powściągane sufrażystki Albionu doczekały się tryumfu swoich idei. Prawa wyborcze czynne i bierne uzyskały kobiety również w Holandyi i Danii. Taż sama reforma staje na porządku dziennym i gdzieindziej. Jeden z katolickich jej przeciwników, W. Cathrein T. J., wyznał już przed paru laty, że nie potrzeba być prorokiem, by przepowiedzieć, że do politycznej emancypacyi kobiet we wszystkich krajach przyjdzie [1]). W szczególności dość szeroko, choć niezupełnie, uwzględnia się prawa kobiet w nowym projekcie reformy wyborczej na Węgrzech; pewne, acz nieokreślone bliżej, obietnice w tym kierunku poczynił Dr. Seidler w swych rokowaniach z przedstawicielami socyalnej demokracyi w Austryi. Że i w zmartwychwstającej Polsce trzeba będzie z tą kwestyą się spotkać, to chyba nie może ulegać wątpliwości. Przy intronizacyi Rady Regencyjnej w Warszawie nie dopuszczono kobiet na Zamek nawet w charakterze gości i widzów, ale to nie dowód, że kwestya politycznego równouprawnienia kobiet u nas jeszcze nie jest wcale aktualną. Praw wyborczych domaga się Zjazd kobiet polskich, odbyty w Warszawie w jesieni 1907 r. W podobnym duchu wniesionym został do Koła Polskiego w Wiedniu w kwietniu tegoż roku memoryał

[1]) V. Cathrein: „Die Frauenfrage", 1909, str. 171.

Związku niewiast katolickich w Krakowie; istnieją po większych polskich miastach Związki równouprawnienia kobiet. Sprawa ta poruszana, jak widzimy, nie tylko przez jakieś lewicowe sufrażystki, ale i przez najpoważniejsze Stowarzyszenia kobiece katolickie, zasługuje na coś więcej, niż na zbywanie żartem.

Czy dotychczasowe zdobycze feminizmu poczytywać za objaw dodatni, czy za ujemny? Czy cieszyć się z nich, czy też smucić? Czy popierać dalsze dążenia kobiet, czy też im przeciwdziałać?

Że potępianie domagań się kobiecych jedynie w imię tradycyi, jako rzeczy nowych, nie zadowolni myślącego człowieka, to rzecz jasna. Każda instytucya, każda forma społeczna z tych, które za zupełnie dodatnie uznajemy, była kiedyś nową i musiała zwalczyć starszą tradycyę i nawyknienia. Zniesienie niewolnictwa, na przykład, było w swoim czasie nowością i groziło w niektórych krajach nawet ekonomicznemi trudnościami, a jednak umysły wyższe nie cofnęły się przed tą reformą i wystąpiły do walki z instytucyą, przez wieki cierpianą i bronioną. Z drugiej strony, by się bezwzględnie przechylić na stronę feminizmu, nie wystarczają jego obecne tryumfy i widoki nowych bliskich zdobyczy. Niejedno zjawisko życia zbiorowego, niestety, stało się powszechnem, chociaż i teoretycznie na kruchych wspiera się podstawach i w praktyce mniej niż wątpliwe przynosi korzyści. Do takich zjawisk, mojem zdaniem, należy naprzykład prawo r ó w n e g o głosowania, bez względu na stopień majątku, inteligencyi, zasługi. Dlatego nie dziwię się temu, że wspomniany wyżej autor, W. Cathrein, przepowiadając feminizmowi zwycięstwo, usiłuje atoli zwalczać polityczne równouprawnienie kobiet. Kto stoi na gruncie z a s a d, będzie usiłował zatrzymać koło historyi nawet w pełnym biegu, jeśli jest przekonany,, że kierunek tego biegu fałszywy i zgubny.

Właśnie kwestyę równouprawnienia kobiet chcielibyśmy postawić n a g r u n c i e z a s a d, ani nie zrażając się do rozpatrywanego zjawiska z tytułu jego nowości, ani nie dając się olśnić postępom feminizmu.

II.

Czy więc postulat zupełnego uobywatelnienia kobiet zasługuje na poparcie, czy też mamy bronić wytrwale starych pozycyi przed wtargnięciem na nie kobiet?

Jednomyślności w postawionem pytaniu dotąd nie osiągnięto, i zapewne nie prędko da się ona osiągnąć. A trzeba zauważyć najpierw, że nie jest to bynajmniej spór między ogółem kobiet, a ogółem mężczyzn. Tak między tymi, jak tamtemi, spotykamy zarówno zwolenników, jak przeciwników prawnego zrównania kobiety z mężczyzną.

Obok stosunkowo niewielkiej garstki gorących suffrażystek, które nie tylko głosem, ale i pięścią szturmują do podwoi parlamentów, możnaby postawić pono znacznie liczniejszy zastęp kobiet, które drżeć będą na samą myśl, co się stanie ze światem, skoro kobiety rzucą się do polityki i przemawiać poczną z parlamentarnych trybun. A są to niekiedy — owe pesymistki — bardzo dzielne niewiasty, we własnym domu trzymające w delikatnych dłoniach ster rządów i dobrze dające się we znaki własnym mężom, których w zasadzie za panów uważają. Czasem człowiek dziwi się, że dotąd mężowie nie założyli związku równouprawnienia mężczyzn z kobietami w rodzinie. Największą jednak liczbę przedstawiają te kobiety, które wcale ani kwestyą kobiecą w ogólności, ani prawami wyborczemi kobiet nie zajmują się ani interesują, lub nawet o istnieniu takiej kwestyi nie wiedzą.

Podobnież trzy kategorye dałyby się ustanowić i w obozie męskim: sympatyków ruchu kobiecego, przeciwników i obojętnych. Słowem różnica zdań nie pochodzi tu z przynależności do tej czy innej płci.

Kwestya kobieca jest kwestyą społeczną. Lecz nie myślmy, by poglądy na nią różniły się według przynależności do pewnej socyologicznej szkoły. I ten wypadek nie zachodzi tutaj. Jeżeli społeczne poglądy sprowadzimy do trzech typów: chrześcijańskiego, liberalnego i socyalistycznego, to stwierdzimy, że co do nadania kobietom pełni obywatelskich praw w żadnym z tych trzech obozów niema jednomyślności.

Nie chcę ukrywać faktu, że w obozie chrześcijańskim, ściślej mówiąc katolickim, — bo tylko katolicyzm posiada skrystalizowany światopogląd i teoryę społeczną, — że w naszym obozie żądania praw wyborczych dla kobiet, jak również dopuszczenia ich do wszelkich urzędów publicznych znajdują wielu przeciwników. Obok cytowanego wyżej O. Cathreina, przeciwnikiem takich żądań jest autor gruntownej książki o kwestyi kobiecej [1]) i sympatyk innych postulatów kobiecych, ks. A. Rösler, Redemptorysta. U nas sceptycznie zapatrywał się na te żądania ks. biskup K. Niedziałkowski [2]). Zwłaszcza w przeznaczonych dla szkół podręcznikach katolickiej etyki i socyologii łatwo się spotkać z tezą, zwalczającą polityczne równouprawnienie kobiet.

Nie jest to wszakże teza ogólna. U niektórych autorów, zwłaszcza nowszych, znać pewne niezdecydowanie, albo i połowiczne ustępstwa na rzecz feminizmu. Wspomnimy tutaj O. A. Castelein T. J. [3]), znanego moralistę tegoż zakonu O. Noldina [4]) i Dominikanina O. Prümmera [5]). Co więcej, można zacytować nazwiska poważnych pisarzy, tak z pomiędzy kapłanów, jak i świeckich katolików, którzy odnoszą się z całą sympatyą do politycznego równouprawnienia kobiet. Ks. Naudet [6]), prof. fryburski Max Turmann [7]), Palhories [8]), Dominikanin A. D. Sertillanges [9]) — oto kilka nazwisk autorów, piszących po francusku z ostatnich czasów.

Zresztą nawet przeciwnicy, jak ks. Cathrein, wyznają otwarcie, że w tej kwestyi nie wiąże ich ani żaden dogmat, ani inne autorytatywne orzeczenie Kościoła, lecz że zwalczają prąd, który

---

[1]) A. Rösler: „Die Frauenfrage", 2 wyd. 1907.

[2]) K. Niedziałkowski: „Nie tędy droga, szanowne panie!", Warszawa 1897.

[3]) A. Castelein: „Droit naturel", Paris 1903, na str. 566—568.

[4]) „Theologia moralis", wyd. 11, t. 1, str. 302. Skłania się raczej do tezy negatywnej.

[5]) „Theologia moralis", t. 2, str. 458. Przemawia, choć niezdecydowanie raczej za równouprawnieniem kobiet.

[6]) „Pour la femme", Paris.

[7]) „Initiatives féminines", 4 tys. Paris, Lecoffre, 1908.

[8]) „Nouvelles Orientations de la Morale", Paris, Bloud et Cie, 1911.

[9]) „Féminisme et Christianisme", Paris, Lecoffre, 1908.

uważają za szkodliwy w skutkach swoich dla życia rodzinnego, zostającego, jak wiadomo, pod szczególną opieką Kościoła [1]). Z drugiej strony katoliccy zwolennicy równouprawnienia kobiet twierdzą, że argumenty przeciwników nie są przekonywające, że prawo, o jakiem mowa, nie tylko nie stoi w żadnej sprzeczności z nauką chrześcijańską, ale przedstawia się im, jako konieczne jej uwieńczenie.

Podobna rozbieżność zapatrywań na polityczne prawa kobiet istnieje i po za nauką katolicką. Nie będziemy tutaj kreślili dokładnej historyi sporu. Ograniczymy się do paru wybitniejszych przykładów. Rousseau, ojciec politycznego liberalizmu, nie miał najmniejszego zrozumienia dla praw kobiecych. Za obywatela poczytywał tylko mężczyznę; kobietę zaś traktował jako prosty do mężczyzny dodatek, którego najważniejszem życiowem przeznaczeniem ma być podobanie się mężczyźnie i posłuszeństwo względem niego [1]).

Rewolucya francuska ogłosiła tak zwane „prawa człowieka“ i rzuciła hasło obywatelskiej równości, kobiet wszakże, chociaż pewien ich odłam dobrze się jej — rewolucyi — zasłużył, równością tą nie objęła, do parlamentu nie puściła i pierwszą pionierkę równouprawnienia, Olympię de Gouges, o tyle zrównała z mężczyznami, że jej na gilotynie głowę ucięła. Prawo z r. 1792 zabroniło kobietom wszelkich stowarzyszeń na tle politycznem i nawet zbierania się więcej ponad pięć osób.

Kodeks Napoleona wytrysnął ostatecznie również z liberalizmu, a jakże dalekie od równouprawnienia stanowisko zajął względem kobiety! Wszak uczynił ją istotą wiecznie małoletnią, ciągłej opieki to ojca, to męża, to nawet syna potrzebującą, a do opieki nad innymi, nawet nad własnemi dziećmi, niezdolną.

---

[1]) Dzieło cyt. str. 171. Mówi tam autor, że Kościół w tej kwestyi nie tylko nie wydał żadnego orzeczenia, ale że nie prędko to uczyni — und wird es auch sobald nicht tun. O. Prümer w miejscu przytoczonem mówi: Ex parte doctrinae christianae nihil obstat (saltem per se) quominus mulieribus capacitas concedatur ius suffragii etiam in rebus politicis, nullibi enim hoc prohibitum est. Nie jest mu tylko jasnem, czy wszędzie okaże się to korzystnem.

[1]) „Emile“, ks. 5, 8, 9.

Jeżeli chodzi o pisarzy liberalizmu, to obok takich, jak Condorcet i John Stuart Mill [1]), co byli gorącymi zwolennikami równouprawnienia kobiet, można ustawić drugą kolumnę nazwisk filozófów i literatów, co kobietę lekceważyli, poczytując ją za istotę, pod każdym względem niższą od mężczyzny. Dość wspomnieć Schopenhauera, Nietzsche'go, Strindberga. Przeciwko politycznemu równouprawnieniu kobiet wypowiedział się również liberalno-protestancki autor Paulsen w swojej Etyce [2]).

A obóz socyalistyczny? Równouprawnienie kobiet należy do oficyalnego programu socyalnej demokracyi, a książka Bebla „Die Frau" poczytywaną jest jakby za ewangelię skrajnego feminizmu. Lecz oto i z obozu czerwonego słyszymy potężny głos Proudhona, który kobiecie odmawia wszelkich kwalifikacyi, a zatem i prawa do udziału w polityce, rządach, wogóle w życiu publicznem [3]).

Z tego pobieżnego rzutu można się przekonać, że do zajęcia tego czy innego stanowiska w kwestyi politycznej emancypacyi kobiet nie zmusza nikogo ani wyznaniowa przynależność, ani solidarność z tą czy inną socyologiczną szkołą. Co z tego wynika? To, że całą tę kwestyę jeszcze dzisiaj można zaliczyć do owych spornych zagadnień, co do których istnieje zasada scholastyki, że w nich wolno i świętym mieć rozmaite zdania. *Licuit sanctis diversimode opinari, licet et nobis.* Naszem zdaniem dążenia kobiet zasługują na życzliwe zbadanie i uwzględnienie.

III.

Przeciwnicy politycznego równouprawnienia kobiet tak zwykle motywują swoje stanowisko: Niema poważnych racyi, któreby przemawiały za nadaniem kobietom praw politycznych, a wiele powodów przemawia za tem, by im tych praw odmówić.

[1]) „The Subjection of Women", 1869.

[2]) „System der Ethik", II. tom, wyd. 6, Stuttgart i Berlin, 1903, str. 283 i nast., gdzie polemizuje ze Stuartem Millem.

[3]) W książkach: „La Pornocratie" i „De la justice dans la Révolution et dans l'Eglise".

Zwolennik żądań kobiecych obowiązany jest właściwie tylko rozpatrzeć te ostatnie powody i jeżeli znajdzie je niewystarczającemi, może teoretycznie kwestyę uważać za rozstrzygniętą. Pozytywnie bowiem na korzyść kobiet przemawia ten prosty fakt, że i one są ludźmi, członkami społeczeństwa, a więc istotami politycznemi, więc przy demokratycznym ustroju rządów i społeczeństw, zapewniającym każdemu obywatelowi jakąś dozę wpływu na bieg spraw publicznych, i im należą się wspólne wszystkim obywatelom prawa.

Jakież więc racye przemawiają za pominięciem kobiet?

Powody, przytaczane przeciwko politycznemu równouprawnieniu kobiet, można sprowadzić do trzech grup: przytacza się albo n i e z d o l n o ś ć kobiet do życia politycznego, albo niemożliwość pogodzenia obowiązków politycznych z innymi o b o w i ą z k a m i, jakie na kobiecie ciążą z tytułu jej płci, lub też wreszcie s z k o d l i w o ś ć udziału kobiet w polityce już to dla społeczeństwa, już to dla samych kobiet. Każdy z tych powodów wystarczałby sam przez się, gdyby istotnie był dostatecznie udowodniony. Z przeglądu atoli antyfeministycznej literatury odnosi się wrażenie, że przytaczane dowody są słabe i że co na sile im zbywa, to usiłuje się zastąpić ich mnożeniem.

Zacznijmy od kwestyi z d o l n o ś c i czy n i e z d o l n o ś c i kobiet do życia politycznego.

Wiele już rozpraw popisano na temat różnicy między kobietą, a mężczyzną pod względem siły fizycznej, psychiki i moralnych przymiotów. Że płeć niewieścia, przeciętnie biorąc, jest fizycznie słabszą, można uważać za fakt widoczny. Są autorzy i autorki, gromadzący dowody, że niegdyś, wśród tego czy innego szczepu, kobieta dorównywała siłą mężczyźnie, że go przewyższała nawet, że obecny zanik muskularny u niej jest tylko wynikiem wychowania, lub podziału pracy, że dość kobietę dopuścić do wszelkiego rodzaju zajęć i ćwiczeń cielesnych, postawić inaczej fizyczne wychowanie dziewcząt, a w niedalekiej przyszłości otrzymamy typ kobiety, nie ustępującej mężczyźnie nawet pod tym względem.

Cały ten spór możemy tutaj uważać za jałowy. Miałby on

może pewien sens, gdyby chodziło naprzykład o służbę wojskową kobiet, albo o jakiś rodzaj fizycznej pracy. Co do tej ostatniej, to nie wdając się w przepowiednie, jakimi mięśniami rozporządzać będzie kobieta jutrzejsza, w obecnej chwili liczyć się należałoby z jej teraźniejszemi siłami, i ze względu na nie możeby było wskazanem nie tylko utrzymać pewne, istniejące już ograniczenia co do pracy zarobkowej kobiet i dziewcząt w pewnych gałęziach wytwórczości fabrycznej, w kopalniach etc., ale i dodać nowe. Zresztą może nie tyle ograniczenia prawne, jak raczej stworzyć ułatwienia, by kobieta, chcąca albo zmuszona pracować, znalazła odpowiednie do swoich sił fizycznych pola pracy. W tej chwili atoli zajmujemy się nie ekonomiczną, lecz polityczną stroną kwestyi kobiecej. Otóż co się tyczy udziału w życiu politycznem, to widoczną jest rzeczą, że niema on nic wspólnego z siłą mięśni. I wśród mężczyzn nie same tylko herkulesy mają do niego przystęp.

Ważniejszem jest pytanie, czy różnica psychiki kobiecej od psychiki męskiej nie wymaga usunięcia kobiet od życia politycznego. „Kobiety do rządów i do polityki nie mają głowy“ — oto twierdzenie, wspólne wszystkim przeciwnikom dążeń kobiecych. Między innymi socyalista Proudhon obszernie rozwodzi się nad tem, że kobiety ustępują znacznie mężczyznom pod względem intellektualnym, a nawet moralnym, wskutek czego winny być wykluczane od życia publicznego.

Po stronie feministek spotkamy się ze zdaniem wręcz przeciwnem. Jedna z nich, niejaka panna Eliza Farnham [1]), głosi na pewnym zjeździe, że kobieta pod każdym względem stoi o tyle wyżej od mężczyzny, o ile ten góruje nad goryłem. Kobieta to wykwit, to ostatnie słowo przyrody. Dlatego mówczyni błogosławi łaskawe nieba za to, że jej i jej matce pozwoliły urodzić się kobietami. Świat będzie uszczęśliwiony dopiero wtedy, kiedy kobiety uchwycą w swe ręce kierownictwo nim.

Spór o wyższość, czy niższość psychiki tej czy innej połowy rodzaju ludzkiego zajmuje nawet anatomów i antropologów.

---

[1]) Cytowana przez Turmanna w „Initiatives féminines“ str. 3.

Ważą mózgi kobiet i mózgi mężczyzn, mierzą objętość czaszek, zestawiają tablice porównawcze, i w rezultacie dochodzą do najsprzeczniejszych wniosków. Jedni w mniejszej objętości kobiecego mózgu widzą dowód umysłowej niższości kobiet; inni, znajdując, że mózg kobiety więcej waży w stosunku do ogólnej wagi ciała kobiecego, niż mózg mężczyzny w stosunku do ogólnej wagi męskiej, chcieliby widzieć w tem dowód raczej przewagi umysłowej kobiet, i t. d.

„Kobiety nigdy z pośród siebie w żadnym kierunku nie wydały geniuszów, ani talentu wybitnego. Nie zaznaczyły się donioślejszemi odkryciami naukowemi, nie stworzyły żadnego wielkiego dzieła sztuki; niema żadnego żeńskiego Raffaela, ani Mozarta, ani Dantego, ani Michała Anioła. Czy to nie dowód niższości umysłowej i brak zdolności twórczych u kobiet, a zatem, czy to nie zdradza i braku kwalifikacyi do życia publicznego?“ Tak rozumują przeciwnicy feminizmu. Zwolennicy takowego, a zwłaszcza zwolenniczki próbują się bronić. Faktyczna nieprodukcyjność kobiety na polu nauki, sztuki, wynalazków, jest tylko skutkiem uciemiężenia kobiet przez mężczyzn, odsunięcia od tych sfer życia, w którychby ich zdolności rozwinąć się mogły, odsunięcia od równego z mężczyzną wykształcenia. „Postawcie kobietę na równi z mężczyzną pod każdym względem, a pokaże ona, co umie!“ — „Ba, odpierają przeciwnicy, wy, kobiety, jesteście kucharkami i szwaczkami od początku świata, a mimo to, jeśli jest do zanotowania jakiś znaczniejszy postęp w kulinarnej sztuce i w modach, to i ten zawdzięczacie mężczyznom“.

Czy cały ten spór jest potrzebny, kiedy rozchodzi się o prawa polityczne kobiet?

Naszem zdaniem, nie! Weźmy takie czynne prawo głosowania. Albo cały system demokratyczny przedstawicielstwa narodowego z wyborów niema sensu, albo jeśli ma sens jakiś, to nie mamy dostatecznej racyi wykluczać kobiety od korzystania z tego prawa dla ich intellektualnej niższości. Jeżeliśmy dopuścili do głosowania powszechnego dorosłych mężczyzn, bez względu na stopień ich inteligencyi (z wykluczeniem tylko ostatecznych matołków), to chyba zgodzimy się, że nie cały rodzaj niewieści pod

względem intellektualnym stoi niżej od tych równouprawnionych obywateli. Sądzę, że nawet jakaś praczka Katarzyna może nie z mniejszem zrozumieniem rzeczy dać głos na posła do parlamentu, jak jakiś węglarz Walenty z przeciwnej strony ulicy.

Zastrzegam się. Nie jestem wcale zwolennikiem r ó w n y c h praw wyborczych dla wszystkich. Dotąd nie oswoiłem się z zasadą, że przy wyborach analfabeta ma to samo prawo, co i profesor uniwersytetu, że nicpoń i próżniak, który ledwie kryminału uniknął, tyleż wart wobec prawa, co człowiek wysokiej cnoty i wielkich dla społeczeństwa zasług. Dlatego byłbym raczej za jakąś proporcyonalnością wpływu obywateli na bieg publicznego życia według stopnia ich inteligencyi, wykształcenia, cnoty i zasługi. Cenzus majątkowy pomijam, żeby nie być posądzonym o skrajny konserwatyzm. Zapewne, że mądre i sprawiedliwe pogodzenie proporcyonalności praw politycznych z ich powszechnością jest rzeczą trudną. Ale oto dużo łatwiejszą rzeczą byłoby usunięcie bardziej krzyczącej niesprawiedliwości w stosunku do kobiet. Przy zasadzie powszechnego i równego prawa głosowania zapewne profesor uniwersytetu może czuć się pokrzywdzonym, kiedy ma nie większe prawo od węglarza; ale bądź co bądź jakieś prawo posiada. Czy nie bardziej atoli musi czuć się pokrzywdzoną inteligentna, wykształcona, zasłużona dla społeczeństwa kobieta, kiedy się jej odmawia tego stopnia obywatelstwa, jakiem cieszy się prawie kretyn, prawie nicpoń, dlatego tylko, że jest mężczyzną? Jeśli chcecie, by intellektualna wyższość, cnota czy społeczna zasługa znalazła wyraz w większym wpływie prawnym na bieg życia publicznego, ustanowcie jakiś cenzus inteligencyi i zasługi, ale zastosujcie takowy do obojga płci. Jeżeli przeciętnie kobieta jest niższą intellektualnie od mężczyzny, zastosowanie takiego cenzusu sprawi, że stosunkowo mniejszy procent kobiet, niż mężczyzn, ujawni wymaganą miarę; uniknie się jednak tej niesprawiedliwości, że dla przypuszczalnej przeciętnej niższości kobiety usuwa się od praw obywatelskich nawet najwybitniejsze jednostki ze świata kobiecego.

Jeżeli chodzi o bierne prawo wyborcze dla kobiet, t. j. o możność wejścia ich do ciał reprezentacyjnych, to i tutaj nie wiem

dlaczego kobiety mają być wykluczone zasadniczo z racyi niższości umysłowej. Czy do parlamentów i na sejmy wybieramy samych Dantych, Raffaelów i Mozartów? Albo może trzeba mieć polityczny rozum Macchiavelli'ego, by zostać posłem? Czy wśród męskich „prawodawców" nie spotykamy, obok figur, także zwyczajnych pionków, posuwanych ręką wytrawnych polityków? I znowu albo cały system przedstawicielstwa narodowego nie ma sensu, albo niema racyi wykluczać z niego kobiet. Mówię ciągle o racyi umysłowej niższości kobiety, bo innych stron kwestyi dotknę dalej.

To zaś, co się stosuje do poselskiej godności, można rozciągnąć i do rozmaitych urzędów państwowych. Może być, że są stanowiska publiczne, na których kobieta nie byłaby pożądaną, ani możliwą, ale jest wiele i takich stanowisk, od których dziś jest zasadniczo wykluczoną tylko dla swej płci, a na których ani geniuszu, ani artystycznej twórczości, ani nadzwyczajnych zdolności umysłowych nie potrzeba. I gdyby, bez względu na płeć, przyjmowano i awansowano według stopnia zdolności, pracy, zasługi, bez wątpienia wiele miejsc przeciętni mężczyźni musieliby ustąpić wybitniejszym kobietom. I znowu, jeżeli umysłowa niższość kobiet jest faktem, rezultat byłby ten, że m n i e j s z y stosunkowo ich procent wytrzymywałby konkurencyę z mężczyznami, ale czyż w tem współzawodnictwie musiałyby przegrać w s z y s t k i e kobiety?

Czy kobieta jest niższą od mężczyzny, czy równą mu pod względem umysłowym, można uważać za rzecz otwartą. Zależy tu dużo od tego, co się pod „umysłowością" rozumie: czy zespół wszystkich zdolności i objawów życia psychicznego, czy też tylko jedną jakąś określoną funkcyę, n. p. wnioskowanie. Naszem zdaniem najtrafniej kwestyę rozwiązują ci, którzy zamiast operować pojęciem ilości, zastosowują tu kategoryę jakości. Umysłowość kobiety może nie jest ani wyższą, ani niższą, tylko poprostu i n n ą, niż umysłowość mężczyzny. Tak, jak nie wyższą ani niższą, ale inną jest cała natura kobiety, niż natura mężczyzny.

Twierdzenie o niższości kobiety może poprostu jest skutkiem myślowego przyzwyczajenia upatrywania w mężczyźnie ide-

alnego typu człowieka. W takim bowiem razie odchylenie wszelkie od tego typu i tej miary uważanem jest za coś niższego, a zatem kobieta wtedy — to chybiony, nieudany mężczyzna. Lecz możliwym, a nawet wydaje mi się koniecznym inny punkt widzenia. Mężczyzna i kobieta, to dwa równorzędne, choć odmienne i w wielu szczegółach przeciwstawne sobie typy człowieka. „I stworzył Bóg człowieka na obraz swój; mężczyznę i niewiastę, stworzył je" (Gen. 5, 2). „Mężczyzna i kobieta są wcieleniami dwóch równowartościowych Boskich idei", mówi, naszem zdaniem trafnie, pani Gnauck-Kühne [1]).

Te dwa ucieleśnienia mają wzajemnie uzupełniać się swemi władzami i przymiotami dla wytworzenia całości, którą nazwaćby można „człowiekiem integralnym". Zróżniczkowanie tych dwóch typów idei człowieka, pominąwszy fizyologiczne funkcye ojcostwa i macierzyństwa, nie dochodzi aż do zupełnej przeciwstawności jednej płci — drugiej. Jedne zdolności wybitniej rozwinięte zostały w tej, a drugie w innej płci, ale w pewnym stopniu obydwom są wspólne. Stąd pochodzi, że niema zajęcia, któreby absolutnie musiało być wykonane przez tę płeć, a niemożliwem byłoby dla innej. Co najwięcej można powiedzieć, że przeciętnie kobiety mają większą zdolność i większą naturalną skłonność do jednych, a mężczyźni do drugich zajęć i zadań życiowych, co nie wyklucza dość częstych wyjątków i możliwości wzajemnego zastępowania się. Nic naturalniejszego dla kobiety nad kuchnię i niańczenie dzieci, a wszak mamy i kucharzy doskonałych (może doskonalszych od kucharek), a w razie potrzeby mężczyzna potrafi i dzieci lulać. Z drugiej strony w konieczności kobieta chwyci się za każde specyficznie męskie zajęcia, i za pług czy cepy chwyci, i konia dosiędzie, i nawet bronią robićby umiała. Wszak amazonki nie są tylko mitem. U nas Emilia Plater czy Pustowójtówna należą do sympatycznych postaci, a rycerza-kobietę w osobie Joanny d'Arc nawet Kościół uznał za natchnioną z niebios do tej roli i na ołtarze świętych wyniósł. A na iluż to polach, które były wyłączną domeną mężczyzn, zmusiła kobiety do pracy obecna wojna?! I jako

[1]) „Die deutsche Frau", Berlin 1904, str. 164.

tako z przyjętych na się obowiązków wywiązują się. Co z tego wynika? To, że nie można przeprowadzić ścisłej linii między zajęciami męskiemi, a kobiecemi. I to, że nie warto aż przepisami zakazu usuwać kobiety od tych, czy innych zajęć, zwłaszcza kiedy do nich są pchane przez ekonomiczne stosunki. Raczej stwarzać należy takie warunki, by pracownicy obojga płci łatwo mogli znaleźć te zajęcia, które bardziej ich naturze odpowiadają i do których zapewne sami garnąć się będą, o ile ich jakaś konieczność, czy też szczególne powołanie do czego innego nie pociągną. Zapewne nie wszystko, co kobiety dzisiaj robią, pochodzi z ich upodobań, i przy lepszej organizacyi pracy z wielu placówek, dzisiaj zajmowanych, sameby chętnie się wycofały.

Ta dygresya zdawała się nam konieczną dla przekonania czytelników, iż wogóle niema zajęcia, o któremby należało powiedzieć, że jest dla kobiet absolutnie niedopuszczalnem.

Wróćmy do polityki. I tutaj nie można dowieść, że kobieta do niej jest bezwzględnie niezdolną, przypuściwszy nawet, że jest mniej do niej, niż mężczyzna, skłonną i uzdolnioną. Lecz, mojem zdaniem, na korzyść czynnego udziału kobiet w życiu publicznem i w polityce można więcej powiedzieć. Mniejsza o to, jak określimy różnicę psychiczną dwojga płci: czy nazwiemy umysłowość kobiety niższą, czy inną od umysłowości mężczyzny. Mówmy konkretnie. Przeciętnie kobieta ustępuje mężczyźnie pod względem ścisłości myślenia, zwłaszcza wnioskowania, za to odznacza się większą spostrzegawczością, jakby intuicyą jakąś szczegółów w konkretnych przedmiotach i sytuacyach, szczegółów, uchodzących często uwagi mężczyzny. Są to zatem dwa uzupełniające się typy umysłowości, a nie wiem, dlaczegobyśmy mieli intuicyę poczytywać za coś niższego i mniejszej wartości od logiczności. Mężczyzna ma śmielsze pomysły i ogarnia rozleglejsze horyzonty, kobieta natomiast lubuje się w drobiazgach i jest dokładniejszą w wykonaniu szczegółów. I jedno zaś i drugie jest dla życia potrzebne i pożyteczne. U kobiety umysłowe życie zabarwione jest uczuciowością, której mężczyźni w takim stopniu nie ulegają. Ale i to, nie wiem, czy mamy uważać za coś gorszego od czystego intellektualizmu. Pedagogom i socyologom pozostawmy

do rozstrzygnięcia kwestyę, czy to zróżniczkowanie typów umysłowości należy utrwalać, wychowując każdą płeć osobno i rozwijając u każdej z nich g ł ó w n i e te cechy, które jej z natury są właściwsze, czy też odwrotnie, starać się mamy o stopniowe zatarcie różnic, wszczepiając głównie w kobietę to, czego mniej posiada, to jest cechy wybitnie męskie, a nawzajem coś kobiecości nadając męskiej młodzieży. Możeby lepiej było, byśmy my mieli więcej serca, a kobiety więcej logiki. Nie będę wchodził w zagadnienie, czy takie zatarcie różnic jest możliwe; gdyby się dało atoli osiągnąć w jakiejś znacznej części, otrzymalibyśmy typ mężczyzn i kobiet, bardziej zbliżony do owego i n t e g r a l n e g o człowieka, na którego dzisiaj właśnie synteza i współdziałanie obydwóch płci składać się musi.

Pytanie, które nas bliżej obchodzi, jest następujące: Czy przy obecnem zróżniczkowaniu umysłowości męskiej i kobiecej, niema miejsca dla kobiet w życiu politycznem? Sądzę, że przeciwnie. Politykę biorę tu w najobszerniejszem znaczeniu, jako sumę wszystkich funkcyi prawodawczych i administracyjnych wewnątrz narodu i państwa, a także stosunków międzynarodowych i międzypaństwowych. Współdziałanie czynne kobiet w tak pojętej polityce wydaje mi się wprost pożądanem właśnie dlatego, że kobieta wniosłaby ze swojej psychiki coś, czego trochę brakuje psychice męskiej. Tak pojętą politykę nazwałbym r o z s z e r z o n e m g o s p o d a r s t w e m d o m o w e m, jak społeczeństwo czy państwo jest rozszerzoną rodziną. W pracach prawodawczych zastanawiamy się nad temi samemi rzeczami, nad jakiemi radzimy przy domowym kominku, tylko w dużo szerszym zakresie. Obok polityki zewnętrznej, — na którą niestety przedstawicielstwo narodu podobno jeszcze najmniejszy wpływ wywiera, — obok kwestyi wojny i pokoju, szukamy metod racyonalniejszego wychowania młodzieży, decydujemy w sprawach ekonomicznych pracy i płacy, głodu i aprowizacyi; nadto prawodawstwo nie może pominąć i wyższych potrzeb ludzkiej natury, winno zatem otoczyć opieką i moralność publiczną, i bronić religii i ułatwiać jej posłannictwo, i pielęgnować sztukę, i popierać naukę etc. I w tem szerszem gospodarstwie zainteresowaną jest nie sama tylko męska połowa

ludzkości, ale obie, właściwie zainteresowanym jest ów integralny człowiek, owa synteza mężczyzny i kobiety.

Czy w tak pojętej polityce kobieta nie ma nic do powiedzenia? Sądzę, przeciwnie. Jak w gospodarstwie domowem, tak i tu pożądanym jest jej c z y n n y udział. I w gospodarstwie domowem role mężczyzny i kobiety bynajmniej nie dadzą się tak odgraniczyć, by do niego należały całkowicie rządy, a do niej jedynie posłuszeństwo. Nie zapoznając właściwego stanowiska mężczyzny w rodzinie, — o czem jeszcze niżej będzie mowa, — możnaby wyznaczyć cały szereg spraw, w których decydujący wpływ posiadać winna i faktycznie posiada kobieta. We wszystkiem zresztą ona ma być co najmniej najbliższą doradczynią męża, i przypuszczam, że ten mąż nie zawsze żałuje, gdy poszedł za zdaniem żony, chociaż ono zrazu mogło mu się wydać kobiecym kaprysem, brakiem logiki. Często bardzo zbawiennie jej uczucie uzupełnia jego myśl, a intuicya jego logikę. Przenieśmy to współdziałanie na szersze pole, do parlamentów, rozmaitych rad lokalnych, do administracyi publicznej. Czy kobieta, oczywiście inteligentna i dobrem publicznem przejęta, nie przydałaby się jako inicyatorka, a przynajmniej jako rzeczoznawczyni w wielu sprawach publicznych, około których mężczyźni skłonni są przejść obojętnie? Dla przykładu weźmy taką kwestyę moralności publicznej. Może lepiej byłoby z cenzurą filmów kinowych, z walką z pornografią w sztuce i powieści, z ową wstrętną plagą prostytucyi, gdyby kobiety miały bardziej bezpośredni wpływ na prawodawstwo i wykonanie prawa. Wielu oczekuje w przyszłości od wpływu kobiet nawet ograniczenia militaryzmu i szerszego uwzględnienia etyki w zewnętrznej polityce.

Niektórzy wskazują na to, że kobiety, tam, gdzie zostały zrównane w prawach obywatelskich z mężczyznami i weszły nawet do parlamentu, nie zdobyły się na nic oryginalnego i postaci świata nie zmieniły. Wstępują wprost w ślady swych męskich kolegów i przeważnie pod ich wpływem stoją. Jeżeli to całkowicie prawda, to przynajmniej odpada obawa jakiegoś przewrócenia świata do góry nogami przez kobiety, czego tak antyfeminiści szczerze czy

nieszczerze obawiają się. Nie obawiając się ze strony kobiet takiej rewolucyi, możnaby jednak powziąć nadzieję, że przy większem wyrobieniu poczucia samodzielności i odrębności swojej psychiki, mogłyby kobiety wypowiedzieć jakieś swoje słowo i wycisnąć na pracach wspólnych coś ze swej indywidualności.

(C. d. n.).

Ks. Jan Urban.

Pamięci Lucyana Rydla.

W słoneczny, wiosenny, kwietniowy ranek posuwał się wóz chłopski z trumną Lucyana Rydla z Bronowic do Krakowa. Górą dzwoniły skowronki, na drzewach, łąkach i polach bujały zielone pędy rozkwitającego życia, a środkiem tego życia posuwał się orszak żałobny.

W tyle pozostał w smutku dom, tak ściśle związany z rozbrzmiewającem po całej Polsce „Weselem". Do domu tego najpierw przyleciał skrypt od Matki Bożej, siedzącej na Wawelskim tronie, i w domu tym najpierw spostrzeżono zgubę złotego rogu. Dziś ówczesny pan młody leżał w trumnie, panna młoda — wieśniaczka, postępowała za żałobnym wozem z dwojgiem dzieci, ze siedmnastoletnim młodzieńcem i szesnastoletnią panną.

Z boku drogi wznosił się kopiec Kościuszki, a z przodu jaśniały baszty Wawelu, wieże i mury Krakowa. Jaśniały tak w tej chwili, jak jaśniały zawsze w sercu Rydla, w aureoli, w zadumie przeszłości i w nadziei pogodnej życia.

Przyjęły wreszcie te mury w swój środek jednego z najlepszych synów swoich i Polski całej. Bokiem Sukiennic przetoczył się wóz przez królewski rynek, i wkrótce trumna weszła w tęczowe rozblaski Maryackiego kościoła. Te blaski, padając na trumnę, usiłowały zastąpić na chwilę życie, którego w niej brakło; była w nich i pogoda duszy i urok poezyi i bogactwo polskości i słoneczność katolicyzmu i rozwiewność idealizmu nie z tego świata.

* * *

Śmierć, uroczystość pogrzebowa, bywa pewną apoteozą człowieka. Tworzy się odstęp między tymi, co pozostają, a tym, co odszedł, powstaje pewna wyższość tego, co odszedł. Tym razem doznawało się odmiennego uczucia. Ten, co wzniesiony nad morze głów ludzkich, wypełniających szczelnie świątynię Maryacką, leżał w majestacie śmierci, niczem nie różnił się w obliczu pamięci od tego, z którym dwa tygodnie temu chodziło się pod ramię po ulicach Krakowa.

Była w tem jasność charakteru i życia tego człowieka, tak wielka, że nawet tajniki śmierci zmącić jej nie potrafiły; była także ogromna prostota jego i serdeczność, która nad wszystkie przepaści, nawet nad przepaść śmierci, most przerzuca. Ale niewątpliwie w uczuciu tem przedewszystkiem tkwiło to, że był to człowiek tak idealny, że żadna apoteoza nic mu dodać nie mogła.

Ci, co Rydla pojmują tylko jako poetę i literata, krzywdzą go. To był przedewszystkiem typ idealny człowieka, człowiek, który przez całe życie dążył z natężeniem do ideału i który skutek tych dążeń w wielkiej mierze osiągnął.

Pojęcie człowieka idealnego nie jest wartością ściśle określoną. Innym był człowiek idealny wieku klasycznego, inny wieków średnich, inny dziś. A i w danym czasie nie w jednej tylko formie przejawia się; symbolem jego niekoniecznie musi być dąb, spiż czy granit — może być także kwiat. Chodzi tylko o to, by szlachetne strony, tkwiące w danej naturze ludzkiej, dążyły zawsze i dochodziły do pełnego swego rozkwitu.

Szlachetnych tych przymiotów było w Rydlu tyle, że był to jeden nie z najpotężniejszych, ale z najpiękniejszych typów idealnej ludzkości 20-go stulecia. Była w nim wysoko wykształcona inteligencya i subtelna intuicya, wielka równowaga duszy i wielki rozum, była prawość i dobroć, była i radość życia i gorące serce i entuzyazm dla ideału i lotna wyobraźnia i bogactwo słowa. Powstała stąd niezwykła indywidualność, nie tylko w Polsce, ale i w świecie rzadka.

Nie zawsze był takim, jakim był w ostatnich latach życia, ale zawsze do tej wyżyny dążył. Miał swój okres burz młodzień-

czych, wzlotów i upadków, wahań i złudzeń, ale krótki ten okres dodał tylko tężyzny i uświadomienia dążeniu ku szczytom. Gdy jednego dnia, z całą świadomością męża, wziął krzyż życia na barki, nie złożył już go ani na chwilę, ani przez chwilę na ciężar jego, nieraz bardzo wielki, nie utyskiwał; niósł go zawsze z wielką pogodą i radością życia.

Grał w tem pewną rolę żywy temperament, a także serce gorące i otwarte dla ludzi; mimo, że życie, świat i ludzi znał na wylot i patrzył na wszystko krytycznie, patrzył na wszystko także słonecznie i tę słoneczność dokoła siebie rozsiewał. Poza temperamentem jednak grała w tem wielką rolę wiara religijna. Wyniósłszy ją żywą z domu rodzinnego, pogłębiwszy ją za czasów studenckich w Sodalicyi Maryańskiej, przemienił ją w dalszych latach w istotę życia i w krew serdeczną. Był to katolik całą duszą, całem sercem i całym rozumem. Stosunek do Boga korny i serdeczny przejawiał się zawsze w życiu, często w rozmowach, a przedewszystkiem w żarliwej modlitwie. Duch modlitwy, duch obcowania i jednoczenia się z Bogiem, powiększał się w nim z każdym rokiem. Przez cztery ostatnie lata życia przystępował codziennie do Komunii świętej.

To, co go wybitnym chrześcijaninem czyniło, to była ogromna cierpliwość i wprost niezwykła miłość bliźniego. Cierpliwość była tak wielkoduszna, że choć cierpiał w życiu wiele, nikt nigdy nie przypuszczał, żeby coś miał do cierpienia. Jak zaś podniośle i głęboko i powszechnie pojmował miłość ludzi, to świadczy ta przeogromna ilość jego przyjaciół, z których każdy był przekonany, iż jest szczególniejszym powiernikiem jego myśli i uczuć. Była w tej miłości ludzi wielka ofiarność i usłużność, wielka domyślność i delikatność. Co zaś było wprost wyjątkowem, z czem tylko u niego w życiu spotkaliśmy się w tym stopniu, było to, że nigdy nikogo nie sądził, nie potępiał, o nikim nic ujemnego nie mówił. Nie tylko sam nie mówił, ale i nie dopuszczał, żeby przy nim coś złego o kimś mówiono; miał zawsze zręczny sposób, żeby przejść do innej sprawy. Tak zaś postępował szczególniej wtedy, gdy była mowa o sprawach, w których jemu działa się niesprawiedliwość, lub o ludziach, co byli jego nieprzyjaciółmi i krzywdę

mu wyrządzili. Było to tak niezwykłe, żeśmy w tę cnotę uwierzyli w pełności dopiero wtedy, gdy po jego śmierci stwierdziliśmy u najbliższych członków rodziny, że i wobec nich tak samo postępował. Jakim zaś był względem nieprzyjaciół swoich wobec Boga, świadczy spisana modlitwa, codziennie przezeń przy Komunii świętej odmawiana, w której prosi Boga o wszystko dobre dla swoich nieprzyjaciół, prosi nawet dla nich o wszystko najlepszę, o to samo, o co dla przyjaciół prosił.

* * *

Chrześcijaństwo Rydla nie rzucało się odrazu w oczy. Choć dowodów publicznych swej wiary dał wiele, trzymał się na ogół zasady, by stosunek z Bogiem był z Bogiem samym. Chrześcijaństwo było głębokością powierzchni jego życia, na powierzchni zaś samej odbijało się to, co współczesne życie miało w sobie najbardziej istotnego.

Było to najpierw stulecie, w którem panowała nad światem umysłowość. Praca umysłowa była też zawodem Rydla; pracy w zawodzie literackim i profesorskim poświęcił życie. Więcej jednak od zawodu znaczyło to, że był to jego żywioł. To, że jako człowiek wykształcony znał wszystkie ważniejsze objawy życia współczesnego, że znał wszystko ważniejsze, co ludzkość kiedykolwiek na świecie zdziałała, to jeszcze rzecz zwykła. Ale niezwykłym był interes, jaki miał dla wszystkich najważniejszych zagadnień ludzkości, a już szczególniej niezwykłym bywał oryginalny punkt wyjścia w ocenie tych zagadnień, w analizie ich i w zestawieniach. Dawał temu czasem wyraz w wykładach profesorskich, przy ocenie zjawisk historycznych, literackich, artystycznych, obyczajowych i religijnych, najczęściej jednak pozwalał na folgę swym myślom w swobodnych, przyjacielskich pogadankach. I wtedy żałowało się, że te perły rozwiewają się razem ze słowem, że nie przechodzą utrwalone do potomności. To, co stanowiło wielkość Kremera, to w szerszym zakresie i z większym blaskiem uogólnień było właściwością jego wnuka. Był w tem Rydel cały, intelektualista 20-go wieku, w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu.

Drugie znamię istotne jego życia, to była wielka miłość ludu i oddanie się całkowite ludowi. Poślubił za żonę wieśniaczkę z okolic Krakowa, w podkrakowskiej wsi zamieszkał, z ludem łączyły go serdeczne codzienne stosunki. Dla oświaty ludu czynił wiele wykładami, przedstawieniami teatralnemi; w innych zaś sprawach czem mógł i jak tylko mógł, spieszył ludowi z pomocą. I znowu było w tem odbicie ducha czasu, odblask demokratycznego stulecia, urzeczywistnione w życiu z forsą idealisty. W polityczną stronę idei demokratycznej nie wchodził, brał tę ideę tylko z punktu społecznego. Widział, że w obecnym układzie społeczeństw lud staje się nie tylko podstawowym, ale i najistotniejszym czynnikiem życia publicznego — a w Polsce i najważniejszym zadatkiem lepszej przyszłości narodu — i nie zawahał się ludowi oddać życie swoje w pełnej ofierze.

Było to stulecie wreszcie czasem panowania idei narodowej w świecie. A jeżeli w którym kącie świata panowanie to było uzasadnione, to było niem w Polsce, po wieku niewoli porozbiorowej. W tych warunkach patryotyzm u Polaka przestaje być poniekąd zasługą, a jest najprostszym obowiązkiem. To jednak, co u Rydla było, przekraczało miarę obowiązku. Miłość ojczyzny była najwyższą ziemską miłością jego życia; nie było ofiary, którejby z siebie tej miłości nie złożył u stóp. Na rozdrożach młodości, gdy złudy filozofii i życia radziły mu zapomnieć o religii, uratowała go tylko ta idea, że dobry Polak musi być dobrym katolikiem. Dla miłości ojczyzny oddał całe życie swoje wsi i ludowi. Dla miłości ojczyzny działał ustawicznie, czynem, słowem, piórem — a ile płomieni tej miłości przelał w piersi współczesnych, pamiętamy wszyscy.

* * *

To, co po Rydlu pozostanie dla dalekich pokoleń, to jest twórczość poetycka.

Siłą uzdolnienia zostać musiał poetą o pewnej, sobie tylko właściwej barwie, a ustrój charakteru sprawił, że wbrew wszystkim zewnętrznym wpływom nie zszedł z toru swego uzdolnienia ani na cal. Trafił na okres literatury rozwichrzony, na anarchię

w formie i w treści. Popłacała tylko jaskrawa niezwykłość, niezwykłość była jedyną miarą wartości artystycznej. Nie mamy bynajmniej zamiaru ujmować wartości tego, co w tym okresie było istotnie niezwykłem, stwierdzamy tylko, że w tym ogólnym kierunku tkwiła przesada. Nie patrzono na ogół, czy ta niezwykłość nie jest tylko sztucznością, patrzono zaś przez palce, gdy była tylko dziwactwem, gdy była niezwykłością formy kosztem gramatyki, niezwykłością pomysłu kosztem zdrowego sensu, niezwykłością treści kosztem obyczajności. Niezwykłości, działającej doraźnym efektem, Rydel w uzdolnieniu swojem nie miał, ale też dodajmy, że położył ambicyę swoją w tem, żeby jej nie szukać. Zrozumiał siebie i chciał być sobą.

Z pewnych oznak wnosimy, że w tej niezgodności z otoczeniem tkwił jeden z najcięższych krzyżów jego życia. Gdyby znalazł odpowiedniejsze sobie otoczenie, stanąłby daleko wyżej. Ale i tak stanął wysoko, a przypuszczamy, że w przyszłości, gdy przebrzmi okres tryumfującej niezwykłości, stanie jeszcze wyżej.

W przeciwieństwie do otaczającego go rozczochrania nazywano poezyę jego klasyczną. Można ją nazywać klasyczną, o ile ma się na myśli przecudowne jego przekłady klasyków. Z pewną przenośnią można tę nazwę stosować do niezwykłej harmonii, jaka w jego twórczości panuje, do doskonałości formy, jasności wyrazu i przepięknego języka. Pod tym względem klasykiem jest o tyle, o ile jest mistrzem. Ale takim samym klasykiem byłby Asnyk lub Konopnicka. W każdym razie, słoneczna harmonia, niosąca pogodę duszy i siejąca światło, i pełność tchnienia poetyckiego w niepokalanie doskonałej formie stawiają Rydla w pierwszym rzędzie twórców.

Szczytem poezyi Rydla jest liryka — liryka wiotka, rozwiewająca się jak mgła poranna — miękka jak stłumiony akord — cicha, serdeczna i rzewna, dzwoniąca wszystkimi łagodnymi tonami duszy ludzkiej. Czy uczucie poety oddaje urok wsi, czy ciszę poranku, czy melancholię wieczoru, czy wyraża miłość kobiety, przyrody, ojczyzny, Boga, wszędzie wywołuje pełny oddźwięk w duszy ludzkiej, jaki tylko uderzenie mistrza wywołać może. Ta strona jego twórczości ma pierwszorzędną wartość.

Opadający cicho, różowy płatek jabłoni, jak Rydel go opisuje, byłby najlepszym symbolem tej poezyi.

Trwałą też wartością jego twórczości pozostanie wysoki poziom ideowy, podnoszący dusze w świat lepszy. Rzadko który poeta jest tak wolnym od obniżenia lotu, jak Rydel. Na firmamencie jego poezyi świecą tylko nieśmiertelne gwiazdy ludzkich ideałów, krzepiące serca światłem wiary i rosą nadziei.

Szczęśliwy, że to, z czego jest znany, jest tylko cząstką tego, co ludziom zostawił i co z sobą zabrał na drugi świat. Tak z pewnością czuł niejeden wśród tych nieprzeliczonych tłumów, które w głębokiem skupieniu otaczały trumnę jego w Maryackim kościele i odprowadzały ją potem na cmentarz.

Ks. J. Pawelski.

Testament Lucyana Rydla.

Dzięki łaskawej uprzejmości Rodziny zmarłego poety podajemy niniejszem ideową i istotną zarazem część jego testamentu.

Redakcya.

Na wypadek śmierci mojej stwierdzam, że do ostatniego tchnienia wielbiłem Boga, Stworzyciela i Odkupiciela mojego, że Mu dzięki czynię za wszystko — za życie i śmierć i że Jemu ofiaruję moje pragnienie życia, mój żal, a Jego opiece oddaję, co mam najdroższego na ziemi:

Żonę, Matkę, Dzieci i Siostry. Matkę moją żegnam na krótko, zobaczymy się wnet w chwale wiecznej, na łonie Bożem. Żonie mojej najlepszej, najcierpliwszej, najdroższej, dziękuję za nieprzerwane szczęście, jakie mi dała od dnia ślubu. Niech pamięta, że ma żyć dla dzieci, niech bierze wzór z Matki mojej. Dzieciom błogosławię z całej duszy, za grobem czuwać nad nimi będę i Boga prosić o ich dobro ziemskie i wieczne.

Niechaj Matkę swoją czczą, niech Ją pocieszają, niech Jej będą osłodą. Siostrom pożegnanie najczulsze, polecam im Żonę, Matkę i Dzieci moje.

Jeśli możliwe będzie, pragnę i zaklinam na wszystko, aby nasz kawałek ziemi w Bronowicach utrzymał się przy rodzinie mojej. Nie sprzedawać, chyba w ostateczności!

Szkoda, że nie dożyję wolnej, zjednoczonej, niepodległej Polski, za nią Bogu ofiaruję moją śmierć. O niej ostatnia moja myśl na ziemi.

Modlitwa Lucyana Rydla przy codziennej Komunii świętej.

Przez cztery ostatnie lata życia przystępował Lucyan Rydel codziennie do Komunii świętej. Rozmowę, którą w tych chwilach z Bogiem prowadził, później spisał. Dzięki uprzejmości Rodziny zmarłego podajemy tę modlitwę, malującą wyraziście, jak głęboko szlachetną i prawdziwie chrześcijańską była dusza jej autora.

Redakcya.

I.

O Panie Jezu Chryste miłosierny, który mnie raczyłeś odkupić Krwią Swoją Przenajświętszą i żywem Ciałem Swojem mnie karmisz i tym cudem miłości Swoje Bóstwo z nędzą człowieczeństwa mojego mieszasz i jednoczysz — dziękuję Ci za tę łaskę i za to szczęście; w Tobie pokładam całą wiarę, ufność i nadzieję moją; Ciebie nadewszystko na świecie miłuję z całego serca, z całej duszy, ze wszystkich sił, ze wszystkich myśli moich, Ciebie wielbię i sławię: Święty, Święty, Święty, Pan Bóg Zastępów, pełne są niebiosa i ziemia chwały Jego. — O Jezusie Nazareński, Synu Boga żywego, Tobie cześć, Tobie chwała, Tobie dziękczynienie na niebie, na ziemi i w sercu mojem!

II.

O Panie Jezu Chryste miłosierny, który płakałeś nad Jeruzalem, Ojczyzną Twoją, wejrzyj litościwem okiem na Ojczyznę naszą, na stulecie naszej niewoli, klęsk i prześladowań, na teraźniejsze nasze boleści, krzywdy, zniewagi, łzy i krew przelaną i rzeknij słowo Swoje: „Żal mi tego ludu". Wskrzesicielu Łazarza, Ty Polskę z martwych wzbudź, wyswobódź z niewoli, połącz, zjednocz, uszczęśliw, błogosław! Daj narodowi mojemu wiarę żywą, miłość Boga, Ojczyzny, miłość bratnią i zgodę, męstwo i bohaterstwo, cierpliwość i wytrwanie, nadzieję i roztropność, ducha publicznego i serce do wszelkich ofiar gotowe i spraw, aby się całemu światu w nas okazała moc, łaska i miłosierdzie Twoje. Błagam Cię o to przez mękę, krzyż i śmierć Twoją, przez chwalebne zmartwychwstanie i wniebowstąpienie Twoje, przez boleści i radości Matki Twojej, przez anielskie Imię Maryi, Królowej Korony Polskiej! — O Jezusie Nazareński, Synu Boga żywego, zmiłuj się nad Ojczyzną naszą!

III.

O Panie Jezu Chryste miłosierny, który rzekłeś Janowi Św. pod krzyżem: „Oto Matka Twoja" — Panie Jezu, oto moja Matka, moja żona, moje dzieci, siostry, krewni, przyjaciele, domownicy, słudzy moi, wszyscy, których kocham i którzy mnie kochają. — Panie, weź nas pod skrzydła opieki Swojej, zachowaj od złego na duszy i na ciele, prowadź i doprowadź do Siebie, a jeżeli na tej drodze raczysz nam zesłać krzyż — tedy dziej się wola Twoja święta, błogosławione bądź Imię Pańskie, tylko, Panie Jezu, racz nam dać moc i łaskę do dźwigania krzyża tak, aby z naszych boleści Tobie chwała, nam zasługa rosła na wieki. O Jezu Nazareński, Synu Boga żywego — zmiłuj się nad nami!

IV.

O Panie Jezu Chryste miłosierny, wszystko, o co Ciebie błagam dla moich ukochanych, racz dać w tej samej pełnej mierze

moim nieprzyjaciołom, których miłuję dla miłości Twojej, którym odpuszczam wszystkie krzywdy i zniewagi dla chwały Twojej, bo Ty tego chcesz, Ty mnie tego nauczyłeś, o słodki, o litościwy, o ukochany, o Boski Mistrzu miłości i przebaczenia. — O Jezusie Nazareński, Synu Boga żywego, z Tobą wszystko i wszystko dla Ciebie!

V.

O Panie Jezu miłosierny, który rzekłeś: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot, wszelki, który wierzy we Mnie, choćby umarł, żyć będzie na wieki" — Panie Jezu, w ręce Twoje oddaję duszę ojca mojego, dusze braci moich: Adama, Stanisława, Mieczysława, dusze przodków moich XX. i krewnych, powinowatych moich XX., dusze przyjaciół moich XX. i moich nieprzyjaciół — dusze nauczycieli i dobroczyńców moich i tych, których zgorszyłem, do grzechu przywiodłem, dusze tych, za których osobliwie modlić się powinienem, za których nikt się nie modli i tych, którzy w tej wojnie polegli. O Panie, sądź ich wedle wielkiego miłosierdzia Twego, pomnij, że w Ciebie wierzyli, Ciebie kochali, Tobie służyli, z Tobą żyli, w Tobie umierali, że tu na ziemi cierpieli i że Ty za nich przelałeś Krew Swoją Przenajświętszą, której kropla jedna mogłaby odkupić cały świat. Weź ich do chwały Swojej, weź ich na łono Swoje, w światłość wiekuistą i daj im szczęście najwyższe, jedyne, Siebie samego. O Jezusie Nazareński, Synu Boga żywego, zmiłuj się nad duszami zmarłych!

VI.

O Panie Jezu Chryste miłosierny, otom sługa Twój nieudolny, nieumiejętny, leniwy, który sam ze siebie nie mam nic, oprócz ułomności i grzechów moich. Panie Jezu, dawco wszelkiego dobra, z pełni łask i darów Twoich racz mi dać rozum, talent, pamięć, zdrowie i siły do pracy. Daj mi spokój wewnętrzny, łagodność, wyrozumiałość, roztropność, potrzebną do wychowania moich dzieci na sługi Tobie i Ojczyźnie. Daj mi pracowitość i wy-

trwanie, cierpliwość i pokorę, stwórz w wnętrznościach moich serce czyste i spraw, aby całe moje życie stało się jedną nieustającą służbą i ofiarą Tobie na chwałę, Ojczyźnie mojej na pożytek, rodzinie mojej na utrzymanie, dzieciom moim na dobre imię, a mnie samemu na zasługę wieczną. O Panie Jezu, niechże ja będę narzędziem w ręku Twojem, niech będę cieniem cienia Twojego, niech będę echem głosu Twojego, czyń przezemnie czyny Twoje, pociągaj mnie do Siebie i drugich przezemnie do Siebie pociągaj — a przedewszystkiem bądź ze mną i we mnie ciągle i zawsze przez wszystkie dni życia mojego aż do śmierci — ażebym ja po śmierci mógł być z Tobą i w Tobie ciągle i zawsze przez wszystkie wieki wieków. O Jezusie Nazareński, Synu Boga żywego, zmiłuj się nademną!

Georgi Rakowski*),

pionier odrodzenia Bułgaryi.

(1821—1867).

Dnia 21. października ub. r. — niemal równocześnie z setną rocznicą śmierci Kościuszki w Polsce, — święciła Bułgarya pod przewodnictwem swej Akademii Umiejętności 50-tą rocznicę śmierci jednego ze swoich synów, który piórem i mieczem tyle zdziałał dla sprawy wyzwolenia swej ojczyzny, jak mało który z bohaterów bułgarskiej przeszłości.

Rok jego urodzin oznaczą okres najwcześniejszych, nieskrystalizowanych jeszcze dążeń narodowych. Pierwszy głos historyka, O. Paisija (1762)[1]) znalazł wprawdzie oddźwięk w umysłach współczesnych, wywołując sobą skromną, pouczającą literaturę szkolną, sam jednak mógł tylko utrwalić podstawy, na których spoczywa życie społeczne. Rok jego śmierci jest już ściśle związany z uzasadnionemi nadziejami zrzucenia przez Bułgaryę państwowego i kościelnego jarzma. Za nim następuje już szeroko zor-

*) Rzecz niniejszą nadesłał do naszego pisma głośny profesor uniwersytetu sofijskiego, wybitny Bułgar. Rękopis tłumaczył na polskie i przypiskami opatrzył p. T. S. Grabowski. REDAKCYA.

[1]) O. Paisi Chilendarski (ur. około r. 1720), ojciec bułgarskiej historyografii i piśmiennictwa, autor dzieła: „История Славѣнобо. гарская“ pierwszy budziciel bułgarskiego narodu. Pierwsze całkowite wydanie jego dzieła wyszło w Płowdiwie w r. 1898. Świeżo wydał je krytycznie doc. sof. uniw., Jordan Iwanow, w wydawnictwach sof. Akademii Nauk. (R. 1914, str. LXVI. + 91). Osobne studyum poświęcił mu prof. Bojan Penew w r. 1910, w czasop. „Peryodyczesko Spisanije“ i w osobnem wydaniu tegoż roku. (Sofia, 1910, str. 110).

ganizowane powstanie kwietniowe [1]), w którem biorą udział liczne rzesze ludu. Udział Rakowskiego w tem dążeniu do niepodległości i własnej kultury jest wielki, a imię jego budzić będzie po wszystkie czasy drogie wspomnienia tej epoki gwałtownych wysiłków i pełnego samozaparcia się dla najwyższego ideału.

Urodził się w bałkańskiem miasteczku, Kotel, z rodziców, którzy pochodzili z pobliskiej wsi Rakowo [2]), a pomiędzy przodkami swoimi liczyli wielu księży, kupców i inne duchowo czynne osobistości. Wzbogaciwszy się na kotlarstwie (w samem Rakowie było wówczas przeszło 400 kotlarzy) i na handlu suknem, dostawiając swój towar daleko na wschód i zachód, bo aż do Carogrodu i Brasso (Kronstadt), odznaczali się oni dzikością krwi, wojowniczem usposobieniem i gorącem uczuciem i przywiązaniem do narodu i ojczyzny. Krewniak Rakowskiego, sławny „wojwoda" (przywódca czety powstańczej), Mamarczew [3]), próbował w r. 1828, kiedy Turcya prowadziła wojnę z Rosyą, wywołać powstanie w Trnowie, a przedtem jeszcze wuj jego, Bojczo [4]), uratował

[1]) Por. o niem świeżą monografię D. Straszimirowa p. t.: „Istoryja na aprylskoto bydstanye". (Płowdiw, 1907).

[2]) We wschodnim Bałkanie, w t. zw. „Średniej Planinie" (część Kotelska, nad rzeką Luda Kamczija).

[3]) Georgi Stajkow Mamarczew, kapitan ochotn. wojsk bułgarskich. Był komendantem oddziału bułgarskiego w armii Dybicza w r. 1829. Po zwycięstwie Dybicza, kiedy jeszcze wojska rosyjskie były w Bułgaryi, Mamarczew wraz z wojewodą Bojczą ponownie wzniecił powstanie w północnej i południowej Bułgaryi. Ruch jednak został rychło stłumiony, po części przez samo wojsko rosyjskie. Mamarczew został uwięziony przez władze rosyjskie, a wojew. Bojczo wygnany na Sybir. W r. 1836 Mamarczew wydostał się z Sylistryi z rąk rosyjskich i pospieszył do Trnowa, gdzie gotowało się nowe powstanie. Zdradzeni jednak przywódcy, zostali w Kapinowskim Monastyrze otoczeni przez wojska tureckie, schwytani i częścią wywieszani, częścią wtrąceni do więzienia, gdzie wśród strasznych męczarni pomarli. Między ostatnimi był i Mamarczew. (Por. D. Miszewa: „Българария въ миналото" („Bułgarya w przeszłości") Sofia 1916, str. 353 i n., rozdz. „Възстания" („Powstania").

[4]) Wojew. Bojczo był również początkowo w służbie rosyjskiej (1828—1829 r.), po upadku powstania wysłany na Sybir, uszedł stamtąd po roku i przez 20 lat jeszcze wojował wśród gór i lasów Bałkanu z Turkami, na czele oddziałów hajduckich, stając w obronie uciśnionej ludności. Jak wielu innych wojewodów, przeszedł i on do pieśni ludowej. (Por. o nim w Prof. K. I. Jirećka: „Istoryja na bołgarytie". (Sofia, 1889 T. II., str. 663—64).

był Kotel przed „Kirdżalami", mając zaledwie 300 ochotników i 4 drewniane działa kościelne. Wyobraźnię chłopca podniecały silnie błyszczące uniformy, konie i zbroja tych dumnych żołnierzy, i jeszcze żywiej odzywać się w nim poczęła skłonność do przygód, pragnienie czynów, któreby go wsławiły wśród ludu.

Po ukończeniu szkoły ludowej w Kotle i Karlowie został Georgi wysłany przez swego ojca do głośnego podówczas liceum greckiego w Konstantynopolu, do t. zw. „Kuru - czeszme". Już w domu umiał on dobrze po grecku, teraz zaczął opanowywać język, jak rodowity Grek, aby się módz poświęcić następnie jakiejś służbie państwowej.

W Carogrodzie żył też krewny jego, książę Bogoridi[1]), posiadający zaufanie u sułtana, który poruczał mu najważniejsze misye w dziedzinie administracyi państwowej. Rakowskiego jednak nie pociągały widoki spokojnego życia w służbie tureckiej, w dostatku i wygodzie; bardziej pociągały go ideały wielkiej kolonii bułgarskiej w Konstantynopolu, która, w imię proroczych słów Neofita Chilendarskiego[2]), domagała się wypę-

---

[1]) Stefan Bogoridi, wnuk głośnego biskupa wraczańskiego, Sofronia. Dzięki wybitnym zdolnościom zdobył wybitne stanowisko w tureckiej administracyi i dyplomacyi, a wkońcu tytuł księcia i zarząd nad autonomiczną wyspą Samos. Wychowanek jednak greckiej akademii duchownej w Bukareszcie, czuł się więcej Grekiem, niż Bułgarem. Mimo to ubocznie popierał wolnościowe ruchy wśród Bułgarów. (N. p. w Widyniu po r. 1850). Nadto założył w rodzinnem mieście Kotle grecką szkołę, uważając, że język grecki bardzo jest potrzebny Bułgarom w walce o narodowe, polityczne i cerkiewne ich prawa. Równocześnie jednak za jego staraniem w samym Konstantynopolu powstaje w r. 1848, na przedmieściu Fener, osobna gmina bułgarska i zakłada się podwaliny pod przyszłą cerkiew bułgarską, pod którą grunt ofiarował sam książę Bogoridi. Cerkiew ta istnieje do dzisiaj, widoczna zdala w samem centrum zachodniego Stambułu. Od r. 1847 zasiada ks. B., dzięki rozporządzeniu W. Porty w patryarchacie greckim dla kontroli greckich władz cerkiewnych w odniesieniu do spraw bułgarskich. (Por. Ubicini: „Lettres sur la Turquie. T. I., str. 257—261. Jirecek op. cit., Miszew op. cit. i. i.).

[2]) Archimandryta Neofit Bozweli, zwany też Chilendarski, pochodził także z rodzinnego miasta Rakowskiego, z Kotła. Jeden z najgorętszych to obrońców państwowej i kościelnej niezawisłości Bułgaryi, za którą cierpiał prześladowania ze strony patryarchatu greckiego, a wkońcu wygnanie na Górę Świętą (Atos), gdzie wrzucony do wilgotnych podziemi

dzenia greckich biskupów z Bułgaryi. Wpierw kościelne prawa, wolność religii, nauki i modlitwy w ojczystym języku, a potem prawa polityczne, państwowa i narodowa niezależność — takie pojęcia zagnieździły się już wówczas w wrażliwej głowie Rakowskiego. I kiedy już nie mógł dłużej działać w Konstantynopolu pod czujnem okiem rządu i patryarchatu, uszedł do Rumunii, gdzie pod przybranem nazwiskiem S a w y M a k e d o n u, jako nauczyciel w Braile, budził świadomość narodową wśród tamtejszej młodzieży bułgarskiej. Ze szczególnem zamiłowaniem wskrzeszał przed swymi słuchaczami obrazy z dziejów Bułgaryi; wielka przeszłość miała budzić nadzieje lepszej przyszłości. A przeciwko tym, co wszystkiego od Rosyi oczekiwali, co wierzyli naiwnie, że wolność gotowa sama przyjdzie z zewnątrz, głosił zasadę oparcia się n a w ł a s n e j s i l e. „Nie zapominajcie, — powtarzał często, — że władcy i państwa nie pomagają nigdy nikomu bez własnej korzyści. Jeśli Rosya wypędzi Turków, to uczyni to z własnego wyrachowania, a nie dla dobra naszego". Tak mówił Rakowski w r. 1840-tym.

Gorąca krew Sawy nie pozwoliła długo patryotom bułgarskim zażywać spokojnego życia. Kiedy jedna z bułgarskich czet usiłowała przekroczyć Dunaj, a komendant miasta, Engel, rozkazał swoim żołnierzom strzelać do niej, Rakowski, nie zastanawiając się wiele, chciał go zabić; tylko przyjaciele przeszkodzili mu w tem i Rakowski zamiar swój odłożył na później. Kiedy niedługo później strzelił na ulicy do Engla, został schwytany, skrępowany i w Bukareszcie zasądzony, jako obcy jednak poddany, (przyjaciele dostarczyli mu greckiego paszportu), wysłany do Aten, wydostał się na wolność. Stamtąd, pod nowem nazwiskiem Georgiego Rakowskiego (początkowo nosił imię S a w y P o p o w i c z a, później S a w y M a k e d o n u), odbywa podróż do Marsylii, gdzie jako gość greckiego konsula, Koletti'ego, przebywał blisko pół-

Chilendarskiego monasteru, zmarł w r. 1849. (Wedle prof. A. Teodorowa: „Bilgarska Lyteratura" (Płowdiw 1907, str. 104) w r. 1848-ym). Pozostawił po sobie geograficzny opis Bułgaryi w zbiorowem dziele, — rodzaju popularnej encyklopedyi dla szkół, — napisanem wspólnie z nauczycielem, E m a n u i ł e m B a s k i d o w i c z e m p. t. „Sławienobołgarskoje dietowodstwo" (Kragujevac 1835).

tora roku, nauczywszy się tak dobrze języka francuskiego, że odtąd mógł pisać swobodnie i w tym języku. Im bardziej stawał się wrażliwym dla swobody i cywilizacyi Zachodu, tem bardziej dręczyła go myśl o ujarzmionych, w hańbie żyjących i pod barbarzyńską przemocą upadających braciach. Bliżej swoich być, znów pracować dla ich kultury, znów ujrzeć skały i doliny Bałkanu, który tak często stawał w całej swej poezyi dziecinnych wspomnień przed uduchowionem okiem patryoty — takie pragnienia wstrząsały duszą Rakowskiego i pędziły go raz w raz z zaciszy spokojnego życia na tułaczkę, na bój.

Po dziesięcioletniej nieobecności w Kotle powrócił Rakowski znowu pod ojczystą strzechę. Knowania „czorbadżijów" (bogatych Bułgarów, którzy trzymali z rządem tureckim), turecka broń i widok kontrastu pomiędzy Francyą i Bułgaryą nie dawały mu spokoju. Odważny, bezwzględny, niepowstrzymany w swem postępowaniu, znalazł się niebawem, wraz z nie mniej zuchwałym ojcem swoim, w więzieniu w Carogrodzie. Przebyli tam półczwarta roku, niby żyjące trupy, wśród najnędzniejszych warunków. Pamiętników Rakowskiego z tych czasów dziś jeszcze nie można czytać bez najwyższego wzburzenia. Po długich rokowaniach, przy pomocy łapówek wypuszczony z ciemnicy, by módz opłacić długi ojca, spowodowane więzieniem, osiadł naprzód w Konstantynopolu, jako adwokat, następnie, jako nabywca podatków państwowych, w Płowdiwie (Filipopolu). W krótkim przeciągu czasu zarobił wiele pieniędzy. Lecz dawny cierń nie przestał ranić serca; pierś trzydziestoletniego męża rozpierało silne uczucie i nieugięta wola, by znowu wszcząć walkę przeciw tyranom.

Wybuch wojny krymskiej (1853) ożywił wielkie nadzieje i plany. Rakowski wierzył, że koniec Turcyi bliski, a za nim i chwila, w której bułgarskie plemię na własnych stanie nogach. Lecz ani Turcya nie została zmiażdżona, ani jego naród nie został uszczęśliwiony. Rakowski wstąpił jako ochotnik do armii tureckiej, aby w ten sposób, z pomocą zorganizowanej grupy przyjaciół, energiczną przeprowadzić obronę chrześcijańskiej ludności przeciwko wszelkiego rodzaju uciskowi i nadużyciom w tych burzliwych czasach. Lecz znowu, oskarżony o zdradę, został schwy-

tany i zakuty w kajdany. W drodze jednak przez Bałkan udało mu się z rąk strażników uwolnić, poczem skrył się w Carogrodzie, organizując tam nową „hajducką czetę“ (oddział powstańczy), na czele której sam stanął. Tymczasem wojna pomiędzy Rosyą i Turcyą przybrała nieoczekiwany obrót, a pomoc dla Rosyi okazała się spóźnioną. Rakowski trzymał się jeszcze jakiś czas w górach w okolicy Kotła i Presławu, wkońcu jednak rozpuścił swój oddział, a sam udał się do Kotła. Ukryty w domku jednego ze swych przyjaciół, pracował nad swym bohaterskim poematem, epopeją hajducką: „Горскій пятникъ“ („Wędrowiec leśny“, Nowy Sad 1857), w którym zużytkował własne przygody życiowe; nadto gromadził materyały dla swych dzieł naukowych, z zakresu historyi, starożytności i językoznawstwa.

Koło Bożego Narodzenia 1854 r. opuścił swą tajemną kryjówkę i koło Swistowa przeprawił się przez Dunaj. Odtąd nie miał już nigdy zobaczyć rodzinnego domu ani rodziców, których nad wszystko kochał, ani ojczyzny, dokoła której myśli jego nieustannie krążyły i poza którą żadnego innego ideału nie uznawał. W Bukareszcie prowadził dalej swą literacką i naukową pracę, widząc, że nie nadszedł jeszcze czas odpowiedni do wewnętrznej rewolucyi i że nieokrzesanym rodakom jego potrzeba dać wprzód to wyszkolenie, to poczucie obowiązku, ten zapał i umiłowanie wolności i wszystkiego, co swoje, bez czego powstanie ogólne byłoby niemożliwością. Główną troską Rakowskiego było teraz: dokończyć i wydać poemat, który, jako rodzaj świeckiej, poetycznej Ewangelii narodowej, chciał włożyć w ręce bułgarskich patryotów. Prócz tego powziął plan kontynuowania dzieła bułgarskiego dziejopisarza Wenelina[1]), oraz oczyszczenia z pyłu archiwów

[1]) Juri Iwanowicz Wenelin (1802—1839), z pochodzenia Rusin z Podkarpacia, autor jednego z najcenniejszych dzieł o Bułgaryi: „Древніе и нынѣшніе Болгаре въ политическомъ и религіозномъ ихъ отношеніяхъ къ Россіянамъ“ (Moskwa 1829), pierwszy cudzoziemiec, który zwrócił uwagę Europy na Bułgaryę i Bułgarów. Do dzieła swego zebrał olbrzymie materyały i Bułgaryę poznał bezpośrednio w r. 1829, korzystając z wyprawy Rosyi na Bałkan. On to pierwszy odkrył Słowianom (nawet Dobrowskiemu, Szafarykowi i Kopitarowi) fakt, że Bułgarzy są rodowitymi Słowianami, a nie zesłowiańszczonymi Tatarami. Wpłynął potężnie na rozbudzenie ruchu narodowego w Bułgaryi i studyów nad ojczystą historyą.

i wydobycia z zapomnienia wszelkich dokumentów, w których kryje się materyał do wspaniałego obrazu przeszłości Bułgaryi. Wkońcu usiłował zająć stanowisko wobec politycznych i społecznych zagadnień chwili i w tym celu począł wydawać własny dziennik, w którym chłostał tyranów, a wlewał wiarę w serca uciemiężonych rodaków.

Całą tę wielostronną pracę, którąby dzisiaj trudu i zdolności dziesięciu ludzi wymagała, wziął on sam jeden na swe barki, pełen wiary w własne siły, nie znający spoczynku ni zmęczenia. Najodpowiedniejszem miejscem pobytu zdawała mu się być Austrya, dlatego więc przeniósł się do Nowego Sadu (Południ. Węgry). Tu wydaje w r. 1857 dziennik bułgarski „Българска Дневница“ („Bułgarska Jutrzenka“), która po kilku numerach przechrzczona została na „Дунавски лебедъ“ („Łabędź Dunajski“), tudzież drukuje oczekiwany z niecierpliwością przez czytelników poemat, który zapowiedział już był poprzednio w specyalnym zwiastunie. „Прѣдъвѣстникъ Горскаго Пятника„ Lecz także w Nowym Sadzie nie pozostawiono Rakowskiego w spokoju; zmuszony do opuszczenia państwa, przenosi się do Rosyi, gdzie się osiedla w Odessie. Tam drukuje swój „Показалецъ“ („Drogowskaz“ 1859), w którym kładzie podwaliny pod bułgarskie ludoznawstwo, a wielu miłośnikom dawnych czasów, bujnych swem życiem, a poetycznych i bogatych obyczajami, rozwija rozległy program, w jaki sposób zbierać mają i grupować dalsze, odkryte w przyszłości materyały etnograficzne.

Tymczasem sława Rakowskiego, jako pisarza, uczonego i wodza narodowego, rosła z dnia na dzień. Dokoła niego kupili się młodzi emigranci, w których sercach kipiała gorąca krew, pragnienie walki i tęsknota do wolności. Czarująca moc jego słowa

---

Pozyskał też trwałą wdzięczność Bułgarów, którzy też mu wznieśli pomnik na grobie w Odessie. Wiele drobniejszych pism wydano dopiero po jego śmierci, choć do dziś jeszcze nie wszystkie. Pierwszą biografię Wenelina napisał przyjaciel jego i działacz w epoce odrodzenia Bułgaryi, Nikoła C. Pałanzow. Pozatem istnieje już dzisiaj cała literatura o Wenelinie w języku bułgarskim, ruskim i rosyjskim. Trafną charakterystykę tej postaci dał w swem najnowszem dziele: „Българитъ въ своята история Софиа“ 1917) Janko Sakazow. (Str. 233—5).

podniecała zapał, jednoczyła wole i kierowała dziełem. „Wasz trud, baj-Rakowski [1]), — pisał mu w r. 1861 jeden z jego czcicieli — uwieńczony będzie przez nasz biedny naród wieńcami wawrzynu; ileż przeciwności napotykącie wszędzie w swojej pracy, a przecież cieszymy się, że widzim w Was męża, jakiemu równego niemasz w Bułgaryi... My, młodzi, poleciliśmy wszystkim, by święte dzieło Wasze pilnie śledzili, a szczególnie w „Łabędziu" Waszym by się całą duszą rozczytywali... Bez wielkich korowodów, otwórzcież, Panie, na oścież swą skrzynię i wydobądźcież na świat owo złote pióro, w którem się kryje środek dla lepszej, da Bóg, przyszłości narodu"....

W r. 1860 pociągnął Rakowski do Belgradu i za pośrednictwem stosunków, nawiązanych z przywódcami hajduków, jak Panajot Chitow [2]) i inni, stamtąd począł czynić przygotowania do wielkiego, powstańczego ruchu. Apelował do ofiarności, wielkoduszności i oświeconego patryotyzmu bogatych kupców bułgarskich w Rumunii, Rosyi i Turcyi, aby zdobyć środki pieniężne, potrzebne na wyekwipowanie, uzbrojenie i utrzymanie „bułgarskiego Legionu", który dzięki zabiegom Rakowskiego stworzony został w Belgradzie i miał być podstawą przyszłej armii bułgarskiej. Do legionu wstąpili ludzie tacy, jak wsławiony niebawem Wasyl Lewski [3]), Stefan Karadża [4]), Wasyl Drumew [5]) (późniejszy biskup Kliment) i około 600 innych wy-

---

[1]) Baj, bae = patryarchalne bułgarskie imię, dodawane przez młodych do imienia własnego lub nazwiska starszych na znak poszanowania; coś w rodzaju polskiego, ociec, gazda, rosyjskiego: djadja.

[2]) „Wojwoda" Panajot Chitow (urodz. 1830 r. w Sliwenie), jeden z najwybitniejszych przywódców czet bułgarskich w latach 1862—1866, działacz wśród emigracyi bułgarskiej w Rumunii, skąd musiał w r. 1866 uchodzić do Rosyi. Po powrocie w dalszym ciągu działał jako rewolucyonista bułgarski aż do wyzwolenia jej z pod jarzma tureckiego. Pozostawił ciekawy pamiętnik swych „podróży" po Bałkanie, oraz życiorysy najsławniejszych bułgarskich wojewodów. („Мѣето пятуване по Стара-Планина и животописанието на нѣкой български стари и нови войводи". Bukareszt, 1872).

[3]) Wasyl Lewski, znany pod pseudonymem „diakona", najpopularniejszy, obok poety Botewa, rewolucyonista bułgarski. Poszedł za hasłami Rakowskiego, lecz własną drogą. Organizował mianowicie i militaryzował nie poza granicami kraju, na emigracyi, ale w samej ojczyźnie, przebiegając jak uiouchwytne zjawisko wzdłuż i wszerz kraj cały. Do dzi-

bitnych Bułgarów z różnych części kraju. Rakowski zamówił pieczęć dla „Tymczasowego Rządu Bułgaryi" (1862), z podobizną lwa w pośrodku, dzierżącego w łapach krzyż i miecz; sam zaś nosił się i zachowywał jakby prawdziwy książę Bułgaryi. Lecz rząd serbski, który dotychczas popierał był potajemnie Rakowskiego, aby ten ruch rewolucyjny wyzyskać dla swoich celów, kazał rozwiązać legion bułgarski z chwilą, gdy życzenia serbskie zostały zaspokojone przez mocarstwa europejskie. Rakowski postanowił na własną rękę przekroczyć granicę i powołać pod broń swych rodaków, lecz granica strzeżona była przez silne patrole serbskie. Ponieważ zaś i wiele innych okoliczności wymagało odłożenia akcyi na później, przeto sam Rakowski legion rozwiązał.

W tym przygodnym szkicu musimy sobie odmówić przyjemności zagłębiania się w wszystkie ewolucye tego wielkiego dramatu, któremu na imię: walka o ideał i łamanie się osobnika z własną niemocą i zewnętrznymi więzami, aż do zupełnego wyczerpania sił, — a zatrzymamy się tylko nad ostatnim dramatu momentem. Rakowski znalazł się w Budapeszcie. Nie mogąc działać orężnie, skrępowany politycznie, rzucił się znowu do pracy publicystycznej i „naukowej". W czasopiśmie swem „Българска старина" („Bułgarskie Starożytności") wykładał swe historyozoficzne utopie o pochodzeniu i starożytności bułgarskiego języka, o jego pokrewieństwie ze staroindyjskim, oraz wyższości nad starogreckim. W Budapeszcie znowu skupił dokoła siebie całą emi-

---

siaj jest bożyszczem i ideałem ludu bułgarskiego. Lata całe szczęśliwie uchodząc ręki władz tureckich, nie uszedł wkońcu zbrodni zdrady. Wydany przez zdrajcę siepaczom, zginął na szubienicy w Sofii, w miejscu, gdzie dziś stoi jego pomnik.

[4]) Stefan Kara-dża, przywódca jednej z najlepiej zorganizowanych czet bułgarskich w r. 1867. Utworzył ją w Belgradzie i przywodził jej wraz z innym, głośnym rewolucyonistą, Hadżi-Dymitrem Asienowem. Obaj stali się już dzisiaj legendarnemi postaciami, otoczeni aureolą sławy w podaniach i pieśniach ludowych.

[5]) Wasyl Drumew (1838—1901), rewolucyonista i działacz polityczny, pisarz, wkońcu metropolita im. Kliment. W 22 roku życia napisał powieść pod tyt. „Нещастната фамилия" (1860 Russie, II. w. 1873), która daje początek bułgarskiej powieści narodowej. Napisał też popularny dramat historyczny, w którym zużytkował stare legendy o władcach bułgarskich Asienach, p. t. „Иванку, убиецътъ на Асѣня I". (Braiła 1872).

gracyę, wśród której znaleźli się i Hadżi Dymitr i Filip Totju[1]) i Panajot Chitow i wielu innych, czyniąc wszystko, aby utrzymać jedność i zgodę w ich działaniu, w organizacyi ich czet powstańczych. Tu walczył także o rozstrzygnięcie kwestyi kościelnej, podkreślając — w książce swojej o sprawie kościelnej: „Българскый вѣроисповѣденъ въпросъ“ (Belgrad 1860 i Bukareszt 1864) — prawo Bułgaryi do własnego, samodzielnego egzarchatu. Pracował tu aż do zupełnego stargania sił; uczył, pisał, działał, nie szczędząc zupełnie własnego zdrowia, nie zwątpiwszy też ani na chwilę w zwycięstwo dzieła, podejmowanego tylokrotnie z najrozmaitszych stron, mimo wszystkich przeciwieństw, mimo tak powolnego postępu.

Chorobą piersiową znękany, spędził ostatnie lato na wsi, w majątku przyjaciół swoich, braci Mussakowych, wśród winogradów w okolicy Bukaresztu. Do ostatniej chwili życia pracował, pisząc dzieje bułgarskich powstańców-hajduków. Pielęgnowały go troskliwie obie siostry, które przeniosły się do niego z Kotła; lecz ani troskliwość sióstr i przyjaciół, ani zabiegi i operacye lekarzy nie zdołały wstrzymać strasznej choroby; Rakowski zmarł w nocy 8. października starego stylu 1867 r. Wśród wiel-

---

[1]) Hadżi Dymitr Asienow, jak i Filip Totju, najbliżsi towarzysze broni i przyjaciele Stefana Karadży. Organizowali przed r. 1862 czety hajduków, którzy nie tylko bronili ludności bułgarskiej od prześladowań tureckich, lecz niejednokrotnie i grabili bogatych kupców. Dopiero polityczny i moralny wpływ Rakowskiego przeobraził ich z „hajduków“ na ideowych rewolucyonistów-powstańców, kiedy wstąpili do jego „Legionu“ w Belgradzie. Oddział wspomnianych odznaczał się szczególnie tęgą organizacyą i dobrem wyekwipowaniem. Mimo rozwiązania Legionu Rakowskiego, oddział Hadżi Dymitra i Stefana Karadży przedarł się w stu ludzi w r. 1868 przez granicę serbską i dotarł do Bałkanu w okolicy Sewlijewa, tu jednak zdradzony, dostał się w pułapkę, w której Karadża po bohaterskiej walce, dostał się do niewoli, poczem, wtrącony do więzienia w Russe (Ruszczuk), zmarł tam od ran i prześladowań. Hadżi Dymitrowi udało się ujść szczęśliwie z garstką swych żołnierzy na południowe stoki Bałkanu; i on jednak wytropiony wkońcu, zginął śmiercią bohaterską w miejscowości Bezłudża. Podobne były losy i trzeciego, najmniej znanego z belgradzkich wodzów-legionistów, Filipa Totju. (Por. rzecz G. Rakowskiego o bułgarskich czetach powstańczych p. t. „Българскитѣ хайдите... (Bukareszt 1867, Warna 1880).

kiego zjazdu bułgarskiej emigracyi ze wszystkich miast Rumunii, pochowany został nazajutrz na miejscowym cmentarzu.

Tak żył i umarł ów patryota bułgarski, zasłużony jak mało kto około dzieła odbudowy państwa, w nieprzepartem dążeniu do tych celów bułgarskiego narodu, które za naszych dni dopiero zostaną, zda się, osiągnięte [1]).

Prof. M. Arnaudow.

W Sofii, w październiku 1917 r.

---

[1]) 50-tą rocznicę śmierci bułgarskiego bojownika za wolność uczciła Bułgarya pięknem dziełem zbiorowem, pod redakcyą grona uczonych, p. t. Г. С. Раковски, по случай петдесетгодишни наша отъ смъртьта му (1867—1917). Złożyło się na nią sześć prac prof. M. Arnaudowa, Bojana, Penewa i A. P. Stoiłowa. Najważniejszą część dzieła, bo szczegółową biografię, po raz pierwszy naukowo i systematycznie traktowaną, opracował prof. Penew. (Sofia 1917, wyd. „Книга").

Twórczość teatralna Wyspiańskiego.

(Dokończenie).

Wobec niezrozumienia intencyi „Wesela“, przedstawił Wyspiański jeszcze raz szlachtę i jej zapatrywania na swą misyę historyczną w „Wyzwoleniu“ (1902). Rozmowa karmazyna z hołyszem nie pozostawia już co do swego znaczenia żadnych wątpliwości. Ale „Wyzwolenie“ jest także komentarzem do trylogii antiromantycznej. Tendencyę jej sformułował był Wyspiański najwyraźniej w rapsodzie o „Kazimierzu Wielkim“ (1900): „Naród mój tak się we swą przeszłość weśnił, — schodził we wszystkie grobowe piwnice, — z trupami się umarłymi rówieśnił, — badał w ich twarzach skonu tajemnice, — że sam w tych ciągłych łzach i płaczach pleśnił, — bruzdami czoło poorał i lice — i starzał, w coraz dalsze patrząc groby, — wzrok tężył w mroczne podziemia żałoby. — Rozpoznawałem, że kochał się w trunach, — kołysząc w nich swą myśl, jakby w szalupach... jak na spuścizny cieszył się fortunach, — rozmiłowany w tych przegniłych trupach, — mniemając, że go to do życia wiodło, — że brał te trupie piszczele za godło“...

Za przedstawiciela tego „szału grobowego“ wybrał i tym razem Mickiewicza, przez tę prostą assocyacyę, że skoro on spoczął obok królów na Wawelu, to stał się niejako strażnikiem i ka-

płanem ich grobów. Apoteozę Mickiewicza na jego pogrzebie w r. 1890 przeżył sam poeta w 21. roku życia. Otóż tego Mickiewicza apoteozowanego, tego symbolicznego kapłana grobów, a nie historycznego poetę, obrał za swego antagonistę, dał mu wygląd posągu z pomnika Rygiera (w pierwszym odlewie, który mu się właśnie bardzo podobał) i nazwę Geniusza, oczywiście tej poezyi grobowej, z którą historyczny Mickiewicz nie wiele miał wspólności. Raczej autorowi „Snu Cezary" należała się ta rola. Walka autora (nowego Konrada) z owym Geniuszem rozgrywa się w katedrze wawelskiej (jako akt trzeci), gdzie naprzód powtarza się treść ostatnich dwóch scen „Legionu": ślubowanie śmierci przez rozmaitych patryotów, obietnice Geniusza, że ich powiedzie do „szczytów ducha", do grobu, gdzie znajdą Polskę z ducha poczętą. Chór wzdraga się zrazu przed trumnami, próchnem, zgnilizną, przed śmiercią, ale pokrzepiony widokiem czary złotej i złotego rogu, już ma wstępować do grobu, gdy do katedry wpada Konrad z pochodnią w ręku, wytrąca nią Geniuszowi z ręki czarę poezyi i zatrzaskuje wejście do podziemia. Dokonawszy tego, wypowiada gwałtowną inwektywę przeciw Geniuszowi, jako reprezentantowi poezyi grobów, i przeciwstawia jej wolę do życia, do potęgi, do zwycięstwa; wyrzeka się ruin i gruzów, rozpamiętywa czar wiślany i kończy okrzykiem: „Poezyo precz! jesteś tyranem"! Tak samo Baltazar w „Danielu" wołał wobec synów podbitego kraju: „Poezyo precz, wypędźcie poetów!", wzywając do rozsądnej pracy w niewoli.

Teraz i chór odpędza od siebie Geniusza, Geniusz znika, a Konrad improwizuje, pędzi na rydwanie między gwiazdami, wreszcie spada do rzeczywistości i odprawia Muzę: „Od dziś moja poczyna się wola, — zdobyłem dzisiaj władzę ponad twoją władzą".

Czem i jak tę władzę zdobył, pokazał w rozmowie z maskami, z których każda przedstawia nowy etap w pochodzie jego myśli ku — wyzwoleniu się z pod wpływu poezyi romantycznej, polityki romantycznej, myślenia romantycznego. Te maski oblazły go, jak karakony obłażą miednicę z piwem, ale na zaklęcie szczezły, zostawiając mu jedyny, uratowany przed niemi skarb, szczęście rodzinne. Personifikuje je poeta w postaci bogini ogniska

domowego, Hestyi, która odejmuje Konradowi naprzód pamięć przebytych mąk, uwalnia go od potwornych myśli i znaczy drogę posłanniczą: „Strzedz ognia domowego, wziąć topór oburącz, siąść stróżem u proga i nie zwolić ni piędzi ziemi!“ Rzesze, pouczone o tem przez Konrada, wstaną na krwawą rzeź. Na znak tego posłannictwa daje mu Hestya płonącą pochodnię, z zagrożeniem, że „kto straci żarów świętą siłę (choćby w ofierze dla narodu), tego dosięgną mściwe Erynie“. Konrad użył swej pochodni jako zatyczki rygla przy grobach królewskich, pochodnia zgasła, jakby na znak, że kto wypędził poezyę z narodu, ten jej się pozbył i osobiście, a nie mając poezyi, niema organu swego posłannictwa. Dlatego Konrad, jako zabójca Geniusza, zabójca poezyi romantycznej, swej macierzy, podpada Eryniom. Klątwę zdejmie z niego dopiero Apollo-Chrystus z Akropolis.

Pięć utworów poświęcił Wyspiański zwalczaniu szału romantycznego, który uważał za czynnik rozkładu i bezwładu narodowego. Bismark nazwał wprawdzie Polaków poetami w polityce, ale czy poezya romantyczna wywierała taki wpływ na nasze powstania i na dzisiejsze postępowanie, jak to przedstawia Wyspiański? Tego pytania nikt z nas nie potwierdzi. A w takim razie przeciwnicy sceniczni Wyspiańskiego nie byli ludźmi, branymi z rzeczywistości, lecz konstrukcyami historyczno-literackiemi i walka z nimi była walką z własnemi urojeniami, prowadzoną pod hasłem: „Precz z poezyą romantyczną, precz z wszelką romantyką“. Jeśli jednak ta polemika Wyspiańskiego nie była aktualna, to skądże tak silny jej resonans? Otóż stąd, że Wyspiański, pokazując publiczności trujące owoce rozmaitych szałów romantycznych, wyposażał je w tyle barw i zapachów, że publiczność, na równi z ich scenicznemi ofiarami, ulegała ich czarowi i wzruszała się tem, czem w myśl poety powinna była tylko się obruszać. Wyspiański — według formuły S. Brzozowskiego — wypędza z cmentarzysk do życia, ale głos jego nową staje się pokusą, ściągającą na owe cmentarzyska, gdzie jakieś nowe rodzi się wyzwolenie. Chce spędzić żywych z mogił, chce, by się myśl ich rodziła, jak na słonecznej niwie, a budzi umarłych i żywych tłumy do starych kaplic ściąga.

Te skutki nie były oczywiście zamierzone przez poetę. Musiał je przyjmować, jako nieodzowne następstwa błędnego tłumaczenia jego symbolów. Mimo to symbolizmu się nie wyrzekł. Przeciwnie, pierwszy jego dramat pozytywny, „Akropolis“ (1904) jest ultra-symboliczny. „Akropolis“ jest w koncepcyi dopełnieniem „Wyzwolenia“. Konrad bowiem zapowiedział, że poczucie winy po zamordowaniu matki, poezyi romantycznej, usunie z jego sumienia Bóg, Apollo-Chrystus, i Erynie przejdą mimo. Wtedy dopiero będzie naprawdę wyzwolony i on i naród, wtedy się spełni jego posłannictwo. Ale przecież rzeczywistość przeczyła temu, jakoby Konrad wywiódł naród z grobu niewoli. Więc pomysł poety nie miał substratu realnego. Trzeba było przedstawić owo wyzwolenie symbolicznie, jako wyzwolenie w illuzyi artystycznej. Bo zdaniem Konrada tylko sztuka i jej dzieła są wieczne, nieśmiertelne; wszystko inne żyje, umiera i znów się odradza, czysto biologicznie. Ale jakiegoż użyć symbolu, by przedstawić zmartwychwstanie choćby w illuzyi? Wyspiański brał nieraz udział w nabożeństwie resurrekcyjnem na Wawelu, nabożeństwie, uświetnionem dzwonieniem w Zygmunta, który od wielkiego czwartku milczał, a teraz rzucał fale dźwięków w wiosenne powietrze, jakby budził po zimie naturę do nowego życia. To zmartwychwstanie Chrystusa, połączone ze zmartwychwstaniem natury, wydało się Wyspiańskiemu dostatecznym symbolem zmartwychwstania Polski. Ale skoro się miało odbyć tylko w illuzyi artystycznej, Konrad nie mógł w niem brać udziału jako osoba żywa, tylko znów jako symbol. W procesyi resurekcyjnej niosą figurkę zmartwychwstałego Chrystusa, niby tego, który właśnie wyszedł z grobu. Czyby i Konrada nie dało się zastąpić podobną figurką? Ale jaką? Szczyt organów katedralnych zdobi posąg psalmisty Pańskiego, Dawida, który według apokryfu, jako delegat „Ojców świętych w otchłaniach“, wyprosił ostatecznie przyjście na świat Odkupiciela. Otóż posąg tego Dawida postawił poeta na miejscu Konrada i kazał mu tak żarliwie prosić o przybycie Salwatora, aż cud się ziścił.

Dawid powtarza przykazanie, dane przez Hestyę Konradowi, jako przykazanie Boga: „W koronie przed mym ludem stój, — jak mój zbrojony wój, — przez struny dźwięcz pobrzękiem zbrój —

jak sęp szponami rwij. — Czuwaj, a czuj, a graj. — Oraczu patrz, by lemiesz czyj — w skraj ziemi się nie worał, — Bogu się ciesz, w narodzie żyj, — żywota rzeźki chorał. — Przy harfie stój, za śpiewem spiesz, — Bogu się ciesz, a graj". Oto program nowej poezyi życia, oto posłannictwo Konrada. Z chwilą, kiedy je wykonywa, Erynie stają się Eumenidami. Widzimy je w orszaku ustępującej nocy, widzimy, jak się interesują człowiekiem, co klęczy i w harfę dzwoni, ale nie mają już nad nim mocy; przed świtem zapadają się w ziemię.

A pieśń Dawida - Konrada spełnia swe zadanie. Już słychać tentent rumaków Boga - Słońca, już mury Wawelu pękają, już trumna św. Stanisława się rozpada, a nad nią wjeżdża na ruiny katedry Apollo. Uświetnił on swym przybyciem zmartwychwstanie Salwatora, który wśród gromowego rozhuku wołał ze szczytu wielkiego ołtarza: „Jam jest siła, — moc". Apollo budzi do życia całą naturę, a resurrekcyjne dźwięki Zygmunta lecą „nad Polską ziemią krwawą, — nad Akropolis, kędy drzemią — królowie i ich prawo".

Więc Polska nie zmartwychwstała? Jeszcze nie. Ale Bóg, który sam wstał z grobu; który corocznie po zimie budzi na nowo naturę do nowego życia, mocen jest i naród wskrzesić. Wśród jakich warunków? Na to odpowiadają symbole poprzedzających aktów. Wśród obudzonych w noc wielką do życia grobowych posągów katedralnych znajduje się także Klio z monumentu Sołtyka i ta głosi odradzanie się dusz, palingenezę i wieczny powrót wszechrzeczy. Pierwsze wierzenie zawdzięczał Wyspiański Słowackiemu („Król Duch"), drugie, starożytne, zdaje się Nietzschemu, który „Die ewige Wiederkehr" uważał za najgłębsze swe odkrycie. Palingeneza nie jednaka jest u wszystkich dusz: Jedne bowiem ciągle wracają w nowe żywoty, mnożą ród, doskonalą się i wiodą naprzód ród człowieczy; drugie, doskonalsze, nie potrzebują się już wcielać, świecą na gwiazdach i wracają dopiero wtedy, gdy z rozbicia światów powstaje na nowo dawne skupienie, w którem oni żyli. By te dwie kategorye dusz dać nam poznać, użył Wyspiański — ożywienia gobelinów katedralnych. Najsławniejsze z nich przedstawiają, jak wiadomo, historyę biblijnego Jakóba,

owego patryarchy, któremu Bóg obiecał rozmnożenie potomstwa i inne błogosławieństwa doczesne. Wyspiański dramatyzuje tę historyę, przedstawiając, jak się Jakób w swym żywocie ziemskim doskonali, jak do coraz wyższych dochodzi poznań. — Przykład na duszę heroiczną znalazł Wyspiański w obrońcy Troi, Hektorze. Ale jak go wprowadzić na Wawel? Bardzo po prostu. Wystarczy domyślić się, że renesansowy gobelin, przedstawiający jakiś pojedynek rycerzy, odnosi się do walki Hektora z Ajasem. Nazwawszy ten gobelin trojańskim, ożywił go Wyspiański i udramatyzował na podstawie Homera. Bohaterowi, ginącemu za ojczyznę, by po wiekach wrócić jako jej przewodnik, jako Bóg, przeciwstawił Parysa, ducha, używającego rozkoszy ziemskich i służącego utrzymaniu rodu ludzkiego.

Współczesnym wydawał się „Akropolis" seryą przypadkowych wizyi, bez żadnego związku; dziś ten związek widzimy, dostrzegamy wysiłek poety w celu zakrycia symbolami tak dziwnej nauki: Naród zmartwychwstanie, jak zmartwychwstaje natura na wiosnę. Zmartwychwstanie jest prawem natury. Idzie tylko o to, by utrzymać swój byt biologiczny i swą ziemię. Na straży tego utrzymania ma stać nowa poezya.

Jeśli zmartwychwstanie przychodzi samo, to jakże zapatrywać się należy na próby przyspieszenia go zapomocą zbrojnych powstań? — Powstańcy są bohaterami, jak Hektor. Ich dusze wrócą kiedyś, jako przewodniczki wolnego narodu. Więc śmierć tych bohaterów, to posiew nowego życia. Taką jest idea „N o c y l i s t o p a d o w e j" (1904), usymbolizowana w pożegnaniu Demetry i Kory. Skąd te postacie greckie między powstańcami polskimi? Wyspiański przygotował w r. 1903 zbiorowe wydanie swych rysunków do Iliady z tekstem greckim i przekładem Słowackiego. Przy tej sposobności zanurzył się znów w świecie bogów i bohaterów Homera, by z niego już aż do śmierci nie wychodzić. Uderzył go wiersz z początku Iliady, o tem, jak to gniew Achillesa wiele szlachetnych dusz bohaterów do Hadesa wyprawił „i Zeusa spełniała się wola". Więc cała wojna trojańska była tylko spełnieniem się woli Zeusa czy Losu? Więc jej uczestnicy byli tylko igraszką w rękach bogów? Nie inaczej. Więc Wyspian-

ski i nad uczestnikami powstania listopadowego umieszcza Homerowy Olimp i czyni ludzi igraszką spraw i sprawek Boskich. Jako drobny symbol bezsilności ludzi wobec wyższych potęg możnaby to znieść; ale usamodzielnienie akcyi bogów obok akcyi ludzkich, zupełnie na sposób Homerowy, jest dla dzisiejszego widza dość obce i prawie niezrozumiałe.

Wobec listopadowego igrzyska bogów Homerowych na daleki plan schodzą te postacie, które głoszą pozytywną myśl poety, że zbrojne powstania tylko winą krwi obciążają uczestników, a nie przyspieszają dnia wolności. Tę myśl głosi zmarły ojciec Lewela, a z żywych generał Krasiński. Symbolem jej jest polski Prometeusz, Łukasiński.

Co tak w „Nocy listopadowej" tylko mimochodem jest zaznaczone, to już rok przed nią szerzej rozprowadził Wyspiański w „A c h i l l e i d z i e" (1903), Iliadzie udramatyzowanej z tą tendencyą, by wykazać, że dłuższa bezczynność Homerowego Achillesa była wynikiem nie jego obrazy i gniewu, lecz przekonania, „że mordowani przez niego — niewinni i że w tych czynach szlachetni — bezczynni". Aby zrozumieć, jak Achilles doszedł do tego poznania i jak jego nowe usposobienie oddziaływało na innych bohaterów, z wyjątkiem Odyssa, trzeba mieć dobrze w pamięci i Iliadę i Wojnę trojańską Diktysa i nawet Troilusa i Kressydę Szekspira. Ich to materyał rozbił Wyspiański na szereg luźnych scen, które nie tworzą żadnego jednolitego dzieła sztuki. W kalejdoskopie zdarzeń ginie prawie tendencya, która prócz nakazu bezczynności w wojnie, obejmuje także jej przesłankę, palingenezę: „Żywot twój nie na jednym zakończy się bycie, — będziesz się błąkał duchem na gwiazd zawierusze, — aż trud podejmiesz nowy, nowe zaczniesz życie".

Ta koncepcya wchodzi także w równoczesne „Wyzwolenie". Improwizujący Konrad pędzi na rydwanie między gwiazdami, mając za woźnicę Automedona, jak Achilles. Oznacza to, że Konrad jest takim samym duchem przewodnim, bohaterskim, jak Achilles; a zarazem pozwala się domyślać, że i Achillesowi użyczył poeta dużo nie tylko ze swoich myśli, ale i ze swojej duszy.

Na ten sam rok (1903), co „Achilleis" przypada „B o l e-

s ł a w Ś m i a ł y", dramat na pozór najbardziej objektywny, historyczny, w rzeczywistości nie mniej symboliczny. Bujny i krewki Piastowicz staje się ofiarą tej samej trumny, która w „Akropolis" musi się w proch rozsypać, by zmartwychwstanie objęło katedrę. A może moc, w niej spoczywająca, także zmartwychwstaje? Takby się zdawało, tak uczy dramat o patronie poety, św. Stanisławie, „S k a ł k a" (1906). Bo ten święty, to nie reprezentant hierarchii kościelnej, to kapłan, który głosi, że Bóg jego, to Bóg słoneczny, to Bóg panteistyczny, skoro „ogień i woda, wiatr i łan — twoje jedyne miano". Wie o tem Krasawica, która mówi do niego: „boś Ty jest z naszych świętych"; „bo ty odradzasz światła w noc — i skrywasz skry w popiele". Taki kapłan Boga życia ma tę moc, „by śmierci pojrzał w twarz". Śmierć wyszła z podziemia w chwili, gdy biskup zniszczył na Skałce ostatni symbol pogaństwa, Korowaj. Ale nie to jego winą. Zawinił przez to, „że wstrzymał Bożej ręki sąd (nad królem), — i sam wypełnił czyn i słowo potępienia". Tę winę musi teraz spłacić krwią. Uwolniony duch jego, duch bohaterski, będzie „palił znicz... nad przyszłe pokolenia". Pokoleniom tym przewodniczyć będą Piastowie, których postacie wznoszą się na świetlanym kręgu i zapadają... bez udziału ludzi. Wieczny obrót, wieczny powrót i pokoleń i ludzi, to tajemnica Pandory. Nie przyspieszy go człowiek czynem, tylko sobie zaszkodzi, jak sobie szkodzi wydawaniem sądu o bliźnich. Sąd należy do Boga!

Jakże więc? Wyspiański prowadził przez szereg lat zaciętą walkę z poezyą romantyczną za to, że ta w grobie widziała kolebkę zmartwychwstania, w śmierci bramę do życia, a sam głosi życiodajną moc śmierci? Jest pewna różnica między poglądem romantycznym a jego: Romantycy głosili zmartwychwstanie na podstawie — historyozofii; on na podstawie — biologii: „Lep gliniany — wolą Słowa — człowiek kłos na roli wstał; — orna rola łan wychowa, — jakie ziarno w glebę siał", to zastosowanie tej nauki biologicznej do narodu, sformułowane przez Konrada (Wyzw. II. maska 19).

Wyspiański uważał się od „Wyzwolenia" za piewcę życia. Ale głównie zajmował go problem śmierci. Pogodzeniem tych

dwóch tendencyi jest właśnie nauka o palingenezie. Pocieszała go ona co do przyszłych losów narodu, ale czasami napawała przerażeniem, gdy pomyślał, że w takim razie i on będzie musiał podjąć „po raz wtóry — ten trud, co go zabijał". Z takiego przerażenia narodziła się myśl tragedyi o Odysseuszu, tym bohaterze, który w „Achilleidzie" sam jeden zdobył się na obciążenie swego sumienia odpowiedzialnością za czyn. Jak taki bohater czynu przemienia się na bohatera bezczynności, miało być przedmiotem trylogii, z której zachowała się tylko część ostatnia, „P o w r ó t O d y s a" (1907). Obciążony klątwą czynu, ścigany przez bogów, przybywa on na ojczystą Itakę, by w niepoznaniu zobaczyć jeszcze dym chaty rodzinnej, skosztować strawy domowej, ocalić przed klątwą syna, a potem przepaść. Niestety, wypadki pchają mu do ręki fatalny łuk Apollina, każą mu jeszcze raz spełnić krwawy czyn, zemstę, i stawiają mu przed oczyma ojca, którego przeznaczeniem było paść z ręki syna. Ale Odysseusz zmógł przeznaczenie, uciekł przed niem; nie mógł tylko uciec przed odpowiedzialnością za czyn. Próżno szukał śmierci, któraby mu otworzyła wrota do prawdziwej, niebieskiej ojczyzny; niepogrzebany topielec będzie się i po śmierci błąkał po morzu, nie mogąc spełnić nawet tego, co mu śpiewały Syreny: „Nowe rozpoczniesz życie, nowa czeka-ć praca, życie nowe, wznawiane życie wielokrotnie". Dlaczego Odysseusz nie może wrócić więcej w życie? Bo według wierzeń greckich tylko ten, czyje zwłoki zostały pogrzebane, dostaje się na — tamtę stronę, pije z źródła zapomnienia i może obierać w podziemiu nowy żywot. Ale cóż nas obchodzą wierzenia greckie? Wyspiański tak się w nie wżył, że całą tragedyę zbudował na greckich wierzeniach i greckiej, Homerowej etyce, dziś nam zupełnie obcej. To też i „Powrót Odysa", jako rzecz zupełnie obca, dziś nas nie wzrusza, wzruszyć nie może. Podziwiamy go, jak jaki archaiczny posąg grecki, ale zapalić się do niego nie potrafimy. A szkoda, bo artystycznie to najdoskonalszy utwór Wyspiańskiego.

Obcość świata Homerycznego sprawia, że w słowach Odysseusza nie słyszymy osobistej nuty Wyspiańskiego: Wszak-ci ten tułacz, płynący całe życie do ukochanej ojczyzny, ten żebrak, co

jej tu na świecie nie znajduje, a do idealnej, niebieskiej Itaki dostać się nie może, to sam poeta. Że ta analogia nie jest naciągana, świadczy wiersz Wyspiańskiego z r. 1905, zaczynający się od słów: „Pociecho moja, ty, książeczko". Jest to najważniejsza autobiografia poety. Ostatecznie doczekał się poeta tej łodzi śmierci i nowego życia. Odszedł w zaświaty, przeżywszy tu lat tylko 38, ale odszedł, spełniwszy swe zadanie: Poezyę grobów na scenie obalił, poezyę życia ze sceny wyśpiewał, powiedział narodowi, co myśli o jego przyszłości: trwać, żyć, bronić domowego proga i ojczystego zagonu, a zmartwychwstanie państwa przyjdzie samo, jak sama przychodzi po zimie wiosna.

Gdy dziś śpiewamy: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród" i „twierdzą nam będzie każdy próg" i „będziemy bronić ducha, aż się rozpadnie w proch i w pył — krzyżacka zawierucha", to powtarzamy hasła, dane Konradowi przez Hestyę, Dawidowi przez Boga, a nam przez Wyspiańskiego. Dla zaznaczenia pochodzenia tych haseł, poetka wspomniała i o złotym rogu: „wtedy nam zabrzmi złoty róg". Kiedy? Kiedy przyjdzie zmartwychwstanie, na wiosnę narodu.

Zwrot od romantyzmu politycznego do „polityki" wytrwania, zwrot, który w większości narodu dokonał się dopiero podczas obecnej wojny światowej, wywalczył sobie Wyspiański przed piętnastu laty. Wtedy go nie rozumiano. Dziś się nie pamięta, że on jest poetą „polityki" czekania i trwania.

Ale nie zawartość polityczna rozstrzyga o wartości dzieł, tylko ich zawartość estetyczna. Pod tym względem Wyspiańskiego musimy uważać za wykonawcę tego, o czem marzył Mickiewicz w „Dziadów" części III., o co się kusił Słowacki w „Kordyanie", a w projekcyi w dal w „Lilli Wenedzie"; on dopiero stworzył dramat, który na scenie skoncentrował całe życie narodu, dramat aktualnie, nie tylko historycznie narodowy. A że ową treść narodową ubrał w szaty nie tylko muzykalnego słowa, ale i rzeźby i malarstwa, on jeden, jakby dramatyczny Wagner, sprawił, że polski „dramat przyszłości" stał się teraźniejszym i — wiecznym.

Tadeusz Sinko.

Zarys urządzenia administracyi w Polsce.

(Dokończenie).

B) Kasztelania.

Miasta kasztelańskie są wyjęte ze związku okręgowego, powiatowego i ziemskiego.

Zarząd Kasztelanii należy do:

a) Rady kasztelańskiej i

b) Kasztelana.

Ad a): Rada kasztelańska wychodzi z wyboru Rady miejskiej i składa się z 12 członków i 6 zastępców. Sposób przeprowadzenia wyborów określa ordynacya wyborcza.

Członkowie Rady kasztelańskiej noszą tytuł Radców kasztelańskich.

Przewodniczącym Rady kasztelańskiej jest Kasztelan.

Radcy kasztelańscy składają do rąk Kasztelana przysięgę na wierność Najwyższej Władzy Państwa, na przestrzeganie ustaw, na sumienne, pilne, wierne i uczciwe pełnienie obowiązków urzędowych, tudzież na zachowywanie tajemnicy urzędowej.

Rada kasztelańska:

a) jest władzą wykonawczą Kasztelanii, z wyjątkiem spraw, zastrzeżonych wyłącznemu zakresowi Kasztelana;

b) rozciąga nadzór nad niższemi władzami;

c) załatwia sprawy, należące do policyi miejscowej, z wyjątkiem orzecznictwa karnego w I. instancyi;

d) rozstrzyga rekursy w II. i ostatniej instancyi przeciwko orzeczeniom karnym w sprawach policyi miejscowej, wydanym przez starostę grodzkiego;

e) współdziała w wykonywaniu orzecznictwa karnego za pośrednictwem ławników kasztelańskich w sprawach, nie należących, ani do wyłącznego zakresu działania kasztelana, ani do spraw policyi miejscowej, w sprawach zaś policyi miejscowej orzeka ostatecznie co do zaczepionych orzeczeń karnych starosty grodzkiego (por. wyżej d);

f) załatwia sprawy, należące z mocy ustaw do zakresu działania starostw powiatowych i urzędów ziemskich, tudzież sprawy, powierzone Kasztelanii przez osobne ustawy lub przez wyższe władze;

g) jest władzą dyscyplinarną dla urzędników kasztelańskich, z wyjątkiem kasztelana, podkasztelaniego i starosty grodzkiego, tudzież dla urzędników niższych władz; rekursy przeciwko orzeczeniom Rady kasztelańskiej, wydanym w tym charakterze, rozstrzyga komisya dyscyplinarna w ministerstwie spraw wewnętrznych, wyznaczona przez ministra spraw wewnętrznych;

h) wzmocniona przedstawicielami opodatkowanych, spełnia zadania kasztelańskich komisyi podatkowych dla podatków bezpośrednich; przeciwko jej rozstrzygnięciom w tym charakterze służy skarga odwoławcza do Koronnego Trybunału administracyjnego, który wyrokuje ostatecznie;

i) wzmocniona przedstawicielami wyznań i szkolnictwa, tworzy kasztelańską Radę szkolną; rekursy od niej idą do Ministerstwa oświaty, jako ostatecznej instancyi.

Ad h) i i). Liczbę przedstawicieli opodatkowanych, względnie przedstawicieli wyznań i szkolnictwa, sposób ich powołania i zakres działania kasztelańskich komisyi dla podatków bezpośrednich, względnie kasztelańskiej Rady szkolnej określają ustawy; obowiązki referentów pełnią fachowi urzędnicy, wyznaczeni przez kasztelana.

Urząd radców kasztelańskich trwa lat 6, bez względu na ewentualny upływ mandatu do Rady miejskiej. Rada kasztelańska urzęduje aż do objęcia urzędowania przez nową Radę kasztelańską. O rodzaju i wysokości wynagrodzenia radców kasztelańskich, tudzież ławników kasztelańskich stanowi minister spraw wewnętrznych, po wysłuchaniu kasztelana, w granicach prawnie przyzwolonych środków pieniężnych. Posiedzenia nie są jawne i odbywają się w miarę potrzeby. Referaty na posiedzenia przydziela kasztelan; referować mogą albo radcy kasztelańscy, albo urzędnicy, wyznaczeni przez kasztelana. Uchwały zapadają zwyczajną większością głosów.

Kasztelan przygotowuje, zwołuje i przewodniczy posiedzeniom Rady kasztelańskiej, tudzież przeprowadza powzięte uchwały. Kasztelan winien zawiesić uchwały Rady kasztelańskiej, jeżeli sprzeciwiają się uchwałom lub przekraczają jej zakres działania, ma jednak obowiązek przedłożyć sprawę bezzwłocznie ministrowi spraw wewnętrznych do rozstrzygnięcia.

Ad b): Kasztelan jest wyższym, kwalifikowanym urzędnikiem, z wykształceniem prawniczem, mianowanym przez Najwyższą Władzę Państwa na wniosek ministra spraw wewnętrznych. Zastępuje go podkasztelani.

Kasztelan kieruje Urzędem kasztelańskim, jest przewodniczącym Rady kasztelańskiej, kasztelańskiej Rady szkolnej i kasztelańskich komisyi dla podatków bezpośrednich, tudzież odpowiada za całe urzędowanie w podległym mu Urzędzie kasztelańskim. Pod względem dyscyplinarnym podlega kasztelan, tudzież jego zastępcy, podkasztelani i starosta grodzki, komisyi dyscyplinarnej w ministerstwie spraw wewnętrznych, wyznaczonej przez ministra spraw wewnętrznych.

Zakres działania kasztelana jest trojaki:

1. wyłącznie mu zastrzeżony zakres działania;
2. zakres działania łącznie z ławnikami kasztelańskimi;
3. zakres działana w Radzie kasztelańskiej.

ad 1. Do wyłącznego zakresu działania kasztelana należą w obrębie kasztelanii te same sprawy, które w obrębie ziemi przysługują prezydentowi ziemi we wyłącznie zastrzeżonym mu za-

kresie działania z tą oczywista zmianą, że czuwanie kasztelana nad nieprzekraczaniem zakresu działania i nad niepostanawianiem uchwał, przeciwnych obowiązującym przepisom, odnosi się do Rady kasztelańskiej i do Rady miejskiej.

ad 2. Do zakresu działania kasztelana z dwoma ławnikami kasztelańskimi, przybranymi z łona Rady kasztelańskiej, należy orzecznictwo karne w I. instancyi w sprawach, nie należących ani do spraw, zastrzeżonych wyłącznemu zakresowi działania kasztelana, ani do spraw policyi miejscowej. Sposób powoływania ławników kasztelańskich i grodzkich określa regulamin Rady kasztelańskiej, wydany przez ministra spraw wewnętrznych. Kasztelan może z grona wyższych urzędników Urzędu kasztelańskiego delegować zastępców do wykonywania tego orzecznictwa w jego imieniu; może też utworzyć więcej komisyi do wykonywania powyższego orzecznictwa.

ad 3. Wszystkie inne sprawy, należące do zakresu działania Urzędu kasztelańskiego, są załatwiane w Radzie kasztelańskiej, pod przewodnictwem kasztelana według regulaminu, wydanego przez ministra spraw wewnętrznych w granicach obowiązujących ustaw i rozporządzeń.

W sprawach, należących do własnego zakresu kasztelana, może on zasięgnąć zdania Rady kasztelańskiej, lecz go jej uchwała nie wiąże.

W zakresie spraw, załatwianych w Radzie kasztelańskiej, jeżeli w nagłych wypadkach zwłoka grozi niebezpieczeństwem, może kasztelan wydać potrzebne zarządzenia, lecz pod zastrzeżeniami, przewidzianemi w takich wypadkach dla prezydenta ziemi.

Celem przynaglenia radców kasztelańskich do należytego wykonywania urzędu służą kasztelanowi, względnie ministrowi spraw wewnętrznych te same środki i w tym samym zakresie, które służą pod tym względem prezydentowi ziemi względnie ministrowi spraw wewnętrznych wobec radców ziemskich.

O czasowem lub trwałem zawieszeniu radcy kasztelańskiego w urzędowaniu zawiadamia minister spraw wewnętrznych prezydenta miasta za pośrednictwem kasztelana.

Szefom wydziałów Urzędu kasztelańskiego służą na obra-

dach Rady kasztelańskiej te same prawa, jakie mają szefowie wydziałów Urzędu ziemskiego na obradach Rady ziemskiej.

Urzędnicy Urzędu kasztelańskiego nie mogą być członkami Rady miejskiej w obrębie kasztelanii swego urzędowania.

Drugi zastępca kasztelana nosi tytuł starosty grodzkiego i kieruje w Urzędzie kasztelańskim wydziałem bezpieczeństwa publicznego. Starosta grodzki podlega bezpośrednio kasztelanowi. Starosta grodzki, względnie wyznaczeni przez niego zastępcy z pośród podwładnych mu urzędników sprawują orzecznictwo karne w sprawach policyi miejscowej w I. instancyi. Instrukcyę służbową wydaje dla starosty grodzkiego minister spraw wewnętrznych w granicach obowiązujących ustaw i rozporządzeń, po wysłuchaniu kasztelana.

IV. MINISTERSTWA.

Centralny zarząd administracyi spoczywa w rękach ministerstw, na czele których stoją ministrowie, mianowani przez Najwyższą Władzę Państwową na wniosek prezydenta ministrów.

Ustawy ustanawiają zakres działania Rady ministrów, tudzież liczbę i zakres działania poszczególnych ministerstw.

Ustawy ustalają i określają odpowiedzialność ministrów także za działania i zaniedbania podwładnych im organów administracyjnych. Ministrowie kierują, nadzorują i wykonują dyscyplinę nad podwładnymi im organami administracyjnymi:

a) w zwykłym toku urzędowania i przez zarządzanie peryodycznych inspekcyi;

b) przez wdrażanie dochodzeń dyscyplinarnych, tudzież przez badanie śledztw dyscyplinarnych, przeprowadzanych przez komisye dyscyplinarne I. i II. instancyi;

c) przez wydawanie w granicach ustaw instrukcyi służbowych ogólnych i szczegółowych i nadzorowanie ich ścisłego wykonywania przez podwładne organa administracyjne.

Dla powyższych celów będą ustanowieni inspektorowie ministeryalni, którzy będą stale objeżdżać przydzielone im okręgi służbowe, wpływać na jednolitość administracyi i składać sprawozdania ministerstwom wraz z wnioskami.

II.

POSTĘPOWANIE ADMINISTRACYJNE.

A) Tok instancyi.

1. Orzecznictwo karne.

a) W sprawach policyi miejscowej: w I. instancyi orzekają naczelnicy okręgowi, względnie naczelnicy miasta, w miastach kasztelańskich starosta grodzki, względnie jego zastępca. Rekursy od orzeczeń karnych, wydanych w tych sprawach przez naczelników okręgowych względnie naczelników miasta, rozstrzyga w II. i ostatniej instancyi właściwy starosta powiatowy z 2 ławnikami powiatowymi.

Rekursy od orzeczeń karnych, wydanych w sprawach policyi miejscowej przez starostę grodzkiego, rozstrzyga w II. i ostatniej instancyi właściwa Rada kasztelańska.

b) W sprawach, zastrzeżonych wyłącznemu zakresowi działania starosty powiatowego, wydaje orzeczenia karne w I. instancyi starosta powiatowy; rekursy przeciwko tym orzeczeniom rozstrzyga w II. i ostatniej instancyi prezydent ziemi.

W kasztelaniach orzeka w sprawach, zastrzeżonych wyłącznemu zakresowi działania kasztelana, w I. instancyi kasztelan, w II. i ostatniej instancyi minister spraw wewnętrznych.

W sprawach, zastrzeżonych wyłącznemu zakresowi działania prezydenta ziemi, orzeka w I. instancyi prezydent ziemi, w II. i ostatniej instancyi minister spraw wewnętrznych.

c) W innych sprawach:

W sprawach zakresu działania starostwa powiatowego wydaje orzeczenie karne w I. instancyi starosta powiatowy z 2 ławnikami powiatowymi, w II. i ostatniej instancyi Rada ziemska.

W kasztelaniach w sprawach zakresu działania Urzędu kasztelańskiego orzeka w I. instancyi kasztelan, względnie jego za-

stępca z 2 ławnikami kasztelańskimi, w II. i ostatniej instancyi minister spraw wewnętrznych.

W sprawach, należących w I. instancyi do zakresu działania Urzędu ziemskiego, wydaje orzeczenie karne w I. instancyi właściwy starosta powiatowy z 2 ławnikami powiatowymi, a Rada ziemska w II. i ostatniej instancyi.

2. Orzecznictwo niekarne.

a) Sprawy, wyjęte z pod sądownictwa administracyjnego:

W sprawach, zastrzeżonych wyłącznemu zakresowi działania starosty powiatowego, rozstrzyga w I. instancyi starosta powiatowy, w II. i ostatniej instancyi prezydent ziemi. W innych sprawach zakresu działania starostwa powiatowego rozstrzyga w I. instancyi Wydział powiatowy, w II. i ostatniej instancyi prezydent ziemi.

W sprawach, zastrzeżonych wyłącznemu zakresowi działania prezydenta ziemi względnie kasztelana, rozstrzyga w I. instancyi prezydent ziemi, względnie kasztelan, w II. i ostatniej instancyi to ministerstwo, do którego zakresu działania należy odnośna sprawa. W innych sprawach zakresu działania Urzędu ziemskiego, względnie Urzędu kasztelańskiego wydaje rozstrzygnięcie w I. instacyi Rada ziemska pod przewodnictwem prezydenta ziemi, względnie Rada kasztelańska pod przewodnictwem kasztelana, w II. zaś i ostatniej instancyi ministerstwo, do którego kompetencyi należy odnośna sprawa.

b) Sprawy, podpadające pod kompetencyę sądów administracyjnych:

Skarga odwoławcza przeciwko rozstrzygnięciom Wydziału powiatowego, pod przewodnictwem starosty powiatowego, wydanym w I. instancyi, służy do Ziemskiego Sądu administracyjnego, który wyrokuje ostatecznie; rewizya do Koronnego Trybunału administracyjnego może być wniesiona tylko w wypadkach i pod warunkami, przewidzianymi ustawą i musi być podpisana przez adwokata.

Skarga odwoławcza przeciwko rozstrzygnięciom, wydanym w I. instancyi przez Radę ziemską pod przewodnictwem prezydenta ziemi, względnie przez Radę kasztelańską pod przewodnictwem kasztelana służy do Koronnego Trybunału administracyjnego, który wyrokuje ostatecznie.

B) ZASADY POSTĘPOWANIA.

1. Orzecznictwo karne.

Postępowanie jest ustne i sumaryczne. Istotne momenta rozprawy i wydane orzeczenie wpisuje się do przepisanego rejestru karnego. W razie nieusprawiedliwionego niejawienia się obwinionego na ponowne wezwanie może być wydane zaoczne orzeczenie karne.

W sprawach policyi miejscowej wydaje się osąd na podstawie urzędowego stwierdzenia przekroczenia. Osąd staje się prawomocnym, jeżeli ukarany w ciągu 3 dni po dniu, następującym po doręczeniu, nie wniesie umotywowanego przedstawienia. Orzekająca władza może po zbadaniu przedstawienia zmienić swój osąd karny w myśl prośby strony, albo w ciągu 8 dni prześle przedstawienie skazanego, jako rekurs, do właściwej wyższej władzy. W innych sprawach administracyjno-karnych rekurs ma być wniesiony w ciągu 7 dni, licząc od dnia, następującego po doręczeniu. Rekurs wstrzymuje wykonanie kary, z wyjątkiem wypadków, ściśle określonych w szczegółowych ustawach. O prawie zniżenia lub darowania kary w drodze łaski stanowi ustawa.

2. Orzecznictwo niekarne.

Postępowanie jest protokolarne. Jeżeli rozstrzygnięcie wydaje Wydział powiatowy, Rada ziemska lub Rada kasztelańska, wyznaczony referent przedstawia na posiedzeniu stan faktyczny i prawny na podstawie aktów, przesłuchania stron i innych środków dowodowych, oraz stawia wnioski. Władza orzekająca może

zarządzić uzupełnienie dochodzeń przez referenta z ewentualnem wyznaczeniem mu do tego terminu lub też przesłuchanie stron na jednem z następnych posiedzeń, może również zarządzić oględziny na miejscu.

Rekurs do wyższej instancyi administracyjnej, względnie skarga odwoławcza do sądu administracyjnego mają być wniesione w ciągu 14 dni, licząc od dnia, następującego po doręczeniu. Dla wniesienia rewizyi do Koronnego Trybunału administracyjnego obowiązuje termin 30 dni, licząc od dnia, następującego po doręczeniu.

III.

SĄDOWNICTWO ADMINISTRACYJNE.

Z pod kompetencyi sądów administracyjnych są wyjęte:

a) sprawy, należące do zwyczajnych sądów;

b) sprawy, w których władze administracyjne są uprawnione postępować wedle swobodnego uznania;

c) zażalenia przeciwko mianowaniom na publiczne urzędy i służby, z wyjątkiem praw prezenty wszelkiego rodzaju;

d) sprawy dyscyplinarne;

e) administracyjne orzeczenia karne;

f) sprawy, zastrzeżone wyłącznemu zakresowi działania ministrów, prezydentów ziemi, kasztelanów i starostów powiatowych;

g) sprawy policyi miejscowej.

Sądy administracyjne są następujące:

A) Ziemskie Sądy administracyjne.

B) Koronny Trybunał administracyjny.

Ad A) Ziemski Sąd administracyjny urzęduje w każdej siedzibie urzędowej prezydenta ziemi. Na czele stoi prezydent Ziemskiego Sądu administracyjnego, mianowany przez Najwyższą Władzę Państwa na wniosek ministra sprawiedliwości i ministra spraw wewnętrznych. Członków Ziemskiego Sądu admi-

nistracyjnego mianuje: minister sprawiedliwości w $^1/_3$ z pośród osób, mających kwalifikacyę na urząd sędziowski, minister spraw wewnętrznych w $^1/_3$ z pośród urzędników administracyjnych z wykształceniem prawniczem, wreszcie prezydent ministrów w $^1/_3$ na przedstawienie właściwego Sejmiku ziemskiego z pośród osób, mających przynajmniej egzamin dojrzałości szkół średnich, a nie należących do stanu sędziowskiego, ani nie będących urzędnikami administracyjnymi, ani też nie należących do składu dotyczącego Sejmiku ziemskiego. Do prezydenta i członków Ziemskiego Sądu administracyjnego stosują się przepisy ustawy o niezawisłości sędziowskiej. O wynagrodzeniu sędziów, nie będących urzędnikami publicznymi, stanowi ustawa.

Ziemski Sąd administracyjny orzeka w składzie 3 członków, z których 1 musi mieć kwalifikacyę na urząd sędziowski, 1 musi być urzędnikiem administracyjnym z wykształceniem prawniczem, a 1 ma być z pośród członków Sądu, mianowanych przez prezydenta ministrów. Przewodniczący rozprawy musi mieć przepisane uzdolnienie na urząd sędziowski, albo na urząd administracyjny z wykształceniem prawniczem. W sprawach podatkowych zasiada przy rozprawie 1 członek, mający fachowe wykształcenie w dziedzinie ustawodawstwa skarbowego.

Skład senatów orzekających i rozdział spraw zarządza prezydent Ziemskiego Sądu administracyjnego. Postępowanie określa osobna ustawa. Sąd ma z urzędu przestrzegać swej właściwości i działa tylko na wezwanie stron.

Do zakresu działania Ziemskiego Sądu administracyjnego należy rozpatrywanie skarg przeciwko rozstrzygnięciom administracyjnym, wydanym przez Wydział powiatowy, pod przewodnictwem starosty powiatowego. Sąd może zarządzić uzupełnienie stanu faktycznego i przesłuchanie stron, tudzież zastosować środki dowodowe według ustawy o postępowaniu. Ziemski Sąd administracyjny zaczepione rozstrzygnięcie władzy administracyjnej wyrokiem albo zatwierdza, albo zmienia. Wyroki wydaje w imieniu Naczelnej Władzy Państwa.

Rewizya przeciwko wyrokom Ziemskiego Sądu administracyjnego może być wniesiona do K. T. A. tylko w wypadkach i pod

warunkami, przewidzianymi ustawą i musi być podpisana przez adwokata.

Ad B). Koronny Trybunał administracyjny składa się z prezydenta Koronnego Trybunału administracyjnego, wiceprezydenta K. T. A. i odpowiedniej liczby radców K. T. A., mianowanych przez Naczelną Władzę Państwa na wniosek Rady ministrów. Połowa członków K. T. A. musi mieć kwalifikacye na urząd sędziowski, a wogóle wszyscy członkowie K. T. A. mają posiadać wykształcenie prawnicze. Do członków K. T. A. stosuje się ustawa o niezawisłości sędziowskiej; zresztą są traktowani według przepisów dla sędziów.

Skład senatów orzekających i prezydentów senatu wyznacza prezydent K. T. A., który zarządza także rozdział spraw. Sąd przestrzega z urzędu swej właściwości; może zarządzić uzupełnienie stanu faktycznego i przesłuchanie stron, tudzież zastosować środki dowodowe według ustawy o postępowaniu. K. T. A. zaczepione rozstrzygnięcie władzy administracyjnej wyrokiem albo zatwierdza, albo zmienia. Wyroki wydaje w imieniu Naczelnej Władzy Państwa.

Do zakresu działania K. T. A. należy:

1) Rozpatrywanie skarg przeciwko rozstrzygnięciom administracyjnym, wydanym w I. instancyi administracyjnej przez Radę ziemską, pod przewodnictwem prezydenta ziemi lub przez Radę kasztelańską, pod przewodnictwem kasztelana. W tych sprawach K. T. A. orzeka w senatach z 3 członków, z których 1 przewodniczy. Przy sprawach podatkowych winien zasiadać w senacie 1 członek z fachowem wykształceniem w dziedzinie ustawodawstwa skarbowego.

2) Rozpatrywanie rewizyi, wniesionych przeciwko wyrokom Ziemskich Sądów administracyjnych. W tych sprawach K. T. A. orzeka w senatach, złożonych z 4 członków senatu i przewodniczącego. Przy sprawach podatkowych ma zasiadać 2 członków z fachowem wykształceniem w dziedzinie ustawodawstwa skarbowego.

W obu powyższych rodzajach spraw (punkty 1—2) K. T. A. działa tylko na wezwanie stron, a jeżeli skarżący zgłosił w swej

skardze równocześnie pretensyę prawno-prywatną w myśl przepisów o odpowiedzialności prywatno-prawnej organów administracyjnych, sprawę sądzi się w senacie o składzie, przewidzianym dla takich wypadków wspomnianą ustawą o odpowiedzialności organów administracyjnych.

3) Jeżeli strona sądzi, że orzeczenie lub rozstrzygnięcie władzy administracyjnej nawet w sprawie, wyłączonej z pod kompetencyi sądownictwa administracyjnego, jest naruszeniem ustawy, to może po wyczerpaniu instancyi administracyjnych wnieść skargę przeciwko ostatecznemu orzeczeniu lub rozstrzygnięciu władzy administracyjnej, podpisaną przez adwokata, wprost do K. T. A., a to w ciągu dni 60, licząc od dnia, następującego po dniu doręczenia zaskarżonego orzeczenia lub rozstrzygnięcia. Szczegółowa ustawa może niektóre sprawy wyłączyć z pod zaskarżalności w K. T. A.

Wniesienie skargi do K. T. A. wstrzymuje wykonanie zaskarżonego orzeczenia lub rozstrzygnięcia administracyjnego. K. T. A. traktuje taką skargę, jak każdą inną, lecz orzeka we wzmocnionym senacie, złożonym z 6 członków i przewodniczącego. Przynajmniej połowa senatu i przewodniczący muszą mieć kwalifikacye na urząd sędziowski; przy naruszeniu ustaw podatkowych i innych skarbowych zasiada w senacie 2 członków z fachowem wykształceniem w dziedzinie ustawodawstwa skarbowego. W razie lekkomyślnego lub grubego niedbalstwa, albo w razie znamion pieniactwa może K. T. A. ukarać adwokata, który podpisał skargę, grzywną względnie aresztem w ustawowym wymiarze; od takiego orzeczenia niema środka prawnego.

W razie przychylenia się do skargi ma K. T. A. stwierdzić stopień winy, oraz ustalić winnych i zależnie od tego postąpić według przepisów o odpowiedzialności cywilno-prawnej organów administracyjnych, względnie zawiadomić prezydenta ministrów, celem zarządzenia dochodzeń dyscyplinarnych.

K. T. A. może także z własnej inicyatywy wdrożyć dochodzenia administracyjno-sądowe w razie stwierdzenia przy sposobności urzędowania, że orzeczeniem lub rozstrzygnięciem władzy administracyjnej naruszono ustawę. Podobny wniosek może po-

stawić w K. T. A. także Prezydent ministrów i Koronny Prokurator Państwa.

4) Jeżeli w sprawach, wyjętych z pod kompetencyi sądownictwa administracyjnego, rekurs, wniesiony do wyższej instancyi administracyjnej, nie zostanie załatwiony w ciągu 10 tygodni, wolno stronie wnieść skargę do K. T. A. przeciwko zaczepionemu rekursem orzeczeniu lub rozstrzygnięciu władzy administracyjnej z obowiązkiem zawiadomienia o tem tej władzy, która wydała zaskarżone orzeczenie względnie rozstrzygnięcie, oraz z obowiązkiem równoczesnego przesłania odpisu skargi władzy administracyjnej, bezpośrednio przełożonej tej władzy, u której zalega niezałatwiony rekurs. W tym wypadku K. T. A. rozpatruje skargę w senacie o składzie, przewidzianym wyżej pod 3). Niezaskarżalne są te same sprawy, co i w wypadkach naruszenia ustawy (na podstawie ewentualnej osobnej ustawy).

IV.

PRAWNO-PRYWATNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ ORGANÓW ADMINISTRACYJNYCH.

Jeżeli któryś z organów administracyjnych w wykonywaniu swej urzędowej działalności dopuścił się wobec strony naruszenia prawa przez przekroczenie swego urzędowego obowiązku i przez to wyrządził jej szkodę, to strona może domagać się wynagrodzenia szkody od winnego i od państwa.

Kompetentne do wyrokowania w I. instancyi są sądy administracyjne w senatach, z 4 członków i przewodniczącego, przyczem przewodniczący i 2 członkowie senatu muszą mieć kwalifikacye na urząd sędziowski; przy sprawach podatkowych zasiada 1 członek senatu z fachowem wykształceniem w dziedzinie ustawodawstwa skarbowego.

Jeżeli sprawa należy do kompetencyi sądów administracyjnych, to strona winna swoją pretensyę prawno-prywatną zgłosić odrazu w skardze przeciwko rozstrzygnięciu władzy administra-

cyjnej. Odnośny sąd administracyjny orzeka w swoim wyroku równocześnie także w przedmiocie zgłoszonej pretensyi prawno-prywatnej. Od wyroku Ziemskiego Sądu administracyjnego co do wymienionej pretensyi prawno-prywatnej służy stronie rekurs do Koronnego Trybunału administracyjnego. Jeżeli w I. instancyi orzeka Koronny Trybunał administracyjny, rekurs jego wyroku co do pretensyi prawno-prywatnej służy do Najwyższego Trybunału.

Jeżeli sprawa nie podpada pod kompetencyę sądów administracyjnych, to wówczas strona po uzyskaniu ostatecznego orzeczenia lub rozstrzygnięcia władzy administracyjnej może wnieść skargę w przedmiocie swej pretensyi prawno-prywatnej do Koronnego Trybunału administracyjnego. Rekurs przeciwko jego wyrokowi służy do Najwyższego Trybunału.

Niezaskarżalne według powyższych postanowień są pretensye prawno-prywatne z tytułu orzeczeń lub rozstrzygnięć władz administracyjnych w tych samych sprawach, przy których są niezaskarżalnemi orzeczenia i rozstrzygnięcia władz administracyjnych z powodu naruszenia prawa.

Termina do wnoszenia skargi i rekursów, tudzież postępowanie określa ustawa.

V.

KOŃCOWE UWAGI.

Wypadnie zapytać, o ile przedstawiony zarys urządzenia administracyi w Polsce stara się zapewnić stworzenie rządu jednolitego, sprężystego i sprawiedliwego?

1) Zasadzie jednolitości stara się zadość uczynić przez uniknięcie w administracyi dwoistości władz, rządowych i samorządnych; łączy te dwa czynniki nie tylko w stosunku wzajemnej kontroli i rady, ale i w wykonawczem działaniu administracyjnem.

2) Zasadzie sprężystości przez to:

a) że gminę z wybieranym naczelnikiem gminy zatrzy-

muje jako jednostkę gospodarczą, zwalniając ją równocześnie od innych obowiązków, przechodzących często jej siły;

b) że na czele wszystkich jednostek administracyjnych, dzierżących władztwo administracyjne, stawia mianowanych naczelników;

c) że wyczerpuje administracyjne instancye w zasadzie już w drugiej instancyi;

d) że zapobiega przewlekłemu załatwianiu spraw przez władze administracyjne zapomocą posiłkowej kompetencyi sądów administracyjnych po upływie 10 tygodni od wniesienia rekursu do wyższej instancyi administracyjnej;

e) że w sprawach i wypadkach, wymagających szybkiego działania, pozostawia naczelnikom jednostek administracyjnych samodzielność w potrzebnym zakresie.

3) Wreszcie zasadzie stworzenia s p r a w i e d l i w e g o rządu stara się powyższy zarys zadośćuczynić:

a) przez wprowadzenie sądów administracyjnych;

b) przez oddanie (z nielicznymi tylko wyjątkami) nawet spraw, wyjętych z pod kompetencyi sądów administracyjnych, pod rozpatrywanie przy współudziale czynników obywatelskich, co najmniej w jednej instancyi i to, jak n. p. w karnych sprawach ze zakresu policyi miejscowej, w wyższej instancyi;

c) przez wprowadzenie takiej równowagi między czynnikiem urzędniczym i czynnikiem obywatelskim, że stwarza obok wspólnego działania także wzajemną kontrolę i wspólną odpowiedzialność;

d) przez umożliwienie zaskarżenia przed sądem administracyjnym wypadków naruszenia prawa przez organa administracyjne i przez wprowadzenie dla nich odpowiedzialności prawnoprywatnej w razie naruszenia prawa, spowodowanego przekroczeniem urzędowego obowiązku i wyrządzeniem przez to stronie szkody. Tylko bowiem zupełnie ścisłe przestrzeganie ustaw przez organa administracyi publicznej, jako podstawa ich celowej działalności, odpowiada istocie nowożytnego państwa; tylko na tej drodze może administracya publiczna pogodzić interes publiczny

z potrzebami ludności i podołać tym różnorodnym i niełatwym zadaniom, przed jakiemi ją stawia dzisiejszy ustrój państwowy, gospodarczy i społeczny. W tem też znaczeniu należy rozumieć słowa wybitnego prawnika francuskiego, Hauriou'a, wypisane w jego systemie prawa administracyjnego, że „le droit est la discipline de la paix sociale".

Prof. Dr. Kaz. Kumaniecki.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

„Zdrój", dwutygodnik, poświęcony sztuce i kulturze umysłowej. Poznań, t. I., z. 1—6. Rok 1917. Z. 1 i 2 r. 1918.

W szarzyźnie zmateryalizowanego bądź co bądź życia poznańskiego wieść o wielkiej Spółce wydawniczej i zakładającem się piśmie kulturalnem była rzeczywiście ciekawą nowością. Wszakże wychodził w Poznaniu niedawno „Ruch kulturalny", w którym współpracowali uczeni i literaci tej miary, co Tarnowski, Wiktor Hahn, Juliusz Kleiner, Marya Czeska, w którym wydano po raz pierwszy wspaniały wiersz Deotymy i cenną korespondencyę między Koźmianem Janem a Kaysiewiczem, lecz niedługi, bo kilkomiesięczny jego byt, podcięła ograszka wojenna, a raczej przerwała jego wydawnictwo.

Nowe poczynania „kulturalne" tem więcej jeszcze wywołały wrzawy, że inscenizował je sam St. Przybyszewski wykładem o teatrze poznańskim, że jego dzieło „Szlakiem duszy polskiej" było jedną z pierwszych książek, jaką „Ostoja" objawiła swoje istnienie.

Nie dziw więc, że wielkopolskie społeczeństwo, na ogół i w życiu publicznem katolickie, z obawą spoglądało na to, co się zapowiada. „Wiadomości dla duchowieństwa" dwa razy wypowiedziały głośno i donośnie tę obawę, podkreślając energicznie ujemny wpływ, jaki może wywierać Przybyszewski. Zaś ze stanowiska literackiego dał na łamach „Kurjera Poznańskiego" Maciej Wierzbiński ostrą, nawet zbyt ostrą odprawę „Chrzcicielowi" [1]) „Młodej Polski", a teraz „Młodej Wielkopolski", a raczej jego autoreklamie w „Dzienniku Poznańskim".

[1]) Tak Przybyszewski sam siebie nazwał w „Szlakiem duszy polskiej".

Dopieroż to się posypały, jak z rogu obfitości, artykuły i artykuliki po najróżniejszych dziennikach, a nawet dzienniczkach, kiedy rozesłano prospekt i program nowego pisma „Zdroju". Na łamach „Dziennika Poznańskiego" zawrzała wprost walka zacięta między J. N. Szumanem a J. Hulewiczem, „Zdroju" wydawcą i redaktorem i ilustratorem w jednej osobie; rozprawiano szczególnie o pojęciach sztuki. Tu także, a i w innych dziennikach — wpływowych tygodników, niestety, nie mamy — wskazywano na niebezpieczeństwo nowych poglądów i ze stanowiska religijnego.

Tak więc „Zdrój" rozpoczął swoje życie wśród ogólnego rozgwaru artykułów i zgiełku rozmów towarzyskich, przyznać trzeba, że reklamą świetną wywołał zainteresowanie wprost naprężone. Dziś już ucichła wrzawa bitewna, już tylko tu i ówdzie jakiś odezwie się głos, więc wśród tej ciszy można oceną objektywniej się zająć i objektywnie ją przedstawić.

Nasamprzód zaznaczyć wypada, że „Prospekt" pisma mógł rzeczywiście budzić obawy. Autor jego w zapale „natchnienia" twórczego przedstawiając nowe kierunki sztuki, wypowiedział i to zdanie: „Przecież symbolizm jest odwieczną formą możliwości objawienia się człowieka na zewnątrz. Bóg jest symbolem, jak symbolem jest człowiek, symbol jest kwintesencyą rzeczy, a według Gustawa Kahna, przywraca człowiekowi, choremu na zupełny brak ciekawości dla Boskich tajemnic, utracony zmysł tajemniczy o tej przeolbrzymiej sferze Niewiadomego Pozaświatowego, która nas otacza". („Prospekt" str. 4). Widocznie wydawcy sami czuli, że zbyt niebezpiecznego użyli zwrotu, gdyż w programie, skreślonym na łamach 1-go zeszytu, nie znajdujemy już owego „Bóg jest symbolem, jak symbolem jest człowiek". A dalej na ostatniej stronie tłumaczy redakcya, jak „symbol" należy rozumieć, boć „symbol służy człowiekowi do wyrażenia Niewyrażalnego, do uzmysłowienia tajemnic Nieznanego", boć „branie istotności Boga za symbol byłoby bezsensem"; zresztą „w jakimże rozdźwięku z chrześcijańską prawdą, że Bóg objawił człowiekowi religię, stoi zdanie prospektu, że to objawienie mogło udzielić się ludzkości li tylko za pomocą Sztuki, która jest w pełnem znaczeniu symbolem Życia, zarówno tego doświadczalnego, jak tego, które się wyraża sanskryckim „Tadwanam — tęsknotą ku Niemu?!"...

„Droga do najszlachetniejszych prawd, do najrozleglejszych celów, do ogarnięcia Pozaświata wiedzie przez Sztukę i tą drogą posłu-

giwał się sam Bóg, Jezus Chrystus, w niezrównanych w swej Boskiej piękności nieogarniętych przypowieściach".

Już z tych słów wynika, że założyciele pisma, to fanatyczni miłośnicy sztuki i płomienni jej apostołowie. A jak też tę sztukę pojmują i jak ją w piśmie swem przedstawiają? Niech na to odpowie krótki przegląd pierwszych sześciu zeszytów.

We wstępnym artykule zeszytu pierwszego, nawiązując do słów Saint-Martina i Mickiewicza: „Sztuka jest niczem innem, tylko widzeniem", dają po długich wywodach, czem sztuka być nie powinna i czem nie jest, jej określenie:

„Sztuką zatem jest dla nas to jedno niepodzielne, co nas nierozerwalnym węzłem wiąże ze światem niewidomym, co jest łącznikiem sfery niższej, empirycznej, ze sferą pozaświatową, „z jawą" i „widzeniem" wszelakiej nadwartości życiowej, w której życie dopiero istotnej treści nabiera, a człowiek w całej swej nierozdzielnej sferze, w jakiej żyje, we wszystkich swych wymiarach sam sobie się objawia...

I tej to sztuce jest oddane i poświęcone nasze pismo, bez wszystkich zastrzeżeń".

— — — — — — — — — — —

Sztuce, w której objawia się człowiek i życie jego w całej pełni, w całym, żadnemi granicami nie krępowanym ogromie, Sztuce-Prawdzie".

Drgają tu echa owych zdań, które Przybyszewski swego czasu pisał w swem dziele „Na drogach duszy": „Sztuka jest odtworzeniem życia, duszy we wszystkich jej przejawach, niezależnie od tego, czy są dobre lub złe, brzydkie czy piękne" (str. 14, II. wyd. Kraków 1902).

Wymienia się też tego autora dzieł, pełnych rozpasania zmysłowego, jako współpracownika „Zdroju", obok Berenta, Chybińskiego, Dębickiego, Guttryego, Jabłonowskiego, Kasprowicza, Lorentowicza, Lemańskiego, Matuszewskiego, Oppmana, Orkana, Porębowicza, Przesmyckiego, Reymonta, Różyckiego, Sobeskiego, Tetmajera, Żeromskiego.

Jak widzimy, rozbrzmiewają tutaj najgłośniejsze nazwiska także autorów, osławionych w naszem katolickiem społeczeństwie i rzeczywiście wielka ich część zabrała już głos na łamach „Zdroju". Przesmycki stale pisuje do kącika „U-poetów", gdzie podaje przekłady z najsławniejszych twórców europejskich, Orkan zamieścił lotną i żarną

„Pochwałę życia", Kasprowicz „Księżyc przybierający", przekłady z Rabindranatka Tagore, poezye, nieprzemawiające do naszej polskiej duszy, Różycki impresyę muzyczną, Chybiński ciekawe studyum, Berent „Opowieść Rybałta", Porębowicz poezyę w „rima alvearino".

Obok tych głośnych już pisarzy, czynni w „Zdroju" i Olkiewicz, autor bardzo realistnie napisanego „Znajdy", i Tennor i dr. Moraczewski i najmłodsi: zdolny i uczony Tyc, nie bardzo szczęśliwy Fiedler i ekspresyonista poznański Bederski, piszący takie poezye, że trzeba aż czytelnikom dawać „lekcyę czytania" (zeszyt 6), by je zrozumieli.

Na pierwszy plan wysuwa się Berent swą „Opowieścią Rybałta", bardzo oryginalnie i głęboko pojętą, osnutą na tle odległego średniowiecza, drgającą jego życiem i językiem. Potężna to rzecz, więc szkoda, że dotąd autor takie dziwne zajmuje stanowisko wobec Kościoła i duchowieństwa.

Zaraz na początku jakoś przykro czy pogardliwie wyraża się o nabożeństwie „chłopstwa": „Lizały ich wargi mnogie kształty w kamieniu tam zdziałane, całując w zachwytliwej pokorze i mądrych i głupich panien wyobrażenia i Hioba na barłogu i centaura, który pogaństwo oznacza i gołębicę, zwalczającą smoka. Żebractwo zamadlało te pocałunki bogomolne, a rozsłonecznienie ranka kładło pozłocisty płaszcz miłosierdzia na łby kołtuniaste, na parciane giezła, na nogi czarne, jak ziemia".

Czemuż autor nie opisze potęgi wspaniałego nabożeństwa w średniowiecznym tumie, tego poszumu organów, tej pieśni skrzydlatej, tych obłoków błękitnego dymu i rozgwaru dzwonków i świateł jarzących i lśnienia słonecznej monstrancyi i tłumów, pokornie przed nią się gnących? Czemu właśnie taki wykrój z tych odpustowych wspaniałości?

A kiedy do grodu wkraczają joculatores czyli „igrce", jawi się przed nimi poseł od Benedyktynów i w imieniu opata prosi ich razem ze „skoczką piękną, wystawiającą dumnie pierś zupełnie gołą", tylko Goliard, „który i biskupa się waży", niech nie przestępuje progu! Więc igrce nie chcą iść: „Albo wszyscy społem w refektarz przed sute stoły, albo niech się opat z gośćmi obje na smutno!"

A potem w jednej z piekarni przed mieszczkami zebranemi opowiada rybałt dość realistycznie o Lancelocie, co pozwala się uwieść złotowłosej królowej, wiarołomnej wobec małżonka. Zaś przedstawiając barwnie rynek i targ średniowieczny, znowu nie przepuszcza duchowieństwu: Dominikanin, żebrzący wśród rynku chleba, na który

mu jakoś pieniądze się nie sypią, grozi dyabłami, a potem dziewczynę piękną, co w histerycznym napadzie do stóp mu padła, dźwiga i prowadzi za sobą. „Oto klejnotami z torby mnich ją pewnie przystroi, jak sułtankę. Od stóp do głowy przyozdobi dla się jej ciało, jak ten Abimelech Sarę niepłodną".

Lecz dość już tego dziwnego i niezrozumiałego realizmu! Przedstawiliśmy go obszerniej, by dać wierny obraz pokarmu, jaki się podaje pod osłoną sztuki! W imię sprawiedliwości dodać jednak należy, że w tej samej powieści, obok niecnego Dominikanina, litościwy Franciszkanin roztacza opiekuńcze skrzydła nad trędowatymi.

Warto jeszcze podkreślić coś, co zakrawa jakby na komedyę. Otóż Przybyszewski, widocznie przerażony nagonką, jaką na niego urządzono, oświadczył uroczyście zaraz w 1-szym zeszycie, że nie chce mieć żadnego udziału w „Zdroju". Oto jego własne słowa: „Usilnie proszę szanownych panów krytyków i sprawozdawców, by na przyszłość zechcieli łaskawie pominąć me nazwisko, gdy będą omawiali działalność „Ostoi" i „Zdroju". Nie wchodzimy w pobudki, jakie kierowały osławionym autorem. W każdym razie już w zeszycie 5-tym czytamy w „Odpowiedziach od Redakcyi" na zapytanie A. Nowińskiego: „Możemy tu oświadczyć Panu i wszystkim wielbicielom niezrównanego twórcy „Zmierzchu", że „Zdrój" drukować będzie jego utwory, skoro tylko je otrzyma. W przeciwnym bowiem razie pismo nasze nie byłoby wyrazicielem współczesnej twórczości polskiej".

Drugi powód nowych obaw i niepokojów to artykulik o sataniźmie, rzecz niebezpieczna, bo dziwnie bałamutna. Czytamy tam bowiem:

„Ducha buntu, Prometeuszowskiego ducha, który jest patronem i godłem wszystkich duchów wolnych, nie dających się wepchnąć w jarzmo tego wszystkiego, co dla społeczeństwa jest pożytecznem i jedyną prawodawczą normą — nie dającego się okuć w kajdany ciasnego dogmatyzmu, a spragnionego coraz to wyższego doskonalenia się, wprowadzenia ducha ludzkości na słoneczny dzień wolności — nazywają urzędowe kościoły „Szatanem", „Lucyferem" i tym symbolem posługują się twórcy, którzy sięgają poza „dogmat".

Podawszy potem zdania Słowackiego o sataniźmie i Mickiewicza parafrazę nauki Boehmego, pisze autor najwyraźniej:

„I do tego szatana, twórcy świata materyalnego, Prometeusza Helady, którego Byron pierwszy wywlókł z cieśni dogmatycznej w „Kainie", modli się Bandelaire w swej słynnej litanii do Szatana

z bolesnym refrenem: „Ayez pitié de ma longue misère"; bucha tryumfalnym krzykiem do tego dobroczyńcy ludzkości i opiekuna wyzwolin ducha hymn Carducci'ego" (str. 188).

Przytoczywszy jeszcze innych autorów, rzuca się autor na „satanizm" w pojęciu dziennikarzy i „historyków literatury":

„Ich" „satanizm" to niesłychanie zręczna i bezczelna blaga Leo Taxile'a i jego pomocniczki Miss Diana Vaughan, której na lep pozwolił się wziąć nawet Watykan. W istnienie dyabła i najrozmaitszych sekt, które go wyznawają, uwierzyło na podstawie dzieła Taxile'a „Le diable au XIX. ème siècle" gremium kardynałów i ono to musiało ponieść srom, gdy ich o parę lat później Taxile wykpił i dzieło swoje uniewinnił pozorem „najgenialniejszej mistyfikacyi Kościoła". I ten to śmieszny, dziecinny satanizm Taxile'a istotnie „genialna" kpina z „osobowego" szatana, tego samego, któremu na imię w Polsce „kusy", pokutuje dotąd w mózgach tych ludzi, którzy informują społeczeństwo polskie o literackich prądach Europy".

Obejdzie się bez komentarzy!

Już pobieżny przegląd pierwszego tomu pisma wskazuje na to, że przeważnie poświęcone sztuce. Poważnych, naukowych artykułów bardzo mało, ocen i sprawozdań z bibliografii prawie nic. Dalej uderza pewien kosmopolityzm w doborze materyału, a pomijając kilka artykułów, pismo mogłoby i w innym języku wychodzić w Monachium, Paryżu czy Londynie. Wreszcie zauważyć można pewną nierównomierność w pracach zamieszczonych, obok przepięknych rzeczy mieszczą się i słabe, może zbyt słabe na takie pismo. W każdym razie przyznać trzeba mimo wszystko, że inicyatorzy z potężnym zapałem jęli się pracy, z męską odwagą rzucili rękawicę „burżujom", lecz niestety, są uzasadnione obawy, że zaślepieni w zasadach nowoczesnej estetyki, za mało pamiętać będą o zgodzie z wiarą i etyką katolickiego społeczeństwa.

— — — — — — — — — — —

I to, czegośmy się ciągle obawiali, stało się faktem bolesnym: Przybyszewski, który bardzo niedawno jeszcze wyrzekał się uroczyście wszelkiego wspólnictwa z pismem, tryumfalnie wkracza z nowym rokiem na jego łamy i z potężnym rozmachem słowa, myśli i fantazyi załatwia swoje „Obrachunki" ze społeczeństwem. Przyznać trzeba, że artykuł, ciągnący się w dwóch zeszytach, szeroko ujęty i z talentem

napisany, ale dobitnie należy podkreślić, że zawiera zdania co najmniej bałamutne.

Mniejsza o to, że autor pompatycznie głosi: „Społeczeństwo jest wytworem twórcy, jego objawieniem żyje i jemu jedynie zawdzięcza całą swoją kulturę i cywilizacyę", nie dziwimy się też tak bardzo, że według niego „Sztuka niema żadnego celu", ale potępić musimy stanowczo, co głosi o metempsychozie, stworzeniu ziemi i etyce katolickiej.

Przecież najwyraźniej wypowiada Przybyszewski swą wiarę w jakąś dziwną, jakoby panteistyczną metempsychozę:

„Dusza moja przez inkarnacyę w coraz to wyższych żywotach tak długo (?) doskonalić się będzie, dopóki nie będzie godną zlać się z Bogiem, z którego wyszła".

Że metempsychoza już dawno znaczyła swe szlaki w naszej literaturze, a raczej dokładniej poezyi, dostatecznie wiadomo, lecz skąd Przybyszewski ma swoje poglądy na stworzenie ziemi? Czy odgrzewa może prastare teorye gnostyczne o eonach i „Demiurgu", boć pisze:

„Nasza ziemia! Bez wątpienia! Na tę „naszą" ziemię wróciła dusza jakiegoś łaską Bożą nawiedzonego osobnika i ten s t w o r z y ł t ę z i e m i ę"!

A na etykę naszą katolicką, którą jakoby odróżniał od Chrystusowej, nie mającej dziś żadnego prawdziwie doskonałego naśladowcy, uderza otwarcie, kiedy głosi:

„Jedynem kryteryum społecznej i kościelnej etyki — to znaczy tego, co jest korzystne dla człowieka lub nie, co mu zapewnia szczęście na ziemi i wygodną ubikacyę w pozabytowem istnieniu w niebie, jest właśnie ordynarny pragmatyzm i z tą biedną etyką stała zawsze i stać będzie istotna sztuka w bezustannem i jak najwięcej wrogiem przeciwieństwie"...

„I niema artysty — istotnego artysty — wszystko jedno, czy on się nazywa Dante, czy Szekspir — Byron, czy Flaubert, Goethe, czy Mickiewicz lub Słowacki, czy też Kasprowicz — Żeromski, czy też Wyspiański, któryby nie mógł odczytywać swego tworu przed Chrystusem. A i piszący te słowa nie doznał nigdy tak głębokiego, szpik kości przeszywającego wrażenia, gdy podszedł do niego dostojny kapłan-asceta i powiedział mu: „Dziękuję Panu, — odkąd twór Pański poznałem, całkiem inaczej słucham spowiedzi — poczynam poznawać Człowieka".

Wystarczy chyba tych kilka przykładów na okazanie dowodu, że pismo jest niebezpiecznem dla naszego katolickiego społeczeństwa,

tem niebezpieczniejszem, że i w nowym roku w artystyczną odziane szatę, promieniejące znów sławnemi nazwiskami Tetmajerów, Kasprowiczów, Berentów, Miriamów, uderzające silniej w ton narodowy, coraz szersze roztaczać może wpływy, coraz ważniejsze mieć znaczenie, tem ważniejsze, że pod względem artystycznym stoi wyżej od trochę bezkrwistych „Masek" krakowskich, przynajmniej w dwóch pierwszych zeszytach.

Stanisław Orliński.

Budujmy Polskę wewnątrz, przez autora „Poznania i kształcenia charakteru". Lwów 1917, 8-o, 86.

Prawdziwym działaczom narodowym, społecznym potrzeba dziś planu odbudowy naszego narodu, planu opartego na ścisłych naukowych badaniach naszych braków i zalet, na zasadach moralności i ekonomii. Lecz do czynu odbudowy muszą się wziąć wszyscy, i wszystkich trzeba uświadomić o tem, czego dobro ojczyzny od nich się domaga i co czynić winni. O to uświadomienie chodzi właśnie ks. Ciemniewskiemu. I nietylko zamiar uznania godny, ale i jego wykonanie. Broszura treścią swą zaleca się rzeczywiście najszerszym warstwom, a formą napewno przypadnie do gustu wszystkim, zwłaszcza naszym młodym. Pisana żywo, w tonie jakby odezwy, każde niemal jej zdanie, to nowe hasło w służbie narodowej.

Autor postawił sobie za zadanie, „wykazać związek, zachodzący między obecną przebudową świata a wskrzeszeniem Polski", „„ocenić dostojność naszego narodu", „określić jego znaczenie dla kultury europejskiej", „opisać słabe strony naszej psychiki narodowej i nieprawidłowość naszej struktury społecznej (6).

Nawiasem nadmienić można, że nie trzymał się ściśle danej propozycyi, wskutek czego powtarza się w kilku punktach.

Wojna dzisiejsza doprowadziła wreszcie do uszanowania prawa wolności narodów i osobistej. Polska obowiązek ten najwcześniej i najszerzej pojęła, (I), i mimo swej niewoli rozszerzała ideę wolności, bo jej posłannictwem jest potęgowanie moralności, chrześcijaństwa, jak jednozgodnie twierdzą wieszcze duchy naszego narodu i jego wybitni pisarze. (IX). Owo zaszczytne zadanie opiera się na naszej psychice kobiecej, ale wskutek tego bardziej duchownej, zdolnej do stanowienia „antemurale christianitatis" (II).

Lecz w psychice tej tkwi pewien błąd, jest nim przewaga uczucia nad rozumem, romantyzm w życiu, wskutek czego niezmiernie u nas trudno o ścisłą organizacyę, o jedność. (VII).

Musi zatem nasz patryotyzm uledz zmianie, muszą ustać dotychczasowe hasła walki z wrogiem zewnętrznym, bo powstaje nowe wielkie zadanie: wewnętrznej odbudowy państwa polskiego. Miłość nasza musi odtąd być pracowitą, ofiarną (VIII). Budowę trzeba rozpocząć od podstaw. „Podstawą zaś niezależnego państwa są samodzielne, twórcze i uspołecznione jednostki, bez których ono poprostu istnieć nie może". (19). Brak twórczości, pracy, powoduje zacofanie w rolnictwie, przemyśle i handlu, choć posiadamy dość dobrej ziemi, surowca i kapitału. Nie pracujemy umiejętnie, bo nam brak wykształcenia zawodowego, praktycznego, wobec czego brak nam również trzeciego stanu, polskich miast. Żydzi panoszą się w miastach, żyją z handlu łańcuchowego, narażając ludność na długi konsumcyjne. Zaradzić złemu mogą konsumy, kooperatywy i rzetelne dorabianie się majątku. (III—VI).

Powinniśmy jąć się pracy w imię wielkiej idei, a cechą człowieka z ideałem jest prawda, abnegacya, wyrzeczenie się przyjemnostek nikotynowych, alkoholowych i zmysłowych (X). Dziś, gdy stajemy wobec faktu odrodzenia się politycznego naszej ojczyzny, musimy odrodzenie zacząć każdy od siebie, opierając się na Zbawcy-Chrystusie. (XI).

Nikt nie zaprzeczy, że autor poruszył momenty najistotniejsze, a do treści dostroił, jak mówiliśmy, pełną siły formę, (w paru miejscach trochę słabszą). Lecz z tej siły słowa wynikło koniecznie pewne niebezpieczeństwo, przed którem przestrzega stare adagium scholastyckie: „qui nimis probat, nihil probat". Oto przechodząc za autorem tę bolesną litanię naszych braków, doznaje się wreszcie trochę przygnębienia, jakby zniechęcenia. Wprawdzie Ks. Ciemniewski bardzo wysoko postawił nasze powołanie i pochlebnie ocenił nasze naturalne przymioty, ale to samo nie dodaje jeszcze otuchy. Trzeba było koniecznie wybić o wiele silniej fakt, że olbrzymia część winy naszego zacofania spada na zgubną politykę zaborczych rządów wobec naszego narodu.

W szczególności nie powiodło się autorowi w kwestyi abstynencyi. Choć bowiem całkiem słusznie wskazuje na zmysłowość, alkoholizm i palenie papierosów jako na pole do umartwienia, to jednak postawienie tych trzech słabości na jednej platformie w słowach: „otwiera się przed niemi walka z największymi wrogami ludzkości, jakiemi są tytoń, alkohol i rozpusta" (76), jeśli nie całkowicie, to napewno w znacznej części osłabia dowodzenie autora.

Wreszcie wychodząc z założenia, że pracę swą autor przeznacza dla najszerszego koła czytelników i dla młodzieży, uważamy za mniej odpowiedni ustęp o duchowieństwie na temat, że inaczej uczy z ambony, a inaczej żyje (81).

J. Krzep.

Ku przyszłości; rocznik spółdzielczy 1914/16, wydany staraniem wydziału społeczno-wychowawczego przy lubelskiem stow. spoż., z zapomogi warsz. związku stow. spoż. Lublin, 1917. Lubelskie stowarzyszenie spożywców. Druk. St. Dżał. 8-ka kt. nlb. 2, str. IV i 120.

Książka wymieniona jest owocem niecodziennej energii, powstała bowiem w warunkach umysłowych i duchowych, możliwie niepomyślnych dla pracy podobnej. W małem mieście grono osób, pozbawione pomocy bibliotek naukowych i wydawnictw społecznych, zdala od pokrzepiającej atmosfery życia naukowego, wśród nerwowo gorączkowego nastroju przeżywanej chwili, nie sprzyjającej wszelkiemu skupieniu w pracy, obliczonej na dalszą metę, wysiłkiem wspólnym podjęto wydawanie rocznika spółdzielczego. I wywiązało się ze swego przedsięwzięcia wprost znakomicie.

Zaczyna rocznik „Wspólnota (kooperatywa) a charakter człowieka“ pióra zasłużonego tylekroć p. Józefa Boka, razem idzie roztrząsania p. B. Krasnodębskiego na temat „Stowarzyszenie spożywcze, czy stowarzyszenie spożywców?“ artykuł, poświęcony „Pamięci Edwarda Milewskiego“, przekład pracy Percy Redferna p. t. „Rozważania kongresowe w domu“, Fr. Dąbrowskiego rzecz o „Znaczeniu związku stowarzyszeń spółdzielczych“, W. H. Papiewskiej „Z historyi lubelskiego stowarzyszenia spożywców“, Fr. Dąbrowskiego „Z wrażeń lustratora“.

Osobny dział poświęcony wiadomościom z towarzystw spółdzielczych w Królestwie. O ruchu kooperatywnym za granicą informuje wyczerpująco p. M. Orsetti. Również oddzielna rubryka informuje czytelnika o nowych kierunkach z zakresu spółdzielczego.

Z kolei następuje rozprawka p. M. Orsetti p. t. „Kooperatyzm w dobie wojennej i widoki na przyszłość“, oraz B. Domańskiego „Przechowywanie towarów“.

Wobec tak pięknego plonu należy całem sercem inicyatorom tego wydawnictwa życzyć, iżby rocznik ich stał się pierwszem ogniwem, sprzęgającem do wspólnego celu wysiłki i dążenia tych wszystkich,

którzy w ruchu spółdzielczym widzą coś więcej ponad udoskonalony sklepik i genialny mechanizm prowadzenia oszczędności indywidualnych. Szczęść Boże! *zet.*

Z piśmiennictw obcych.

Dr. Paul Karge, **Rephaim,** Die Vorgeschichtliche Kultur Palästinas und Phöniziens. Mit 67 Abb. und einer Karte; (in 8 lex. XV + 762), Paderborn 1918.

„Rephaim" prof. Kargego to najpoważniejsze studyum, jakie dotychczas wyszło o Palestynie przedhistorycznej, jej archeologii i religii. Autor wprawdzie nie oznacza wyraźnie granic, kiedy — jego zdaniem — kończy się Palestyna przedhistoryczna, a zaczyna się historyczna, ale z wielu uwag wolno (zdaje się) wywnioskować, że rozciąga jej przedhistoryczność aż po czasy Tell el-'Amarna, a więc po wiek XV. przed Chr. Z tem ujęciem rzeczy zasadniczo zgodzić się można, chociaż nie brak uczonych, którzy już o lat tysiąc wcześniej, bo od pojawienia się semickich Amarytów, zaczynają tak zwaną „historyę" Palestyny. Właściwiej należałoby te 10 wieków nazwać „protohistoryą" palestyńską. Mniejsza jednak o nazwę. Faktem niezbitym, na który już niejednokrotnie zwracałem uwagę, a co obecnie wobec nagromadzonego materyału w dziele „Rephaim" musi przekonać nawet najoporniejszych, jest to, że nawet ta „przedhistoryczna" cywilizacya palestyńsko-fenicka wykazuje tyle pierwiastków, należących do najróżnorodniejszych epok i kultur, iż niepodobna jej przyznać jednolitego, zwartego charakteru, ale trzeba koniecznie określić ją jako mieszaninę i wypływ odrębnych etnologicznie ludów, które w tych przedhistorycznych czasach przesunęły się po powierzchni Ziemi Obiecanej.

Do niedawna sądzono prawie powszechnie, że Semici są właśnie przedstawicielami i twórcami cywilizacyi przedizraelskiej w Palestynie; dziś listy z Tell el-'Amarna, tabliczki klinowe z Boghazkiöi, a przedewszystkiem wyniki wykopalisk palestyńskich wykazały dobitnie, że stosunki ludnościowe i rasowe tak w Palestynie, jak wogóle w całej

Syryi już od samego zarania pierwszych cywilizacyi przedstawiają bardzo trudny i zawiły problem. Teraz n. p. istnienie przeróżnych przed- i niesemickich ludów w Palestynie (przed wkroczeniem tamże pierwszych Semitów) jest faktem, nie podlegającym dyskusyi, chociaż wprowadzenie pewnego ładu w ten etnologiczny chaos napotyka dziś jeszcze na wielkie trudności. Nową próbę rozwiązania problemu etnologicznego Palestyny przedizraelskiej przedstawiłem gdzieindziej [1]). Prof. Karge natomiast w dziele „R e p h a i m" poświęca swą uwagę przedewszystkiem stronie archeologicznej i religijnej tego tematu, a tylko ubocznie omawia kwestyę etnograficzną przy roztrząsaniu pytania, kto był budowniczym dolmenów palestyńskich. Jego wnioski częściowo tylko pokrywają się z moimi; zdaniem Kargego dolmeny należy przypisać amorejskim plemionom semickim, podczas gdy piszący te słowa upatruje raczej w Aryach twórców dolmenów i pomników megalitycznych.

Jako teren obserwacyjny i dowodowy bierze Karge w swem dziele przedewszystkiem na uwagę Galileę i Fenicyę, które tworzą pewną całość geograficzno-fizyczną. Resztę Palestyny autor uwzględnia, ale już nie tak dokładnie. W takiem założeniu tkwi pewnego rodzaju nierówność, która oczywiście nie wychodzi na korzyść całego dzieła, chociaż dzięki obfitości materyału nie można powiedzieć, by Judea lub Zajordanie wypadły w całości zbyt kuso.

Rozpatrzmy się bliżej w treści samego dzieła. Składa się ono z 10 rozdziałów. Pierwszy, wstępny, mówi nam o tem, co Stary Zakon wzmiankuje na temat pomników megalitycznych i wogóle kamiennych (jak n. p. jaskinie, groby, kamienne słupy, kręgi i narzędzia); w dodatku wspomina o dotychczasowych badaniach, podejmowanych w Palestynie i w Fenicyi nad epoką kamienną. Rozdział II. roztrząsa ślady archeolitycznych cywilizacyi wogóle, stwierdzając następnie, że w Palestynie nie zdołano odnaleść żadnych p e w n y c h śladów człowieka w okresie „dolnego d i l u v i u m", gdyż pierwszy człowiek zjawia się w Palestynie dopiero w średniem diluvium i to naprzód na wyżynach Zajordania i w górach Judei. To daje autorowi pożądaną sposobność omówienia geologicznych warunków, które umożliwiły człowiekowi wogóle jego życie w Palestynie. W rozdziale III. rozbiera autor tak zw. epokę staropaleolityczną (Altpaläolitikum: okresy z Chelles, St. Acheul

[1]) W styczniu b. r. na posiedzeniu Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie.

i Musterien) i szkicuje barwnie sposób życia staropaleolitycznych plemion myśliwskich w Palestynie. Epoce wczesnopaleolitycznej (Jungpaläolitikum) poświęca rozdział IV., opierając się tu (podobnie jak i w poprzednich rozdziałach) ciągle na analogii podobnych zjawisk w Europie — rzecz prawie niezbędna, ale dość problematycznej wartości.

Te 110 stron dzieła, poświęconych epoce paleolitycznej, są jakby wstępem do właściwej treści „R e p h a i m", którą stanowi epoka neolityczna. I słusznie; z paleolitikum kończy się bowiem geologicznie diluvium, a neolitikum rozpoczyna nowy okres ziemi, w którym jeszcze obecnie żyjemy. Może za daleko posuwa się autor, gdy (za Hoernesem, Blanckenhornem i Obermaierem) umieszcza początek neolitiku (na Wschodzie) „najpóźniej" około 10.000 lat przed Chr. Czy posiadamy dotąd istotnie naukowe dane, któreby nas z m u s z a ł y do szafowania tak hojnie (bez koniecznej potrzeby!) tysiącami lat na powolny — to prawda — ale niekoniecznie tak długi rozwój tej kultury kamiennej, której zanik spotykamy w Egipcie dopiero około 3.500 lat przed Chr., nad Eufratem około 3000, w Syryi i w Egei około 2500, a w zachodniej Europie około 2000 przed Chrystusem? — Ale mniejsza o tę bądź co bądź niepewną hypotezę. Faktem jest, że ta neolityczna cywilizacya wogóle, a palestyńsko-fenicka w szczególności pozostawiła po sobie mnóstwo pomników, godnych uwagi. Ich opisowi i zszeregowaniu poświęca prof. Karge całe dwa rozdziały (V. i VI.), dzieląc je trafnie na wczesno- i późnoneolityczne, a uzupełnia je (w rozdz. VII.) wynikami wykopalisk w Tell Gezer, Jerychu i Megiddo. Potem (w rozdz. VIII.) przechodzi do najstarszej ceramiki palestyńskiej, tak neolitycznej (w Fenicyi!), jak i ze starszej epoki bronzu (w Palestynie); przyczem uwzględnia tak materyał, jak i technikę ceramiczną owych czasów. Osobny traktat (rozdz. IX.) opisuje szeroko przedhistoryczne pomniki, leżące na zachodnim brzegu jeziora Genezaret, jako to: jaskinie, dolmeny, budowle megalityczne i twierdzę Kurun Hattin. Ostatni (X.) i najdłuższy (336 stron!) rozdział zajmuje się resztą cywilizacyi megalitycznej Palestyny przed- i zajordańskiej, a przedewszystkiem jej dolmenami. Stwierdziwszy (słusznie!), że dolmeny były grobowcami, a przytem domkami umarłych i jako takie środowiskiem kultu zmarłych, że dalej czaszowate wgłębienia na dolmenach służyły do płynnych ofiar i libacyi dla nieboszczyków, przechodzi z kolei do rozwiązania problemu, jakie to ludy zbudowały dolmeny palestyńskie. Na wstępie rozbiera znaczenie nazwy Rephaim. Według Kargego Rephaim to nie nazwa etnograficzna jakiegoś ludu czy plemienia, ale to duchy zmarłych,

spoczywających w dolmenach (twórcy dolmenów!), pojmowani w starożytności jako olbrzymy. Opowiadanie biblijne o Refaitach jest dla niego w znacznej części podaniem etiologicznem. Budowniczymi dolmenów były na półosiadłe plemiona pasterskie Zajordania z czasów późnoneolitycznych, podczas gdy Przedjordanie zajmowało się już uprawą roli i było krajem wieśniaków, miało stałe osady, a nawet miasta i pierwsze twory państwowe. W szczególności: twórcami dolmenów (zdaniem Kargego) nie byli ani mieszkańcy górzystej Palestyny, pochodzenia małoazyatyckiego („armenoidalnego"), ani Indogermanie, ale jedynie Semici ze stepów Zajordania, którzy zajmowali się głównie hodowlą bydła i pasterstwem.

Oto w najogólniejszych zarysach treść niezmiernie pouczającego dzieła prof. Kargego. Obfitość pozytywnego materyału i jego nieraz problematyczna wartość dowodowa mimowoli wywołuje w recenzencie pragnienie dyskusyi. Wstrzymuję się wszelako od niej, bo z konieczności rzeczy musiałaby wyróść na obszerną broszurę. Wszak w tak niepewnych nieraz tematach nie można zarzucić autorowi, że pobłądził lub że nie ma słuszności, bez szerszego uzasadnienia swych poglądów, które także mogą być tylko mniej lub więcej prawdopodobne. Nie mogę zatem i nie chcę stawiać autorowi zarzutów z tego, że nieraz idzie za zdaniem, które zdaje mu się (może subjektywnie!) mniej prawdopodobnem, bo wyznaję zasadę, że i w nauce obowiązuje hasło: *in dubiis libertas.*

Główny mój zarzut dotyczy raczej metody i planu dzieła. Autor z niezmiernym trudem nagromadził przeobfity materyał, który nieraz rozsadza ramy danej kwestyi i nawet dla znawcy utrudnia zoryentowanie się. Z tego powodu dzieło cierpi na przejrzystości i harmonii; rozdziały mają po 100, 200, 300 i więcej stron, co dla najcierpliwszego czytelnika jest zbyt wielką a niestrawną dawką, nawet gdyby chodziło o rzeczy łatwe i lekkie. Tymczasem tematy poruszane są bardzo poważne, czasem trudne, a sposób przedstawienia nie zawsze jasny. Można było tego w części uniknąć, gdyby autor kazał był rzeczy podrzędne drukować w tekście petytem czy borgisem, gdyby się był posługiwał kursywą, odmiennym drukiem, gdyby dawał częstsze odstępy, podziały, tytuły i t. p. Autor tem wszystkiem wzgardził; a jedyne urozmaicenie trudnej lektury stanowi od czasu do czasu zdanie, oddane rozstrzelonym drukiem.

Drugi zarzut: Przy tak doniosłej a przebogatej treści należało dać koniecznie przy końcu dzieła szersze, przejrzyste streszczenie

(z odnośnikami) wszystkich wyników i wniosków, do jakich autor doszedł. Toby zachęciło niejednego do powtórnego przeczytania tego ze wszech miar poważnego dzieła, a ułatwiłoby niezmiernie studyum dla tych, co się bliżej zajmują palestynologią. Alfabetyczny skorowidz autorów i nazwisk osób byłby także bardzo pożądany. W następnem wydaniu należałoby nadto ujednostajnić transskrypcyę nazw arabskich i cudzoziemskich. Wytykać dziełu naukowemu błędy drukarskie, uważam za przesadę; do przeoczeń (boć nie można przypuścić, aby tak wszechstronnie wykształcony autor o tem nie wiedział) zaliczam n. p. takie twierdzenie (str. 530), że Sanheryb był następcą (Nachfolger) Assurbanipala.

Osobne życzenie kieruję do autora i wydawcy. Treść dzieła dla wielu tak niedostępna, wymaga koniecznie jak największej ilości rycin. Tu każdy niemal szczegół powinien być uzmysłowiony rysunkiem czy fotografią; słowny opis nie wystarcza. 67 rycin (i to z jednego prawie działu) to stanowczo za mało!

Pomimo tych kilku zastrzeżeń jestem z całem uznaniem dla niestrudzonej a mrówczej pracy tak wyjątkowo uzdolnionego autora. Daj mu Boże odzyskać nadwątlone przepracowaniem siły i wzbogacać archeologię palestyńską całym szeregiem podobnie gruntownych i poważnych dzieł, do jakich każdy bezstronny krytyk musi bez wahania zaliczyć „R e p h a i m".

X. Władysław Szczepański T. J.

H e r m a n n B a h r : **„Himmelfahrt".** Roman. S. Fischer. Berlin 1917.

Hr. Franciszek Flayn ma lat 37, jest zdolny, miły, wszyscy go lubią, starszy brat go ubóstwia — majątek czyni go niezależnym, żyje, gdzie i jak mu się podoba — podróże, nauka, sztuka, przyroda i ludzie, wszystkiego kosztuje. Powinien być szczęśliwym, a nie jest nim. Czego mu nie dostaje? Może tylko uczucia, że jest szczęśliwym. Wiecznie czegoś w życiu szuka, na coraz to nowe drogi wstępuje. Być może, że wszelkie jego doświadczenia, rozczarowania, braki, w nauce i sztuce, z ludźmi i w podróżach, wszelkie jego usiłowania, by zgłębić życie i poznać cel istnienia, może to tylko pojedyncze litery tajemniczego alfabetu, które trzeba poznać wszystkie, aby posiąść sztukę czytania. Gdy się znajduje w rozgwarze świata, tęskni do ciszy — gdy

cicho w około, ucieka do ludzi, bo za głośno mu wtedy mówią wewnętrzne jego głosy. — Po dłuższej nieobecności przyjeżdża do rodzinnego miasta, znużony światem, niepewny swej drogi. Jego talent malarski nie dał mu pełnego zadowolenia ni pożądanej sławy — toż samo poszukiwania naukowe. On wkładał w to całego siebie, lub tak mu się przynajmniej zdawało — świat widział w nim tylko zawsze arystokratycznego dyletanta. Może w rodzinnym zamku, w pobliżu najlepszego brata i jego rodziny, życie ukształtuje się mu nareszcie.

Po przeżyciu serdecznych wrażeń chwili obecnej i przywołaniu dawnych wspomnień, związanych z rodzinnym domem, hr. Franciszek uczuwa zwykły niepokój i pragnienie rozwiązania zagadki życia.

Szuka pomocy u ludzi, którzy byli mistrzami jego pierwszej młodości: kanonik Zingerl i malarz Höfelind.

Malarz jest wielki i sławny, ale sam sceptyk, goniący za prawdą, której nie może znaleść, bo szuka jej tam, gdzie nie bywa — nie jest w stanie dać dawnemu uczniowi klucza do zagadki życia. Rozmowy jego z nim to zbiór świetnych metafor, błyszczących paradoksów — a na dnie pustka i tęsknota. „Świat kręci się nieustannie w wiecznym ruchu i pędzie — szczęśliwy, kto ma pokój w sobie".

Trafną jest uwaga, którą robi o Kościele katolickim, oceniając jego niewzruszoność w czasach, gdy nic niema stałego i pewnego; jeden tylko Kościół nie zna kompromisów. „Panujący — mówi Höfelind — schlebiają tłumom, — artyści, zamiast kształcić smak, szukają poklasku, — każdy obraca się wedle wiejącego wiatru. Kto dziś rozkazywać potrafi? A ludzkość tęskni do autorytetu i rozkazu. Bóg, geniusz, nazwij go, jak chcesz, ale trzeba nam potęgi, stojącej ponad nami". „Lecz dla mnie — mówi malarz w innem miejscu — trzebaby cudu". Odwieczne pragnienie ludzi przeżytych — od Heroda począwszy.

Kanonik, tajny radca Zingerl, jest osobistością wielce szanowaną, jako kapłan i człowiek bardzo mądry. Jest w mieście 12 kanoników — ale gdy ktoś powie „kanonik", nie dodając nazwiska, wszyscy wiedzą, o kim mowa. Hr. Franciszek dziwi się, że jego tęsknoty i wątpliwości tak chłodne znajdują przyjęcie u tego dawnego przyjaciela, który z urzędu swego — jeżeli tak powiedzieć można — jest w posiadaniu prawdy. Czemuż mu jej nie poda, widząc, że jéj pragnie? Kanonik odpowiada, że prawda jest w małym katechiźmie — może go masz jeszcze ze szkolnych czasów? A nie sądź, że ta twoja, jak ją nazywasz, tęsknota — to dążenie do pobożności; to jest tylko żądza zmiany. Jakiż zaszczyt, że w tym kierunku iść chcesz! Mówisz, że

wszystko cię zawodziło. Wiesz dlaczego? — bo ty niczemu służyć nie chciałeś, lecz wymagałeś, by wszystko służyło tobie. Siebie wszędzie szukasz — cóż dziwnego, że siebie tylko znajdujesz. Tak i teraz. Kościół nie jest czarodziejem, nie jest środkiem duchowego używania — nie ma eliksirów i narkotyków — posiada tylko prawdę. Ciebie nie to ciągnie do Kościoła — chciałbyś tylko nowych wrażeń".

I rzeczywiście — kościoły, do których Franciszek czasem wstępuje, dają mu pewną sumę wrażeń estetycznych i dziwne uczucie na widok zamodlonych ludzi — uczucie, złożone ze zdziwienia, wzruszenia i pewnej zazdrości. Na co tym ludziom Bóg potrzebny? czego od Niego chcą? i co mu mają do powiedzenia?... Ci ludzie zdają się być w posiadaniu czegoś, co ich czyni szczęśliwymi — a czego on nie ma. Hrabia nawiedza coraz częściej kościoły, zwłaszcza o wieczornej porze, gdy zmrok spowija wysokie kolumny i zaciera architektoniczne linie. Spotyka tam raz kobietę, której uduchowiony, mistyczny wyraz głębokie nań czyni wrażenie — może ta kobieta jest upostaciowaniem jego obecnych nastrojów? Stara się ją poznać, a poznawszy, sądzi, że ją kocha. Zyskuje nawet jej uczucia, ale Klara, poznawszy w pierwszem małżeństwie, że namiętna miłość do męża oddaliła ją od Boga, mniema, iż go jej Bóg dlatego zabrał, bo go zbyt wyłącznie kochała, bo ją to uczucie brało całą niepodzielnie. A ona i teraz by inaczej nie umiała — i *sama nie byłaby szczęśliwą i jemu by nie dała szczęścia.* — Drogi ich się rozchodzą.

Franciszek coraz częściej zatapia się w rozmyślaniach: czy pobożność wymaga, by rozum poznał swoje granice i upokorzył się? Czy nie istnieje na ziemi jakaś bezimienna społeczność świętych dusz, które się nie znają, nic o sobie nie wiedzą, a jednak wspólnie działają promieniami swojej modlitwy? I znowu wiedzie długie rozmowy z kanonikiem. „Dziwni z was ludzie — odpowiada mu on. — Całe to pokolenie wasze stoi niejako poza sobą i sobie samemu rozkazać nie umie, słucha tylko swoich uczuć i nastrojów. A przecież człowiek ma wolę i musi umieć chcieć, to go czyni naprawdę człowiekiem. — Ludzie naszej doby mniemają, że do spokoju tęsknią, ale to złudzenie. Oni są znużeni, ale nie ze zbytniej czynności, lecz z własnej próżni. To znużenie zaspanych. Spróbuj się obudzić i czuwać.

A gdyby ci naprawdę o wiarę chodziło, nie chodziłbyś w około niej z tysiącem pytań — interwiewami się do niej nie dochodzi".

— „Cóż mam uczynić?"

— „Oto poprostu pójść do spowiedzi i Komunii. Bóg wyszedł

naprzeciwko ciebie, ale ten krok ostatni, stanowiący o życiu i śmierci, musisz zrobić sam, z własnej, wolnej woli i wyboru".

Dusza Franciszka staje się coraz prostszą — coraz mniej chodzi mu o to, aby — jak mówi kanonik — „nawet w niebie odgrywać jakąś rolę" — coraz więcej utwierdza się w nim przekonanie, że kto pragnie Boga, musi pragnąć Boga samego, a nie siebie w swoich nastrojach, bo cokolwiek naprawdę jest, istnieje w Bogu. — Tak przygotowanego zastaje piorunująca wiadomość o serajewskim mordzie i wybuchu wojny.

Bez namysłu hr. Franciszek idzie do wojska — a przed wyjazdem wstępuje do kościoła i bez wahania, po prostu — przystępuje do spowiedzi.

*

Na tem kończy autor dzieje duszy swego bohatera — możemy być o niego spokojni — posiadł prawdę i życie.

W powieści tej, bardzo subtelnej a prostej, uderzą nieco jaskrawym efektem epizod o infancie hiszpańskim, który znużony fałszem i szychem dworskiego życia, przerażony własnym, dziwnie trudnym charakterem, ucieka od dworu i ojczyzny i przepada wrzekomo, a w istocie pędzi życie tułacze, pełniąc niskie posługi, usiłuje zmiażdżyć swoje pyszne „ja". Historyę swoich walk duchowych spisuje w rodzaju pamiętnika; są to wyznania duszy udręczonej, szukającej ukojenia i zbawienia przez wyjście z siebie, przez szukanie zniewag i pogardy; w pamiętniku znajdujemy mistyczne wzloty, myśli górne, obok pewnej, nieledwie chorobliwej nienawiści siebie, tak dalekiej od tej cudownej harmonii chrystyanizmu, wykwitającej z hasła: „Służcie Panu w radości!"

Helena Skolimowska.

Der h. Klemens Hofbauer und das Auswanderungspatent. Krakau, 1915, in 8° II, 97. Verlag der PP. Redemptoristen in Krakau XXII.

Wielebni nakładcy sprawili najmilszą niespodziankę teraz właśnie, gdy umysły napięte grozą wojenną nie oczekują nic ciekawego, chyba z pola walki, a najmniej spodziewają się zająć dziejami którego ze Świętych. Tymczasem dramatyczne przygody spotykały nie tylko dawnych Świętych, jak Aleksy, Eustachy, Atanazy i tylu innych

w dziele Bolandystów: widocznie snują się dalszym ciągiem u Świętych nowoczesnych. I św. Klemens Dworzak przeżywa przygodę zupełnie gotową na tło obrazu dramatycznego. Wezwany z Warszawy, aby w Szwajcaryi założyć swój zakład, w podróży przez państwo rakuskie spotkał kilku młodych ochotników do spólnej pracy i z pomiędzy nich wziął paru zdolnych z powrotem do Warszawy, dokąd z nimi przybył nieświadom burzy, jaką po sobie zostawił od Innu po Siedmiogród. Jako zamieszkały w Polsce, nie wiedział o świeżo wyszłej ustawie rakuskiej, która pod ostremi karami zabraniała młodzieży opuszczać kraj i komubądź jej do wyjazdu pomagać. Po odjeździe tedy Świętego z towarzyszami zaczyna pogłoska o ich przestępstwie dolatywać do urzędników, róść i olbrzymieć po drodze, ale nie umie po nazwisku wymienić głównego winowajcy. Nastaje obława za nieznajomym zbrodniarzem, biura policyi i posterunki żandarmeryi dostają sporo wskazówek, gonią za podróżnymi, nieraz muszą podejrzanych więzić i z braku dowodów puszczać, poszlaki się zacierają, aż Święty w nowej sprawie, nieświadom swojego występku, przejeżdża przez państwo całe na południe, z powrotem w Krakowie wpada w ręce władz bezpieczeństwa i pod strażą z bagnetami musi iść do schroniska w klasztorze św. Trójcy, tu dowiaduje się o swoim czynie nieprawym i o obowiązku, żeby wydartych państwu obywateli natychmiast mu przywrócić. Natychmiast więc pisze im do Warszawy, żeby wracali, ale nie może doczekać się, kiedy władze pozałatwiają się ze swoimi porządkami i listami, aby go urzędowo uwolnić: więc ucieka z Krakowa tajemnie. I choć owi obywatele państwa wrócili do rodzin z Warszawy, jeszcze Święty ma po kilku latach nową przeprawę o to, iż niecierpliwy w swym klasztorze nie czekał urzędowego wyroku.

Wszystko to znajdujemy podane w samych pismach urzędowych, listach gończych, rozprawach, wyrokach: ciekawie poznajemy drogi, którymi Pan Bóg świętych ludzi prowadzi. *C.*

Aus der Heimat des Friedens, Dorfpredigten von Dr. Karl Rieder, Freiburg in Breisgau 1917. 8°. Herdersche Verlagshandlung.

Znany z prac kaznodziejskich, bo wydał dotąd: „Frohe Botschaft in der Dorfkirche", a dalej: Auf Gottes Saatfeld" a wreszcie: „Zur innerkirchlichen Krisis des neuligen Protestantismus", w tem ostatniem dziele przedstawia, jak nisko stoi teologia i kaznodziejstwo obecnie

u Protestantów, którzy chcieli koniecznie odprawiać w zeszłym roku w wigilię WW. Świętych rocznicę 400 letnią tez dra Marcina Lutra, przeciwnych naukom Kościoła; teraz X. Dr. Karol Rieder puszcza w świat nowy tom swoich kazań: „Aus der Heimat des Friedens", dla wiejskich ludzi przeznaczonych. Wszystkim wiadomo, że obecna wszak światowa wojna tak długo się ciągnąca, odbija się swojem krwawem echem nietylko w miastach i miasteczkach, ale także i na wsi. Do czego katolicy, żyjący na wsi są zobowiązani względem ojczyzny, względem Boga i Kościoła, dzieci małych, a wreszcie poległych na froncie, wszystko to krótko w tych 40 kazaniach jest podane. I kapelan wojskowy i kler parafialny znajdzie tu obfity materyał do rozmyślań. Cytaty z Pisma św. bardzo dobrze dobrane, styl, wysłowienie, język piękny. Może przy nowem wydaniu czcigodny kaznodzieja jeszcze więcej przykładów doda, tak dla ludu wiejskiego pouczających. Ten n. p. na str. 75, o szkolnych dzieciach że na 40 w klasie na pytanie: „Wo weilst du am liebsten?" tylko jedno odpowiedziało: „Ich weile am liebsten daheim", jest brzemienny. Napewno dziecko, jeżeli nie lubi od maleńkiego w domu z rodzicami najmilej przestawać, z latami skrzywione wychowanie mieć będzie. Oko matki i ojca czujne, może najprędzej dostrzedz usterki i te poprawić. Cudze oko może nie uczyni tego ani z tą miłością, ani z tą pilnością, co oko matki. Dodajemy w końcu, że dziełko to nie tylko na wsi ale i po miastach i miasteczkach chętnie czytane, pożytek dla duszy przyniesie.

X. J. T. T. J.

Ukrajiński narodni bajki (zwirynnyj epos), tom I.—II., zibraw Wołodymyr Hnatjuk. (Etnograficznyj Zbirnyk; tom XXXVII.—XXXVIII.). Lwów 1917. Nakładem Nauk. Tow. im. Szewczenki. 8-ka, str. LVI. i 559.

W nader bogatym dorobku naukowym najwybitniejszego ze współczesnych etnografów małoruskich, p. Hnatjuka, zajmie dzieło wymienione niewątpliwie miejsce najpierwsze. Bez przesady można powiedzieć, że stanowi ono rewelacyę w świecie naukowym, i to nie tylko słowiańskim, ale europejskim. Ażeby nabrać o tem należytego wyobrażenia, wystarczy zaznaczyć, że podczas gdy A. Smirnow („Systiematiczeskij ukazatiel tiem i warjantow russkich narodnych skazań") naliczył razem 62 samodzielnych tematów bez waryantów w materyale

bajkowym rosyjskim, biało- i małoruskim, to w zbiorze omawianym mamy ich aż 327. Jeszcze jaśniej zrozumiemy zasługę p. Hnatjuka, jeśli porównamy rezultat przez niego osiągnięty z ogólnym spisem typów bajkowych, opracowanym przez folklorystę fińskiego, Antto Arnego („Verzeichnis der Märchentypen"). A spis jego rozpoczyna się właśnie bajkami (Fiermärchen), o jakie chodziło p. Hnatjukowi, i obejmuje 299 numerów (o ssawcach, ptakach, rybach i innych zwierzętach). To znaczy, że uczony ten nie przypuszczał, iżby w folklorze ogólnym mogło znaleźć się więcej, nad 300 bajek samodzielnych. A właśnie taką ilość przynosi zbiór p. Hnatjuka! Układając wszelako swój preliminarz, nie postąpił A. Arne lekkomyślnie. Opierał się bowiem na ogłoszonym dotychczas materyale, który nie pozwalał na snucie różowych nadziei na przyszłość. Znaczenie zresztą bajek ludowych było dotąd zapoznawane przez etnografów: w opracowaniach etnograficznych dawano im miejsce „kątem", że się tak wyrażę, zazwyczaj wraz z innym materyałem. Faktem jest bowiem niezaprzeczonym, że w folklorze europejskim niema dotychczas większych oddzielnych naukowych zbiorów bajek. Dopiero pierwszy p. Hnatjuk pokusił się o wyznaczenie bajkom należnego im miejsca w folklorze i ta zasługa winna być mu wpisana złotemi głoskami w historyi folklorystyki powszechnej.

Jak łatwo z dzieła omawianego przekonać się można, w bajkach zostały poruszone tematy nadzwyczaj interesujące. To też nic dziwnego, że były one nadzwyczaj popularne wśród szerokich mas, nie tylko ludowych. Najlepiej okazuje się fakt zaznaczony co dopiero z tego, że z pomiędzy wszystkich utworów poezyi ludowej wywarły one najsilniej wpływ na literaturę pisaną i to rozpoczynając starożytną, klasyczną literaturą Grecyi lub Rzymu, a kończąc którąkolwiek najnowszą. Ustalenie stosunku bajek ludowych do ich przeróbek literackich, wykazanie zmian, jakim ulegały w ciągu swego długiego żywota oraz długich wędrówek, wskazanie drogi takiej wędrówki, o ile to jest możliwe, sprawdzenie osnowy pierwotnej i dodatków późniejszych oraz zmian — oto tematy do prac, które młodzi folkloryści będą mogli wykonać na podstawie dzieła omawianego.

Od czasów bowiem twórcy hipotezy indogermańskiej albo mitologicznej o pochodzeniu eposu zwierzęcego, Jakóba Grimma, zbankrutowało już kilka kierunków naukowych, a zatem: hipoteza indyjska Wagenera i grecka A. Webera, Benfeya, zasada naiwności Ottona Kellera, wreszcie Meissnerowska, oparta na studyach zabytków sztuki. Prace tych autorów były pod niejednym względem przełomowe i posu-

wały naukę znacznie naprzód. Miały też wszelako tę wadę, że znaczna część badaczy opierała się w swoich pracach i wnioskach na takich starożytnych utworach piśmiennictwa, jak bajki indyjskie Bidpaja, łacińskie Fedra, oraz na poematach średniowiecznych, a za mało brała pod uwagę opowiadania o zwierzętach, zapisane z ust ludu, a jeśli zwracała nawet na nie uwagę, to rzadko na inne, jak na zachodnio-europejskie. Tymczasem poematy średniowieczne (Isengrimus, Reinardus, Reinhart, Renart, Reinaert, Reinecke, Eckbasis), jakkolwiek są bogate pod względem ilościowym, przecież są nader ubogie w motywy. Motywy, zaczerpnięte ze źródeł starożytnych i użyte w jednym poemacie, powtarzają się z większemi lub mniejszemi zmianami w drugim, jak to udowodnił Ł. Kołmaczewskij w dziele „Żywotnyj epos na zapadie i u Sławian". (Kazań 1882).

Zbiór bajek zwierzęcych p. Hnatjuka został wydany bez zarzutu. Pod każdą bajką zamieszczono wskazówki bibliograficzne, tyczące się jej waryantów, całość wreszcie otrzymała spis dokładny głównych motywów bajkowych, oraz została poprzedzona obszerną rozprawą, zatytułowaną skromnie „Garść uwag o bajce".

Jeśli mając na oku te liczne zalety, jakiemi odznacza się monumentalne dzieło p. Hnatjuka, dodamy, że zawdzięcza ono swoje powstanie nieznużonej energii człowieka, złożonego ciężką chorobą piersiową, wówczas dopiero cześć dla zasługi tego niezmordowanego pracownika na niwie folklorystyki małoruskiej będzie mogła być taką, na jaką rzetelnie zarobił i sumiennością i wytrwałością i ofiarą zdrowia własnego.

W przedmowie do dzieła swego wyraził autor zdanie, iż największą nagrodą dlań za pracę będzie, jeśli zbiór omawiany stanie się podłożem prac naukowych z zakresu bajkoznawstwa. Nie tylko tej moralnej pociechy życzymy mu całem sercem, lecz przedewszystkiem dobrego zdrowia, by na ukochanej przez siebie niwie mógł siać dalej, długie lata jeszcze i radować się schodzącym z jego posiewu plonem!

Dr. Stanisław Zdziarski.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Ostatni pokojowy krok Papieża. — O duszę młodzieży szkolnej. — Towarzystwo imienia Benedykta XV.

Ostatni pokojowy krok Papieża. Rzadko kiedy widział Kościół podnioślejsze zjawisko, jak obecną akcyę pokojową Papieża. Włoch rodowity, najbardziej typowy przedstawiciel rasy romańskiej, mimo to, iż całe Włochy i cała prawie rasa romańska, wchodzące w ententę, nie chcą słyszeć o pokoju, — od samego początku wojny nawołuje do rychłego pokoju. Ma przeciw sobie całe otoczenie, widzi i słyszy codziennie, jak wzrasta przeciw niemu niechęć i nienawiść, mimo to nie przestaje głosić tego, co każe mu głosić sumienie. Jest to wyznawstwo zasad, posunięte aż do gotowości na męczeństwo.

Były chwile, gdzie tylko po stronie ententy znajdowała akcya Papieża przeciwników; dziś jest ona nie na rękę obu stronom walczącym. Po stronie ententy są tony niechęci silniejsze, dochodzące aż do projektów złożenia Papieża z tronu, po stronie państw centralnych zaczyna się nagonka w kołach protestanckich i anneksyonistycznych, nagonka coraz silniejsza i już nie bardzo przebierająca w środkach. Ci zaś w państwach centralnych, co

zdawali się być najbliższymi intencyom Papieża, ucichli, zasunęli się w cień. Na widowni pozostała tylko zaborczość i walka na śmierć i życie.

Jak na każdego wybitnego przedstawiciela idei, tak i na Papieża przyszła dziś chwila osamotnienia. Są to chwile w życiu najcięższe, jak najcięższą w życiu Chrystusa była chwila w Getsemani. Ziemia nie daje echa, a i niebo zdaje się być głuchem. W tej samotności pisze Papież nowe orędzie, a pisze je krwią serdeczną. Nie zrażony niepowodzeniem, z sercem głęboko przejętem niedolą świata, przyrównawszy siebie do starego króla Jozafata, który w Bogu położył ostatnią swoją ucieczkę, zwraca się Papież już nie do ludzi, ale do Boga. „Oczekujemy tylko od Niego jednego położenia kresu tym strasznym klęskom, jakoteż oczekujemy, iż dając zgnębionemu światu znowu pokój, ugruntuje też jak najprędzej między ludźmi królestwo miłości i sprawiedliwości".

Ażeby tę chwilę zmiłowania Bożego przyspieszyć, postanawia złożyć Bogu ofiarę najszlachetniejszą, jaką ma ziemia, ofiarę Mszy świętej. Na dzień 29 czerwca zarządza, by wszyscy kapłani odprawili Mszę świętą w tej intencyi, aby nareszcie spokój i prawdziwe braterstwo zapanowały znowu między ludźmi. W jednym dniu ze wszystkich katolickich ołtarzy świata, od wschodu i od zachodu, wznieść się ma ku niebu ofiara czysta i święta i ma zadać gwałt Boskiemu Sercu.

Jeżeli co powinno położyć kres nieporozumieniom co do akcyi pokojowej Papieża, to chyba ostatnie orędzie, które nie do ludzi, ale do Boga się zwraca i kończy się pragnieniem, aby raz na ziemię zeszła chwila, w którejby „sprawiedliwość i pokój pocałowały się". Ci, co odnosili się do akcyi Papieża z nieufnością, przeoczali, że on nie tylko pokoju, ale i sprawiedliwości domaga się, i domaga się sprawiedliwości zarówno dla obu stron. Czyż nie przewidywał Papież — zarzucają niektórzy — że głos jego o pokój jest to dzisiaj głos wołającego na puszczy? I Bóg przewiduje opór zepsutej woli ludzkiej, a jednak, mimo to, daje ludziom głos sumienia i Papieża.

Warto zapamiętać sobie, że w najbardziej przełomowej

chwili ludzkości, gdy wszyscy ludzie zamienili się w dzikie, pożerające się wzajemnie zwierzęta, gdy ci, co najbardziej braterskie hasła głosili, jak masoni, i ci, co najbardziej międzynarodowym czynnikiem się być mienili, jak socyaliści, i ci, co świetlany sztandar ludzkości najwyżej wznosili, jak przedstawiciele najpostępowszych społeczeństw, gdy ci wszyscy sprawiali wrażenie rozszalałej menażeryi, jeden tylko Papież niezachwianie nawoływał do sprawiedliwości i pokoju. Wzniósłszy się nad wszystkie ludzkie względy krwi i rasy, nad wszystkie osobiste rachunki, oczerniany, spotwarzany, znienawidzony, trwał na stanowisku swojem nieznużenie, nie schodząc z niego ani na krok, ani na chwilę. A że takim kazała mu być zasada, którą przedstawia, więc w dniach tych łatwo jest poznać, gdzie bije źródło jedności świata.

O duszę młodzieży szkolnej.

Od pewnego czasu znać, że coś się popsuło w świecie młodzieży szkolnej. Nic innego nie stało się, jak tylko to, że zepsucie całego świata, spowodowane orgią przedłużającej się w nieskończoność wojny, udzieliło się i młodzieży. A udzieliło się w tym stopniu, że powinno wstrząsnąć całem społeczeństwem. Kronika policyjna zapisuje wprost przerażające wypadki. We Lwowie, na przykład, popełniono w kościele św. Marcina świętokradzkie włamanie i skradziono wota. Policya, która z początku rozpoczęła poszukiwania między zawodowymi rzezimieszkami, odkryła przypadkiem, że zbrodni tej dopuściło się kilku uczniów gimnazyalnych z IV. i V. klasy. Szereg włamań i kradzieży notuje kronika policyjna i u młodzieży krakowskiej. Szczególniej słynnym pod tym względem stał się klub młodzieży, noszący nazwę „Cognovi terras mundi", którego członkowie dopuszczali się różnych potwornych włamań, a pieniądze, użyskane w ten sposób, gromadzili na podróże po świecie. Takich ponurych wypadków wiele. Przed chwilą właśnie czytaliśmy w kronice gazety, że trzech uczniów gimnazyalnych z Jasła, zaraz po przybyciu ich do Lwowa przytrzymała policya na dworcu i znalazła przy nich sztylety i narzędzia do włamań. Oto, jeden tylko zakres zboczeń obyczajowych!

I pomyśleć, że podobne wypadki zdarzają się wśród tej polskiej młodzieży, wśród której bezpośrednio przed wojną i w pierwszych latach wojny było tyle idealizmu, tyle szlachetnego zapału do ofiar i poświęcenia!

A dodajmy odrazu, że pośród tej młodzieży i dziś idealizmu i jasnych świateł nie brak — potworność obyczajowych zboczeń jest tylko wynikiem potworności bakcyli wojennych, które padłszy na podatne podłoże słabych charakterów, przyjęły się. W Niemczech kryminalistyka młodzieży po 18 rok życia wykazuje wzrost taki, że w r. 1914 było 51.500 postępowań karnych, w roku zaś 1917 aż 177.000 — po 14 zaś rok życia było tak, że w r. 1914 było 8.750 procesów, w roku zaś 1917 aż 35.900.

Oto doraźny skutek tej wielkiej demoralizacyi świata, jaką jest wojna obecna, skutek rozbicia rodzin, braku ojców i męskiej opieki w rodzinach, skutek nędzy, jaką ta wojna przyniosła!

Jak ciężką będzie musiała być praca Kościoła po wojnie, ażeby wyrzucone z wszelkich karbów społeczeństwa przyprowadzić do równowagi, trudno wypowiedzieć. Zajmują się dzisiaj tą sprawą wszystkie pisma, duszpasterstwu poświęcone. Ale najważniejszą sprawą pozostanie sprawa młodzieży, tem bardziej, że ta młodzież, wskutek szczerb, poczynionych przez wojnę, prędzej będzie musiała stanąć u warsztatu pracy publicznej. Troska o młodzież powinna być zawsze najbardziej piekącą troską społeczeństwa; cóż dopiero w tych warunkach!

Widzimy też, że sprawą tą zaczynają się zajmować gorąco wszystkie czynniki. Wkroczyła tu już opieka państwowa, wyszły już zarządzenia władz szkolnych, wzięły w rękę swą sprawę różne towarzystwa pedagogiczne. Nie potrzebujemy dodawać, że najcięższy obowiązek spoczywa na rodzinie.

Kościół pierwszy u nas stanął na placówce. Gdy nikt jeszcze nie zdawał sobie sprawy z grozy niebezpieczeństwa, Ksiądz Arcybiskup Bilczewski wydał pierwszą część swego ślicznego listu o młodzieży, z którego omówieniem wstrzymujemy się do wyjścia ostatniej części tego listu. Sprawie młodzieży poświęcił także list swój Ksiądz Biskup Wałęga, a także, z okazyi rozruchów, Książę Biskup Sapieha. Szczególniej sprawą młodzieży szkolnej zajął się

Ksiądz Biskup Pelczar, polecając księżom katechetom zakładanie Sodalicyj Maryańskich.

O środkach i sposobach, mających przeciwdziałać zepsuciu młodzieży, mówiono już u nas nieraz i podawano ich znaczny dobór. Rzeczy to są na ogół tak znane, że niema ich potrzeby w tem miejscu przypominać. O ile o młodzież szkolną chodzi i o pracę nad młodzieżą szkolną duchowieństwa, a więc w pierwszym rzędzie księży katechetów, to ujęlibyśmy całą sprawę w jedno słowo: duszpasterstwo. To, co niejeden z księży katechetów już obecnie z własnej gorliwości stara się robić, to należy postawić za zasadę, wbrew systemowi austryackiemu, który gwałtem chciałby zmienić katechetę w c. i k. profesora, przepytującego lekcyę i odczytującego egzortę. Duszpasterstwo młodzieży, a więc troska o postęp w dobrem każdej młodej duszy wszystkiemi sposobami, jakich dostarcza Kościół. Dopiero wtedy, kiedy katecheta stanie się takim duszpasterzem, ustaną utyskiwania na naukę religii w gimnazyach, jakich tyle od tak dawna bez końca się słyszy. Czy udałoby się wprowadzić takie duszpasterstwo, w całej pełni, w system szkoły austryackiej, nie wiemy, — jasnem jest jednak, że winniśmy rozpocząć akcyę o wprowadzenie go do szkoły polskiej, o jaką obecnie zaczyna nam chodzić.

Bardzo pouczającym przyczynkiem do tej sprawy była konferencya księży katechetów w Przemyślu, w sprawie zakładania Sodalicyj Maryańskich w gimnazyach. Konferencya poruszyła niejedną ważną myśl i wskazała na niejedną trudność przy wprowadzaniu Sodalicyj do szkół. Jasnem jest jednak, że pewne z poruszonych trudności odpadają odrazu, gdy postawi się zasadę duszpasterstwa, które między innymi środkami posługuje się także takim środkiem, aprobowanym przez Kościół, jakim jest Sodalicya. Zwłaszcza, że o to duszpasterstwo krzyczy bezpośrednie niebezpieczeństwo, jakie zagraża dzisiaj duszy młodzieży.

Towarzystwo imienia Benedykta XV. Dnia 17 maja b. r. odbyło się w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego pierwsze publiczne i uroczyste zebranie Towarzystwa imienia Benedykta XV. Tonem i nastrojem odpowiadała ta

uroczystość poziomowi, jaki panuje na dorocznem posiedzeniu Akademii Umiejętności. Była to też poniekąd inauguracya katolickiej Akademii Umiejętności. Tę ideę zaznaczamy odrazu, gdyż w niej tkwi zasada nowo powstającej instytucyi. Celem bowiem tej instytucyi jest:

a) zjednoczyć uczonych, stojących na gruncie zasad nauki katolickiej i prawa chrześcijańskiego, dla wspólnego uprawiania umiejętności, a w pierwszym rzędzie prawa Kościoła katolickiego, tudzież rozkrzewiania tegoż znajomości, ze szczególnem uwzględnieniem stosunków kościelnych, prawnych, społecznych, oraz chrześcijańskiej kultury na ziemiach polskich;

b) skupić zwolenników i przyjaciół nauki katolickiej, chrześcijańskiego prawa i chrześcijańskiej kultury dla skutecznego popierania celów i zadań Towarzystwa.

Środkami zaś do tego celu są:

a) peryodyczne zebrania katolickich uczonych, jakoteż przyjaciół nauki katolickiej, chrześcijańskiego prawa i chrześcijańskiej kultury, dla rozpraw nad przedmiotami z zakresu celów i zadań Towarzystwa;

b) wydawanie, popieranie i rozszerzanie katolickich czasopism, rozpraw, dzieł i innych publikacyj, oraz autorów źródeł, odpowiednio do celów i zadań Towarzystwa, dotyczących w pierwszym rzędzie obowiązującego ustawodawstwa kościelnego powszechnego i partykularnego na ziemiach polskich, z uwzględnieniem historycznego jego rozwoju, tudzież stosunku do odnośnych ustawodawstw świeckich;

c) urządzanie odczytów i konferencyj o przedmiotach, objętych celami Towarzystwa;

d) obmyślanie zadań do nagród konkursowych w miarę uzyskania na ten cel funduszów.

Tak pojęte Towarzystwo jest poniekąd zjednoczeniem celów i środków, jakie winnyby dwu Towarzystwom odpowiadać: jednemu zawodowemu, ściśle prawniczemu — i drugiemu ogólniejszego charakteru, poświęconemu tak zwanej kulturze chrześcijańskiej. Niektórzy z tej niejednolitości czynią instytucyi zarzut. Nie jesteśmy tego zdania. Najpierw trzeba brać życie i dokonane

wypadki, jak one są. A potem, w razie pomyślnego rozwijania się Towarzystwa, czyż nie można ogólniejszy oddział kultury chrześcijańskiej podzielić na kilka bardziej zawodowych wydziałów. Jeżeli Towarzystwo będzie mieć wielu członków i będzie dużo pracować, to kiedyś z konieczności taki podział przyjść musi. Będzie to nawet formacyą samą odpowiadało charakterowi akademij naukowych. I takiego rozwoju instytucyi tej z całego serca życzymy.

Uroczystość inauguracyjna wypadła z całą okazałością. Rano dnia tego odprawił Mszę św. na Wawelu protektor Towarzystwa, Książę Biskup Sapieha, on też zagaił uroczyste zebranie. Wyraziwszy żal, że stosunki wojenne uniemożliwiły odnieść się do Ojca świętego i otrzymać od niego błogosławieństwo apostolskie, przedstawił w krótkich, ale doniosłych słowach ideę nowego Towarzystwa, związaną bezpośrednio z wprowadzeniem w życie kodeksu nowego prawa kanonicznego. Złożył wkońcu życzenia na dalszą przyszłość z tem ciepłem i z tem wielkiem sercem, na jakie podobna idea zasługuje. Dalszy ciąg uroczystości wypełniły odczyty prof. Abrahama o nowym kodeksie prawa kanonicznego i profesora Sinki o liryce św. Grzegorza z Nazyanzu.

Wśród licznie zebranej publiczności zwracała się powszechna uwaga na inicyatora tej instytucyi, profesora Brzezińskiego, który przy niejednem już dziele katolickiem położył wybitne zasługi.

Ks. J. Pawelski.

Konkursy Akademii Umiejętności w Krakowie.

I. Akademia Umiejętności ogłasza konkurs im. Stanisława hr. Tarnowskiego na napisanie podręcznika historyi literatury polskiej.

Walne Zgromadzenie Członków Akademii na posiedzeniu dnia 9 lutego 1918 r. uchwaliło w celu uczczenia niespożytych zasług swego długoletniego Prezesa, Stanisława Tarnowskiego, na polu badań nad literaturą polską, ogłosić konkurs na napisanie podręcznika historyi literatury polskiej i ustanowiło następujące warunki konkursowe:

1) Dzieło ma obejmować co najmniej 40, a najwyżej 42 arkusze druku, formatu tego, co Rozprawy Wydziału historyczno-filozoficznego Akad. Umiej.

2) Nowy podręcznik ma być ściśle naukowy, z podaniem źródeł i głównych prac, na tem polu dokonanych, winien jednak być tak zredagowany, aby i szersze warstwy wykształconej publiczności mogły z niego korzystać. Materyał ma być uwzględniony po rok 1914.

3) Termin konkursu upływa 1 kwietnia 1921 roku. Gdyby ten termin upłynął bezskutecznie, przedłuża się go automatycznie do 1 kwietnia 1923 r.

4) Rękopisy mają być dostarczone zupełnie gotowe do druku (z wyjątkiem indeksu) i przepisane na maszynie.

5) Nagroda konkursowa wynosi 5000 K.

6) Akademia zastrzega sobie ogłoszenie nagrodzonego rękopisu w 3000 egzemplarzy, przyczem autor obok nagrody otrzyma jako honoraryum po 200 K od arkusza.

7) Dalszemi wydaniami rozporządza autor, bądź że je będzie ogłaszać na własną rękę, bądź że zawrze z Akademią nową umowę co do każdego z następnych wydań.

8) Przyznanie nagrody nastąpi przez Zarząd Akademii w porozumieniu z jej Wydziałem filozoficznym (Nr. Dz. p. 212/18).

II. Konkurs z zapisu ś. p. jenerała Oktawiusza Augustynowicza:

„Dzieje zniesienia zależności poddańczej i uwłaszczenia włościan w krajach, które niegdyś w skład byłej Rzeczypospolitej Polskiej wchodziły, poprzedzone historycznym poglądem na wytworzenie się klasy włościańskiej w dawnej Polsce, jej rozwój i stopniowy upadek, z uwzględnieniem wszelkich objawów tak w literaturze naszej, jak i w samem społeczeństwie, mających na celu polepszenie losu tej klasy".

Temat powyższy rozdziela się na następujących pięć części:

1) Dzieje ludności włościańskiej w dawnej Polsce Piastowskiej, mianowicie w Wielkopolsce, Małopolsce, na Mazowszu, Kujawach i na Śląsku;

2) Dzieje ludności włościańskiej na Rusi i Litwie;

3) Dzieje zniesienia zależności poddańczej w krajach byłej Rzeczypospolitej, przyłączonych do Cesarstwa rosyjskiego, z uwzględnieniem także Inflant i Kurlandyi;

4) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach, przyłączonych do Królestwa pruskiego, mianowicie w Prusach Królewskich i w W. Ks. Poznańskiem; wreszcie

5) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach, przyłączonych do Cesarstwa austryackiego.

W części czwartej i piątej należy uwzględnić także Śląsk, jako integralną część Polski Piastowskiej.

W części pierwszej i drugiej, obejmującej historyę ludności wieśniaczej w dawnej Polsce, winny być dokładnie wyjaśnione fakty, z których wywiązała się zależność poddańcza, oraz stosunek wieśniaka do gruntu przezeń posiadanego, jaki istniał pierwiastkowo. Literaturę, odnoszącą się do kwestyi rozwiązania i uregulowania stosunków włościańskich, należy uwzględnić w trzech ostatnich częściach.

Temat powyższy może być opracowany bądź w całości, bądź też każda część osobno. Jednolite opracowania bądź całego tematu, bądź też piewszych dwóch lub trzech ostatnich części razem, przedewszystkiem zaś pierwszych dwóch razem, będą miały pierwszeństwo do nagrody przed równie dobremi opracowaniami osobnemi pojedynczych części.

Za najlepsze opracowania uznane będą tylko takie, które nie tylko celować będą między innemi pracami nadesłanemi, ale nadto będą odpowiadały dzisiejszym wymaganiom nauki.

Nagrody ustanawia się, jak następuje:

a) za część 1 i 2-gą po 2.000 K;

b) za część 3-cią 3.200 K;

c) za część 4-tą 2.400 K;

d) za część 5-tą 2.800 K.

Nagrodzone opracowania winny być ogłoszone drukiem. Na ten cel przeznacza się fundusz 2.600 K; gdyby ten fundusz nie wystarczył na pokrycie kosztów druku, autorowie winni pokryć nadwyżkę ze swego, w stosunku do objętości swoich prac.

Opracowania należy nadsyłać do Akademii Umiejętności najdalej do 31-go grudnia 1919. (Nr. Dz. pod 60/10, 35/12, 61/13, 474/14, 210/16, 126/18).

III. Akademia Umiejętności przedłuża niniejszem konkurs im. Juliana Ursyna Niemcewicza na trzy następujące tematy:

1) „Historya ustroju Królestwa Kongresowego (1815—1830)".

Nagroda 2.500 K.

Termin: 31 grudnia 1919 roku.

2) „Historya obyczajów społeczeństwa szlacheckiego w Polsce w końcu XVI. i na początku XVII. wieku w obrębie obranego terytoryum (co najmniej województwa Rzeczypospolitej)".

Nagroda 2.500 K.

Termin: 31 grudnia 1919 roku.

3) „Monografia z dziejów Litwy albo Rusi w epoce aż do Unii Lubelskiej".

Nagroda wynosi 2.500 K.

Termin: 31 grudnia 1919 roku.

Nagrody mogą być podzielone na dwie, niekoniecznie równe części. (Nr. Dz. podaw. 2944/03, 120/08, 391/09, 63/10, 36/12, 65/13, 475/14, 211/16, 127/18).

IV. W celu uczczenia 60-letniego jubileuszu cesarza Franciszka Józefa Akademia Umiejętności w Krakowie rozpisuje niniejszem konkurs na napisanie „Historyi Galicyi w okresie lat 1848—1908".

Termin konkursu upływa dnia 31 grudnia 1919.

Nagroda wynosi 1200 K; objętość dzieła co najmniej 20 arkuszy druku.

Akademia Umiejętności zastrzega sobie prawo własności nagrodzonego rękopisu. Po wydrukowaniu autor otrzyma jako honoraryum — oprócz nagrody — dalsze 1.200 K.

Autor winien zwrócić przedewszystkiem uwagę na rozwój wewnętrznych stosunków Galicyi i wszechstronnie przedstawić wszystko, co w tym kierunku w czasie 60-letniego okresu do skutku przyszło.

Uczeni, zamierzający podjąć się tej pracy, mogą po bliższe informacye zgłaszać się do Sekretaryatu Generalnego Akademii. (Nr. Dz. p. 338/08, 37/12, 66/13, 476/14, 312/16, 128/18).

V. Akademia Umiejętności w Krakowie przedłuża niniejszem konkurs z fundacyi Ks. Adama Jakubowskiego na następujące dwa tematy:

1) „Historya ustroju Księstwa Warszawskiego".

2) „Monografia jednej z wybitnych osobistości polskich z epoki porozbiorowej".

Nagroda wynosi 1.400 K i może być podzielona na dwie niekoniecznie równe części.

Termin konkursu 31 grudnia 1919. (Nr. Dz. pod. 121/08, 392/09, 64/10, 38/12, 67/13, 477/14, 213/16, 129/18).

VI. Akademia Umiejętności w Krakowie przedłuża niniejszem konkurs im. Czerwińskiego na napisanie „Historyi sztuki w Polsce". Warunki konkursu są następujące:

1) Historya sztuki w Polsce ma uwzględnić wszystkie Ziemie dawnej Polski, łącznie z Litwą i Rusią.

2) Powinna objąć czas od przyjęcia chrześcijaństwa przez Polskę aż po koniec stylu empire.

3) Ma być syntezą dotychczasowych badań na tem polu; samodzielnych rezultatów się nie wymaga, są jednak pożądane.

4) Układ i rozmiary dzieła pozostawia się autorowi.

5) Fotografii ani rysunków autor nie jest obowiązany dołączyć do rękopisu.

6) Do konkursu dopuszczone mogą być prace zbiorowe, ewentualnie przez kilku autorów wykonane, jednakże jednolitej redakcyi.

7) Termin konkursu upływa dnia 31 grudnia 1919 roku.

Nagroda wynosi 3.000 K.

(Nr. Dz. pod. 2828/04, 119/08, 390/09, 558/10, 39/12, 68/13, 478/14, 214/16, 130/18).

VII. Akademia Umiejętności przedłuża niniejszem konkurs im. Mikołaja Kopernika na temat:

„Opracować stosunki klimatyczne jednej z większych dzielnic Ziem Polskich, albo porównać pod względem klimatycznym którąkolwiek z kolonij zamorskich, do których emigruje gromadnie ludność polska, z klimatem rodzimym".

Nagroda wynosi 1.200 K.

Termin konkursu 31 grudnia 1919. (Nr. Dz. pod. 398/07, 98/08, 410/09, 64/13, 479/14, 215/16, 203/18).

Autor pracy, uwieńczonej nagrodą, zatrzymuje jej własność. Gdyby jednak w przeciągu roku od wypłacenia mu nagrody pracy uwieńczonej drukiem nie ogłosił, natenczas uczynić to może sama Akademia, ale autor traci prawo własności swej pracy na rzecz Akademii.

Zarówno autor, jak i Akademia, składają po cztery egzemplarze wydrukowanej pracy Gminie m. Krakowa.

Anna z Bardzkich Karwatowa.

(40 lat działalności literackiej i społecznej).

Anna z Bardzkich Karwatowa jest dzieckiem Prus Królewskich. Tam żyła i działała dla dobra ludu od dziewczęcych lat. Urodzona 17 stycznia 1854, jako córka obywatela ziemskiego, Nikodema Bardzkiego i Anny z Łyskowskich, siostry znanego pisarza i posła z ziemi michałowskiej, kształciła się po śmierci ojca zrazu w Chełmnie, a gdy matka jej, wyszedłszy powtórnie za mąż za profesora gimnazyum chełmińskiego, dr. Franciszka Schrödera, także zasłużonego wielce po-

sła do sejmu i parlamentu berlińskiego z ziemi kaszubskiej, nabyła Kobusewo pod Gdańskiem, powróciła na wieś.

Czuła w sobie jakoby rodzinny obowiązek służenia swemu narodowi. Ale przedewszystkiem odczuwała swe zdolności i przyrodzone inklinacye, swoją głębię myślenia i bogactwo fantazyi. W charakterze zaś tych zdolności leżało przekonanie, że Bóg wkłada jej pióro do ręki, aby służyła społeczeństwu wedle Jego przykazań. To też tak pisma Karwatowej, jak działalność społeczna oparte są na wierze i na miłości ludu, wydanego na łup germanizacyjnych zapędów. Tego rodzaju praca była zasadniczą i właśnie dlatego w Prusiech Królewskich najpotrzebniejszą ze wszystkich. Jej wpływ nie uwidoczniał się w sposób pochwytny dla władz, ale tajnemi związkami duszy zlewał w zgodny akord z wpływami innych dusz rozumnych i ofiarnych tej dzielnicy i paraliżował zakusy, obmyślane chłodno w Kwidzynie, siedzibie regencyi i w Gdańsku, stolicy prowincyonalnej. Znakomite usługi, jakie Towarzystwa polskie, mimo przeszkód ze strony policyi, jakie wojownicze tamtejsze gazety ludowe i księża patryotyczni i tysiące cichych działaczy na niepublicznych stanowiskach oddają codzień społeczeństwu, wszystkie one pracują w trudzie dla prawa i prawdy przeciw przemocy. Ale udręka byłaby nie do zniesienia, gdyby nie było poety, który wyśpiewa pieśń skowronka nad ojczystym łanem i który przedstawi w miłej dla serca formie, czy teatralnej, czy powieściowej, obrazy tego życia trudnego, jego kolizyi, jego upodleń, oraz jego nadziei. To ostatnie zadanie pełniła Anna Karwatowa. A jak władze pruskie nie znalazły zasady prawnej, aby zakazać ludowi n. p. tańczyć, tak znosić musiały czytanie jej pism i odgrywanie jej sztuk teatralnych na scenie. Nie jest ona jedyną poetką w tej krainie, ale w każdym razie najbardziej zasłużoną. A co o wielkim Sienkiewiczu zewsząd podnoszono, że dawał narodowi swemu tylko pokarm zdrowy, to w mniejszym zakresie powiedzieć się godzi o znaczeniu i wpływie Anny z Bardzkich Karwatowej dla zachodnio-pruskiej dzielnicy.

Już w r. 1871, zatem licząc lat 17, założyła w Kobusewie ochronkę i zaniedbany przez władze lud uczyła sama przez 3 lata. Wyszła następnie za mąż za dr. obojga praw, Józefa Karwata z Wichulca pod Brodnicą, stolicą ziemi michałowskiej, więc przeniosła do Wichulca warsztat swojej pracy. A praca powiększała się tymczasem przez twórczość literacką. Czuła wstręt do publicznych balów i stosowny wiersz ulotny „Na balu“ posłała Agatonowi Gillerowi do Lwowa. „Widzę w Pani rzeczywisty talent“, pisał jej Giller, „który poznawszy, czego

mu brakuje, może w literaturze naszej zajaśnieć świetnie. Obdarzył Pan Bóg Panią niepospolitą zdolnością, myśli zaś, które Pani wyśpiewałaś, przekonują mnie o dobrych zasadach i wzniosłem pojmowaniu życia". I poprosił o współpracownictwo w „Ruchu literackim".

Tymczasem poszło za przykładem Anny Karwatowej w zakładaniu ochronek wiele panien zachodnio-pruskich. Zajęcie takie stało się powoli obowiązkowem dla córek ziemiańskich, które odebrawszy wykształcenie poza wpływami pruszczyzny, uczyły dzieci wiejskie i udzielały pokarmu duchowego młodzieży i dorosłym z ludu okolicznego. Gazetki ludowe nie były się jeszcze wówczas rozprzestrzeniły po kraju, krom jednego „Przyjaciela", którego wydawał genialny Ignacy Danielewski w Toruniu. Rząd pruski uczył czytać i pisać po niemiecku gwałtem, ale kierunki dusz brali jednakowoż Polacy w swe ręce. Tajemnicza przyczyna, dla której obecnie narzucać nie można pojęć społeczeństwu pod obcem berłem nawet w tak mistrzowsko zorganizowanem prawno-policyjnem państwie, jak Prusy, jest ta, że porozumienie dusz stokroć szybciej się odbywa, niż wpływy władz. Zanim — nie mówiąc już o machinie ustawodawczej — władze wyższe administracyjne wykombinują swe środki i rodzaj ich zaaplikowania, już naród uświadomiony zaopatrzony bywa w antidotum trucizny. Ona mu nie zaszkodzi, najwyżej ramy świeże wykreśli dla materyalnego życia. — Gdy Annusia Bardzka zakładała swą ochronkę, jeszcze nie pojawiły się zakazy uczenia prywatnego, grożące karami za naukę polskiego języka na zasadzie, że szkoła jest publici juris. Wówczas wolno było jeszcze powiatowemu inspektorowi szkolnemu, Niemcowi, ale katolikowi, wyrażać swe uwielbienie dla idealnej dziewicy i zagrać w dniu jej ślubu na organie w poklasztornym kościele w Kartuzach, złożyć nawet w dowód szacunku kosz róż u stopni ołtarza. Za podobną zbrodnię musiałby w kilka lat potem ustąpić ze stanowiska.

Szacunek publiczności dla Karwatowej, jako literatki, datuje się od ukazania się jej dramatu wierszem „Mieczysław I." w r. 1878 (Toruń, druk Buszczyńskiego). Była to nowość zdumiewająca. Któż bowiem w Prusiech Królewskich zdobyć się mógł w czasie żelaznych rządów Bismarcka na podobny utwór, więcej, któż wogóle w tym kraju nieszczęśliwym, o mieszanej ludności, która kilka razy zmieniała pana, pisywał wogóle dobrym polskim wierszem? Wuj Karwatowej, Ignacy Łyskowski z Wileszew i Ignacy Danielewski, „majster od „Przyjaciela", pisywali dobre wiersze, które się i w drugich dwóch zaborach niekiedy przyjmowały (pisywali przedewszystkiem poważne prace krytycznej,

politycznej i gospodarczej treści), ale poematu wielkiego i zgoła dramatu i z takim talentem, że zachwycony Agaton Giller pisał do autorki, „są w nim sceny, których nie powstydziłby się mistrz dramaturgii", — nie, takich poematów nie tworzył żaden zachodnioprusak ni wtenczas, ni potem. Jeden Hieronim Derdowski pisywał świetne powieści epiczne wierszem z talentem wielkim, ale ten pisał gwarą kaszubską. Przy tej sposobności wspomnieć się godzi, że Derdowski wziął zachętę do swej pisarskiej karyery także z Kobusewa, gdzie był nauczycielem domowym.

Teraz zwróciła się autorka do tematów społecznych. I w tem jej główna zasługa. „Pieniądz czy osoba"[1]), komedya w 3-ech aktach, stała się ulubioną sztuką amatorów tak w Prusiech Królewskich, jak w pobliskiem Królestwie. Sztuka „Na naszej glebie"[2]), w 2 aktach, ze śpiewami i tańcami, grywana tak samo przez amatorów z wielkiem powodzeniem i upodobaniem. Uwieńczoną została pierwszą nagrodą na konkursie toruńskim. Obie sztuki drgają życiem, intryga w nich zręcznie zawiązana, język ładny i niezwykle potoczysty. Prawdziwy talent, prawdziwe zrozumienie ludu, jego przekonań i potrzeb. W r. 1895 „Kachna", śliczny obrazek ludowy w 3 aktach druk. B. Milski w Gdańsku („Gazeta Gdańska", wyd. 2-gie u A. Cybulskiego w Poznaniu, muzyka Ogurkowskiego, 1908 r.). Rok 1899 przynosi nam doskonałą sztukę ludową w 5 aktach, z pieśniami i tańcami, „Na służbie" (nakład W. Simona, Poznań, 2-gie wyd. A. Cybulskiego, Poznań 1912 r., z partyturą fortepianową Ogurkowskiego). Treść tej sztuki bardzo na czasie, sceny efektowne, życie wieśniaków na cichej wsi, potem w środowisku miejskiem i w fabryce. Opracowany tu stosunek robotnika do chlebodawcy i odwrotnie. Wszędzie technika sumienna.

W r. 1902 powstaje dramat prozą „Pod błogosławieństwem matki" (B. Milski w Poznaniu). Tu chodziło autorce o przedstawienie ludowi, jak bolesne bywają starcia życiowe, gdy z jednej strony lekkomyślność, z drugiej wyzyskująca zbrodniczość ze sobą kolidują.

Tak samo w sztuce ludowej w 3 aktach „Stryj Agapit"

---

[1]) i [2]) druk Buszczyńskiego, 1880 od n. 1894.

[2]) Drugie wydanie „Na naszej glebie" u A. Cybulskiego w Poznaniu, z partyturą Ogurkowskiego, 1909 r.

(drugie wyd. u A. Cybulskiego w Poznaniu 1910 r.) drga nerw dramatyczny i tryska humor prawdziwy.

Ile te sztuki dramatyczne dobrego sprawiły, nie łatwo docenią recenzenci w dwóch drugich zaborach. Rząd pruski pozwala, aby Towarzystwa zachodnio-pruskie, ludowe, przemysłowe i rolnicze przedstawiały od czasu do czasu rzeczy dramatyczne, które przechodzą oczywiście poprzednio jego szanowną cenzurę. Utwory sceniczne, jakie ukazały się dotąd w Warszawie, Krakowie i Lwowie, nie podobają mu się zwykle i tylko niewiele z nich uzyskało tam prawo obywatelstwa. Ale teatr to szczęście, to eldorado ludu. Przedstawienia zachodnio-pruskich Towarzystw ściągają widzów z dalszych okolic i cieszą się frekwencyą tak obfitą, że zachodzi nieraz obawa, czy natłok zbytni nie da miejscowej policyi pożądanego tytułu do wzbronienia teatru w ostatniej chwili. Ale Karwatowa zna na wylot rząd, pod którym żyje, i potrafi zawsze szkopuły policyjne ominąć, a powiększyła powyższymi utworami znacznie repertuar tamtejszych Towarzystw. Dla nich przedstawienie dramatyczne z następującą „zabawą z tańcami", to tyle szczęścia i zasłużonego wytchnienia po pracy, jak dawniejszymi zwłaszcza czasy — okrężne czyli „dożynki" dla ludu folwarcznego.

Ale i głębokie problemy poruszała autorka w dramatach. O sztuce „K w i a t y i k o l c e" (druk Tomaszewskiego w Poznaniu 1901) pisze Piotr Chmielowski: „Obraz to sumienny, wymierzony przeciwko niedorzecznym, śmiesznym i zdrożnym przejawom emancypacyi, z uznaniem wszakże dla rzetelnych studyów naukowych podejmowanych przez kobiety. Niewłaściwe pokierowanie się panien z młodszego pokolenia przypisuje autorka głównie brakowi nadzoru wychowawczego, zwłaszcza ze strony matki".

Fabuła dramatu wierszem „P o ś r ó d s k a ł i j a r ó w" (w 5 aktach, Kraków, drukarnia Narodowa, 1906) włożona jest w czasy Bolesława Krzywoustego, gdy wśród skał i jarów posuwały się naprzód nasze dzieje piastowskie. Tło historyczne epoki uchwycone trafnie i charaktery silnie uwydatnione. Liryzm autorki wychodzi na korzyść malowniczości i efektowności w układzie scenicznym. Wiersz, jak zawsze, łatwy, język potoczysty, technika sumienna. Bohaterowie nie przemawiają językiem swego czasu, bo, jak słusznie tłumaczy autorka w uwagach wstępnych, Bolesław Krzywousty panował w pierwszej połowie 12-go wieku, a najstarszy pomnik literatury naszej „Boga Rodzico" znany nam jest z odpisu w r. 1409. Autorzy historyczni zaczer-

pnęli zwykle ze starych kronik wiązankę małą wyrazów, którymi stroją swe dzieła. Niedokładność, wynikająca z niemożebności.

Ale teraz, szanowny czytelniku, złóż głęboki ukłon autorce, bo mówić będę o wielkiem epos na tle społecznem, w mowie wiązanej, w 14 pieśniach, na tle faktów historycznych i stosunków współczesnych zaboru pruskiego, z okresu 1871—1891, jednem słowem o dziele epicznem: „J ó z e f S k a l i ń s k i“. Jest to i piękny i pożyteczny dokument walki straszliwej, jaką społeczeństwo zaboru pruskiego przechodziło w tym czasie. Dwa drugie zabory mogą mieć tylko niezupełnie jasne o przejściach tych pojęcie; tu można znaleść charakterystykę dokładną. Słusznie zauważył swego czasu „Dziennik Poznański“, że poemat ten mógłby mieć tytuł: „Pamiętaj, coś przeżył“. Tak, przesuwa się tu „życie obywatela wiejskiego, życie bolesne, wytrawiające duszę, naginające ją do bohaterskich czynów“. Jak zawsze, język łatwy i tak dobitny, że ustępy z poematu przytaczają niejednokrotnie mówcy na publicznych zebraniach tamtejszego zaboru, gdy chodzi o dosadną charakterystykę, ubraną w piękną formę.

I w powieściach swych ma autorka przeważnie warunki bytu swych braci pod panowaniem pruskiem na oku. Dla kogo losy nie są tam szczególnie łaskawe, o ile możności w spuściźnie z ojca na syna, ten jako Polak — z trudem przebijać się musi przez zapory, jakie mu złość milczkiem pod maską prawa na drodze życia stawia. W powieści „O chatę“ (nakład K. Miarki, Mikołów—Warszawa) widzimy życie trudne dwóch sierót, które przy pomocy Stwórcy wybijają się przez zaporę na wierzch.

„D w a ż y w i o ł y“ (B. Milski — Poznań 1902), to, jak pisze Piotr Chmielowski, „ważny utwór Karwatowej, osnuty na piekącej sprawie antagonizmu Niemców i Polaków w Prusach. Przedmiot nadzwyczaj wielkiej doniosłości, wymagający i dobrego znawstwa stosunków i bezstronności w ich ocenie“. Rok 1910 przynosi nam obszerną powieść „B r a t n i e d u s z e“ (Drukarnia Narodowa — Kraków), która w r. 1914 doczekała się także drugiego wydania. Chodzi o życie obywatelskie dwóch rodzin: jedno odpowiadające stosunkom i obowiązkom, drugie nieoględne. Kolizye odtworzone według bezpośredniej obserwacyi. Autorka udowadnia, że religia powinna być podstawą rodzin i społeczeństwa i że na niej polegać powinno wychowanie przyszłego pokolenia. Gdy to nastąpi, nie będzie niepotrzebnych i dotkliwych ciosów nieraz w rodzinie i społeczeństwie.

Wreszcie zarejestrować i uwydatnić należy powieść „C z a r n a

p o r t a“ (Druk. Narodowa, Kraków 1912, drugie wydanie tamże 1916), książkę o szeroko i głęboko nakreślonym temacie. Autorka nie ubiega się o laury modernistycznych kunsztmistrzów, jej droga ma cele uczciwe i jaśnieje głębokiem przekonaniem. A że dzieło napisane pięknie i interesująco, polecanem być winno najszerszym kołom młodych czytelniczek. Znajdą one tam rozumne wskazówki i zrozumieją, czego unikać, a czego szukać należy.

Oddawszy rodzinny Wichulec synowi (majątek od lat 200 w ręku Karwatów), osiedli pp. Józefostwo Karwatowie w Poznaniu. Tam uczęszczając do jedynego na zabór pruski polskiego teatru, lepiej jeszcze zrozumiała nasza autorka potrzebę umoralniających dzieł sztuki. Co wypełniało od dzieciństwa jej zacną duszę, co na widok prześladowań wybijało się dla niej na pierwszy plan jako warunek naszego męstwa i wytrwałości, t. j. siejba moralna i hart duszy, odczuła jeszcze potężniej w stolicy zaboru, gdy codziennie miała na widoku owe zasoby motywów i czynników, jakie w wielkiej części dzisiejszej literatury wpływają na młodzież. W r. 1912 wydaje więc „O d e z w ę d o A u t o r ó w, A u t o r e k i M i ł o ś n i k ó w s c e n y“, z żądaniem zwrotu pióra ku Bogu, cnocie i prawdziwemu pięknu („Praca“, w Poznaniu 1912). Odezwa poruszyła umysły i wywołała dużo artykułów poważnych w prasie. We wszystkich trzech zaborach zajęto się problemem. Wiemy, że nie jest to temat lubiany. A przecież i Adam Mickiewicz uważał za potrzebne stwierdzić w jednej z improwizacyi, że „dla poety jedna tylko droga, szukać prawdy i duszę podnosić do Boga“ i jakkolwiek nie pisał traktatów moralnych, przecież dawał także tylko pokarm etycznie zdrowy. Jak z jednej strony doznała Karwatowa z powodu swej odezwy dużo uznania, tak ze strony drugiej, przesiąkniętej prądem materyalistycznym, tyle jej narobiono przykrości, że będąc wrażliwą z natury i umęczoną trudami życia, rozchorowała się obłożnie.

Stara to prawda, że nikt bezkarnie ognia w sercu nie nosi. Akcyę swoją poparła wszakże artykułem w „Dzienniku Poznańskim“: „O c o p r o s i m y, c z e g o n a w e t m a m y p r a w o ż ą d a ć“. „Nie narzuca autorom tematów“, jak mylnie twierdzono, ale sądzi, że jeżeli autor chce tworzyć dzieła pożyteczne, „powinien przepuścić je przez pryzmat ideałów wyższych. Jeżeli to uczyni, może talentem swym zagłębić się w sutereny lub wnijść do sfer stojących u szczytów, może poruszać wszelką zgniliznę moralną, albowiem przedstawi ją tak, że czytelnika gorszyć nie będzie i nie ubliży godności człowieka“. I bro-

szurę osobną wydała Karwatowa w tej sprawie: „Jakie kobiety bohaterki daje nam obecny prąd umysłowy w powieści i sztuce dramatycznej i wpływ ich na społeczeństwo". („Praca", w Poznaniu r. 1912). Broszura ta treściwie napisana, zwracająca się do rodziców i opiekunów, przekonała jednakowoż znacznie szerokie koła.

Do argumentów rozumowych i etycznych dodała Karwatowa poezyę, pisząc tuż przed rozpoczęciem wojny „Królowę kwiatów", symfonię dramatyczną, rzecz prawdziwie piękną a rozumną, obfitującą w pomysły i poetyczne obrazowania, o języku ślicznym. Poświęciła ją „tym, którym przyszłość dalszych pokoleń leży na sercu". Szkoda, że wojna utrudniła rozpowszechnienie utworu, który bogaty w prawdy głębokie, wskazujące na źródła, z których czerpać mamy i musimy, by doczekać lepszej doli, ważną jest dla społeczeństwa. Szuka ono dzisiaj i rozprawia, jak urządzić szkołę polską dla dobra przyszłego pokolenia. Prawdy tej książki nawiązane są na złotą nić zajmującej fabuły, a wypowiadają je osoby, przybrane w symboliczną postać kwiatów. Każde zdanie można tu kłaść na wagę złota, bo prawda sięga głęboko w korzenie społeczeństwa, a ugrupowanie scen majestatyczne odpowiada majestatowi słów. Symfonia ta dramatyczna zaleca się do omawiania w czytelniach i do szczegółowego rozbioru na pogadankach literackich. Forma zewnętrzna i wewnętrzna poleca to dzieło także teatrom zawodowym i prywatnym przedsiębiorstwom amatorskim. Mimo utrudnień komunikacyjnych i zwrotu umysłów w inną stronę, doczekała się i ta książka Karwatowej drugiego wydania.

Pod wrażeniem straszliwej wojny powstaje w r. 1916 i 1917 cykl utworów poetycznych „Wojna". Rozpoczyna utwór wstępny „Bój". Wysoki polot poetycki obok dobitnego obrazowania rzeczywistej prawdy ze swą piekielną zgrozą, głębokie myśli i głębokie uczucia obok rozmaitości gładkiej formy.

Rok 1917 daje nam także nowelkę „Błogosławiona noc" („Dziennik Poznański"), a r. 1918 dwie dalsze nowelki „Sen Maryi" („Kuryer Poznański"), oraz (w „Dzienniku Narodowym" w Poznaniu) „Wieczór". Utwory te, a zwłaszcza dwa pierwsze, są to prawdziwe koronki poezyi, fantazyi i pięknego języka, chociaż pisane prozą. W r. 1917 umiera ojczym Karwatowej, którego otaczała przez tyle lat miłością. Cześć jej podzielało całe społeczeństwo zaboru pruskiego, więc autorka przedstawia społeczeństwu to życie bez skazy w broszurze „Św. p. Franciszek Schröder, profesor gimnazyum

Chełmińskiego, długoletni członek Izby poselskiej i obywatel ziemski" (Druk. „Dziennika Poznańskiego"). Życiorys dość obszerny odzwierciedla zarazem wiernie przeszłość z lat kilkudziesięciu. Tak, jak epos społeczne „Józef Skaliński" i powieść „Dwa żywioły" są odbiciem ogólnych, dotkliwych walk naszych narodowych i społecznych, tak ten życiorys stanowi przyczynek do historyi kultury Kaszub.

Na końcu rzecz niezwykła: „Nadzwyczajni goście", obrazek sceniczny, napisany na życzenie Wyższej Rady Konferencyi św. Wincentego a Paulo na rok jubileuszowy 1917. Treść głęboka i poważna, urozmaicona jest intrygą zręcznie nawiązaną, żywą rozmową ludową i efektownemi scenami i stąd jest barwna, a przy sumiennej budowie scenicznej łatwą do odegrania.

Plon literacki Karwatowej jest, jak widzimy, obfity, mianowicie gdy się zważy, że autorka dla strat materyalnych i moralnych (śmierć dwojga dzieci) zrobiła blisko dziesięcioletnią pauzę. Oczywiście nie wszystko, co wyszło z pod jej pióra, posiada równą wartość artystyczną, ale każda jej praca bez wyjątku jest piękną w formie, a góruje szlachetną tendencyą i jest na wskróś moralną. Dlatego polecić można śmiało wszystkie jej utwory rodzinom i czytelniom. Pisma Karwatowej nieocenioną wprost oddać mogą przysługę szerokim warstwom, potrzebującym oświaty i podpory moralnej. „Pamiętajmy wszyscy, autorzy i autorki, woła Karwatowa, że każdy z nas ma być nie tylko literatem, lecz i zacnym obywatelem o czujnem sumieniu, by społeczeństwu dawać zdrowe dyrektywy na przyszłość, bo ono na nas spoziera, jak na świeczniki, mające rozpraszać ciemności zagadek życiowych.

W r. 1912 założyła też autorka Towarzystwo imienia Piotra Skargi w Brodnicy, w Prusiech Zachodnich, dla dziewcząt i kobiet z miejskich sfer, w którem kształcą się przez lekcye i odczyty.

Błogosławiony to żywot, pełen pracy myślowej, wśród trudów gospodarczego żywota pani folwarcznej. I znalazła jeszcze czas do przygotowania swych dzieci do szkół i nie tylko swoich dzieci, ale także liczne gromko dzieci mężowskiej siostry, które wszystkie przytuliła w Wichulcu, sławnem w zaborze pruskim z biblijnej zacności. Wszędzie na świecie żywot takiej kobiety wywołuje głęboki szacunek, ale w tych Prusiech Królewskich, w których szaleje złość prześladow-

cza, złotemi literami wypisywać należy życiorysy podobnych wyjątkowych istot.

Pisma Karwatowej, drukowane dopiero w ostatnich latach także poza granicami zaboru pruskiego, mało były w Królestwie i w Galicyi znane. Tylko sztuki jej teatralne, zwykle trzyaktowe, poszukiwano wszędzie. Nawet Piotr Chmielowski, pisząc swoją historyę literatury polskiej, nie znał jeszcze utworów autorki. Gdy mu je nadesłała, napisał obszerny artykuł „Literatka z Prus Zachodnich", umieszczony w „Nowej Reformie" (1902, nr. 296), a w r. 1903 podał życiorys autorki swego pióra w „Wielkiej Encyklopedyi powszechnej".

Józef M. Palęcki.

XXI. Wystawa „Sztuki".

Znaczną, niezwykłą dotąd u Towarzystwa „Sztuka", reklamą poprzedzona jego XXI. wystawa w gmachu krakowskiego Tow. Sztuk pięknych srodze zawiodła oczekiwania ogółu. Obesłaną wprawdzie jest ona silnie — 250 eksponatów, — a więc znacznie silniej, niż poprzednie wystawy „Sztuki", jakościowo jednak pozostaje daleko w tyle za niemi. Niefortunny ten wynik rzeczonej wystawy należy przypisać — między innemi — temu, że nie wystawili na niej tacy członkowie Tow. „Sztuka", jak Malczewski, Fałat, Tetmajer, Wyczółkowski (figuruje w katalogu, ale na wystawie go niema), Boznańska, Mehoffer i wielu innych. Oprócz tego niektórzy z wybitniejszych artystów, biorących udział w wystawie, przysłali na nią tyle rzeczy mniejwartościowych, że obniżyli jej poziom.

Jakaś przeciętność i chwiejność, a przytem widoczna u bardzo wielu wystawców skłonność do hyperprodukcyi, cechują tę wystawę. Po najbardziej szczegółowem jej obejrzeniu odchodzi się bez jakiegokolwiek żywszego wrażenia, a właściwie z wrażeniem, że to wszystko już się gdzieś, kiedyś widziało.

Jedyną, miłą niespodzianką na obecnej wystawie jest dział plastyki, choć liczebnie bardzo skromny i nie zawierający w sobie rzeczy nadzwyczajnych.

Jako wyborny portrecista znanym jest L a s z c z k a od dawna. Wystawione teraz przezeń biusty portretowe podtrzymują tę opinię w całej pełni. Odznacza je szlachetne, prawdziwie po rzeźbiarsku pojęte wykonanie, z jakiem coraz rzadziej spotykamy się u rzeźbiarzy

doby obecnej, szukających w tak niefortunny sposób nowych dróg dla plastyki. Laszczka jest jedynym z pośród naszych rzeźbiarzy, który w świetny sposób kontynuuje tradycye niezapomnianego Guyskiego, jako portrecisty głów kobiecych, tak wdzięcznych, lecz zarazem i trudnych do oddania w rzeźbie. „Portret hr. Cz." (nr. kat. 86), „Portret ś. p. M. Ł." (nr. 90), „Główka zamyślonej" (nr. 91) — to dzieła naprawdę piękne w wyrazie i finezyi plastycznego ujęcia. Portrety męskie: „Piłsudzki" (nr. 95) i „Portret B. L." (nr. 92) nie ustępują podobiznom kobiecym pod względem wartości artystycznej, aczkolwiek widocznem jest, że te ostatnie wykonuje artysta z większem upodobaniem.

Wielce zbliżonym do Laszczki przez rodzaj swego talentu i przez pojmowanie zadań plastyki jest Pelczarski. Znamionuje go to samo, co u poprzedniego artysty, zamiłowanie poprawności formy, które jednak posuwa niekiedy tak daleko, że forma ta staje się trochę sztywną i suchą. Nieco więcej temperamentu i rozmachu nie zaszkodziłoby jego biustom, między którymi wyróżniają się: „Portret P. R." (nr. 136) i „Legionista" (nr. 137). Poważnie, silnie pomyślaną jest figurka „Robotnik" (nr. 138) i figurka „Wiosna" (nr. 141), posiadające wszelkie zalety sumiennego studyum akademickiego. Natomiast figurka, przedstawiająca „Dziewicę Orleańską" (nr. 140) chybiona jest w pomyśle i sztywna w wykonaniu.

Nieraz ocenia się najlepiej dzieła sztuki przez zestawienie ich między sobą. Cała n. p. wartość rzeźb, wyżej wymienionych, da się dopiero wtedy ocenić, jeżeli się je porówna z rzeźbami Puszeta, który zresztą zapowiadał się kiedyś jako wcale zdolny rzeźbiarz. Takie jego rzeźby, jak „Figelinda" (nr. 145), lub „Jelinka" (nr. 148), albo też „Szachy" (nr. 149) mogłyby stanowić ozdobę owej sławetnej „wystawy ekspressyonistów" i mierzyć się nawet z dziełami pp. Pronaszków, ale nie są na miejscu na wystawie, urządzonej i obesłanej przeważnie przez ludzi, obdarzonych pewnym zdrowym sensem artystycznym. Tę tylko korzyść może odnieść szeroki ogół z ich oglądania, że dowie się, do jakich aberacyj prowadzi w sztuce szukanie nowych dróg przez cofanie się wstecz ku formom niby archaicznej prostoty.

W dziale plastyki także Weiss zaprodukował swe prace. Nie wskazują one bynajmniej na to, aby ich autor mógł kiedykolwiek osiągnąć te nawet rezultaty, jako rzeźbiarz, które osiągnął w malarstwie. Pomnożenie liczby tuzinkowych rzeźbiarzy zasługą dla polskiej sztuki

nie jest — oddałby więc ten malarz prawdziwą przysługę rzeźbie polskiej, gdyby nią wcale się nie zajmował.

Z pośród dzieł malarskich na XXI-ej wystawie „Sztuki“ wybijają się naprzód prace Hofmanna i to nie dlatego, że „między ślepymi jednooki bywa królem“, ale przez to, że posiadają rzeczywistą wartość. Na Hofmanna można, czasem nawet trzeba, gniewać się, bo, wyrobiwszy sobie właściwą, ujmującą manierę w malowaniu, obraca się w błędnem kole koncepcyi malarskiej. Tego jednak nikt mu nie odmówi, że z każdej jego pracy, choćby i takiej, która z wielu względów zasługuje na surową ocenę, przebija artyzm. Jest to ów błysk genialności, jaki uderzyć nas może i w nieuczonej piosence muzykalnej wieśniaczki i w śpiewie primadonny operowej, i w figurce, wykonanej kozikiem przez utalentowanego wioskowego samouka, i w posągu, który wyszedł z pod dłóta znakomitego rzeźbiarza. Takie bezwiedne, samorzutne błyski genialności dają się spostrzegać prawie we wszystkich dziełach Hofmanna i to skarbi im sympatyę widza. Właściwa temu artyście — czasem trochę sztuczna — naiwność potęguje tę sympatyę, a zarazem rozbraja krytyka w widzu. Wszystkie te zalety obok zwykłych usterek — niedbały rysunek, koloryt miejscami szarobrudny — dają się także spostrzegać w obecnie wystawionej „Pieśni pożegnalnej“ (nr. 66) i „Modlitwie wędrowca“ (nr. 67). Pierwsza z tych kompozycyj jest przemiłym obrazkiem, przedstawiającym dwóch młodych faunów i trzech amorków, którzy sprawiają małemu zajączkowi pogrzeb i śpiewają mu przy tem pieśń pożegnalną. Jakiś wdzięk naiwnej, lecz poetycznej baśni wieje z tego obrazka, który śmieszy i roztkliwia zarazem. O kilka tonów wyżej nastrojony jest sentyment drugiej z wymienionych kompozycyj, gdzie postać zatopionego w żarliwej modlitwie wędrowca ma dużo wyrazu. Hofmann lubuje się przedewszystkiem w dwóch typach: biednych dzieci i starców-nędzarzy. I chociaż traktuje te typy bardzo realistycznie, to jednak umie zachować miarę, tak, że nie budzą one wstrętu, lecz współczucie. Ta miara jest dowodem, że artysta wie, jakimi środkami należy zamierzone cele malarskie osiągać.

Weiss wystawił, oprócz wyżej wspomnianych niefortunnych rzeźb, 56 prac, wykonanych olejno i akwarellą, w czem mieszczą się portrety, studya aktów kobiecych, kompozycye rodzajowe i fantastyczne, oraz krajobrazy. Zbiorowy portret p. t. „Rodzina“ (nr. 185) jest typowym okazem maniery malarskiej Weissa. Polega zaś ta maniera na realistycznem, objektywnem obrabianiu tematu, ale w sposób tak

mało zajmujący, że wrażenie, jakie czyni powyższy portret zbiorowy, podobnem jest do uczucia, ogarniającego czytelnika po przeczytaniu nudnej, choć bardzo realistycznej powieści. Żywszy cokolwiek interes wzbudza „Portret Eksc. J." (nr. 187), choć i w nim pozostał artysta wiernym swej zasadzie — pomijania w modelu wszystkiego, co czyniłoby go sympatycznym, a silnego akcentowania jego stron negatywnych. Akty kobiece nie przedstawiają także nic ciekawego już z tego powodu, że modelka, którą posługuje się artysta, jest na urząd brzydko zbudowana, ma ręce za krótkie, nogi nieproporcyonalnie wielkie i grube, kolor ciała taki, jak gdyby co dopiero wyszła z kąpieli, nagrzanej ponad 30° Celsiusza, a rysy twarzy pospolite. Przekonać się można o tem wszystkiem na „Gracyach" (nr. 191), które to nieubrane damy na każdy inny, ale nie na ten tytuł zasługują. Pomyślane a la Böcklin „Centaury" (nr. 192) są wcale dobrze wykonane; dużo na tem płótnie powietrza i ruchu. Nastrojowy widok nocny „Złodzieje" (nr. 193) i również nastrojowy widok o zmroku, zatytułowany „Floryańska żałobna" (nr. 194), obliczone są na gruby, mający nerwami widza wstrząsać efekt, w rodzaju sensacyjnych dramatów z kina. Ponieważ jednak rozmaite są na świecie upodobania, mogą przeto znaleść się i tacy, którym przypadną do smaku te obrazki. Są one pod względem wykonania bardzo słabe. W „Złodziejach" n. p. przy tak obfitem oświetleniu lampami elektrycznemi nie mogłyby być cienie tak silne; samo zaś oświetlenie barwą nie przypomina światła łukowych lamp elektrycznych. Postacie znów uciekających złoczyńców przywodzą na myśl rysunki z „Fliegende Blätter". Na drugim obrazku nikt by się nie domyślił, gdyby nie podpis, w obwieszonej brudnemi, nie czarnemi, szmatami na drągach i źle pod względem perspektywicznym narysowanej ulicy, że to ma być ulica Floryańska. Stosunkowo najlepiej przedstawił się Weiss jako pejzażysta, szczególniej jako malarz widoków słonecznych, do których należą, między innymi, bardzo udatne, ciepłe w tonie i silne w barwach: „Pustelnia" (nr. 200), „Południe" (nr. 206), „Słonecznik" (nr. 208).

Dwa przeciętnie dobre portrety osób starszych (nr. 8 i 9) nadesłał Axentowicz i oprócz nich „Portret hr. Sch." (nr. 7), który czyni wrażenie nie portretu, lecz studyum, należącego do tego kolosalnego zbioru główek kobiecych, który wedle tego samego szablonu namalował olejno i wyrysował pastelami. Że jednak ten, zresztą bardzo zdolny malarz, potrafi zdobyć się na coś oryginalnego, nietuzinkowatego, skoro się wyrwie z szablonu, pokazuje się na dwóch paste-

lach, przedstawiających dwie półfigury, naturalnej wielkości, wieśniaczek (nr. 10 i bez numeru). Ta nierównomierność produkcyi Axentowicza, na którą już nieraz zwracałem uwagę, sprawia, że pomimo trzydziestu kilku lat działalności nie zdobył sobie wybitniejszego miejsca wśród polskiej rzeszy malarskiej — jego prace zapowiadają zawsze więcej, niż dają w rzeczywistości.

Artyści tej miary, co Sichulski, czynią roztropnie, gdy, bacząc na swą ugruntowaną już, zasłużoną opinię, nie biorą udziału w jakiejś wystawie, skoro nie mają nic naprawdę dobrego do wystawienia. Ale Sichulski o tem zapomniał i obesłał obecną wystawę takimi drobiazgami, że liczni wielbiciele jego talentu muszą się za niego sromać. Miejmy jednak nadzieję, że niebawem powetuje to na najbliższej jakiejś wystawie. Najtęższemu wodzowi zdarzyć się może, iż przegra bitwę, ale nie wyklucza to następnego walnego zwycięstwa.

Ogromne, niespodziewane postępy poczynił Markowicz, którego „Żyd modlący się w bożnicy“ (bez numeru) jest doskonale rysowanem i malowanem studyum charakterystycznem. Artysta w tem studyum pozbył się — czego można mu pogratulować — owego wstrętnego, a nic wspólnego z prawdą nie mającego szafirowo-zielonkawego tonu, w jakim trzymał dotąd wszystkie swe malatury, bez względu na ich treść i oświetlenie. Wiele delikatnego zmysłu spostrzegawczego, w połączeniu ze zgrabnem wykonaniem, daje się widzieć na dwóch pastelach tegoż artysty: „Modlitwa poobiednia“ (nr. 105) i „Starcy“ (nr. 106).

Na obecnej wystawie „Sztuki“, podobnie jak teraz na wszystkich wystawach, góruje liczebnie krajobraz. W tym dziale jednym z najpiękniejszych okazów jest Terleckiego krajobraz zimowy, zatytułowany „O zachodzie“ (nr. 180). Wobec tylu widoków zimowych, malowanych u nas przez tylu artystów z prawdziwą maestryą, niemałą jest zasługą u młodego malarza zdobyć się na coś oryginalnego, nieprzypominającego niczyjej maniery. Efekt gasnącego słońca na tym pejzażu jest wspaniały.

Filipkiewicz wystawił krajobrazy, studya krajobrazowe, oraz studya kwiatów w liczbie 43-ech sztuk. Pod tym względem tylko Weiss go przewyższa. Ilość to poważna, ale zdaje się, że byłoby dla dobrej renomy artysty korzystniejszem, gdyby, co najmniej, połowa tych prac pozostała była w pracowni. Nicby na tem nie straciły te prace, które zasługiwały na wystawienie. Najlepiej, z widocznem umiłowaniem obrobionym tematem przez artystę jest „Wczesna wiosna“

(nr. 20, 21). Potem idą wdzięczne w barwach „Kwitnące bzy i kasztany" (nr. 32) i „Kwitnące jabłonie" (nr. 40), „Mgły w Tatrach" (nr. 23) należą do udatniejszych górskich krajobrazów tego artysty. Wiele prawdy mają: „Śnieg" (nr. 25) i „Potok" (nr. 26), przypominające sposób malowania Ruszczyca. Niebrzydkie są także kwiaty, malowane dość silnie w kolorze. Chybioną zaś jest zupełnie „Tęcza" (nr. 38), bo niczem nie przypomina tego najbarwniejszego ze zjawisk atmosferycznych.

Nasze polskie motywy sielskie znalazły w Neumannie utalentowanego odtwórcę. „Wiosenne słońce" (nr. 116), „Wieś przed zachodem" (nr. 107), „Marzec" (nr. 109), „Dworek w Jurczycach" (nr. 112), „Obłoki wiosenne" (nr. 117) i t. d. są takie ładne, takie swojskie, takie miłe, że trudno od nich oko oderwać. Malowane są one wprawną ręką, z dużem odczuciem barwy i tonu, tak zmiennych w przyrodzie naszego kraju, o rozmaitych porach dnia i roku. Krótko mówiąc, ich autor jest tęgim malarzem i, co godne uwagi, kochającym polską ziemię, mimo, że jest innoplemieńcem z pochodzenia. Gdyby bowiem nie czuł do tej ziemi głębokiego przywiązania, nie byłby w możności tak prawdziwie odtworzyć jej piękna.

Oglądane z daleka krajobrazy Kamockiego czynią na pierwszy rzut oka wrażenie lepsze, niż to, jakie się odbiera, przypatrzywszy się im bliżej i dokładniej. Grzeszą one głównie niesharmonizowaniem barw i wynikającym stąd niepokojem kolorytu, który nie daje wcale złudzenia przestrzeni powietrznej. Szczegóły każdego krajobrazu, wzięte same dla siebie, są dobre, ale nie wiążą się w całości. Wydaje się także, jak gdyby artysta nie posiadał na swej palecie półtonów. Przez to barwy wszystkie wychodzą surowo, nie łączą się łagodnie jedna z drugą, jak to w rzeczywistości ma miejsce. Widoki tatrzańskie (nr. 75, 76, 77) przedstawiają się względnie najsympatyczniej, a to zapewne dlatego, że dzika przyroda gór naszych najwięcej godzi się ze sposobem malowania artysty.

Uziembło wystawił cztery bardzo zręcznie malowane akwarelle, z których najlepszą jest akwarella z widokiem na „Wawelu o zmroku" (nr. 184). Interesującemi są także „Planty w jesieni" (nr. 183).

Śledząc od dłuższego czasu rozwój zapowiadającego się niepospolicie talentu Stryjeńskiej, odnoszę wrażenie, iż rozwój ten stanął chwilowo na mártwym punkcie — rzeczą więc zdolnej artystki jest popchnąć go dalej. Jeden raz i drugi można przyjąć z pobłażaniem u malarza pewne „wybryki" artystyczne, lecz *a la longue*

sprzykrzą się one największym nawet jego zwolennikom. Jeżeli więc Stryjeńska pozwoliła sobie, coś pół roku temu, wymalować seryę widoczków z Kalwaryi, z niebem koloru farbki do bielizny i szpinakowej barwy zielenią, to jeszcze nie racya, żeby teraz w ten sam sposób przyprawiała widoki tatrzańskie (nr. 173—179). Artystka powinnaby trochę okiełznać swój temperament, patrzeć szczerzej, poważniej na naturę, zastanawiać się nad tem, co robi i jakich ku temu używa środków. Inaczej — zachodzi obawa, że pomnoży dość i tak liczny zastęp malarek, które zrazu zabłysły, niby lampa łukowa, a pogasły, jak pospolita świeczka. Byłaby to szkoda niepowetowana, bo grzechem jest nie do darowania rzeczywisty talent marnować.

Znakomitym grafikom Skoczylasa (nr. 159—165) należałby się osobny artykuł. Gdy jednak dla braku miejsca nie mogę o nich obszernie zdać sprawy — co zastrzegam sobie uczynić przy najbliższej nadarzonej sposobności — zaznaczam jedynie, że są one godnem ze wszech miar uwagi dziełem genialnego, a tak mało uznanego artysty.

ka.

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *Ks. J. Pawelski T. J.*

DRUKARNIA EUGENIUSZA I DRA KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.

Wobec nowego zamachu na Polskę[1].

W duszach polskich smutek, gorycz, oburzenie; ale to nie poraz pierwszy. Podział Polski, napiętnowany przez sąd historyi, jako wielka zbrodnia i wielki błąd, sprowadził cały potop klęsk i udręczeń na naród nasz we wszystkich trzech zaborach. W Galicyi okuto zaraz w kajdany Kościół katolicki i ducha narodowego, a pod względem ekonomicznym obchodzono się z nią przez długi czas po macoszemu. Dopiero w erze konstytucyjnej szlachetny cesarz Franciszek Józef I. przyznał nam należne prawa i swobody, za co odwdzięczyliśmy się przywiązaniem do jego osoby i popieraniem interesów państwa.

Podczas tej wojny Polacy nietylko byli dalekimi od wszelakiej zdrady, ale zdobyli się na wielkie ofiary, których szczytem były nasze legiony, przelewające krew swoją tak za Polskę, jak za monarchię. Przylgnął też nasz naród do następcy Franciszka Józefa, a nawet w poważnych kołach polskich omawiano projekt powołania go na podstawie unii personalnej i dynastycznej na tron przyszłego królestwa, rozumie się niepodległego i zjednoczonego, jakoteż złączenia ścisłym sojuszem tegoż królestwa z monarchią austro-węgierską, spodziewając się ztąd wzmocnienia nietylko Polski i katolicyzmu, ale także monarchii austro-węgierskiej; co

[1] Mowa na wiecu narodowym.

wszystko za wiedzą i poparciem jej rządu się działo.

a dane nam obietnice, głoszone szumnie hasła o poszanowaniu praw narodowych i same manifesty monarsze okazały się tem, czem jest fata morgana na puszczy, to jest, złudzeniem. I jakże tu nie boleć, jak się nie oburzać!

Układ brzeski, zawarty z republiką, będącą jeszcze w okresie chaosu i rządzącą się teoryami komunizmu, jest nietylko haniebnem pogwałceniem prawa narodów i traktatu wiedeńskiego, nietylko strasznym ciosem, wymierzonym w serce narodu, ale wołającą o pomstę do nieba krzywdą, wyrządzoną mieszkańcom ziemi chełmskiej i podlaskiej. Większość ludności tych ziem, jeszcze w wieku XIV. względnie XVI. złączonych z Polską, stanowią Polacy; obok nich mieszkają Rusini, którzy po Unii brzesko-litewskiej wrócili do Kościoła, podczas gdy prawosławnych jest obecnie bardzo mało. Unici ukochali swój obrządek, ale ukochali także Polskę, jako swoją Ojczyznę, i żyli w świętej zgodzie z łacinnikami, od których niektóre zwyczaje religijne przyjęli; tak naprzykład w wielu cerkwiach mieli organy i śpiewali pieśni pobożne po polsku. Oburzał się na to prawosławny rząd rosyjski; to też po zagładzie Unii na Białej Rusi postanowił zniszczyć jej resztki w dyecezyi chełmskiej.

W tej niecnej robocie pomogli mu księża ruscy z Galicyi, istni Judasze, którzy za ruble i chresty wyrzekli się wiary i stali się katami dla nieszczęśliwego ludu; hersztem zaś ich był X. Marceli Popiel, człowiek przewrotny i rozpustny, sprowadzony ze Lwowa. On to wraz z rządem usunął najprzód wiernych religii katolickiej pasterzy, tak, że 70 z nich, wraz z rodzinami, musiało się schronić do Galicyi; ale tu odtrąceni przez duchowieństwo świętojurskie, byliby umarli z głodu, gdyby nie pomoc użyczona im przez biskupów łacińskich, przez społeczeństwo polskie, przez sejm galicyjski, przez namiestnika hr. Gołuchowskiego i przez Ojca św. Piusa IX. Cześć tym wielkodusznym wyznawcom!

Kiedy Popiel wydał edykt, aby od 1. stycznia 1874. we wszystkich cerkwiach odprawiano nabożeństwa na modłę schizmatycką, lud się temu oparł i nie wpuścił księży-intruzów do cer-

kwi; ale zaraz sprowadzono nań kozaków i piechotę, od cara zaś Aleksandra II. wyszedł rozkaz: *pierebit wsiech* — wszystkich upornych wymordować. Wówczas przyszło do krwawych scen w Drelowie i Pratulinie, gdzie unici padali pod gradem kul, klęcząc przed cerkwiami i śpiewając pieśń „Święty Boże". Cześć tym Męczennikom dziewiętnastego wieku!

Gdzieindziej katowano ich, nawet kobiety, aż do krwi i śmierci, ogołacano z żywności i odzieży, gnano w lasy wśród trzaskącego mrozu, — co słabszych na duchu doprowadzało do rozpaczy, tak że jeden z nich, gospodarz wioski Kłoda, nazwiskiem Józef Koniuszewski, zamknął się z żoną i dziećmi w stodole, a potem stodołę zapalił i zginął w płomieniach, śpiewając do ostatniej chwili pieśni pobożne.

Haniebnego środka użyto w Łomazach. Oto spędzono tam osobno mężczyzn, a osobno kobiety i dziewczęta, które zamknięto w ujeżdżalni, poczem naczelnicy zażądali od mężczyzn deklaracyi na piśmie, że będą chodzić na nabożeństwa prawosławne; odebrawszy zaś odpowiedź odmowną, krzyknęli: „Hej kozaki, marsz do rajtszuli i *dielajte z żenszczynami czto chotite*". Kozacy wpadli tam, jak wilki drapieżne, a mężczyźni posłyszawszy rozpaczliwe krzyki swoich żon i córek, poddali się.

Kiedy najodważniejszych pomordowano, albo uwięziono lub wygnano w głąb Rosyi, pozostali ulegli pozornie, ale w duszy zostali katolikami, a stroniąc od księży-apostatów, przedzierali się do Galicyi, by tu w kościołach łacińskich dać chrzcić swe dzieci, to znowu zbierali się nocami w lasach; a któż dla nich pełnił posługi duchowne? Oto księża polscy, zwłaszcza OO. Jezuici, którzy z narażeniem życia przedzierali się do owych katakumb podlaskich, by nieszczęśliwym administrować Sakramenta św., a nad ranem odprawiać dla nich Mszę św.

Po ogłoszeniu w r. 1905. edyktu tolerancyjnego przez cara Mikołaja II, dawni unici — w liczbie 230.000 — mimo przeszkód ze strony rządu ogłosili się katolikami, ale według obrządku łacińskiego, bo już nie dowierzali Unii, której kapłani ich zdradzili. Otóż dzieci i wnuków onych męczenników i wyznawców wydaje teraz traktat brzeski na pastwę kozakom Ukrainy, — tym koza-

kom, których ojcowie w latach 1874 i 1875 tak okrutnie mordowali unitów, — tym kozakom, których rada zapowiedziała już zabór ziemi większych właścicieli i patrzyła obojętnie, jak żołdacy z chłopstwem prawosławnem niszczyli dwory polskie, — tym kozakom, którzy należąc do prawosławia lub do sekt rosyjskich, zamiast religii i sumienia mają dziki fanatyzm, zamęczeniem tylu kapłanów katolickich, a między nimi także błog. Andrzeja Boboli, stwierdzony, tak, że zachodzi uzasadniona obawa, aby Rusini-katolicy nie byli narażeni na nowe prześladowania.

Że taki układ zawarło mocarstwo przeważnie protestanckie, nic w tem dziwnego, bo ono zawsze Kościołowi i Polsce było wrogiem, a i dziś trzyma się tej dewizy: „Jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem"; ale, że na zgnębienie katolików zgodził się rząd monarchii niby katolickiej, pojąć zaiste trudno. — I cóż do tego dało powód? Czy tylko nadzieja otrzymania zboża ukraińskiego, — a więc naśladowanie niemądrego Ezawa? Nie —

Czy to jej wyjdzie na chwałę
i dobro?

Nie liczono się z tem, że układ brzeski pod względem etycznym jest potępienia godnem bezprawiem, a ze stanowiska polityki wielkim błędem, który fatalne będzie miał skutki, bo nietylko osłabienie zaufania do monarchicznej formy rządu, a ułatwienie propagandy rewolucyi, nietylko wykopanie g ł ę b o k i e j p r z e p a ś c i między mocarstwami centralnemi a Polską, na czem monarcia austro-węgierska najwięcej ucierpi, — ale także zmuszenie Polaków w tej monarchii do najostrzejszej opozycyi i zahamowanie wozu państwowego, który i tak bardzo często grzęźnie w błocie, — w przyszłości zaś wywołanie nowej wojny!

Dla Polaków zgotował ten układ wielką, bo niespodziewaną boleść i troskę, ale z drugiej strony rozżarzył w ich duszach patryotyzm do niewidzianego dotąd stopnia, tak że wszyscy bez różnicy stanu i ziemi, w której mieszkają, stanęli jak jeden mąż w obronie ukochanej Matki-Ojczyzny,

Baczyć atoli po-

trzeba, aby nie ograniczyć się do chwilowych demonstracyi, podobnych do słomianego ognia, i popaść znowu w zgubną apatyę, — ani też porywać się do gwałtów i rozruchów, któreby mogły wywołać rozlew krwi, albo inne klęski na społeczeństwo polskie sprowadzić. Na te czasy dał nam miłościwy nasz opiekun Pius IX. w przemowie do pielgrzymki polskiej z r. 1877. taką przestrogę: „Synowie moi, w prześladowaniu wam więcej niż komukolwiek trzech cnót potrzeba — cierpliwości, stałości i odwagi"; a dziś dodać wypada: „i pracy wytrwałej", by wzmacniać siły narodu, do czego i ty, młodzieży polska, przez nabywanie nauki, cnoty i hartu dążyć powinnaś.

Nadto boleść nam zadana dokonała cudu, bo przerwała szkodliwą walkę stronnictw polskich i skupiła wszystkich u stóp tejże Matki-Ojczyzny. Oby tylko to skupienie było trwałe i trzymało się odwiecznej zasady: W sprawach koniecznych jedność, a we wszystkich miłość; do koniecznych zaś zaliczam niewzruszoną wierność dla zasad i obowiązków religii katolickiej, która nigdy nas nie opuści i nie zdradzi, jakoteż czystą i ofiarną miłość Ojczyzny.

Ponieważ dziś cały naród polski zakłada protest, przeto i ja imieniem własnem, mojego duchowieństwa i całej mojej owczarni protestuję przeciw czwartemu podziałowi Polski i zamierzonym może jeszcze zamachom, a także przeciw ewentualnemu rozdarciu Galicyi. My chcemy szanować słuszne prawa innych narodów i żyć z sąsiadami w zgodzie, ale zarazem bronić będziemy wszystkimi środkami godziwymi praw naszych i nie pozwolimy wyrządzić Matce-Ojczyźnie zniewagi lub krzywdy.

Na wypadek, że wspólny nasz protest nie skłoni rządu austryackiego do opuszczenia fałszywych torów, wiodących do wykolejenia się, apelujemy do sumienia wszystkich ludów monarchii, by nie zatwierdziły krzywdzącego nas układu.

Apelujemy do Ojca św., jako najwyższego na ziemi stróża moralności, a najtroskliwszego obrońcy uciśnionych i pokrzywdzonych. Ape-

lujemy do Trybunału Najwyższego Sędziego wszystkich ludzi i narodów, w tej silnej nadziei, że jeżeli sprawiedliwość Boża chwilowo nas chłoszcze, bośmy zgrzeszyli jako i ojcowie nasi, miłosierdzie Boże prędzej czy później nas wybawi. Ufność nasza nie w mocarstwach centralnych, ani w koalicyi, ale w słuszności naszej sprawy, w naszych cnotach, w naszych pracach, i w pomocy Bożej!

Toż zamiast poddawać się zwątpieniu, łączmy niezachwiane męstwo i zbożną pracę z modlitwą korną, uciekając się do zmiłowania Boskiego Serca Jezusowego, do opieki Najświętszej Panny Królowej Korony Polskiej i do orędownictwa świętych naszych Patronów.

Kiedy Bohdan Chmielnicki z Kozakami i Tatarami stanął pod Beresteczkiem, idąc na Warszawę, król Jan Kazimierz sprowadził z Chełmu obraz N. Maryi Panny łaskami słynący, i długo w nocy przed nim się modlił; a nazajutrz świetne odniósł zwycięstwo, tak że Chmielnicki musiał uciekać na Ukrainę. Cztery lata później Szwedzi zdobyli Kraków, i zdawało się wówczas, że wszystko przepadło; ale X. Szymon Starowolski nie upadł na duchu i butnemu królowi Karolowi Gustawowi, marzącemu już o koronie polskiej, śmiało powiedział: *Deus mirabilis, fortuna variabilis* (Bóg cudowny, a szczęście zmienne). Rzeczywiście dwa miesiące później ukazała się tam na Jasnej Górze, snadź za przyczyną Najświętszej Panny, widoczna pomoc Boża; ukaże się ona i teraz, a więc *sursum corda*, do góry serca!

Biskup Józef Sebastyan Pelczar.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

Wobec nowego zamachu na polskę. (Mowa na wiecu narodowym). Przez *J. E. Ks. Biskupa J. S. Pelczara*. 1*

Nowy rok. Przez *Ks. Tadeusza Karyłowskiego T. J.* 1

Sfinks rosyjski. Przez *Dr. Feliksa Konecznego*. . 5

De consolatione historiae. Przez *Oskara Halleckiego*. 20

Nowe prawo kościelne a dawne. Przez *X. J. Rotha T. J.* 33

Najmilszy uczeń. Przez *Maryę Czeską*. 49

Wojenne czasy muzyki. Przez *Prof. Dr. Adolfa Chybińskiego* 63

Wrażenia z kampanii rzymskiej. Przez *X. M. Skibniewskiego T. J.* 69, 210

Przyczyny upadku polski w świetle naszej najnowszej historyografii. Przez *Dr. Władysława Bogatyńskiego*. 84

W obozach jeńców-polaków. Przez *Ks. J. Pawelskiego T. J.* 95

Do redakcyi dziennika „Reichspost". Przez *J. E. Ks. Arcybiskupa A. Symona*. 1*

Stronnictwo katolickie w nowej polsce. Przez *Ks. J. Pawelskiego T. J.* 5*

Strona

Spór o chełmskich wyznawców. Przez *X. Jana Urbana T. J.* 139

Zarys urządzenia administracyi w polsce. Przez *Prof. Dr. Kaz. Kumanieckiego* 151, 324

Trzechsetny jubileusz zorganizowanego miłosierdzia. Przez *Ludwikę Chłapowską* . . . 167

Twórczość teatralna wyspiańskiego. Przez *Dr. Tad. Sinkę.* 173, 317

Z wojny. Przez *Krystynę Saryusz Zaleską* . . . 188

Od wrót śmierci. Przez *Maryę Czeską* 192

Dąbrowski. Przez *Ks. Tadeusza Karyłowskiego T. J.* 273

O prawa obywatelskie dla kobiet. Przez *Ks. Jana Urbana T. J.* 276

Pamięci lucyana rydla. Przez *Ks. J. Pawelskiego T. J.* 295

Testament lucyana rydla. 301

Modlitwa lucyana rydla przy codziennej komunii świętej. 302

Georgi rakowski. Przez *Prof. M. Arnaudowa.* . 306

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Jacek Mijakowski X. Dr. W. Kosiński. *(X. Jougan).* 101

Walka o język. Brückner Al. (*X. Nikodem Cieszyński*). 105

Patryotyzm. X. J. St. Adamski. *(J. Krzep.)* 112

Wzorowy neofita. X. Dr. Z. Górka. (*C.*). 114

Polska, ziemia i państwo. Romer Eugeniusz. *(zet.).* 115

Ilu nas jest? E. Romer. *(Dr. St. Zdziarski).* 116

Casus conscientiae in praecipuas quaestiones Theologiae Moralis proposuit et solvit. Dr. Carolus Szczeklik. (*Ks. Romuald Kudasiewicz T. J.*). 223

Strona

Zarys dziejów kaznodziejstwa w Polsce. B. Dr. J. S. Pelczar. *(X. Nikodem Cieszyński).* 225

Źródła podań tyniecko-wiślickich. Stanisław Zakrzewski. *(Ks. Jan Głąb).* 229

Przyszła Polska. Dr. Zofia Daszyńska-Golińska. *(J. Krzep)* 236

„Zdrój" dwutygodnik, poświęcony sztuce i kulturze umysłowej. *(Stanisław Orliński).* 343

Budujmy Polskę wewnątrz, przez autora „Poznania i kształcenia charakteru". *(J. Krzep).* 350

Ku przyszłości; rocznik spółdzielczy 1914/16, wydany staraniem wydziału społeczno-wychowawczego przy lubelskiem stow. spoż., z zapomogi warsz. związku stow. spoż. 352

Z piśmiennictw obcych.

Psychologie des Kunstsammels von Adolph Donath. *(Józef Trepka).* 117

Die Vorgesichtliche Kultur Palästinas und Phäniziens. Dr. Paul Karge. *(X. Władysław Szczepański T. J.)* 353

„Himmelfahrt". Hermann Bahr. *(Helena Skolimowska).* 357

Der. h. Klemens Hofbauer und des Auswanderungspatent. *(C.)* 360

Aus der Heimat des Friedens. Dr. Karl Rieder. *(X. J. T. T. J.)* . 361

Ukrajiński narodni bajki (zwirynnyj epos). Wołodymyr Hnatjuk. *(Dr Stanisław Zdziarski).* 362

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ—LUTY.

Sprawy Kościoła: Nad grobem Stanisława Tarnowskiego. — Akcya o naukę religii w języku polskim pod zaborem pruskim. *(Ks. J. Pawelski T. J.).* 122

Z wystawy Towarzystwa Sztuk Pięknych w Krakowie. *(ka).* . . 127

Z dziedziny historycznej. 132

Kronika ekonomiczna. *(Stanisław René).* 134

MARZEC—KWIECIEŃ.

Sprawy Kościoła: Wojna obecna a religia. — Ojciec święty a Polska. — Nowa Jasnogóra. *(Ks. J. Pawelski T. J.)* 248

Strona

Z wystaw artystycznych Krakowa. (*ka*) 258

Z hygieny. (*Ks. F. Hortyński T. J.*) 264

Z dziedziny historyi (*Teresa Wodzicka* 274

MAJ—CZERWIEC.

Sprawy Kościoła: Ostatni pokojowy krok Papieża. — O duszę młodzieży szkolnej. — Towarzystwo imienia Benedykta XV. *(Ks. J. Pawelski T. J.)* . . . . . .

Konkursy Akademii Umiejętności w Krakowie 371

Anna z Bardzkich Karwatowa (40 lat działalności literackiej i społecznej). *(Józef M. Pałęcki).* 375

XXI. Wystawa „Sztuki" *(ka).* 384